

# STEPHEN KING

ZIELONA MILA



**STEPHEN KING**

# **Zielona Mila**

## Część pierwsza

# DWIE MARTWE DZIEWCZYNKI

### I

Zdarzyło się to w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim, kiedy stanowe więzienie wciąż mieściło się w Cold Mountain. I kiedy było tam oczywiście krzesła elektryczne.

Więźniowie żartowali sobie z niego, tak jak zawsze żartuje się z rzeczy, które nas przerażają, ale przed którymi nie sposób uciec. Nazywali je Starą Iskrówą albo Wielką Wyżymaczką. Dowcipkowali na temat wysokich rachunków za energię i o tym, gdzie dyrektor Moores, który miał chorą żonę, usmaży sobie indyka w Święto Dziękczynienia.

Ci jednak, którzy mieli na nim usiąść, bardzo szybko tracili poczucie humoru. Pracując w Cold Mountain, przewodniczyłem siedemdziesięciu ośmiu egzekucjom (tej jednej liczby jestem całkowicie pewien; zapamiętam ją do grobowej deski) i myślę, że do większości skazańców świadomość tego, co się dzieje, docierała dopiero, gdy przywiązywano im kostki do masywnych dębowych nóg Starej Iskrówki. Uprzytamniali sobie wówczas (w ich oczach widać było rodzaj chłodnej konsternacji), że ich własne nogi zakończyły swoją karierę. Wciąż krążyła w nich krew, a mięśnie zachowały siłę, lecz mimo to były bezużyteczne; nigdy już nie miały stąpać po wiejskiej drodze ani zatańczyć z dziewczyną w trakcie oblewania stodoły. Klienci Starej Iskrówki dowiadawali się o swojej śmierci za pośrednictwem nóg. Gdy wypowiedzieli już niezborne i w większości chaotyczne ostatnie słowa, zakładaliśmy im na głowę czarny jedwabny kaptur. Miał zaoszczędzić skazańcom przykrych przeżyć, zawsze jednak podejrzewałem, że tak naprawdę używa się go ze względu na nas, abyśmy nie widzieli w ich oczach tego straszliwego przerażenia, gdy zdawali sobie sprawę, że umrą ze zgiętymi kolanami.

Cele śmierci znajdowały się w Cold Mountain wyłącznie w bloku E, oddalonym nieco od pozostałych czterech i cztery razy od nich mniejszym. Był zbudowany z cegły, nie z desek, i kryty okropnym metalowym dachem, który połyskiwał w letnim słońcu niczym wytrzeszczone oko szaleńca. W środku było sześć cel - trzy po jednej i trzy po drugiej stronie szerokiego korytarza - wszystkie prawie dwa razy większe od cel w innych blokach. I wszystkie pojedyncze. Zakwaterowanie jak na więzienne warunki (zwłaszcza w latach

trzydziestych) było wspaniałe, ale lokatorzy chętnie zamieniliby się na którąkolwiek z innych cel. Wierzcie mi, na pewno by się zamienili.

W czasie gdy pełniłem funkcję kierownika bloku, ani razu nie mieliśmy zajętych wszystkich sześciu cel - dzięki Bogu i za to. W najgorszym momencie gościliśmy czworo skazanych, czarnych i białych (w Cold Mountain nie istniała segregacja wśród truposzów) i mieliśmy z nimi prawdziwe skaranie boskie. Była wśród nich i kobieta, Beverly McCall, czarna jak as pik i piękna jak grzech, którego nigdy nie miało się odwagi popełnić. Nie miała mężowi za złe, że od sześciu lat regularnie ją tłukł, nie zamierzała mu jednak darować jednego skoku w bok. Dowiedziawszy się, że ją zdradza, zaczęła wieczorem u szczytu schodów prowadzących do ich mieszkania nad zakładem fryzjerskim na nieszczęsnego Lestera McCalla, przez przyjaciół (i zapewne przez swoją nader chwilową kochankę) zwanego Kosiarzem, i kiedy zdjął do połowy palto, wypruła z niego flaki. Zrobiła to jedną z osobistych brzytw Kosiarza. Na dwa dni przed wyznaczonym terminem egzekucji wezwała mnie do celi i oznajmiła, że we śnie odwiedził ją afrykański duchowy ojciec. Nakazał jej odrzucić nazwisko nadane w niewoli i umrzeć pod prawdziwym, które brzmiało Matuomi. Takie było jej życzenie: chciała, żeby nakaz egzekucji wystawiono na nazwisko Beverly Matuomi. Rozumiem, że duchowy ojciec nie nadał jej żadnego imienia, w każdym razie żadnego, które zdołałaby pojąć. Zapewniłem ją, że oczywiście, w porządku, jak najbardziej. Długie lata, które spędziłem w roli klawisza, nauczyły mnie, że skazańcowi odmawia się tylko wtedy, kiedy jest to absolutnie konieczne. W przypadku Beverly Matuomi i tak nie miało to większego znaczenia. Nazajutrz koło trzeciej po południu zadzwonił do nas gubernator i zamienił jej wyrok na dożywocie w Zakładzie Penitencjarnym dla Kobiet w Grassy Valley - same penitencjariuszki i ani jednego penisa, jak mawialiśmy w tamtym czasie. Muszę przyznać, że cieszyłem się, kiedy za biurkiem oficera dyżurnego okrągły tyłeczek Bev skreślił w lewo zamiast w prawo.

Po trzydziestu pięciu latach - co najmniej trzydziestu pięciu - zobaczyłem jej nekrolog w gazecie, a nad nim fotografię przedstawiającą pociągłą czarną twarz, z chmurą białych włosów i w okularach ze sztucznymi brylancikami po bokach. To była Beverly. Ostatnie dziesięć lat życia spędziła na wolności, napisano w notatce, i praktycznie sama prowadziła niewielką bibliotekę w prowincjonalnym miasteczku Raines Falls. Uczyła również w szkółce niedzielnej i wszyscy bardzo ją lubili. BIBLIOTEKARKA ZMARŁA NA ATAK SERCA, brzmiał tytuł, niżej zaś, jakby po namyśle, dodano mniejszą czcionką: "Spędziła dwadzieścia lat w więzieniu za morderstwo". Nie zmieniły się tylko jej oczy, szeroko otwarte i płonące za wysadzonymi brylancikami okularami. To były oczy kobiety, która, gdyby okazało się to

konieczne, nawet teraz, po siedemdziesiątce, wyjęłaby bez wahania brzytwę z błękitnego słoiczka z płynem dezynfekcyjnym. Morderczynię można poznać zawsze, także wtedy, kiedy osiedla się w małym sennym miasteczku jako bibliotekarka. Można, jeśli ktoś miał styczność z mordercami tak długo jak ja. Tylko raz w życiu zadałem sobie pytanie, co ja tam robię. I to jest chyba powód, dla którego piszę teraz te słowa.

Szeroki korytarz wyłożony był linoleum koloru przejrziałych limon i dlatego to, co w innych więzieniach zwie się Ostatnią Miłą, my w Cold Mountain nazywaliśmy Miłą Zieloną. Nasza miała od początku do końca około sześćdziesięciu długich kroków i biegła z południa na północ. Na początku znajdowała się izolatka. Na końcu można było skręcić w lewo lub w prawo. Skręt w lewo oznaczał życie - jeśli nazwać życiem to, co działo się na spieczonym słońcem spacerunku, a wiele osób tak to nazywało; wiele osób spędziło tutaj długie lata i jakoś im to nie zaszkodziło. Złodzieje, podpalacze i maniacy seksualni prowadzili tu swoje rozmowy, chodzili na spacer i ubijali swoje małe interesy.

Skręt na prawo to było coś zupełnie innego. Najpierw wchodziło się do mojego gabinetu (w którym dywan był również zielony, co od dawna chciałem zmienić, lecz nie mogłem się jakoś zmobilizować) i mijało biurko; po jego lewej stronie znajdowała się flaga amerykańska, a po prawej flaga stanu. Naprzeciwko było dwoje drzwi. Jedne prowadziły do małej ubikacji, z której korzystaliśmy ja oraz inni strażnicy z bloku E (a czasami nawet dyrektor Moores), drugie do czegoś w rodzaju szopy. Tam właśnie kończył swoją drogę ten, kto przeszedł Zieloną Miłą.

Drzwi były niewielkie - przechodząc przez nie, pochylałem głowę, a John Coffey musiał autentycznie przykucnąć i z trudem się przecisnąć. Wychodziło się na mały podest, a potem po trzech betonowych schodkach na dół. Pomieszczenie było obskurne i bez ogrzewania, z podłogą z sosnowych desek i metalowym dachem, podobnym do tego, który krył cały blok. W lecie panowała tu nieznośna spiekota, a w zimie taki chłód, że widziało się własny oddech. Podczas egzekucji Elmera Manfreda - było to chyba w lipcu lub sierpniu tysiąc dziewięćset trzydziestego - zemdląło nam dziewięciu świadków.

Lewa strona szopy była stroną życia. Przechowywano tam łopaty i kilofy (umieszczone w specjalnych stojakach i zabezpieczone łańcuchami, niczym karabiny), a także odzież i materiały, worki z nasionami roślin, które sialiśmy na wiosnę w ogródkach, rolki papieru toaletowego, palety z półfabrykatami do więziennego warsztatu ślusarskiego... nawet worki z wapnem do wytyczania boiska baseballowego i futbolowego - więźniowie grali na tak zwanym Pastwisku i rozgrywane w jesienne popołudnia mecze były zawsze wielkim wydarzeniem.

Po prawej stronie - ponownie śmierć. Stara Iskrówa stała na drewnianym podwyższeniu w południowo-wschodnim rogu szopy; miała masywne dębowe nogi i szerokie dębowe oparcia, które wchłaniały pot przerażonych skazańców w ostatnich minutach ich życia. Na oparciu z tyłu zawieszony był zwykle metalowy hełm, przypominający czapkę jakiegoś małego wesołego robota z komiksu o Króliku Rogersie. Podłączony do niego kabel znikał w gazobetonowej ścianie za krzesłem. Z boku stało ocynkowane wiadro. Gdyby ktoś miał ochotę do niego zajrzeć, zobaczyłby w środku gąbkę przyciętą tak, aby dokładnie pasowała do metalowego hełmu. Przed egzekucją zanurzano ją w słonej wodzie, żeby lepiej przewodziła ładunek prądu stałego, który płynął przez kabel, przez gąbkę i przez mózg skazanego.

Rok tysiąc dziewięćset trzydziesty drugi był rokiem Johna Coffeya. Szczegóły są w gazetach - może je tam odnaleźć każdy, kogo to interesuje i ma więcej sił od pewnego bardzo starego człowieka, dożywającego swych dni w domu opieki w Georgii. To była gorąca jesień, pamiętam, naprawdę bardzo gorąca: październik nie różnił się prawie od sierpnia, a żona dyrektora, Melinda, trafiła na jakiś czas do szpitala w Indianoli. Przechodziłem wtedy najgorszą w swoim życiu infekcję dróg moczowych, nie aż tak poważną, żebym sam wyładował w szpitalu, ale wystarczająco paskudną, bym pragnął śmierci za każdym razem, gdy szedłem się odlać. To była jesień Eduarda Delacroix, małego łysawego Francuza z myszą, która pojawiła się w lecie i wykonywała tę sprytną sztuczkę ze szpulą. Przede wszystkim jednak była to jesień, kiedy na blok E przybył John Coffey, skazany na śmierć za gwałt i zamordowanie bliźniaczek Dettericków.

Na każdej zmianie mieliśmy czterech albo pięciu strażników, lecz większość z nich nigdy nie zagrzała u nas dłużej miejsca. Dean Stanton, Harry Terwilliger i Brutus Howell (ludzie mówili na niego "Brutał", ale tylko żartem, bo facet mimo swojej potężnej postury nie skrzywdziłby, gdyby nie musiał, muchy) dzisiaj już nie żyją, podobnie jak Percy Wetmore, który był naprawdę brutalny... a przy tym głupi. Percy nie powinien w ogóle pracować na naszym bloku, gdzie wredny charakter do niczego się nie przydaje i może przysporzyć jedynie kłopotów, był jednak przez swoją żonę spokrewniony z gubernatorem i dlatego został.

To właśnie Percy Wetmore wprowadził Coffeya na blok, zapowiadając go okrzykiem, który rzekomo należał tutaj do tradycji: "Idzie truposz! Idzie do nas truposz!".

Październik czy nie, wciąż było gorąco jak w piekle. Drzwi na spacerniak otworzyły się i w prostokącie jasnego światła stanął największy facet, jakiego w życiu widziałem, no, może z wyjątkiem kilku koszykarzy, których oglądam czasem w telewizji w "Centrum Rekreacji" tego domu dla śliniących się starców, gdzie w końcu wyładowałem. Na rękach i potężnej piersi miał założone łańcuchy, a na nogach kajdany, połączone kolejnym łańcuchem, który brzęczał niczym kaskady monet, sunąc po zielonym linoleum między celami. Z jednej strony eskortował go Percy Wetmore, z drugiej chudy, mały Harry Terwilliger i obaj wyglądali jak dzieci, prowadzące schwytanego w lesie niedźwiedzia. Przy Coffeyu nawet Brutus Howell wyglądał jak dzieciak, a Brutus miał ponad sześć stóp wzrostu i umięśnioną klatkę i przez jakiś czas, póki nie zawałił sesji i nie wrócił do domu w góry, grał jako

napastnik w drużynie futbolowej uniwersytetu stanu Luizjana.

John Coffey był czarny, podobnie jak większość mężczyzn, którzy przed śmiercią w objęciach Starej Iskrówki spędzali jakiś czas na bloku E. Ma sześć stóp i osiem cali wzrostu, nie przypominał jednak wcale gibkich koszykarzy z telewizora - miał szerokie bary i olbrzymią klatkę, obudowaną ze wszystkich stron mięśniami. Dali mu największe drelichy, jakie udało się znaleźć w magazynie, lecz mimo to mankiety spodni sięgały połowy jego żylastych i pokiereszowanych łydek, koszula nie dopinała się na piersi, a rękawy kończyły gdzieś na przedramionach. W wielkiej ręce miętosił czapkę, która też była za mała; na jego ogolonej mahoniowej czaszce przypominałaby cyklistówkę, jaką nosi małpka kataryniarza, z tą różnicą, że była niebieska, nie czerwona. Wydawało się, że może zerwać krępujące go łańcuchy z taką samą łatwością, z jaką zrywa się wstążkę z gwiazdkowego prezentu, ale gdy spojrzaleś mu w twarz, wiedziałeś, że nic takiego się nie zdarzy. Nie malowała się na niej głupota - choć do takiego właśnie wniosku doszedł Percy i zaczął go wkrótce nazywać matolem - lecz zagubienie. Wciąż się rozglądał, jakby chciał odgadnąć, gdzie się znajduje. A może nawet, kim jest. W pierwszej chwili pomyślałem, że wygląda jak czarny Samson... ale po tym, jak Dalila ostrzygła go swoją zdradziecką rączką i pozbawiła całej radości życia.

- Idzie truposz! - powtórzył Percy, ciągnąc za sobą tego niedźwiedzia zakutego w ludzkie kajdanki, tak jakby naprawdę wierzył, że zdołałby go ruszyć z miejsca, gdyby Coffey uznał, że nie pójdzie ani kroku dalej. Harry w ogóle się nie odzywał, ale miał zakłopotaną minę. - Idzie tru...

- Dostyc tego dobrego - przerwałem mu. Siedziałem na pryczy w celi przeznaczonej dla Coffeya. Wiedziałem oczywiście o jego przyjeździe i czekałem, żeby go powitać i zapoznać z regulaminem, lecz aż do tej chwili nie miałem pojęcia, że jest taki wielki. Percy obrzucił mnie spojrzeniem zdradzającym, że wszyscy wiedzą, jaki ze mnie dupek (z wyjątkiem naturalnie tego wielkiego manekina, który wiedział wyłącznie, jak gwałcić i mordować małe dziewczynki), nie odezwał się jednak ani słowem.

Cała trójka stanęła przed otwartymi drzwiami celi, a ja skinąłem głową Harry'emu.

- Na pewno chcesz zostać z nim razem w celi, szefie? - zapytał. Nieczęsto słyszałem niepokój w głosie Harry'ego; był tu razem ze mną podczas buntu przed sześciu albo siedmiu laty i ani razu nie stracił zimnej krwi, nawet kiedy zaczęły krążyć plotki, że niektórzy z więźniów mają broń.

- Czy będę miał z tobą jakieś kłopoty, duży? - zapytałem, siedząc na pryczy i starając się nie pokazywać po sobie bólu: infekcja, o której wspomniałem, nie dokuczała mi jeszcze tak bardzo, ale nie było mi lekko, możecie wierzyć.



Coffey pokręcił powoli głową - w lewo i w prawo - i z powrotem spojrzął na wprost. Kiedy już utkwił we mnie wzrok, ani na chwilę go nie oderwał. Harry trzymał w dłoni jego papiery.

- Daj mu te dokumenty - powiedziałem. - Włóż mu do ręki.

Harry wykonał polecenie. Olbrzym zacisnął na nich palce niczym lunatyk.

- Teraz ty mi je daj, duży - rozkazałem i Coffey zrobił to, pobrząkując łańcuchami. Wchodząc do celi musiał schylić głowę.

Zerknąłem na formularz, głównie po to, żeby sprawdzić, czy jego wzrost jest udokumentowanym faktem, a nie optyczną iluzją. Był faktem: sześć stóp i osiem cali. Wagę oceniono na dwieście osiemdziesiąt funtów, ale zrobiono to chyba na oko; według mnie musiał mieć co najmniej trzysta dwadzieścia, a może nawet trzysta pięćdziesiąt. W rubryce "blizny i znaki szczególne" stary Magnusson z działu rejestracji wpisał drukowanymi literami tylko jedno słowo: LICZNE.

Podniosłem wzrok. Coffey przesunął się trochę na bok i zobaczyłem, że Harry stoi po drugiej stronie korytarza, obok celi Delacroix, który przed przyjazdem Coffeya był naszym jedynym więźniem. Del był drobnym łysawym mężczyzną o zatroskanej twarzy księgowego, który zdaje sobie sprawę, że wkrótce wyjdą na jaw jego machinacje. Oswojona mysz siedziała mu na ramieniu.

Percy Wetmore zajrzał do celi, którą obejmował właśnie w posiadanie John Coffey. Wyjął już wcześniej z wykonanego na miarę olstra swoją hikorową pałkę i uderzał nią teraz w otwartą dłoń jak ktoś, kto chce się pobawić ulubioną zabawką. Nagle poczułem, że nie mogę znieść dłużej jego obecności. Może sprawił to niezwykle o tej porze roku upał, może infekcja, która paliła mnie żywym ogniem w kroczu i nie pozwalała znieść dotyku flanelowej bielizny, a może świadomość, że egzekucję tego czarnego faceta poprowadzi idiota, który najwyraźniej chciał go najpierw trochę ociosać. Być może sprawiły to wszystkie te trzy rzeczy naraz. Tak czy inaczej zapomniałem na krótką chwilę o politycznych koneksjach Wetmore'a.

- Trzeba pomóc przy przeprowadzce ambulatorium, Percy - powiedziałem.

- Tym zajmuje się Bili Dodge.

- Wiem, że się tym zajmuje - stwierdziłem. - Idź mu pomóż.

- To nie należy do moich obowiązków - odparł Percy. - Do moich obowiązków należy pilnowanie tego złamas. - Słowem "złamas", które stanowiło skrót określenia "kutas złamany", Percy zwykł określać dużych mężczyzn. Nie lubił ich. Nie był tak chudy jak Harry Terwilliger, ale natura poskąpiła mu wzrostu. Upierdliwy facet, jeden z tych, którzy chętnie wszczynają bójki, zwłaszcza kiedy wiadomo z góry, że przeciwnik nie ma żadnych szans. W

dotatku bardzo czuły na punkcie swoich włosów. Bez przerwy je cesał.

- W takim razie spełniłeś już swój obowiązek - oświadczyłem. - Idź do ambulatorium.

Percy wysunął do przodu dolną wargę. Bili Dodge i jego ludzie dźwigali pudła, pościel, nawet żelazne łóżka; całe ambulatorium przenoszono do nowego drewnianego baraku po zachodniej stronie więzienia. Upał i ciężka fizyczna robota. Percy Wetmore nie lubił ani jednego, ani drugiego.

- Mają tylu ludzi, ile trzeba - mruknął.

- Więc idź tam i udawaj, że jesteś szefem - powiedziałem, podnosząc głos. Zobaczyłem, że Harry się krzywi, ale wcale się tym nie przejąłem. Jeśli gubernator każe dyrektorowi Mooresowi wyrzucić mnie za to, że nacisnąłem na odcisk temu palantowi, kogo wyznaczą na moje miejsce? Wetmore'a? Wolne żarty. - Naprawdę nie obchodzi mnie, co będziesz robił, Percy, pod warunkiem że jakiś czas cię tu nie będzie.

Przez chwilę myślałem, że się zbuntuje i będę musiał się z nim użerać, mając tuż obok siebie Coffeya, który stał przez cały czas bez ruchu niczym największy na świecie zepsuty zegar. Ale Percy wsadził swoją pałkę do olstra - tego głupiego megalomańskiego gadżetu - i ruszył dumnym krokiem do wyjścia. Nie pamiętam, który ze strażników pełnił tego dnia dyżur za biurkiem - pewnie jeden z żółtodziobów, co to nigdy nie zagrzali u nas długo miejsca - ale Percy'emu nie spodobał się chyba wyraz jego twarzy.

- Przestań szczyrzyć zęby, gamoni, bo ci je powybijam - warknął, przechodząc obok niego. Zabrzęczały klucze, korytarz oświetliła na chwilę smuga dziennego światła i Percy Wetmore przynajmniej na jakiś czas dał nam od siebie odpocząć. Mysz Francuza przebiegała z jego jednego ramienia na drugie, poruszając swoimi maleńkimi wąsikami.

- Spokój, Panie Dzwoneczku - szepnęła Delacroix i mysz przystanęła na lewym ramieniu, zupełnie jakby rozumiała, co do niej mówi. - Nie ruszaj się i siedź cicho. - Jego śpiewny luizjański akcent sprawił, że te proste słowa zabrzmiały jakoś egzotycznie, z cudzoziemska.

- Połóż się, Del - powiedziałem. - Odpocznij sobie. Ciebie też nie powinno to interesować.

Delacroix posłuchał mnie. Zgwałcił i zabił młodą dziewczynę, a potem porzucił jej ciało za budynkiem, w którym mieszkała, oblał je naftą i podpalił, wyobrażając sobie naiwnie, że usunie w ten sposób dowody zbrodni. Od ognia zajął się cały dom i w pożarze zginęło sześć kolejnych osób, w tym dwoje dzieci. Była to jedyna zbrodnia, którą popełnił, i teraz pozostał po prostu łagodnym mężczyzną o zatroskanej twarzy, łysinie na czubku głowy i potarganych włosach zachodzących na kołnierzyk koszuli. Wkrótce miał zasiąść na Starej

Iskrówie, a Stara Iskrówa miała położyć kres jego życiu... lecz to coś, co dokonało owej okropnej zbrodni, dawno zniknęło i teraz Delacroix leżał spokojnie na swojej prytcy, pozwalając biegać po sobie swemu małemu popiskującemu kompanowi. Na swój sposób to właśnie było najgorsze; Stara Iskrówa nigdy nie wypalała tego, co tkwiło w ich wnętrzu, a środki, które im dzisiaj wstrzykują, nigdy tego nie usypiają. To coś opuszcza ich ciało i przesiada się na kogoś innego, a my zabijamy łupinę, w której nie kołacze się już życie.

- Czy będziesz grzeczny, jeśli pozwolę Harry'emu cię rozkuć? - zapytał olbrzyma.

Kiwnął głową - w podobny sposób, w jaki nią przedtem pokręcił - w dół, do góry i z powrotem do pozycji na wprost. Ani na chwilę nie odrywał ode mnie swoich dziwnych oczu. Był w nich jakiś spokój, ale niekoniecznie taki, który wzbudzałby bezwarunkowe zaufanie. Dałem znak Harry'emu, który podszedł i rozpiął łańcuchy. Nie okazywał teraz cienia strachu, chociaż klęczał między potężnymi niczym pnie drzew nogami Coffeya, zdejmując kajdany z jego kostek. To rozwiąło trochę moje obawy. Harry'ego denerwował Percy, a ja wierzyłem w jego intuicję. Wierzyłem w intuicję wszystkich moich stałych pracowników z wyjątkiem Percy'ego.

Miałem przygotowaną krótką mowę, której wysłuchiwali wszyscy nowo przybyli, wahałem się jednak, czy wygłosić ją Coffeyowi, tak dalece odbiegał od normy, nie tylko z powodu swego wzrostu.

Kiedy Harry się cofnął (Coffey stał nieruchomo podczas całej ceremonii rozkuwania, łagodny jak perszeron), przyjrzałem się swojemu nowemu lokatorowi i postukałem kciukiem w podkładkę do papierów.

- Potrafisz mówić, duży?

- Tak, proszę pana szefa, potrafię mówić - odparł. Miał głęboki, dudniący cicho głos, który przywodził na myśl dopiero co włączony silnik traktora. Nie zaciągał, jak czyni to typowy Południowiec, w jego wymowie były jednak pewne południowe naleciałości, które później zauważyłem. Tak jakby mieszkał na Południu, ale z niego nie pochodził. Nie mówił ani jak analfabeta, ani jak człowiek wykształcony. Jego sposób wystawiania się był, podobnie jak wiele innych rzeczy, kompletną zagadką. Najbardziej niepokoiły mnie jego oczy - widoczny w nich rodzaj spokojnej nieobecności, tak jakby przez większość czasu przebywał zupełnie gdzie indziej.

- Nazywasz się John Coffey.

- Tak, proszę pana szefa, tak jak napój, tylko inaczej się pisze.

- To znaczy, że potrafisz pisać? Pisać i czytać?

- Tylko własne nazwisko, szefie.

Westchnąłem, po czym uraczyłem go krótką wersją swojej mowy. Już wtedy doszedłem do wniosku, że nie będzie sprawiał żadnych kłopotów - w czym jednocześnie się myliłem i miałem rację.

- Nazywam się Paul Edgecombe - oznajmiłem. - Jestem kierownikiem bloku E, naczelnym strażnikiem. Jeśli będziesz ode mnie czegoś chciał, poproś mnie po nazwisku. Jeśli mnie tu nie będzie, poproś tego drugiego strażnika. Nazywa się Harry Terwilliger. Albo pana Stantona lub Howella. Rozumiesz?

Coffey kiwnął głową.

- Nie spodziewaj się, że dostaniesz cokolwiek, na co masz ochotę, dopóki nie uznamy, że rzeczywiście tego potrzebujesz. To nie jest hotel. Jasne?

Ponownie pokiwał głową.

- To spokojne miejsce, duży, niepodobne do reszty więzienia. Mamy tutaj tylko ciebie i Delacroix. Nie będziesz pracował; większość czasu spędzisz po prostu w celi. Dzięki temu będziesz mógł sobie wszystko przemyśleć. - Na myślenie mieli na ogół aż za dużo czasu, ale tego mu nie powiedziałem. - Nieraz, jeśli jest spokój, puszczałyśmy radio. Lubisz radio?

Pokiwał głową, ale niezbyt pewnie, jakby nie bardzo wiedział, o czym mówię. Odkryłem potem, że tak było rzeczywiście; Coffey poznawał pewne rzeczy, gdy się z nimi ponownie stykał, potem jednak zupełnie o nich zapominał. Znał bohaterów *Our Gal Sunday*, ale nie pamiętał zbyt dobrze, czego dokonali w ostatnim odcinku.

- Jeśli będziesz grzeczny, dostaniesz na czas posiłki, nigdy nie trafisz do izolatki na końcu korytarza ani nie będziesz musiał nosić jednego z tych płóciennych ubranek, które zapinają się z tyłu. Masz dwie godziny na spacer od czwartej do szóstej po południu oprócz sobót, kiedy nasi pozostali pensjonariusze rozgrywają mecz futbolu. Jeśli jest ktoś, kto chce cię odwiedzić, będzie mógł to zrobić w niedzielę po południu. Masz kogoś takiego, Coffey?

Potrząsnął głową.

- Nikogo, proszę pana szefa.

- Może odwiedzi cię adwokat?

- Już go chyba nie zobaczę - stwierdził. - Dali mi go na kredyt. Nie wierzę, żeby tłukł się tu do mnie w te góry.

Przyjrzałem mu się baczniej, żeby sprawdzić, czy nie robi sobie przypadkiem żartów, ale nie sprawiał takiego wrażenia. I w gruncie rzeczy wcale się tego nie spodziewałem. Apelacje nie były dla kogoś takiego jak John Coffey; w każdym razie nie w tamtych czasach; tacy jak on mieli swoje pięć minut w sądzie, a potem świat zapominał o nich aż do dnia, kiedy w gazecie ukazywała się mała notatka o tym, że przez takiego to a takiego faceta puszczało

trochę prądu koło północy. Kogoś, kto miał żonę, dzieci albo przyjaciół, z którymi chciał się spotkać w niedzielę, łatwiej było trzymać w ryzach, jeśli wydawał się krnąbrny. Coffey nie sprawiał wrażenia krnąbrnego i bardzo mnie to cieszyło, ponieważ był taki cholernie wielki.

Uniosłem się nieco na pryczy, a potem doszedłem do wniosku, że poczuję się chyba lepiej, jeśli wstanę. Kiedy to zrobiłem, Coffey cofnął się z szacunkiem i splótł ręce na brzuchu.

- Możesz mieć tutaj łatwe albo trudne życie, duży, wszystko zależy od ciebie. Możesz również ułatwić życie nam wszystkim, ponieważ w gruncie rzeczy sprowadza się to do tego samego. Będziemy cię traktować tak, jak na to zasłużysz. Masz jakieś pytania?

- Czy po kolacji na korytarzu pali się światło? - zapytał, jakby tylko na to czekał.

Zamrugałem oczyma. Nowo przybyli zadawali mnóstwo dziwnych pytań - jednego z nich interesowały rozmiary cycków mojej żony - nikt jednak nie zapytał jeszcze o coś takiego.

Coffey uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem, tak jakby wiedział, że wezmę go za głupka, ale nie mógł się powstrzymać.

- Czasami boję się ciemności - wyjaśnił. - Zwłaszcza w nowym miejscu.

Przyjrzałem mu się - samym jego rozmiarom - i dziwnie mnie ujął. Ci ludzie potrafią wzruszyć; nie widzi się ich w najgorszym momencie, kiedy wykuwają swój horror niczym demony w piekielnej kuźni.

- Tak, pali się - odparłem. - Od dziewiątej wieczór aż do piątej rano na całej Mili świeci się połowa wszystkich żarówek. - Nagle zdałem sobie sprawę, że nie ma najprawdopodobniej bladego pojęcia, o czym mówię: nie odróżniał Zielonej Mili od błota znad Missisipi. - To znaczy na korytarzu - dodałem.

Coffey pokiwał z ulgą głową. Przez chwilę nie byłem pewien, czy wie, co to jest korytarz, ale widział chyba dwustuwatowe żarówki w drucianych osłonach.

A potem zrobiłem coś, czego nie zrobiłem dotąd wobec żadnego więźnia - podałem mu rękę. Do dzisiaj nie wiem dlaczego. Może dlatego, że zapytał o te światła? Harry Terwilliger zamrugał oczyma, tyle tylko wam powiem. Coffey ujął z zadziwiającą delikatnością moją rękę, która w całości zniknęła w jego dłoni, i to było wszystko. Miałem kolejną ćmę w butelce. Zrobiliśmy, co do nas należało.

Wyszedłem z celi. Harry zamknął drzwi i przekręcił klucze w obu zamkach. Coffey stał przez kilka chwil w miejscu, jakby nie wiedział, co ze sobą zrobić, a potem usiadł na pryczy, splótł swoje dłonie olbrzymia między kolanami i pochylił głowę jak człowiek, który się modli albo kogoś oplakuje. Później powiedział coś ze swoim dziwnym, prawie

południowym akcentem. Nie wiedziałem wówczas, co zrobił - nie trzeba wiedzieć, jaką zbrodnię popełnił człowiek, żeby go żywić i przygotować do momentu, gdy będzie musiał spłacić swój dług - ale słysząc to poczułem, jak przechodzi mnie dreszcz.

- Nie mogłem nic pomóc, szefie - powiedział. - Próbowałem to cofnąć, ale było za późno.

- Będziesz miał jeszcze kłopoty z Percym - oznajmił Harry, kiedy wracaliśmy korytarzem do mojego gabinetu.

Dean Stanton, ktoś w rodzaju mojego drugiego zastępcy (oficjalnie nie mieliśmy takiej funkcji - Percy Wetmore naprawiłby to niedopatrzenie w mgnieniu oka), siedział przy moim biurku, wpisując dane do akt. Ja sam nigdy nie miałem do tego serca. Nie podniósł nawet wzroku, gdy weszliśmy, wsunął tylko głębiej na nos okulary i wrócił do swojej papierkowej roboty.

- Mam kłopoty z tym dzieciołem, odkąd tu się pojawił - odparłem, ostrożnie odciągając materiał spodni od krocza i krzywiąc się z bólu. - Słyszałeś, co krzyczał, wprowadzając tego wielkoluda na blok?

- Nie mogłem nie słyszeć - stwierdził Harry. - Szedłem tuż obok niego.

- Ja siedziałem wtedy w kiblu, ale też dobrze słyszałem - mruknął Dean. Wziął do ręki kartkę papieru, podniósł ją do światła (zobaczyłem, że oprócz napisanego na maszynie tekstu jest na niej ślad po kubku z kawą) i wyrzucił do kosza. - "Idzie truposz". Musiał to wyczytać w jednym z tych pism, które tak go rajcują.

Prawdopodobnie właśnie tak było. Percy Wetmore okazał się zagorzałym czytelnikiem "Argosy", "Stag" i "Men's Adventure". W każdym numerze była tam, jak się zdaje, jakaś więzienna historyjka i Percy czytał ją z wypiekami na twarzy niczym prowadzący badania naukowiec. Miało się wrażenie, że szuka w życiu jakichś wskazówek i uznał, że te pisma są najlepszym źródłem informacji. Przyszedł do nas zaraz po tym, jak upiekliśmy Anthony'ego Raya, mordercę z toporem, i właściwie nie brał jeszcze udziału w żadnej egzekucji, ale oglądał jedną z nastawni.

- Facet zna wysoko postawionych ludzi - oznajmił Harry. - Ma plecy. Dostanie ci się za to, że wysłałeś go z bloku. I dostanie ci się jeszcze bardziej za to, iż oczekiwałeś, że zrobi raz coś pożytecznego.

- Wcale tego nie oczekiwałem - odparłem. Może i nie oczekiwałem, ale miałem cichą nadzieję. Bili Dodge nie był człowiekiem, który pozwoliłby komuś się opieprzać, podczas gdy inni ciężko harują. - Na razie bardziej mnie interesuje nasz wielkolud. Czy będą z nim jakieś kłopoty?

Harry pokręcił stanowczo głową.

- Podczas rozprawy w hrabstwie Trapingus siedział cicho jak trusia - stwierdził Dean. Zdjął z nosa okulary bez oprawek i zaczął je czyścić rąbkiem kamizelki. - Oczywiście miał na sobie więcej łańcuchów niż duch Marleya, kiedy ukazał się Scrooge'owi, ale gdyby chciał, mógł je łatwo spikwiczyć. To był kalambur, synu - dodał.

- Wiem - odparłem, chociaż nie miałem o tym pojęcia. Nie znośłem, kiedy chciał pokazać, że jest ode mnie mądrzejszy.

- Duży sukinsyn, nie? - zapytał.

- Tak - zgodziłem się. - Piekielnie duży.

- Będziemy musieli przerobić Starą Iskrówę na Superfajerkę, żeby przypiec mu tyłek.

- Nie martw się o Starą Iskrówę - odparłem roztargnionym tonem. - Wielcy faceci robią się na niej tacy malutcy.

Dean pomasaował nos w miejscu, gdzie widniały zaczerwienienia od okularów, i pokiwał głową.

- Zgadza się - mruknął. - Jest w tym wiele racji, nie da się ukryć.

- Czy któryś z was wie, gdzie przebywał, zanim zjawił się w... Tefton? - zapytałem. - To było w Tefton, prawda?

- Tak - potwierdził Dean. - W Tefton, w hrabstwie Trapingus. Nikt nie wie, gdzie przebywał, zanim się tam zjawił i zrobił to, co zrobił. Pewnie szwendał się po całym stanie. Jeśli cię to naprawdę interesuje, możesz znaleźć coś w gazetach w więziennej bibliotece. Nie przeniosą jej w nowe miejsce wcześniej jak w przyszłym tygodniu. Będziesz mógł posłuchać skarg swojego kumpla, którego zagnałeś do roboty piętro wyżej - dodał, szczerząc zęby.

- Może rzeczywiście tam zajrzę - mruknąłem. Później, po południu, zrobiłem to.

Biblioteka mieściła się na tyłach budynku, w którym miano urządzić więzienny warsztat samochodowy - taki przynajmniej był plan. Moim zdaniem ktoś chciał się na tym nieźle obłowić, ale trwał właśnie Wielki Kryzys i zachowałem swoją opinię dla siebie; podobnie powinienem zrobić w sprawie Percy'ego, ale czasami nie sposób po prostu trzymać gęby zamkniętej na kłódkę. Niewyparzony język przysparza człowiekowi więcej kłopotów, niż kiedykolwiek przysporzył mu kutas. Warsztat samochodowy nigdy zresztą nie powstał - w następnym roku całe więzienie przeniesiono sześćdziesiąt mil dalej, do Brighton. Kolejne pieniądze przeszły z rączki do rączki. Kolejne konfitury. Ale to nie moja sprawa.

Administracja przeprowadziła się już do nowego budynku po wschodniej stronie dziedzińca; teraz przenoszono ambulatorium (kto z tych wiejskich ciołków wpadł w ogóle na pomysł, żeby umieścić je na drugim piętrze, stanowiło kolejną z wielu zagadek, w jakie obfituje życie), a bibliotekę już częściowo spakowano - w gruncie rzeczy nie było tam dużo



do pakowania - i stała prawie pusta. Stary budynek miał szalowane ściany i wciśnięty był między bloki A i B. Wychodziły na niego ich łazienki i w całym wnętrzu unosił się niewyraźny zapach moczu, co było prawdopodobnie jedynym rozsądnym powodem przeprowadzki. Pomieszczenie, w którym mieściła się biblioteka, miało kształt litery L i rozmiarami niewiele różniło się od mojego gabinetu. Poszukałem wzrokiem wentylatora, ale wszystkie już zabrano. Musiało tam być ze czterdzieści stopni i siadając, znowu poczułem to gorące pulsowanie w kroczu. Przypominało ćmienie zęba. Wiem, że - zważywszy na to, o jakiej części ciała tu mówimy - może się to wydać absurdem, ale nie potrafiłem tego porównać z niczym innym. Ból był o wiele gorszy podczas oddawania i zaraz po oddaniu moczu, a ja zrobiłem to bezpośrednio przedtem.

Ktoś tam jednak był - kościsty stary więzień o nazwisku Gibbons, który drzemał w kącie, z leżącą na kolanach powieścią z Dzikiego Zachodu i kapeluszem nasuniętym na oczy. Nie przeszkadzał mu ani upał, ani stękanie, łomoty i powtarzające się co jakiś czas przekleństwa, które dochodziły z ambulatorium piętro wyżej. (Musiało tam być co najmniej dziesięć stopni więcej i miałem nadzieję, że Percy Wetmore dobrze się bawi). Ja też mu nie przeszkadzałem, schowałem się bowiem od razu za rogiem, gdzie trzymano gazety. Obawiałem się, że wbrew temu, co powiedział Dean, zabrano je razem z wentylatorami, ale nie, leżały na swoim miejscu i odszukanie historii bliźniaczków Dettericków nie sprawiło mi większej trudności; pisano o nich na pierwszej stronie od dnia popełnienia zbrodni w czerwcu, aż do procesu, który odbył się na przełomie sierpnia i września. Wkrótce przestałem zwracać uwagę na skwar, hałasy na górze i astmatyczne chrapanie starego Gibbonsa. Myśl o tych dziewięcioletnich małych dziewczynkach - ich okolonych blond lokami główkach i zalotnych buziach Bobbsey Twins - była w połączeniu z mroczną postacią Coffeya wyjątkowo niemiła, ale nie potrafiłem przed nią uciec. Zważywszy na jego rozmiary, łatwo było wyobrazić sobie, że pożarł je niczym olbrzym z bajki. To, co im rzeczywiście zrobił, było znacznie gorsze, i miał szczęście, że nie zlinczowano go od razu tam, na brzegu rzeki. Oczywiście, jeśli ktoś uzna za szczęście przejście Zielonej Mili i randkę ze Starą Iskrówą.

Królową Bawełnę zdetronizowano na Południu siedemdziesiąt lat przed opisywanymi tutaj wydarzeniami i nigdy nie odzyskała korony, chociaż w latach trzydziestych wróciła na krótko do łask. Nie było już plantacji bawełny, lecz w południowej części naszego stanu pozostało kilkadziesiąt bawełnianych farm. Jedna z nich należała do Klausa Dettericka. W latach pięćdziesiątych uważany byłby pewnie za kogoś, kto z trudem wiąże koniec z końcem, dwadzieścia lat wcześniej uchodził jednak za człowieka zamożnego, płacił bowiem co miesiąc gotówką swoje rachunki w sklepie i nie spuszczał wzroku, spotykając przypadkowo na ulicy prezesa banku. Gospodarstwo było zadbane i duże. Oprócz bawełny Detterick hodował kurczaki, a także kilka krów. Mieli z żoną trójkę dzieci: dwunastoletniego Howarda i bliźniaczki, Corę i Kathe.

Pewnej ciepłej czerwcowej nocy tamtego roku dziewczynki poprosiły, aby pozwolono im spać na zabudowanej werandzie, biegnącej wzdłuż całej bocznej ściany domu. Miała to dla nich być nie lada atrakcja. Matka ucałowała je na dobranoc tuż przed dziewiątą, kiedy ostatnie promienie słońca gasły na horyzoncie. Zobaczyła je ponownie dopiero, gdy leżały w trumnach, połatane przez przedsiębiorcę pogrzebowego, któremu udało się naprawić większość szkód.

W tamtych latach wiejskie rodziny chodziły do łóżka bardzo wcześnie - "kiedy robiło się ciemno pod stołem", jak mawiała moja własna matka - i spały kamiennym snem. Klaus, Marjorie i Howie Detterickowie rzeczywiście spali twardo owej nocy, gdy porwano bliźniaczki. Klausa obudziłby na pewno, gdyby zaszczeakał, Bowser, stary wielki półkrwi collie, ale Bowser nie zrobił tego. Nie zaszczeakał ani tej nocy, ani nigdy więcej.

Klaus obudził się o brzasku, żeby wydoić krowy. Obora była po drugiej stronie obejścia i nie przyszło mu nawet do głowy, żeby rzucić okiem na bliźniaczki. To, że nie przyłączył się do niego Bowser, również nie wzbudziło jego obaw. Pies traktował kurczaki i krowy z wielką pogardą i podczas oporządzania inwentarza krył się normalnie w swojej budzie za oborą, chyba że go wezwano... i to w sposób bardzo zdecydowany.

Marjorie zeszła na dół mniej więcej kwadrans po tym, jak jej mąż włożył w sieni buty i poczępał do obory. Nastawiła kawę i zaczęła smażyć plastry bekonu. Smakowite zapachy wywabily Howiego z jego pokoiku na poddaszu, ale dziewczynki się nie pojawiały. Wbijając jajka do bekonu, Marjorie wysłała Howiego, żeby sprowadził siostry. Zaraz po śniadaniu

Klaus chciał na ogół, by przyniosły świeże jajka z kurnika. Tego ranka jednak nikt nie zjadł śniadania na farmie Dettericków. Howie wrócił do kuchni z pobladłą twarzą. Jego oczy przed chwilą jeszcze spuchnięte od snu były szeroko otwarte.

- Nie ma ich - powiedział.

Marjorie wyszła na werandę, z początku bardziej poirytowana niż zaniepokojona. Przypuszczała, jeśli w ogóle coś przypuszczała, opowiadała później, że dziewczynki postanowiły wybrać się na poranny spacer i narwać polnych kwiatów. Albo wpadły na jakiś podobnie głupi pensjonarski pomysł. Jeden rzut oka na werandę wystarczył, żeby zrozumiała, dlaczego Howie tak bardzo pobladł na twarzy.

Zawołała męża - wrzasnęła głośno, żeby przyszedł - i Klaus przybiegł w te pędy, w butach pochlapanych mlekiem, które wylało się z wiadra. To, co zobaczył na werandzie, ścięłoby z nóg najbardziej nawet dzielnego ojca. Koce, w które dziewczynki się opatulily, gdy z nadejściem nocy zrobiło się chłodniej, leżały ciśnięte w kącie. Drzwi na werandę wyrwane zostały z górnego zawiasu i zwisały przekrzywione na zewnątrz. A deski werandy i stopnie za okaleczonymi drzwiami splamione były krwią.

Marjorie zaczęła błagać męża, żeby nie wyruszał sam na poszukiwanie dziewczynek i nie zabierał ze sobą syna, jeśli taki właśnie miał zamiar, jej słowa na nic się jednak nie zdały. Klaus złapał dubeltówkę, którą trzymał w sieni, zawieszoną wysoko poza zasięgiem dziecinnych dłoni, i wręczył Howiemu strzelbę kaliber .22, którą miał mu dać w czerwcu na urodziny. A potem wybiegli z domu, nie zwracając najmniejszej uwagi na zawodzącą, lamentującą kobietę, która chciała koniecznie wiedzieć, co uczynią, jeśli trafią na wałęsających się robotników sezonowych albo bandę czarnuchów, którzy uciekli z obozu pracy w Laduc. Robiąc to, mieli moim zdaniem rację. Krew nie kapała już po stopniach, była jednak lepka i miała odcień czerwony, nie brązowy, który przybiera, gdy dobrze skrzepnie. Porwanie zdarzyło się całkiem niedawno. Klaus musiał uznać, że istnieje jeszcze szansa ocalenia dziewczynek, i miał zamiar z niej skorzystać.

Żaden z nich nie znał się zbyt dobrze na tropieniu śladów. Byli zbieraczami, nie myśliwymi - ludźmi, którzy polują w sezonie na szopy i jelenie nie dlatego, że tak im na tym zależy, ale dlatego, że tego się od nich oczekuje. Całe obejście poprzecinane było pozostawionymi w błocie śladami, układającymi się w wielką bezsensowną płataninę. Klaus i Howie obiegli dookoła obory i prawie natychmiast zobaczyli, dlaczego Bowser, pies niezbyt zajadły, lecz czujny, nie podniósł alarmu. Leżał do połowy wyciągnięty z budy zbitej z desek, które zostały po budowie obory (nad okrągłym otworem z przodu przybita była tabliczka z wykaligrafowanym starannie napisem BOWSER - obejrzałem jej zdjęcie w gazecie), i miał

pysk przekręcony prawie o trzysta sześćdziesiąt stopni. Uśmiercić w ten sposób tak duże zwierzę mógł tylko człowiek obdarzony olbrzymią siłą, powiedział potem ławie przysięgłych oskarżyciel Johna Coffeya... po czym posłał długie wymowne spojrzenie w stronę siedzącego ze spuszczonej oczyma wielkoluda, ubranego w fabrycznie nowe, zakupione przez stan drelichy, które wyglądały na nim jak ubranie po młodszym bracie. Klaus i Howie znaleźli przy psie kawałek gotowanej kiełbasy. Zakładano - moim zdaniem, niewątpliwie słusznie - że Coffey zwabił psa kiełbasą, potem zaś, kiedy Bowser połykał ostatni kęs, złamał mu kark jednym szarpnięciem swoich mocarnych dłoni.

Za oborą zaczynały się północne pastwiska Dettericków, na które nie wyszła tego dnia żadna krowa. Trawę pokrywała poranna rosa i widać było wyraźnie przecinające ją na ukos ślady, prowadzące na północny zachód.

Chociaż bliski hysterii, Klaus Detterick przez chwilę się zawahał. Nie bał się człowieka lub ludzi, którzy porwali jego córki, ale tego, że podąży śladami, które sprawca zostawił, nie oddalając się, lecz zmierzając w stronę jego farmy... słowem, że pójdzie w złym kierunku, podczas gdy liczyła się każda sekunda.

Howie rozwiązał ten dylemat, ściągając skrawek żółtego materiału z krzewu, który rósł tuż za skrajem obejścia. Kiedy stojącemu za barierką dla świadków Klausowi pokazano później ten sam kawałek tkaniny, rozpoznał w nim z płaczem fragment szortów swojej córki Kathe. Dwadzieścia jardów dalej znaleźli zwisający z wystającej gałązki jałowca spłowiały zielony strzęp nocnej koszulki, którą Cora miała na sobie, kiedy całowała rodziców na dobranoc.

Detterickowie ruszyli biegiem przez pastwisko, trzymając przed sobą broń, niczym żołnierze, którzy szturmują pod ciężkim ostrzałem terytorium wroga. Z wszystkiego, co wydarzyło się owego dnia, najbardziej dziwi mnie, że chłopak, który ścigał rozpaczliwie ojca, czasami tracąc go prawie zupełnie z oczu i zaciskając kurczowo w dłoni strzelbę, ani razu się nie potknął i nie wpakował kuli w plecy Klause Dettericka.

Na farmie znajdował się telefon - kolejny sygnał wskazujący, że Detterickom powodziło się całkiem nieźle w tych ciężkich czasach - i Marjorie połączyła się z centralą, aby przedzwonić do ilu tylko zdoła sąsiadów i powiadomić ich o nieszczęściu, które spadło na nich jak grom z jasnego nieba. Wiedziała, że każdy telefon spowoduje rozchodzące się koncentrycznie kręgi, niczym ciśnięte w spokojną toń kamyczki. A potem podniosła po raz ostatni słuchawkę i wypowiedziała słowa, które stanowiły niemal symbol tego wczesnego okresu telefonizacji, przynajmniej na wiejskim Południu.

- Halo, centrala, czy pani mnie słyszy?

Centrala słyszała, ale przez krótki moment nie mogła się odezwać; zacięła kobietę zupełnie zamurowało.

- Tak, pani Detterick - wykrztusiła w końcu - słyszę panią dobrze, o słodki błogosławiony Jezu, modłę się teraz, żeby pani małym dziewczynkom nic się nie stało...

- Dziękuję pani bardzo - przerwała jej Marjorie - ale czy może pani poprosić Pana Boga, żeby chwilę poczekał, i połączyć mnie z biurem szeryfa w Tefton?

Szeryf hrabstwa Trapingus był brzuchatym staruchem z czerwonym od whisky nosem i grzywą białych włosów tak cienkich, że wyglądały jak właki do czyszczenia fajki. Dobrze go znałem; przyjeżdżał wielokrotnie do Cold Mountain, żeby zobaczyć, jak "jego chłopcy" - tak właśnie ich nazywał - przenoszą się do wieczności. Świadkowie egzekucji siadali na takich samych składanych krzeselkach, jakie widzieliście prawdopodobnie na pogrzebach, herbatkach w kościele albo w kole gospodyń wiejskich (tak się składa, że nasze wypożyczaliśmy w jednym z nich) i za każdym razem, gdy szeryf Homer Cribus umieszczał swój tyłek na jednym z nich, miałem nadzieję, że krzesło rozpadnie się pod nim z suchym trzaskiem. Obawiałem się tego dnia i jednocześnie skrycie o nim marzyłem, nigdy jednak nie nadszedł. Niedługo potem - nie więcej niż rok lub dwa po uprowadzeniu bliźniaczek - Homer zmarł na zawał serca podczas stosunku z siedemnastoletnią czarną dziewczyną o nazwisku Daphne Shurtleff. Dużo się o tym gadało wspominając, jak to przed wyborami afiszował się zawsze ze swoją żoną i szóstką chłopaków - w tamtych czasach każdy, kto ubiegał się o jakąś wybieralną funkcję i nie był baptystą, mógł to sobie, jak głosiło ludowe porzekadło, wybić z głowy. Ale ludzie kochają hipokrytów - rozpoznają w nich samych siebie i zawsze robi im się ciepło na sercu, gdy złapie się kogoś innego ze spuszczoneymi gatkami i kutasem na wierzchu.

Szeryf Cribus był nie tylko hipokrytą - był także kompletnym głąbem, z tych, co to nigdy nie zapomną sfotografować się z czymś kotkiem na ręku, podczas gdy to zupełnie kto inny - na przykład zastępca Rob McGee - ryzykuje złamanie obojczyka, wspinając się po drzewie i znosząc zwierzaka na dół.

McGee słuchał przez jakieś dwie minuty paplaniny Marjorie Detterick, po czym zadał jej kilka pytań, szybkich i celnych niczym wymierzone w twarz ciosy doświadczonego boksera - krótkie i mocne proste, po których krew tryska, jeszcze nim zacznie boleć.

- Zadzwoń do Boba Marchanta - oznajmił, kiedy udzieliła na nie odpowiedzi. - Ma psy. Niech pani nie rusza się z farmy, pani Detterick. Jeśli wrócą pani mąż i chłopak, niech pani zatrzyma ich w domu. Stara się ich zatrzymać, w każdym razie.

Jej mąż i chłopak zdążyli tymczasem przebiec trzy mile śladem porywacza, posuwając się przez cały czas polami na północny zachód. Po wejściu do sosnowego lasu zgubili jednak

trop. Byli, jak powiedziałem, farmerami, nie myśliwymi, i domyślali się już, że ścigają prawdziwą bestię. Po drodze znaleźli żółty stanik Kathe oraz kolejny strzęp nocnej koszuli Cory. Obie części garderoby były pokrwawione i ani Klaus, ani Howie nie śpieszyli się już tak bardzo; ich gorące nadzieje musiała ostudzić chłodna pewność, sącząca się wzdłuż kręgosłupa niczym zimna woda, która spływa w dół, ponieważ jest cięższa.

Weszli do lasu, szukając śladów i nie znalazłszy żadnych, spróbowali bezskutecznie w drugim, a potem w trzecim miejscu. Za którymś razem odkryli plamę krwi na igłach jednej z sosen. Przeszli jakiś odcinek w tym kierunku, a potem zaczęli z powrotem penetrować obrzeża lasu. Dochodziła dziewiąta, gdy usłyszeli za sobą nawoływania mężczyzn i szczekanie psów. Rob McGee zorganizował grupę pościgową w czasie, który szeryfowi Cribusowi zajęłoby wypicie pierwszej tego dnia filiżanki kawy zaprawionej brandy, i kwadrans po dziewiątej dotarli do Klause i Howiego, którzy kręcili się desperacko w kółko przy skraju lasu. Wkrótce ruszyli dalej, prowadzeni przez psy Boba. McGee pozwolił Detterickom brać udział w pościgu - nie zawróciłiby nawet, gdyby im zabronił, bez względu na to, jak bardzo bali się tego, co zobaczą, i zastępca szeryfa chyba to rozumiał - ale kazał im rozładować broń. Inni zrobili to samo, powiedział; tak będzie bezpieczniej. Ani on, ani żaden z członków grupy pościgowej nie wspomniał, że Detterickowie byli jedynymi, których poprosił o oddanie nabożów. Oszołomieni i pragnący teraz tylko dotrzeć do końca koszmaru i mieć to za sobą, zrobili, co im polecił. Każąc Detterickom rozładować broń i oddać kule, Rob McGee uratował zapewne życie Coffeyowi.

Biegając za ujadającymi głośno psami i posuwając się z grubsza na północny zachód, minęli dwie mile sosnowego młodnika i dotarli do brzegu Trapingus River, która w tym miejscu płynie szerokim wolnym nurtem na południowy wschód, przecinając niskie zalesione pagórki, gdzie członkowie rodzin o nazwiskach Cray, Robinette i Duplissey robią samodzielnie mandoliny i wypluwają zepsute zęby podczas orki; zacofane okolice, gdzie mężczyźni podają sobie nawzajem węże podczas niedzielnych nabożeństw i śpią w objęciach własnych córek w niedzielne noce. Znałem dobrze te rodziny; wiele z nich dostarczało co jakiś czas stawy Starej Iskrówie. Po drugiej stronie rzeki mężczyźni widzieli lśniące w czerwcowym słońcu tory bocznej linii Great Southern. Milę dalej po prawej stronie rzekę przecinał most prowadzący ku zagłębieniu węglowemu West Green.

Odkryli tutaj pogniecioną trawę, połamane krzaki i tyle krwi, że wielu mężczyzn musiało pobiec z powrotem do lasu i wyrzygać śniadanie. Znaleźli również pokrwawione strzępy nocnej koszuli Cory. Howie, który do tej pory trzymał się zadziwiająco dobrze, oparł się o swego ojca i o mało nie zemdlął.

Tutaj także psy Boba Marchanta, po raz pierwszy i jedyny tego dnia, nie mogły się pogodzić co do dalszego kierunku pościgu. Było ich sześć: dwa ogary, dwa wyżły i dwa podobne do terierów mieszańce, które Południowcy nazywają murzyńskimi kundlami. Mieszańce chciały iść na północny zachód, w górę Trapingus River; reszta rwała się w drugą stronę, na południowy wschód. Zaplątały się wszystkie we własne smycze i chociaż gazety nie napisały o tym ani słowa, mogę sobie wyobrazić straszliwe przekleństwa, jakie musiał miotać Bobo, popychając je i ciągnąc gołymi rękoma (z pewnością najbardziej inteligentnymi spośród wszystkich części jego ciała). W swoim czasie znałem kilku psiarzy i wiem z doświadczenia, że w pełni zasługują na krążące na ich temat opinie.

Bobo skrócił smycze i kiedy psy zbiły się w stado, podsunął im pod nosy nocną koszulę Cory, żeby przypomnieć, co tutaj robią w ten skwarny dzień, kiedy temperatura w południe miała dojść do trzydziestu pięciu stopni, a nad głowami ścigających unosiły się już chmury muszek. Mieszańce złapały trop, postanowiły głosować tak jak reszta, po czym całe stado ruszyło ujadając w dół rzeki.

Nie minęło nawet dziesięć minut, kiedy mężczyźni zatrzymali się, uświadamiając sobie, że jakiś głos przebija się przez szczekanie psów. Było to raczej wycie niż ujadanie - dźwięk, którego nie wydaje żaden pies nawet w obliczu śmierci. Ani jeden z nich nie słyszał nigdy czegoś takiego, wszyscy jednak domyślili się od razu, że to człowiek. Tak przynajmniej twierdzili, a ja im wierzę. Myślę, że sam też bym go rozpoznał. Słyszałem, jak ludzie wyją w ten sposób w drodze na krzesło elektryczne. Zdarza się to niezbyt często; większość bierze się w garść i idzie spokojnie, sypiąc nawet czasem żarcikami, jakby to był szkolny piknik, ale paru zawsze się wyłamie. Należą do nich ci, którzy naprawdę wierzą w piekło i wiedzą, że czeka ich ono u kresu Zielonej Mili.

Bobo ponownie skrócił smycze. Psy były warte parę dolców i nie chciał, żeby zabił je jakiś bełkoczący i wyjący w pobliżu psychopata. Pozostali mężczyźni załadowali broń. Od tego wycia przeszedł ich dreszcz i czuli, jak krople potu pod pachami i na plecach spływają lodowatymi strużkami w dół. Kiedy mężczyznę przechodzi taki dreszcz, potrzebuje, jeśli ma iść dalej, kogoś, kto go poprowadzi, i kimś takim okazał się zastępca McGee. Wysunął się na czoło i ruszył rażno (choć jestem przekonany, że wcale się tak nie czuł) ku kępie olch, które rosły na skraju lasu. Pozostali stąpali za nim mniej więcej pięć kroków z tyłu. McGee zatrzymał się tylko raz i dał znak największemu z nich - Samowi Hollisowi - żeby trzymał się blisko Klausa Dettericka.

Za olchami las odbijał trochę w prawo. Po lewej stronie teren opadał łagodnie ku rzece. Tam właśnie stanęli wszyscy jak wryci w miejscu. Myślę, że daliby bardzo dużo, żeby

móc nie oglądać tego, co zobaczyli, i że żaden z nich nie zapomniał owego widoku do końca życia; to był ten rodzaj koszmaru, nagiego i parującego w słońcu, który kryje się za zasłonami i dekoracjami zwyczajnego życia - podwieczorkami w kościele, spacerami wiejską drogą, uczciwą pracą i pocałunkami w łóżku. W każdym człowieku jest trupia czaszka i powiadam wam, że trupia czaszka jest w życiu wszystkich ludzi. Ci mężczyźni zobaczyli ją właśnie tamtego dnia - zobaczyli to, co kryje się za zębami wyszczerzonymi w uśmiechu.

Na brzegu rzeki siedział w spłowiałym pokrzwawionym kombinezonie największy mężczyzna, jakiego którykolwiek z nich widział - John Coffey. Jego olbrzymie płaskie stopy były bose. Na głowie miał spłowiałą czerwoną chustkę - zawiązaną podobnie, jak czynią to idące do kościoła wiejskie kobiety. Wokół niego krążyła czarna chmura komarów. Z rąk zwisały mu nagie ciała dziewczynek. Ich blond włosy, niegdyś kręcone i jasne niczym korona mlecza, przylegały teraz do główek i pociągnięte były czerwonymi smugami. Trzymający je mężczyzna siedział z zadartą w górę głową, wyjąc niczym wilk do księżyca, z mokrymi od łez brązowymi policzkami i twarzą skrzywioną w potwornym grymasie żalu. Unosił pierś w spazmatycznym oddechu, aż napinały się szelki jego kombinezonu, a potem z jego ust wyrывała się kolejna głośna skarga. Czytamy często w gazecie, że "zabójca nie okazywał ani cienia skruchy", w tym wypadku jednak rzecz miała się zupełnie inaczej. Johna Coffeya rozdzierała świadomość tego, co zrobił... ale przecież żył. Dziewczynki były martwe. Zostały rozdarte w bardziej fundamentalny sposób.

Nikt nie wiedział, jak długo tam stali, przyglądając się zawodzącemu mężczyźnie, który nie odrywał z kolei wzroku od pociągu, zbliżającego się ze stukotem kół do mostu zawieszzonego nad srebrną taflą rzeki. Zdawało się, że gapią się tak przez godzinę albo całą wieczność, lecz mimo to pociąg nie posunął się ani o jard do przodu i mieli wrażenie, że jego koła stukają w miejscu, niczym dziecko w ataku złości. Słońce nie schowało się za chmurę i oczy nie zaszyły im mgłą. Wciąż mieli przed sobą ten sam widok, prawdziwy jak ukąszenie psa. Czarny mężczyzna kołysał się w przód i w tył, a Cora i Kathe kołysały się razem z nim niczym lalki w objęciach giganta. Mięśnie jego olbrzymich zakrwawionych ramion napinały się i rozluźniały, napinały się i rozluźniały, napinały się i rozluźniały.

Klaus Detterick pierwszy ruszył z miejsca. Krzycząc wniebogłosy, rzucił się ku potworowi, który zgwałcił i zabił jego córki. Sam Hollis starał się wywiązać z powierzonego zadania, ale nie zdołał. Był o sześć cali wyższy od Klausa i ważył co najmniej siedemdziesiąt funtów więcej, lecz Klaus strząsnął po prostu z ramion jego ręce. Przebiegł przez otwarte pole i z rozpędu kopnął w głowę siedzącego na brzegu olbrzymia. Roboczy but, pochlapany mlekiem, które zdążyło już skwaśnieć na słońcu, trafił Coffeya prosto w lewą skroń, ale on



nie wydawał się tego w ogóle zauważać. Siedział tam dalej, łkając, kołysząc się i wpatrując w drugi brzeg rzeki. Tak jak go sobie wyobrażam, mógł przypominać postać z jakiegoś wygłaszanego w sosnowym lesie zielonoświątkowego kazania: postać wiernego wyznawcy Krzyża, wypatrującego ziemi Goszen... mógł przypominać, gdyby nie te zwłoki.

Czterech mężczyzn odciągało ogarniętego furją farmera od Johna Coffeya i nim im to się w końcu udało, Klaus zdążył go niezłe pokiereszować. Na Coffeyu nie wywarło to jednak większego wrażenia; bez przerwy kwilił, gapiąc się na drugi brzeg rzeki. Z Dettericka tymczasem uszła cała energia - jakby przez wielkiego czarnego mężczyznę płynął jakiś dziwny galwanizujący prąd (wciąż mam skłonność do używania elektrycznych metafor; musicie mi wybaczyć) i z chwilą gdy przerwano między nimi połączenie, zdrętwiał jak ktoś, kogo odrzuciło od gołego kabla. Ukląkł na szeroko rozstawionych nogach przy brzegu rzeki i zasłaniając twarz rękoma zaniósł się łkaniem. Howie ukląkł przy nim i objęli się, dotykając czołami.

Dwaj członkowie grupy pościgowej przystanęli obok, żeby ich pilnować. Reszta otoczyła zapłakanego czarnego mężczyznę, mierząc do niego z dubeltówek. Coffey najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z ich obecności. McGee dał krok do przodu, przestąpił niepewnie z nogi na nogę i przykucnął na piętach.

- Proszę pana - powiedział cicho i Coffey od razu umilkł. McGee spojrzał w podbiegłe krwią oczy. Wciąż płynęły z nich łzy, tak jakby ktoś zostawił w nich otwarty kran. Były mokre od łez, ale jednocześnie wydawały się pogodne... odległe i spokojne. W życiu nie widziałem takich dziwnych oczu i McGee musiał chyba odnieść takie samo wrażenie. "Przypominały oczy zwierzęcia, które nigdy przedtem nie widziało człowieka", powiedział reporterowi o nazwisku Hammersmith tuż przed rozprawą.

- Słyszysz mnie pan? - zapytał.

Coffey pokiwał powoli głową. Wciąż trzymał na rękach swoje nieme lalki, z podbródkami wbitymi w piersi, tak że nie widać było dobrze ich twarzy - jedno z niewielu dobrodziejstw, które Bóg uznał za stosowne zesłać owego dnia.

- Ma pan jakieś nazwisko? - zapytał McGee.

- John Coffey - odparł czarny mężczyzna grubym, zdławionym przez łzy głosem. - Coffey jak napój, tylko inaczej się pisze.

McGee pokiwał głową, po czym wskazał kciukiem wybrzuszoną kieszonkę na piersi Coffeya. Przyszło mu do głowy, że może tam chować broń - choć w gruncie rzeczy mężczyzna o takiej posturze nie potrzebował broni, żeby kogoś poważnie poszkodować, gdyby się na to zdecydował.

- Co tam masz, Johnie Coffey? Czy to przypadkiem nie spluwa? Pistolet?

- Nie, proszę pana - odparł grubym głosem Coffey, ani na moment nie spuszczał z Roba McGee tych swoich dziwnych oczu - roniących łzy i udręczonych, a zarazem odległych i dziwnie spokojnych, tak jakby prawdziwy John Coffey znajdował się zupełnie gdzie indziej i przyglądał innemu krajobrazowi, gdzie zamordowane małe dziewczynki nie były czymś, czym trzeba by się aż tak przejmować. - To tylko moje małe drugie śniadanie.

- Twierdzisz, że to tylko drugie śniadanie? - zdziwił się McGee, a Coffey pokiwał głową.

- Tak, proszę pana - mruknął, nie zwracając uwagi na łzy ciekące mu po policzkach i wiszące pod nosem smarki.

- A gdzie ktoś taki jak ty dostaje drugie śniadanie, Johnie Coffeyu?

McGee starał się zachować spokój, choć czuł już wtedy dobiegający od dziewczynek zapach i widział muchy siadające i kosztujące krwi w bardziej mokrych miejscach. Najgorsze były ich włosy, powiedział później... i nie znalazłem tego w relacji zamieszczonej w gazecie; uznano, że coś takiego nie nadaje się do rodzinnej lektury. Dowiedziałem się o tym od reportera, który pisał o procesie, niejakiego pana Hammersmitha. Odwiedziłem go jakiś czas później, kiedy John Coffey stał się dla mnie swego rodzaju obsesją. McGee powiedział Hammersmithowi, że ich jasne włosy nie były już wcale jasne. Były kasztanowe. Krew ciekła po ich policzkach, jakby ktoś nieudolnie je ufarbował i nie trzeba było doktora, żeby domyślić się, że kruche czaszki rozbite zostały jedna o drugą przez te mocarne dłonie. Być może płakały. Być może chciał, żeby umilkły. Jeśli miały szczęście, stało się to, nim je zgwałcił.

Patrząc na to, trudno było zebrać myśli, jeśli nawet ktoś traktował swoje obowiązki tak sumiennie jak zastępca McGee. Chwilowa dekoncentracja może doprowadzić do błędu, a nawet do niepotrzebnego rozlewu krwi. McGee wziął głęboki oddech i uspokoił się. W każdym razie spróbował się uspokoić.

- Właściwie niezupełnie dobrze pamiętam, proszę pana, niech mnie diabli, jeśli kłamię - stwierdził Coffey swoim zdławionym od łez głosem - ale to chyba moje drugie śniadanie. Sandwicz i słodkie pikle.

- Jeśli nie zrobi ci to różnicy, sam to sprawdzę - powiedział McGee. - I nie ruszaj się teraz, Johnie Coffeyu. Nie rób tego, chłopie, bo wycelowaliśmy w ciebie dosyć dubeltówek, żebyś zniknął od pasa w górę, jeśli tylko ruszysz małym palcem.

Coffey utkwiał wzrok w rzece i nie poruszył się, kiedy McGee sięgnął delikatnie do jego kieszonki na piersi i wyciągnął coś, co opakowane było w gazetowy papier i związane kawałkiem szpagatu. McGee zerwał sznurek i odwinął papier, ale i bez tego wiedział, że

Coffey mówi prawdę, że to tylko drugie śniadanie. W środku była kanapka z bekonem i pomidorem, porcja dżemu oraz słodkie pikle owinięte w krzyżówkę, której John Coffey nigdy już nie miał okazji rozwiązać. Nie było kielbasy. Wchodzącą w skład drugiego śniadania kielbasą pożywił się Bowser.

Nie spuszczać oczu z Coffeya, McGee podał przez ramię zawiniątko jednemu z mężczyzn. Kucając w ten sposób, znajdował się zbyt blisko Coffeya, żeby pozwolić sobie na chwilę nieuwagi. Drugie śniadanie, z powrotem opakowane i związane nowym sznurkiem, wylądowało w końcu w plecaku Boba Marchanta, w którym ten trzymał jedzenie dla psów (i, jak sądzę, kilka robaków na ryby). Nie dołączono go do materiałów dowodowych - sprawiedliwość w tej części świata działa szybko, lecz nie aż tak szybko, jak psuje się kanapka z bekonem i pomidorem - znalazła się tam jednak jego fotografia.

- Co się tutaj wydarzyło, Johnie Coffeyu? - zapytał niskim poważnym głosem McGee.  
- Czy chcesz mi powiedzieć?

I Coffey powiedział mu prawie dokładnie to samo, co później powiedział mnie; były to również ostatnie słowa, które prokurator skierował do ławy przysięgłych podczas rozprawy.

- Nie mogłem nic pomóc - oznajmił. - Próbowałem to cofnąć, ale było za późno.

- Chłopie, jesteś aresztowany za morderstwo - powiedział McGee, po czym splunął Johnowi Coffeyowi prosto w twarz.

Wydanie werdyktu zajęło ławie przysięgłych czterdzieści pięć minut. Dokładnie tyle, ile trzeba, żeby zjeść drugie śniadanie. Zastanawiam się, czy dopisywał im apetyt.

Domyślcie się chyba, że nie dowiedziałem się tego wszystkiego w ciągu jednego upalnego popołudnia w likwidowanej więziennej bibliotece, przerzucając stare gazety, zapakowane do dwóch skrzyń po pomarańczach Pomona. Dowiedziałem się jednak dosyć, żeby zafundować sobie bezsenną noc. Moja żona wstała o drugiej i znalazła mnie w kuchni, popijającego maślanek i palącego własnoręcznie skręconego papierosa. Zapytała, czy stało się coś złego, a ja odpowiadając okłamałem ją, co robiłem bardzo rzadko w trakcie naszego długiego małżeństwa. Oznajmiłem, że miałem kolejną scysję z Percym Wetmore'em. Rzeczywiście miałem, ale nie dlatego przecież sterczałem w nocy w kuchni. Na ogół przestawałem się przejmować Percym zaraz po wyjściu z pracy.

- Zapomnij o tym zgniłku i wracaj do łóżka - powiedziała. - Mam coś, co pomoże ci zasnąć. Będziesz mógł tego skosztować do woli.

- To brzmi zachęcająco, ale myślę, że powinniśmy się chwilowo wstrzymać - odparłem. - Coś złego dzieje się z moją kanalizacją i nie chciałbym, żebyś się ode mnie zaraziła.

Janice uniosła brew.

- Coś złego z kanalizacją, powiadasz? - mruknęła. - Zaczepiłeś chyba niewłaściwą panienkę, kiedy ostatnim razem byłeś w Baton Rouge.

Nigdy nie byłem w Baton Rouge, nigdy w życiu nie zbliżyłem się do prostytutki i oboje o tym świetnie wiedzieliśmy.

- To tylko zwykła infekcja dróg moczowych - powiedziałem. - Moja matka mówiła, że chłopcom przytrafia się to, kiedy siusiąją pod wiatr, wiejący z północy.

- Twoja matka nie wychodziła również przez cały dzień z domu, jeśli wysypała jej się sól - stwierdziła Janice. - Doktor Sadler...

- Nie, moja pani - przerwałem jej, podnosząc dłoń. - Doktor Sadler zapisze mi sulfonamidy i pod koniec tygodnia będę rzygał jak kot w swoim gabinecie. Potrwa to najwyżej parę dni i najlepiej będzie, jeśli weźmiemy w tym czasie na wstrzymanie.

Pocałowała mnie w czoło tuż nad lewą brwią. Zawsze dostawałem od tego łachotek, a ona świetnie o tym wiedziała.

- Biedactwo. Tak jakbyś nie miał dość kłopotów z tym okropnym Percym Wetmore'em. Wracaj szybko do łóżka.

Wróciłem, ale przedtem jeszcze wyszedłem na werandę, żeby opróżnić pęcherz (sprawdziwszy najpierw mokrym kciukiem kierunek wiatru - rzadko kiedy ignoruje się największe nawet głupstwa, które słyszymy od rodziców, gdy jesteśmy mali). Sikanie na dworze należy do tych radości wiejskiego życia, o których nigdy nie pisali poeci, ale tej nocy nie było wcale radosne; mocz palił mnie niczym struga płonącej nafty. Mimo to miałem wrażenie, że czuję się lepiej niż po południu, i wiedziałem, że czuję się lepiej niż dwa, trzy dni wcześniej. Miałem nadzieję, że wracam do zdrowia, nigdy jednak nadzieje nie były tak zwodnicze. Nikt nie uprzedził mnie, że to draństwo, które zagnieżdża się w środku, gdzie jest mokro i ciepło, odpoczywa czasem przez dzień lub dwa, a potem atakuje ze zdwojoną siłą. Zdziwiłbym się pewnie jeszcze bardziej, gdyby ktoś powiedział mi, że za piętnaście albo dwadzieścia lat zostaną wynalezione tabletki, które likwidują podobną infekcję w rekordowym czasie... i chociaż powodują czasem mdłości lub biegunkę, na pewno nie dostaje się po nich takich torsji jak po sulfonamidach doktora Sadlera. Wówczas, w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim, nie było innej rady - musiałem czekać i starać się nie zwracać uwagi na to, że ktoś rozlał w moich wnętrznościach bańkę nafty, a potem przystawił do niej zapalkę. Wypaliłem papierosa, wróciłem do sypialni i w końcu zasnąłem. Śniły mi się dziewczynki o nieśmiałych buziach i włosach zlepionych krwią.

Nazajutrz rano znalazłem na biurku różową karteczkę z poleceniem, bym jak najszybciej zameldował się w gabinecie dyrektora. Wiedziałem, o co chodzi - w tej grze obowiązywały pewne niepisane, lecz bardzo ważne zasady, a ja przestałem ich wczoraj przestrzegać - i dlatego odkładałem jak najdłużej moment konfrontacji. Podobnie chyba jak wizytę u lekarza w sprawie mojej infekcji. Zawsze uważałem, że w całym gadaniu o tym, jak dobrze "mieć już coś za sobą", jest wiele przesady.

Tak więc nie śpieszyłem się zbyt do gabinetu Mooresa. Zdjąłem i powiesiłem na krześle swój wełniany mundur i włączyłem stojący w kącie wentylator - zapowiadał się kolejny upalny dzień. Następnie usiadłem za biurkiem i zacząłem przeglądać nocny raport Brutusa Howella. Nie zdarzyło się nic ważnego. Delacroix szlochał jakiś czas po zmianie straży - w nocy często płakał żalując, jestem tego całkiem pewien, bardziej siebie aniżeli ludzi, których upiekł żywcem - a potem wyjął z pudełka po cygarach swoją mysz, Pana Dzwoneczka. To go uspokoiło i przez resztę nocy spał jak dziecko. Pan Dzwoneczek spędził ją najprawdopodobniej na brzuchu Delacroix, z ogonem zwiniętym pod łapami, nie zmrużywszy ani na chwilę oka. Można było pomyśleć, iż sam Pan Bóg postanowił, że Francuzowi potrzebny jest anioł stróż, uznając zarazem w swojej mądrości, że tylko mysz będzie odpowiednia dla takiego szcúra jak nasz mający na sumieniu sześć istnień ludzkich przyjaciół z Luizjany. Tego wszystkiego nie było oczywiście w raporcie Brutala, spędziłem jednak na bloku dość nocy, żeby czytać między wierszami. Niżej znajdowała się krótka notatka o Coffeyu: "Leżał, nie śpiąc, na ogół cicho, być może trochę płakał. Próbowałem nawiązać z nim rozmowę, ale po kilku mruknięciach dałem za wygraną. Może Paul albo Harry będą mieli więcej szczęścia".

"Próby nawiązania rozmowy" były najważniejszą rzeczą w naszej pracy, naprawdę. Wtedy tego nie wiedziałem, ale patrząc wstecz z oddalenia, jakie daje moja dziwna starość (sądzę, że każda starość wydaje się dziwna ludziom, którzy muszą jej doświadczać), rozumiem to i wiem nawet, dlaczego wtedy tego nie wiedziałem - było to bowiem zbyt ważne: tak nieodzowne dla naszej pracy, jak nieodzowne jest oddychanie po to, żeby żyć. Nawiązanie rozmowy nie było aż tak ważne dla strażników, którzy nie zagrżeli u nas dłużej miejsca, ale dla mnie, Harry'ego, Brutala i Deana stanowiło sprawę o podstawowym znaczeniu... i dlatego między innymi tak bardzo przeszkadzał nam Percy Wetmore.

Nienawidzili go więźniowie, nienawidzili strażnicy... nienawidzili go chyba wszyscy, z wyjątkiem jego politycznych protektorów, samego Percy'ego i być może (ale tylko być może) jego matki. Był niczym wsypana do weselnego tortu porcja arszeniku i pewnie od samego początku wiedziałem, że ściągnie nam na głowę nieszczęście. Był katastrofą, która czeka na to, żeby się wydarzyć. Co do nas, zachnęlibyśmy się pewnie, gdyby ktoś oznajmił, że jesteśmy bardziej użyteczni jako psychiatrzy skazanych, a nie ich strażnicy... taki pomysł nawet dzisiaj budzi we mnie częściowy sprzeciw - wiedzieliśmy jednak, jak nawiązać rozmowę. A bez rozmowy ci, których czekało spotkanie ze Starą Iskrową, mieli brzydki zwyczaj popadania w obłęd.

Zanotowałem pod raportem Brutala, że powinienem porozmawiać z Johnem Coffeyem - w każdym razie spróbować porozmawiać - następnie zaś zapoznałem się z notatką zastępcy dyrektora, Curtisa Andersena. Zawiadamiał w niej, że wkrótce spodziewa się wyznaczenia DE dla Edwarda Delacrois (Andersen nieprawidłowo zapisał jego imię i nazwisko; facet nazywał się w rzeczywistości Eduard Delacroix). DE oznaczało datę egzekucji i z tego, co wyczytałem, Curtis dowiedział się z dobrze poinformowanego źródła, że mały Francuz przejdzie Milę na krótko przed Zaduszkami - najprawdopodobniej miało się to odbyć dwudziestego siódmego października. Przedtem jednak możemy się spodziewać nowego pensjonariusza, niejakiego Williama Whartona. "Jest, jak lubicie to określać, »trudnym dzieckiem«", napisał Curtis swoim odchylonym do tyłu i trochę pedantycznym charakterem pisma. "To kompletny szajbus i bardzo się tym szczyci. Przez ponad rok szwendał się po całym stanie i w końcu trafił na swój wielki dzień. Zabił podczas napadu trzy osoby, w tym ciężarną kobietę, a potem uciekając, policjanta z drogówki. Nie zdążył tylko załatwić ślepcę i zakonnicę". Czytając to, uśmiechnąłem się lekko. "Wharton ma dziewiętnaście lat i wytatuowany na lewym przedramieniu napis BILLY KID. Będziecie musieli raz czy dwa dać mu po łapach, to nie ulega kwestii, ale robiąc to, uważajcie. Facetowi jest po prostu wszystko jedno". Curtis podkreślił to zdanie dwa razy, po czym dodał: "Poza tym może u nas dłużej zabawić. Złożył apelację, no i trzeba wziąć pod uwagę fakt, że jest młodociany".

Szalony dzieciak, składający apelację i mogący u nas dłużej zabawić. Brzmiało to całkiem ciekawie. Nagle zrobiło mi się jeszcze goręcej i nie mogłem już odkładać na później spotkania z dyrektorem Mooresem.

Za mojego pobytu w Cold Mountain dyrektorzy zmieniali się dwa razy. Hal Moores był z nich ostatni i najlepszy, bez dwóch zdań. Porządny i prostolinijny, może nie tak inteligentny jak Curtis Andersen, mający jednak dość politycznego instynktu, aby zachować

swoje stanowisko w tych smutnych czasach... i dość uczciwości, żeby nie dać się skorumpować. Wiadomo było, że wyżej nie awansuje, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Miał wtedy pięćdziesiąt osiem albo dziewięć lat, białe włosy i porytą zmarszczkami twarz starego wyzła, którego Bobo Marchant dołączyłby pewnie chętnie do swojego stada. Ręce trzęsły mu się w wyniku jakiegoś porażenia, ale był silny jak tur. Rok wcześniej, kiedy więzień rzucił się na niego na spacerniku z pałąką wystruganą z listwy, Moores nie cofnął się nawet o krok. Złapał drania za rękę i ścisnął tak mocno, że pękające kości trzaskały jak wrzucone w ogień suche gałązki. Napastnik zapomniał o wszystkich swoich pretensjach, padł na kolana w błoto i zaczął wołać "mamo".

- Nie jestem twoją matką - odparł Moores ze swoim południowym akcentem - ale gdybym nią był, podniósłbym spódnicę i obsikał cię ze wstydu, że wyszedłeś z mego łona.

Kiedy wkroczyłem do gabinetu, uniósł się z krzesła, ale dałem znak, żeby nie wstawał. Usiadłem po drugiej stronie biurka i zapytałem, jak się czuje jego żona... tyle że w naszej części świata nie pyta się o to w ten sposób.

- Co słyhać u twojej ślicznotki? - brzmiało moje pytanie, tak jakby Melinda miała siedemnaście, a nie sześćdziesiąt dwa albo trzy lata. Moje zainteresowanie było szczere - sam mógłbym pokochać i poślubić tę kobietę, gdyby w odpowiedniej chwili przecięły się linie naszego życia - ale oczywiście chciałem też odwlec moment, kiedy przejdziemy do głównego tematu rozmowy.

Moores głęboko westchnął.

- Niezbyt dobrze, Paul. Naprawdę niezbyt dobrze.

- Wciąż ma te bóle głowy?

- W tym tygodniu tylko raz, ale ten atak był najgorszy ze wszystkich, które miała do tej pory: przedwczoraj przykuł ją praktycznie na cały dzień do łóżka. A teraz straciła na dodatek władzę w prawej ręce... - dodał, unosząc własną, upstrzoną plamami wątrobowymi prawą dłoń. Obserwowaliśmy przez chwilę obaj, jak drży nad jego biurkiem, a potem opuścił ją z powrotem. Wiedziałem, że dałby wszystko, żeby nie mówić tego, co właśnie mówił, i ja sam też dałbym wszystko, żeby tego nie słyszeć. Bóle głowy Melindy zaczęły się na wiosnę i przez całe lato lekarze powtarzali, że to migreny o podłożu nerwowym i że ich źródłem może być stres związany ze zbliżającym się odejściem Hala na emeryturę. Tyle że oboje nie mogli się doczekać, kiedy na nią przejdzie, a moja własna żona poinformowała mnie, że migrena jest chorobą, na którą zapadają ludzie młodzi; cierpiące na nią osoby, zbliżając się do wieku Melindy, czują się na ogół lepiej, a nie gorzej. A teraz ta bezwładna prawa ręka. Nie wyglądało mi to na nerwobóle; bardziej już na cholerny wylew.



- Doktor Haverstrom chce, żeby pojechała do szpitala w Indianoli - oznajmił Moores. - Poddała się badaniom. Ma na myśli prześwietlenie głowy i nie wiadomo co jeszcze. Melinda jest śmiertelnie przerażona. - Przerwał na chwilę, a potem dodał: - Szczerze mówiąc, ja też.

- Namów ją, żeby tam pojechała - powiedziałem. - Nie zwlekaj. Jeśli zobaczą to na rentgenie, być może okaże się, że potrafią to wyleczyć.

- Tak - zgodził się, a potem na krótki moment - z tego, co pamiętam, jedyny podczas naszej rozmowy - nasze oczy spotkały się i zrozumieliśmy się doskonale bez słów. To mógł być wylew, tak. To mógł być także rak rozwijający się w jej mózgu, a wtedy szansę na to, że lekarze mogą coś poradzić, były bliskie zeru. Nie zapominajcie, że był rok tysiąc dziewięćset trzydziesty drugi, a wtedy nawet przy czymś tak stosunkowo prostym jak infekcja dróg moczowych trzeba było brać sulfonamidy i rzygać albo zaciskać zęby i cierpieć.

- Dziękuję za twoją troskę, Paul. A teraz porozmawiajmy o Percym Wetmore.

Jęknąłem i zakryłem oczy.

- Dziś rano miałem telefon ze stolicy stanu - oświadczył spokojnym tonem dyrektor. - Domyślasz się zapewne, że nie była to przyjemna rozmowa. Gubernator ma żonę, z której zdaniem liczy się tak bardzo, że czasami nie wiadomo, kto właściwie sprawuje urząd. Jego żona ma brata, a brat ma syna jedynaka, który nazywa się Percy Wetmore. Percy zadzwonił wczoraj wieczorem do swego taty, a tato zadzwonił do ciotki Percy'ego. Czy muszę ci dalej tłumaczyć?

- Nie - odparłem. - Percy polecił ze skargą. Zupełnie jak pierwszy lepszy gnojek w szkole, opowiadający nauczycielce, że widział, jak Jack i Jill obściskują się w łazience.

- Tak - zgodził się Moores. - Tak to mniej więcej wygląda.

- Pamiętasz, co wyprawiał Percy, kiedy na blok przybył Delacroix? - zapytałem. - Co wyprawiał z tą swoją przeklętą hikorową pałką?

- Tak, ale...

- I wiesz, jak wali nią czasami w kraty, po prostu żeby się zabawić. Ten facet jest podły i głupi i nie wiem, jak długo jeszcze zdołam z nim wytrzymać. Taka jest prawda.

Znaliśmy się z Mooresem od pięciu lat. Dla ludzi, którzy się dobrze rozumieją, to może być bardzo długo, zwłaszcza że ich praca polega między innymi na zadawaniu śmierci. Mam na myśli, iż pojmował, o co mi chodzi. Nie chciałem odejść; nie podczas Wielkiego Kryzysu, czającego się za murami więzienia niczym niebezpieczny przestępca, którego w odróżnieniu od naszych podopiecznych nie mogliśmy wsadzić za kratki. Ludzie lepsi ode mnie przemierzali kraj na piechotę albo towarowymi pociągami. Miałem szczęście i wiedziałem o tym - odchowałem dzieci i przed dwoma laty spłaciłem hipotekę, ten

dwustufuntowy blok marmuru, który tak długo leżał mi na piersi.

Człowiek musi jednak coś jeść i jego żona także. Poza tym kiedy tylko mieliśmy trochę więcej grosza (a czasami nawet kiedy nie mieliśmy, jeśli listy od Jane brzmiały szczególnie rozpaczliwie), wysyłaliśmy dwadzieścia dolców naszej córce i zięciowi. Jej mąż był bezrobotnym nauczycielem liceum i jeśli ten fakt nie kwalifikował go do otrzymania wsparcia, w takim razie to słowo nie miało żadnego znaczenia. Człowiek nie rzucał wtedy stałej, niezłe płatnej roboty, takiej jak moja... to znaczy, nie robił tego bez namysłu. Ale tamtej jesieni nie stać mnie było na chłodny namysł. Na dworze żar łał się z nieba, a spalająca mnie od wewnątrz infekcja przestawiła termostat na jeszcze wyższą temperaturę. Kiedy człowiek jest w tego rodzaju sytuacji, pięści idą czasem w ruch szybciej, niż pomyśli głowa. A jeśli rąbnie się choć raz ustosunkowanego faceta pokroju Percy'ego Wetmore'a, to równie dobrze można mu spuścić porządny łomot, ponieważ i tak nie ma już drogi odwrotu.

- Postaraj się jakoś wytrzymać - dodał cicho Moores. - To właśnie chciałem ci głównie powiedzieć. Mam wiadomość z dobrego źródła... dokładnie rzecz biorąc od osoby, która dzisiaj dzwoniła... że Percy stara się o pracę w Briar i że jego podanie zostanie rozpatrzone pozytywnie.

- Briar... - mruknąłem. Chodziło o Briar Ridge, jeden z dwóch stanowych szpitali. - Co on kombinuje? Chce zwiedzić wszystkie stanowe instytucje?

- To praca administracyjna. Lepszy zarobek i papierkowa robota zamiast przesuwania w skwarze szpitalnych łóżek. - Moores uśmiechnął się półgębkiem. - Czy wiesz, Paul, że mógłbyś już wcześniej pozbyć się Percy'ego, gdybyś podczas egzekucji Wodza nie umieścił go razem z Van Hayem w nastawni? - dodał.

To, co powiedział, wydało mi się przez moment tak dziwaczne, że zupełnie nie wiedziałem, do czego zmierza. A może nie chciałem wiedzieć.

- A gdzie miałem go umieścić? Chryste, on w ogóle nie wie, co się u nas dzieje. Włączenie go do zespołu, który zajmuje się bezpośrednio skazańcem... - Nie dokończyłem zdania. Potencjalne ryzyko wydawało się ogromne.

- Tak czy owak powinieneś wyznaczyć go do Delacroix. Oczywiście, jeśli chcesz mieć go z głowy.

Opadła mi szczeka, ale pojąłem w końcu, o co chodzi.

- Co masz na myśli? - zapytałem. - Że chce być tuż obok, by poczuć, jak facetowi smażą się jaja?

Moores wzruszył ramionami. Jego twarz, tak miękka, gdy mówił o żonie, przybrała teraz kamienny wyraz.

- Delacroix upiecze się bez względu na to, czy Percy będzie, czy nie będzie stał tuż obok - powiedział. - Mam rację?

- Tak, ale on może coś schrzanić. Prawdę mówiąc, Hał, on prawie na pewno coś schrzani. I to na oczach jakichś trzydziestu świadków... wśród których będą reporterzy aż z Luizjany.

- Ty i Brutus Howell dopilnujecie, żeby do tego nie doszło - stwierdził Moores. - A jeśli mimo to coś schrzani, pójdzie to na jego konto i zostanie w aktach przez długi czas po tym, jak skończą się jego koneksje w urzędzie gubernatora. Rozumiesz?

Rozumiałem. Zbierało mnie na mdłości, ale rozumiałem.

- Może będzie chciał poczekać na Coffeya - dodał Moores - jeżeli jednak będziemy mieli szczęście, zadowolony będzie Delacroix. Nie zapomnij po prostu go wyznaczyć.

Zamierzałem umieścić Percy'ego ponownie w nastawni, a potem w tunelu, przy wózku, który miał odwiedzić Eduarda Delacroix do zaparkowanego naprzeciwko więzienia karawanu, lecz wszystkie te plany wzięły teraz w łeb. Kiwnąłem głową. Miałem świadomość, że podejmuję ryzyko, ale machnąłem na to ręką. Żeby pozbyć się Percy'ego Wetmore'a, uszczypnąłbym w tyłek samego diabła. Mógł wziąć udział w tej egzekucji, nałożyć skazańcowi kask, a potem zerknąć przez kratkę i powiedzieć Van Hayowi, żeby przesunął dźwignię na dwójkę; mógł patrzeć, jak mały Francuz dosiada błyskawicy, którą on, Percy Wetmore, wypuścił z butelki. Niech przeżyje ten swój mały plugawy, dreszczyk emocji, jeśli tego właśnie dostarczało mu usankcjonowane przez państwo morderstwo. Niech spiernicza do Briar Ridge, gdzie będzie miał swój własny gabinet i własny wentylator. A jeżeli jego wujek nie wygra następnych wyborów i Percy będzie musiał przekonać się, jak naprawdę pracuje się w twardym, spalonym przez słońce świetle, gdzie nie wszyscy źli faceci siedzą za kratkami i gdzie samemu można też czasami oberwać po głowie, tym lepiej dla niego.

- W porządku - oznajmiłem wstając. - Wyznaczę go do Delacroix. A tymczasem postaram się nad sobą panować.

- Doskonale - mruknął Moores i również wstał zza biurka. - Zapomniałem zapytać, jak się czujesz - dodał, wskazując delikatnie w stronę mojego krocza.

- Chyba trochę lepiej.

- To znakomicie - stwierdził i odprowadził mnie do drzwi. - Swoją drogą, co myślisz o Coffeyu? Czy będziemy z nim mieli jakieś kłopoty?

- Nie sądzę - odparłem. - Na razie jest spokojny jak trusia. Jest dziwny... ma dziwne oczy... ale spokojny. Tak czy owak mamy na niego oko. Nie musisz się martwić.

- Wiesz oczywiście, co zrobił.

- Jasne.

Mooreś przeszedł ze mną przez sekretariat, gdzie stuknęła na swoim starym underwoodzie, jak to czyniła chyba od schyłku ostatniego okresu lodowcowego, jego sekretarka, panna Hannah. Odchodziłem z radością w sercu. W gruncie rzeczy miałem poczucie, że mi się upiekło. I miło było wiedzieć, że być może uda nam się jednak pozbyć Percy'ego.

- Przekaż Melindzie kosz z wyrazami mojej miłości - powiedziałem. - I nie funduj sobie przy okazji dodatkowej skrzynki zmartwień. Na pewno się okaże, że to zwykła migrena, nic więcej.

- Jasne - odparł i wykrzywił usta w uśmiechu. W połączeniu z jego smutnymi oczyma wyglądało to naprawdę upiornie.

Co do mnie, wróciłem na blok E, aby zacząć kolejny dzień pracy. Trzeba było przeczytać i napisać różne dokumenty, wymyć podłogi, podać posiłki, sporządzić listę dyżurów na następny tydzień i dopilnować setek różnych innych szczegółów. Przede wszystkim jednak trzeba było czekać - w więzieniu zawsze się na coś czeka tak długo, że czekanie nigdy się nie kończy. Czekałem, aż Eduard Delacroix przejdzie Zieloną Miłą, czekałem na Williama Whartona, który miał pojawić się ze swym szyderczym uśmiechem i tatuażem BILLY KID na przedramieniu, przede wszystkim jednak czekałem, kiedy Percy Wetmore zniknie z mojego życia.

Mysz Eduarda Delacroix była jedną z zagadek natury. Nigdy wcześniej nie widziałem na bloku żadnej myszy i nigdy nie zobaczyłem ich później, gdy Delacroix rozstał się z nami pewnej gorącej burzowej październikowej nocy - rozstał się w sposób tak makabryczny, że nie potrafię wprost o tym myśleć. Delacroix twierdził, że to on wytresował mysz, którą nazwaliśmy na początku Matrosem Willym, ja jednak uważam, że wcale tak nie było. Tego samego zdania był Dean Stanton i Brutal. Obaj pełnili nocną służbę, gdy mysz pojawiła się po raz pierwszy i już wtedy, jak ujął to Brutal, "była na pół oswojona i dwa razy mądrzejsza od tego Francuza, któremu wydawało się, że jest jej właścicielem".

Dean i ja siedzieliśmy w moim gabinecie i przeglądaliśmy stare akta. Mieliśmy wysłać listy do świadków pięciu egzekucji na krześle elektrycznym oraz sześciu egzekucji przez powieszenie, które odbyły się przed rokiem tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym. W gruncie rzeczy zależało nam na odpowiedzi na jedno pytanie: jak im się podobała obsługa? Wiem, że to brzmi groteskowo, ale sprawa była ważna. Jako podatnicy byli naszymi klientami, w dodatku bardzo szczególnymi. Ktoś, kto przybywa o północy, aby patrzeć, jak ginie człowiek, ma jakiś silny powód, żeby to zrobić, jakąś szczególną potrzebę, i jeśli egzekucja stanowi właściwą karę, wtedy ta potrzeba powinna zostać zaspokojona. Tych ludzi dręczył jakiś koszmar. Egzekucja miała udowodnić im, że ten koszmar się skończył. Może rzeczywiście na tym to polega. Czasami.

- Hej! - zawołał Brutal z korytarza, gdzie siedział przy biurku strażnika dyżurnego. - Hej, wy dwaj! Chodźcie tutaj!

Dean i ja spojrzeliśmy na siebie z niepokojem. Baliśmy się, że coś złego stało się Indianinowi z Oklahomy (naprawdę nazywał się Arlen Bitterbuck, ale my ochrzciliśmy go Wodzem, a Harry nawet Wodzem Kozim Serkiem, ponieważ tak właśnie śmierdział według niego Bitterbuck) albo więźniowi, którego nazywaliśmy Prezesem. Ale potem Brutal wybuchnął śmiechem i wybiegliśmy obaj z gabinetu, żeby zobaczyć, co się dzieje. Śmiech na bloku E wydawał się prawie tak samo niestosowny jak w kościele.

Stary Tu-Tut, więzień, który obsługiwał wózek z prowiantem, zdążył odwiedzić nas ze swoim sklepikiem na kółkach i Brutal zaopatrzył się u niego na długą noc: na biurku zobaczyłem trzy sandwicze, dwie oranżady i dwie babeczki. A także porcję sałatki pomidorowej, ukradzonej zapewne przez Tu-Tuta z więziennej kuchni, do której teoretycznie

nie miał dostępu. Brutal miał przed sobą otwartą księgę dyżurów, której, o dziwo, nie zdążył jeszcze niczym zachlapać. Może dlatego, że dopiero zaczął się posilać.

- Co jest? - zapytał Dean. - Co się stało?

- Zarząd więziennictwa musiał sypnąć groszem i zatrudnili w końcu kolejnego strażnika - stwierdził zaśmiewając się Brutal. - Spójrzcie tam.

Wskazał ręką korytarz i zobaczyliśmy mysz. Ja też zacząłem się śmiać i po chwili zawtórował mi Dean. Naprawdę trudno było się powstrzymać; gryzoń rzeczywiście przypominał wykonującego obchód strażnika: małego, kosmatego strażnika, sprawdzającego, czy nikt nie próbuje dać nogi albo popełnić samobójstwa. Przebiegał kilka jardów wzdłuż Zielonej Mili, obracał łepkę w lewo i w prawo, jakby zaglądał do cel, a potem znowu ruszał do przodu. To, że naszym głośnym krzykiem i śmiechem towarzyszyło chrapanie dwóch więźniów, dodawało jeszcze śmieszności całej sytuacji.

Poza tym, że zaglądała do cel, była to najzwyczajniejsza brązowa mysz. Do jednej albo dwu nawet weszła, przeciskając się pod kratami z gracją, której pozazdrościłoby jej z pewnością wielu naszych obecnych i byłych lokatorów. Którym oczywiście bardziej zależało na wydostaniu się, a nie na wejściu do środka.

Nie odwiedziła żadnej z zamieszkanymi cel, wyłącznie puste, i w końcu dotarła niemal do miejsca, gdzie siedzieliśmy. Myślałem, że zawróci i ucieknie, ale ona nie okazywała żadnego lęku.

- To nie jest normalne, żeby mysz podchodziła tak blisko ludzi - stwierdził trochę nerwowo Dean. - Może jest wściekła?

- Chryste Panie - mruknął Brutal, przeżuując kęs kanapki z wołowiną. - Znalazł się wielki mysi ekspert. Widzisz, żeby toczyła z pyska pianę, mysi ekspercie?

- Nie widzę w ogóle jej pyska - odparł Dean i ponownie wybuchnęliśmy śmiechem. Ja też nie widziałem jej pyska, widziałem jednak ciemne małe kropeczki, które były jej oczyma i nie wydawały się wcale szalone bądź wściekłe. Sprawiały wrażenie ciekawych i inteligentnych. Zdarzyło mi się wykonywać wyroki na ludziach - obdarzonych podobno nieśmiertelną duszą - którzy wydawali się głupszy od tej myszy.

Doszła do miejsca oddalonego zaledwie trzy stopy od biurka oficera dyżurnego... Wbrew temu, co sobie może wyobrażacie, nie było ono niczym nadzwyczajnym i nie różniło się od mebli, jakie widuje się w publicznych szkołach. I tu się zatrzymała, podwijając ogon pod siebie, schludna niczym poprawiająca spódnicę starsza panna.

Nagle przestałem się śmiać i poczułem chłód, który przeszedł mnie aż do szpiku kości. Mam ochotę napisać, że nie wiem, jaki był tego powód - nikt nie lubi wrywać się z czymś,

co mogłoby go narazić na śmieszność - ale oczywiście wiem i jeśli mogę napisać prawdę o innych rzeczach, mogę napisać ją również teraz. Przez moment wyobraziłem sobie, że jestem tą myszą - nie strażnikiem, lecz po prostu jednym ze skazanych więźniów, skazanych i wyklętych, a mimo to spoglądających odważnie na biurko, które tej myszy musiało się wydawać na milę wysokie (jak zapewne nam będzie się kiedyś wydawać boski tron), i na siedzących za nim, mówiących grubymi głosami, odzianych na niebiesko olbrzymów. Olbrzymów, którzy strzelali do jej pobratymców z wiatrówek, tłukli ich miotłami albo zastawiali pułapki, które łamały im grzbiety, gdy zakradali się ostrożnie pod tabliczkę z napisem VICTOR, żeby poskubać ser leżący na małej miedzianej płytce.

Nie mieliśmy obok żadnej miotły, ale przy biurku stało wiadro z tkwiącą w wyżymacze szczotką; tego wieczoru przypadła moja kolej na sprzątanie i nim zaczęliśmy razem z Deanem przeglądać akta, wyszorowałem zielone linoleum na korytarzu i we wszystkich sześciu celach. Widziałem, że Dean ma zamiar złapać szczotkę, i kiedy zacisnął palce na drewnianym kiju, dotknąłem lekko jego dłoni.

- Zostaw - powiedziałem.

Wzruszył ramionami i puścił szczotkę. Miałem wrażenie, że sam też nie miał wielkiej ochoty jej użyć.

Brutal odłamał kawałek kanapki z wołowiną i wysunął go poza skraj biurka, obracając delikatnie w palcach. Mysz spojrzała w górę z jeszcze żywszym zainteresowaniem, jakby wiedziała, co to jest. Być może wiedziała; zobaczyłem, jak poruszają się jej wąsiki, gdy marszczyła nos.

- Nie, Brutal, nie! - zawołał Dean, a potem spojrzał na mnie. - Nie pozwól mu tego robić, Paul! Jeśli zaczniesz karmić tego zwierzaka, równie dobrze możemy otworzyć tutaj jadłodajnię dla wszystkiego, co się rusza.

- Chcę tylko zobaczyć, co ona robi - stwierdził Brutal. - Dla dobra nauki. - Spojrzał na mnie; to ja byłem tutaj szefem, nawet w tak drobnych odbiegających od rutyny sprawach. Przez chwilę się zastanawiałem, a potem wzruszyłem ramionami, jakby było mi wszystko jedno. Prawdę mówiąc, też chciałem chyba zobaczyć, co robi.

Oczywiście nie pogardziła poczęstunkiem. Trwał w końcu Wielki Kryzys. Ale sposób, w jaki to zrobiła, zafascynował nas wszystkich. Podeszła do kawałka sandwicza, obwąchała go dookoła, a potem przycupnęła w miejscu niczym pokazujący sztuczkę pies i odsunęła na bok chleb, żeby dostać się do mięsa. Zrobiła to z prawdziwym znanstwem, jak ktoś, kto siada do rostbefu w swojej ulubionej restauracji. Nigdy nie widziałem, żeby jakieś zwierzę, nawet dobrze wytresowany pies, jadło w ten sposób. I przez cały czas ani na chwilę nie spuściła z

nas oczu.

- Albo jest cholernie sprytna, albo głodna jak wszyscy diabli - odezwał się czyjś głos. To był Bitterbuck. Obudził się i podszedł do krat, ubrany tylko w zwisające na tyłku szorty. Między drugim i trzecim palcem prawej ręki trzymał własnoręcznie skręconego papierosa. Siwe włosy opadały mu dwoma warkoczami na ramiona - niegdyś prawdopodobnie umięśnione, teraz powoli flaczejące.

- Znasz może jakie indiańskie mądrości na temat myszy, Wodzu? - zapytał Brutal, obserwując jedzącego gryzonia. Na wszystkich nas wywarła wrażenie elegancja, z jaką trzymał w przednich łapkach kawałek wołowiny, obracając ją co jakiś czas i jakby z podziwem oglądając.

- Nie. Znałem kiedyś wojownika, który twierdził, że ma rękawice zrobione z mysiej skóry, ale nie wierzyłem mu - odparł Bitterbuck, po czym roześmiał się, jak gdyby powiedział to tylko dla żartu, i odszedł od krat. Usłyszeliśmy skrzypienie pryczy, kiedy się z powrotem położył.

To dało najwyraźniej sygnał myszy. Spałaszowała to, co trzymała w łapkach, obwąchała to, co zostało (w większości chleb przesiąknięty żółtą musztardą), i ponownie nam się przyjrzała, jakby chciała zapamiętać nasze twarze, w razie gdybyśmy się jeszcze czasami spotkali. Następnie zaś odwróciła się i odbiegła tą samą drogą, którą przyszła, nie zaglądając już do cel. Jej pośpiech przywiódł mi na myśl Białego Królika z *Alicji w krainie czarów* i uśmiechnąłem się. Mysz nie zwalniając ani na chwilę kroku, zniknęła pod drzwiami izolatki - obitego miękką tkaniną pomieszczenia, przeznaczonego dla ludzi, którym wymiękły mózgi. Kiedy nie trzeba jej było użytkować zgodnie z przeznaczeniem, trzymaliśmy tam przybory do sprzątanania oraz trochę książek (w większości westerny Clarence Mulford, ale również - wypożyczana tylko na specjalne okazje - bogato ilustrowana opowieść o tym, jak to Popeye, Bluto oraz pogromca hamburgerów Wimpy ciupciali na zmianę Olive Oyl). Były tam także materiały do prac ręcznych i rysowania, wśród nich kredki, z których Delacroix zrobił potem dobry użytek. Ale wtedy nie mieliśmy go jeszcze na głowie; działo się to przed jego przybyciem, pamiętacie. W izolatce był również kaftan, którego nikt nie miał ochoty nosić - biały, zrobiony z podwójnie zszytego płótna, z zapinanymi z tyłu guzikami, sprzączkami i klamrami. Wiedzieliśmy wszyscy, jak błyskawicznie nałożyć go jednemu z naszych trudnych dzieci. Nasi straceńcy nieczęsto dostawali szau, ale kiedy do tego dochodziło, nie czekaliśmy, aż sytuacja unormuje się sama.

Brutal sięgnął do szuflady i wyciągnął z niej wielką księgę, Oprawną w skórę, z wytłoczonym złotymi literami napisem: ODWIEDZAJĄCY. Normalnie leżała w szufladzie



całymi miesiącami. Kiedy któryś z więźniów miał gości - a nie był to jego adwokat lub kapłan - przyjmował ich w specjalnym pokoju obok stołówki. Nazywaliśmy go Amfiladą, sam nie wiem dlaczego.

- Co, u diabła, strzeliło ci do głowy? - zapytał Dean Stanton, zerkając znad swoich okularów na Brutala, ale ten zignorował go i zaczął przerzucać powoli kartki z nazwiskami gości, którzy złożyli wizyty nieżyjącym już osobom.

- Wykonuję dziewiętnasty punkt regulaminu - odparł Brutal, otwierając księgę na właściwej stronie. Wziął ołówek, polizał jego czubek - paskudny nawyk, którego nie mogliśmy w żaden sposób wykorzenić - i pochylił się nad biurkiem. Punkt dziewiętnasty stwierdzał zwięźle: "Każda osoba, która odwiedza blok E, powinna okazać żółtą przepustkę administracyjną i zostać bezzwłocznie wpisana do akt".

- Ten człowiek oszalał - mruknął Dean.

- Nie okazała co prawda przepustki, ale tym razem zamierzam jej darować - powiedział Brutal. Jeszcze raz polizał na szczęście czubek ołówka, po czym w rubryce WEJŚCIE NA BLOK wpisał godzinę 21.49.

- Jasne, czemu nie, wielcy szefowie stosują wobec myszy taryfę ulgową - stwierdziłem.

- Oczywiście - zgodził się Brutal. - Ze względu na brak kieszeni. - Odwrócił się, żeby spojrzeć na wiszący za biurkiem ścienny zegar, a następnie w rubryce WYJŚCIE Z BLOKU wpisał godzinę 22.01. Szersza rubryka w środku zatytułowana była NAZWISKO ODWIEDZAJĄCEGO. Po chwili zastanowienia - najprawdopodobniej poświęconej problemom ortografii, jestem bowiem pewien, że już wcześniej wpadł na cały pomysł - Brutus Howell napisał starannie MATROS WILLY, którym to przezwiskiem większość ludzi określała wówczas Myszkę Mickey. Nazwano ją tak po pierwszym filmie dźwiękowym, na którym stała na mostku parowca, przewracając oczyma, kręcąc kuprem i pociągając za sznurek syreny.

- Wszystko załatwione jak trzeba - oświadczył zamykając księgę i schował ją z powrotem do szuflady.

Roześmiałem się, ale Dean, który z pewnych spraw nie potrafił po prostu żartować, zmarszczył brwi i zaczął energicznie wycierać okulary.

- Jeśli ktoś to zobaczy, będziesz miał nieprzyjemności - oznajmił. - Ktoś niewłaściwy - dodał po krótkim zastanowieniu, a potem zawahał się ponownie i mrużąc oczy rozejrzał dookoła, prawie tak, jakby uważał, że ściany mają uszy. - Na przykład Percy-Pocałuj-Mnie-W-Dupę-I-Spierdalaj-W-Podsłuchach-Wetmore.

- Nie mów - zachnął się Brutal. - Dzień, w którym Percy Wetmore zaparkuje swój wąski tyłek na tym krześle, będzie dniem, w którym złożę wymówienie.

- Nie będziesz musiał - uspokoił go Dean. - Jeżeli Percy szepnie co trzeba odpowiedniej osobie, wywalą cię na zbity pysk za wypisywanie głupot w księdze odwiedzających. A on może to zrobić. Świetnie o tym wiesz.

Brutal zasepił się, ale nic nie powiedział. Przewidywałem, że zetrze później w nocy to, co napisał. A jeśli tego nie zrobi, zetrę to ja sam.

Następnego wieczoru, po odprowadzeniu najpierw Bitterbucka, a potem Prezesa na blok D, gdzie nasi skazańcy brali prysznic, kiedy regularnych więźniów zamykano w celach, Brutal zapytał, czy nie moglibyśmy poszukać Matrosa Willy'ego w izolatce.

- Chyba powinniśmy to zrobić - odparłem. Dzień wcześniej uśmieliśmy się z tej myszy po pachy, ale wiedziałem, że jeśli Brutal i ja znajdziemy ją w izolatce - zwłaszcza jeśli odkryjemy, że założyła norę w jednej z wyściełanych ścian - będziemy musieli ją zabić. Lepiej zabić zwiadowcę, bez względu na to, jak bardzo jest zabawny, niż żyć później z całą kolonią pielgrzymów. Nie muszę chyba dodawać, że perspektywa zamordowania myszy specjalnie nas nie przerażała. W końcu państwo płaciło nam właśnie za tępienie szcurków.

Tego wieczoru nie znaleźliśmy jednak Matrosa Willy'ego - znanego później pod imieniem Pana Dzwoneczka - ani zakładającego norę, ani schowanego za gratami, które wysunęliśmy na korytarz. Gratów było bardzo dużo, więcej, niż się spodziewałem, ponieważ od dawna już nie musieliśmy używać izolatki. To miało się zmienić wraz z przybyciem Williama Whartona, ale wtedy jeszcze o tym oczywiście nie wiedzieliśmy. Na szczęście.

- Gdzie ona się podziała? - zapytał w końcu Brutal, ocierając pot z karku wielką niebieską chustką. - Żadnej dziury, żadnej szpary... jest co prawda otwór odpływowy, ale... - Pod kratką, przez którą mogła się od biedy precyzyjnie, znajdowała się stalowa siatka, tak gęsta, że nie przefrunęłaby przez nią nawet mucha. - Jak się tu dostała? Jak stąd wyszła?

- Nie wiem - odparłem.

- Przecież tu weszła, prawda? Widzieliśmy to wszyscy trzej.

- Zgadza się, przelazła pod drzwiami. Musiała się precyzyjnie, ale jakoś się jej udało.

- Jejku - mruknął Brutal i zabrzmiało to dziwnie w ustach tak dużego mężczyzny. - Dobrze, że więźniowie nie mogą się tak skurczyć, prawda?

- Żebyś wiedział - odparłem, przebiegając po raz ostatni oczyma płócienne ściany, szukając jakiejś dziurki, szpary, czegokolwiek. Nie zobaczyłem niczego. - Idziemy.

Matros Willy pojawił się ponownie trzy dni później, kiedy dyżur pełnił Harry Terwilliger. Był tam wtedy także Percy i ścigał mysz przez całą Zieloną Miłą z tą samą

szczotką, której zamierzał pierwotnie użyć Dean. Gryzoń umknął z łatwością Percy'emu, kryjąc się w izolatce. Klnąc wniebogłosy, Percy otworzył drzwi i ponownie wywalił na korytarz wszystkie rupiecie. Było to jednocześnie śmieszne i straszne, oświadczył Harry. Percy przysięgał, że złapie tę pieprzoną mysz i ukręci jej łeb gołymi rękoma, ale oczywiście niczego takiego nie zrobił. Spocony i rozchełstany, z wystającą ze spodni koszulą, wrócił po półgodzinie. Zgarniając włosy z czoła, poinformował Harry'ego (który przez większość czasu spokojnie czytał jakiś romans), że przylepi taśmę izolacyjną pod drzwiami izolatki; to powinno według niego rozwiązać problem gryzoni.

- Rób, co uważasz za stosowne, Percy - odparł Harry, przewracając kartkę. Podejrzewał, że Percy zapomni wkrótce o zalepieniu szpary pod drzwiami, i miał rację.

## 8

Zimą tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku, parę miesięcy po tych wydarzeniach, Brutal przyszedł do mnie pewnej nocy, kiedy byliśmy tylko dwaj na służbie. Blok E był pusty, pozostałych strażników przeniesiono tymczasowo w inne miejsce, a Percy odszedł do Briar Ridge.

- Coś ci pokażę - oznajmił dziwnym zdławionym głosem, który sprawił, że uważnie mu się przyjrzałem. Na dworze było zimno i zacinał mokry śnieg, a ja przyszedłem dopiero na dyżur i strzepywałem płaszcz przed powieszeniem go na wieszaku.

- Czy coś się stało? - zapytałem.

- Nie - uspokoił mnie - ale znalazłem kryjówkę, w której chował się Pan Dzwoneczek. Kiedy się po raz pierwszy pojawił, pamiętasz, nim wziął go Delacroix. Chcesz zobaczyć?

Oczywiście, że chciałem. Ruszyłem za nim Zieloną Milą do izolatki. Wszystkie rupiecie, które tam trzymaliśmy, stały na korytarzu; Brutal wykorzystał najwyraźniej martwy sezon, żeby zrobić porządki. Drzwi były otwarte i zobaczyłem w środku nasze wiadro ze szczotką. Podłoga, w tym samym niezdrowym limonowym kolorze co Zielona Mila, schła po niedawnym myciu. Pośrodku stała drabinka, którą normalnie trzymaliśmy w szopie, służącej również jako ostatni przystanek dla skazanych na śmierć. Prawie na samej górze zamontowana była na niej niewielka półeczka, podobna do tej, na której robotnik stawia skrzynkę z narzędziami, a malarz wiadro z farbą. Leżała na niej latarka. Brutal dał mi ją do ręki.

- Wejdz na drabinę - powiedział. - Jesteś niższy ode mnie i będziesz musiał wdrapać się prawie na samą górę, ale przytrzymam cię za nogi.

- Mam łachotki - odparłem, stawiając stopę na pierwszym szczeblu. - Zwłaszcza pod kolanami.

- Będę pamiętał.

- To dobrze - mruknąłem - bo złamane biodro jest zbyt wysoką ceną za odkrycie miejsca, gdzie skryła się jakaś mysz.

- Że co?

- Nic takiego. - Moja głowa znajdowała się obok drucianej osłony żarówki pośrodku sufitu i czułem, jak drabina kołysze się lekko pod moim ciężarem. Na dworze zawodził wiatr.

- Po prostu mnie nie puszczaj.

- Nie bój się, trzymam cię mocno. - Brutal objął mnie za łydki i wspiałem się szczebel wyżej. Od sufitu dzieliło mnie teraz zaledwie parę cali i w miejscach, gdzie schodziły się belki sufitu, widziałem pajęczyny utkane przez kilka przedsiębiorczych pająków. Oświetliłem je latarką, ale nigdzie nie widziałem niczego, co uzasadniałoby podjęte ryzyko.

- Nie - zawołał z dołu Brutal. - Patrzysz za daleko, Paul. Zerknij na lewo, tam, gdzie schodzą się te dwie belki. Widzisz je? Jedna jest trochę poszarzała.

- Widzę.

- Oświeć latarką spojenie.

Zrobiłem, jak kazał, i prawie natychmiast zobaczyłem to, o co mu chodziło. Belki połączone były ze sobą sześcioma kołkami i jeden z nich wypadł, zostawiając czarny okrągły otwór wielkości ćwierćdolarówki. Przyjrzałem mu się, a potem zerknąłem z powątpiewaniem na Brutala.

- To była mała mysz - mruknąłem - lecz nie aż tak mała. Człowieku, zastanów się.

- Ale tędy właśnie uciekła - upierał się Brutal. - Jestem tego zupełnie pewien.

- Nie bardzo rozumiem dlaczego.

- Przysuń się bliżej... nie bój się, nie puszczę cię... i powąchaj.

Zrobiłem, o co mnie prosił, łapiąc się lewą ręką za belkę i teraz, kiedy miałem się czego chwycić, poczułem się trochę pewniej. Na dworze znowu zajęczał wiatr i z otworu dmuchnęło mi prosto w twarz. Poczułem rześki oddech zimowej nocy na zabitym deskami Południu... a także coś więcej.

Zapach mięty.

“Niech pan nie pozwoli, żeby coś złego stało się Panu Dzwoneczkowi”, powiedział mi kiedyś drżącym głosem Eduard Delacroix. Pamiętałem jego słowa i pamiętałem dotyk ciepłego ciała Pana Dzwoneczka, kiedy Francuz dał mi go do ręki: zwykłej myszy, na pewno sprytniejszej od większości przedstawicieli jej gatunku, ale przecież tylko myszy, nie ma co do tego dwóch zdań. “Niech pan nie pozwoli temu draniowi skrzywdzić mojej myszki”, powiedział i obiecałem mu to, tak jak zawsze obiecuję im wszystko na samym końcu, kiedy przejście Zielonej Mili nie jest już dłużej mitem ani hipotezą, lecz czymś, co muszą zrobić naprawdę. Wyślij ten list mojemu bratu, którego nie widziałem od dwudziestu lat. Proszę bardzo. Odmów piętnaście zdrowasiek za moją duszę. Proszę bardzo. Pozwól mi umrzeć pod moim duchowym nazwiskiem i dopilnuj, aby wryto je na moim grobie. Obiecuję. Dzięki temu wychodzili z celi i zachowywali się spokojnie, dzięki temu docierali zdrowi na umyśle do stojącego na końcu Zielonej Mili krzesła. Nie mogłem oczywiście dotrzymać tych wszystkich obietnic, ale dotrzymałem tej, którą złożyłem Delacroix. Co do

samego Francuza, mieliśmy z nim straszną przeprawę. Drań skrzywdził Eduarda Delacroix, bardzo go skrzywdził. Och, wiem oczywiście, za co trafił do nas ten Francuz, ale nikt nie zasłużył sobie na to, co przytrafiło się Eduardowi Delacroix, kiedy wpadł w objęcia Starej Iskrówki.

Zapach mięty.

I coś jeszcze. Coś, co tkwiło wewnątrz dziury.

Trzymając się lewą dłonią belki i nie przejmując dłużej tym, że Brutal łachocze mnie w kolana, wyciągnąłem pióro z kieszonki na piersiach, zdjąłem jedną ręką oprawkę, wsunąłem stalówkę do dziury i coś z niej wygrzebałem. To była niewielka jasnożółta drzazga i widząc ją, ponownie usłyszałem głos Delacroix, tym razem tak wyraźnie, jakby jego duch był razem z nami w tym pomieszczeniu - tym samym, w którym tyle czasu spędził William Wharton.

“Hej, chodźcie tutaj! - wołał roześmianym, zdumionym głosem człowieka, który przynajmniej na krótką chwilę zapomniał, gdzie się znajduje i co go wkrótce czeka. - Chodźcie, zobaczcie, co potrafi Pan Dzwoneczek!”.

- Chryste - szepnąłem. Miałem wrażenie, że wiatr odebrał mi wszystkie siły.

- Znalazłeś jeszcze jedną, prawda? - zapytał Brutal. - Ja znalazłem już cztery.

Zszedłem na dół i oświetliłem latarką jego wielką otwartą dłoń. Leżało na niej kilka drzazg przypominających bierki dla elfów. Dwie żółte, podobnie jak ta, którą znalazłem, jedna zielona i jedna czerwona. Nie były pomalowane, ale pokolorowane woskowymi kredkami firmy Crayola.

- Rany boskie - mruknąłem niskim drżącym głosem. - Rany boskie. To kawałki tej szpuli, prawda? Ale dlaczego? Dlaczego tutaj?

- W dzieciństwie nie byłem taki duży jak teraz - powiedział nagle Brutal. - Najbardziej urosłem między piętnastym i siedemnastym rokiem życia. Przedtem byłem mikrusem. I kiedy po raz pierwszy poszedłem do szkoły, czułem się mały jak... no właśnie, mały jak myszka. Śmiertelnie się bałem. I wiesz, co zrobiłem?

Potrząsnąłem głową. Na dworze znowu zerwał się silniejszy wiatr i wiszące między belkami i sufitem pajęczyny zadrżały niczym zbutwiałe koronki. Nigdy jeszcze nie znajdowałem się w miejscu, które tak jawnie sprawiałoby wrażenie nawiedzanego przez duchy, i właśnie wówczas, gdy tam staliśmy, przyglądając się szczątkom szpuli, uświadomiłem sobie to, co od dawna - odkąd John Coffey przeszedł Zieloną Milę - wiedziało moje serce: nie mogłem już dłużej wykonywać tej roboty. Kryzys czy nie Kryzys, nie byłem po prostu w stanie patrzeć na kolejnych ludzi, którzy przechodzili przez mój gabinet w drodze

na śmierć. Nawet jedna egzekucja mogła być o jedną egzekucję za dużo.

- Poprosiłem mamę, żeby dała mi jedną ze swoich chusteczek - podjął Brutal. - I za każdym razem, kiedy czułem się biedny i mały, wyciągałem ją, wąchałem jej perfumy i robiło mi się trochę lepiej na sercu.

- Myślisz, że co? Że mysz odgryzła parę kawałków tej kolorowej szpuli, żeby przypominały jej Delacroix? Że ta mysz...

Brutal podniósł wzrok. Wydawało mi się przez chwilę, że widzę w jego oczach łzy, ale chyba się pomyliłem.

- Ja nic nie mówię, Paul. Ale wlałem tutaj na górę i poczułem, tak jak ty, zapach mięty... wiem, że go poczułeś. Ja nie mogę tego dłużej robić. Jeśli zobaczę jeszcze jednego człowieka siadającego na tym krześle, po prostu skonam. W poniedziałek składam podanie o przeniesienie do zakładu poprawczego dla chłopców. Jeśli zdążę przed następną egzekucją, to dobrze. Jeśli nie, poproszę o dymisję i wrócę na wieś uprawiać ziemię.

- Uprawiałeś coś kiedyś poza kamieniami?

- To nie ma znaczenia.

- Wiem, że nie ma - odparłem. - Ja zrobię chyba to samo co ty.

Przyjrzał mi się uważnie, upewniając się, czy go nie podpuszczam, a potem pokiwał głową, jakby sprawa była przesądzona. Wiatr zadął ponownie, tym razem tak silnie, że zaskrzypiała więźba dachu i obaj przyjrzeliliśmy się z niepokojem wyściełanym ścianom. Wydawało mi się przez moment, że słyszę Williama Whartona - nie Billy'ego Kida, ale "Dzikiego Billa", bo tak nazwaliśmy go już pierwszego dnia, gdy zjawił się na bloku - jak zanosi się śmiechem i wrzeszczy, że będziemy się diabelnie cieszyć, kiedy już się go pozbędziemy, i że nigdy go nie zapomnimy. Jeśli o to chodzi, wcale się nie mylił.

A co się tyczy tego, co ja i Brutal uzgodniliśmy tamtej nocy w izolatce, nie zmieniliśmy zdania. Można było pomyśleć, że złożyliśmy jakąś uroczystą przysięgę na te małe kawałki kolorowego drewna. Ani on, ani ja nie wzięliśmy już nigdy udziału w egzekucji. John Coffey był ostatni.

## Część druga

# MYSZ FRANCUZA

### I

Dom opieki, w którym stawiam moje ostatnie kropki nad "i", nazywa się Georgia Pines. Leży prawie sześćdziesiąt mil od Atlanty, niemalże dwieście lat świetlnych od świata, gdzie żyje większość ludzi, tych, którzy nie przekroczyli, powiedzmy, osiemdziesiątki. Wy, którzy czytacie te słowa, uważajcie, aby nie trafić do takiego miejsca w przyszłości. Nie jest tu tak strasznie, na ogół nie; mamy kablową telewizję i nie najgorzej nas karmią (choć bardzo rzadko dostajemy coś, co można przeżuć), na swój sposób jednak to zupełnie taka sama umieralnia jak blok E w Cold Mountain.

Pewien facet tutaj przypomina mi nawet trochę Percy'ego Wetmore'a, który dostał u nas robotę, ponieważ był krewniakiem gubernatora. Wątpię, czy ten nasz ma jakieś koneksje, ale zachowuje się tak, jakby miał. Nazywa się Brad Dolan. Bez przerwy czesze włosy, zupełnie jak Percy, i w tylnej kieszeni zawsze ma coś do czytania. Percy nosił tam czasopisma w rodzaju "Argosy" i "Men's Adventure"; Brad chowa w nich małe broszurki zatytułowane *Głupie żarty* i *Świńskie kawały*. Stale pyta ludzi o to, dlaczego Francuz przeszedł na drugą stronę ulicy, ilu Polaczków trzeba, żeby wkręcić żarówkę, albo ilu żałobników przychodzi na pogrzeb w Harlemie. Podobnie jak Percy, Brad jest półgłówkiem, który uważa, że śmieszne może być tylko to, co podłe.

Coś, co powiedział kilka dni temu, wydało mi się nawet niegłupie, nie zmieniło to jednak mojej o nim opinii; jak mówi przysłowie: nawet zepsute zegary pokazują dwa razy dziennie właściwą godzinę.

- Masz szczęście, że nie złapałeś choroby Alzheimera, Paulie - stwierdził.

Nienawidzę, kiedy mówi do mnie Paulie, ale on wcale się tym nie przejmuje; nie proszę go już nawet, żeby przestał. Jest kilka innych powiedzonek - niekoniecznie przysłów - które można odnieść do Brada Dolana. Możesz zaprowadzić konia do wodopoju, ale nie zmusisz go, by się napił, brzmi jedno z nich. Można kogoś przebrać, ale nie sposób go zmienić, brzmi inne. W swoim oślim uporze Brad również przypomina Percy'ego.

Uwagę na temat Alzheimera wygłosił, szorując podłogę werandy, gdzie przeglądałem akurat to, co do tej pory napisałem. Jest tego bardzo dużo i wydaje mi się, że kiedy skończę,



będzie znacznie więcej.

- Wiesz w ogóle, co to jest choroba Alzheimera? - zapytał.

- Nie - odparłem - ale jestem pewien, że zaraz mi powiesz.

- To AIDS dla staruchów - oznajmił i wybuchnął głośnym śmiechem, hak-hak-hak-hak, tak jak to robi, czytając swoje idiotyczne dowcipy.

Ja się nie śmiałem, ponieważ to, co powiedział, poruszyło we mnie czułą strunę. Nie dlatego żebym miał Alzheimera; choć w naszym pięknym zakątku cierpi na tę chorobę wiele osób, ja sam skarzę się co najwyżej na normalne w podeszłym wieku kłopoty z pamięcią. Dotyczą one zresztą w większym stopniu tego, kiedy, a nie, co się wydarzyło. Przeglądając moje zapiski, uświadomiłem sobie, że pamiętam wszystko, co stało się w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim roku; trudno mi tylko czasami ustalić kolejność wydarzeń. Mam jednak nadzieję, że jeśli się skupię, zdołam je uporządkować. W ogólnym zarysie.

John Coffey przybył na blok E w październiku tamtego roku, ukarany za morderstwo dziewięcioletnich bliźniaczek Dettericków. To jest mój główny punkt odniesienia i jeśli nie stracę go z oczu, powinienem sobie jakoś poradzić. William "Dziki Bill" Wharton pojawił się po Coffeyu; Delacroix przybył wcześniej. Podobnie jak ta mysz, której Brutus Howell - przez przyjaciół nazywany Brutalem - nadał imię Matrosa Willy'ego, a Delacroix nazwał potem Panem Dzwoneczkiem.

Mysz, jakkolwiek się nazywała, pojawiła się najwcześniej, jeszcze przed Delem - kiedy ją po raz pierwszy zobaczyliśmy, było lato i na Zielonej Mili mieliśmy jeszcze dwóch innych więźniów: Arlena Bitterbucka, czyli Wodza, oraz Arthura Flandersa, czyli Prezesa.

Ta mysz. Ta skubana mysz. Delacroix pokochał ją, ale Percy Wetmore z pewnością nie poczuł do niej sympatii.

Percy znienawidził ją od samego początku.

Mysz wróciła mniej więcej trzy dni po tym, jak Percy po raz pierwszy pogonił ją wzdłuż Zielonej Mili. Dean Stanton i Bili Dodge dyskutowali o polityce... co w tamtych czasach oznaczało, że dyskutowali o Rooseveltcie i Hooverze - oczywiście o Herbercie, a nie o Edgarze J. Dyskutując, pojadali z pudełka krakersy Ritza, które Dean nabył mniej więcej godzinę wcześniej od starego Tu-Tuta. Percy stał w progu gabinetu, słuchając ich i bawiąc się pałką, którą tak umiłował. Wyjmował ją ze śmiesznego, ręcznie zszytego olstra, który nie wiadomo skąd wytrzasnął, kręcił nią młynka w powietrzu (a przynajmniej próbował; w większości wypadków wyleciałaby mu z ręki, gdyby nie przyczepiona do niej pętla z surowej skóry, wsunięta na nadgarstek), a potem chował z powrotem. Tamtego wieczoru nie było mnie na bloku, lecz Dean zdał mi nazajutrz pełny raport.

Mysz nadeszła korytarzem. Podobnie jak wcześniej, zatrzymywała się, zaglądając do pustych cel. To, że nikogo tam nie znalazła, wcale jej nie zraziło, tak jakby wiedziała, iż poszukiwania nie będą łatwe, i była na to przygotowana.

Prezes nie spał tym razem i stał przy drzwiach swojej celi. Był z niego prawdziwy dandys: wyglądał wytwornie nawet w niebieskich więziennych drelichach. Przyglądając się mu, wiedzieliśmy, że nie został stworzony dla Starej Iskrówki, i mieliśmy rację; niespełna tydzień po drugim pościgu Percy'ego za myszą wyrok Prezesa zmieniono na dożywocie i facet dołączył do normalnej więziennej społeczności.

- Słuchajcie! - zawołał. - Jest tutaj mysz. Swoją drogą, co wy prowadzicie za hotel, chłopaki?

Mówił to ze śmiechem, ale Dean Stanton stwierdził, że w jego głosie brzmiało również lekkie oburzenie, tak jakby nawet w obliczu wyroku śmierci nie wyzbył się nawyków wielkiego biznesmena. Był szefem regionalnego oddziału firmy o nazwie Nieruchomości Mid-South i uważał się za dość sprytnego, by uszło mu na sucho wyrzucenie z trzeciego piętra własnego leciwego ojca i pobranie podwójnego odszkodowania z jego polisy. W tej kwestii trochę się pomylił, ale może nie aż tak bardzo.

- Zamknij się, ty złamasie - warknął Percy, ale uczynił to bez większego przekonania, całą uwagę skupiając na myszy. Chwilę wcześniej schował do olstra pałkę i wyjął z kieszeni jedno ze swoich czasopism, lecz teraz cisnął je na biurko, chwycił ponownie pałkę i zaczął uderzać nią lekko w kłykcie lewej dłoni.

- A to ścierwo - mruknął Bili Dodge. - Nigdy jeszcze nie widziałem tutaj myszy.

- To cwany zwierzak - stwierdził Dean. - I w ogóle się nie boi.

- Skąd wiesz?

- Była tutaj parę dni temu. Percy też ją widział. Brutal nazwał ją Matros Willy.

Słyszac to, Percy uśmiechnął się szyderczo, ale nic nie powiedział. Coraz szybciej uderzał się pałką po zewnętrznej stronie dłoni.

- Patrzcie teraz - powiedział Dean. - Poprzednim razem doszła aż do biurka. Ciekawe, czy znowu to zrobi.

Zrobiła to, omijając szerokim łukiem Prezesa, jakby nie spodobał jej się zapach naszego ojcobójcy. Zajrzała do dwóch pustych cel i wspięła się nawet na pozbawioną materaca pryczę, żeby ją obwąchać, a potem wróciła na Zieloną Miłę. A Percy uderzał bez przerwy pałką w dłoń i nie odzywał się ani słowem. Tak bardzo pragnął, żeby pożałowała swojego powrotu. Chciał dać jej lekcję.

- Dobrze, że nie musicie posadzić jej na Iskrowie - stwierdził coraz bardziej zainteresowany Bill. - Za cholere nie nałożylibyście jej pasów i czapki.

Percy się nie odzywał, ale bardzo powoli ujął pałkę między dwa palce, dokładnie tak, jak trzyma się dobre cygaro.

Mysz zatrzymała się w tym samym miejscu co poprzednio, nie dalej niż trzy stopy od biurka, i spojrzała na Deana niczym więzień z za krat swojej celi. Rzuciła przelotne spojrzenie Billowi, a potem skupiła z powrotem uwagę na Deanie. Wydawała się w ogóle nie zauważać Percy'ego.

- Odważna cholera, trzeba jej to przyznać - mruknął Bill. - Hej! Hej! - zawołał, podnosząc trochę głos. - Matrosie Willy!

Mysz cofnęła się nieco i zastrzygła uszami, ale nie uciekła i nic nie wskazywało, że ma zamiar to zrobić.

- Teraz uważajcie - powiedział Dean pamiętając, jak Brutal nakarmił ją swoją kanapką z wołowiną. - Nie wiem, czy znowu to zrobi, ale...

Odłamał kawałek krakersa i rzucił go na podłogę. Mysz przyglądała się przez sekundę albo dwie żółtemu okruchowi, a potem poruszyła swoimi wąsikami, obwąchała go, wzięła w łapy i zaczęła jeść.

- Niech mnie kule biją! - zawołał Bill. - Ucztuje jak pastor na plebanii w sobotnią noc.

- Mnie bardziej przypomina wsuwającego melon czarnucha - stwierdził Percy, ale żaden ze strażników nie zwracał na niego uwagi. Podobnie zresztą jak Prezes i Wódz. Mysz zjadła krakersa, lecz w dalszym ciągu nie ruszała się z miejsca, opierając się na swoim

zwiniełym ogonku i zerkając na ubranych na niebiesko olbrzymów.

- Daj, ja spróbuję - powiedział Bill. Odłamał następny kawałek krakersa, wychylił się za biurko i rzucił go ostrożnie na podłogę. Mysz obwąchała go, ale nawet nie tknęła. - Musi być najedzona - uznał.

- Gdzie tam - nie zgodził się Dean. - Wie, że jesteś tu od niedawna, ot co.

- Od niedawna? To mi się podoba! Pracuję tu prawie tak samo długo jak Harry Terwilliger! A może nawet dłużej!

- Spokojnie, weteranie, spokojnie - powiedział, szczerząc zęby, Dean. - Popatrz tylko, czy nie mam racji.

Zsunął z biurka następny kawałek krakersa i mysz rzeczywiście podniosła go i zaczęła jeść, w dalszym ciągu kompletnie ignorując poczęstunek zaoferowany jej przez Billa Dodge'a. Zanim jednak zdążyła skubnąć raz czy drugi, Percy cisnął w nią niczym dzidą swoją pałką.

Mysz stanowiła niewielki cel i trzeba oddać draniowi sprawiedliwość - rzut był diabelnie celny i zmiażdżyłby niechybnie łebek Willy'ego, gdyby nie jego niesamowicie szybki refleks. Mysz uchyliła się - dokładnie tak samo, jak zrobiłby to człowiek - i upuściła na podłogę okruch krakersa. Ciężka hikorowa pałka przeleciała wystarczająco blisko jej łebka i grzbietu, żeby zmierzwić na nich sierść (tak w każdym razie utrzymywał Dean i powtarzam to za nim, choć nie bardzo w to wierzę), a potem rąbnęła o zielone linoleum i odbiła się od krat pustej celi. Mysz nie czekała na ewentualne wyjaśnienia, lecz przypomniawszy sobie widać, że ma pilne spotkanie na mieście, odwróciła się i w mgnieniu oka pognęła korytarzem w stronę izolatki.

Percy wydał z siebie ryk zawodu - zdawał sobie sprawę, że chybił naprawdę o włos - i kolejny raz rzucił się za nią w pościg. Bili Dodge złapał go zupełnie instynktownie za rękę, lecz Percy się wyrwał. Ten gest, powiedział Dean, ocalił prawdopodobnie życie Matrosowi Willy'emu, który wciąż znajdował się w poważnych opałach. Percy chciał go nie tylko zabić, chciał go rozdeptać na miazgę, w związku z czym sadził niczym jeleń wielkimi komicznymi susami w swoich czarnych roboczych buciorach. Mysz ledwie umknęła przed jego dwoma ostatnimi skokami, skręcając najpierw w lewo, potem w prawo. Sekundę później wbiegła pod drzwi, machnęła na pożegnanie swoim długim różowym ogonkiem i tyle ją widzieli.

- Kurwa! - zaklął Percy, waląc otwartą dłonią w drzwi. Po chwili wyjął klucze, zamierzając najwyraźniej wejść do izolatki i kontynuować pościg.

Dean ruszył w jego stronę korytarzem, celowo zwalniając kroku, żeby zapanować nad emocjami. Chciało mu się śmiać z Percy'ego, powiedział mi, jednocześnie jednak miał ochotę

złapać go za kark, przygwoździć do drzwi izolatki i złożyć skórę tak, by zapomniał, że żyje. Chodziło głównie o to, że napędził im stracha; naszym zadaniem na bloku E było ograniczanie awantur do minimum, a Percy Wetmore uważał dzień za stracony, jeśli nie wywołał jakiejś draki. Praca z nim przypominała rozbieranie bomby w obecności kogoś, kto stoi ci za plecami i wali co chwila głośno w cymbały. Była po prostu denerwująca. Dean twierdził, że zobaczył nerwowość w oczach Arlena Bitterbucka... nawet w oczach Prezesa, chociaż ten dżentelmen był na ogół zimny jak lód.

Chodziło także o coś więcej. Gdzieś w głębi serca Dean zaczął już traktować tę mysz jako... no, może nie przyjaciela, ale element życia na bloku. Z tego punktu widzenia to, co zrobił i co próbował zrobić Percy, było niewłaściwe. I nieważne, że chodziło tylko o mysz. Fakt, iż Percy nigdy nie zdołałby tego zrozumieć, najlepiej świadczył o tym, dlaczego kompletnie nie nadawał się do roboty, którą zdawało mu się, że wykonuje.

Podchodząc do drzwi izolatki, Dean całkowicie się opanował i wiedział już, jak rozegrać całą sprawę. Jedyną rzeczą, której Percy nie mógł w żadnym wypadku ścierpieć, było narażenie się na śmieszność i wszyscy zdawali sobie z tego sprawę.

- Znowu się nie udało - powiedział, uśmiechając się lekko i prowokując Percy'ego.

Percy spojrzał na niego spode łba i zgarnął włosy z czoła.

- Lepiej się przymknij, Czterooki. Jestem wkurzony. Nie doprowadzaj mnie do szału.

- Widzę, że dziś ponownie czeka nas przeprowadzka - kontynuował Dean, śmiejąc się samymi oczyma. - Kiedy już wywalisz stamtąd wszystkie graty, czy mógłbyś przy okazji umyć podłogę?

Percy spojrzał na drzwi izolatki. Spojrzał na swoje klucze. Pomyślał o kolejnym, mozolnym bezowocnym przeszukiwaniu pokoju z miękkimi ścianami i o tym, że wszyscy... nawet Wódz i Prezes będą się temu przyglądać.

- Niech mnie szlag, jeśli rozumiem, co cię tak śmieszy - mruknął. - Nie chcemy, żeby na bloku zagnieździły się myszy; i bez nich dość tutaj szkodników.

- Masz całkowitą rację, Percy - stwierdził Dean unosząc rękę. Przez chwilę miał wrażenie, oznajmił mi nazajutrz, że Percy nie wytrzyma i rzuci się na niego z pięściami, ale w tym samym momencie podszedł do nich Bili Dodge i załagodził sytuację.

- Chyba to upuściłeś - powiedział, wręczając Percy'emu jego pałkę. - Cał niżej i złamałbyś kark tej małej cholerze.

Słyszac to Percy wyprężył dumnie pierś.

- Tak, to był całkiem niezły rzut - oświadczył, wkładając starannie swoją maczugę do tego głupiego olstra. - W szkolnej drużynie baseballu byłem miotaczem. Pałkarze nie mieli

przy mnie nic do roboty.

- Naprawdę, Percy? - zapytał Bill i pełen respektu ton jego głosu (choć gdy Percy się odwrócił, puścił zaraz oko do Deana) ostatecznie zażegnał konflikt.

- Jasne. W Knoxville zwałem jednego z nóg. Ci chłopcy miastowi chojracy nie wiedzieli nawet, kiedy ich trafiałem. Wyeliminowałem dwóch. Ograłbym ich do czysta, gdyby sędzia nie był takim złamasem.

Dean powinien w tym momencie dać spokój, ale był zwierzchnikiem Percy'ego, a do zadań zwierzchnika należy pouczanie podwładnych. Wtedy jeszcze - przed Coffeyem i przed Delacroix - wciąż uważał, że Percy może się czegoś nauczyć.

- Powinieneś zastanowić się nad tym, co robisz - powiedział, łapiąc młodszego strażnika za rękę. Chciał, jak oznajmił później, żeby jego pouczenie zabrzmiało poważnie, lecz nie jak reprimenda. Nie jak zbyt surowa reprimenda, w każdym razie.

Tyle że w przypadku Percy'ego nie zdało to kompletnie egzaminu. Nie potrafił się niczego nauczyć... za to my w końcu czegoś się nauczyliśmy.

- Słuchaj, Czterooki, świetnie wiem, co robię. Próbowałem zatłuc tę mysz! Ślepy jesteś czy co?

- A przy okazji napędziłeś stracha mnie i Billowi. Im także - stwierdził Dean, wskazując Bitterbucka i Flandersa.

- I co z tego? - odparł Percy, zaperzając się. - Nie wiem, czy zauważyłeś, ale nie jesteśmy w sanatorium. Chociaż wy traktujecie ich wszystkich, jakby się w nim znajdowali.

- Nie lubię, jak ktoś popędza mi kota, Wetmore - zagrział Bill. - I nie wiem, czy to zauważyłeś, ale ja tutaj pracuję. Nie jestem jednym z twoich złamasów.

Percy spojrzał na niego trochę niepewnie kątem oka.

- Staramy się nie wyprowadzać ich z równowagi bardziej, niż musimy, bo znajdują się w stresie - dodał Dean. W dalszym ciągu nie podnosił głosu. - Ludzie, którzy znajdują się w stresie, mogą wybuchnąć. Zrobić sobie krzywdę. Zrobić krzywdę innym. Czasami możemy wpaść przez nich w kłopoty.

Percy skrzywił się. Słowo "kłopoty" do niego przemawiało. Sprawianie kłopotów było w porządku. Wpadanie w kłopoty - nie.

- Nie powinniśmy wrzeszczeć, lecz rozmawiać - ciągnął Dean. - Jeśli ktoś wrzeszczy na więźniów, to znaczy, że stracił nad nimi kontrolę.

Percy wiedział, kto jest autorem tej maksymy: ja. Szef. Paula Edgecombe'a i Percy'ego Wetmore'a nie łączyła wielka miłość, a mieliśmy dopiero lato, pamiętacie - prawdziwy festiwal jeszcze się nie zaczął.

- Byłoby lepiej - stwierdził Dean - gdybyś myślał o tym miejscu jak o oddziale intensywnej opieki w szpitalu. Trzeba tu zachować ciszę.

- Dla mnie to wiadro szczyn, w którym topi się szczury - przerwał mu Percy - i nic więcej. A teraz puszczaj.

Oswobodził rękę z uścisku Deana, przecisnął się między nim i Billem i pomaszerował ze spuszczoną głową korytarzem. Oddalając się minął trochę zbyt blisko celę Prezesa - tak blisko, że Flanders mógł wystawić rękę, złapać go i być może dać mu w łeb jego własną hikorową pałką, gdyby był tego rodzaju człowiekiem. Nie był nim oczywiście, ale Wódz może i był. Wódz, gdyby nadarzyła się okazja, mógł zrobić coś takiego, po prostu żeby dać Percy'emu nauczkę. To, co powiedział mi w związku z tym Dean Stanton, relacjonując nazajutrz całe wydarzenie, utkwilo mi w pamięci, ponieważ okazało się swego rodzaju proroctwem.

- Wetmore nie rozumie, że nie ma nad nimi żadnej władzy - oświadczył Dean. - Że nic, co robi, nie jest w stanie pogorszyć ich sytuacji, ponieważ można się usmażyć tylko raz. Dopóki to do niego nie dotrze, będzie narażał na niebezpieczeństwo siebie i wszystkich, którzy pracują na tym bloku.

Percy wszedł do mojego gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi.

- No, no - mruknął Bill Dodge. - Facet ma chyba spuchnięte i paskudnie zainfekowane jądra.

- Nie masz pojęcia jak bardzo - powiedział Dean.

- Spójrz na to z jaśniejszej strony - poradził mu Bill. Stale mówił ludziom, żeby popatrzyli na to lub owo od jaśniejszej strony; doszło do tego, że człowiek miał ochotę strzelić go w nos za każdym razem, kiedy to słyszał. - Nic nie stało się waszej tresowanej myszy.

- Tak, ale już jej więcej nie zobaczymy - odparł Dean. - Tym razem ten głupek wystraszył ją na dobre.

Wniosek był logiczny, lecz błędny. Mysz powróciła już nazajutrz wieczorem - pierwszego z dwu wolnych dni, które przysługiwały Percy'emu przed przeniesieniem na nocną zmianę.

Pojawiła się koło siódmej. Przebywałem wtedy na bloku i razem z Deanem Stantonem byłem świadkiem jej powrotu. Razem z Deanem i z Harrym Terwilligerem. Harry siedział za biurkiem. Mój dyżur skończył się, ale zostałem, żeby spędzić godzinkę z Wodzem, który niedługo miał się przejść Zieloną Miłą. Bitterbuck nie dawał po sobie nic poznać, zachowując zgodnie z tradycją swojego szczepu stoicką postawę, ale widziałem, że strach dojrzeła w nim niczym zatruty kwiat. Ucieliśmy więc sobie krótką pogawędkę. Można było porozmawiać z nimi w ciągu dnia, ale to nic nie dawało. Z zewnątrz dobiegały krzyki i rozmowy (nie wspominając o odgłosach bójek), dudnienie stemplownic w warsztacie, wołanie strażnika, żeby ktoś odłożył ten kilof, podniósł tę motykę albo po prostu zabierał stąd swój parszywy tyłek. Po czwartej robiło się trochę spokojniej, a po szóstej było już całkiem znośnie. Najlepsze były dwie godziny między szóstą a ósmą wieczorem. Później zaczynały ich nawiedzać złe myśli - przesuwaly się w ich oczach niczym wieczorne cienie - i najlepiej było przestać. Wciąż słyszeli, co się do nich mówiło, nie układało się to jednak w żadną sensowną całość. Po ósmej byli gotowi do nocnego czuwania; wyobrażali sobie, jak będzie ich uwierał przymocowany do czaszki metalowy hełm i jaki poczują zapach wewnątrz czarnego kaptura, nasuniętego na spoconą twarz.

Z Wodzem trafiłem jednak na dobry moment. Opowiedział mi o swojej pierwszej żonie i o tym, jak zbudował razem z nią chatę w Montanie. To były najszcześniejsze dni jego życia, stwierdził. Woda była tam tak czysta i zimna, że przy każdym łyku miało się wrażenie, iż przecina usta.

- Niech pan mi coś powie, panie Edgecombe. Czy myśli pan, że jeśli człowiek szczerze żałuje tego, co zrobił, może wrócić do czasu, który był dla niego najszcześniejszy, i żyć w nim przez całą wieczność? Czy tak wygląda niebo?

- Powiem ci, że tak właśnie sobie to wyobrażam - odparłem. Było to kłamstwo, ale nie miałem wyrzutów sumienia. O sprawach ostatecznych dowiedziałem się, siedząc na ślicznych kolanach mojej matki, i wierzyłem w to, co Dobra Księga mówi o mordercach: że nie ma dla nich życia wiecznego. Moim zdaniem idą prosto do piekła i będą się tam smażyć aż do dnia,



gdy Bóg da w końcu Gabrielowi znak, aby zadął w trąbę Sądu Ostatecznego. Kiedy to zrobi, po prostu gdzieś znikną i prawdopodobnie będą się z tego tylko cieszyć. Nigdy jednak nie zdradzałem tych poglądów Bitterbuckowi ani któremukolwiek z nich. Myślę, że w głębi serca o tym wiedzieli. Gdzie jest twój brat, jego krew woła do mnie z ziemi, powiedział Pan Bóg Kainowi i nie sądzę, by te słowa stanowiły niespodziankę dla mojego konkretnego rozmówcy; jestem pewien, że przy każdym swoim kroku słyszał wołającą z ziemi krew Abła.

Wódz uśmiechał się, kiedy się z nim rozstawałem, rozmyślając być może o swojej chacie w Montanie, o żonie leżącej na posłaniu i o jej skąpanych w świetle ognia obnażonych piersiach. Wkrótce miał przejść przez znacznie gorętszy ogień, nie miałem co do tego wątpliwości.

Kiedy wyszedłem na korytarz, Dean opowiedział mi o swojej przeprawie z Percym poprzedniej nocy. Zaczekał chyba specjalnie, żeby to zrobić, i uważnie go wysłuchałem. Zawsze słuchałem uważnie, gdy mowa była o Percym, ponieważ zgadzałem się na sto procent z Deanem - ten facet mógł jeszcze napytać biedy zarówno sobie, jak i nam.

Dean zbliżał się do końca swojej relacji, kiedy pojawił się stary Tu-Tut ze swoim czerwonym wózkiem, pokrytym wypisanymi ręcznie cytatami z Biblii ("Pomsta do mnie należy", Piąta Księga Mojżeszowa, 32,35 i "Będę też żądał krwi waszej, to jest duszy waszej", Pierwsza Księga Mojżeszowa, 9,5 oraz innymi podobnymi, wesołymi sentencjami dodającymi otuchy), i sprzedał nam trochę sandwiczów i napojów. Dean szukał właśnie reszty w kieszeni, narzekając, że nie zobaczy już nigdy Matrosa Willy'ego, bo ten cholerny Percy Wetmore wystraszył go na dobre, kiedy Tu-Tut zapytał nagle:

- A co w takim razie widzą moje piękne oczy?

Podnieśliśmy wzrok i zobaczyliśmy mysz, o której mowa, zasuwaną środkiem Zielonej Mili. Co jakiś czas stawała, rozglądała się dookoła swoimi błyszczącymi jak paciorki oczyma, po czym biegła dalej.

- Hej, myszko! - zawołał cicho Wódz. Matros Willy zatrzymał się i spojrzał na niego, ruszając wąsikami. Mówię wam, wyglądało to, jakby cholerny zwierzak dobrze wiedział, że go wołają. - Jesteś przewodnikiem dusz? - zapytał Bitterbuck, rzucając mu kawałek sera z kolacji. Ser wylądował tuż przed jego nosem, ale Matros Willy nawet na niego nie spojrzał. Ruszył dalej Zieloną Milą, zaglądając po drodze do pustych cel.

- Panie kierowniku! - zawołał Prezes. - Nie sądzi pan, że ten mały sukinsyn wie, iż dzisiaj nie ma tutaj Wetmore'a? Bo ja w to wierzę!

Miałem to samo wrażenie... ale nie zamierzałem mówić tego na głos.

W tej samej chwili na korytarz wyszedł Harry, podciągając spodnie w ten sam sposób,

w jaki robił to zawsze po spędzeniu kilku miłych chwil w sraczu. Widząc Matrosa Willy'ego, otworzył szeroko oczy. Tu-Tut również wpatrywał się w mysz z dziwnym uśmiechem, który wykrzywił nieprzyjemnie jego bezzębną dolną szczękę.

Mysz zatrzymała się w swoim normalnym miejscu, zwinęła ogonek wokół łapek i zmierzyła nas wzrokiem. Znowu przypomniałem sobie obrazki sędziów, wydających wyroki na nieszczęsnych więźniów... ale czy był kiedyś więzień tak mały i zarazem tak nieulekły jak ten? Oczywiście Willy nie był żadnym więźniem; mógł wchodzić i wychodzić, kiedy tylko miał ochotę. Ta myśl nie dawała mi jednak spokoju. Tak samo niepozorni będziemy my, gdy przyjdzie nam zbliżyć się do boskiego tronu, wpadło mi do głowy, lecz niewielu z nas będzie stać na taką odwagę.

- Trzymajcie mnie, bo skonam - mruknął stary Tu-Tut. - Siedzi tu jak jakiś pieprzony mysi król.

- To jeszcze nic, Tu-Tut - powiedział Harry. - Popatrz tylko.

Wyjął z kieszonki na piersi owinięty w pergamin plasterek jabłka z cynamonem, odłamał kawałek i rzucił go na podłogę. Jabłko było suche i twarde i myślałem, że odbije się od linoleum i przeleci koło myszy, ale ona wyciągnęła jedną łapę, tak niefrasobliwie jak człowiek łapiący dla zabicia czasu muchę, i zastopowała je. Wybuchnęliśmy wszyscy śmiechem, zaskoczeni i pełni podziwu. Ktoś mógłby przypuszczać, że ten nagły hałas przepłoszy mysz, ale ona prawie się nie poruszyła. Wzięła w łapy kawałek suszonego jabłka, polizała go kilka razy, a potem upuściła na podłogę i zerknęła z powrotem na nas, jakby chciała powiedzieć: "Nie było to takie złe, ale może macie coś jeszcze?".

Tu-Tut wyjął z pojemnika kanapkę, rozpakował ją i odłamał kawałek kielbasy.

- Daruj sobie - odezwał się Dean.

- Co to znaczy "daruj sobie"? - zdziwił się Tu-Tut. - Żadna mysz nie przejdzie spokojnie koło kawałka kielbasy. Chyba pan zwariował!

Wiedziałem jednak, że Dean ma rację, i poznałem po twarzy Harry'ego, że on wie o tym także. Są zawodnicy pierwszego składu i są ci z ławki rezerwowych. Ta mysz potrafiła ich w jakiś sposób odróżnić. Wiem, że to wariactwo, ale taka była prawda.

Stary Tu-Tut rzucił na podłogę kawałek kielbasy i mysz rzeczywiście kompletnie nią wzgardziła; obwąchała ją i dała krok do tyłu.

- Niech mnie wszyscy diabli - rzekł obrażonym tonem Tu-Tut.

- Daj mi to - powiedziałem, wyciągając rękę.

- Co? Ten sam sandwicz?

- Ten sam. Zapłacę ci za niego.

Tu-Tut podał mi kanapkę. Zdjąłem z niej górną kromkę chleba, odłamałem następny kawałek kielbasy i rzuciłem ją na podłogę przed biurkiem. Mysz podbiegła do przodu, wzięła kąsek w łapy i zaczęła jeść. Zanim się obejrzelśmy, po kielbasie nie pozostało śladu.

- Niech mnie wszyscy diabli! - mamrotał Tu-Tut. - Ja cię mogę! Niech pan mi to da!

Złapał z powrotem kanapkę, oderwał o wiele większy kawałek kielbasy - nie skrawek, ale cały krążek - i rzucił ją tak blisko myszy, że o mało nie oberwała w głowę. Matros Willy ponownie się cofnął, poruszył wąsikami (żadna mysz w czasie Wielkiego Kryzysu nie wygrała na pewno takiego losu na loterii) i popatrzył na nas.

- No dalej, zasuway - zawołał jeszcze bardziej obrażony Tu-Tut. - Co jest z tobą, kurczę?

Teraz Dean rzucił na podłogę kawałek kielbasy - w tym momencie stało się to dla nas rodzajem dziwnej komunii. Mysz natychmiast złapała ją i połknęła. A potem odwróciła się i podreptała korytarzem do izolatki, zatrzymując się po drodze, żeby zajrzeć do dwóch pustych cel i wbiec na krótki rekonesans do trzeciej. Ponownie przyszło mi do głowy, że kogoś szuka, i tym razem nie odrzuciłem tak szybko tej myśli.

- Nie mam zamiaru o tym mówić - oświadczył pół żartem, pół serio Harry. - Po pierwsze, nikogo to nie obchodzi. A po drugie, nawet gdyby kogoś obeszło, i tak by w to nie uwierzył.

- Wzięła żarcie tylko od was - stwierdził Tu-Tut. Pokręcił z niedowierzaniem głową, a potem pochylił się z trudem, podniósł z podłogi kielbasę, którą wzgardziła mysz, wsadził ją we własne bezzębne usta i zaczął pracowicie żuć dziąsłami. - Dlaczego?

- Mnie interesuje coś jeszcze - powiedział Harry. - Skąd wiedziała, że Percy'ego nie ma na bloku?

- Nie wiedziała - odparłem. - To czysty zbieg okoliczności, że pokazała się właśnie dzisiaj.

W miarę upływu czasu coraz trudniej było mi jednak w to uwierzyć - mysz pojawiała się wyłącznie, kiedy Percy miał dzień wolny bądź też był na innej zmianie lub w innej części więzienia. Harry, Dean, Brutal i ja doszliśmy do wniosku, że musiała poznawać głos Percy'ego lub jego zapach. Unikaliśmy jak ognia wszelkiej dyskusji na temat myszy. Uznaliśmy widać bez słowa, że mogłoby to zepsuć coś, co wydawało się wyjątkowe... i piękne w swojej zagadkowości. Matros Willy w końcu nas w jakiś sposób wybrał - choć czemu to zrobił, nie rozumiem do dziś. Harry był chyba najbliższy prawdy, twierdząc, że nie warto o tym mówić innym ludziom, nie tylko dlatego, że nam nie uwierzą, lecz dlatego, że może się okazać, iż w ogóle ich to nie obchodzi.

A potem przysłała pora na egzekucję Arlena Bitterbucka, który w rzeczywistości nie był wcale wodzem, lecz przedstawicielem starszyny rezerwatu Washita i członkiem Rady Plemienia Cherokee. Bitterbuck zabił po pijanemu człowieka - dokładnie rzecz biorąc, kiedy obaj byli pijani. Rozbił facetowi głowę blokiem betonu. Poszło o parę butów. Siedemnastego lipca owego deszczowego lata moja rada starszych postanowiła zatem pozbawić go życia.

Godziny odwiedzin dla większości więźniów Cold Mountain były sztywne jak stalowe pręty krat, ale nie odnosiło się to do naszych chłopców z bloku E. Szesnastego lipca Bitterbuckowi pozwolono udać się do długiej sali, która przylegała do więziennej kafeterii i przedzielona była pośrodku siatką z drutu kolczastego. Wódz miał się tam spotkać ze swoją drugą żoną oraz tymi z dzieci, które chciały się do niego przyznać. Nadszedł czas pożegnania.

Zaprowadził go tam Bill Dodge i dwaj inni rezerwiści. Nas, czyli tych, którzy zostali na bloku, czekała ciężka praca - w ciągu godziny musieliśmy odbyć co najmniej dwie próby. Jeśli zdążymy, trzy.

Percy nie protestował specjalnie, kiedy jego i Jacka Van Haya umieściłem podczas egzekucji Bitterbucka koło przełącznika; był zbyt zielony, żeby się orientować, czy to dobre, czy złe miejsce. Wiedział, że może się gapić przez prostokątne okienko z drucianej siatki, i choć wolałby pewnie oglądać skazańca z przodu, nie z tyłu, znajdował się dość blisko, by widzieć sypiące się iskry.

Tuż przy okienku wisiał na ścianie czarny telefon bez korby i tarczy. Mógł jedynie dzwonić i łączył tylko z jednym miejscem: z biurem gubernatora. Widziałem mnóstwo filmów, których akcja toczyła się w więzieniu i na których telefon dzwonił dokładnie wtedy, kiedy mieli zamiar pociągnąć za wajchę i pozbawić życia jakiegoś niewinnego biedaka - nasz telefon nie zadzwonił jednak ani razu przez wszystkie te lata, gdy pracowałem na bloku E. Na filmie ocalenie nic nie kosztuje. Podobnie jak niewinność. Płacisz parę centów i dostajesz w zamian bezwartościowy chłam. Prawdziwe życie kosztuje więcej i większość odpowiedzi brzmi tutaj zupełnie inaczej.

W tunelu, u którego wylotu czekał karawan, używaliśmy krawieckiego manekina; w pozostałej części próby dublerem był stary Tu-Tut; z biegiem lat stał się niezastąpionym odtwórcą roli skazańca, na swój sposób tak samo tradycyjnym jak (bez względu na to, czy się ją lubi, czy nie) tradycyjna jest gęś na bożonarodzeniowym stole. Pozostali strażnicy lubili

Tu-Tuta i śmieszył ich jego dziwaczny akcent - francuski, lecz pochodzący bardziej z Kanady aniżeli z Luizjany i zmiękczonej przez długą odsiadkę na amerykańskim Południu. Nawet Brutal miał do niego słabość. Ja nie. Dla mnie Tu-Tut stanowił postarzałą i wypłowiałą wersję Percy'ego Wetmore'a, faceta, który był zbyt delikatny, by samemu zabić i upiec grubego zwierza, za to uwielbiającego swąd spalenizny.

W próbie brali udział wszyscy, którzy mieli uczestniczyć w głównym spektaklu. Brutus Howell został, jak to określaliśmy, "oddelegowany", co oznaczało, że miał nałożyć kask, pilnować telefonu od gubernatora, wezwać, gdyby zaszła taka potrzeba, czuwającego w kącie lekarza i wydać w odpowiednim momencie polecenie przesunięcia dźwigni na dwójkę. Jeśli wszystko szło jak trzeba, żaden z nas nie oczekiwał pochwały. Jeżeli coś poszło nie tak, świadkowie obwiniali za to Brutala, a dyrektor obwinał mnie. Nikt z nas się nie skarżył; i tak na nic by się to nie zdało. Ziemia kręci się i nie sposób na to poradzić. Można kręcić się razem z nią albo zatrzymać się w miejscu, żeby zaprotestować i polecieć na łeb, na szyję.

Dean, Harry Terwilliger i ja weszliśmy do celi Bitterbucka już trzy minuty po tym, jak zamknęły się za nim drzwi bloku. Na pryczy Wodza siedział z rozwianymi siwymi włosami stary Tu-Tut.

- Zachlapał całe prześcieradło. Próbował to z siebie wystrzelić, nim się całe wygotuje - stwierdził i głośno zarechotał.

- Przymknij się, Tu-Tut - mruknął Dean. - To nie jest miejsce na żarty.

- Tak jest, szefie - odparł Tu-Tut i natychmiast zrobił poważną minę. W oczach migotały mu jednak wesołe ogniki. Tu-Tut nigdy nie wydawał się tak ożywiony jak wtedy, gdy odgrywał truposza.

Dałem krok do przodu.

- Arlenie Bitterbuck, jako przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości... ble-ble... przedstawiam ci nakaz egzekucji, która ma się odbyć o godzinie dwunastej zero jeden dnia ble-ble. Czy możesz wstać z pryczy?

Tu-Tut zerwał się na nogi.

- Wstaję z pryczy, wstaję z pryczy, wstaję z pryczy - zaśpiewał.

- Odwróć się - polecił Dean i kiedy Tu-Tut posłuchał go, zbadał jego ciemną pokrytą łupieżem. Czubek głowy Wodza miał zostać ogolony jutro wieczorem i do zadań Deana należało sprawdzenie, czy nie są potrzebne jakies poprawki. Owłosienie mogło zakłócić przepływ prądu, spowodować nieprzewidziane trudności. Wszystko, co teraz robiliśmy, miało na celu uniknięcie nieprzewidzianych trudności.

- W porządku, Arlen, idziemy - powiedziałem do Tu-Tuta i wyszliśmy z celi.

- Idę korytarzem, idę korytarzem, idę korytarzem - mamrotał Tu-Tut. Ja eskortowałem go z lewej, Dean z prawej strony. Harry szedł tuż za nim. Przy końcu korytarza skręciliśmy w prawo, nie ku życiu, które toczyło się na spacerniaku, lecz ku śmierci, która zadawana była w szopie. Weszliśmy do mojego gabinetu i Tu-Tut, nie czekając na polecenie, padł na kolana. Znał swoją rolę bardzo dobrze, prawdopodobnie lepiej od strażników. Spędził tu więcej czasu niż którykolwiek z nas.

- Modłę się, modłę się, modłę - zamruczał, unosząc zreumatyzowane ręce w geście przypominającym ten słynny sztych, który na pewno znacie. - Pan jest moim pasterzem i tak dalej.

- Kogo sprowadzimy do Bitterbucka? - zapytał Harry. - Chyba nie jakiegoś potrzęsającego kutasem indiańskiego znachora?

- Właściwie...

- Modłę się, modłę, wciąż godzę się z Panem Jezusem - wołał, przekrzykując nas Tu-Tut.

- Zamknij się, stary zgredzie! - huknął na niego Dean.

- Modłę się!

- Więc módl się cicho.

- Co was tam zatrzymuje, chłopcy!?! - wrzasnął Brutal z szopy, która została specjalnie opróżniona na tę okazję. Ponownie znaleźliśmy się w strefie śmierci; jej zapach czuło się niemal w powietrzu.

- Weź na wstrzymanie! - odkrzyknął Harry. - Nie bądź taki cholernie niecierpliwy!

- Modłę się - powtórzył Tu-Tut ze swoim nieprzyjemnym wklęsłym uśmiechem. - Modłę się o cierpliwość, o trochę pieprzonej cierpliwości.

- Właściwie Bitterbuck jest chrześcijaninem... tak przynajmniej mówi - stwierdziłem - i zupełnie wystarczy mu ten baptysta, który przyjechał do Tillmana Clarka. Nazywa się chyba Schuster. Ja też go lubię. Jest szybki i specjalnie ich nie przemęcza. Wstawaj, Tu-Tut. Pomodliłeś się dosyć jak na jeden dzień.

- Idę - oznajmił Tu-Tut. - Znowu idę, znowu idę, tak, proszę pana, idę Zieloną Miłą.

Chociaż był całkiem nieduży, przechodząc przez drzwi, musiał pochylić głowę. My musieliśmy pochylić się jeszcze bardziej. Z prawdziwym skazańcem mogliśmy mieć w tym momencie jakieś trudności, więc widząc Brutala, który stał na podwyższeniu z wyciągniętym pistoletem, pokiwałem z satysfakcją głową. Chłopak miał łeb nie od parady.

Tu-Tut zszedł po stopniach i zatrzymał się. Drewniane składane krzesła, około czterdziestu, stały już na miejscu. Bitterbuck miał przejść w bezpiecznej odległości od

siedzących widzów, pilnowanych przez sześciu dodatkowych strażników pod wodzą Billa Dodge'a. Mimo dość spartańskich warunków skazaniec nigdy nie zagroził u nas żadnemu ze świadków i nie chciałem, żeby to uległo zmianie.

- Gotowi? - zapytał Tu-Tut, kiedy ustawiliśmy się z powrotem w pierwotnym szyku. Kiwnąłem głową i ruszyliśmy w stronę podwyższenia. Często nachodziła mnie myśl, że przypominamy poczet sztandarowy, który zapomniał o swojej fladze.

- Co mam tutaj robić? - zawołał Percy zza drucianej siatki, oddzielającej szopę od pomieszczenia, w którym znajdował się przełącznik.

- Patrz i ucz się - odkrzyknąłem.

- I przestań trzepać kapucyna - mruknął pod nosem Harry. Tu-Tut usłyszał to i zarechotał.

Wprowadziliśmy go na podwyższenie i Tu-Tut nie proszony przez nikogo odwrócił się tyłem do krzesła - stary weteran znał dobrze swoją rolę.

- Siadam - powiedział. - Siadam na kolanach Starej Iskrówki.

Przyklęknałem na prawym kolanie obok jego prawej nogi, a Dean przyklęknał obok lewej. W tym momencie byliśmy najbardziej narażeni na fizyczną napaść, gdyby skazaniec wpadł w szał... co czasami się zdarzało. Obaj zwróciliśmy do wewnątrz przygięte kolana, żeby chronić krocze, i opuściliśmy głowy, aby chronić gardła. I oczywiście jak najszybciej unieruchomiliśmy kostki skazanego, żeby wyeliminować niebezpieczeństwo. Przed ostatnim spacerem Wódz miał włożyć pantofle, ale świadomość, że "mogło być gorzej", jest marną pociechą dla człowieka z pękniętą krtanią. Względnie dla kogoś, kto wije się na podłodze z jajami pęczniejącymi do rozmiarów musztardówek na oczach prawie czterdziestu widzów siedzących na tych składanych krzeselkach. Co najmniej połowa z nich to panowie z prasy.

Przymocowaliśmy kostki Tu-Tuta do nóg krzesła. Klamra po stronie Deana była trochę większa, ponieważ płynął przez nią prąd. Siedzący w tym miejscu jutro Bitterbuck będzie miał ogoloną lewą nogę. Indianie mają z zasady mało owłosione ciało, ale nie chcieliśmy ryzykować.

W czasie gdy ja i Dean unieruchamialiśmy kostki Tu-Tuta, Brutal zajął się jego prawym nadgarstkiem. Harry dał krok do przodu i zrobił to samo z lewym. Kiedy skończyliśmy, Harry skinął głową do Brutala, który zawołał do Van Haya:

- Przerzuć na jedynekę!

Usłyszałem, jak Percy pyta Jacka Van Haya, co to znaczy (trudno było uwierzyć, jak mało wiedział ten chłopak, jak mało nauczył się w trakcie służby na bloku). Van Hay wyjaśnił mi półgłosem, o co chodzi. Dzisiaj to nic nie znaczyło, ale jutro, kiedy Percy usłyszy:

“Przerzuć na jedynekę”, Van Hay przesunie dźwignię, która uruchomi więzienny generator mieszczący się za blokiem B. Świadkowie usłyszą monotony niski pomruk i rozjaśnią się światła w całym więzieniu. Obserwujący to w innych blokach więźniowie pomyślą, że jest już po wszystkim, że egzekucja się skończyła, podczas gdy w rzeczywistości dopiero się zaczyna.

Brutal obszedł dookoła krzesło, żeby Tu-Tut mógł go lepiej widzieć.

- Arlenie Bitterbuck - powiedział - na mocy werdyktu wydanego przez równych ci stanem przysięgłych oraz prawomocnego wyroku sędziego zostałeś skazany na śmierć na krześle elektrycznym. Niech Bóg ma w opiece mieszkańców tego stanu. Czy chcesz powiedzieć coś przed wykonaniem wyroku?

- Tak - odparł Tu-Tut, patrząc swymi świecącymi się oczkami i wykrzywając usta w bezzębny szczęśliwym uśmiechu. - Chcę dostać kurczaka z kartofelkami i sosem, chcę nasrać ci na czapkę i chcę, żeby Mae West siadła mi na gębie, bo straszliwy ze mnie jebaka.

Brutal próbował zachować powagę, ale było to niemożliwe. Odrzucił do tyłu głowę i wybuchnął tubalnym śmiechem. Dean osunął się na skraj podwyższenia, wsadził głowę między nogi i wyjąc niczym kojot, złapał się za czoło, jakby chciał zatrzymać mózg tam, gdzie było jego miejsce. Harry walił głową w ścianę i ryczał hu-hu-hu, jakby utkwiała mu w gardle kość kurczaka. Zaśmiewał się nawet Jack Van Hay, który nie był raczej znany z poczucia humoru. Mnie też chciało się śmiać, wcale tego nie ukrywam, ale jakoś się opanowałem. Pamiętałem, że nazajutrz wszystko odbędzie się naprawdę, i na krześle, na którym teraz siedział Tu-Tut, umrze człowiek.

- Zamknij się, Brutal - powiedziałem. - Wy też, Dean i Harry. A ty, Tu-Tut, uważaj, bo jeszcze raz się tak odezwiesz i koniec z tobą. Każę Van Hayowi przesunąć wajchę na dwójkę.

Tu-Tut posłał mi uśmiech, który mówił: ale mi się udał numer, panie Edgecombe, naprawdę mi się udał. Widząc, że wcale nie żartuję, zrobił jednocześnie zdziwioną i żalną minę.

- Co pana ugryzło? - zapytał.

- To wcale nie jest śmieszne - oświadczyłem. - To mnie ugryzło i jeśli brakuje ci oleju w głowie, żeby cokolwiek zrozumieć, zamknij lepiej jadaczkę.

Srożyłem się, ale oczywiście odżywka Tu-Tuta była śmieszna i przypuszczam, że to właśnie jeszcze bardziej mnie rozwścieczyło. Rozejrzałem się dookoła i zobaczyłem, że Brutal uważnie mi się przypatruje, wciąż lekko się uśmiechając.

- Cholera - zakląłem. - Robię się chyba za stary do tej roboty.

- Nieprawda. Jesteś w szczytowej formie, Paul - odparł.



Ani on, ani ja nie byliśmy wcale w szczytowej formie, przynajmniej do tej roboty, i obaj o tym świetnie wiedzieliśmy. Najważniejsze jednak, że odeszła im ochota do śmiechu. To dobrze, nie chciałem bowiem, żeby któryś z nich przypomniał sobie jutro w nocy bezczelną odzywkę Tu-Tuta i dostał ataku kolki. Ktoś mógłby pomyśleć, że coś takiego - strażnik, który prowadzi skazanego na krzesło elektryczne, skręcając się ze śmiechu - jest po prostu niemożliwe, ale kiedy człowiek znajduje się w stresie, wszystko może się zdarzyć. O czymś takim ludzie gadaliby przez dwadzieścia lat.

- Będziesz cicho, Tu-Tut? - zapytałem.

- Tak - obiecał z obrażoną miną najstarszego na świecie dziecka.

Dałem Brutalowi znak głową, żeby kontynuował, a on zdjął kaptur z tkwiącego z tyłu oparcia mosiężnego haczyka i nałożył go Tu-Tutowi na głowę, naciągając aż do podbródka, wskutek czego wycięty na górze okrągły otwór maksymalnie się rozszerzył. Następnie pochylił się, wyjął z wiadra mokrą gąbkę, wcisnął w nią palec i polizał jego czubek. Zrobiwszy to, włożył gąbkę z powrotem. Jutro miało to wyglądać trochę inaczej. Jutro miał wepchnąć gąbkę do środka metalowego kasku, wiszącego za oparciem. Ale dzisiaj nie; dzisiaj nie musieliśmy moczyć staremu Tu-Tutowi głowy.

Ze stalowego kasku zwisały z obu stron paski; przypominał trochę hełm żołnierza piechoty. Brutal nałożył go Tu-Tutowi na głowę, zakrywając otwór w czarnym kapturze.

- Wkładają mi czapczkę, układają mi czapczkę, układają mi żelazną czapczkę - mamrotał zduszonym głosem stary. Skórzane paski nie pozwalały mu prawie otworzyć ust i podejrzewałem, że Brutal zaciągnął je trochę mocniej, niż to było konieczne.

- Arlenie Bitterbuck, zgodnie z prawem tego stanu przez twoje ciało popłynie teraz prąd elektryczny, co spowoduje zgon - oznajmił Brutus Howell, po czym dał krok do tyłu i odwrócił się w stronę pustych krzeseł. - Niech Bóg zlituje się nad twoją duszą.

Tu-Tut, pragnąc zapewne powtórzyć swój poprzedni komediowy sukces, zaczął podskakiwać i miotać się na krześle. Prawdziwi klienci Starej Iskrówki prawie nigdy tego nie robią.

- Teraz się smażyć! - zawołał. - Smażyć się! Smażyć! Jezu! Smażyć się jak indyk w brytfannie!

Zobaczyłem, że Harry i Dean w ogóle na niego nie patrzą. Odwrócili się od Starej Iskrówki i spoglądali w stronę drzwi prowadzących do mojego gabinetu.

- Niech mnie wszyscy diabli - mruknął Harry. - Jeden ze świadków pojawił się dzień wcześniej.

W progu, ze zwiniętym wokół łap ogonkiem, siedziała mysz, wpatrując się w nas

czarnymi jak paciorki oczyma.

Egzekucja się udała; jeśli istnieje w ogóle coś takiego jak “udana egzekucja” (w co mocno wątpię), to egzekucja Arlena Bitterbucka, członka starszyny rezerwatu Washita, była udana. Wódz źle zaplątał swoje warkoczyki - za bardzo trzęsły mu się ręce - i w końcu zrobiła to porządnie i równo jego najstarsza córka, kobieta mniej więcej trzydziestoletnia. Chciała wpleść w nie pióra jastrzębia, jego ptaka, ale nie pozwoliłem na to. Mogły się zająć ogniem i spłonąć. Oczywiście tego jej nie powiedziałem; oświadczyłem po prostu, że to niezgodne z przepisami. Nie protestowała, pochyliła tylko głowę i dotknęła palcami skroni, żeby okazać swoje rozczarowanie i dezaprobatę. Zachowywała się z wielką godnością, co do pewnego stopnia gwarantowało, że tak samo zachowa się jej ojciec.

Kiedy nadszedł jego czas, Wódz opuścił celę, nie protestując i w ogóle się nie opierając. Czasami musieliśmy im odrywać palce od krat - sam złamałem kilka i nigdy nie zapomnę cichego trzasku, z jakim pękały - ale Wódz, dzięki Bogu, ulepiony był z innej gliny. Przeszedł całą Zieloną Milę aż do mojego gabinetu, gdzie ukląkł, aby pomodlić się z bratem Schusterem, który przyjechał do nas swoim starym gruchotem z baptystycznego kościoła Niebiańskiego Światła. Schuster przeczytał Wodzowi kilka psalmów, a gdy doszedł do tego, w którym jest mowa o odpoczynku przy spokojnej wodzie, Bitterbuck zaczął płakać. Nie był to jednak zły płacz, nie histeria, w żadnym wypadku. Wydawało mi się, że myśli o spokojnej wodzie tak czystej i tak zimnej, że pijąc ją człowiek ma wrażenie, że przecina mu usta.

W gruncie rzeczy wołałem, kiedy trochę płakali. Martwiło mnie, gdy tego nie robili.

Wielu ludzi nie może potem podnieść się z kolan, ale Wódz spisał się pod tym względem na medal. W pierwszej chwili zachwiał się, tak jakby zakreśliło mu się w głowie, i Dean położył mu rękę na ramieniu, lecz Bitterbuck zdążył tymczasem sam odzyskać równowagę i ruszyliśmy dalej.

Zajęte były prawie wszystkie krzesła. Siedzący na nich świadkowie rozmawiali ze sobą półgłosem jak ludzie, którzy czekają na rozpoczęcie wesela lub pogrzebu. To był jedyny moment, kiedy Bitterbuck się zawahał. Nie wiem, czy wyprowadziła go z równowagi jakaś konkretna osoba, czy wszyscy razem, ale usłyszałem wzbierający w jego krtani niski jęk i poczułem, jak sztywnieje jego ramię. Kątem oka dostrzegłem, że Harry Terwilliger szykuje się do odcięcia Wodzowi drogi odwrotu, gdyby ten postanowił jednak drogo sprzedać swoją skórę.

Zacisnąłem dłoń na jego łokciu i poklepałem palcem wewnętrzną stronę przedramienia.

- Spokojnie, Wodzu - powiedziałem cicho, nie poruszając prawie ustami. - Większość tych ludzi zapamięta o tobie tylko to, w jaki sposób odszedłeś, więc pokaż im, na co cię stać: pokaż, jak to robi prawdziwy Washita.

Zerknął na mnie i skinął lekko głową. A potem wziął do ręki jeden z warkoczyków, które zaplotła jego córka, i pocałował go. Spojrzałem na Brutala, który stał w pozycji na spocznij za krzesłem, w swoim galowym mundurze z wypolerowanymi błyszczącymi guzikami i w czapce tkwiącej pod idealnym kątem na dużej głowie. Skinąłem mu lekko, a on dał natychmiast krok do przodu, gotów pomóc Bitterbuckowi wspiąć się na podwyższenie, gdyby tego potrzebował. Okazało się, że nie potrzebował.

Od chwili kiedy Bitterbuck siadł na krzesło, do momentu gdy Brutal zawołał cicho przez ramię: "Przełącz na dwójkę", nie minęła nawet minuta. Światła ponownie przygasły, ale tylko nieznacznie; ktoś, kto nie przyglądał im się akurat w tej chwili, mógł nie zwrócić na to wcale uwagi. Oznaczało to, że Van Hay przesunął dźwignię na pozycję, którą jakiś żartowniś oznaczył napisem: SUSZARKA MABEL. Spod metalowego kasku dobiegł niski pomruk i Bitterbuck skoczył do przodu, napinając klamry i pas przebiegający przez jego pierś. Przy ścianie stał, obserwując go beznamiętnym wzrokiem, lekarz o wargach tak wąskich, że przypominały pojedynczy biały ścieg. Nie było żadnych podrygów i miotania się, które odstawiał na próbie Tu-Tut - tylko ten jeden rzut do przodu, podobny do silnego pchnięcia bioder, pchnięcia, które mężczyzna wykonuje doznając potężnego orgazmu. Niebieska koszula Wodza napięła się i między guzikami pokazały się uśmiechnięte kawałki gołego ciała.

I poczuliśmy w nozdrzach zapach. Sam w sobie nie najgorszy, lecz wywołujący niemiłe skojarzenia. Kiedy moja wnuczka przywozi mnie do swego domu, nigdy nie jestem w stanie zejść do piwnicy, chociaż tam właśnie ich mały Lionel ma elektryczną kolejkę, którą tak chętnie pobawiłby się z pradziadkiem. Jak chyba się domyślicie, nie mam nic przeciwko pociągom - tym, co mnie powstrzymuje, jest transformator. Ten jego pomruk. I zapach, który czuć, kiedy się rozgrzeje. Po wszystkich tych latach ten zapach wciąż przypomina mi Cold Mountain.

Van Hay dał nam trzydzieści sekund, po czym zamknął dopływ prądu. Doktor podszedł bliżej i przystawił stetoskop do piersi Bitterbucka. Świadkowie nie odzywali się teraz ani słowem. Doktor wyprostował się i odwrócił w stronę okienka.

- Nieregularna praca serca - powiedział i skinął palcem. Usłyszał prawdopodobnie

kilka słabych uderzeń, tak samo nieistotnych jak ostatnie podskoki zdekapitowanego kurczaka, ale lepiej było nie ryzykować. Nie chcieliśmy, by Wódz usiadł nam nagle w połowie tunelu na wózku i poskarżył się, że czuje się, jakby przeszedł przez ogień.

Van Hay przerzucił na trójkę i Wódz skoczył ponownie do przodu, kołysząc się lekko na boki w objęciach prądu. Po ponownym osłuchaniu doktor pokiwał głową. Karę śmierci wykonano. Po raz kolejny udało nam się zniszczyć coś, czego nie potrafiliśmy stworzyć. Kilka osób spośród publiczności znowu zaczęło ze sobą cicho rozmawiać; większość siedziała ze spuszczoneymi głowami, gapiąc się w podłogę, jakby coś wprawiło ich w osłupienie. Albo ogarnął ich wstyd.

Harry i Dean podeszli z noszami. Właściwie Harry'emu powinien pomóc Percy, ale Percy nie miał o tym pojęcia, a nikt nie chciał mu powiedzieć. Ja i Brutal załadowaliśmy na nie Wodza, nie zdejmując mu z głowy czarnego jedwabnego kaptura, i tak szybko, jak tylko się dało, bez wpadania w kłus, przenieśliśmy go przez drzwi prowadzące do tunelu. Dym - zdecydowanie zbyt gęsty - wydobywał się z dziury na czubku głowy i czuć było paskudny odór.

- Rany, człowieku! - zawołał drżącym głosem Percy. - Co to za smród?

- Zejdź mi z drogi i trzymaj się z daleka - warknął Brutal, odpychając go i sięgając po zamontowaną przy ścianie gaśnicę - chemiczne urządzenie starego typu, które trzeba było napompować przed użyciem. Dean zerwał z głowy Wodza kaptur. Nie było tak źle, jak się obawialiśmy: lewy warkoczek Bitterbucka tlił się niczym sterta suchych liści.

- Zostaw to - przykazałem Brutalowi. Nie chciałem zmywać później chemicznego szlamu z twarzy nieboszczyka. Poklepałem Wodza kilka razy po skroni (Percy przez cały czas gapił się na mnie wybałuszonymi oczyma) i warkoczek przestał dymić. Następnie znieśliśmy trupa po dwunastu stopniach do tunelu. Było tam chłodno i wilgotno jak w lochu; z owalnego sklepienia kapłała woda. W świetle żarówek tkwiących w prostych blaszanych osłonach - wykonano je w naszym więziennym warsztacie - widać było biegnący pod szosą ceglany korytarz o długości jakichś trzydziestu stóp. Wchodząc tu, zawsze miałem wrażenie, że jestem bohaterem jednego z opowiadań Edgara Allana Poe.

Czekał na nas wózek. Załadowaliśmy nań ciało Bitterbucka i po raz ostatni sprawdziłem, czy nie tłą się jego włosy. Lewy warkocz był prawie całkowicie zwęglony i z przykrością stwierdziłem, że niewielka wypukłość po tej stronie jego głowy zmieniła się w poczerniały guz.

Percy klepnął nieboszczyka w policzek i słysząc głośnie klaśnięcie jego dłoni, podskoczyliśmy wszyscy w miejscu. Percy popatrzył na nas błyszczącymi oczyma i jego usta

wykrzywiły się w drwiącym uśmiechu.

- Adios, Wodzu - powiedział, spoglądając na Bitterbucka. - Mam nadzieję, że będzie ci gorąco w piekle.

- Nie mów tak - przerwał mu Brutal. W ociekającym wodą tunelu jego głos zabrzmiał głucho i uroczyście. - Facet zapłacił za to, co zrobił. Rachunki są wyrównane. Trzymaj od niego ręce z daleka.

- Odwał się - mruknął Percy, ale cofnął się przestraszony, kiedy Brutal ruszył ku niemu, rzucając za sobą cień, który rósł niczym cień małpy w opowiadaniu o Rue Morgue. Brutal nie chwycił jednak Percy'ego za kark. Zamiast tego złapał za wózek i zaczął go pchać powoli ku wylotowi tunelu, gdzie na miękkim poboczu szosy czekał karawan, którym Arlen Bitterbuck miał udać się w ostatnią podróż. Twarde gumowe kółka wózka skrzypiały głośno, tocząc się po deskach; jego cień sunął po ceglach, na zmianę to rosnąc, to malejąc, to rosnąc, to malejąc. Dean i Harry ujęli za skraj prześcieradła i nasunęli je na twarz Wodza, która zaczęła już przybierać ten nieokreślony woskowy odcień wszystkich martwych twarzy, w równym stopniu niewinnych, jak obarczonych winą.

Kiedy miałem osiemnaście lat, wujek Paul, po którym otrzymałem imię, zmarł na zawał serca. Rodzice zabrali mnie ze sobą do Chicago, żebym wziął udział w pogrzebie i odwiedził krewnych ojca, których wielu w ogóle nie znałem. Nie było nas w domu prawie przez miesiąc. Podróż okazała się ciekawa, potrzebna i pełna wrażeń, z drugiej jednak strony wspominam ją jako koszmar. Byłem wówczas bez pamięci zakochany w dziewczynie, z którą miałem wziąć ślub dwa tygodnie po moich dziewiętnastych urodzinach. Pewnej nocy, gdy moja tęsknota zapłonęła niepowstrzymanym ogniem w sercu i umyśle (no dobrze, w porządku, również w moich łędźwiach), napisałem do niej list, który chyba nie miał końca. Przeleżałem na papier wszystkie swoje uczucia i nawet nie próbowałem przeczytać tego, co napisałem, bałem się bowiem, że tchórzostwo każe mi go podrzeć. Nie podarłem go i kiedy jakiś trzeźwy głos ostrzegł mnie, że szaleństwem będzie wysyłanie takiego listu, że podaję w nim jak, na dłoni swoje nagie serce, zignorowałem te ostrzeżenia z typową młodzieńczą bez troską, która nie dba o konsekwencje tego, co się robi. Zastanawiałem się często, czy Janice zachowała ten list, nigdy jednak nie miałem odwagi jej o to zapytać. Jedno wiem na pewno: nie znalazłem go, przeglądając jej rzeczy po pogrzebie. To jednak oczywiście o niczym nie świadczy. Przypuszczam, że nie zapytałem jej, ponieważ bałem się odkryć, iż spalenie listu znaczy dla niej mniej niż dla mnie.

Miał cztery strony; myślałem, że nigdy w życiu nie napiszę czegoś dłuższego, a teraz patrzcie. Tyle zapisałem już kartek i wciąż nie widać końca. Gdybym wiedział, że zrobi się z tego taka długa historia, być może w ogóle bym jej nie zaczął. Nie zdawałem sobie sprawy, ile furtek otwiera sam akt pisania - tak jakby stare wieczne pióro mojego ojca nie było wcale piórem, lecz jakimś dziwnym wytrychem. Najlepszym przykładem tego, o czym mówię, jest chyba ta mysz: Matros Willy, Pan Dzwoneczek, mysz Francuza. Zanim zacząłem pisać, nigdy nie uświadamiałem sobie, jak ważną odgrywa rolę. Weźmy choćby to, jak wydawała się szukać Delacroix jeszcze przed jego pojawieniem się na bloku - nie sądzę, bym zdawał sobie z tego sprawę, w każdym razie nim zacząłem pisać i odświeżać pamięć.

Chodzi o to, że nie miałem chyba pojęcia, jak daleko będę się musiał cofnąć, aby opowiedzieć wam o Johnie Coffeyu, ani na jak długo będę musiał go zostawić tam w celi - mężczyznę tak wielkiego, że nogi nie tylko wystawały mu z pryczy, lecz zwisały aż do samej podłogi. Nie chcę, żebyście o nim zapomnieli, dobrze? Chcę, byście pamiętali, że tam leży,

gapiąc się w sufit, roniąc w milczeniu łzy albo zakrywając twarz rękoma. Chcę, żebyście słyszeli jego westchnienia załamujące się niczym szloch i jęki zdławione łzami. To nie były typowe odgłosy udręki i żalu, jakie słyszeliśmy na bloku E: ochryple krzyki, przebijane okruciami skruchy; podobnie jak jego wiecznie mokre oczy nie były przejawem tego rodzaju cierpienia, z którym mieliśmy do czynienia na co dzień. W pewnym sensie - wiem oczywiście, jak głupio to może zabrzmieć, ale nie warto łapać za pióro, jeśli człowiek nie chce powiedzieć szczerze, co mu leży na sercu - w pewnym sensie można było zatem odnieść wrażenie, że trapi go smutek całego świata, coś zbyt wielkiego, by dało się kiedykolwiek ukoić. Czasami rozmawiałem z nim, tak jak ze wszystkimi - wspominałem już chyba, że rozmowy były najważniejszą częścią naszej pracy - i próbowałem pocieszyć. Nie sądzę, żeby mi się to kiedykolwiek udało, i gdzieś w głębi serca cieszyłem się, że cierpi. Czulem, że zasługuje na to, żeby cierpieć. Zastanawiałem się nawet czasami, czy nie zatelefonować do gubernatora (albo nakłonić Percy'ego, żeby to zrobił - to był w końcu jego, a nie mój cholerny wujek) i poprosić o odroczenie egzekucji. Nie powinniśmy go na razie pozbawiać życia, powiedziałbym. Ten czyn ciągle zbyt bardzo go boli, zbyt mocno go gryzie, wbija mu się we flaki niczym ostry rzeźnicki nóż. Dajmy mu jeszcze dziewięćdziesiąt dni, wasza ekscelencjo. Niech dalej wymierza sobie karę, której my nie potrafimy wymierzyć.

Chciałbym, żebyście takiego właśnie Johna Coffeya zachowali w pamięci, gdy skończę pisać to, co zacząłem; leżącego na pryczy Johna Coffeya, który bał się ciemności i być może nie bez racji, bo czyż nie czekały tam na niego dwie postaci z jasnymi kręconymi włosami - już nie dwie małe dziewczynki, ale mściwe harpie? Johna Coffeya, z którego oczu zawsze płynęły łzy niczym krew z rany, co nigdy nie zdoła się zabliznić.



Tak więc Wódz przeniósł się na tamten świat, a Prezes na blok C, gdzie zakwaterowana była w Cold Mountain większość ze stu pięćdziesięciu więźniów odsiadujących dożywocie. W jego przypadku trwało to dwanaście lat. W tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku utopiono go w więziennej pralni. Nie w Cold Mountain; więzienie w Cold Mountain zamknięto w trzydziestym trzecim. Nie sądzę, żeby miało to większe znaczenie dla więźniów; pudło to pudło, jak powiadają starzy garownicy, a Stara Iskrówa działała zapewne tak samo skutecznie w osobnym murowanym pomieszczeniu, jak w naszej szopie w Cold Mountain.

Co do Prezesa, to ktoś wepchnął go twarzą do pojemnika z płynem do prania na sucho i przez jakiś czas tam przytrzymał. Kiedy go w końcu wyciągnęli, nie miał prawie zupełnie twarzy. Musieli ustalać tożsamość na podstawie odcisków palców. W gruncie rzeczy lepsza śmierć czekałaby go chyba na naszym krześle, ale wtedy nie przeżyłby tych dodatkowych dwunastu lat. Wątpię jednak, czy wielce je sobie cenił w ostatniej minucie życia, gdy jego płuca uczyły się, jak oddychać hexlitem i czystym ługiem.

Nigdy nie złapali tego, kto go wepchnął. Nie pracowałem już wtedy w więziennictwie, ale Harry Terwilliger wyjaśnił mi wszystko w liście. “Nie dostał czapy - napisał - głównie dlatego, że był biały, ale co się odwlecze, to nie uciecze. Myślę o tym jak o długim odroczeniu egzekucji, która w końcu się odbyła”.

Po odejściu Prezesa mieliśmy na bloku E trochę spokoju. Harry’ego i Deana przeniesiono tymczasowo gdzie indziej i przez jakiś czas na Zielonej Mili byłem tylko ja, Brutal i Percy. Co właściwie oznacza, że byliśmy we dwójkę, ja i Brutal, ponieważ Percy trzymał się na ogół z boku. Powiadam wam, ten młody człowiek był geniuszem w wynajdywaniu zajęć, których nie mógł wykonać. Harry i Dean wpadali co jakiś czas, jak mówił Harry, “na pogaduchy” (ale tylko kiedy na dyżurze nie było Percy’ego). W trakcie tych spotkań wielokrotnie pojawiała się również nasza mysz. Karmiliśmy ją, a ona siedziała na podłodze, dostojna niczym król Salomon, obserwując nas błyszczącymi jak paciorki oczyma.

To były fajne tygodnie, spokojne i łatwe, mimo obecności Percy’ego, który stale przytruwał nam tyłek. Ale wszystko co dobre, szybko się kończy i któregoś deszczowego poranku w końcu lipca - czy wspomniałem już, jak deszczowe i wilgotne było to lato? - wszedłem do pustej celi i usiadłem na pryczy, która miała się wkrótce stać pryczą Eduarda

Delacroix.

Jego przybyciu towarzyszył niespodziewany łomot. Drzwi na dwór otworzyły się na oścież, podłogę zalała smuga światła i zaraz potem usłyszałem brzęk łańcuchów i przerażony głos mamroczący coś w żargonie, w którym słowa angielskie przeplatały się z francuszczyzną z Luizjany (więźniowie Cold Mountain nazywali go *da bayou*).

- Hej! Przestań! Na litość boską! Przestań, Percy! - krzyczał Brutal.

Zerwałem się na nogi, czując, jak serce wyskakuje mi z piersi. Przed nastaniem Percy'ego tego rodzaju hałasy prawie nigdy się nie zdarzały na naszym bloku; pojawiły się wraz z nim niczym brzydki zapach.

- Zapiierdalaj szybciej, ty zaszrana francuska cioto! - darł się Percy, kompletnie ignorując Brutala. Po chwili pojawił się w progu, ciągnąc za ramię faceta niewiele większego od drewnianego kręgla. W drugiej ręce trzymał swoją hikorową pałkę. Zęby wyszczerzył we wściekłym grymasie i miał twarz czerwoną jak burak, lecz nie wyglądał wcale na nieszczęśliwego. Delacroix próbował dotrzymać mu kroku, ale miał na kostkach kajdany i bez względu na to, jak szybko szurał nogami, Percy włókł go jeszcze szybciej. Wybiegłem z celi w samą porę, żeby podtrzymać Francuza w chwili, gdy padał na podłogę, i w ten właśnie sposób zawarliśmy znajomość.

Percy okrążył go z podniesioną pałką, lecz złapałem go za ramię. Brutal dołączył do nas, tak samo zaskoczony i dezorientowany jak ja.

- Niech *m'sieu* nie pozwoli mnie bić - bełkotał Delacroix. - *S'il vous pla't, s'il vous pla't!*

- Daj mi go tu, daj mi go! - wrzeszczał Percy. Nagle wyrwał mi się i zaczął bić Delacroix po ramionach. Francuz podniósł ręce do góry i pałka tłukła go teraz po rękawach niebieskiej więziennej koszuli. Obejrzałem go później wieczorem i facet miał sińce na całym ciele. Od ich widoku zrobiło mi się niedobrze. Był mordercą i nikt nie miał zamiaru głaskać go po główce, ale nie tak załatwialiśmy te sprawy na bloku E. Przynajmniej dopóki nie pojawił się Percy.

- Dostyc tego! - ryknąłem. - Przestań! O co tu w ogóle chodzi?

Próbowałem wcisnąć się między Delacroix i Percy'ego, ale na niewiele się to zdało. Pałka Percy'ego wciąż śmigła raz z jednej, raz z drugiej strony. Wiedziałem, że prędzej czy później trafi mnie zamiast Francuza i wtedy przetrzepię mu tyłek bez względu na to, kim był jego wujek. Nie zdołam się powstrzymać, a Brutal chętnie mi pomoże. Właściwie żałuję, że tego nie zrobiliśmy. Nie doszłoby dzięki temu do różnych gorszych rzeczy, które zdarzyły się później.

- Ty zasrany pedale! Nauczę cię trzymać ręce przy sobie, ty parszywa cioto! - ryczał Percy.

Trzask! Prask! Delacroix krwawił teraz z ucha i wrzeszczał jak zarzynany prosiak. Przestałem go nieudolnie osłaniać, złapałem za ramię i pchnąłem do celi, gdzie padł twarzą na pryczę. Percy zatańczył wokół mnie i zdzielił go po raz ostatni w tyłek, można powiedzieć, na pożegnanie. A potem Brutal złapał go za rękę - Percy'ego, nie Delacroix - i odciągnął na drugą stronę korytarza.

Zamknąłem drzwi celi i odwróciłem się do Percy'ego. Szok i osłupienie walczyły we mnie z czystą furią. Percy spędził już z nami kilka miesięcy, dosyć, żebyśmy zorientowali się, że go nie lubimy, a jednak dopiero teraz zrozumiałem w pełni, jak bardzo jest nieobliczalny.

Wpatrywał się we mnie nie bez pewnego lęku - w głębi duszy był tchórzem, nigdy nie miałem co do tego żadnych wątpliwości - lecz mimo to wierzył, że chronią go jego koneksje. I nie mylił się. Przypuszczam, że pewni ludzie nigdy tego nie rozumieją, nawet po tym wszystkim, co tutaj napisałem, ale ci ludzie znają Wielki Kryzys wyłącznie z podręczników historii. Dla kogoś, kto pamięta tamte czasy, te dwa słowa były czymś więcej niż tylko książkowym określeniem. Jeśli miałeś stałą robotę, trzymałeś się jej, bracie, rękami i nogami.

Twarz Percy'ego leciutko pobladła, lecz policzki miał wciąż zaróżowione. Włosy, zaczesane normalnie do tyłu i lśniące brylantyną, opadły mu na czoło.

- Co cię, u Boga Ojca, napadło?! - wrzasnąłem. - Nigdy jeszcze... nigdy! nie pobito na moim bloku więźnia.

- Mały skurwysyn próbował złapać mnie za jaja, kiedy wyciągałem go z furgonetki - wyjaśnił Percy. - Zasłużył sobie na to i jeszcze ode mnie oberwie.

Zdumienie odebrało mi przez chwilę mowę. Nie sądziłem, by najbardziej nawet agresywny homoseksualista był w stanie zrobić to, co przed chwilą opisał Percy. Przeprowadzka do okratowanego apartamentu przy Zielonej Mili nie wprawiała w lubieżny nastrój nawet największych zboczeńców.

Spojrzałem na Delacroix, który kulił się na swojej pryczy i wciąż zasłaniał twarz rękoma. Miał kajdanki na rękach i łańcuch między nogami.

- Wynoś się stąd - powiedziałem do Percy'ego. - Porozmawiam z tobą później.

- Czy to znajdzie się w twoim raporcie? - zapytał wojowniczo. - Bo jeśli nie, sam o tym napiszę.

Nie miałem ochoty pisać na niego raportu. Chciałem tylko, żeby zszedł mi z oczu, i powiedziałem mu to.

- Sprawa jest zakończona - stwierdziłem. Brutal spojrzał na mnie z dezaprobatą, ale

zignorowałem to. - No już, zjeżdżaj stąd. Idź do biura i powiedz, że kazałem ci czytać listy i pomagać w sortowni.

- Jasne. - Percy odzyskał już zimną krew albo ten swój durny tupet, który zastępował mu zimną krew. Odgarnął włosy z czoła - miał miękkie, białe i drobne dłonie kilkunastoletniej dziewczyny - i podszedł do celi Francuza. Delacroix zobaczył go i skurczył się jeszcze bardziej na pryczy, mamrocząc coś w swojej mieszance angielskiego i łamanego francuskiego.

- Jeszcze z tobą nie skończyłem, Pierre - syknął Percy i nagle skulił ramiona, czując na ramieniu wielką dłoń Brutala.

- Owszem, skończyłeś - powiedział Brutal. - A teraz zmykaj stąd w podskokach.

- Nie uda ci się mnie nastraszyć - mruknął Percy i spojrzał na mnie. - Żadnemu z was - dodał. A jednak nastraszyliśmy go; widać to było wyraźnie w jego oczach i to czyniło go jeszcze bardziej niebezpiecznym. Facet taki jak Percy sam nie wiedział, co ma zamiar zrobić w następnej minucie.

Wtedy właśnie obrócił się na pięcie i ruszył zamaszystym aroganckim krokiem w stronę wyjścia. Pokazał światu, co czeka każdego śmiałka, który spróbuje złapać go za jaja, i opuszczał pole bitwy jako zwycięzca.

Odwrociłem się do Francuza i palnąłem swoją rutynową mowę o tym, jak słuchamy radia - na bloku ulubionymi audycjami były: *Make Believe Ballroom* i *Our Gal Sunday* - i jak będziemy go dobrze traktować, jeśli on odwzajemni się nam tym samym. Ta krótka homilia nie była chyba moim największym życiowym sukcesem. Delacroix zanosił się przez cały czas głośnym płaczem, kuląc się na swojej pryczy i opierając o ścianę, jakby chciał się w nią wprasować. Kurczył się ze strachu za każdym razem, kiedy wykonywałem jakiś ruch i nie sądzę, żeby dotarło do niego więcej niż jedno słowo z sześciu, które wypowiadałem. W najlepszym wypadku. Nie wydaje mi się zresztą, żeby cała ta homilia miała wiele sensu.

Piętnaście minut później podszedłem do biurka, przy którym siedział - liżąc czubek ołówka - wstrząśnięty Brutus Howell.

- Może przestanieś to robić, nim się zatrujesz, na litość boską? - zapytałem.

- Jezu wszechmogący - jęknął, odkładając ołówek. - Nigdy już nie chcę mieć takiej awantury przy przyjmowaniu więźnia na blok.

- Mój tato zawsze powtarzał, że nieszczęścia chodzą trójkami - powiedziałem.

- Mam nadzieję, że twój stary nie wiedział, o czym mówi - odparł Brutal, ale oczywiście nie miał racji. Zdarzyło się małe nieporozumienie, kiedy przywieźli Johna Coffeya, i prawdziwe piekło, gdy przybył do nas Dzikie Bill; to śmieszne, ale nieszczęścia

chyba rzeczywiście chodzą trójkami. Wkrótce opowiem o tym, jak zawarliśmy bliższą znajomość z Dzikim Billem, który podczas transportu do celi próbował popełnić morderstwo; teraz tylko o tym napomykam.

- Co to za historia z łapaniem Percy'ego za jaja? - zapytałem.

Brutal parsknął śmiechem.

- Delacroix miał skute nogi i głupi Percy po prostu za szybko go pociągnął. Wsiadając z furgonetki, potknął się i wyciągnął przed siebie ręce, jak zrobiłby każdy, żeby nie upaść. Jedną z nich dotknął w kroku Percy'ego. Zupełnie przypadkowo.

- Myślisz, że Percy nie zdawał sobie z tego sprawy? Może potrzebował tylko jakiegoś pretekstu, bo miał wielką ochotę go spałować? Pokazać, kto tu jest panem?

Brutal pokiwał powoli głową.

- Tak. Chyba masz rację.

- Musimy na niego uważać - oświadczyłem, przeczesując palcami włosy. Tak jakby i bez tego nasza robota nie była dość męcząca. - Boże, jak ja tego nienawidzę. Jak ja go nienawidzę.

- Ja też. I wiesz, co ci jeszcze powiem, Paul? Zupełnie go nie rozumiem. Ma znajomości, to jasne, ale dlaczego użył ich, żeby dostać robotę na naszej pierdolonej Zielonej Mili? I w ogóle w więziennictwie? Dlaczego nie zatrudnił się jako goniec w stanowym senacie albo jako woźny, który pilnuje terminarza spotkań jego ekscelencji? Rodzinka na pewno załatwiłaby mu coś lepszego, gdyby tylko poprosił. Po co tutaj przyszedł?

Potrząsnąłem głową. Nie wiedziałem. Nie miałem wówczas pojęcia o wielu rzeczach. Przypuszczam, że byłem naiwny.

Po tych zajściach sytuacja przynajmniej na jakiś czas się unormowała. W stolicy hrabstwa prokuratura przygotowywała proces Johna Coffeya, a szeryf Homer Cribus przebąkiwał, że niewielki tłumek oburzonych obywateli mógłby przyspieszyć działanie wymiaru sprawiedliwości. Nic z tego do nas nie docierało; na bloku E nikt nie interesował się wiadomościami z pierwszych stron gazet. Życie na Zielonej Mili przypominało w pewnym sensie pobyt w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu. Z zewnętrznego świata dochodziły nas od czasu do czasu pomruki, które mogły być odgłosami eksplozji, i na tym koniec. Prokuratura nie śpieszyła się z Johnem Coffeyem; chcieli mieć stuprocentowy wyrok.

Percy kilkakrotnie próbował dokuczać Delacroix i za drugim razem odciągnąłem go na bok i kazałem zameldować się w moim gabinecie. Nie była to pierwsza ani ostatnia rozmowa, jaką z nim odbyłem, ale wtedy chyba najlepiej udało mi się zrozumieć, co to za facet. Percy miał serce okrutnego chłopca, który idzie do zoo nie po to, aby oglądać zwierzęta, ale by móc obrzucać je kamieniami w klatkach.

- Trzymaj się od niego z daleka, słyszysz? - przykazałem. - Jeśli nie wydam ci innego polecenia, po prostu się do niego nie zbliżaj.

Percy odgarnął włosy do tyłu, a potem przyglądał je swoimi małymi dziewczęcymi dłońmi. Ten chłopak po prostu uwielbiał swoje loczki.

- Nie zrobiłem mu nic złego. Pytałem tylko, co czuje człowiek, który spalił kilkoro małych dzieci - odparł, posyłając mi niewinne spojrzenie.

- Skończ z tym, bo będę musiał napisać raport.

Roześmiał mi się w twarz.

- Pisz, ile chcesz. A potem ja napiszę swój raport. Tak jak ci powiedziałem, kiedy go przywieźli. Zobaczymy, czyje będzie na wierzchu.

Pochyliłem się do przodu, oparłem ręce na biurku i przemówiłem do niego tonem, który, miałem nadzieję, brzmiał jak ton kumpla udzielającego dobrej rady.

- Brutus Howell specjalnie za tobą nie przepada - oznajmiłem. - A kiedy za kimś nie przepada, pisze własny raport. Nie włada, jak wiesz, zbyt dobrze piórem. Lize bez końca ten swój ołówek i dlatego lubi czasem napisać raport pięściami. Rozumiesz chyba, co mam na myśli?

Percy'emu spełzył z ust pogardliwy uśmiezek.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał.

- Dokładnie to, co słyszałeś. A jeśli powtórzysz któremuś ze swoich znajomych treść tej rozmowy, powiem, że wszystko zmyśliłeś. Pamiętaj, że staram się być twoim przyjacielem, Percy - dodałem, posyłając mu szczere spojrzenie. - Mówią, że mądrej głowie dość dwie słowie. A w ogóle dlaczego tak się uwziąłeś na Delacroix? On nie jest tego wart.

Rozmowa przyniosła rezultat. Przez jakiś czas było spokojnie. Kilka razy wysyłałem nawet Percy'ego razem z Harrym lub Deanem do łaźni, kiedy Delacroix brał zgodnie z grafikiem prysznic. Wieczorem puszczailiśmy radio i Delacroix zaczął się przyzwyczajać do panującego na bloku E reżimu. Mieliśmy spokój.

A potem, któreś nocy, usłyszałem, jak się śmieje.

Za biurkiem strażnika dyżurnego siedział Harry Terwilliger i wkrótce on także zaczął rechotać. Wszedłem z gabinetu i ruszyłem korytarzem, żeby zobaczyć, co ich tak ubawiło.

- Pan patrzy, kapitanie - powiedział Delacroix na mój widok. - Oswoiłem mysz.

To był Matros Willy. Wszedł do celi Delacroix. Więcej: siedział na ramieniu Francuza i spoglądał na nas chłodno przez kraty małymi, czarnymi jak paciorki oczyma. Ogonek zawinął wokół łap i sprawiał wrażenie całkowicie wyluzowanego. Co do Delacroix, nikt nie zgadłby, że to ten sam facet, który niespełna tydzień wcześniej siedział skulony i roztrzęsiony na swojej pryczy. Wyglądał zupełnie jak moja córka, kiedy schodziła na dół w gwiazdkowy poranek i jej wzrok padał na leżące pod choinką prezenty.

- Patrzcie - powiedział.

Mysz siedziała na jego prawym ramieniu. Delacroix wyprostował lewą rękę, a wtedy mysz wdrapała się po jego włosach (które przynajmniej z tyłu były wystarczająco gęste) na głowę i zbiegła na drugą stronę. Delacroix chichotał, kiedy jej ogonek połachotał go w kark. Mysz dobiegła aż do nadgarstka, a potem zawróciła i siadła na jego lewym barku, ponownie zawijając ogon wokół łap.

- Niech mnie szlag - mruknął Harry.

- Nauczyłem ją tego - stwierdził z dumą Delacroix. Guzik prawda, pomyślałem, ale nie odezwałem się ani słowem. - Nazywa się Pan Dzwoneczek.

- Akurat - zaprotestował wesoło Harry. - To Matros Willy, jak ta mysz w kreskówce. Nazwał ją tak pan Howell.

- To Pan Dzwoneczek - powtórzył Delacroix. W każdej innej sprawie gotów był zgodzić się na wszystko, czego od niego wymagano, gdy jednak chodziło o imię tej myszy, był uparty jak muł. - Szepnął mi to do ucha. Ma pan może dla niego jakieś pudełko, kapitanie? Czy mógłbym dostać pudełko dla mojej myszki, żeby z nią razem spać? - Jego głos

przybrał przymilny ton, który słyszałem już tysiące razy przedtem. - Postawię je pod pryczą i Pan Dzwoneczek nigdy nie sprawi żadnego kłopotu, przysięgam.

- Twój angielski cholernie się poprawia, kiedy tylko czegoś chcesz - powiedziałem, chcąc zyskać na czasie.

- Uważaj - szepnął Harry, trącając mnie łokciem. - Zaraz będzie draka.

Percy, który nadszedł korytarzem, nie wydawał się jednak skłonny do wszczynania awantur. Nie poprawiał fryzury rękoma, nie majstrował przy swojej pałce i miał rozpięty najwyższy guzik u koszuli. Po raz pierwszy zobaczyłem go nie dopiętego i zdumiewające było, ile może spowodować tak mała zmiana. Najbardziej uderzył mnie wyraz jego twarzy. Malował się na niej spokój. Nie pogoda ducha - nie sądzę, żeby Percy Wetmore wiedział, co to jest pogoda ducha - ale spokój człowieka, który odkrył, że jeśli tylko chwilę zaczeka, otrzyma to, czego pragnie. W zaskakujący sposób różnił się od młodego człowieka, którego zaledwie przed kilkoma dniami musiałem postraszyć pięściami Brutusa Howella.

Delacroix wcale tego nie zauważył; przywarł do ściany swojej celi i podciągnął kolana pod brodę. Oczy otworzył tak, że wydawały się zajmować połowę twarzy. Mysz skoczyła mu na głowę i usiadła na łysinie. Nie wiem, czy pamiętała, że ma powody nie ufać Percy'emu, na pewno jednak sprawiała takie wrażenie. Najprawdopodobniej reagowała po prostu na strach małego Francuza.

- No, no - mruknął Percy. - Wygląda na to, że znalazłeś sobie kumpla, Eddie.

Delacroix chciał coś powiedzieć - zapewne, co czeka Percy'ego, jeśli wyrządzi krzywdę jego nowemu przyjacielowi - ale nie wy dobył z siebie ani słowa. Zaczęła mu tylko drzeć dolna warga. Siedzący na czubku jego głowy Pan Dzwoneczek nie drżał. Siedział zupełnie bez ruchu z tylnymi łapkami wplecionymi we włosy Francuza i przednimi rozstawionymi na jego łysej czaszce, wpatrując się w Percy'ego, najwyraźniej mierząc go wzrokiem. Tak, jak mierzy się wzrokiem starego wroga.

Percy spojrzał na mnie.

- Czy to nie ta sama mysz, którą wtedy goniłem? Ta, która mieszka w izolatce?

Pokiwałem głową. Doszedłem do wniosku, że Percy nie widział świeżo przechrzczonego Pana Dzwoneczka od czasu ostatniej pogoni; teraz w każdym razie nie miał go chyba ochoty ścigać.

- Tak, ta sama - potwierdziłem. - Tyle że Delacroix twierdzi, iż nie nazywa się Matros Willy, ale Pan Dzwoneczek. Mówi, że szepnęła mu to do ucha.

- Widocznie mu szepnęła - odparł Percy. - Cuda się zdarzają, prawda? - Myślałem, że wyjmie pałkę i zacznie nią walić o kraty, żeby pokazać Delacroix, kto tu rządzi, ale on stał,



wytrzeszczając gały i podpierając się pod boki.

- Delacroix prosił właśnie o jakieś pudełko - podjąłem, choć za nic w świecie nie potrafiłbym wytłumaczyć, dlaczego to robię. - Uważa chyba, że ta mysz mogłaby w nim spać. Że mógłby ją oswoić. - Staralem się, żeby w moim głosie zabrzmiał sceptycyzm, i miałem lepszego nosa niż Harry, który posłał mi zdumione spojrzenie. - Co o tym sądzisz, Percy?

- Myślę, że któreś nocy nasra mu na głowę i ucieknie - stwierdził spokojnie Percy - ale tego widać właśnie chce nasz Francuz. Zauważyłem niedawno ładne pudełko od cygar na wózku Tu-Tuta, nie wiem jednak, czy je odstąpi. Będzie pewnie za nie chciał pięć albo nawet dziesięć centów.

Spojrzałem ukradkiem na Harry'ego i zobaczyłem, że opadła mu szczęka. Przemiana, jaka zaszła w Percym, nie była może tak niesamowita jak ta, której doznał Ebenezer Scrooge po nocy spędzonej z duchami, ale różnica nie rzucała się specjalnie w oczy.

Percy nachylił się i wsadził twarz między kraty. Francuz skurczył się jeszcze bardziej. Gdyby mógł, rozpląszczyłby się na ścianie, przysięgam.

- Masz piątaka albo dziesiątkę, żeby zapłacić za pudełko od cygar, ty złamasie? - zapytał go Percy.

- Mam cztery centy - odparł Delacroix. - Zapłacę za pudełko, jeśli jest dobre. *S'il est bon.*

- Wiesz, co ci powiem? - podjął Percy. - Jeśli ten stary bezzębny alfons sprzeda ci pudełko marki Corona za cztery cenciaki, zwinę trochę waty z ambulatorium, żebyś mógł je wyścielić. Nim się z nami rozstaniesz, urządzimy tu prawdziwy mysi Hilton. Mam napisać raport z egzekucji Bitterbucka - dodał, zwracając się do mnie. - Czy masz u siebie jakieś pióro, Paul?

- Naturalnie - odparłem. - A także odpowiednie formularze. W górnej lewej szufladzie.

- To cudownie - stwierdził i odszedł zamaszystym krokiem do mojego gabinetu.

Harry i ja spojrzeliśmy na siebie.

- Zachorował czy co? - zapytał Harry. - A może poszedł do swojego lekarza i dowiedział się, że zostały mu tylko trzy miesiące życia?

Odpowiedziałem, że nie mam najmniejszego pojęcia, co się stało. I rzeczywiście przez jakiś czas nie miałem pojęcia, ale w końcu mnie oświeciło. A kilka lat później odbyłem podczas kolacji interesującą rozmowę z Halem Mooresem. W tym czasie mogliśmy już swobodnie rozmawiać; Hal przeszedł na emeryturę, a ja pracowałem w poprawczaku. To była jedna z tych kolacyjek, kiedy człowiek za dużo pije, za mało je i za wiele mówi. Hal oznajmił,

że Percy przyszedł do niego, skarżąc się na mnie i w ogóle na stosunki panujące na bloku. Było to zaraz po tym, jak przyjechał do nas Delacroix i ja z Brutalem powstrzymaliśmy Percy'ego przed pobiciem Francuza na śmierć. Najbardziej uraziło drania to, że powiedziałem, by zszedł mi z oczu. Nie rozumiał, jak ktoś miał czelność odezwać się w ten sposób do krewnego gubernatora.

Mooreś powstrzymywał burzę dopóty, dopóki mógł, a kiedy stało się jasne, że Percy będzie się starał wykorzystać swoje znajomości, aby udzielono mi nagany albo w najlepszym razie przesunięto na inny blok, wezwał go do swojego gabinetu i oświadczył, że jeśli przestanie kołysać łodzią, on, Mooreś, osobiście dopilnuje, by kierował egzekucją Eduarda Delacroix. Obiecał mu, że będzie stał tuż obok krzesła. Ja miałem jak zwykle czuwać nad wszystkim, ale świadkowie nie musieli o tym w ogóle wiedzieć: będą przekonani, że kotyliona prowadzi osobiście pan Percy Wetmore. Mooreś nie obiecywał nic ponad to, co już wcześniej przedyskutowaliśmy i na co przystałem, ale Percy nie miał o tym pojęcia. Zgodził się nie składać na mnie skargi i atmosfera na bloku E znacznie się poprawiła. Zgodził się nawet na to, by Delacroix zatrzymał w charakterze udomowionego zwierzątka jego starą nemezis. To zdumiewające, jak bardzo pewni ludzie potrafią się zmienić, jeśli tylko przyświeca im jakiś cel. Percy'emu wystarczyło, że dyrektor Mooreś pozwolił mu pozbawić życia małego łysiejącego Francuza.

Tu-Tut uważał, że cztery centy to zdecydowanie za mało za pierwszorzędne pudełko po cygarach marki Corona i miał chyba rację - pudełka po cygarach cieszyły się w więzieniu wielkim powodzeniem. Można było w nich przechowywać tysiące różnych przedmiotów, ładnie pachniały i przypominały naszym klientom życie na wolności. Chyba dlatego, że w więzieniu wolno było palić papierosy, ale nie cygara.

Dean Stanton, który wrócił już na blok, dorzucił jednego centa i ja dałem tyle samo. Kiedy Tu-Tut mimo wszystko nie dawał się przekonać, wziął go w obroty Brutal. Najpierw powiedział mu, żeby nie był takim dusigroszem, następnie obiecał, że on, Brutus Howell, osobiście odda Tu-Tutowi pudełko nazajutrz po egzekucji Delacroix.

- Sześć centów to może rzeczywiście za mało, gdybyśmy mówili o kupnie - stwierdził.  
- Ale musisz przyznać, że to wspaniała cena za wypożyczenie. Eddie przejdzie Milę za miesiąc, najdalej za sześć tygodni. Człowieku, zanim zdążysz się obejrzeć, będziesz miał to pudełko z powrotem na swoim wózku.

- Jakiś sędzia o miękkim sercu może mu dać odroczenie i facet zaśpiewa jeszcze nam piosenkę o starych znajomych - mruknął Tu-Tut, w gruncie rzeczy jednak wiedział, że to nieprawda, a Brutal wiedział, że on wie. Stary Tu-Tut popychał swój oklejony cytatami z Biblii wózek w czasach, gdy pocztę dostarczali jeszcze posłańcy na kucykach, i miał licznych informatorów - jak sądziłem wówczas, o wiele lepszych niż nasi. Wiedział, że Delacroix nie ma co liczyć na sędziego o miękkim sercu i że jedyną nadzieję może pokładać w gubernatorze, który nie ulaskawiał raczej podpalaczy, mających na sumieniu pół tuzina jego wyborców.

- Jeśli nawet nie dostanie odroczenia, ta mysz będzie srała do pudełka aż do października, może nawet do Święta Dziękczynienia - nie dawał za wygraną, ale Brutal widział, że jego opór słabnie. - Kto kupi pudełko, które jakaś mysz używała jako ubikacji?

- Trzymajcie mnie, bo padnę - jęknął Brutal. - To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałem, Tu-Tut. Po pierwsze Delacroix tak zadba o to pudełko, że będziesz mógł z niego jeść niedzielny obiad. Tak strasznie kocha tę mysz, że wyliże je do czysta, jeśli zajdzie taka potrzeba.

- Nie chcę tego słuchać - przerwał mu Tu-Tut, marszcząc nos.

- Po drugie - podjął Brutal - mysie bobki to nic strasznego. Są twarde jak śrut, drobny

śrut na ptaki. Można je od razu wytrząsnąć. Nie ma się czym przejmować.

Stary Tu-Tut był zbyt rozsądny, żeby protestować. Spędził dość czasu na świeżym powietrzu, by wiedzieć, kiedy może wystawić twarz na bryzę, a kiedy schować się przed huraganem. Nie był to jeszcze huragan, ale my, mundurowi, polubiliśmy tę mysz i przypadł nam do gustu pomysł, żeby zamieszkała razem z Delacroix, a to oznaczało, że Tu-Tut musi stawić czoło co najmniej silnej wichurze. Francuz dostał zatem swoje pudełko, a Percy dotrzymał słowa - dwa dni później dno zostało wyścielone miękkimi wacikami z ambulatorium. Percy przekazał je osobiście i widziałem lęk na twarzy Delacroix, kiedy wystawił dłoń przez kraty, żeby je odebrać. Bał się, że Percy złapie go za rękę i połamie mu palce. Ja też się trochę tego bałem, ale nic takiego się nie stało. Tamtego dnia wydawało mi się, że mogę nawet polubić Percy'ego, chociaż trudno było nie zauważyć chłodnego rozbawienia w jego oczach. Obaj mieli swoje maskotki. Delacroix trzymał swoją w celi, do końca życia pieszcząc ją i kochając; Percy uzbroił się w cierpliwość (na tyle w każdym razie, na ile może się uzbroić w cierpliwość człowiek jego pokroju), następnie zaś spalił swoją maskotkę żywcem.

- Otwieramy mysi Hilton - powiedział Harry. - Pytanie tylko, czy ta mała cholera zechce w nim zamieszkać?

Odpowiedź na to pytanie poznaliśmy, gdy Delacroix złapał jedną ręką Pana Dzwoneczka i wsadził go delikatnie do pudełka. Mysz wślizgnęła się pod białą watę, jakby to była puchowa pierzyna ciotki Bei, i pudełko stało się jej domem aż do dnia... ale o tym, jak zakończyła się historia Pana Dzwoneczka, opowiem w stosownym czasie.

Obawy Tu-Tuta, że pudełko po cygarach zamieni się w ubikację, okazały się zupełnie bezpodstawne. Nigdy nie ujrzałem w nim ani jednego mysiego bobka, a Delacroix twierdził, że nie widział ich nigdzie w całej celi. Znacznie później, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Brutal pokazał mi dziurę w belce i znaleźliśmy w niej kolorowe drzazgi, przesunąłem na inne miejsce stojące w kącie izolátky krzesło i znalazłem pod nim małą kupkę mysich odchodów. Pan Dzwoneczek załatwiał się jak widać zawsze w tym samym miejscu, jak najdalej od nas. I jeszcze jedno: nigdy nie widziałem, żeby sikał, a myszy nie potrafią na ogół zamknąć kranika na dłużej niż na dwie minuty, zwłaszcza kiedy coś jedzą. Mówię wam, ten przekłęty zwierzak był prawdziwym cudem natury.

Mniej więcej tydzień po tym, jak Pan Dzwoneczek zamieszkał w pudełku po cygarach, Delacroix zawołał mnie i Brutala, żebyśmy coś zobaczyli. Robił to tak często, że stało się to irytujące - tak jakby fakt, że Pan Dzwoneczek przewraca się na grzbiet i wymachuje łapkami w powietrzu, był zdaniem tego konusowatego Francuza najciekawszą

sztuczka pod słońcem - ale tym razem naprawdę ubawiło nas to, co pokazał.

Po wydaniu wyroku na Delacroix zapomnieli o nim wszyscy z wyjątkiem jednej krewnej - z tego, co pamiętam, niezamężnej ciotki - która pisała do niego raz w tygodniu. Przysłała mu także wielką torbę miętowych cukierków, które w tamtych czasach sprzedawano z marką Canada Mints i które przypominały z wyglądu duże różowe pastylki. Nie daliśmy mu oczywiście całej torby od razu; ważyła pięć funtów, a on gotów był je ssać tak długo, aż złapałaby go kolka i wylądowałby w ambulatorium. Podobnie jak prawie wszyscy mordercy, zupełnie nie znał umiaru. Dostawał na raz najwyżej sześć pastylek i tylko wtedy, kiedy poprosił.

Podeszliśmy więc do celi - Pan Dzwoneczek siedział na pryczy obok Francuza, trzymając w łapkach jedną z tych różowych miętówek i z radością ją obgryzając. Delacroix nie posiadał się wprost ze szczęścia - przypominał pianistę, który obserwuje ćwiczącego pierwsze palcówki pięcioletniego syna. Nie zrozumcie mnie źle: to było śmieszne, naprawdę. Miętówka była wielka jak pół Pana Dzwoneczka i pokryty białym futerkiem brzuch myszy był już od niej nieźle rozdęty.

- Zabierz jej to, Eddie - powiedział Brutal, na pół rozbawiony, na pół przerażony. - Chryste wszechmogący, będzie żarła, aż pęknie. Nawet tutaj czuję zapach mięty. Ile jej już dałeś?

- Ta jest druga - odparł Delacroix, spoglądając z lekkim niepokojem na brzuch Pana Dzwoneczka. - Naprawdę myśli pan, że pęknie?

- To całkiem możliwe - potwierdził Brutal.

Delacroix, który wziął sobie najwyraźniej do serca jego opinię, sięgnął po nie dojedzoną miętówkę. Myślałem, że mysz capnie go w palec, lecz Pan Dzwoneczek oddał cukierek - a raczej to, co z niego zostało - bez żadnych ceregieli. Spojrzałem na Brutala, który potrząsnął lekko głową, jakby chciał powiedzieć, że on też tego nie rozumie. A potem Pan Dzwoneczek skoczył do swojego pudełka i położył się skonany na boku, co ponownie pobudziło całą naszą trójkę do śmiechu. Po tym epizodzie przywykliśmy do widoku myszy, która siedziała obok Delacroix, chrupiąc w dystyngowany sposób miętówkę, niczym zajadająca podwieczorek starsza pani, a także do towarzyszącego im obojgu zapachu, który wyczułem potem w tej dziurze w belce - słodkavo-gorzkiego zapachu mięty.

Zanim przejdę do przyjazdu Williama Whartona, kiedy to nasz blok naprawdę znalazł się na skraju cyklonu, muszę opowiedzieć jeszcze jedną historię o Panu Dzwoneczku. Tydzień albo dwa po epizodzie z miętówkami - gdy, jak sądzę, uratowaliśmy pupila Delacroix od śmierci z przedzenia - Francuz wezwał mnie do swojej celi. Byłem wtedy sam;

Brutał poszedł po coś do magazynu, a regulamin zabraniał w takich okolicznościach zbliżać się do więźnia. Ponieważ jednak mógłbym bez trudu przewrócić Delacroix małym palcem, postanowiłem złamać regulamin i zobaczyć, czego chce.

- Niech pan popatrzy, panie Edgecombe - oznajmił. - Zobacz pan, co potrafi zrobić Pan Dzwoneczek!

Sięgnął pod pryczę i wydobyl schowaną za pudełkiem po cygarach małą drewnianą szpulkę.

- Skąd to wzięłeś? - zapytałem, chociaż z góry znałem odpowiedź. Istniała tylko jedna osoba, od której mógł to dostać.

- Dał mi Tu-Tut - odparł. - Niech pan patrzy.

Nie musiał mnie o to prosić - od kilku chwil przyglądałem się już Panu Dzwoneczkowi, opierającemu się przednimi łapkami o skraj pudełka i nie odrywającemu swoich czarnych oczek od szpuli, którą Delacroix trzymał między kciukiem i palcem wskazującym prawej ręki. Czułem, jak cierpnie mi skóra na plecach. Nigdy nie widziałem, żeby mysz oddawała się jakiejś czynności z taką skwapliwością... z taką inteligencją. Nie wierzę, żeby Pan Dzwoneczek był istotą nadprzyrodzoną i przepraszam bardzo, jeśli pozwoliłem wam odnieść takie wrażenie, nigdy jednak nie wątpiłem, że był genialnym przedstawicielem swojego gatunku.

Delacroix pochylił się i puścił pozbawioną nitki szpulkę. Potoczyła się po podłodze lekko niczym para kół połączonych osi. Mysz wyskoczyła z pudełka i pobięła za nią jak goniący za kijem pies. Krzyknąłem głośno ze zdumienia, a Delacroix wyszczerzył zęby w uśmiechu.

Szpulka odbiła się od ściany i potoczyła z powrotem. Pan Dzwoneczek obiegł ją dookoła i zaczął popychać z powrotem do pryczy, zmieniając swoją pozycję, kiedy tylko podążała w niewłaściwym kierunku. Dotoczył szpulkę aż do nóg Delacroix, a potem podniósł wzrok i przez chwilę mu się przyglądał, jakby chciał się upewnić, czy Francuz nie ma dla niego żadnych kolejnych pilnych zleceń (być może kilku algebraicznych równań do rozwiązania albo paru łacińskich zdań do rozbioru). Uzyskawszy widać satysfakcjonującą odpowiedź, wskoczył z powrotem do swojego pudełka.

- Nauczyłeś ją tego? - zapytałem.

- Tak jest, panie Edgecombe - odparł Delacroix, szeroko się uśmiechając. - Przynosi mi ją za każdym razem. Piekielnie sprytna, prawda?

- A szpulka? Skąd wiedziałeś, że będzie się nią bawiła, Eddie?

- Szepnęła mi do ucha, że chce ją dostać - stwierdził pogodnym tonem Francuz. - Tak

samo jak wtedy, kiedy powiedziała mi, jak się nazywa.

Delacroix pokazał nową sztuczkę swojej myszy wszystkim pozostałym strażnikom... wszystkim z wyjątkiem Percy'ego. Nie miało dla niego znaczenia, że to Percy zaproponował wypożyczenie pudełka po cygarach i zorganizował watę, żeby je wyścielić. Mały Francuz przypominał w tym niektóre psy: kiedy raz je kopniesz, nigdy ci nie zaufają, choćbyś był dla nich nie wiadomo jak miły.

Pamiętam do dzisiaj jego okrzyk: "Hej, panowie! Chodźcie zobaczyć, co takiego potrafi Pan Dzwoneczek!". I podążający do jego celi niebieski orszak strażników - Brutala, Harry'ego, Deana, nawet Billa Dodge'a - wszystkich należycie zdumionych, tak samo jak zdumiony byłem wcześniej ja.

Kilka dni po tym, jak Pan Dzwoneczek pokazał po raz pierwszy sztuczkę ze szpulą, Harry Terwilliger poszperał wśród akcesoriów, które trzymaliśmy w izolatce, znalazł tam kredki marki Crayola i przyniósł je Delacroix z prawie zażenowanym uśmiechem.

- Pomyślałem sobie, że mógłbyś pokolorować tę szpulę na różne kolory - powiedział. - Twój mały kumpel będzie występował jak jakaś cyrkowa mysz.

- Cyrkowa mysz! - powtórzył Delacroix i na jego twarzy odmalowało się bezgraniczne szczęście. Przypuszczam, że był rzeczywiście bezgranicznie szczęśliwy, być może po raz pierwszy w całym swoim żalonym życiu. - To jest to! Cyrkowa mysz! Kiedy stąd wyjdę, zrobi ze mnie bogacza! Zobaczycie, że zrobi.

Percy Wetmore zwróciłby niezawodnie uwagę Delacroix, że opuści Cold Mountain w ambulansie bez włączonej syreny, ale Harry nie był taki. Powiedział po prostu Francuzowi, żeby pokolorował szpulę tak szybko, jak potrafi, ponieważ będzie musiał mu zabrać kredki zaraz po obiedzie.

I Del pokolorował ją, a jakże. Kiedy skończył, jeden koniec szpuli był żółty, drugi zielony, a bębenek w środku czerwony jak wóz straży pożarnej. Przywykliśmy do jego szumnej zapowiedzi: *Maintenant, m'sieurs et mesdames! Le cirque presentement le mous' amusant et amazeant!* Nie brzmiało to może zupełnie tak, jak tu napisałem, ale daje jakieś takie pojęcie o jego dziwacznej francuszczyźnie. Delacroix wydawał następnie z głębi gardła warkotliwy odgłos - przypuszczam, że miało to przypominać werbel - i puszczał szpulę po podłodze. Pan Dzwoneczek natychmiast ją doganiał i albo popychał nosem, albo toczył przed sobą łapkami. Zwłaszcza ta druga sztuczka była czymś, za obejrzenie czego naprawdę zapłacilibyście forszę w cyrku. Delacroix, jego mysz i jaskrawo pokolorowana szpulka były głównymi atrakcjami Zielonej Mili, kiedy pod naszą opiekę i nadzór trafił John Coffey, i przez jakiś czas nic się pod tym względem nie zmieniło. A potem z powrotem zaczęła mnie

dręczyć infekcja dróg moczowych, a na blok przybył William Wharton i rozpętało się prawdziwe piekło.



Daty powypadały mi w większości z głowy. Przypuszczam, że mógłbym poprosić moją wnuczkę, Danielle, żeby poszukała ich w starych gazetach, ale co by to dało? Najważniejszych dat, jak dzień, gdy podeszliśmy do celi Delacroix i zobaczyliśmy siedzącą mu na ramieniu mysz albo kiedy na blok przybył William Wharton i o mało nie zabił Deana Stantona, i tak nie znajdzie się w gazetach. Lepiej chyba pisać tak, jak to robiłem do tej pory; daty nie mają w końcu tak dużego znaczenia, jeśli ktoś pamięta to, co widział, i potrafi ułożyć zdarzenia w odpowiedniej kolejności.

Wypadki zaczęły się toczyć szybciej. Kiedy z gabinetu Curtisa Andersena dotarły do mnie papiery dotyczące Delacroix, z zaskoczeniem odkryłem, że randka naszego Francuza ze Starą Iskrówą została wyznaczona wcześniej, niż się spodziewaliśmy - o czymś takim praktycznie nie słyszało się nawet w tamtych czasach, gdy nie trzeba było poruszyć połowy niebios i całej ziemi, żeby wykonać na kimś wyrok śmierci. Chodziło chyba o dwa dni; egzekucja została przesunięta z dwudziestego siódmego na dwudziesty piąty października. Nie ręcę za to słowem, ale raczej się nie mylę; pamiętam, jak pomyślałem, że Tu-Tut odzyska swoje pudełko po cygarach wcześniej, niż tego oczekiwał.

Opóźniło się natomiast przybycie Whartona. Po pierwsze jego proces trwał dłużej, niż sądzili wiarygodni na ogół informatorzy Andersena (gdy chodziło o Dzikiego Billa, nic nie było wiarygodne, nawet nasze sprawdzone w ciągu wielu lat i podobno niezawodne metody kontroli więźnia). Po drugie już po wydaniu werdyktu - tak przynajmniej napisali w aktach - zabrano go do szpitala w Indianoli na badania. Podczas rozprawy miał kilka ataków, dwa razy do tego stopnia poważnych, że przewrócił się i leżał, dygocząc, podskakując i bębniąc piętami o podłogę. Wyznaczony z urzędu adwokat twierdził, że Wharton cierpi na epilepsję i popełnił swoje zbrodnie w stanie niepoczytalności; prokurator uważał, że omdlenia i konwulsje są oszustwem tchórza, który rozpaczliwie stara się ocalić swoje nędzne życie. Po obejrzeniu na własne oczy rzekomych ataków epilepsji ława przysięgłych orzekła, że są symulowane. Sędzia przychylił się do tej opinii, ale po wydaniu werdyktu zlecił przeprowadzenie serii badań. Bóg jeden wie dlaczego; może był po prostu ciekawy.

To istny cud, że Wharton nie uciekł ze szpitala (w którym, jak na ironię, przebywała w tym samym czasie żona dyrektora Mooresa, Melinda). Przypuszczam, że pilnowało go bez przerwy kilku strażników, a poza tym wciąż miał nadzieję, że uznają go za niepoczytalnego z

powodu epilepsji, jeśli oczywiście ją stwierdzą.

Nie stwierdzili. Lekarze nie wykryli żadnych zmian w jego mózgu - przynajmniej fizjologicznych - i Billy "Kid" Wharton zjawił się w końcu w Cold Mountain. Stało się to szesnastego albo osiemnastego października; pamiętam, że przybył do nas prawie dwa tygodnie po Johnie Coffeyu i tydzień albo dziesięć dni przed wykonaniem wyroku na Delacroix.

Dzień, w którym przyjeśliśmy na blok naszego nowego psychopatę, obfitował dla mnie w wiele wydarzeń. Obudziłem się o czwartej rano z pulsującym bólem w kroczu i nabrzmiałym rozpalonym penisem. Jeszcze nim spuściłem nogi z łóżka, wiedziałem, że wbrew temu, co sądziłem, stan mojego zdrowia wcale się nie poprawił. Infekcja cofnęła się tylko na krótko, a teraz wracała.

Wyszedłem do wygodki, żeby się załatwić - dopiero trzy lata później zamontowaliśmy pierwszy ustęp z bieżącą wodą - ale mijając stertę drewna stojącą przy domu, zdałem sobie sprawę, że nie zdołam się powstrzymać ani chwili dłużej. Zsunąłem w dół spodnie od pizamy i dokładnie w tym samym momencie z penisa trysnęła struga moczu. Towarzyszył jej najbardziej potworny ból, jakiego doznałem w całym swoim życiu. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym roku miałem atak woreczka żółciowego i wiem, że ludzie twierdzą, iż nic nie może się z nim równać, ale ten atak był niczym lekka nadkwasota w porównaniu z tym, co wówczas poczułem.

Ugięły się pode mną nogi, osunąłem się ciężko na kolana i podarłem spodnie w kroku, rozstawiając szeroko nogi, żeby nie stracić równowagi i nie runąć twarzą w kałużę własnej uryny. Upadłbym mimo to, gdybym nie chwycił się lewą ręką za jedno z bierwion. Wszystko to mogło się zresztą dziać w Australii albo nawet na innej planecie. Całą moją uwagę zaprzętał ból, który płonął we mnie żywym ogniem; paliło mnie podbrzusze, a penis - organ, o którym pamiętałem wyłącznie wtedy, gdy dostarczał mi najbardziej intensywnej przyjemności, jakiej może doznać mężczyzna - wydawał się topić w żarze. Spoglądając w dół, sądziłem, że zobaczę tryskający z niego strumień krwi, ujrzałem jednak najzwyczajniejszy w świecie mocz.

Opierając się jedną ręką o stos drewna, drugą zasłoniłem usta, całą siłą woli powstrzymując okrzyk bólu. Nie chciałem przerazić mojej żony. Wydawało mi się, że nigdy nie przestanę sikać, jednak w końcu strumień moczu ustał. W tym momencie ból przeszywał cały mój brzuch i jądra; miałem wrażenie, że rozdzierają je pokryte rdzą stalowe zęby. Przez dłuższą chwilę - mogło to trwać co najmniej minutę - nie byłem w stanie się podnieść. W końcu ból zaczął słabnąć i podźwignąłem się na nogi. Patrząc na wsiąkający w ziemię mocz,

zastanawiałem się, czy zdrowy na umyśle Bóg mógł stworzyć świat, w którym wylanie z siebie tych paru kropel powoduje tak potworny ból.

Wezmę zwolnienie, pomyślałem, i wybiorę się jednak do doktora Sadlera. Nie znosiłem mdłości, jakie wywoływały jego tabletki, lecz wszystko było lepsze od tego, co czułem, kiedy klęczałem zagryzając wargi przy stercie drewna, a mój członek meldował, że oblano go naftą i podpalono.

Potem jednak, łykając aspirynę w kuchni i słuchając dochodzącego z sypialni cichego pochrapywania Janice, przypomniałem sobie, że właśnie dzisiaj przybywa na blok William Wharton i że nie będzie tam Brutala - wyznaczono go do pomocy przy przenosinach biblioteki i ambulatorium do nowego budynku. Mimo okropnego bólu nie mogłem pozostawić Whartona Deanowi i Harry'emu. Byli dobrymi strażnikami, ale Curtis Andersen zaznaczył w swoim raporcie, że William Wharton jest wyjątkowym sukinsynem. "Facetowi jest po prostu wszystko jedno", napisał, po czym podkreślił dwa razy to zdanie.

W tym momencie ból trochę ustąpił i byłem w stanie się skoncentrować. Doszedłem do wniosku, że najlepiej będzie, jeśli wybiorę się wcześniej do więzienia. Mogłem tam być już o szóstej, w porze kiedy przychodził na ogół do pracy dyrektor Moores. Poproszę go, żeby na czas przyjęcia Williama Whartona przesunął Brutusa Howella na blok E, a potem złożę od dawna odkładaną wizytę lekarzowi. Cold Mountain leżało po drodze.

Dwukrotnie podczas jazdy do więzienia zatrzymywała mnie nagła potrzeba. Za każdym razem byłem w stanie zjechać na bok i nie narażając się na wstyd uporać z problemem (ruch na bocznych drogach był zresztą o tej porze prawie zerowy). Żadna z tych dwóch chwil nie była tak bolesna jak ta, kiedy zwałem się z nóg idąc do wygodki, a jednak za każdym razem zaciskałem kurczowo palce na klamce mojego małego forda coupe, żeby zachować równowagę, i czułem, jak po rozpalonej twarzy spływają mi strużki potu. Byłem poważnie chory, to nie ulegało kwestii.

W końcu się dowlokłem. Wjechałem przez południową bramę, zaparkowałem na swoim miejscu i ruszyłem na górę, żeby zobaczyć się z dyrektorem. Minęła właśnie szósta. Sekretariat, w którym urzędowała panna Hannah, był pusty - pojawiała się na ogół o stosunkowo cywilizowanej godzinie siódmej - ale w gabinecie Mooresa paliło się światło. Zapukałem do drzwi i nie czekając na odpowiedź, wszedłem do środka. Moores podniósł wzrok, zdumiony, że ktoś zagląda do niego o tak niezwyklej porze, i oddałbym w tym momencie wszystko, żeby nie widzieć go w takim stanie, kompletnie odsłoniętego i bezbronno. Jego białe włosy, zazwyczaj elegancko uczesane, sterczały każdy w inną stronę; kiedy wszedłem, wbijał w nie dłonie, tak jakby chciał je wyrwać z głowy. Miał

zaczerwienione i podpuchnięte oczy, a niedowład mięśni był gorszy, niż kiedykolwiek u niego widziałem; wyglądał jak człowiek, który wrócił właśnie z długiego spaceru na siarczystym mrozie.

- Przepraszam, Hal, zajrzę do ciebie później - powiedziałem.

- Nie - odparł. - Proszę cię, wejdz, Paul. Zamknij drzwi i wejdz. Nigdy jeszcze nie potrzebowałem tak bardzo czyjeś obecności. Zamknij drzwi i wejdz do środka.

Zrobiłem, o co mnie poprosił, po raz pierwszy, od chwili gdy się obudziłem, zapominając o swoim własnym bólu.

- To guz mózgu - oznajmił. - Widać go na rentgenie. Byli z tego zdjęcia bardzo zadowoleni. Jeden z nich stwierdził, że to najlepszy rentgen, jaki komukolwiek udało się zrobić, przynajmniej do tej pory; chcą zamieścić zdjęcie w jakimś ważnym medycznym piśmie w Nowej Anglii. Guz jest wielkości cytryny i sięga tak głęboko, że nie mogą go operować. Stwierdzili, że umrze przed Bożym Narodzeniem. Nie powiedziałem jej. Nie wiem, jak to zrobić. Nie mam pojęcia.

A potem zaczął płakać, zanosząc się głośnym szlochem, który sprawił, że poczułem jednocześnie żal i rodzaj przerażenia - kiedy człowiek, który kontroluje się tak jak Hal Moores, traci nad sobą w końcu panowanie, po prostu strach na to patrzeć. Stałem przez chwilę w miejscu, a potem podszedłem i objąłem go ramieniem. Moores złapał mnie wpół i wyzbywając się wszelkich zahamowań, zaczął łkać z głową przytuloną do mojego brzucha. Później, kiedy się opanował, przeprosił mnie. Zrobił to, unikając mojego wzroku, jak ktoś, kto wie, że strasznie się zblamował, tak strasznie, że być może trudno mu będzie z tym dalej żyć. Ktoś taki może znienawidzić osobę, która oglądała go w tym stanie. Moores nie był do tego zdolny, ale pod wpływem tych wydarzeń w ogóle zapomniałem poruszyć sprawę, z którą do niego przyszedłem. Po wyjściu z gabinetu zamiast z powrotem do samochodu ruszyłem na blok E. Zadziałała już wtedy aspiryna i ból w podbrzuszu ograniczał się do lekkiego pulsowania. Przetrwam jakoś ten dzień, postanowiłem, dopilnuję przyjęcia Whartona, a po południu odwiedzę ponownie Mooresa i załatwię sobie zwolnienie na jutro. Najgorsze mam już za sobą, pomyślałem, nie mając pojęcia, że zła passa dopiero się zaczęła.

- Myśleliśmy, że jest wciąż otumaniony po badaniach - stwierdził po południu Dean. Miał niski, schrypnięty głos, przypominający szczekanie psa i purpurowo-czarne sińce na szyi. Widziałem, że mówienie sprawia mu ból i zastanawiałem się, czy nie poprosić go, żeby przestał, ale czasami bardziej boli, gdy człowiek zachowuje milczenie. Uznałem, że tak właśnie rzecz ma się w tym wypadku, i dałem mu spokój. - Myśleliśmy wszyscy, że jest otumaniony, prawda? - powtórzył.

Harry Terwilliger pokiwał głową i po chwili zrobił to nawet Percy, który siedział z boku z ponurą miną.

Brutal spojrzał na mnie i przez moment patrzyliśmy sobie prosto w oczy. Myśleliśmy w gruncie rzeczy to samo: że tak to właśnie wygląda. Człowiek przestrzega przez całe życie regulaminu, a potem popełnia jeden głupi błąd i niebo wali mu się na głowę. Sądzi, że jest otumaniony po lekach, mieli prawo tak przypuszczać, ale żaden nie zapytał, czy tak jest w istocie. W oczach Brutala zobaczyłem chyba coś jeszcze: świadomość, że Harry i Dean wyciągną wnioski ze swojego błędu. Zwłaszcza Dean, który o mały włos się nie przekreślił. Tylko Percy nie wyciągnie żadnych wniosków. Percy chyba tego nie potrafił. Umiał tylko siedzieć w kącie i się dąsać, ponieważ znowu wdepnął w samo gówno.

Do Indianoli po Dzikiego Billa Whartona wybrało się ich siedmiu: Harry, Dean, Percy i jeszcze po dwóch strażników z tyłu i z przodu (zapomniałem ich nazwisk, chociaż jestem przekonany, że kiedyś je znałem). Pojechali tak zwanym dylizanssem, czyli ciężarówką marki Ford ze wzmocnionymi stalowymi ścianami i podobno kuloodpornymi szybami. Wyglądała jak skrzyżowanie cysterny i pojazdu opancerzonego.

Dowodzący ekspedycją Harry Terwilliger przekazał papiery szeryfowi (nie Homerowi Cribusowi, lecz, z tego, co wiem, jakiemuś innemu obieralnemu palantowi), który przekazał im w zamian pana Williama Whartona, łotra *extraordinaire*, jak mógłby go nazwać Delacroix. Wysłaliśmy wcześniej więzienny uniform, ale szeryf i jego ludzie nie zadali sobie trudu, żeby go weń przyodziać; zostawili to naszym chłopcom. Kiedy zobaczyli go na pierwszym piętrze szpitala, Wharton, kościsty facet z wąską pryszczatą gębą i długimi potarganymi blond włosami, miał na sobie bawełnianą szpitalną koszulę i tanie filcowe kapcie. Jego tyłek, również wąski i również pryszczaty, wystawał spod koszuli. Tę część ciała Harry i reszta zobaczyli najpierw, bo kiedy tam weszli, Wharton stał w oknie i wyglądał na

parking. Nie odwrócił się, ale stał bez słowa, trzymając w jednej ręce odsuniętą zasłonę, podczas gdy Harry ochrzaniał szeryfa za to, że nie chciało mu się przebrać Whartona w więzienne drelichy, a szeryf - jak każdy znany mi małomiasteczkowy dygnitarz - udzielał mu w odpowiedzi wykładu o tym, co należy, a co nie należy do jego obowiązków.

Kiedy Harry'ego znudziła ta część programu (wątpię, żeby trwało to dłużej niż kilkanaście sekund), kazał Whartonowi odwrócić się przodem. Wharton zrobił to. Wyglądał, oznajmił nam Dean swoim szczekliwym ochrypłym głosem, jak typowy udający wielkiego chojraka wiejski opryszek, taki, jakich tysiące przewinęły się przez Cold Mountain w czasie, gdy tam pracowaliśmy. Pod buńczuczną maską kryją tylko podłość i agresję. Czasem, kiedy są osaczeni, również tchórzostwo, ale najczęściej tylko podłość i agresję, podłość i agresję. Są ludzie, którzy w facetach pokroju Billy'ego Whartona dostrzegają jakiś szlachetny rys, ale ja do nich nie należę. Szczur również walczy, kiedy zapędzi się go w ślepy zaułek. Na twarzy Billa nie malowało się więcej ludzkich uczuć niż na jego pryszczatym tyłku, powiedział nam Dean. Z ust ciekła mu strużka śliny, miał nieobecne oczy, pochyle ramiona i zwisające po bokach ręce. Wydawał się kompletnie naszpikowany morfiną, przymulony dokładnie tak samo jak wszyscy narkomani, których oglądali wcześniej.

Słuchając relacji Deana, Percy po raz kolejny kiwnął głową.

- Włóż to - rozkazał Harry Whartonowi, wskazując leżące na łóżku drelichy. Ktoś wyjął je z brązowego papieru, w który zostały zapakowane, poza tym jednak nie ruszył nawet palcem - leżały dokładnie tak, jak przygotowano je w więziennej pralni. Z jednego rękawa koszuli wystawały białe bawełniane szorty, z drugiego para białych skarpetek.

Wharton wydawał się całkowicie uległy, ale nie był w stanie ubrać się bez pomocy strażników. Udało mu się włożyć szorty, kiedy jednak przyszło do spodni, usiłował bezskutecznie wsadzić obie nogi do jednej nogawki. Dean pomógł mu w końcu, wsuwając stopy tam, gdzie było ich miejsce, i zapinając rozporek. Wharton stał spokojnie. Nie próbował nawet ruszyć palcem, gdy się zorientował, że Dean i tak zrobi wszystko za niego. Gapił się bezmyślnie w ścianę, ze zwisającymi w dół rękoma, i żadnemu z nich nie przyszło do głowy, że symuluje. Nie dlatego, że chciał uciec (tak mi się przynajmniej wydaje). Chodziło mu o to, by sprawić jak najwięcej kłopotów, kiedy nadarzy się odpowiednia okazja.

Papiery zostały podpisane. William Wharton, który w momencie aresztowania stał się własnością hrabstwa, teraz przeszedł na własność stanu. Poprowadzono go pod eskortą tylnymi schodami na parter i przez kuchnię. Szedł ze spuszczoną głową i luźno dyndającymi dłońmi o długich palcach. Za pierwszym razem, gdy spadła mu czapka, Dean włożył mu ją z powrotem na głowę. Za drugim wetknął ją po prostu do własnej kieszeni.

Mógł narozrabiać, kiedy zakuwali go z tyłu karetki, ale nie skorzystał z tej okazji. Jeśli rozumował logicznie (nawet dzisiaj nie jestem pewien, czy był do tego zdolny), musiał dojść do wniosku, że przestrzeń jest zbyt mała, a strażników zbyt wielu, by urządzić porządną zadymę. Założono mu więc łańcuchy, jeden między kostkami, a drugi - jak się okazało, zbyt długi - między nadgarstkami.

Jazda do Cold Mountain zajęła godzinę. Przez cały ten czas Wharton siedział na ławce po lewej stronie tuż przy kabinie, ze spuszczoną głową i skutymi rękoma, które zwisały luźno między kolanami. Co jakiś czas nucił coś pod nosem, oświadczył Harry, a Percy ocknął się z zadumy i dodał, że z ust złamasa sączyła się ślina, kropla po kropli, tak że w końcu między jego stopami utworzyła się całkiem spora kałuża. Ślinił się jak pies, któremu kapie z pyska w gorący letni dzień.

Wjechali przez południową bramę mijając, jak sędzę, po drodze mój samochód. Strażnik odsunął wielkie drzwi dzielące parking od spacerniaka i dylizans wtoczył się do środka. W pobliżu było niewielu więźniów; większość z nich pracowała w ogrodzie. Trwał właśnie sezon zbierania dyń. Karetka podjechała prosto do bloku E i zatrzymała się. Kierowca otworzył drzwi i powiedział, że jedzie do garażu, żeby zmienić olej, i że przyjemnie mu się z nimi pracowało. Dodatkowi strażnicy odjechali razem z nim, zajadając jabłka w kabinie, której otwarte tylne drzwi bujały się na zawiasach.

Dean, Harry i Percy zostali sami z jednym zakutym w kajdany więźniem. Powinno to wystarczyć i wystarczyłoby, gdyby nie dali się nabrać chudemu jak patyk wiejskiemu parobkowi, który po wyjściu z furgonetki stanął ze spuszczoną głową na środku dziedzińca. Przeszli z nim kilkanaście kroków do drzwi bloku E, w takim samym szyku, w jakim maszerowaliśmy, prowadząc skazańców przez Zieloną Milę. Harry eskortował go z lewej, Dean z prawej, a Percy z tyłu, trzymając w ręku pałkę. Nikt mi o tym nie powiedział, ale dobrze wiedziałem, że ją wyjął; Percy kochał tę swoją hikorową łagę. Jeśli chodzi o mnie, siedziałem w celi - w której miał zamieszkać Wharton aż do momentu, gdy będzie musiał zameldować się w przedsionku piekła - pierwszej z prawej strony, patrząc w stronę izolatki.

Trzymałem w rękach dokumenty i myślałem wyłącznie o tym, żeby wygłosić swoją mowę i zabierać się stamtąd do diabła. Ból w kroczu ponownie się nasilał i chciałem jak najszybciej wrócić do gabinetu i poczekać, aż ustanie.

Dean dał krok do przodu, żeby otworzyć drzwi. Wybrał właściwy klucz z kółka przy pasku i wsunął go w zamek. Wharton ocknął się dokładnie wtedy, gdy Dean przekręcił klucz i nacisnął klamkę. Wydał z siebie przenikliwy nieartykułowany wrzask - coś w rodzaju bitewnego okrzyku - który sparaliżował na jakiś czas Harry'ego i całkowicie wyłączył z akcji

Percy'ego Wetmore'a. Usłyszałem ten krzyk przez lekko uchylone drzwi i w pierwszym momencie nie skojarzyłem go w ogóle z dźwiękiem wydawanym przez ludzką istotę; myślałem, że to pies, który dostał się na spaceriak i oberwał od jakiegoś złośliwego więźnia w łeb podkową.

Wharton przerzucił łańcuch, który zwisał między jego dłońmi, przez głowę Deana i zaczął go dusić. Dean zacharczał i skoczył do przodu, w zimne elektryczne światło naszego małego świata, ale Wharton z radością ruszył w ślad za nim, nawet go popchnął, przez cały czas wrzeszcząc i zanosząc się dzikim śmiechem. Zgiął ręce w łokciach, zaciśnięte dłonie podciągnął pod uszy Deana i ściągał łańcuch tak mocno, jak tylko mógł, szorując nim po jego szyi raz w jedną, raz w drugą stronę.

Harry skoczył mu na plecy, złapał za brudne włosy i zdzielił z całej siły pięścią w twarz. Miał przy pasie zarówno pałkę, jak i pistolet, ale w podnieceniu zupełnie o nich zapomniał. Kłopoty z więźniami zdarzały nam się oczywiście już wcześniej, ale żaden nie zaskoczył nas tak kompletnie jak Wharton. Spryt tego człowieka przerastał nasze doświadczenie. Nigdy, ani przedtem, ani potem, nie zetknąłem się z czymś podobnym.

I był silny. Zniknęła gdzieś cała jego senna rozlazłość. Harry miał wrażenie, że skoczył w sam środek napiętych stalowych sprężyn, które nagle rozprostowywały się jedna za drugą. Wharton zatoczył się w lewo i zrzucił z siebie Harry'ego, który odbił się od biurka oficera dyżurnego i runął na podłogę.

- Juhuuu, chłopaki! - zawył nasz przybysz. - Ale mamy zabawę, nie? No, powiedzcie sami!

Wrzeszcząc i zanosząc się śmiechem, przystąpił z powrotem do duszenia Deana łańcuchem. Dlaczego nie? Wiedział to samo co my; mogliśmy go usmażyć tylko raz.

- Uderz go! Uderz go, Percy! - wrzasnął Harry, gramoląc się na nogi. Ale Percy stał w miejscu, zaciskając w ręku hikorową pałkę, z oczyma wielkimi jak filizanki. Oto nadarzała się w końcu okazja, na którą tak długo czekał, wspaniała sposobność, by zrobił dobry użytek ze swojej broni, lecz on był zbyt przestraszony i dezorientowany, żeby kiwnąć palcem. To nie był jakiś bojaźliwy mały Francuz albo czarny olbrzym, który zdawał się być gościem we własnym ciele; to był wcielony diabeł.

Wybiegłem z celi Whartona, rzucając na podłogę dokumenty i wyciągnąłem z kabury moją trzydziestkę. Po raz drugi tego dnia zapomniałem o infekcji, która paliła moje wnętrzności. Nie miałem powodu wątpić w to, co opowiadano o pustym obliczu oraz nieobecnych oczach naszego gościa, w tym momencie jednak zobaczyłem przed sobą zupełnie innego Whartona. Zobaczyłem zwierzęcą mordę, na której malowały się spryt,



podłość i radość. Tak, radość. Nareszcie robił to, do czego był stworzony. Miejsce i okoliczności nie miały znaczenia. Zobaczyłem także nabrzmiałą czerwoną twarz Deana Stantona. Umierał na moich oczach. Wharton spostrzegł pistolet i obrócił Deana w moją stronę, tak że strzelając musiałbym teraz trafić obydwu. Łypiące zza ramienia Deana niebieskie oko prowokowało mnie do strzału.

## **Część trzecia**

# **DŁONIE COFFEYA**

### **I**

Przeglądając to, co do tej pory napisałem, widzę, że miejsce, gdzie teraz mieszkam, nazwałem domem opieki. Ludzie, którzy go prowadzą, nie byłiby z tego zbytnio zadowoleni. Według broszur, które trzymają w hallu i wysyłają potencjalnym klientom, to “supernowoczesny ośrodek wypoczynkowy dla ludzi w podeszłym wieku”. Mamy tu nawet Centrum Rekreacji - tak przynajmniej twierdzą autorzy broszury. Ci, którzy muszą tu mieszkać (w prospekcie nie określa się nas mianem “więźniów”, ale ja czasami to robię), nazywają je po prostu pokojem telewizyjnym.

Uważany jestem za odludka, ponieważ nie schodzę zbyt często w ciągu dnia na telewizję, ale to nie moi współlokatorzy działają mi na nerwy, lecz programy, które oglądają. Oprah, Ricki Lake, Carnie Wilson, Rolanda - świat wali nam się na głowy, ale te osoby interesuje wyłącznie gadanie o pieprzeniu się z kobietami w krótkich spódniczkach i mężczyznami w rozpiętych na piersi koszulach. Dobrze, wiem, nie sądzicie, żebyście nie byli sądzeni, powiada Biblia, i nie zamierzam tu wygłaszać kazań. Chodzi tylko o to, że gdybym chciał spędzić trochę czasu z hołotą z przyczep kempingowych, skoczyłbym dwie mile do Happy Wheels Motor Court, gdzie w piątek i sobotę wieczór zasuwiają zawsze samochody policyjne z włączonymi syrenami i błyskającymi na dachu niebieskimi światłami. Moja specjalna przyjaciółka, Elaine Connelly, uważa tak samo. Elaine ma osiemdziesiąt lat, świetny wzrok i wciąż wyprostowaną sylwetkę. Jest szczupłą, bardzo inteligentna i wytworna. Porusza się powoli, ponieważ coś jest nie w porządku z jej biodrami, i wiem, że strasznie dokuczają jej bóle stawów w dłoniach, ale ma piękną długą szyję - niemal łabędzią - i długie ładne włosy, które opadają jej na ramiona, kiedy je rozpuści.

A co najważniejsze, nie uważa, żebym był odludkiem albo zadzierał nosa. Spędzamy razem dużo czasu, Elaine i ja. Gdybym nie dożył takiego groteskowego wieku, przypuszczam, że mógłbym ją nazwać moją dziewczyną. Posiadanie specjalnej przyjaciółki - po prostu tak - nie jest jednak takie złe, a pod pewnymi względami nawet lepsze. Mnóstwo problemów, które wyłaniają się, kiedy ktoś jest czymś chłopakiem lub dziewczyną, nas po prostu nie dotyczy. I chociaż wiem, że nie uwierzy w to nikt poniżej, powiedzmy,

pięćdziesiątki, czasami stygnący żar jest lepszy od obozowego ogniska. To dziwne, ale prawdziwe.

Nie oglądam więc telewizji w ciągu dnia. Czasami wychodzę na spacer, czasami czytam, a mniej więcej od miesiąca najczęściej piszę ten pamiętnik na oszklonej werandzie, pośród roślin. Jest tam chyba więcej tlenu i to pomaga odświeżyć stare wspomnienia. Geraldo Rivera nawet się do tego nie umywa, zaręczam wam.

Kiedy jednak nie mogę zasnąć w nocy, schodzę czasami ukradkiem na dół i włączam telewizor. W Georgia Pines nie mamy HBO ani nic w tym rodzaju - przypuszczam, że to rozrywka trochę zbyt droga jak na nasze Centrum Rekreacji - ale możemy korzystać z większości programów, w tym także z American Movie Channel. To ten kanał (na wypadek, gdybyście sami nie mieli kablówki), gdzie większość filmów jest czarno-biała i żadna z kobiet nie zdejmuje z siebie ubrania. Dla takiego starego pierdoły jak ja to coś kojącego. Nieraz przespiałem całą noc na brzydkiej zielonej sofie przed telewizorem, podczas gdy Francis Gadający Muł ponownie wyciągał z ognia kociołek Donalda O'Connora, John Wayne robił porządek w Dodge City, a Jimmy Cagney nazywał kogoś brudnym szczurem i wyciągał pistolet z kabury. Niektóre z tych filmów widziałem wcześniej z moją żoną Janice (nie tylko moją przyjaciółką od serca, ale najlepszym przyjacielem, jakiego miałem) i teraz mnie uspokajają. Stroje, jakie tam noszą, sposób, w jaki się odzywają i poruszają, nawet muzyka ze ścieżki dźwiękowej - wszystko to mnie uspokaja. Przypominam sobie chyba wtedy okres, kiedy byłem mężczyzną, od którego to i owo zależało, a nie nadgryzionym przez mole antykiem, dożywającym swoich dni w domu starców, gdzie powszechnie używa się pieluch i gumowych majtek.

Nic kojącego nie było jednak w tym, co zobaczyłem dziś rano. Nic a nic.

Elaine ogląda czasami razem ze mną nadawany na AMC tak zwany *Seans dla Rannych Ptaszków*, który zaczyna się o czwartej rano; prawie nigdy o tym nie wspomina, ale wiem, że porządnie daje jej się we znaki artretyzm, a leki, które bierze, niewiele pomagają.

Kiedy przyszła tego ranka, sunąc niczym zjawą w swoim białym szlafroku frotte, siedziałem na powybrzuszanej sofie, pochylając się nad cienkimi patykami, które były kiedyś moimi nogami, i zaciskając kolana, żeby opanować dreszcz, który wstrząsał mną niczym poryw wichury. Czulem chłód wszędzie z wyjątkiem krocza, nękanego chyba wspomnieniem infekcji dróg moczowych, która tak bardzo doskwierała mi jesienią tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku - jesienią Johna Coffeya, Percy'ego Wetmore'a i tresowanej myszy, czyli Pana Dzwoneczka.

A także jesienią Williama Whartona.

- Paul! - zawołała Elaine i podeszła do mnie szybkim krokiem; na tyle szybkim, na ile pozwalały tkwiące w jej biodrach zardzewiałe gwoździe i potłuczone szkło. - Co się stało, Paul?

- Nic mi nie będzie - powiedziałem, ale nie brzmiało to przekonująco; każde słowo wydobywało się z trudem przez zęby, które miały wielką ochotę zadzwonić na jutrznię. - Daj mi tylko kilka minut, a będę zdrow jak ryba.

Usiadła przy mnie i objęła mnie ramieniem.

- Wcale w to nie wątpię - stwierdziła. - Ale co się stało? Na litość boską, Paul, wyglądasz, jakbyś ujrzał ducha.

Ujrzałem go, przyszło mi na myśl, i dopiero kiedy otworzyła szerzej oczy, zdałem sobie sprawę, że powiedziałem to na głos.

- Niedosłownie - dodałem i poklepałem ją po dłoni (delikatnie, tak delikatnie!). - Tylko przez chwilę, Elaine... Mój Boże!

- Czy to ma związek z okresem, kiedy byłeś strażnikiem w więzieniu? - zapytała. - Z okresem, o którym piszesz na werandzie?

Pokiwałem głową.

- Pracowałem w czymś w rodzaju Korytarza Śmierci... - zacząłem.

- Wiem...

- Tyle że my nazywaliśmy go Zieloną Miłą. Z powodu koloru linoleum. Jesienią trzydziestego drugiego roku przywieziono nam tego faceta... tego szaleńca... nazywał się William Wharton. Lubił wyobrażać sobie, że jest Billym Kidem, wytatuował to sobie nawet na ramieniu. Jeszcze dzieciak, ale niebezpieczny. Wciąż pamiętam, co napisał o nim Curtis Andersen, który był wtedy zastępcą dyrektora. "To kompletny szajbus i bardzo się tym szczyci. Ma dziewiętnaście lat i jest mu po prostu wszystko jedno". Te ostatnie słowa dwa razy podkreślił.

Ręka, którą mnie objęła, zaczęła masować mi plecy. Powoli się odprężyłem. W tym momencie czułem, że kocham Elaine Connelly i mógłbym to wyznać i obsypać pocałunkami całą jej twarz. Może powinienem był to zrobić. Niedobrze jest być samotnym i przestraszonym bez względu na wiek, ale najgorzej chyba znoszą to ludzie starzy. Miałem jednak na głowie inne sprawy, dręczyła mnie ta stara i wciąż nie zakończona historia.

- Tak czy owak - powiedziałem - masz rację. Pisałem o tym, jak Wharton przybył na blok i o mało nie zabił Deana Stanton, jednego ze strażników, z którymi wtedy pracowałem.

- Jak to się mogło zdarzyć? - zainteresowała się Elaine.

- Podłość i nieostrożność - wyjaśniłem ponuro. - Wharton był podły, a strażnicy,

którzy go eskortowali, nieostrożni. Największy błąd popełniono, zakładając Whartonowi kajdanki; łączący je łańcuszek był za długi. Kiedy Dean otwierał drzwi na blok E, Wharton stał tuż za nim. Po obu stronach miał strażników, ale Anderson się nie mylił: Dziki Billy po prostu nie dbał o takie rzeczy. Zarzucił Deanowi łańcuch na szyję i zaczął dusić.

Elaine zadrżała.

- Rozmyślając o tym wszystkim, nie mogłem zasnąć i w końcu zszedłem na dół. Włączyłem AMC, mając nadzieję, że może też zejdziesz i czeka nas mała randka...

Elaine roześmiała się i pocałowała mnie w czoło, tuż nad brwią. Robiło mi się dawniej cieplej na sercu, kiedy całowała mnie tak Janice, i poczułem ciepło tego ranka, gdy zrobiła to Elaine. Pewne rzeczy po prostu się nie zmieniają.

- ...i szedł właśnie ten czarno-biały gangsterski film z lat czterdziestych. *Pocałunek śmierci*, tak się nazywał. - Miałem wrażenie, że znowu zaczynam dygotać, i usiłowałem się opanować. - Z Richardem Widmarkiem - podjąłem po chwili. - To była chyba jego pierwsza duża rola. Nigdy nie obejrzałem go z Janice. Nie chodziliśmy na ogół na filmy o gangsterach, ale pamiętam, że przeczytałem gdzieś, iż Widmark był niesamowity w roli bandziora. I rzeczywiście. Facet jest blady jak śmierć... nie chodzi, ale raczej sunie w powietrzu... zwraca się do wszystkich "ty gnoju"... bez przerwy mówi o kapusiach... powtarza, jak bardzo ich nienawidzi... - Mimo najlepszych chęci nie mogłem powstrzymać drżenia kolan. - Ma jasne włosy - szepnąłem. - Proste jasne włosy. Oglądałem film aż do momentu, kiedy spycha ze schodów tę starszą panią na wózku, a potem wyłączyłem.

- Przypominał ci Whartona?

- To był Wharton - odparłem. - Wykapany.

- Paul... - powiedziała i umilkła. Spojrzała na martwy ekran telewizora (na stojącym na nim dekodерze widniała czerwona dziesiątka, numer American Movie Channel), a potem ponownie na mnie.

- Co? - zapytałem. - Co, Elaine?

Zaraz usłyszę, pomyślałem, że powinienem przestać o tym pisać. Że powinienem podrzeć zapisane do tej pory kartki i dać sobie spokój.

- Nie pozwól, żeby to cię powstrzymało - oznajmiła.

Zamurowało mnie.

- Zamknij usta, Paul, bo połkniesz muchę.

- Przepraszam... Chodzi o to, że...

- Myślałeś pewnie, że powiem dokładnie coś przeciwnego, prawda?

- Tak.

Wzięła moje ręce w swoje (delikatnie, tak delikatnie - jej długie delikatne palce i spuchnięte brzydkie kłykcie), pochyliła się do przodu i utkwiała swoje piwne oczy (lewe miała zasnutę lekko mgiełką katarakty) w moich niebieskich.

- Jestem może zbyt stara i zbyt krucha, żeby żyć - stwierdziła - ale nie jestem zbyt stara, żeby logicznie myśleć. Co znaczy w naszym wieku kilka bezsennych nocy? Albo fakt, że człowiek zobaczył w telewizji ducha? Nie powiesz chyba, że to jedyny, którego w życiu widziałeś?

Pomyślałem o dyrektorze Mooresie, o Harrym Terwilligerze i o Brutusie Howellu; pomyślałem o swojej matce i o swojej żonie, Janice, która zginęła w Alabamie. Zawarłem z duchami bliższą znajomość.

- Nie - odparłem. - To nie był pierwszy duch, którego widziałem. Ale tym razem przeżyłem szok, Elaine. Dlatego, że to był on.

Pocałowała mnie jeszcze raz, a potem wstała, krzywiąc się lekko i przyciskając dłonie do bioder, tak jakby się bała, że jeśli nie będzie bardzo ostrożna, mogą eksplodować i rozedrzeć jej skórę.

- Wydaje mi się, że zmieniłam zdanie co do telewizji - powiedziała. - Mam dodatkową tabletkę, którą zachowałam na deszczowy dzień. Chyba ją wezmę i wrócę do łóżka. Ty powinieneś zrobić to samo.

- Masz rację - mruknąłem. - Chyba powinienem. - Przez krótką szaloną chwilę chciałem poprosić ją, żebyśmy wrócili do łóżka razem, ale potem zobaczyłem tępy ból w jej oczach i zmieniłem zdanie... ponieważ mogła się zgodzić i zrobić to tylko ze względu na mnie.

Wyszedłem razem z Elaine z pokoju telewizyjnego (nie zaszczycę go tą inną nazwą, nawet żartem), starając się dostosować krok do jej powolnego i boleśnie ostrożnego stąpania. Ktoś jęczał w objęciach złego snu gdzieś za zamkniętymi drzwiami.

- Myślisz, że zdołasz zasnąć? - zapytała.

- Chyba tak - odparłem, ale oczywiście nie zdołałem. Leżałem aż do świtu, rozmyślając o *Pocałunku śmierci*. Widziałem śmiejącego się dziko Richarda Widmarka, który przywiązywał starszą panią do jej fotela na kółkach, a potem spychał po schodach. "Taki los czeka kapusiów", mówił, a potem jego twarz zmieniała się w twarz Williama Whartona, dokładnie taką samą, jaką zobaczyłem w dniu, kiedy przybył na blok E - Whartona, który zanosił się śmiechem niczym Widmark i wrzeszczał: "Ale mamy zabawę, nie? No, powiedzcie sami!". Po czymś takim nie miałem nawet ochoty na śniadanie; zszedłem od razu na werandę i zabrałem się do pisania.

Duchy?

Byłem z duchami za pan brat.

- Juhuuu, chłopaki! - zawył Wharton. - Ale mamy zabawę, nie? No, powiedzcie sami!

Wrzeszcząc i zanosząc się śmiechem, zaczął dusić Deana łańcuchem. Dlaczego nie? Wiedział to samo, co Dean, Harry i mój przyjaciel Brutus Howell; człowieka można usmażyć tylko raz.

- Uderz go! - wrzasnął Harry Terwilliger. Porwał się już wcześniej na Whartona, próbując zapobiec nieszczęściu, ale Wharton zrzucił go z pleców i Harry gramolił się teraz na nogi. - Uderz go, Percy!

Ale Percy stał w miejscu, zaciskając w rękę hikorową pałkę, z oczyma wielkimi jak filizanki. Uwielbiał tę swoją pałkę i ktoś mógłby powiedzieć, że oto nadarza się w końcu okazja, na którą czekał od momentu, gdy trafił do zakładu karnego w Cold Mountain... ale teraz za bardzo się bał, żeby zrobić z niej użytek. To nie był jakiś bojaźliwy mały Francuz albo czarny olbrzym, który zdawał się być gościem we własnym ciele, jak John Coffey; to był wcielony diabeł.

Wybiegłem z celi Whartona, rzucając na podłogę dokumenty, i wyciągnąłem z kabury moją trzydziestkęósemkę. Po raz drugi tego dnia zapomniałem o infekcji, która paliła moje wnętrzności. Nie miałem powodu wątpić w to, co opowiadano o pustym obliczu oraz nieobecnych oczach naszego gościa, w tej chwili jednak zobaczyłem przed sobą zupełnie innego Whartona. Zobaczyłem zwierzęcą mordę, na której malowały się spryt, podłość i radość. Tak, radość. Nareszcie robił to, do czego był stworzony. Miejsce i okoliczności nie miały znaczenia. Zobaczyłem także nabrzmiałą czerwoną twarz Deana Stanton. Umierał na moich oczach. Wharton spostrzegł pistolet i obrócił Deana w moją stronę, tak że strzelając musiałbym teraz trafić obydwu. Łypiące zza ramienia Deana niebieskie oko prowokowało mnie do strzału. Drugie oko kryło się za włosami Stanton. Widziałem Percy'ego, który stał za nimi jak wryty, z uniesioną do połowy pałką. A potem zdarzył się cud: w otwartych drzwiach pojawił się Brutus Howell. Skończyli przenosić sprzęt do nowego ambulatorium i przyszedł zapytać, czy ktoś nie chce kawy.

Nie wahał się ani chwili: odsunął na bok Percy'ego, który odbił się od ściany, aż zadzwoniły mu zęby, po czym wyciągnął zza pasa swoją własną pałkę i z całej siły walnął Whartona w tył głowy. Rozległ się głuchy odgłos - tak jakby pod czaszką Dzikiego Billa nie było żadnego mózgu - i dławiący Deana łańcuch rozluźnił się. Wharton osunął się na podłogę



niczym worek mąki, a Dean odczłogał się z wybałuszonymi oczyma na bok, zanosząc się kaszlem i trzymając ręką za gardło.

Kiedy przy nim uklęknęłam, potrząsnął energicznie głową.

- Zajmijcie się... nim! - wycharczał, wskazując ręką Whartona. - Zamknijcie go... w celi!

Nie sądziłem, żeby po uderzeniu Brutala Whartonowi była jeszcze potrzebna cela; wydawało mi się, że wystarczy mu trumna. Nie mieliśmy jednak tyle szczęścia. Wharton stracił przytomność, ale daleko mu było do śmierci. Leżał na boku z wyciągniętą do przodu ręką, dotykając koniuszkami palców linoleum Zielonej Mili. Oczy miał zamknięte, oddychał powoli, lecz regularnie. Na jego twarzy malował się pogodny uśmiech, tak jakby zasnął, słuchając ulubionej kołysanki. Wąska strużka krwi spływała mu z włosów i plamiła kołnierzyk świeżo wyfasowanej więziennej koszuli.

- Pomóż mi, Percy! - zawałałem.

Percy nie zareagował. Stał przy ścianie, wlepiając we mnie szeroko otwarte oczy. Nie sądzę, żeby w ogóle wiedział, gdzie się znajduje.

- Percy, do jasnej cholery, złap go z drugiej strony!

Dopiero teraz ruszył się z miejsca i po chwili dołączył do niego Harry. Wciągnęliśmy w trójkę nieprzytomnego pana Whartona do celi, a Brutal pomógł Deanowi stanąć na nogi i podtrzymywał go delikatnie jak matka, gdy ten zgiął się wpół i kurczowo łapał powietrze.

Nasz nowy lokator obudził się dopiero po trzech godzinach, kiedy to się jednak stało, nie znać było po nim żadnych efektów potężnego ciosu Brutala. Ocknął się tak samo, jak się poruszał: szybko. Jeszcze przed sekundą leżał na pryczy, nie dając znaków życia, a chwilę potem stał przy kratkach (poruszał się cicho jak kot) i obserwował, jak siedzę przy biurku i piszę raport na temat incydentu. Kiedy w końcu poczułem, że ktoś mi się przygląda, i podniosłem wzrok, uśmiechał się, szczerząc poczerwiałe zęby, między którymi widać już było parę ubytków. Jego widok sprawił, że zabiło mi szybciej serce. Próbowałem to przed nim ukryć, nie sądzę jednak, żeby mi się udało.

- Hej, łapsie - powiedział. - Następny będziesz ty. I tym razem nie skrewię.

- Cześć, Wharton - odparłem tak spokojnie, jak mogłem. - Biorąc pod uwagę okoliczności, możemy sobie chyba darować mowę powitalną, nie sądzisz?

Uśmiech zgasł na jego ustach. Nie takiej odpowiedzi oczekiwał i ja też nie odezwałbym się do niego w ten sposób w innej sytuacji. Ale coś wydarzyło się, kiedy był nieprzytomny. Coś, co stanowi, jak myślę, jeden z głównych powodów, dla których mozołę się, zapisując te kartki. Zobaczmy, czy mi uwierzycie, gdy wam o tym opowiem.

Gdy opadły emocje, Percy trzymał gębę zamkniętą na kłódkę; raz tylko wrzasnął na Delacroix. Wynikało to raczej z szoku aniżeli z wrodzonego taktu - moim zdaniem Percy Wetmore wiedział na temat taktu mniej więcej tyle, ile ja o plemionach czarnej Afryki - ale i tak bardzo to nam odpowiadało. Gdyby zaczął mieć pretensje do Brutala za to, że ten pchnął go na ścianę, albo dziwić się, dlaczego nikt nie poinformował go, iż na bloku E pojawiają się czasem tacy obwiesie jak Dziki Bili Wharton, chybabyśmy go zabili. Moglibyśmy wtedy odwiedzić Zieloną Miłą w zupełnie nowym charakterze. Jeśli się lepiej zastanowić, to całkiem zabawna myśl. Straciłem okazję, aby pójść w ślady Jamesa Cagneya z *Białego żaru*.

Tak czy owak, kiedy upewniliśmy się, że Dean oddycha i nie ma na razie zamiaru przenieść się na tamten świat, Harry i Brutal odprowadzili go do ambulatorium. Delacroix, który nie odezwał się ani słowem podczas całego zajścia (siedział w pace niejedną raz i wiedział, kiedy lepiej jest przymknąć jadaczkę, a kiedy można ją stosunkowo bezpiecznie otworzyć), zaczął awanturować się w swojej celi. Chciał wiedzieć, co się stało. Ktoś mógłby pomyśleć, że naruszono jego konstytucyjne prawa.

- Zamknij się, ty cioto! - wrzasnął Percy. Z wściekłości wystąpiły mu żyły na karku. Położyłem mu dłoń na ramieniu i poczułem, że cały drży. Częściowo wynikało to z nieprzewycięzonego do końca strachu (co jakiś czas muszę przypominać sobie, że problem Percy'ego polegał między innymi na tym, że miał tylko dwadzieścia jeden lat, niewiele więcej od Williama Whartona), głównie jednak z wściekłości. Facet nienawidził Delacroix. Nie wiem dlaczego, ale go nienawidził.

- Sprawdź, czy dyrektor Moores jest w swoim gabinecie - poleciłem - i poinformuj go, co się wydarzyło. Powiedz, że jeśli tylko zdążę, jutro rano otrzyma ode mnie pełny raport na piśmie.

Percy wypiął dumnie pierś, podejmując się tej ważnej misji; przez krótką chwilę bałem się, że mi zasalutuje.

- Tak jest. Poinformuję go.

- Zaczynaj od tego, że na bloku E panuje spokój. To nie jest powieść kryminalna i dyrektorowi z pewnością nie zależy na tym, żebyś stopniował napięcie.

- Nie zrobię tego.

- W porządku. Możesz odejść.

Ruszył w stronę drzwi, a potem się odwrócił. Jediną reakcją, której można się było po nim zawsze spodziewać, była przekora. Rozpaczliwie pragnąłem, żeby sobie poszedł, w kroczu paliło mnie żywym ogniem, lecz on najwyraźniej nie miał zamiaru się odmeldować.

- Dobrze się czujesz, Paul? - zapytał. - Nie masz gorączki? Nie złapałeś przypadkiem grypy? Masz taką spoconą twarz.

- Może i coś złapałem, ale w zasadzie czuję się dobrze - odparłem. - Idź, Percy, opowiedz o wszystkim dyrektorowi.

Kiwnął głową i wyszedł - chwała Bogu i za to. Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi, ruszyłem pędem do gabinetu. Pozostawienie nie obsadzonego biurka na korytarzu było niezgodne z regulaminem, ale nie miałem siły się o to martwić. Ból był paskudny - taki sam jak rano.

Udało mi się wcisnąć do małej, przylegającej do gabinetu toalety i wyjąć interes ze spodni, nim trysnął mocz, ale mało brakowało, żebym się spóźnił. Kiedy trysnął, zatkałem jedną dłonią usta, żeby zdusić krzyk, a drugą złapałem się po omacku umywalki. To nie był mój dom, gdzie mogłem paść na kolana i sikać koło sterty drewna; gdybym tutaj ukląkł, zalałbym całą podłogę.

Ostatkiem sił utrzymałem się na nogach i zdusiłem wzbierający w gardle krzyk. Miałem wrażenie, że w moczu pełno jest maleńkich okruchów stłuczonego szkła. Zapach dochodzący z sedesu był bagnisty i nieprzyjemny i widziałem pływające po powierzchni wody białe świństwo - prawdopodobnie ropę.

Ściągnąłem ręcznik z wieszaka i wytarłem nim twarz. Pot lał się ze mnie strumieniami. Zerknąłem w metalowe lustro i ujrzałem w nim rozpaloną twarz człowieka, którego trawi wysoka gorączka. Trzydzieści dziewięć? Czterdzieści stopni? Może lepiej było tego nie wiedzieć. Powiesiłem z powrotem ręcznik, spuściłem wodę i wyszedłem powoli z gabinetu. Bałem się, że na blok zajrzy Bill Dodge albo ktoś inny i zobaczy trzech więźniów pozostawionych bez dozoru, ale korytarz był pusty. Wharton wciąż leżał nieprzytomny na pryczy, Delacroix umilkł, a John Coffey, z czego zdałem sobie nagle sprawę, przez cały ranek w ogóle się nie odezwał. Nawet nie pisnął. To było niepokojące.

Ruszyłem korytarzem i zajrzałem do celi Coffeya, spodziewając się niemal, że popełnił samobójstwo w jeden z dwu najbardziej popularnych na bloku śmierci sposobów - wieszając się na własnych spodniach bądź też przegryzając żyły w nadgarstkach. Okazało się, że nie miałem racji. Coffey, największy mężczyzna, jakiego w życiu widziałem, siedział po prostu na swojej pryczy, trzymając ręce na kolanach i spoglądał na mnie swymi dziwnymi wilgotnymi oczyma.

- Kapitanie? - zapytał.
- O co chodzi, duży?
- Muszę się z panem zobaczyć.
- Czyż nie widzimy się właśnie w tej chwili, Johnie Coffeyu?

Nie odpowiedział ani słowem, mierzył mnie tylko tym swoim dziwnym zażawionym spojrzeniem.

- Poczekaj chwilę, duży.

Zerknąłem na Delacroix, który stał przy kratkach swojej celi. Jego mysz (Delacroix twierdził, że to on nauczył ją wszystkich sztuczek, ale my, którzy pracowaliśmy na Zielonej Mili, byliśmy zgodni co do tego, że Pan Dzwoneczek nauczył się ich sam) przebiegała niespokojnie z jednej wyciągniętej ręki Dela na drugą, niczym akrobata przeskakujący z pomostu na pomost, wysoko nad areną. Miała otwarte szeroko oczy, a uszy przylegały do jej szarego wąskiego łebka. Nie miałem wątpliwości, że udziela jej się zdenerwowanie Delacroix. Kiedy się jej przyglądałem, zbiegła po jego nogawce i pognąła do ściany, gdzie leżała pokolorowana jaskrawo szpulka. Przysunęła ją do jego stóp i podniosła z oczekiwaniem wzrok, ale mały Francuz przynajmniej na razie nie zwracał uwagi na swoją przyjaciółkę.

- Co się stało, szefie? - zapytał. - Kto został poszkodowany?

- Wszystko gra - odparłem. - Nasz nowy lokator pokazał lwie pazury, ale teraz leży cicho jak jagnię. Wszystko dobre, co się dobrze kończy.

- Jeszcze się nie skończyło - stwierdził Delacroix, spoglądając korytarzem w stronę celi, w której zapuszkowaliśmy Whartona. - *L'homme mauvais, c'est vrai!*

- Nie pozwól, żeby to spędzało ci sen z powiek, Del - poradziłem mu. - Nikt nie każe ci bawić się razem z nim w klasy na podwórku.

Za moimi plecami zaskrzypiała prycza, z której wstał Coffey.

- Szefie Edgecombe! - powiedział. Tym razem w jego głosie brzmiało wyraźne naleganie. - Musimy porozmawiać.

Odwróciłem się do niego, myśląc: w porządku, nie ma problemu, rozmowa to moja specjalność. Przez cały czas starałem się opanować drzenie, ponieważ gorączka, jak to często bywa, zmieniała się w zimne dreszcze. Z wyjątkiem pachwiny, która w dalszym ciągu paliła mnie, jakby ją rozcięto, wypełniono gorącymi węglami i zaszyto z powrotem.

- Więc rozmawiaj, Johnie Coffeyu - odparłem, starając się, żeby mój głos brzmiał lekko i spokojnie. Po raz pierwszy, odkąd przybył na blok E, John Coffey wyglądał, jakby naprawdę tu był, naprawdę przebywał wśród nas. Ciekące prawie nieustannie z kącików

jego oczu łązy wyschły, przynajmniej na razie, i miałem pewność, że widzi przed sobą Paula Edgecombe'a, głównego klawisza na bloku E, a nie jakieś miejsce, do którego chciałby wrócić i cofnąć tę straszną rzecz, którą popełnił.

- Nie - oznajmił. - Musi pan wejść do środka.

- Wiesz przecież, że nie mogę tego zrobić. Przynajmniej w tej chwili - powiedziałem, wciąż próbując lżejszego tonu. - Jestem teraz zupełnie sam, a ty ważysz co nieco więcej ode mnie. Mieliśmy tu już dzisiaj jedną awanturę i to na razie wystarczy. Więc jeśli ci to nie przeszkadza, pogawędzimy sobie po prostu przez kraty i...

- Proszę!

Zaciskał palce na kratkach tak mocno, aż pobladły mu kłykcie i krew odpłynęła z paznokci. Twarz poszarzała mu ze strapienia, a w dziwnych oczach płonęła jakaś potrzeba, której nie mogłem zrozumieć. Pamiętam, że pomyślałem wówczas, iż zrozumiałbym ją, gdybym tylko nie był taki chory, i że dzięki tej wiedzy zdołałbym mu może pomóc. Kiedy się zna potrzeby, które ma jakiś człowiek, wie się o nim prawie wszystko.

- Proszę, szefie Edgecombe! Musi pan wejść do środka!

To najgłupsza rzecz, jaką w życiu słyszałem, pomyślałem, a potem uświadomiłem sobie, że mam zamiar zrobić coś jeszcze głupszego: mam zamiar go posłuchać. Odczepiłem klucze od pasa i zacząłem szukać wśród nich tego, który otwierał celę Johna Coffeya. Mógł mnie złapać i złamać o kolano niczym szczapę drewna nawet w dniu, gdy czułem się silny i zdrowy, a ten dzień z pewnością do nich nie należał. Mimo to zamierzałem tam wejść. W pojedynkę, niespełna pół godziny po tym, jak przekonaliśmy się na własnej skórze, do czego prowadzi głupota i nierozwaga, gdy ma się do czynienia z oczekującymi na śmierć mordercami, miałem zamiar otworzyć celę tego czarnego olbrzyma, wejść do środka i usiąść z nim razem na pryczy. Gdyby to wyszło na jaw, straciłbym z miejsca pracę, jeśli nawet Coffey nie zrobiłby mi nic złego, lecz mimo to miałem zamiar tam wejść.

Zatrzymaj się, mówiłem sobie, po prostu weź na wstrzymanie, Paul. Ale nie zrobiłem tego. Otworzyłem jednym kluczem górny i drugim dolny zamek, a potem przesunąłem drzwi po szynie.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł, szefie - odezwał się nagle Delacroix tak gderliwym i zarazem podenerwowanym głosem, że w innych okolicznościach parsknąłbym głośnym śmiechem.

- Pilnuj swojego nosa, a ja będę pilnować swego - mruknąłem, w ogóle się nie odwracając. Oczywiście miałem utkwione w Johnie Coffeyu i nie mogłem ich oderwać. Przypominało to hipnozę. Mój własny głos brzmiał tak, jakby odbijał się echem w długiej

dolinie. Do diabła, może rzeczywiście byłem zahipnotyzowany. - Po prostu się połów i odpocznij - powiedziałem.

- Chryste, to miejsce to prawdziwy dom wariatów - szepnął drżącym głosem Delacroix. - Chciałbym, żeby już mnie usmażyli, Panie Dzwoneczku! Chciałbym to mieć za sobą!

Wszedłem do celi Coffeya. Kiedy dałem krok do przodu, on cofnął się, a potem stanął tyłem do pryczy - poślanie dotykało jego łydek, taki był wysoki - i usiadł. Wciąż patrząc mi prosto w oczy, poklepał materac obok siebie. Gdy usiadłem, objął mnie ramieniem, tak jakbym był jego sympatią i siedział razem z nim w kinie.

- Czego chcesz, Johnie Coffeyu? - zapytałem, wciąż spoglądając w jego oczy, w te smutne łagodne oczy.

- Tylko pomoc - odparł. Westchnął, jak wzdycha człowiek, kiedy wie, że czeka go robota, której nie ma wielkiej ochoty wykonywać, a potem położył mi rękę na udach, kilkanaście cali pod pępkiem.

- Hej! - wrzasnąłem. - Zabieraj tę swoją cholerną łapę...

W tej samej chwili poczułem wstrząs, potężne bezbolesne uderzenie. Podskoczyłem na pryczy, wygiąłem plecy w łuk i przypomniałem sobie starego Tu-Tuta, który wrzeszczał, że się smaży, smaży jak indyk w brytfannie. Nie czułem, żeby poraziła mnie wysoka temperatura albo prąd, ale na krótką chwilę zbladły wszystkie kolory, tak jakby świat się skurczył i zaczął pocić. Widziałem każdy por na twarzy Johna Coffeya, widziałem każdą nabiegłą krwią żyłkę w jego udreńczonych oczach, widziałem małe, gojące się już zadrapanie na jego podbródku. Zdawałem sobie sprawę, że wymachuję zakrzywionymi palcami w powietrzu i że moje stopy bębnią o podłogę celi Coffeya.

A po chwili wstrząs minął. Podobnie jak moja infekcja dróg moczowych. Ustąpił ten okropny pulsujący ból w kroczu i ustąpiła gorączka. Wciąż oblewałem się potem, który temperatura wycisnęła z mojej skóry, i wciąż czułem jego zapach, ale infekcja minęła.

- Co się stało? - zawołał piskliwie Delacroix. Jego głos dobiegał gdzieś z bardzo daleka, ale kiedy John Coffey pochylił się do przodu i przestał patrzeć mi prosto w oczy, nagle usłyszałem go wyraźniej. Miałem wrażenie, że ktoś wyciągnął mi z uszu watę albo zatyczki, których używa się na strzelnicy. - Co on tam panu robi?

Nie odpowiedziałem. Coffey zgiął się wpół ze zmienioną twarzą. Oczy wychodziły mu z orbit. Wyglądał jak człowiek, który zakrztusił się kością z kurczaka.

- John! - zwróciłem się do niego i klepnąłem go po plecach; była to jedyna rzecz, która przysłała mi do głowy. - Co się z tobą dzieje, John?

Podskoczył pod moją ręką, a potem wydał z siebie nieprzyjemny charkot. Rozchylił wargi w ten sam sposób, w jaki otwierają czasem pysk konie, żeby ugryźć - niechętnie, ściągając do tyłu wargi i szczerząc zęby w rozpaczliwym grymasie. A potem otworzył szeroko usta i wypluł z siebie chmurę małych czarnych owadów, które wyglądały jak komary albo muszki. Przynajmniej tak mi się wtedy wydawało. Owady zawirowały wściekle między jego kolanami, pobiełały i znikły.

Poczułem nagle, że cała siła odpływa z mojego tułowia - tak jakby wszystkie mięśnie zamieniły się tam w wodę. Oparłem się o kamienną ścianę celi Coffeya. Pamiętam, że wzywałem imienia Zbawiciela: "Chryste, Chryste, Chryste", raz po raz, właśnie tak, i pomyślałem, że gorączka odebrała mi rozum. To wszystko.

A potem zorientowałem się, że Delacroix wzywa pomocy. Oznajmiał całemu światu, że John Coffey morduje mnie, i robił to, drąc się na całe gardło. Coffey pochylał się nade mną, to prawda, ale tylko po to, by sprawdzić, czy nic mi nie jest.

- Zamknij się, Del - powiedziałem, wstając z pryczy. Oczekiwałem, że ból rozedrze mi wnętrzności, ale nic takiego nie nastąpiło. Czuję się lepiej. Naprawdę. Przez chwilę kręciło mi się w głowie, ale przestało, nim złapałem się prętów celi Coffeya, żeby odzyskać równowagę. - Jestem zdrow jak ryba.

- Lepiej niech pan stamtąd zaraz wyjdzie - poradził mi Francuz. Przypominał podenerwowaną starszą panią, która każe dziecku natychmiast zleźć z wysokiego drzewa. - Nie wolno panu wchodzić do celi, kiedy na bloku nie ma innego strażnika.

Spojrzałem na Johna Coffeya, który siedział, opierając potężne dłonie na swoich kolanach, wielkich jak pnie drzewa. John Coffey odwzajemnił moje spojrzenie. Robiąc to, musiał unieść głowę, ale tylko trochę.

- Co takiego zrobiłeś, duży? - zapytałem półgłosem. - Co mi zrobiłeś?

- Pomogłem - odparł. - Pomogłem, prawda?

- Tak, chyba pomogłeś. Ale jak? Jak pomogłeś?

Pokręcił głową - obrócił ją w prawo, w lewo i z powrotem na wprost. Nie wiedział, w jaki sposób pomógł (w jaki sposób mnie wyleczył), i jego spokojna twarz mówiła, że naprawdę mało go to obchodzi - podobnie jak mnie nie obchodziła mechanika biegu, gdy wyprzedzałem innych zawodników podczas zawodów w dniu czwartego lipca. Zastanawiałem się, czy nie zapytać go, skąd w ogóle wiedział, że jestem chory, ale on z pewnością udzieliłby mi podobnej odpowiedzi. Jest takie określenie, które gdzieś przeczytałem i które utkwilo mi w pamięci: "zagadka spowita w mgłę tajemnicy". Czymś takim był właśnie John Coffey i przypuszczam, że mógł spać w nocy tylko dlatego, że mało

go to obchodziło. Percy nazwał go matolem i było to okrutne, lecz niezbyt odległe od prawdy. Nasz olbrzym znał swoje nazwisko, wiedział, że pisze się je inaczej niż napój, i na tym mniej więcej kończyło się to, co chciał wiedzieć.

Jakby chcąc to podkreślić, pokręcił jeszcze raz głową w ten swój szczególny sposób, a potem położył się, odwrócił do ściany i podsunął pod policzek złożone ręce. Nogi zwisały mu z pryczy już od samych kolan, ale najwyraźniej wcale mu to nie przeszkadzało. Koszula zwinęła mu się na plecach i widziałem blizny przecinające jego skórę.

Wyszedłem z celi, zamknąłem drzwi na oba zamki i zerknąłem na Delacroix, który zaciskał ręce na kratkach swojej celi i wpatrywał się we mnie z niepokojem. Może nawet z lękiem. Wąsiki Pana Dzwoneczka, który przycupnął na jego ramieniu, drżały niczym małe druciki.

- Co panu zrobił ten czarnuch? - zapytał Del. - Co to były za czary? Rzucił na pana jakieś czary?

- Nie wiem, co masz na myśli, Del.

- Akurat pan nie wie! Niech pan na siebie spojrzy! Jaka zmiana! Nawet pan inaczej chodzi, szefie!

Może rzeczywiście chodziłem inaczej. W kroczu czułem cudowny chłód, ulgę tak wyraźną, że graniczyła z ekstazą - każdy, kto cierpiał silny ból, a potem wrócił do zdrowia, wie, o czym mówię.

- Wszystko jest w porządku, Del - powiedziałem z naciskiem. - John Coffey miał koszmar, to wszystko.

- To czarownik! - oświadczył z przekonaniem Delacroix. Na jego górnej wardze perlily się drobne kropelki potu. Nie widział zbyt wiele, ale to, co zobaczył, śmiertelnie go wystraszyło. - To szaman *voodoo*!

- Dlaczego tak mówisz?

Delacroix zdjął mysz z ramienia i przybliżył ją do twarzy, a potem wyjął z kieszeni różowy cukierek - jedną z tych miętowych tabletek, które dostał od ciotki. Z początku mysz zignorowała ją, wysuwając łebek w stronę człowieka, wdychając jego zapach w sposób, w jaki ktoś mógłby wąchać kwiaty. Przymknięte, paciorkowate oczka nadawały jej mordce wyraz podobny do ekstazy. Delacroix pocałował ją w nos, a ona pozwoliła mu to zrobić. A potem wzięła oferowany jej cukierek i zaczęła go chrupać. Delacroix przyglądał się jej przez chwilę, a później popatrzył na mnie. Nagle wszystko zrozumiałem.

- Powiedziała ci o tym mysz, prawda?

- *Oui*.



- Tak jak przedtem szepnęła ci swoje imię.

- *Oui*, szepnęła mi je do ucha.

- Połóż się, Del - poradziłem mu. - Wypocznij trochę. Wysłuchiwanie tych wszystkich szeptów musiało cię porządnie zmęczyć.

Delacroix powiedział coś jeszcze; miał mi chyba za złe, że mu nie wierzę. Jego głos znowu wydawał się dobiegać z bardzo daleka. Podchodząc do biurka, nie miałem prawie wrażenia, że idę - bardziej przypominało to unoszenie się w powietrzu, a może nawet stanie w miejscu, podczas gdy cele przesuwają się po obu stronach niczym filmowe dekoracje na ukrytych kółkach.

Chciałem usiąść w normalny sposób, ale nagle ugięły się pode mną kolana i opadłem na niebieską poduszkę, którą Harry przyniósł z domu rok wcześniej i umieścił na siedzeniu krzesła. Gdyby tam nie stało, runąłbym pewnie prosto na podłogę.

Siedziałem, czując kompletną pustkę w miejscu, gdzie przed chwilą jeszcze szalał wściekły pożar lasu. "Pomogłem, prawda?", powiedział John Coffey i nie mylił się, przynajmniej jeśli chodzi o ciało. Nie można tego było jednak powiedzieć o duszy. Jej w ogóle nie pomógł.

Mój wzrok padł na formularze, które leżały w rogu biurka pod blaszaną popielniczką. Na górze każdego wydrukowano nagłówek: RAPORT DZIENNY. Mniej więcej w połowie kartki znajdowała się rubryka zatytułowana: INFORMACJE O WSZYSTKICH NIECODZIENNYCH ZAJŚCIACH. Powinienem wypełnić ją wieczorem, relacjonując barwne i pełne przygód przybycie na blok Williama Whartona. Przypuśćmy, że opiszę również, co przytrafiło mi się w celi Johna Coffeya? Wyobraziłem sobie, że biorę do ręki ołówek - ten sam, którego końcówkę tak często lizał Brutal - i piszę wielkimi literami tylko jedno słowo: CUD.

Myśl była nawet zabawna, a jednak zamiast się uśmiechnąć, poczułem nagle, że zbiera mi się na płacz. Zasłoniłem rękoma twarz i przycisnąłem dłonie do ust, żeby stłumić łkanie - nie chciałem ponownie nastraszyć Delacroix, który zaczynał się już uspokajać - ale nie załkałem. Z oczu nie pociekła mi ani jedna łza. Po kilku chwilach opuściłem ręce i złożyłem je na piersi. Nie miałem pojęcia, co czuję; wiedziałem tylko, iż nie chcę, żeby ktoś wrócił na blok, zanim odzyskam nad sobą panowanie. Bałem się tego, co mogą zobaczyć na mojej twarzy.

Przysunąłem do siebie blok z raportami. Zdawałem sobie sprawę, że powinienem trochę ochłoniąć, nim opiszę, jak mój najnowszy lokator o mało nie zadusił Deana Stanton, tymczasem zaś mogłem odwalić trochę zaległej papierkowej roboty. Obawiałem się, że mój

charakter pisma może wydać się trochę dziwny - roztrzęsiony - ale był taki sam jak zawsze.

Pięć minut później odłożyłem ołówek i ruszyłem do przylegającej do gabinetu ubikacji, żeby się wysikać. Nie chciało mi się aż tak strasznie, uznałem jednak, że powinienem sprawdzić, co się ze mną dzieje. Stojąc w ubikacji i czekając, aż wypłynie ze mnie struga moczu, byłem pewien, że zaboli mnie tak samo, jak zaboląło rano, gdy miałem wrażenie, że wydalłam z siebie okruchy stłuczonego szkła. Za chwilę się okaże, myślałem, że mnie tylko zahipnotyzował i mimo bólu będzie to przecież stanowić jakąś ulgę.

Nie odczułem jednak żadnego bólu, a to, co popłynęło do sedesu, było czyste, bez śladu ropy. Zapiąłem rozporek, pociągnąłem za łańcuch, który spuszczał wodę, wróciłem na korytarz i usiadłem z powrotem za biurkiem.

Wiedziałem, co się stało; przypuszczam, że wiedziałem to już wówczas, gdy usiłowałem sobie wmówić, że padłem ofiarą hipnozy. Zostałem cudownie uzdrowiony. Módlmy się do Jezusa, Pan jest naszą ostoją. Jako chłopak, który w dzieciństwie odwiedzał na zmianę świątynię baptystów bądź zielonoświątkowców, w zależności od tego, jaki kościół preferowały w danym miesiącu moja matka i jej siostry, słyszałem niejednokrotnie o cudownych uzdrowieniach. Nie wierzyłem we wszystkie, ale było wielu ludzi, w których relacje nie śmiałem wątpić. Należał do nich facet o nazwisku Roy Delfines. Kiedy miałem sześć albo siedem lat, mieszkał z rodziną mniej więcej dwie mile od nas. Delfines odciął siekierą mały palec swojego syna. Stało się to, gdy chłopiec poruszył nieoczekiwanie dłonią, którą przytrzymał leżącą na pniaku kłodę. Roy Delfines twierdził, że modlił się przez całą jesień i zimę, aż wytarł kolanami dywanik, ale na wiosnę palec odrósł. Razem z paznokciem. Wierzyłem Royowi Delfinesowi, słuchając, jak opowiadał o tym podczas czwartkowego nocnego nabożeństwa. Stał z rękoma wsuniętymi głęboko w kieszenie kombinezonu i w tym, co mówił, była jakaś prosta, pozbawiona wyrachowania uczciwość.

- Kiedy palec zaczął rosnać, trochę go swędziało - opowiadał - i nie mógł spać w nocy, ale wiedział, że to boskie swędzenie, i godził się bez szemrania. - Módlmy się do Jezusa, Pan jest naszą ostoją.

Opowieść Delfinesa była jedną z wielu; dorastałem po prostu pośród cudów i uzdrowień. Dorastałem, wierząc w zabobony (stojąca woda jest najlepszym lekarstwem na kurczaki, a mech wsadzony pod poduszkę koi złamane serce) oraz oczywiście w to, co nazywaliśmy przecuciami - nie wierzyłem jednak ani przez chwilę, że John Coffey jest czarownikiem. Patrzyłem mu prosto w oczy. Co więcej, czułem dotyk jego ręki. Miałem wtedy wrażenie, że dotyka mnie jakiś dziwny wspaniały lekarz.

“Pomogłem, prawda?”.

To zdanie tłukło mi się po głowie niczym refren piosenki, której nie sposób zapomnieć, albo słowa, wypowiedane po to, by rzucić zaklęcie.

“Pomogłem, prawda?”.

Tyle że to wcale nie był on. Pomógł mi Pan Bóg. Fakt, iż John Coffey użył pierwszej osoby liczby pojedynczej, można było przypisać bardziej ignorancji niż chępliwości, ja jednak wierzyłem w to, czego nauczono mnie w tych pachnących sosną, wzniesionych ku chwale bożej kościołach, które tak bardzo ukochała moja dwudziestodwuletnia matka i ciotki: w to, że uzdrowienie nie jest sprawą między uzdrowionym i uzdrawiaczem, lecz przejawem woli boskiej. Radość z tego, że chory wyzdrowiał, jest rzeczą całkowicie naturalną i oczekiwaną, ale ten, kogo uzdrowiono, ma obowiązek zapytać, dlaczego tak się stało - ma obowiązek pomedytować na temat woli boskiej i tego, jak niezwykłych środków ima się czasami Pan Zastępów, aby ją spełnić.

Czego Bóg chciał ode mnie w tym przypadku? Co było dla niego aż tak ważne, że obdarzył mocą uzdrawiania mordercę dzieci? Czy chodziło o to, że miałem być tutaj, na bloku, a nie leżeć w łóżku, trzęsąc się, pocąc i cuchnąc sulfonamidami? Całkiem możliwe; może powinienem zostać tu, a nie w domu, na wypadek gdyby Dziki Bill Wharton miał zamiar znowu dać nam się we znaki, a Percy Wetmore popełnić kolejną, grożącą nieobliczalnymi konsekwencjami głupotę. W takim razie dobrze. Niech będzie. Postaram się mieć oczy szeroko otwarte... i nabiorę wody w usta, zwłaszcza w kwestii cudownych uzdrowień.

Mój nagły powrót do zdrowia nie powinien nikogo zdziwić; głosiłem przecież wszem i wobec, że czuję się coraz lepiej i aż do tego poranku szczerze w to wierzyłem. Powiedziałem o tym nawet dyrektorowi Mooresowi. Delacroix coś widział, miałem jednak nadzieję, że nie piśnie ani słowa (prawdopodobnie z obawy, że jeśli to zrobi, John Coffey rzuci na niego urok). Co do Coffeya, pewnie już o wszystkim zapomniał. Był w końcu tylko kanałem, a nie ma na świecie rowu, który pamiętałby płynącą nim wodę, kiedy już przestaje padać deszcz. Postanowiłem zatem nikomu się nie zwierzać, nie mając pojęcia, jak szybko ujawnię całą historię i komu ją opowiem.

Interesował mnie jednak mój olbrzym i nie ma sensu temu zaprzeczać. Po tym, co przytrafiło mi się w jego celi, interesował mnie jeszcze bardziej niż przedtem.

Wieczorem, przed wyjściem z bloku, ustaliłem z Brutalem, że zastąpi mnie nazajutrz, gdybym się trochę spóźnił, i następnego dnia pojechałem rano do Tefton w hrabstwie Trapingus.

- Nie podoba mi się, że tak bardzo przejmujesz się tym Coffeyem - stwierdziła moja żona, wręczając mi drugie śniadanie. Janice nigdy nie miała zaufania do przydrożnych bud z hamburgerami; twierdziła, że w każdej z nich można nabawić się skrętu kiszek. - To nie jest do ciebie podobne, Paul.

- Wcale się nim nie przejmuję - powiedziałem. - Jestem po prostu ciekaw.

- Doświadczenie uczy, że jedno prowadzi szybko do drugiego - odparła oschle, po czym pocałowała mnie mocno w usta. - Ale muszę przyznać, że o wiele lepiej wyglądasz. Trochę się o ciebie denerwowałam. Kanalizacja się poprawiła?

- Zdecydowanie - potwierdziłem i pomachałem jej na pożegnanie. W drodze nuciłem piosenki w rodzaju *Come, Josephine, in My Flying Machine* i *We're in the Money*, żeby dotrzymać sobie towarzystwa.

W Tefton zajrzałem najpierw do redakcji "Intelligencer", gdzie poinformowano mnie, że Burt Hammersmith, facet, którego szukam, jest najprawdopodobniej w sądzie. Tam z kolei dowiedziałem się, że Hammersmith był, ale wyszedł, kiedy pęknięta rura wodociągowa spowodowała przerwę w rozprawie przeciwko sprawcy gwałtu (na łamach "Intelligencer" jego zbrodnia miała zostać określona jako "napaść na kobietę", w ten sposób bowiem mówiono o tych rzeczach, zanim na scenie pojawili się Ricki Lake i Carnie Wilson). Zdaniem moich informatorów Hammersmith pojechał do domu. Mieszkał przy polnej drodze, tak wąskiej i porytej koleinami, że kilka razy miałem ochotę zawrócić. Hammersmith był autorem relacji z procesu Johna Coffeya i od niego dowiedziałem się większości szczegółów na temat krótkiej obławy, która zakończyła się ujęciem olbrzymia. Mam oczywiście na myśli szczegóły, które "Intelligencer" uznał za zbyt brutalne, by mogły ukazać się w druku.

Pani Hammersmith była młodą kobietą o zmęczonej ładnej twarzy i rękach zaczerwienionych od szarego mydła. Nie pytając nawet, jaką mam sprawę, poprowadziła mnie przez niewielki dom, w którym unosił się zapach pieczonego ciasta, na werandę, gdzie siedział jej mąż z butelką oranżady i zamkniętym egzemplarzem czasopisma "Liberty" na kolanach. Na podwórku za domem bawiła się na huśtawce dwójka dzieci. Z werandy trudno

było się zorientować, jakiej są płci, ale domyśliłem się, że to chłopiec i dziewczynka. Być może nawet bliźniaki, co rzuciłoby interesujące światło na rolę, jaką ich ojciec odegrał, choćby marginesowo, w procesie Coffeya. Trochę bliżej, niczym wyspa pośrodku upstrzonej łąjnym, udeptanej gołej ziemi, stała buda dla psa. Nigdzie w pobliżu nie widziałem jednak jej lokatora; był kolejny niezwykle ciepły jak na tę porę roku dzień i doszedłem do wniosku, że drzemie prawdopodobnie w środku.

- Przyprowadziłam ci gościa, Burt - oznajmiła pani Hammersmith.

- W porządku - odparł. Spojrzał na mnie, na żonę, a potem jego wzrok powędrował z powrotem ku dzieciom, za głosem serca. Był chudym mężczyzną - niemal boleśnie chudym, jakby wracał do zdrowia po ciężkiej chorobie - i przerzedzały mu się już lekko włosy. Żona położyła nieśmiało na jego ramieniu swoją czerwoną, spuchniętą od prania dłoń. Hammersmith nie podniósł wzroku ani nie pogładził jej po rękę, i po krótkiej chwili ją cofnęła. Przyszło mi do głowy, że przypominają bardziej siostrę i brata, niż męża i żonę: on odziedziczył inteligencję, a ona urodę, oboje jednak łączyło pewne podskórne podobieństwo, spuścizna, której nie sposób się wyprzeć. Później, wracając do domu, zdałem sobie sprawę, że nie byli do siebie w ogóle podobni; tym, co ich upodabniało, był przeżyty wspólnie stres, nieukojonny smutek. To dziwne, jak mocno ból znaczy nasze twarze i sprawia, że wyglądamy niczym rodzeństwo.

- Chce pan się napić czegoś zimnego, panie...? - zapytała.

- Nazywam się Edgecombe - powiedziałem. - Paul Edgecombe. I bardzo proszę. Zimny napój to coś, o czym marzę, proszę pani.

Pani Hammersmith weszła z powrotem do domu, a ja podałem rękę jej mężowi. Miał miękką, zimną dłoń. Ani na chwilę nie spuszczał z oka dzieci bawiących się na skraju podwórka.

- Jestem kierownikiem bloku E stanowego więzienia w Cold Mountain, panie Hammersmith. Blok E to...

- Wiem, czym jest blok E - stwierdził, spoglądając na mnie z trochę większym zainteresowaniem. - Na mojej werandzie pojawił się we własnej osobie naczelny klawisz Zielonej Mili. Co sprawiło, że tłukł się pan pięćdziesiąt mil, żeby porozmawiać z jedynym pracującym na stałym etacie reporterem miejscowego szmatławca?

- John Coffey - odparłem.

Oczekiwałem chyba silniejszej reakcji (wciąż myślałem o dzieciach, które mogły być bliźniakami... oraz o budzie stojącej pośrodku podwórka; Detterickowie też mieli psa), ale Hammersmith podniósł tylko brwi i wypił trochę oranżady.

- Teraz pan ma go na głowie, nieprawdaż? - zapytał.

- Nie mamy z nim dużych problemów - odparłem. - Boi się ciemności i często płacze, ale w naszej profesji nie oznacza to jeszcze kłopotów. Znamy gorsze.

- Często płacze, powiada pan? No cóż, moim zdaniem ma powód, żeby płakać. Kiedy weźmie się pod uwagę, co zrobił. Co pana interesuje?

- Wszystko, co może mi pan powiedzieć. Przeczytałem pańskie relacje w gazecie, więc zależy mi bardziej na tym, czego pan w nich nie zamieścił.

Hammersmith posłał mi niesympatyczne spojrzenie.

- Na przykład, jak wyglądały te dziewczynki? I co dokładnie im zrobił? Czy tego rodzaju rzeczy budzą pańskie zainteresowanie, panie Edgecombe?

- Nie - odpowiedziałem, starając się nie podnosić głosu. - Nie chodzi mi o córki Dettericków, proszę pana. Biedne dziewczynki są już martwe. Ale Coffey żyje... jeszcze żyje... i to on mnie interesuje.

- W porządku - odparł. - Niech pan przysunie krzesło i siada, panie Edgecombe. I proszę wybaczyć, jeśli to, co powiedziałem, zabrzmiało trochę obcesowo, ale w mojej profesji spotykam się często z hienami. Zdarza się, że mnie również uważa się za jedną z nich. Chciałem się po prostu upewnić co do pana.

- I upewnił się pan?

- Chyba tak - stwierdził takim tonem, jakby w gruncie rzeczy było mu to obojętne.

Historia, którą od niego usłyszałem, pokrywa się w znacznym stopniu z tym, co umieściłem wcześniej w tej relacji - opowiedział mi o tym, jak pani Detterick odkryła, że weranda jest pusta, drzwi wyrwane z górnego zawiasu, a koce ciśnięte w kąt; jak jej syn i mąż ruszyli za porywaczem; jak zorganizowana przez zastępcę szeryfa grupa pościgowa dogoniła najpierw ich, a niedługo potem Johna Coffeya. Jak Coffey siedział na brzegu rzeki, płacząc i trzymając w rękach zwisające niczym wielkie szmaciane lalki ciała dziewczynek. Chudy jak patyk reporter w szarych spodniach i białej koszuli z rozpiętym kołnierzykiem mówił niskim, pozbawionym emocji głosem... ale ani na moment nie spuścił z oczu dwójki dzieci, które kłóciły się, zaśmiewały i bujały na zmianę na huśtawce, tam w cieniu, u podnóża wzniesienia. Gdzieś w połowie opowieści pojawiła się ponownie pani Hammersmith z butelką korzennego piwa domowej roboty, zimnego, mocnego i pysznego. Stała przez chwilę, słuchając męża, a potem przerwała mu, żeby zawołać dzieci i powiedzieć im, by przyszły do kuchni, bo zaraz wyjmie ciastka z piekarnika.

- Zaraz, mam - odezwał się dziewczęcy głos i kobieta zniknęła z powrotem w głębi domu.

- Dlaczego chciał pan to wszystko wiedzieć? - zapytał na koniec Hammersmith. - Nigdy jeszcze nie odwiedził mnie żaden strażnik z Cold Mountain. Pan jest pierwszy.

- Powiedziałem już panu...

- Ciekawość, zgadza się. Ludzie są ciekawi, wiem o tym i nawet dziękuję za to Bogu. Gdyby było inaczej, straciłbym posadę i musiałbym pójść do jakiejś roboty, żeby zarobić na życie. Ale pięćdziesiąt mil to diabelnie daleko, jeśli celem jest zaspokojenie prostej ciekawości, zwłaszcza że ostatnie dwadzieścia trzeba tłuc się polną drogą. Więc może jednak powie mi pan prawdę, panie Edgecombe? Ja spełniłem pańską prośbę, teraz niech pan spełni moją.

Chodzi o to, mógłbym odpowiedzieć, że miałem ostrą infekcję dróg moczowych, a John Coffey położył rękę na moim kroczu i uzdrowił mnie. Zrobił to człowiek, który zgwałcił i zamordował dwie małe dziewczynki. Więc to chyba jasne, że się nim interesuję - każdy by się interesował. Zastanawiam się nawet, czy szeryf Homer Cribus i zastępca Rob McGee nie przyskrzynili przez pomyłkę niewłaściwego człowieka. Zastanawiam się nad tym mimo przemawiających przeciw niemu dowodów, ponieważ człowiek, który ma taką moc w rękach, nie gwałci na ogół i nie morduje małych dziewczynek.

Nie, lepiej było chyba tego nie mówić.

- Są dwie sprawy, które chciałbym poznać - wyjaśniłem. - Przede wszystkim interesuje mnie, czy kiedykolwiek zrobił coś podobnego w przeszłości.

Hammersmith spojrział na mnie. W jego oczach zapaliły się nagle iskierki zainteresowania i zorientowałem się, że jest całkiem niegłupi. Być może na swój cichy sposób nawet genialny.

- Dlaczego? - zapytał. - Co pan wie, panie Edgecombe? Co on panu powiedział?

- Nic. Lecz ludzie, którzy robią tego rodzaju rzeczy, robili je na ogół już wcześniej. Mają do tego upodobanie.

- Tak - potwierdził. - Mają. Z całą pewnością mają.

- I przyszło mi do głowy, że nietrudno byłoby dowiedzieć się czegoś o jego przeszłości. Mężczyznę jego postury, na dodatek Murzyna, łatwo zapamiętać.

- Mogłoby się tak zdawać, ale tak nie jest. Przynajmniej jeśli idzie o Coffeya.

- Próbował pan?

- Tak, i prawie niczego się nie dowiedziałem. Kilku kolejarzy twierdziło, że dwa dni przed śmiercią dziewczynek widzieli go na boczniczy w Knoxville. Nic dziwnego; kiedy go przyskrzynili, siedział na brzegu rzeki, niedaleko torów Great Southern i tą linią przyjechał do nas prawdopodobnie z Tennessee. Dostałem list od faceta, który pisze, że wiosną tego roku

zatrudnił wielkiego łysego Murzyna do przenoszenia skrzynek. To było w Kentucky. Wysłałem mu fotografię Coffeya i facet twierdzi, że to on. Poza tym jednak... - Hammersmith wzruszył ramionami i pokręcił głową.

- Nie wydaje się to panu trochę dziwne?

- Wydaje mi się to bardzo dziwne, panie Edgecombe. Wygląda na to, że Coffey spadł prosto z nieba. Sam też nie jest zbyt pomocny; nie pamięta, co działo się w zeszłym tygodniu.

- Zgadza się, nie pamięta - potwierdziłem. - Czym pan to tłumaczy?

- Mamy Wielki Kryzys - odparł - i tym to tłumaczę. Ludzie podróżują. Farmerzy z Oklahomy chcą zbierać brzoskwinie w Kalifornii, biała biedota z sawanny pragnie montować samochody w Detroit, czarni znad Missisipi chcą jechać do Nowej Anglii i pracować w fabryce butów albo tkalni. Wszyscy, tak samo czarni jak i biali, uważają, że będzie im lepiej gdzie indziej. To takie cholernie amerykańskie. Nawet takiego olbrzyma jak Coffey nie zauważa się wszędzie, gdzie się pojawi... dopóki oczywiście nie postanowi zabić kilku dziewczynek. Białych dziewczynek.

- Wierzy pan w to? - zapytałem.

Hammersmith popatrzył na mnie swymi beznamiętnymi oczyma osadzonymi w trochę zbyt pociągłej twarzy.

- Czasami wierzę - stwierdził.

Jego żona wychyliła się z kuchennego okna niczym maszynista z kabiny lokomotywy.

- Dzieci! - zawołała. - Chodźcie na ciastka! Czy ma pan ochotę na ciastka z płatkami owsianymi i rodzynkami, panie Edgecombe? - zapytała, zwracając się do mnie.

- Jestem pewien, że są wyśmienite, proszę pani, ale tym razem chyba podziękuję.

- Proszę bardzo - odparła i schowała głowę do środka.

- Widział pan te jego blizny? - zapytał nagle Hammersmith. Wciąż obserwował dzieci, których nawet ciasteczka z płatkami owsianymi i rodzynkami nie mogły odciągnąć od huśtawki.

- Tak - potwierdziłem, zdziwiony, że on także je widział.

Spostrzegł moją reakcję i roześmiał się.

- Jedynym sukcesem obrońcy było doprowadzenie do tego, że Coffey zdjął koszulę i pokazał je przysięgłym. Prokurator, George Peterson, sprzeciwiał się, jak mógł, ale sędzia wyraził zgodę. Stary George mógł sobie oszczędzić fatygi: ławnicy w tych stronach nie kupują całej tej psychologicznej bajeczki o tym, jak to ludzie, którzy byli maltretowani w przeszłości, nie mogą się po prostu powstrzymać. Wierzą, że ludzie mogą się powstrzymać. Jestem skłonny podzielać ten punkt widzenia, ale muszę przyznać, że blizny były



rzeczywiście koszmarne. Zauważył pan w nich coś szczególnego, Edgecombe?

Widziałem Coffeya nagiego pod prysznicem i rzeczywiście zauważyłem. Wiedziałem dobrze, o czym mówi Hammersmith.

- Jedne nakładają się na drugie. Tworzą prawie równy deseń.

- Wie pan, co to oznacza?

- Ktoś chciał go zatłuc na śmierć, kiedy był dzieckiem - odparłem. - Zanim dorósł.

- Ale nie udało się wypędzić z niego diabła, prawda, Edgecombe? Nie sądzi pan, że zamiast okładać go kijem, powinni go raczej utopić w rzece jak kociaka?

Przypuszczam, że najśluszniej byłoby w tym momencie przytaknąć i się pożegnać, ale nie mogłem tego zrobić. Widziałem Coffeya. I poczułem jego dotyk. Pamiętałem dotyk jego rąk.

- Jest... jakiś dziwny - powiedziałem. - Nie wydaje się jednak, żeby tkwiło w nim prawdziwe zło. Wiem, w jakich okolicznościach go złapano i to zupełnie nie pasuje do tego, co oglądam dzień w dzień na bloku. Znam ludzi, którzy są naprawdę agresywni, panie Hammersmith. - Mówiąc to, myślałem oczywiście o Whartonie, o Whartonie, który dusi łańcuchem Deana Stantona i ryczy: "Juhuuu, chłopaki! Ale mamy zabawę, nie?".

Hammersmith uważnie mi się przyjrzał. Usta skrzywił w pełnym niedowierzania uśmiešku, który nie przypadł mi zbytnio do gustu.

- Nie przyjechał pan tutaj, żeby się dowiedzieć, czy Coffey mógł zamordować gdzie indziej jakiejś dziewczynki - stwierdził. - Przyjechał pan, aby zapytać, czy moim zdaniem w ogóle to zrobił. Zgadłem, prawda? Niech pan się przyzna, Edgecombe.

Wypiłem do końca piwo i odstawiłem butelkę na stół.

- No więc jak? Zrobił to pana zdaniem?

- Dzieci! - zawołał, pochylając się trochę do przodu. - Chodźcie na ciastka! - Odchylił się z powrotem na krzesło i spojrzał na mnie. Na jego twarzy ponownie pojawił się ten uśmiešek, który mnie drażnił. - Coś panu powiem. I niech pan słucha uważnie, bo może się to panu przydać.

- Zamieniam się w słuch - odparłem.

- Mieliśmy psa, który nazywał się Sir Galahad - stwierdził, pokazując kciukiem budę.

- Dobrego psa. Nierasowego, ale łagodnego. Spokojnego. Takiego, co to polize rękę i przyniesie patyk. Jest dużo takich kundli, chyba pan nie zaprzeczy?

Wzruszyłem ramionami i pokiwałem głową.

- Dobry kundel pod wieloma względami przypomina pańskiego Murzyna. Poznaje go pan lepiej i bardzo często obdarza uczuciem. Nie ma z niego większego pożytku, lecz trzyma

go pan, ponieważ uważa pan, że on też pana kocha. Jeśli ma pan szczęście, panie Edgcombe, nigdy się pan nie dowie, że jest inaczej. Cynthia i ja nie mieliśmy tyle szczęścia.

Hammersmith westchnął - zabrzmiało to, jakby wiatr zaszeleścił w opadłych liściach - i ponownie wskazał palcem budę dla psa. Dziwiło mnie, dlaczego nie spostrzegłem wcześniej tej wszechobecnej pustki albo tego, że wiele psich bobków pobiełało i rozsypało się w proch.

- Sprzątałem po nim - stwierdził Hammersmith - i naprawiałem dach budy, kiedy przeciekała po deszczu. W tym również Sir Galahad przypominał pańskiego Murzyna, który nigdy nie robi tych rzeczy sam. Teraz w ogóle nie podchodzę do tego miejsca. Nie zbliżałem się tam od czasu wypadku... jeśli można nazwać to wypadkiem. Podszedłem ze strzelbą i zastrzeliłem go, ale od tamtej chwili w ogóle się tam nie zbliżałem. Nie potrafię się zmusić. Ale w końcu chyba to zrobię. Posprzątam całe to łajno i rozwalę tę budę.

W tej samej chwili podeszły do nas dzieci i natychmiast pożałowałem tego, że do nas podeszły; nagle wydało mi się, że jest to ostatnia rzecz pod słońcem, jakiej mogłem sobie życzyć. Dziewczynka była w porządku, ale chłopiec...

Zatupały po schodkach, spojrzały na mnie, zachichotały, a potem ruszyły w stronę kuchennych drzwi.

- Caleb - powiedział Hammersmith. - Podejdź tutaj. Na chwilę.

Dziewczynka - na pewno jego bliźniaczka, dzieci musiały być w tym samym wieku - zniknęła w kuchni, a chłopiec podszedł do ojca ze wzrokiem utkwionym w podłogę. Wiedział, że jest brzydki. Miał nie więcej niż cztery lata, ale cztery lata to dosyć, żeby wiedzieć takie rzeczy. Ojciec wsadził mu dwa palce pod brodę i próbował unieść jego twarz. Mały trochę się opierał.

- Proszę, synu - odezwał się Hammersmith tonem, w którym słyhać było słodycz, miłość i opanowanie, i Caleb ustąpił.

Wielka owalna blizna biegła spod włosów przez czoło, martwe i wybaluszone oko i policzek, aż do kącika ust wykrzywionych w chytrym uśmieszku szulera lub może alfonsa. Jeden policzek był gładki i śliczny, drugi kostropaty niczym kora drzewa. Domyśliłem się, że kiedyś była w nim dziura, ale na szczęście zarosła.

- Zostało mu jedno oko - stwierdził Hammersmith, gładząc zniekształcony policzek chłopca delikatnym gestem tkliwego kochanka. - Ma chyba szczęście, że nie oślepl. Padamy na kolana i dziękujemy Bogu, że oszczędził nam chociaż tego. Prawda, Caleb?

- Tak, proszę pana - odparł nieśmiało Caleb: chłopiec, który przez wszystkie żalodne lata swej szkolnej edukacji miał obrywać po głowie od śmiejących się, pokazujących go palcami łobuzów; chłopiec, którego nikt nie poprosi, żeby zagrał w butelkę albo listonosza i

który po wejściu w wiek męski nigdy zapewne nie prześpi się z kobietą, jeśli jej za to nie zapłaci; chłopiec, który przez całe życie nie znajdzie jasnego ciepłego kręgu przyjaciół, a patrząc w lustro przez następne pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat swojego życia, będzie stale powtarzał w myśli: brzydki, brzydki, brzydki.

- Idź, zjedz ciastka - powiedział ojciec, całując go w wykrzywione szyderczo usta.

- Tak, proszę pana - odparł Caleb i zniknął w kuchni.

Hammersmith wyjął chusteczkę z tylnej kieszeni spodni i wytarł nią oczy - były suche, ale przypuszczam, że przywykł do tego, że płynęły z nich łzy.

- Pies był tutaj, kiedy urodziły się bliźniaki - oznajmił. - Zaprowadziłem go do domu, żeby je obwąchał, kiedy Cynthia wróciła ze szpitala, a Sir Galahad polizał ich rączki. Ich małe rączki. - Hammersmith pokiwał głową, jakby chciał sam sobie przytaknąć. - Bawił się z nimi; lizał Arden po twarzy, aż mała dostawała chichotek. Caleb ciągnął go za uszy, a kiedy zaczął stawiać pierwsze kroki, chodził czasami po podwórku, trzymając Galahada za ogon. Pies ani razu na niego nie warknął. Na żadne z nich.

Łzy w końcu popłynęły; Hammersmith wytarł je zupełnie machinalnie jak ktoś, kto ma w tym dużą wprawę.

- Nie było żadnego powodu - podjął po chwili. - Caleb nie zrobił mu nic złego, nawet na niego nie krzyknął. Wiem, bo widziałem to na własne oczy. Gdyby mnie tam nie było, mały prawie na pewno by zginął. Nie zdarzyło się kompletnie nic, panie Edgecombe. Chłopiec ustawił po prostu głowę w odpowiedni sposób przed pyskiem psa i Sir Galahadowi przyszło na myśl... jeśli w ogóle można tak określić to, co się dzieje w mózgu psa... że może skoczyć i ugryźć. Ugryźć tak, żeby zabić. Chłopiec stanął przed nim i pies ugryzł. To samo przytrafiło się Coffeyowi. Przechodził tamtędy, zobaczył na werandzie dziewczynki, porwał je, zgwałcił i zabił. Powiada pan, że jakieś poszlaki mogą wskazywać, że zrobił to już wcześniej, i wiem, co ma pan na myśli, ale może nie zrobił tego wcześniej. Mój pies nigdy wcześniej nikogo nie ugryzł; zrobił to tylko raz. Może Coffey, gdybyśmy wypuścili go na wolność, nie zrobiłby tego nigdy więcej. Może mój pies nikogo by już nie ugryzł. Ale ja wcale się nad tym nie zastanawiałem. Wyszedłem po prostu ze strzelbą, złapałem go za obrozę i odstrzeliłem mu łeb.

Hammersmith oddychał ciężko.

- Jestem wykształconym człowiekiem, panie Edgecombe. Studiowałem w Bowling Green i oprócz historii i dziennikarstwa liznąłem trochę filozofii. Lubię się uważać za oświeconego. Nie przypuszczam, żeby wzięto mnie za takiego na Północy, lecz lubię tak o sobie myśleć. Nie wprowadziłbym z powrotem niewolnictwa za żadne skarby świata. Sądzę,

że powinniśmy w humanitarny i rozsądny sposób rozwiązać problemy rasowe. A jednak musimy pamiętać, że ten pański Murzyn ugryzie, jeśli tylko będzie miał okazję, podobnie jak ugryzie kundel, jeśli da mu się okazję i przyjdzie mu do łba to zrobić. Chce pan wiedzieć, czy on to uczynił, ten pański zapłakany i pokryty bliznami John Coffey?

Kiwnąłem głową.

- O tak - powiedział Hammersmith. - Uczynił to. Niech pan w to nie wątpi i niech pan nigdy nie odwraca się do niego plecami. Może pan mieć szczęście raz, sto, nawet tysiąc razy... ale w końcu... - Podniósł do moich oczu dłoń i zwarł nagle palce, uderzając nimi o wysunięty kciuk, tak że jego ręka zmieniła się w drapieżny pysk. - Rozumie pan?

Kiwnąłem ponownie głową.

- Zgwałcił je, zabił, a potem tego żałował, lecz te dziewczynki były już zgwałcone, te dziewczynki były już martwe. Ale pan się nim zajmie, prawda, Edgcombe? Zajmie się pan nim za parę tygodni, tak żeby nigdy już nie zrobił czegoś podobnego.

Hammersmith wstał, podszedł do balustrady i spojrzał nieobecny wzrokiem na budę, stojącą pośrodku udeptanej ziemi, między rozsypującymi się w proch psimi odchodami.

- Wybacz pan - oznajmił - ponieważ nie muszę siedzieć dzisiaj po południu w sądzie, więc pomyślałem, że spędzę trochę więcej czasu z rodziną. Małe dzieci ma się tylko raz w życiu.

- Niech pan do nich idzie - powiedziałem. Wargi zdrętwiały mi i w ogóle ich nie czułem. - Dziękuję, że poświęcił mi pan swój czas.

- Nie ma o czym mówić - odparł.

Z domu Hammersmitha pojechałem bezpośrednio do więzienia. Jazda była długa, tym razem jednak nie potrafiłem jej skrócić śpiewaniem piosenek. Miałem wrażenie, że wszystkie przynajmniej na jakiś czas wyleciały mi z głowy. Wciąż widziałem zniekształconą twarz tego biednego chłopca. I rękę Hammersmitha, jego palce otwierające się i zamykające niczym szczęki.

Dziki Bill Wharton znalazł się po raz pierwszy w izolatce już nazajutrz po przyjeździe. Przez cały ranek i popołudnie był spokojny i grzeczny jak baranek, co, jak wkrótce odkryliśmy, było sprzeczne z jego naturą i zapowiadało problemy. Mniej więcej koło wpół do ósmej wieczorem Harry Terwilliger poczuł, jak coś ciepłego leje się na jego spodnie od munduru, które właśnie tego dnia zmienił na czyste. To był mocz. William Wharton stał przy prętach celi, szczerząc swoje poczerniałe zęby i sikając prosto na spodnie i buty Terwilligera.

- Ten brudny sukinsyn musiał się wstrzymywać przez cały dzień - stwierdził później wciąż zde gustowany i oburzony Harry.

W tym momencie przebrała się miarka. Nadeszła pora, żeby pokazać Williamowi Whartonowi, kto tutaj rządzi. Harry zawiadomił Brutala i mnie, a ja wezwałem Deana i Percy'ego, którzy także byli na bloku. Mieliśmy wtedy, pamiętajcie, trzech więźniów i pełniliśmy, jak to się wówczas nazywało, całodobowy dyżur. Ja z moją grupą pracowałem od siódmej wieczorem do trzeciej rano - w porze, kiedy najczęściej zdarzały się jakieś kłopoty. Dwie pozostałe zmiany składały się przeważnie ze strażników, którzy nie zagrzali u nas dłużej miejsca. Dowodził nimi najczęściej Bill Dodge. Nie był to w gruncie rzeczy zły układ i czułem, że jeśli zdołam przenieść Percy'ego na którąś z dziennych zmian, będzie nam się pracowało jeszcze lepiej. Nigdy się jednak na to nie zdecydowałem. Zastanawiam się czasami, czy sprawy ułożyłyby się inaczej, gdybym to zrobił.

W szopie zamontowany był naprzeciwko Starej Iskrówki potężny kran i Dean razem z Percym podłączyli do niego płócienny szlauch, a potem stanęli obok, żeby puścić wodę, kiedy będzie trzeba.

Brutal i ja ruszyliśmy do celi Whartona. Dziki Bill wciąż stał przy kratkach z uśmiechem na ustach i wyciągniętą ze spodni fujarą. Poprzedniej nocy tuż przed wyjściem z bloku wziąłem z izolatki kaftan bezpieczeństwa i położyłem go na półce w moim gabinecie, przewidując, że może się przydać naszemu najnowszemu trudnemu podopiecznemu. Zabrałem go teraz i niosłem, zawiesiwszy jeden z płóciennych pasków na palcu wskazującym lewej ręki. Harry szedł za nami, ciągnąc za sobą szlauch, a stojący w szopie Dean i Percy rozwijali go z bębna tak szybko, jak mogli.

- No i jak wam się to spodobało? - zapytał Dziki Bill. Śmiał się jak dzieciak na

diabelskiej kolejce, tak głośno, że nie mógł prawie mówić; po policzkach spływały mu wielkie łzy. - Przybiegliście tak szybko, że chyba wam się spodobało. A teraz szykuję dla was parę serdelków. Przyjemnych w dotyku i miękkich. Wysram je jutro rano.

Zobaczył, że wkładam klucz do zamka jego celi, i zwęziły mu się oczy. Potem dostrzegł, że Brutal trzyma w jednej ręce rewolwer, a w drugiej pałkę, i oczy zwęziły mu się jeszcze bardziej.

- Wejdziecie tutaj o własnych siłach, ale wyniosą was na noszach, macie na to słowo Billy'ego Kida - stwierdził. - A ty, stary pierdoło, nie myśl, że uda ci się włożyć mi to ubranko - dodał, zwracając się do mnie.

- To nie ty ustalasz tutaj reguły gry - powiedziałem. - Powinieneś o tym dobrze wiedzieć, lecz widzę, że trzeba ci udzielić małej lekcji.

Wyjąłem klucz z zamka i otworzyłem drzwi. Wharton skoczył na pryczę, z wciąż zwisającym z portek kutasem, i wyciągnął w moją stronę rękę.

- No chodź tutaj, ty brzydki skurwysynu - zawołał, kiwając na mnie palcem. - Zabawimy się w szkołę, zgoda, ale kto inny będzie dzisiaj panem nauczycielem. Ty pierwszy, dryblasie - dodał, szczerząc do Brutala pocerniałe zęby. - Tym razem nie zajdziesz mnie od tyłu. Odlóż tego gnata... i tak przecież z niego nie strzelisz... i walcz ze mną jak mężczyzna z mężczyzną. Zobaczmy, kto kogo załatwi...

Brutal wszedł do celi, ale minawszy drzwi, skręcił od razu w lewo i zmrużone oczy Whartona otworzyły się szerzej, kiedy zobaczył wycelowany w siebie wąż strażacki.

- Nie, nie zrobicie tego! - wrzasnął. - O nie, nie zro...

- Dean! - zawołałem. - Odkręcaj! Do oporu!

Wharton skoczył do przodu, ale Brutal zastopował go jednym celnym uderzeniem - takim, o jakim, jestem pewien, od dawna marzył Percy Wetmore - trafiając pałką w czoło, dokładnie nad brwiami. Wharton, któremu wydawało się najwyraźniej, że przed jego przyjazdem nigdy nie mieliśmy do czynienia z twardzielem, opadł na kolana z otwartymi, lecz zachodzącymi mgłą oczyma. A potem ze szlauchy trysnęła woda. Harry zachwiał się i dał krok do tyłu, ale po chwili odzyskał równowagę i złapał mocniej końcówkę węża, wycelowaną niczym lufa karabinu. Strumień trafił Dzikiego Billa Whartona prosto w pierś, obrócił w bok i wbił pod pryczę. Delacroix podskakiwał w miejscu w swojej celi, rechocząc głośno, klnąc i domagając się od Johna Coffeya, żeby ten powiedział mu, co się dzieje, kto wygrywa i jak ten nowy *gran'fou* znosi chińską torturę wodną. John nie odzywał się ani słowem, stojąc spokojnie w swoich za krótkich spodniach i więziennych kapciach. Zerknąłem na niego tylko raz, ale to wystarczyło, bym ujrzał ten sam co zawsze wyraz twarzy,

jednocześnie smutny i łagodny. Tak jakby oglądał tę scenę już wcześniej, nie raz lub dwa, ale tysiąc razy.

- Zakręć wodę! - zawołał przez ramię Brutal, a potem złapał pod pachy półprzytomnego więźnia i wyciągnął go spod pryczy. Wharton zanosił się kaszlem i wydawał z siebie odgłos podobny do bulgotu. Z miejsca, gdzie pałka Brutala przecięła skórę nad brwiami, krew kapłała mu na zasnutą mgłą oczy.

Ja i Brutus Howell opanowaliśmy wkładanie kaftana bezpieczeństwa do perfekcji; ćwiczyliśmy to niczym para tancerzy z wodewilu, uczących się nowych kroków. Czasami się to opłacało. Na przykład teraz. Brutal podniósł Whartona wyżej i wyciągnął do mnie jego rękę, w ten sam sposób, w jaki dziecko mogłoby wyciągnąć rękę szmacianej lalki. W oczach Whartona zaczęły się pojawiać pierwsze przebłyski świadomości; wiedział, że jeśli nie stawia teraz oporu, za chwilę będzie już za późno, ale połączenia nerwowe między jego umysłem i mięśniami były ciągle nieczynne i nim zdążył je odblokować, włożyłem rękawy na jego rękę, a Brutal zaczął zapinać sprzączki z tyłu. Kiedy się tym zajmował, złapałem za paski przy nadgarstkach, okręciłem rękę Whartona wokół boków i skrępowalem je kolejnymi paskami. Wyglądał teraz, jakby obejmował czule sam siebie.

- Niech cię wszyscy diabli, ty wielki pacanie, co oni z nim teraz robią? - wołał Delacroix. Usłyszałem skrzeczenie Pana Dzwoneczka, tak jakby on też chciał to wiedzieć.

Pojawił się Percy. Miał płonąca z podniecenia twarz i koszulę zmoczoną podczas zmagania z wężem, tak że przylegała mu do ciała. Za nim włókł się Dean z purpurowym naszyjnikiem sińców na gardle i o wiele mniej podekscytowaną miną.

- Chodź, Dziki Billu - powiedziałem, pociągając go za sobą. - Czas na mały spacer.

- Nie waż się nigdy mnie tak nazywać! - wrzasnął piskliwie i chyba po raz pierwszy zobaczyliśmy tkwiące w nim prawdziwe uczucia, a nie sprytne zwierzęce barwy ochronne. - Dziki Bill Hickock nie był rewolwerowcem! I nigdy nie zabił niedźwiedzia myśliwskim nożem! Był po prostu kolejnym niewydarzonym gliniarzem. Głupi dupek siedział odwrócony plecami do drzwi i dał się zabić jakiemuś pijakowi!

- Rany boskie, ten palant udziela nam lekcji historii - stwierdził Brutal, wypychając Whartona z celi. - Człowiek nigdy nie wie, co go tutaj spotka, kiedy odbije kartę. Wiadomo tylko, że to będzie coś miłego. Ale to chyba normalne, biorąc pod uwagę, ile mamy tutaj miłych osób. I wiesz co, Dziki Billu? Ty sam niedługo też przejdiesz do historii. A teraz chodź z nami. Mamy dla ciebie mały pokoik. Trochę tam ochłoniesz.

Wharton wydał z siebie wściekły nieartykułowany wrzask i nie bacząc na to, że jest w kaftanie bezpieczeństwa i ma skrępowane z tyłu rękę, rzucił się na Brutala. Percy łapał już za

swoją pałkę - cudowny środek Wetmore'a na wszystkie życiowe kłopoty - lecz Dean chwycił go za dłoń. Percy rzucił mu zdumione, lekko oburzone spojrzenie, jakby chciał powiedzieć, że po tym, co Wharton zrobił Deanowi, ten powinien być ostatnią osobą, która próbuje go powstrzymać.

Brutal odepchnął Whartona, a ja złapałem go i pchnąłem do Harry'ego, który pognął go Zieloną Miłą, obok uradowanego Delacroix i apatycznego Coffeya. Wharton biegł, żeby nie upaść na twarz, i przez cały czas sypał przekleństwami, podobnie jak palnik acetylenowy sypie iskrami. Wsadziliśmy go do ostatniej celi po prawej stronie, a potem Dean, Harry i Percy (który po raz pierwszy nie skarżył się, że ma za dużo pracy) wystawili wszystkie rupiecie z izolatki. Ja odbyłem w tym czasie krótką rozmowę z Whartonem.

- Wydaje ci się, że jesteś twardzielem - powiedziałem - i być może nawet nim jesteś, synu, ale w tym miejscu to nie ma żadnego znaczenia. Dni twojej świetności minęły. Jeśli będziesz dla nas miły, my będziemy mili dla ciebie. Jeśli będziesz się stawiał, i tak wylądujesz na krześle, tyle tylko że wcześniej trochę cię utemperujemy.

- Będziecie się cieszyć, patrząc, jak umieram - stwierdził ochryłym głosem Wharton. Chociaż musiał wiedzieć, że nic mu to nie da, przez cały czas szarpał się w kaftanie i głębię miał czerwoną jak burak. - Dopóki nie wykituję, będziecie mieli przesrane życie - dodał, szczerząc zęby jak wściekły pawian.

- Jeśli zależy ci na tym, by zatruć nam życie, możesz sobie śmiało odpuścić, ponieważ już ci się to udało - oznajmił Brutal. - Co się zaś tyczy twojego pobytu na Zielonej Mili, dla nas możesz go spędzić w całości w pokoju z miękkimi ścianami. I możesz mieć na sobie ten kaftan, dopóki ręce nie zgniją ci z braku krążenia i nie odpadną od ramion. Nikt nas tu na ogół nie odwiedza, wiesz o tym - dodał po chwili. - I jeśli wydaje ci się, że kogoś obchodzi, co się z tobą dzieje, lepiej się nad tym zastanów, kowboju. Dla świata jesteś już w zasadzie trupem.

Wharton przyjrzał się uważnie Brutalowi i nagle się uspokoił.

- Zdejmijcie to ze mnie - powiedział pojednawczym tonem; zbyt normalnym i rozsądnym, by można mu było ufać. - Będę grzeczny. Słowo Indianina.

W drzwiach celi stanął Harry Terwilliger. Korytarz wyglądał, jakby trwała w nim wyprzedaż starych mebli, ale uporządkowanie go nie powinno nam zabrać dużo czasu. Robiliśmy to już wcześniej; każdy wiedział, co do niego należy.

- Gotowe - oznajmił Harry.

Brutal złapał za kaftan w miejscu, gdzie znajdował się łokieć Whartona, i podniósł go na nogi.

- Chodź, Dziki Billu. I popatrz na to od jaśniejszej strony. Będziesz miał co najmniej



dwadzieścia cztery godziny, by zapamiętać, że nie wolno siadać plecami do drzwi i licytować, kiedy ma się na ręku tylko ósemki i asy.

- Zdejmijcie to ze mnie - powtórzył Wharton. Spojrzał na Brutala, a potem na Harry'ego i na mnie i ponownie zrobił się czerwony jak burak. - Będę już grzeczny... mówię wam... ja... ja... ummmmmahhhrrrr....

Przewrócił się nagle i legł częściowo na korytarzu i częściowo w celi, kopiąc nogami i wyginając ciało w łuk.

- Jezu Chryste, dostał ataku - szepnął Percy.

- Jasne, a moja siostra jest babilońską ladacnicą - zaśmiał się Brutal. - W każdą sobotnią noc tańczy przed Mojżeszem taniec brzucha w długim białym welonie.

Pochylił się i złapał Whartona pod pachę. Ja złapałem go z drugiej strony i Dziki Bill zawisł między nami niczym złapana na haczyk ryba. Te kilkanaście sekund, kiedy wlokłem jego dygoczące ciało i słuchałem, jak z jednej strony charczy, a z drugiej puszcza głośno gazy, nie należało do najprzyjemniejszych chwil w moim życiu.

W którymś momencie podniosłem wzrok i spotkałem spojrzenie Johna Coffeya. Miał oczy podbiegłe krwią i mokre policzki. Znowu płakał. Przypomniałem sobie Hammersmitha i ten naśladujący gryzienie gest jego ręki i poczułem, jak przechodzi mnie dreszcz. A potem skupiłem uwagę z powrotem na Whartonie.

Cisnęliśmy go niczym worek mąki do izolatki i przez chwilę patrzyliśmy, jak leży, prężąc się w kaftanie bezpieczeństwa tuż obok kratki otworu odpływowego, pod którą szukaliśmy kiedyś Matrosa Willy'ego.

- Nie zmartwi mnie specjalnie, jeśli facet połknie język i się przekręci - stwierdził Dean swoim ochryplym, zgrzytliwym głosem - ale pomyślcie o papierkowej robocie, chłopcy. To się nigdy nie skończy.

- Mniejsza o papierkową robotę, pomyślcie o przesłuchaniach - dodał ponuro Harry. - Stracimy tę cholerną robotę i będziemy zbierać fasolę w Missisipi. Wiecie, czym jest Missisipi. To indiańskie określenie zadupia.

- Facet się nie przekręci i nie połknie języka - zapewnił ich Brutal. - Kiedy otworzymy jutro te drzwi, będzie zdrów jak ryba. Macie na to moje słowo.

Tak też się stało. Osobnik, którego nazajutrz o dziewiątej wieczorem odprowadziliśmy z powrotem do jego celi, był spokojny, blady i w widoczny sposób poskromiony. Szedł ze spuszczoną głową, nie starał się nikogo zaatakować, kiedy zdjęliśmy mu kaftan, i wpatrywał się we mnie apatycznym wzrokiem, gdy oznajmiłem, że następnym razem spotka go to samo i musi się zastanowić, jak długo chce sikać w spodnie i zajadać łyżeczką papkę dla niemowląt.

- Będę grzeczny, szefie. Dostałem nauczkę - powiedział nieśmiało, kiedy zamknęliśmy go w celi. Brutal spojrział na mnie i mrugnął okiem.

Następnego dnia William Wharton, który uważał się za Billy'ego Kida i oburzał, gdy porównywano go z niewydarzonym Dzikim Billem Hickokiem, kupił czekoladowe ciastko od starego Tu-Tuta. Wyraźnie zabroniono mu takich zakupów, ale popołudniowa zmiana składała się, jak chyba już powiedziałem, z żółtodziobów i transakcja doszła do skutku. Tu-Tut bez wątpienia dobrze wiedział o zakazie, lecz on sprzedałby własną matkę, byle tylko zarobić parę groszy.

Tej nocy, kiedy Brutal wykonywał obchód, Wharton stał w drzwiach swojej celi. Odczekał, aż Brutal podejdzie bliżej, po czym pacnął obiema dłońmi w wydęte policzki i strzyknął mu w twarz zdumiewająco długą strugą czekolady. Trzymał ciastko w gębie, dopóki całe się nie rozpuściło, po czym strzyknął nim niczym przężutym tytoniem.

Zrobiwszy to, padł na pryczę, z cieknącą po brodzie brązową breją, fikając w powietrzu nogami, wyjąc ze śmiechu i pokazując palcem Brutala, któremu breja ciekła nie tylko po brodzie.

- Jak się masz, czarny królu? - ryczał, trzymając się za brzuch. - Jaka szkoda, że to nie jest ka-ka... Rany, jaka szkoda. Gdybym miał w sobie choć trochę ka-ka...

- Sam jesteś ka-ka - mruknął Brutal - i mam nadzieję, że spakowałeś manatki, bo zaraz wrócisz do swojego ulubionego kibla.

Po raz kolejny włożyliśmy Whartonowi kaftan bezpieczeństwa i ponownie wylądował w pokoju z miękkimi ścianami. Tym razem na dwa dni. Kilka razy słyszeliśmy, jak się tam awanturuje, kilka razy zaręczał, że nabrał rozumu i będzie grzeczny, kilka razy wołał, że potrzebuje lekarza i umiera. Przeważnie jednak milczał. Milczał także, kiedy wyprowadziliśmy go ponownie na zewnątrz. Wrócił do celi ze spuszczoną głową i przygasłymi oczyma, w ogóle nie reagując, kiedy Harry uprzedził go: "Pamiętaj, wszystko zależy od ciebie". Wiedzieliśmy, że posiedzi jakiś czas spokojnie, a potem wytnie nam nowy numer. Nie zrobił niczego, czego ktoś nie spróbowałby wcześniej (no, może z wyjątkiem strzyknięcia czekoladą; nawet Brutal przyznał, że było to dość oryginalne), ale sam jego upór napawał nas lękiem. Bałem się, że wcześniej czy później któryś z nas się zagapi i wpadniemy w nieliche tarapaty. Cała zabawa mogła się w dodatku trochę przeciągnąć, bo adwokat Whartona robił dużo szumu, opowiadając na lewo i prawo, jak niesprawiedliwie jest zabijać kogoś, kto ma jeszcze mleko pod wąsem... i kto zupełnie przypadkowo ma skórę białą jak stary Jeff Davis. Nie było sensu się na to oburzać, ponieważ ratowanie Whartona przed krzesłem należało do jego obowiązków. Tak jak dopilnowanie, żeby na nim wylądował,

należało do naszych. I w końcu, z adwokatem czy bez adwokata, prawie na pewno czekała go randka ze Starą Iskrówą.

W tym samym tygodniu wróciła z Indianoli żona dyrektora, Melinda Moores. Lekarze wypisali ją; zrobili interesujące, pionierskie zdjęcia guza jej mózgu, opisali bezwład ręki i paralizujące bóle, które dręczyły ją wówczas prawie bezustannie, i nie chcieli się nią dłużej zajmować. Dali jej mężowi słoik tabletek z morfiną i wysłali Melinę do domu, żeby tam umarła. Halowi Mooresowi zostało trochę zaległych dni chorobowego - w tamtych czasach nie dawano ich zbyt wiele - ale wziął wszystkie, które miał, aby pomóc jej w tym, co musiała zrobić.

Moja żona i ja wybraliśmy się do Mooresów jakieś trzy dni po jej powrocie. Zadzwoniłem wcześniej i Hal odparł, że owszem, zaprasza nas, Melinda miała dobry dzień i z radością nas przyjmie.

- Nienawidzę takich wizyt - oznajmiłem Janice, kiedy jechaliśmy do małego domku, w którym Mooresowie spędzili większą część swojego małżeństwa.

- Nikt ich nie lubi, kochanie - odparła, klepiąc mnie po ręce. - Jakoś to zniesiemy, podobnie jak ona.

- Mam nadzieję.

Zastaliśmy Melinę w salonie. Siedziała w jasnej smudze niezwykle ciepłego jak na tę porę roku październikowego słońca i w pierwszej chwili miałem wrażenie, że straciła sto funtów wagi. Nie miałem oczywiście racji - gdyby tak bardzo schudła, nic by z niej praktycznie nie zostało - ale taka była pierwsza reakcja mojego umysłu na to, co ujrzaly oczy. Jej twarz zapadła się, ukazując zarys leżącej pod spodem czaszki, skóra była biała jak pergamin, a pod oczyma widniały ciemne kręgi. I po raz pierwszy zobaczyłem ją w fotelu bujanym bez robótki lub kawałków materiału, które zszywała w dywanik. Po prostu siedziała. Niczym pasażer w dworcowej poczekalni.

- Witaj, Melindo - pozdrowiła ją ciepło moja żona. Była chyba tak samo wstrząśnięta jak ja, może nawet bardziej, ale nie dała po sobie nic poznać. Niektóre kobiety świetnie to potrafią. Przyklękła na jedno kolano przy fotelu, na którym siedziała żona dyrektora, i wzięła w obie dłonie jej rękę. Kiedy to zrobiła, moje oczy padły na niebieską matę przy kominku. Przyszło mi do głowy, że powinna mieć zielonkawą odcień przejrzałych limon, ponieważ teraz ten pokój był po prostu kolejną wersją Zielonej Mili.

- Przyniosłam ci trochę herbaty - powiedziała Janice. - Sama ją przyrządziłam. Jest

dobra na sen. Zostawiłam ją w kuchni.

- Dziękuję ci bardzo, kochanie - odparła Melinda zardzewiałym głosem starej kobiety.

- Jak się czujesz, moja droga? - zapytała moja żona.

- Lepiej - stwierdziła Melinda tym swoim zardzewiałym zgrzytliwym głosem. - Nie tak dobrze, żebym miała ochotę wybrać się na tańce, ale dzisiaj przynajmniej mnie nie boli. Dali mi jakieś tabletki na ból głowy. Czasami nawet działają.

- To świetnie, prawda?

- Nie mogę już tak dobrze chwytać. Coś się dzieje... z moją ręką. - Melinda podniosła dłoń, popatrzyła na nią tak, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu, po czym położyła z powrotem na kolanach. - Coś się dzieje... z całym moim ciałem.

Zaczęła cicho płakać i to sprawiło, że pomyślałem o Johnie Coffeyu. Po głowie chodziło mi znowu to, co powiedział: "Pomogłem, prawda? Pomogłem, prawda?". Niczym rym, którego nie sposób się pozbyć.

W tym momencie do salonu wszedł Hal. Porwał mnie do kuchni i możecie mi wierzyć, że poczułem olbrzymią ulgę. Siedliśmy przy stole i nalał mi pół musztardówki białej whisky, przywiezionej prosto z jakiejś wiejskiej gorzelni. Stuknęliśmy się i wypiliśmy. Bimber palił w gardle, ale ciepło, jakiego doznałem w żołądku, było niebiańskie. Moores dotknął musztardówki, pytając mnie wzrokiem, czy chcę powtórzyć, lecz ja pokręciłem głową i odsunąłem szklankę na bok. Dziki Bill Wharton nie przebywał - przynajmniej chwilowo - w izolacji i niebezpiecznie było się do niego zbliżać z głową zamroczoną alkoholem. Nawet biorąc pod uwagę dzielące nas kraty.

- Nie wiem, jak długo zdołam to wytrzymać - powiedział cicho Moores. - Rano przychodzi do pomocy dziewczyna, ale lekarze mówią, że Melinda wkrótce może przestać panować nad własnymi kiszki i... i... - Przerwał i zaczął poruszać grdyką, nie chcąc się przede mną ponownie rozpląkać.

- Postaraj się znosić to najlepiej, jak potrafisz - próbowałem uspokoić go, po czym sięgnąłem przez stół i uściśnąłem szybko jego pokrytą plamami wątrobowymi bezwładną dłoń. - Staraj się znosić to dzień po dniu i resztę zostaw Bogu. Nie jesteś w stanie zrobić niczego więcej.

- Chyba nie. Ale to trudne, Paul. Modłę się, żebyś nigdy nie musiał się przekonać, jakie to trudne.

Westchnął i postarał się wziąć w garść.

- Powiedz mi teraz, co słyhać. Jak sobie radzicie z Williamem Whartonem? I jak sobie radzicie z Percym Wetmore'em?

Rozmawialiśmy jakiś czas o sprawach zawodowych i tak minęła wizyta. Potem, kiedy jechałem do domu z Janice, która siedziała obok mnie w milczeniu - łykając łzy i rozmyślając - słowa Coffeya chodziły mi po głowie niczym spacerujący po celi Francuza Pan Dzwoneczek: "Pomogłem, prawda?"

- To straszne - odezwała się w pewnym momencie ze smutkiem moja żona. - I nikt nie może jej w żaden sposób pomóc.

Przytaknąłem i znowu zadźwięczały mi w uszach te słowa: "Pomogłem, prawda?". Ale to było czyste szaleństwo i starałem się rozpaczliwie o nim zapomnieć.

Kiedy skręcaliśmy na nasze podwórko, Janice odezwała się po raz drugi - tym razem nie na temat swojej starej przyjaciółki, Melindy, lecz mojej infekcji. Chciała wiedzieć, czy naprawdę mi przeszło.

- Naprawdę - odparłem. - Jestem zdrow.

- To znakomicie - stwierdziła i pocałowała mnie tuż nad brwią w to moje łaskotliwe miejsce. - Może powinniśmy, no wiesz, trochę się zabawić. Oczywiście, jeśli masz czas i ochotę.

Mając pod dostatkiem tego pierwszego i mnóstwo drugiego, wziąłem ją za rękę, zaprowadziłem do sypialni i zdjąłem z niej ubranie. W tym czasie ona gładziła tę część mojego ciała, która swędziała i pulsowała, lecz już nie bolała. I kiedy wsuwałem się w jej słodycz, robiąc to w ten niespieszny sposób, który lubiła - który oboje lubiliśmy - przypomniał mi się John Coffey powtarzający, że pomógł, pomógł, prawda? Niczym urywek piosenki, który nie przestanie kołatać się w głowie, dopóki go sobie w całości nie przypomnisz.

Później, jadąc do więzienia, myślałem o tym, że już wkrótce będziemy musieli odbyć próbę generalną przed egzekucją Delacroix. Zacząłem się zastanawiać, jak zachowa się tym razem Percy Wetmore, i poczułem dreszcz niepokoju. Powtarzałem sobie, żeby się nie przejmować - po tej egzekucji będziemy go mieli prawdopodobnie z głowy - wciąż jednak czułem ten dreszcz, jakby infekcja, która mnie nękała, wcale nie minęła, lecz przeniosła się w inne miejsce i zamiast palić w kroczu, mroziła krew w żyłach.

- Chodź, Del - powiedział nazajutrz wieczorem Brutal. - Pójdziemy na mały spacer. Ty, ja i Pan Dzwoneczek.

Delacroix posłał mu nieufne spojrzenie, po czym wsadził rękę do pudełka po cygarach i schował swoją mysz w dłoni.

- O czym pan mówi? - zapytał, mrużąc oczy.

- To wielki wieczór dla ciebie i dla Pana Dzwoneczka - poinformował go Dean, podchodząc wraz z Harrym do Brutala. Sińce na jego szyi przybrały nieprzyjemny żółty kolor, ale mógł już przynajmniej normalnie mówić, nie szczekając przy każdym słowie jak pies na kota. - Myślisz, że powinniśmy mu założyć kajdany? - zapytał, zwracając się do Brutusa.

Brutal przez chwilę się zastanawiał.

- Nie - odparł w końcu. - Nie będziesz sprawiał kłopotów, prawda, Del? Ani ty, ani twoja mysz. Występujecie w końcu dzisiaj dla ważnych gości.

Percy i ja staliśmy przy biurku na korytarzu, obserwując całą scenę. Percy miał ręce skrzyżowane na piersiach i pogardliwy uśmiezek na wargach. Po chwili wyjął swój rogowy grzebień i zaczął nim czesać włosy. John Coffey również obserwował Delacroix, stojąc w milczeniu przy kratkach. Wharton leżał na swojej pryczy, wpatrując się w sufit i ignorując całe przedstawienie. Wciąż zachowywał się "grzecznie", choć to, co nazywał grzecznym zachowaniem, lekarze z Briar Ridge woleli określać mianem katatonii. Na bloku była jeszcze jedna osoba. Ukryliśmy ją przed wzrokiem więźniów w moim gabinecie, lecz jej chudy cień padał przez drzwi na Zieloną Miłą.

- O co wam w ogóle chodzi? - zapytał zrzędlawie Delacroix, podciągając stopy na prycę, kiedy Brutal przekręcił klucze w obu zamkach i otworzył drzwi jego celi. Oczy Francuza biegały w tę i z powrotem po twarzach całej trójki.

- Jak chcesz, to ci powiem - odparł Brutal. - Pan Moores jest chwilowo nieobecny. Jego żona, jak może słyszałeś, nie najlepiej się czuje. W związku z tym obowiązki szefa pełni pan Andersen, pan Curtis Andersen.

- Tak? A co to ma wspólnego ze mną?

- Chodzi o to - podjął Harry - że dyrektor Andersen słyszał o twojej myszy, Del, i chce zobaczyć jej występ. Razem z sześcioma innymi panami czeka teraz na ciebie w budynku

administracyjnym. Ta szóstka to nie są jacyś tam zwyczajni strażnicy. To ważne szychy, dokładnie tak, jak mówił Brute. Jeden z nich jest, jak mi się zdaje, politykiem z samej stolicy stanu.

Delacroix wyraźnie urósł, słysząc te słowa, i nie dostrzegłem na jego twarzy cienia wątpliwości. To, że jacyś dygnitarze chcieli zobaczyć Pana Dzwoneczka, było oczywiste; któż by nie chciał?

Zajrzał pod pryczę, a potem pod poduszkę i w końcu znalazł jedną z tych wielkich różowych miętówek i jaskrawo pokolorowaną szpulkę. Posłał pytające spojrzenie Brutalowi, który pokiwał głową.

- Zgadza się. Najbardziej zależy im chyba na tym numerze ze szpulką, ale to, jak zajada miętówkę, też jest bardzo fajne. I nie zapomnij pudełka po cygarach. Będziesz musiał ją w czymś zanieść, no nie?

Delacroix podniósł z podłogi pudełko i wsadził do niego rekwizyty Pana Dzwoneczka, samą mysz posadził sobie jednak na ramieniu. Wyszedł z wypiętą pierśią z celi i zerknął na Deana i Harry'ego.

- Wy, chłopcy, też idziecie?

- Nie - odparł Dean. - My mamy co innego do roboty. Ale ty pokaż im, jaki z siebie treser, Del. Pokaż im, co potrafi zrobić chłopak z Luizjany, kiedy da z siebie wszystko.

- Nie bójcie się - zapewnił go Delacroix. Na jego twarzy ukazał się uśmiech, tak szczerzy i szczęśliwy, że mimo tej strasznej rzeczy, którą popełnił, poczułem, że mu trochę współczuję. W jakim my żyjemy świecie... w jakim świecie!

- Pokaż im, na co cię stać - powiedział poważnym głosem John Coffey, z którym Francuz nawiązał nić cichej przyjaźni, nie różniącej się wiele od setek innych więziennych znajomości, które oglądałem.

Delacroix pokiwał głową i przysunął dłoń do ramienia. Pan Dzwoneczek zszedł na nią, jakby to była estrada, a Delacroix wyciągnął dłoń w stronę Coffeya. John Coffey wystawił przez kraty swój wielki palec i... niech mnie kule biją, jeśli mysz nie polizała jego końca, zupełnie jak pies.

- Chodź, Del, przestań się grzebać - przynaglił Brutal. - Ci ludzie przelożyli na później kolację, żeby obejrzeć cuda, jakie wyprawia twoja mysz. - Było to oczywiście kłamstwo: Andersen i tak pracował codziennie aż do ósmej wieczorem, a strażnicy, których ściągnął, żeby obejrzelik pokaz Delacroix, siedzieli do jedenastej albo dwunastej w zależności od tego, kiedy kończyła się ich zmiana. W polityka ze stolicy stanu przedzierzgnął się najprawdopodobniej woźny w pożyczonym krawacie. Ale Delacroix nie mógł o tym



wszystkim wiedzieć.

- Jestem gotów. Chodźmy - oznajmił z prostotą wielkiego gwiazdora, który potrafi zniżyć się do poziomu zwykłych ludzi. A potem, kiedy Brutal poprowadził go Zieloną Miłą, zaanonsował swój występ: - *Messieurs et mesdames! Bienvenue au cirque de mousie!*

I choć tkwił tak głęboko w świecie własnej fantazji, nie zapomniał obejść szerokim łukiem Percy'ego i posłał mu nieufne spojrzenie.

Harry i Dean zatrzymali się przy pustej celi naprzeciwko Whartona (który w dalszym ciągu prawie zupełnie się nie poruszał) i obserwowali, jak Brutal otwiera drzwi na spaceriak, gdzie znajdowali się dwaj inni strażnicy, i prowadzi Delacroix na występ przed wielkimi tuzami zakładu karnego Cold Mountain. Zaczekałem, aż zamkną się za nimi drzwi, po czym spojrzałem w stronę mojego gabinetu. Na podłodze wciąż leżał chudy jak śmierć głodowa długi cień i cieszyłem się, że Delacroix był zbyt podekscytowany, żeby go dostrzec.

- Wychodź! - zawołałem. - I ruszajmy się szybko, panowie. Chcę zrobić dwie próby, a nie mamy zbyt wiele czasu.

Z mojego gabinetu wyslizgnął się jak zawsze zadowolony z siebie i zarośnięty stary Tu-Tut. Podeszedł do celi Delacroix i wmaszerował przez otwarte drzwi do środka.

- Siadam - oznajmił. - Siadam na pryczy, siadam na pryczy, siadam na pryczy.

To jest prawdziwy cyrk, pomyślałem, zamykając na chwilę oczy. Tutaj właśnie odbywa się prawdziwe cyrkowe przedstawienie, a my wszyscy jesteśmy stadem tresowanych myszy. A potem wyrzuciłem tę myśl z głowy i zaczęliśmy próbę.

Pierwsza próba poszła dobrze, podobnie jak druga. Percy sprawił się lepiej, niż wyobrażałem sobie w najśmielszych marzeniach. Nie znaczyło to oczywiście, że nie czekają nas żadne problemy, kiedy Delacroix naprawdę przejdzie Zieloną Miłą, ale był to duży krok we właściwym kierunku. Przemknęła mi myśl, że próby się udały, ponieważ Percy robił wreszcie coś, na czym mu naprawdę zależało. Poczulem w tym momencie przyływ pogardy, lecz potem mi przeszło. Jakie to w końcu miało znaczenie? Percy włoży Francuzowi czapkę i usmaży go, a potem obu będziemy mieli z głowy. Jeśli to nie było najlepsze rozwiązanie, w takim razie sam nie wiem, jak je sobie wyobrażałem. Delacroix czekał ten sam los, powiedział Moores, bez względu na to, kto go obsłuży.

Tak czy owak, Percy wypadł dobrze w swojej nowej roli i zdawał sobie z tego sprawę. Wszyscy zdawaliśmy sobie z tego sprawę. Co do mnie, tak mnie to ucieszyło, że przynajmniej w tamtym momencie przestałem żywić do niego niemiłe uczucia. Wyglądało na to, że wszystko pójdzie jak po maśle. Dodatkowo podniósł mnie na duchu fakt, że Percy naprawdę słuchał, gdy proponowaliśmy mu pewne rzeczy, dzięki którym mógł jeszcze lepiej wywiązać się ze swoich obowiązków, a w każdym razie wyeliminować możliwość kompromitacji. Jeśli chcecie znać prawdę, wpadliśmy z tego powodu w autentyczny entuzjazm - nawet Dean, który normalnie trzymał się jak najdalej od Percy'ego... zarówno dosłownie, jak i w sensie duchowym. Nie ma w tym chyba nic dziwnego - ludziom pochlebia na ogół, kiedy jakiś młokos zwraca uwagę na ich sugestie, i w tym względzie nie różniliśmy się od innych. W rezultacie żaden z nas, łącznie ze mną, nie zauważył, że Dziki Bill Wharton nie gapi się już w sufit. Przyglądał się nam, kiedy staliśmy przy biurku, dając dobre rady Percy'emu. Dając mu dobre rady! Podczas gdy on udawał, że ich pilnie słucha! Zabawne, gdy weźmie się pod uwagę, czym to się skończyło!

Odgłos obracającego się w drzwiach klucza położył kres temu krótkiemu krytycznemu podsumowaniu. Dean posłał Percy'emu ostrzegawcze spojrzenie.

- Ani słowa o tym, co się tu działo - powiedział. - Nie chcemy, żeby czegoś się domyślił. To nie jest dla nich dobre. Denerwuje ich.

Percy pokiwał głową i przyłożył palec do ust w geście, który miał być komiczny, lecz wcale taki nie był. Drzwi na spaceriak otworzyły się i na blok wmaszerował Delacroix. Eskortujący go Brutal trzymał w ręku pudełko marki Corona niczym asystent prestidigitatora,

wynoszący ze sceny rekwizyty po skończonym występie. Pan Dzwoneczek przycupnął na ramieniu Francuza. A sam Delacroix? Powiem wam: Lillie Langtry nie byłaby bardziej uradowana, gdyby pozwolono jej wystąpić w Białym Domu.

- Pokochali Pana Dzwoneczka! - ogłosił. - Śmiali się, wiwatowali i bili brawo!

- To znakomicie - stwierdził Percy pobłażliwym, protekcyjnym tonem, który zupełnie do niego nie pasował. - A teraz zmykaj do celi, staruszk.

Delacroix posłał mu komiczne w swej nieufności spojrzenie i nagle zobaczyliśmy z powrotem starego Percy'ego. Wyszczrzył groźnie zęby i wyciągnął rękę, udając, że chce złapać Delacroix. Był to oczywiście żart, Percy tryskał humorem i nie miał zamiaru robić nikomu krzywdy, jednak Delacroix wcale o tym nie wiedział. Odskoczył przestraszony do tyłu, potknął się o nogę Brutala i przewrócił jak długi, waląc głową o zielone linoleum. Pan Dzwoneczek skoczył na bok, żeby uniknąć zgniecenia, i popiskując głośno, pognął Zieloną Milą do celi Francuza.

Delacroix podniósł się, spojrzał z nienawiścią na chichoczącego Percy'ego i pośpieszył za swoją myszą, wołając ją i masując tył głowy. Brutal, który nie miał pojęcia, że Percy tak dobrze spisał się podczas próby, spojrzał na niego pogardliwie, wyjął klucze i ruszył za Delem.

Kolejne zdarzenia wynikały moim zdaniem z tego, że Percy chciał przeprosić za swój wybryk - wiem, że trudno w to uwierzyć, ale tego dnia był naprawdę w wyśmienitym humorze. Jeśli mam rację, potwierdza to tylko prawdziwość zasłyszanego przeze mnie niegdyś starego cynicznego powiedzonka, które głosiło, że żaden dobry uczynek nie pozostaje bez kary. Pamiętacie, jak zauważyłem, że ścigając mysz uciekającą do izolatki, jeszcze przed przyjazdem Delacroix, Percy przebiegł zbyt blisko celi Prezesa? Groziło to poważnymi konsekwencjami i dlatego właśnie Zielona Milla była taka szeroka; kiedy człowiek szedł samym środkiem, nikt nie mógł go dosięgnąć zza krat. Prezes nie zrobił oczywiście Percy'emu nic złego, pamiętam jednak, jak pomyślałem, że Arlen Bitterbuck mógłby spróbować. Po prostu żeby dać mu nauczkę.

Prezesa i Wodza nie było już wśród nas, ich miejsce zajął jednak Dziki Bill Wharton. Był gorzej wychowany niż Prezes i Wódz razem wzięci i śledził nasze skromne popisy w nadziei, że samemu uda mu się wystąpić w głównej roli. Taka okazja nadarzyła się dzięki uprzejmości Percy'ego Wetmore'a.

- Hej, Del! - zawołał wesoło Percy, ruszając za Brutalem i Delacroix i zupełnie nieświadomie stąpając o wiele za blisko tej strony Zielonej Mili, po której znajdowała się cela Whartona. - Hej, ty głupi gnojku, nie miałem wcale złych zamiarów. Nic ci się nie sta...

Wharton zerwał się w mgnieniu oka z pryczy i stanął przy kratkach - w całej mojej karierze strażnika nigdy nie widziałem, żeby ktoś poruszał się tak szybko; obejmuje to również niektórych wysportowanych młodych ludzi, z którymi ja i Brutal mieliśmy później do czynienia w poprawczaku. Wysunął ręce przez kraty, złapał Percy'ego najpierw za ramiona, a potem za gardło i przyciągnął do drzwi celi. Percy zakwiczał niczym zarzynane prosię i zobaczyłem w jego oczach, że spodziewa się najgorszego.

- Jakiś ty słodki - szepnął Wharton, po czym trzymając go jedną ręką za gardło, drugą zmierzwił mu włosy. - Co za loki - stwierdził kpiącym tonem. - Jak u panienki. Wolałbym chyba ładować cię w tyłek, niż posuwać twoją siostrę w cipkę - dodał, po czym autentycznie pocałował go w ucho.

Mam wrażenie, że Percy - który, pamiętacie, skatował Delacroix, kiedy ten przypadkowo dotknął jego krocza - wiedział dokładnie, co się dzieje. Wątpię, żeby chciał to wiedzieć, ale wiedział. Cała krew odpłynęła mu z twarzy, a na policzkach wystąpiły podobne do znamion plamy. W szeroko otwartych oczach stanęły łzy, a z kącika drżących ust popłynęła strużka śliny. Wszystko to stało się bardzo szybko - cały incydent nie trwał, moim zdaniem, nawet dziesięciu sekund.

Harry i ja ruszyliśmy do przodu z podniesionymi pałkami. Dean wyciągnął pistolet. Zanim jednak zdążyliśmy cokolwiek zrobić, Wharton puścił Percy'ego i dał krok do tyłu, podnosząc w górę ręce i szczerząc w uśmiechu swoje poczerńiałe zęby.

- Puściłem go. Żartowałem tylko i już go puściłem - powiedział szybko. - Waszemu piękniśowi nie spadł nawet włos z głowy, więc nie zamykajcie mnie znowu w tej waszej przeklętej izolatce.

Percy Wetmore przebiegł na ukos Zieloną Milę i przywarł do prętów celi po drugiej stronie. Oddychał tak szybko i głośno, że brzmiało to prawie jak łkanie. Nareszcie dostał nauczkę, żeby trzymać się środka Zielonej Mili, z daleka od zdradzieckich czyhających z boku pułapek, z daleka od zębów, które gryzą, i pazurów, które drapią. Miałem wrażenie, że zapamięta tę lekcję lepiej niż wszystkie rady, których udzielaliśmy mu po naszych próbach. Na jego twarzy malowało się skrajne przerażenie, a włosy, o które tak bardzo dbał, sterczały każdy w inną stronę po raz pierwszy, odkąd go poznałem. Wyglądał jak ktoś, kto o mało nie padł ofiarą gwałtu.

Wszyscy zamarliśmy w miejscu; jedynym dźwiękiem, dochodzącym do nas w przejmującej ciszy, był świszczący, podobny do szlochu oddech Percy'ego. Nagle przerwał ją rechotliwy śmiech, tak niespodziewany i szalony w swoim brzmieniu, że poczułem, jak przechodzi mi po plecach dreszcz. Wharton, pomyślałem w pierwszej chwili, ale to nie był

on. W otwartych drzwiach swojej celi stał Eduard Delacroix. Stał i pokazywał palcem Percy'ego. Mysz usiadła mu z powrotem na ramieniu i Delacroix wyglądał z nią jak mały złośliwy czarownik ze swoim skrzatem.

- Patrzcie na niego, zeszczął się w spodnie! - ryczał. - Popatrzcie, co się przytrafiło temu ważniakowi! Okłada innych pałą, *mais oui* jakiś *mauvais homme*, ale kiedy ktoś go dotknie, leje w portki jak dziecko!

Śmiał się i pokazywał go palcem, wyładowując w tym jednym ataku szyderczego śmiechu cały swój strach i nienawiść do Wetmore'a. Percy spiorunował go wzrokiem, najwyraźniej jednak nie potrafił wykrztusić z siebie ani jednego słowa. Wharton podszedł z powrotem do krat i przyjrzał się ciemnej plamie na jego spodniach. Była mała, lecz widoczna i nie ulegało wątpliwości, skąd się wzięła. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

- Ktoś musi kupić temu twardzielowi pieluszkę - oznajmił i tłumiąc śmiech, usiadł z powrotem na pryczy.

Brutał ruszył w stronę Delacroix, ale zanim tam dotarł, Francuz dał nurka do celi i położył się na pryczy.

Wyciągnąłem rękę i dotknąłem ramienia Wetmore'a.

- Percy... - zacząłem i tyle mniej więcej zdążyłem powiedzieć. Percy oprzytomniał i stracił moją dłoń. Spojrzał w dół na przód swoich spodni, zobaczył rozszerzającą się plamę i oblał się ciemnym krwistym rumieńcem. Popatrzył z powrotem na mnie, a potem na Harry'ego i Deana. Pamiętam, że dziękowałem Bogu, iż stary Tu-Tut już sobie poszedł. Gdyby został razem z nami, całe Cold Mountain wiedziałyby nazajutrz, co się stało. A biorąc pod uwagę nazwisko Percy'ego - niezbyt w tym kontekście fortunne<sup>1</sup> - historię powtarzano by z radością przez długie lata.

- Jeśli któryś z was piśnie choćby słówko, za tydzień będzie stał w kolejce do garkuchni - syknął.

W innych okolicznościach strzeliłbym go może w pysk za podobną odzywkę, ale teraz zrobiło mi się go tylko żal. Myślę, że zdał sobie z tego sprawę i to chyba jeszcze bardziej go zabolalo - tak jakby ktoś smagnął go w otwartą ranę pokrzywą.

- To, co się tutaj dzieje, nie wychodzi poza te ściany - powiedział cicho Dean. - Nie musisz się o nic martwić.

Percy zerknął przez ramię w stronę celi Delacroix. Brutał zamykał właśnie jej drzwi i ze środka wciąż dobiegał wyraźny chichot Francuza. Spojrzenie Percy'ego było ciemne jak

---

<sup>1</sup> Wetmore, ang. bardziej mokry

burzowa chmura. Chciałem powiedzieć, że jak sobie ktoś pościele, tak się wyśpi, po chwili uznałem jednak, że to chyba nie najlepsza pora na wygłaszanie podobnych mądrości.

- Co do niego... - zaczął i urwał w pół zdania, po czym ruszył ze spuszczoną głową do magazynu, żeby poszukać suchej pary spodni.

- Jest taki śliczny - mruknął rozmarzonym głosem Wharton, lecz Harry kazał mu zamknąć jadaczkę, grożąc, że w przeciwnym razie powędruje z powrotem do izolatki. Wharton skrzyżował ręce na piersi, zamknął oczy i udał, że śpi.

Noc przed egzekucją Delacroix była gorętsza i parniejsza niż poprzednie - kiedy odbijałem kartę o szóstej, na termometrze za oknem budynku administracyjnego było dwadzieścia siedem stopni. Pomyślcie tylko: dwadzieścia siedem stopni pod koniec października i dobiegający od zachodu, niczym w środku lipca, pomruk burzy. Po południu tego dnia spotkałem na mieście mojego współwyznawcę, który zapytał mnie absolutnie serio, czy nie sądzę, że niezwykle upały mogą być zapowiedzią końca świata. Zapewniłem go, że tak nie jest, ale potem przyszło mi do głowy, że koniec świata rzeczywiście zbliża się dla Eduarda Delacroix. Rzeczywiście się zbliża.

W drzwiach na spaceriak stał, popijając kawę i paląc papierosa, Bill Dodge.

- Kogo ja widzę - mruknął na mój widok. - Paul Edgecombe, zupełnie jak żywy i dwa razy brzydszy niż w rzeczywistości.

- Jak minął dzień, Billy?

- W porządku.

- Delacroix?

- Doskonale. Rozumie chyba, że to jutro, ale jednocześnie jakby tego nie rozumie. Wiesz, jak się na ogół zachowują, kiedy przychodzi ich czas.

Pokiwałem głową.

- A Wharton?

Bill roześmiał się.

- Co za błazen. Przy nim Jack Benny wydaje się kwakrem. Powiedział Rolfe'owi Wettermarkowi, że zlizywał dżem truskawkowy z cipki jego żony.

- I co Rolfe na to?

- Że nie ma żony. Że Wharton myślał chyba o swojej matce.

Roześmiałem się, i to zdrowo. Na swój prostacki sposób było to nawet śmieszne. I dobrze było się śmiać i nie czuć, że ktoś zapala bez przerwy zapalki w moich wnętrznościach. Bill śmiał się przez chwilę razem ze mną, a potem wylał resztkę kawy na dziedziniec, po którym kręciło się kilku starych, powłóczących nogami więźniów, garujących tu w większości od jakiegoś tysiąca lat. Gdzieś daleko przetoczył się grzmot i błyskawica rozświetliła ciemniejące nad naszymi głowami niebo. Bill podniósł z obawą wzrok i śmiech zamarł mu na ustach.

- Wiesz, co ci powiem? - mruknął. - Nie bardzo mi się podoba ta pogoda. Mam wrażenie, że coś się wydarzy. Coś złego.

I miał rację. Coś złego wydarzyło się tej nocy, mniej więcej kwadrans po dziesiątej. Wtedy właśnie Percy zabił Pana Dzwoneczka.



Z początku zdawało się, że mimo upału czeka nas całkiem spokojna noc - John Coffey jak zwykle nie sprawiał żadnego kłopotu, Dziki Bill chciał przekonać nas, że jest Billem Łagodnym, a Delacroix był w wyjątkowo dobrym humorze jak na człowieka, który za dwadzieścia cztery godziny miał spotkać się ze Starą Iskrówą.

Rozumiał, co go czeka, przynajmniej na najbardziej elementarnym poziomie; zamówił do ostatniego posiłku sos chili i poprosił, żebym przekazał instrukcje kucharzowi.

- Niech pan im powie, żeby polali wszystko tym pikantnym sosem - powiedział. - Tym, który naprawdę chwyta człowieka za gardło... zielonym, a nie tym łagodnym. Taki sos wywraca flaki na drugą stronę i następnego dnia człowiek nie może wstać z kibla, ale nie sądzę, żebym miał z tym jakieś kłopoty, *n'est-ce pas?*

Większość skazańców z jakąś tępacką zaciekleścią martwi się o swoje nieśmiertelne dusze, ale Delacroix zbył byle czym moje pytanie o to, jakiej życzy sobie duchowej pociechy w ostatniej godzinie życia. Uznał, że skoro "ten Schuster" okazał się dobry dla Wielkiego Wodza Bitterbucka, będzie dobry i dla niego. Naprawdę niepokoiło go - jestem pewien, że już się tego domyśliliście - co stanie się z Panem Dzwoneczkiem, kiedy on, Delacroix, pożegna się z tym światem. Przywykłem spędzać wiele godzin ze skazańcami w noc poprzedzającą ich ostatni marsz, ale nigdy jeszcze nie zastanawiałem się razem z nimi nad losem myszy.

Del odrzucał scenariusz po scenariuszu, cierpliwie rozważając w swojej skolataniej mózgownicy różne możliwości. Myśląc na głos - pragnąc zapewnić swojej tresowanej myszy przyszłość, tak jakby była dzieckiem, które trzeba posłać do college'u - rzucał o ścianę kolorową szpulkę. Za każdym razem, kiedy to zrobił, Pan Dzwoneczek pędził za nią, łapał i toczył z powrotem do stóp Francuza. Po jakimś czasie zaczęło mi to działać na nerwy - najpierw uderzenie szpulki o ścianę, potem drobienie małych pazurków myszy. Sztuczka nie była głupia, ale po półtorej godziny zupełnie mi się przejadła. A Pan Dzwoneczek wydawał się niezmordowany. Przerywał co jakiś czas, żeby napić się wody ze spodeczka, który Delacroix trzymał specjalnie w tym celu, albo schrupać kawałek miętowego cukierka, po czym wracał do swoich harców. Kilkakrotnie chciałem powiedzieć Delacroix, żeby przestał, miałem to na końcu języka, ale za każdym razem przypominałem sobie, że na zabawę z Panem Dzwoneczkiem została mu tylko ta noc i jutrzejszy dzień. Pod koniec naprawdę coraz trudniej było mi się skupić - wiecie, jak to jest, kiedy wciąż słyszeć ten sam dźwięk.

Człowieka zaczyna trafiać szlag. Otworzyłem usta, lecz nagle coś kazało mi się obejrzeć przez ramię. John Coffey stał w drzwiach swojej celi, patrzył na mnie i kręcił głową: w prawo, w lewo i z powrotem na wprost. Tak jakby czytał w moich myślach i radził mi, żebym się lepiej zastanowił.

Dopilnuję, żeby Pan Dzwoneczek trafił do ciotki, która przysłała Delacroix wielką torbę miętówek, powiedziałem. Oddam jej kolorową szpulkę, a także “mysi dom” - zrzucimy się po parę centów i przekonamy Tu-Tuta, żeby zrzekł się swoich roszczeń do pudełka po cygarach. Nie, to nie jest dobre wyjście, odparł po dłuższym namyśle Delacroix (w tym czasie zdążył rzucić pięć razy szpulkę, którą Pan Dzwoneczek popychał na zmianę nosem lub łapami). Ciotka Hermione jest za stara, nie zrozumie figlów Pana Dzwoneczka i co będzie, jeśli on ją przeżyje? Co się z nim wtedy stanie? Nie, nie, ciotka Hermione po prostu się nie nadaje.

Więc może weźmie go któryś z nas, zapytałem. Któryś ze strażników? Moglibyśmy trzymać go tutaj, na bloku E. Nie, odparł Delacroix, bardzo mi dziękuje za troskę, *certainement*, ale Pan Dzwoneczek jest myszą, która zasłużyła sobie na to, żeby przebywać na wolności. On, Eduard Delacroix, wie o tym, ponieważ Pan Dzwoneczek - chyba już zgadliście - powiedział mu to do ucha.

- W porządku, w takim razie któryś z nas weźmie go do domu. Może Dean. Ma małego chłopca, który na pewno polubi tresowaną mysz.

Delacroix zbladł na samą myśl o takim rozwiązaniu. Małe dziecko ma opiekować się takim mysim geniuszem jak Pan Dzwoneczek? Jak można w ogóle oczekiwać od małego chłopca, że będzie z nim regularnie ćwiczył, nie mówiąc już o nauczaniu go nowych sztuczek? A jeśli dzieciak straci do niego serce i nie będzie go karmił przez dwa albo trzy dni z rzędu? Delacroix, który upiekł sześć osób żywcem, aby zatrzeć ślady swojej pierwszej zbrodni, mówiąc to drżał z oburzenia niczym zagorzały przeciwnik wiwisekcji.

W porządku, oznajmiłem, w takim razie sam go wezmę (trzeba obiecać im wszystko, pamiętajcie; w ciągu ostatnich czterdziestu ośmiu godzin trzeba obiecać im wszystko). Co o tym sądzi?

- Nie, panie Edgecombe - odparł przeproszającym tonem, po czym ponownie rzucił szpulkę. Uderzyła w ścianę, odbiła się i potoczyła; Pan Dzwoneczek dopadł jej sekundę później i popchnął z powrotem do Delacroix. - Serdecznie panu dziękuję... *merci beaucoup*... ale pan mieszka w lesie, a Pan Dzwoneczek będzie się bał żyć *dans la forêt*. Wiem, bo...

- Chyba się domyślam, skąd to wiesz, Del - przerwałem mu.

Delacroix uśmiechnął się i pokiwał głową.

- Ale na pewno coś wymyślimy. Zobacz pan!

Rzucił szpulkę. Pan Dzwoneczek pobiegł za nią, drobiaż pazurkami. Zaciśnięte usta.

Uratował nas Brutal. Przez jakiś czas siedział przy biurku patrząc, jak Dean i Harry grają w karty. Był tam także Percy i Brutal próbował nawiązać z nim rozmowę, ale usłyszał w odpowiedzi tylko kilka niechętnych pomruków. W końcu podszedł do celi Delacroix, obok której siedziałem na swoim stołku, i przysłuchiwał nam się przez chwilę ze skrzyżowanymi na piersi rękoma.

- A co powiecie na Mouseville? - zapytał, przerywając pełną zadumy ciszę, która zapadła po zdyskwalifikowaniu przez Dela mego nawiedzanego przez duchy puszczańskiego domu. Wygłosił tę uwagę nie zobowiązującym luźnym tonem.

- Mouseville? - powtórzył Delacroix, spoglądając ze zdziwieniem i zainteresowaniem na Brutala. - Co to jest Mouseville?

- To taki ośrodek turystyczny na Florydzie. Chyba w Tallahassee. Dobrze mówię, Paul? W Tallahassee?

- Zgadza się - odparłem bez wahania, dziękując Bogu, że zesłał mi Brutusa Howella. - W Tallahassee. Niedaleko tego uniwersytetu dla psów.

Brutalowi zadrżała lekko warga i przez chwilę obawiałem się, że zepsuje wszystko, wybuchając śmiechem, ale on opanował się i kiwnął głową. Wiedziałem, że podejmie temat uniwersytetu dla psów trochę później.

Tym razem Del nie rzucił szpulki, chociaż stojący na jego kapciu Pan Dzwoneczek podniósł w górę przednie łapki, dając do zrozumienia, że ma ochotę na dalszą zabawę. Oczy Francuza pobiegły najpierw ku mnie, a potem ku Brutalowi.

- Co takiego robią w Mouseville? - zainteresował się.

- Myślisz, że zgodziliby się wziąć Pana Dzwoneczka? - zapytał mnie Brutal, ignorując Dela i jednocześnie wciągając go do gry. - Uważasz, że ma odpowiednie warunki?

Udałem, że się nad tym namyślam.

- Wiesz - odparłem po chwili. - Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej podoba mi się ten pomysł. - Kątem oka dostrzegłem, że Percy podchodzi do nas, omijając szerokim łukiem celę Whartona. Zatrzymał się przy sąsiedniej pustej celi, oparł o nią ramieniem i przysłuchiwał się z pogardliwym uśmieszkiem na ustach naszej rozmowie.

- Co to jest Mouseville? - zapytał Del, nie mogąc usiedzieć w miejscu z ciekawości.

- Mówiłem już, to taka atrakcja turystyczna - stwierdził Brutal. - Mają tam, no, nie wiem, może ze sto myszy. Jak myślisz, Paul?

- Teraz już chyba ze sto pięćdziesiąt - odparłem. - Odnieśli wielki sukces. Interes kręci

się tak dobrze, że zamierzają, zdaje się, otworzyć drugi ośrodek w Kalifornii i nazwać go Mouseville West. Nie wiem dlaczego, ale tresowane myszy cieszą się teraz wielkim powodzeniem u wyrafinowanej publiczności.

Del wpatrywał się w nas, siedząc z kolorową szpulką w ręku. Jego własna sytuacja nie miała w tej chwili dla niego najmniejszego znaczenia.

- Biorą tam tylko najsprytniejsze myszy - ostrzegł Brutal - te, które znają jakieś sztuczki. I nie przyjmują białych, bo to są myszy ze sklepów zoologicznych.

- Sklepowe myszy, oczywiście - potwierdził skwapliwie Delacroix. - Nienawidzę sklepowych myszy!

- Mają tam - ciągnął dalej Brutal, przymykając lekko oczy, kiedy to sobie wyobrażał - specjalny namiot, do którego się wchodzi...

- Tak, tak, dokładnie jak w cyrku. Czy trzeba płacić przy wejściu?

- A coś myślał? Jasne, że trzeba płacić. Dorosły dychę, dzieciaki dwa centy. A w środku jest całe miasteczko zbudowane z bakelitowych pudełek i rolek papieru toaletowego z oknami ze szkła krzemowego, żeby można było zobaczyć, co robią.

- Tak! Tak! - Delacroix był teraz w ekstazie. - Co to jest szkło krzemowe? - zapytał mnie.

- To takie szkło, które umieszczają z przodu piekarnika, żeby móc zajrzeć przez nie do środka.

- No jasne! Takie szkło! - Delacroix machnął ręką na Brutala, żeby opowiadał dalej. Utkwione w kolorowej szpulce małe paciorkowate oczy Pana Dzwoneczka o mało nie wyszły z orbit. Było to całkiem zabawne. Percy podszedł bliżej, jakby chciał nam się lepiej przyjrzeć, i zobaczyłem, że John Coffey krzywo na niego patrzy, ale zbyt zajęła mnie opowieść Brutala, żebym zwrócił na to większą uwagę. Brutus Howell podnosił sztukę rozmowy ze skazańcem na nowe wyżyny i szczerze go podziwiałem.

- No więc mają tam to mysie miasteczko - podjął po chwili - ale tym, co dzieciaki lubią najbardziej, jest Cyrk Gwiazd. Są tam myszy, które huśtają się na trapezach, myszy, które toczą przed sobą małe baryłki, i myszy, które układają monety.

- Tak, to jest to! To jest miejsce dla Pana Dzwoneczka! - zawołał Delacroix. Świeciły mu się oczy, a policzki poczerwieniały z radości. Przyszło mi do głowy, że Brutus Howell jest kimś w rodzaju świętego. - Zostaniesz cyrkową myszą, Panie Dzwoneczku! Będziesz mieszkał w mysim miasteczku na Florydzie! Z oknami ze szkła krzemowego! Hura!

Mówiąc to, rzucił szpulkę mocniej niż zwykle. Trafiła nisko w ścianę, odbiła się od podłogi i wytoczyła między prętami celi na korytarz. Pan Dzwoneczek popędził za nią, a

Percy dostrzegł nagle swoją szansę.

- Nie, ty durniu! - wrzasnął Brutal, ale Percy nie zwrócił na niego uwagi. Dokładnie w tej samej chwili, kiedy mysz dopadła szpulki - zbyt podekscytowana, żeby zdać sobie sprawę, że tuż obok stoi jej stary wróg - Percy zmiażdżył ją podeszwą swojego czarnego buciora. Kręgosłup Pana Dzwoneczka pękł z głośnym trzaskiem, a z pyszczka trysnęła krew. Ciemne oczka wyszły z orbit i zobaczyłem w nich zdumienie i udrękę, która prawie niczym nie różniła się od ludzkiej.

Delacroix wydał z siebie krzyk rozpacz. Wystawił ręce przez kraty i próbował dosięgnąć Pana Dzwoneczka, powtarzając z płaczem jego imię.

Percy krzywo się do niego uśmiechnął. Uśmiechnął się do całej naszej trójki.

- Nareszcie. Wiedziałem, że wcześniej czy później ją dopadnę. To była tylko kwestia czasu, naprawdę - stwierdził, po czym odwrócił się i powoli odszedł Zieloną Miłą, zostawiając na linoleum Pana Dzwoneczka leżącego w kałuży własnej krwi.

## Część czwarta

# ZŁA ŚMIERĆ EDUARDA DELACROIX

### I

Oprócz tych zapisków, od przyjazdu do Georgia Pines piszę też dziennik - nie wielkiego, nie więcej niż kilka akapitów dziennie, przeważnie o pogodzie - i wczoraj wieczorem zacząłem go przeglądać. Chciałem się po prostu dowiedzieć, ile minęło czasu, odkąd moje wnuki, Christopher i Lisette, zmusiły mnie praktycznie do wyjazdu do Georgia Pines. "To dla twojego własnego dobra, dziadku", stwierdziły. Jasne, że dla mojego dobra. Czyż nie tak właśnie mówią ludzie, kiedy znajdą w końcu rozwiązanie problemu, który mówi i chodzi?

Minęły dwa lata z okładem. Najdziwniejsze, że w ogóle tego nie czuję - nie wiem, czy to długo, czy krótko. Moje poczucie czasu wydaje się topnieć niczym śnieżny bałwan podczas styczniowej odwilży. Tak jakby czas, który znamy - wschodnio-amerykański czas urzędowy, czas letni, czas pracy - przestał w ogóle istnieć. Tutaj obowiązuje wyłącznie Czas Georgia Pines, który jest czasem staruszka, czasem staruszki i czasem lania w łóżko. Reszta się nie liczy. Przestała istnieć.

To cholernie niebezpieczne miejsce. Człowiek nie zdaje sobie z tego z początku sprawy, myśli, że bywa tylko nudne, podobnie jak poobiednia drzemka w przedszkolu, ale ono jest naprawdę niebezpieczne. Odkąd tu przebywam, widziałem wiele osób, które zapadły na starczy uwiąd, i czasami trudno to nazwać zapadaniem - czasami idą na dno z szybkością tonącej łodzi podwodnej. Przyjeżdżają tu w większości w nie najgorszej formie - wsparci o laskę, z przyćmionym lekko wzrokiem, nieraz z kłopotami z pęcherzem, ale poza tym w porządku - a potem dzieje się z nimi coś złego. Po miesiącu spędzają całe dni w pokoju telewizyjnym, gapiąc się na Oprah Winfrey z otwartymi ustami i przechyloną szklanką soku pomarańczowego, który kapie im po dłoni. Po kolejnym miesiącu trzeba im przypominać imiona dzieci, gdy te składają im wizytę. A miesiąc później trzeba im przypominać, jak sami się nazywają. Coś się z nimi dzieje, to prawda: przechodzą na Czas Georgia Pines, który jest jak niezbyt żrący kwas - osłabia najpierw pamięć, a potem chęć dalszego życia.

Trzeba z tym walczyć. To właśnie powtarzam Elaine Connelly, mojej specjalnej przyjaciółce. Poczułem się lepiej, odkąd zacząłem pisać o tym, co przytrafiło mi się w roku

tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim, kiedy na Zieloną Milę przybył John Coffey. Część wspomnień jest straszna, ale czuję, jak zaostają moją pamięć i świadomość, podobnie jak nóż ostrzy ołówek, i dlatego warto trochę pocierpieć. Lecz sama pamięć i pisanie to nie wszystko. Mam również ciało i bez względu na to, jak bardzo może się wydać zużyte i groteskowe, staram się utrzymywać je w dobrej kondycji. Z początku ciężko było się zmusić - stare przyki niechętnie ćwiczą dla samego ćwiczenia - ale teraz, kiedy moim przechadzkom przyświeca pewien cel, jest mi łatwiej.

Na pierwszy spacer wychodzę jeszcze przed śniadaniem - na ogół zaraz po świcie. Dziś rano padało, a od wilgoci bolą mnie stawy, lecz mimo to wziąłem poncho z wieszaka przy tylnych drzwiach i ruszyłem w stronę kuchni. Kiedy człowiek ma coś do zrobienia, musi to zrobić bez względu na strzykanie w stawach. Tym bardziej, jeśli czeka go za to jakaś rekompensata. Moją rekompensatą jest to, że nie tracę kontaktu z rzeczywistym czasem, który jest przeciwieństwem Czasu Georgia Pines. Poza tym lubię deszcz. Zwłaszcza wczesnym rankiem, kiedy dzień dopiero się zaczyna i wydaje się oferować nieograniczone możliwości nawet takiemu weteranowi jak ja.

Przechodząc przez kuchnię, zatrzymałem się, żeby wybłągać od jednego z zaspanych kucharzy dwie grzanki, po czym wyszedłem na dwór. Minąłem tor do gry w krokieta, zarośnięte chwastami zielone pole i po momencie znalazłem się w niewielkim zagajniku, w którym stoi kilka rozsypujących się ze starości szałasów. Szedłem powoli wąską krętą ścieżką, słuchając dyskretnego kapania kropel deszczu i żując kawałek grzanki tymi kilkoma zębami, które mi jeszcze zostały. Bolały mnie nogi, ale ból nie był zbyt dotkliwy. Właściwie czułem się całkiem dobrze. Zacerpnałem pełną piersią wilgotnego szarego powietrza, tak jakbym łykał jakiś życiodajny napój.

A potem wszedłem na chwilę do drugiego szałasów i załatwiłem to, co miałem tam do załatwienia.

Kiedy dwadzieścia minut później wracałem ścieżką, czułem, że głód skręca mi kiszkę. Miałem ochotę na coś bardziej pożywnego niż grzanka - na talerz owsianki, a może nawet jajecznicę z parówką. Uwielbiam parówki, zawsze je uwielbiałem, lecz ostatnio, gdy zjem więcej niż jedną, dostaję biegunki. Ale jedna nie powinna mi zaszkodzić. A potem, z pełnym brzuchem i umysłem rozjaśnionym przez haust świeżego powietrza (taką przynajmniej miałem nadzieję), pójdę na werandę i opiszę egzekucję Eduarda Delacroix. Zrobię to najszybciej, jak mogę, żeby nie stracić odwagi.

Przecinając tor do gry w krokieta i podchodząc do kuchennych drzwi, rozmyślałem o Panu Dzwoneczku - o tym, jak Percy Wetmore rozdeptał go i złamał mu grzbiet i jak głośno

krzyczał Delacroix, gdy zdał sobie sprawę, co takiego zrobił jego stary wróg - i dlatego nie zauważyłem Brada Dolana schowanego za pojemnikiem na śmieci.

- Wybraliśmy się na mały spacer, Paulie? - zapytał, łapiąc mnie za nadgarstek.

Odskoczyłem do tyłu, wyrывая dłoń z jego ręki. Częściowo wynikało to z zaskoczenia - każdy by się wzdrygnął, gdyby ktoś złapał go w ten sposób - ale nie tylko. Rozmyślałem o Percym, pamiętacie, a to właśnie jego przypominał mi zawsze Brad. Podobnie jak Percy, stale nosi w kieszeni coś do czytania (jeśli chodzi o Percy'ego, było to czasopismo przygodowe dla mężczyzn, Brad ma natomiast zawsze książeczkę z żartami, które śmieją tylko ludzi głupich i podłego serca) i, podobnie jak on, zachowuje się, jakby był Wielkim Królem Krowiego Łajna. Przede wszystkim jednak jest łachudrą i lubi zadawać ból, tak samo jak Percy.

Zauważyłem, że dopiero przyszedł do pracy: nie zdążył się przebrać w białe pielęgniarskie ciuchy. Ubrany był w dzinsy i tandetną koszulę w stylu Dzikiego Zachodu, a w rękę trzymał resztki drożdżówki, którą zwędził w kuchni. Zajadał ją, stojąc pod okapem, który chronił go przed deszczem. I spod którego, jestem o tym przekonany, mógł mnie obserwować. Jestem także przekonany o czymś więcej: muszę uważać na pana Brada Dolana. Nie bardzo mnie lubi. Nie wiem dlaczego, ale przecież nie miałem także pojęcia, dlaczego Percy Wetmore nie lubił Delacroix. "Nie lubił" jest w tym wypadku bardzo łagodnym określeniem. Percy znenawidził Dela od pierwszego momentu, kiedy mały Francuz postawił stopę na Zielonej Mili.

- Skąd wzięłeś to poncho, Paulie? - zapytał Brad, stukając mnie palcem w pierś. - Nie należy do ciebie.

- Wziąłem je z sieni przy kuchni - odparłem. Nie znoszę, gdy nazywa mnie Paulie, i on dobrze o tym wie, nie miałem jednak zamiaru dawać mu satysfakcji, pokazując to po sobie. - Wisi ich tam chyba kilkanaście. Nie zrobiłem nic złego. Po to w końcu są, żeby nosić je podczas deszczu.

- Ale nie są przeznaczone dla ciebie, Paulie - oznajmił, stukając mnie po raz kolejny. - I o to chodzi. Te peleryny są dla pracowników, a nie dla pensjonariuszy.

- Wciąż nie rozumiem, komu to szkodzi.

Jego wąskie wargi rozchyliły się w uśmiechu.

- Nie chodzi o to, czy komuś to szkodzi, ważne są przepisy. Czym byłoby życie bez przepisów? Paulie, Paulie, Paulie. - Potrząsnął głową, jakby od samego mojego widoku robiło mu się niedobrze. - Myślisz pewnie, że taki stary przyk jak ty nie musi się przejmować przepisami, ale to nieprawda, Paulie - stwierdził, wciąż się do mnie uśmiechając. Nie lubił



mnie. Być może nawet nienawidził. Dlaczego? Nie wiem. Czasami nikt nie wie dlaczego. I to jest najstraszniejsze.

- Jeśli naruszyłem przepisy, bardzo mi przykro - powiedziałem. Zabrzmiało to trochę płaczliwie i byłem z tego powodu wściekły, ale starych ludzi łatwo doprowadzić do płaczu. I łatwo ich przestraszyć.

Brad kiwnął głową.

- Przeprosiny przyjęte. A teraz idź powieś to na miejsce. Swoją drogą, nie powinienes w ogóle wychodzić podczas deszczu. Zwłaszcza do lasu. Co będzie, jeśli się poślizgniesz, wywrócisz i złamiesz sobie pieprzone biodro? No? Kto, twoim zdaniem, będzie musiał dźwigać pod górę twoje zwłoki?

- Nie wiem - odparłem. Chciałem się po prostu od niego odczepić. Im dłużej go słuchałem, tym bardziej wydawał mi się podobny do Percy'ego. William Wharton, szaleniec, który przybył na Zieloną Milę jesienią tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku, złapał raz Percy'ego i tak go nastraszył, że Percy zsiąkał się w spodnie. Jeśli któryś z was piśnie o tym choćby słówko, za tydzień będzie stał w kolejce do garkuchni, ostrzegł nas potem. Teraz, po wszystkich tych latach, słyszałem niemal, jak Brad mówi te same słowa, dokładnie tym samym tonem głosu. Tak jakbym, pisząc o tych starych dziejach, otworzył jakieś niewidoczne drzwi, które łączą przeszłość z terażniejszością - Percy'ego Wetmore'a z Bradem Dolanem, Janice Edgecombe z Elaine Connelly, więzienie Cold Mountain z domem starców Georgia Pines. Wiedziałem, że rozmyślając o tym, spędzę kolejną bezsenłą noc.

Dałem krok w przód, w stronę kuchennych drzwi, i Brad ponownie chwycił mnie za nadgarstek. Nie jestem pewien co do pierwszego razu, ale teraz zrobił to specjalnie, ściskając tak, żeby zaboląło. Rozejrzał się dookoła sprawdzając, czy nikogo nie ma w pobliżu w ten wczesny deszczowy poranek, czy nikt nie widzi, że maltretuje jednego ze starców, którymi miał się opiekować.

- Co robisz w tym lesie? - zapytał. - Wiem, że nie chodzisz tam po to, by trzepać kapucyna, te dni masz już dawno za sobą, więc co tam robisz?

- Nic - odparłem, powtarzając sobie, żeby zachować spokój, nie pokazać mu, jak bardzo mnie boli, zachować spokój i pamiętać, że pyta tylko o las, że nic nie wie o szalasiu. - Po prostu spaceruję. Aby rozjaśnić umysł.

- Na to jest już za późno, Paulie. Nigdy nie będziesz miał jasnego umysłu. - Brad ponownie ścisnął mój cienki stary nadgarstek, miażdżąc kruche kości, i rozglądał się na boki, by upewnić się, że jest bezpieczny. Nie bał się łamać przepisów; bał się wyłącznie tego, że ktoś go na tym złapie. W tym także przypominał Percy'ego Wetmore'a, który nigdy nie

pozwalal nikomu zapomniec, iz jest siostrzeńcem gubernatora. - Biorąc pod uwagę twój wiek, to cud, że w ogóle pamiętasz, jak się nazywasz. Jesteś, kurwa, o wiele za stary. Nawet na takie jak to muzeum. Ciarki chodzą mi po grzbiecie, kiedy na ciebie patrzę, Paulie.

- Puść mnie - powiedziałem, starając się, żeby w moim głosie nie zabrzmiał ów płaczliwy ton. Nie chodziło mi tylko o dumę. Obawiałem się, że jeśli go usłyszy, może go to sprowokować, tak jak zapach potu może czasami sprowokować złego psa do ataku, chociaż w innym wypadku tylko by warczał. To przypomniało mi reportera, który pisał o procesie Johna Coffeya. Nazywał się Hammersmith i był strasznym człowiekiem. Najstraszniejsze było w nim to, że w ogóle o tym nie wiedział.

Zamiast puścić moją rękę, Dolan ponownie mnie ścisnął. Jęknąłem cicho. Nie mogłem się powstrzymać. Zabolało mnie aż w kostkach nóg.

- Co tam robisz, Paulie? Powiedz mi.

- Nic - odparłem. Powstrzymywałem łzy, ale bałem się, że wybuchnę płaczem, jeśli będzie się nade mną tak dalej pastwił. - Nic. Po prostu spaceruję. Lubię spacerować, puść mnie!

Puścił, lecz tylko po to, żeby złapać mnie za drugą dłoń, którą trzymałem zaciśniętą.

- Otwórz - powiedział. - Pokaż tatusiowi, co tam masz.

Zrobiłem to, a on skrzywił się z niesmakiem, widząc resztki mojej drugiej grzanki. Zaciśnąłem ją w prawej dłoni, kiedy zaczął mi miażdżyć lewą, i palce miałem teraz uwalane masłem, a raczej margaryną; nie dawali nam tutaj oczywiście prawdziwego masła.

- Idź do domu i umyj ręce - warknął, po czym cofnął się i zjadł kawałek drożdżówki. - Jezu Chryste.

Wszedłem po stopniach. Trzęsły mi się nogi, a serce waliło niczym silnik z nieszczelnymi zaworami i luźnymi starymi tłokami. Łapiąc za klamkę drzwi, które miały mnie zaprowadzić do kuchni - i w bezpieczne miejsce - usłyszałem za sobą głos Dolana.

- Jeśli poskarżysz się komuś, że za mocno cię ścisnąłem, Paulie, powiem, że masz przywidzenia. Początki starczej demencji. Wiesz dobrze, że mi uwierzą. A jeśli pokażesz im siniaki, pomyślą, że sam je sobie zrobiłeś.

Tak. To, co mówił, było prawdą. I coś takiego mógł śmiało powiedzieć Percy Wetmore, Percy, który jakimś cudem pozostał młody i podły, podczas gdy ja się zestarzałem.

- Nie zamierzam nikomu się skarżyć - mruknąłem. - Nie mam na co.

- To świetnie, stary pierniku - rzucił lekkim kpiącym tonem, tonem złamasa (by użyć słowa Percy'ego), któremu się wydaje, iż będzie wiecznie młody. - I pamiętaj, że mam zamiar odkryć, co tam knujesz. Mam zamiar się tym zająć. Słyszysz?

Dobrze słyszałem, ale się nie odezwałem, nie chcąc go dodatkowo satysfakcjonować. Wszedłem do środka, minąłem kuchnię (w nozdrza wpadł mi zapach smażącej się jajecznicy i parówek, lecz nie miałem już na nie apetytu) i powiesiłem z powrotem poncho na wieszaku. A potem ruszyłem na górę, do mojego pokoju - odpoczywając po każdym stopniu, dając memu sercu czas, żeby trochę zwolniło - i zabrałem stamtąd swoje papiery. Zszedłem z nimi na werandę. Kiedy siadałem przy małym stoliku obok okna, do środka zajrzała moja przyjaciółka Elaine. Sprawiała wrażenie zmęczonej i niezbyt zdrowej. Uczesła włosy, ale wciąż była w szlafroku. My, stare pierniki, nie dbamy tak bardzo o elegancję; na ogół nas na to po prostu nie stać.

- Nie chcę ci przeszkadzać - powiedziała. - Widzę, że zabierasz się do pisania.

- Nie wygłupiaj się - odparłem. - Mam więcej czasu niż Carter tabletek na wątrobę. Wejdz.

Weszła, lecz zatrzymała się tuż przy drzwiach.

- Chodzi o to, że znowu miałam bezsenność... - zaczęła. - Wyrzałam przypadkiem przez okno...

- I zobaczyłaś, jak ucinam sobie miłą pogawędkę z panem Dolanem - dodałem, przerywając jej. Miałem nadzieję, że tylko zobaczyła; że nie otworzyła okna i nie usłyszała, jak błagam płaczącym głosem, by mnie puścił.

- Nie wyglądała na miłą i nie wyglądała na przyjazną - stwierdziła. - Ten Dolan się tobą interesuje, Paul. Pytał mnie o ciebie nie dalej jak w zeszłym tygodniu. Nie zwróciłam na to wtedy większej uwagi, pomyślałam, że lubi się po prostu wtrącać w cudze sprawy, ale teraz zaczynam się martwić.

- Pytał o mnie? - Miałem nadzieję, że nie dałem po sobie poznać, jak bardzo mnie to zaniepokoiło. - O co konkretnie?

- Na przykład, dokąd chodzisz na spacer. I dlaczego w ogóle chodzisz na spacer.

- Facet nie wierzy w kulturę fizyczną, to jedno nie ulega kwestii - stwierdziłem, próbując się roześmiać.

- On uważa, że masz jakąś tajemnicę. Ja też tak uważam.

Otworzyłem usta, choć sam nie wiem, co chciałem powiedzieć. Nim zdążyłem się odezwać, Elaine podniosła swoją powykrzywianą, lecz w dziwny sposób piękną dłoń.

- Jeśli masz tajemnicę, nie chcę jej znać, Paul. Twoje sprawy należą do ciebie. Tak mnie wychowano, ale nie wszyscy podzielają ten punkt widzenia. Bądź ostrożny. To wszystko, co chciałam ci powiedzieć. A teraz zostawiam cię samego, żebyś popracował.

Była już w drzwiach, gdy zawołałem ją po imieniu. Odwróciła się i posłała mi

pytające spojrzenie.

- Kiedy skończę to, co piszę... - zacząłem, a potem potrząsnąłem lekko głową. Nie tak powinienem to ująć. - Jeśli w ogóle skończę to, co piszę, czy będziesz chciała to przeczytać?

Przez chwilę się zastanawiała, a potem na jej ustach pojawił się ten szczególnie uśmiech, który łatwo może zawrócić w głowie mężczyźnie nawet tak staremu jak ja.

- To będzie dla mnie prawdziwy zaszczyt.

- Nie mów nic o zaszczycie, dopóki nie przebrniesz przez ostatnią stronę - powiedziałem, mając na myśli śmierć Delacroix.

- Tak czy owak przeczytam - stwierdziła. - Od początku do końca. Obiecuję. Ale najpierw musisz skończyć to pisać.

Powiedziawszy to, wyszła. Minęło jednak dużo czasu, nim cokolwiek napisałem. Przez prawie godzinę gapilem się przez okno, stukalem piórem w blat stolika i patrzyłem, jak stopniowo rozjaśnia się szarówka, rozmyślając o Bradzie Dolanie, który nazywał mnie Paulie i którego nigdy nie nudziły dowcipy o żółtkach i bambusach, o makaroniarzach i zabojadach. Myślałem także o tym, co powiedziała mi Elaine Connelly: "On uważa, że masz jakąś tajemnicę. Ja też tak uważam".

Może rzeczywiście mam tajemnicę. Tak, chyba ją mam. A Brad Dolan chce ją odkryć. Nie dlatego, że mogło to być coś ważnego (chyba nie jest ważna dla nikogo poza mną), lecz dlatego, że jego zdaniem starcy tacy jak ja nie powinni mieć tajemnic. Nie powinni zabierać poncha z wieszaka i nie powinni mieć żadnych tajemnic. Żeby nie ubzdurali sobie, że wciąż są ludźmi. A dlaczego nie wolno nam tak myśleć? Tego nie wiedział. W tym także był podobny do Percy'ego.

Tak oto moje myśli, niczym płynąca zakolami rzeka, wróciły do tego samego miejsca, w którym się znajdowały, gdy Brad Dolan wychylił się zza pojemnika na śmieci i złapał mnie za nadgarstek: do Percy'ego Wetmore'a, do podłego Percy'ego Wetmore'a i tego, jak zemścił się na człowieku, który go wyśmiał. Delacroix rzucał kolorową szpulkę, a Pan Dzwoneczek przynosił ją z powrotem - i za którymś razem szpulka odbiła się od ściany i wypadła na korytarz. Tego tylko było trzeba; Percy spostrzegł, że trafia mu się niepowtarzalna okazja.

- Nie, ty durniu! - wrzasnął Brutal, ale Percy nie zwracał na niego uwagi. Dokładnie w tej samej chwili, kiedy mysz dopadła szpulki - zbyt podekscytowana, by zdać sobie sprawę, że tuż obok czyha jej stary wróg - zmiażdżył ją podeszwą swojego czarnego roboczego buta. Kręgosłup Pana Dzwoneczka pękł z głośnym trzaskiem, a z pyszczka trysnęła krew. Ciemne oczka wyszły z orbit i zobaczyłem w nich zdumienie i udrękę, która prawie niczym nie różniła się od ludzkiej.

Delacroix wydał z siebie krzyk rozpaczony. Wystawił ręce przez kraty i próbował dosięgnąć Pana Dzwoneczka, powtarzając z płaczem jego imię.

Percy krzywo się do niego uśmiechnął. Do niego, ale także do mnie i Brutala.

- Nareszcie. Wiedziałem, że wcześniej czy później jej dopadnę. To była tylko kwestia czasu, naprawdę - stwierdził, po czym odwrócił się i powoli odszedł Zieloną Miłą, zostawiając na zielonym linoleum leżącego w czerwonej kałuży krwi Pana Dzwoneczka.

Dean zerwał się zza biurka, uderzając się w kolano i zrzucając na podłogę tabliczkę, na której zaznaczali wyniki gry w karty. Tkwiące w niej kołki wypadły z dziurek i rozsypały się we wszystkie strony, ale ani Dean, ani Harry, któremu za parę minut kończył się dyżur, nie zwrócili na to w ogóle uwagi.

- Coś ty zrobił?! - wrzasnął Dean. - Coś ty, kurwa, zrobił, durny ciołku?!

Percy nie odpowiedział. Gładząc palcami włosy, minął bez słowa biurko i wszedł do mojego gabinetu. Odpowiedzi udzielił za niego William Wharton.

- Nie wie pan, co zrobił? Nauczył pewnego żabojada, że niemądrze jest się z niego śmiać - stwierdził, po czym sam wybuchnął śmiechem, zdrowym, wiejskim śmiechem, rubasznym i głębokim. Wśród spotkanych przeze mnie w tym okresie ludzi (na ogół wzbudzających przerażenie) byli tacy, którzy wydawali się normalni, tylko kiedy się śmieli. Jednym z nich był Dziki Bill Wharton.

Przyjrzałem się ponownie myszy. Wciąż oddychała, ale na jej wąsikach osiadły kropelki krwi, a błyszczące wcześniej oczka zachodziły mgłą. Brutal podniósł kolorową szpulkę, spojrzął na nią, a potem popatrzył na mnie. Był tym wszystkim tak samo oszołomiony jak ja. Za nami lamentował ogarnięty rozpaczą Delacroix. Nie chodziło oczywiście tylko o mysz; Percy dokonał wyłomu w jego systemie obronnym i Francuz dawał teraz wyraz całemu dręczącemu go przerażeniu.

- Och, nie - zawodził, płacząc i modląc się po francusku. - Och, nie, nie, biedny Pan Dzwoneczek, biedny stary Pan Dzwoneczek, och, nie...

- Dajcie mi ją - rozległ się nagle czyjś głęboki głos.

Podniosłem wzrok, w ogóle nie poznając tego głosu, i ujrzałem przed sobą Johna Coffeya. Podobnie jak Delacroix, sięgał rękoma przez kraty, ale mógł to zrobić tylko do połowy przedramion; dalej były na to po prostu zbyt grube. W przeciwieństwie do Dela nie wymachiwał nimi, lecz wyciągał tak daleko, jak to było możliwe, i otworzył dłonie. Widać było, że ma w tym jakiś cel i że mu na nim zależy. Jego głos miał zupełnie inne brzmienie i dlatego chyba nie poznałem go w pierwszej chwili. W niczym nie przypominał zagubionego zapłakanego olbrzyma, który od kilku tygodni zajmował tę celę.

- Niech pan mi ją da, panie Edgecombe! Póki jest jeszcze czas!

W tym momencie przypomniałem sobie, co mi zrobił, i zrozumiałem. Nie sądziłem, żeby to wiele pomogło, z drugiej strony jednak nie mogło chyba zaszkodzić. Podnosząc mysz z podłogi, skrzywiłem się - pod skórą Pana Dzwoneczka było tyle połamanych kości, że wydawało mi się, iż trzymam w ręku obszytą futrem poduszkę na szpilki. To nie była infekcja dróg moczowych. A jednak...

- Co ty wyprawiasz? - zapytał mnie Brutal, kiedy położyłem Pana Dzwoneczka na ogromnej prawej dłoni Coffeya. - Co się tu, do diabła, dzieje?

Coffey odsunął ręce od krat. Mysz leżała nieruchomo na jego dłoni; wystający między kciukiem i palcem wskazującym ogonek kołysał się lekko w powietrzu. A potem Coffey przykrył ją lewą dłonią, tworząc coś w rodzaju kolebki. Nie widzieliśmy już samego Pana Dzwoneczka, tylko jego ogon, którego koniuszek drżał niczym zamierające wahadło. Coffey podniósł ręce do twarzy i rozsunął palce prawej dłoni, tak że powstały między nimi odstępy podobne do tych między więziennymi kratami.

Brutal stanął obok mnie. Wciąż trzymał w palcach kolorową szpulkę.

- Co mu strzeliło do głowy? - zapytał.

- Ćśśś - syknąłem.

Delacroix przestał nagle jęczeć.

- Proszę cię, John - szepnął. - Och, Johnny, pomóż mu, proszę, pomóż mu, *s'il vous plait*.

Przyłączyli się do nas Dean i Harry, ten ostatni ze starą talią kart Airplane w ręku.

- Co tu się dzieje? - zapytał Dean, ale ja pokręciłem tylko głową. Czulem, że znów jestem pod wpływem hipnozy, niech mnie diabli, jeśli nie byłem.

John Coffey wsadził usta między dwa palce i wciągnął energicznie powietrze. Na

chwilę czas zatrzymał się w miejscu. A potem Coffey wyprostował się i zobaczyłem twarz człowieka, który sprawiał wrażenie ciężko chorego albo cierpiącego straszliwy ból. Otworzył szeroko oczy i wbił zęby w grubą dolną wargę; jego ciemna twarz przybrała kolor, który przypominał zmieszany z błotem popiół. Coś zacharczało mu w gardle.

- Jezusie kochany - szepnął nagle Brutal, otwierając oczy tak szeroko, że przestraszyłem się, iż wyskoczą mu z orbit.

- Co jest? - zapytał szczekliwym głosem Harry. - Co jest?

- Ogon! Nie widzisz? Ogon!

Ogon Pana Dzwoneczka nie przypominał już zamierającego wahadła; poruszał się żwawo niczym ogon kota, który poluje na ptaki. A potem spomiędzy dłoni Coffeya dobiegł znajomy pisk.

Coffey wydał z siebie ponownie to chrapliwe rżenie i odwrócił głowę na bok jak ktoś, kto odkaslnął flegmę i ma zamiar ją wypluć. Zamiast flegmy z ust i nosa wyleciały mu czarne owady - wydaje mi się, że to były owady i inni twierdzą to samo, ale po dziś dzień nie mam pewności. Zaroiły się wokół niego tak gęstą chmarą, że przez chwilę nie widzieliśmy jego twarzy.

- Chryste Panie, co to jest? - zapytał Dean piskliwym przerażonym głosem.

- Nic takiego - usłyszałem swój głos. - Nie bójcie się, to nic takiego, za chwilę ich nie będzie.

I rzeczywiście, podobnie jak wówczas, gdy Coffey wyleczył moją infekcję dróg moczowych, "robaki" pobielaly i znikły.

- Rany boskie - szepnął Harry.

- Paul? - odezwał się niepewnym tonem Brutal. - Paul?

Coffey całkowicie doszedł do siebie - niczym ktoś, komu udało się szczęśliwie odkaslnąć kawałek mięsa, który utkwiał w tchawicy. Pochylił się, położył na podłodze złożone dłonie i otworzył je. Spomiędzy palców wyskoczył całkiem zdrowy Pan Dzwoneczek - bez jednego guza, bez najmniejszego skrzywienia kręgosłupa. Zatrzymał się na chwilę przy drzwiach celi Coffeya, a potem przebiegł przez korytarz do celi Delacroix. Kiedy mnie mijał, zobaczyłem, że na wąsikach wciąż ma kropelki krwi.

Delacroix złapał go, śmiejąc się i płacząc jednocześnie, i zaczął obsypywać bezwstydnie głośnymi całusami. Dean, Harry i Brutal przyglądali się temu oniemiałymi ze zdumienia. A potem Brutal dał krok do przodu i podał Francuzowi przez kraty kolorową szpulkę. Delacroix z początku jej nie dostrzegł; był zbyt zaabsorbowany Panem Dzwoneczkiem. Zachowywał się jak ojciec, któremu uratowano tonącego syna. Brutal

poklepał go szpulką po ramieniu. Delacroix podniósł wzrok, zobaczył ją, wziął do ręki i z powrotem zajął się Panem Dzwoneczkiem, gładząc go po futerku i radując nim oczy, tak jakby musiał się bez przerwy upewniać, że owszem, jego podopieczny czuje się dobrze, jest zdrow i cały i nic mu nie dolega.

- Rzuć szpulkę - powiedział Brutal. - Chcę zobaczyć, jak biegnie.

- On jest zdrow, szefie Howell, on jest zdrow, dzięki Bogu.

- Rzuć szpulkę - powtórzył Brutal. - Rób, co mówię.

Delacroix pochylił się z ociąganiem, najwyraźniej nie chcąc ponownie wypuszczać z rąk Pana Dzwoneczka, przynajmniej nie teraz. A potem bardzo delikatnie rzucił szpulkę. Potoczyła się po podłodze, minęła po drodze pudełko po cygarach i odbiła od ściany. Pan Dzwoneczek puścił się za nią w pogoń, ale nie biegł tak szybko jak poprzednio. Wydawał się powłóczyć lekko lewą tylną łapką i to najbardziej mnie uderzyło - to, przypuszczam, urealniło całe wydarzenie. To lekkie utykanie.

Po chwili dogonił jednak szpulkę, dogonił bez większych trudności i zaczął popychać ją nosem do Delacroix, wkładając w to cały swój stary entuzjazm. Odwróciłem się do Johna Coffeya, który stał w drzwiach swojej celi i uśmiechał się. Był to raczej zmęczony uśmiech i nie nazwałbym go szczęśliwym, lecz z jego twarzy zniknęło już to usilne pragnienie, które widziałem, kiedy prosił, żeby podać mu mysz. Zniknął także lęk i ból, które wykrzywiły jego rysy, gdy się krztusił. Miałem przed sobą ponownie naszego starego Johna Coffeya z trochę nieobecny wyrazem twarzy i dziwnymi, utkwionymi gdzieś daleko oczyma.

- Pomogłeś - powiedziałem. - Prawda, duży?

- Prawda - odparł. Uśmiechnął się szerzej i przez kilka chwil jego uśmiech wydawał się rzeczywiście szczęśliwy. - Pomogłem. Pomogłem myszy Dela. Pomogłem... - w tym miejscu umilkł, nie mogąc sobie przypomnieć jej imienia.

- Panu Dzwoneczkowi - podpowiedział Dean. Przyglądał się uważnie Johnowi Coffeyowi, tak jakby oczekiwał, że zaraz stanie w ogniu albo zacznie lewitować w swojej celi.

- Prawda - potwierdził Coffey. - Panu Dzwoneczkowi. To cyrkowa mysz. Będzie mieszkać w domku ze szkła.

- Żebyś wiedział, że będzie - mruknął Harry, również wlepiając wzrok w Johna Coffeya. Za naszymi plecami Delacroix położył się na prycy, posadził sobie Pana Dzwoneczka na piersi i zaczął mu nucić jakąś francuską piosenkę, która brzmiała jak kołysanka.

Coffey spojrział w stronę biurka oficera dyżurnego i drzwi, które prowadziły do



mojego gabinetu i znajdującej się za nim szopy.

- Szef Percy jest zły - oznajmił. - Szef Percy jest podły. Nadepnął na mysz Dela. Nadepnął na Pana Dzwoneczka.

A potem, zanim zdążyliśmy cokolwiek powiedzieć, położył się na swojej pryczy i odwrócił twarzą do ściany.

Kiedy mniej więcej dwadzieścia minut później ja i Brutal weszliśmy do magazynu, Percy stał odwrócony do nas plecami i polerował dębowe poręcze i nogi Starej Iskrówki. Puskę z pastą znalazł na półce nad koszem, do którego wrzucaliśmy nasze brudne mundury (a czasami również cywilne ciuchy; pracownikom więziennej pralni było wszystko jedno, co piorą). Może wam się to wydać dziwaczne, a nawet makabryczne, ale dla Brutala i mnie była to najzwyczajniejsza rzecz pod słońcem. Starą Iskrówkę miała jutro obejrzeć szeroka publiczność, a Percy chciał, żeby wszyscy myśleli, że to on pociąga za sznurki.

- Percy - powiedziałem cicho.

Odwrócił się, popatrzył na nas i melodyjka, którą nucił, uwięzła mu w gardle. Wbrew temu, czego się spodziewałem, nie zobaczyłem w jego oczach lęku, w każdym razie nie w pierwszej chwili. Doszedłem do wniosku, że Percy sprawia wrażenie jakby starszego, i pomyślałem, że John Coffey miał rację. Był podły. Podłość jest niczym narkotyk - nikt na świecie nie zna się na tym lepiej ode mnie - i wiedziałem, że po krótkim okresie eksperymentowania Percy całkowicie się od niej uzależnił. To, co zrobił tej myszy, sprawiło mu przyjemność. A jeszcze większą przyjemność sprawiły mu lamenty Delacroix.

- Przestań się mnie czepiać - odezwał się prawie sympatycznym tonem. - To przecież tylko mysz. I świetnie wiecie, że nie powinna się w ogóle znaleźć na bloku.

- Myszy nic się nie stało - oświadczyłem. Serce waliło mi w piersi, ale starałem się, żeby mój głos zabrzmiał spokojnie, prawie obojętnie. - Czuje się świetnie. Biega, piszczy i goni swoją szpulkę. W zabijaniu gryzoni jesteś takim samym fuszerem jak we wszystkim, co tutaj robisz.

Percy spojrział na mnie ze zdumieniem i niedowierzaniem.

- Myślisz, że w to uwierzę? Słyszałem, jak w niej chrupnęło! Możesz sobie gadać, co...

- Stul dziób.

Wybałuszył oczy.

- Co? Coś ty powiedział?

Podszedłem do niego krok bliżej. Czułem, jak pulsuje mi żyła pośrodku czoła. Nie pamiętałem, kiedy ostatnim razem byłem taki wściekły.

- Nie cieszysz się, że Panu Dzwoneczkowi nic się nie stało? Po całej tej gadce o tym,

że naszym zadaniem jest zapewnienie więźniom spokoju, zwłaszcza kiedy zbliża się ich pora, myślałem, że będziesz zadowolony. Że kamień spadnie ci z serca. Skoro Del ma jutro przejść Zieloną Milę i w ogóle.

Percy wlepił wzrok w Brutala. Jego wystudiowany spokój zmienił się w niepewność.

- W co wy ze mną, do diabła, gracie? - zapytał.

- W nic z tobą nie gramy, przyjacielu - stwierdził Brutal. - A to, że nas o to posądziłeś, jest jednym z wielu powodów, dla których nie można ci ufać. Chcesz znać prawdę? Moim zdaniem jesteś żaloszny.

- Jeszcze się doigracie - zagroził nam Percy. W jego głosie słyhać było niepokój. I zakradający się z powrotem strach: strach przed tym, czego od niego chcemy, strach przed tym, co możemy mu zrobić. Cieszyło mnie, że to usłyszałem. Strach powinien go uczynić bardziej skłonny do ustępstw. - Znam różnych ludzi. Ważnych ludzi - oznajmił.

- Tak mówisz, ale potworny z ciebie kłamca - powiedział Brutal. Można było pomyśleć, że zaraz wybuchnie śmiechem.

Percy rzucił szmatkę do polerowania na siedzenie krzesła.

- Zabiłem tę mysz - stwierdził niezbyt pewnym głosem.

- Idź i sprawdź - mruknąłem. - To wolny kraj.

- Pójdę - odparł. - Żebyście wiedzieli, że pójdę. Minął nas, zaciskając wargi i obracając grzebień w swoich małych dłoniach (Wharton miał rację, były ładne). Wspiął się po schodkach i pochylając głowę, wszedł do mojego gabinetu. Brutal i ja staliśmy przy Starej Iskrówie czekając, aż wróci, i w ogóle ze sobą nie rozmawiając. Nie wiem jak Brutal, lecz ja nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Nie wiedziałem w ogóle, co mam myśleć o tym, co przed chwilą zobaczyliśmy.

Minęły trzy minuty. Brutal wziął do ręki szmatkę i zaczął polerować grube listwy oparcia. Skończył jedną i zabrał się za następną, kiedy Percy pojawił się z powrotem. Zbiegając po stopniach, potknął się i o mało nie upadł. Kiedy się do nas zbliżał, ugiął się pod nim kolana. Na jego twarzy widać było konsternację i niedowierzenie.

- Podmieniliście je - oświadczył piskliwym oskarżycielskim głosem. - Podmieniliście jakoś te myszy, sukinsyny. Bawicie się moim kosztem i jeśli zaraz nie przestaniecie, będziecie tego cholernie żałować! Wyrzucą was na zbity pysk, zobaczycie! Kim wy jesteście? Za kogo się uważacie?

Umilkł, łapiąc kurczowo oddech i zaciskając dłonie w pięści.

- Powiem ci, kim jesteśmy - odezwałem się. - Jesteśmy ludźmi, z którymi pracujesz i będziesz pracował, Percy... ale już bardzo niedługo.

Chwyciłem go za ramiona niezbyt mocno, lecz zdecydowanie. Tak, żeby poczuł.

Percy chciał się wyrwać.

- Zabieraj swoje brudne...

Brutal złapał go za prawą rękę - cała dłoń Percy'ego, mała, miękka i biała, zniknęła w jego opalonej pięści.

- Zamknij jadaczkę, synu. Jeśli nie chcesz wpaść w poważne kłopoty, masz teraz ostatnią okazję, żeby wydłubać wosk z uszu.

Obróciłem go, postawiłem na podwyższeniu, a potem pchnąłem do tyłu, aż jego kolana zetknęły się z siedzeniem krzesła elektrycznego i musiał usiąść. Cały spokój Percy'ego zniknął; podobnie jak podłość i arogancja. Te cechy są całkiem realne, ale musicie pamiętać, że Percy był bardzo młody. W jego wieku stanowią tylko cienki polor niczym brzydka emalia. Można ją zeszkrobać. Widziałem, że Percy jest gotów nas wysłuchać.

- Chcę, żebyś dał nam słowo - powiedziałem.

- Jakie słowo? - Wciąż wykrzywił pogardliwie usta, ale w jego oczach pojawiło się przerażenie. Moc w nastawni była wyłączona, lecz drewniane siedzenie Starej Iskrówki miało własną moc i widziałem, że Percy świetnie ją czuje.

- Słowo, że jeśli wyznaczymy cię na jutro, odejdziesz do Briar Ridge i zostawisz nas w spokoju - oznajmił Brutal. Mówił to z pasją, jakiej nigdy jeszcze u niego nie słyszałem. - Następnego dnia poprosisz o przeniesienie.

- A jeśli tego nie zrobię? Jeżeli zadzwonię po prostu do pewnych ludzi i powiem, że mnie dręczycie i próbujecie przstraszyć? Że się nade mną pastwicie?

- Jeśli masz takie dobre znajomości, jak twierdzisz, może rzeczywiście pójdziemy na zieloną trawkę - stwierdziłem. - Ale postaramy się, żeby tobie też pewne sprawy nie uszły na sucho, Percy.

- Myślicie, że ktoś się przejmie tym, iż rozdeptałem tresowaną mysz skazanego na śmierć mordercy? Oczywiście, z wyjątkiem tego kretyna?

- Nie. Lecz trzech ludzi widziało, jak nie ruszyłeś małym palcem, kiedy Dzikie Bill Wharton próbował zadusić Deana Stanton'a łańcuszkiem od kajdanek. Tym mogą się przejąć, Percy. Tym przejmie się nawet gubernator.

Na policzkach i czole Percy'ego wystąpiły czerwone plamy.

- Sądycie, że wam uwierzą? - zapytał, lecz w jego głosie nie było już poprzedniej agresywności. Doszedł widać do wniosku, że ktoś może nam uwierzyć. A Percy nie lubił kłopotów. Łamanie przepisów było w porządku. Nie w porządku było dać się na tym złapać.

- Mam kilka zdjęć szyi Deana, zanim zeszył mu siniaki - oświadczył Brutal. Nie

wiedziałem, czy mówi prawdę, ale brzmiało to przekonująco. - Wiesz, co z nich wynika? Że Wharton dusił go bardzo długo, nim ktoś go odciągnął. Chociaż ty stałeś tak blisko. Będziesz musiał odpowiedzieć na kilka trudnych pytań, zgodzisz się z tym? A taki smród może się ciągnąć za człowiekiem bardzo długo. Długo potem, jak jego krewni wyprowadzą się ze stanowego Kapitolu i zasiądą na werandzie rodzinnego domu z koktajlem miętowym w ręku. Świadectwo pracy to bardzo interesująca rzecz i może do niego zajrzeć mnóstwo osób.

Percy spoglądał nieufnie to na mnie, to na Brutala. Jego lewa ręka powędrowała w górę i wygładziła włosy. Nic nie mówił, ale miałem wrażenie, że trzymamy go w szachu.

- Daj spokój, skończmy z tym - powiedziałem. - Przecież nie chcesz pracować z nami, tak samo jak my nie chcemy pracować z tobą.

- Nienawidzę tego miejsca! - wybuchnął. - Nie mogę znieść tego, jak mnie traktujecie! Tego, że nie daliście mi najmniejszej szansy! - To ostatnie było dalekie od prawdy, lecz uznałem, że nie jest to odpowiedni moment, by się z nim spierać. - Ale nie lubię, jak ktoś przypiera mnie do muru. Tato nauczył mnie, że jak człowiek na to raz pozwoli, inni będą nim pomiatali przez całe życie. - W jego oczach, nie tak ładnych jak dłonie, ale również niczego sobie, błysnął gniew. - A najbardziej nie lubię, jak przypiera mnie do muru wielki małpizson podobny do niego - stwierdził, spoglądając na mojego starego przyjaciela. - Brutal... trafnie cię przewali.

- Musisz coś zrozumieć, Percy - powiedziałem. - Z naszego punktu widzenia, to ty przypierasz nas do muru. Powtarzamy ci bez przerwy, jak powinieneś się zachowywać, lecz ty robisz wszystko po swojemu, a potem, kiedy sprawy przybiorą zły obrót, chowasz się za swoimi politycznymi koneksjami. Rozdeptanie myszy Delacroix... - Brutal posłał mi szybkie spojrzenie i natychmiast się wycofałem. - To, że próbowałeś rozdeptać mysz Delacroix, stanowi świetny przykład. Dajesz wszystkim w kość i w końcu reagujemy po prostu tym samym. Ale posłuchaj: jeśli zrobisz co trzeba, wyjdiesz stąd pachnący jak róża; jak młody człowiek, który robi szybką karierę. Nikt nie będzie wiedział o naszej małej pogawędce. Więc jaka jest twoja odpowiedź? Zachowaj się choć raz jak dorosły. Obiecuj, że odejdziesz po Delacroix.

Zaczął się nad tym zastanawiać. Po kilku chwilach w jego oczach pojawił się błysk, ten szczególny rodzaj błysku, który widać, gdy ktoś wpada nagle na dobry pomysł. Niezbyt mnie to ucieszyło, ponieważ pomysły, które były dobre dla Percy'ego, nie musiały się okazać dobre dla nas.

- Pomysł tylko - dodał Brutal. - Jak miło będzie nie mieć więcej do czynienia z tym parszywym Whartonem.

Percy pokiwał głową i pozwoliłem mu wstać z krzesła. Wygładził koszulę od munduru, wsadził ją w spodnie, przeczesał grzebieniem włosy i dopiero wtedy zmierzył nas wzrokiem.

- Dobrze, zgadzam się. Jeśli wyznaczycie mnie jutro do Delacroix, następnego dnia składam podanie do Briar Ridge. Mówimy sobie do widzenia. Zadowoleni?

- Zadowoleni - odpowiedziałem. W jego oczach ciągle widziałem ten błysk, ale byłem zbyt zadowolony, żeby się tym przejmować.

Percy wyciągnął rękę.

- Umowa stoi?

Podąłem mu swoją. To samo zrobił Brutal.

Po raz kolejny wystawił nas do wiatru.

Następny dzień okazał się najgorętszy i ostatni z nietypowej fali październikowych upałów. Kiedy przyjechałem do pracy, na zachodzie grzmiało i gromadziły się tam ciemne chmury. Wieczorem podeszły bliżej i widzieliśmy, jak przeszywają je białoniebieskie zygzaki błyskawic. Tej nocy, mniej więcej koło dziesiątej, przez hrabstwo Trapingus przeszło tornado, zabijając cztery osoby i zrywając dach ze stajni w Tefton, a Cold Mountain nękały burze i huraganowe wiatry. Tak jakby same niebiosy protestowały przeciwko złej śmierci Eduarda Delacroix.

Z początku wszystko szło jak po maśle. Del spędził spokojny dzień w celi, chwilami bawiąc się z Panem Dzwoneczkiem, na ogół jednak leżąc na swojej pryczy i głaszcząc go. Wharton próbował kilka razy sprowokować Dela - raz zaczął wrzeszczeć coś o myszburgerach, które upieką, kiedy stary szczęściarz Pierre zatańczy two-stepsa w piekle - ale mały Francuz nie zareagował i Wharton, doszedłszy widać do wniosku, że nie wymyśli nic lepszego, dał za wygraną.

Brat Schuster przyjechał kwadrans po dziesiątej i ku naszej radości oświadczył, że odmówi z Delem Ojciec Nasz w luizjańskiej odmianie francuskiego. Uznaliśmy to za dobry omen. I oczywiście nie mieliśmy racji.

Świadkowie zaczęli przybywać koło jedenastej. Rozmawiali na ogół przyciszonym tonem o zbliżającej się burzy i spekulowali na temat ewentualnego wyłączenia mocy, które mogło opóźnić egzekucję. Żaden nie wiedział, że Stara Iskrówa ma własny generator i jeśli nie trafi go piorun, przedstawienie na pewno się odbędzie. Harry miał dyżur w nastawni, w związku z czym razem z Billem Dodge'em i Percym Wetmore'em pełnili funkcje bileterów, wskazując ludziom krzesła i pytając, czy nie mają ochoty na szklankę zimnej wody. Obecne były dwie kobiety: siostra dziewczyny, którą Del zgwałcił i zamordował, oraz matka jednej z ofiar pożaru. Ta ostatnia była postawna, blada i zdeterminowana. Ma nadzieję, oznajmiła Harry'emu Terwilligerowi, że człowiek, którego przyjechała obejrzeć, śmiertelnie się boi i dobrze wie, że w piekle płonie już dla niego stos i czekają zastępy szatana. Następnie wybuchła płaczem i schowała twarz w chusteczkę, niewiele mniejszą od poszwy na poduszkę.

Gdzieś blisko uderzył piorun, prawie nie stłumiony przez blaszany dach. Mężczyźni ocierali spocone policzki i wyglądali niezbyt świeżo pod krawatem o tak późnej porze. W szopie było gorąco jak w piecu. I wszyscy oczywiście gapili się na Starą Iskrówę. Być może

przed kilkoma dniami robili sobie żarty na temat tego wieczoru, teraz jednak, o godzinie wpół do dwunastej, przeszła im na nie ochota. Na początku tych zapisków wspomniałem, że poczucie humoru bardzo szybko opuszczało ludzi, którzy mieli zasiąść na naszym dębowym meblu, ale nie tylko skazańcom rzedła mina, gdy nadchodziła pora egzekucji. Krzesło wydawało się po prostu takie bezwstydnie nagie: stało na podwyższeniu, z wystającymi po obu stronach klamrami na nogi, niczym jakiś specjalny sprzęt, który musi nosić osoba chora na polio. Ludzie prawie nie rozmawiali i kiedy kolejny piorun trzasnął ostro i boleśnie niczym rozszczerzone drzewo, siostra dziewczyny, którą zabił Delacroix, cicho krzyknęła. Jako ostatni zajął miejsce w sektorze dla świadków Curtis Anderson zastępujący dyrektora Mooresa.

O wpół do dwunastej udałem się wraz z Brutalem i Deanem do celi Delacroix. Del siedział na pryczy, trzymając na kolanach Pana Dzwoneczka. Łebek myszy zwrócony był ku skazańcowi, małe paciorkowate oczy utkwione w jego twarzy. Del gładził go po czubku głowy, między uszami. Po policzkach płynęły mu wielkie łzy i to właśnie one tak bardzo zainteresowały mysz. Del podniósł wzrok na odgłos naszych kroków. Był bardzo blady. Za plecami czułem raczej, niż widziałem stojącego w drzwiach celi i obserwującego nas Johna Coffeya.

Del skrzywił się, słysząc metaliczny brzęk kluczy, ale zachował zimną krew i gładził Pana Dzwoneczka po głowie, kiedy przekręciłem klucz w zamku i otworzyłem drzwi.

- Cześć, szefie Edgecombe - powiedział. - Cześć, chłopcy. Powiedz cześć, Panie Dzwoneczku.

Pan Dzwoneczek jednak wciąż wpatrywał się w twarz małego łysego Francuza, jakby nie mógł zrozumieć, skąd biorą się jego łzy. Kolorowa szpulka odłożona była schludnie do pudełka marki Corona - odłożona po raz ostatni, pomyślałem ze smutkiem.

- Eduardzie Delacroix, jako przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości...

- Szefie Edgecombe?

Przez chwilę wahałem się, czy mam skończyć przygotowaną mowę.

- O co chodzi, Del? - zapytałem w końcu.

- Proszę - powiedział, podając mi mysz. - Niech pan nie pozwoli, żeby Panu Dzwoneczkowi stało się coś złego.

- Nie sądzę, żeby pozwolił się wziąć. Nie jest...

- *Mais oui*, powiedział, że pójdzie do pana. Powiedział, że dobrze pana zna, szefie Edgecombe, i że zabierze go pan do tego miejsca na Florydzie, gdzie myszy pokazują swoje sztuczki. Powiedział, że panu ufa. - Delacroix wysunął rękę dalej i niech mnie kule biją, jeśli



mysz nie zeszła z jego dłoni na moje ramię. Była tak lekka, że nie poczułem nawet na kurtce jej ciężaru, wyłącznie małą kulkę ciepła. - I jeszcze jedno, szefie. Niech pan nie da się do niego zbliżać temu draniowi. Niech pan nie pozwoli, żeby skrzywdził moją mysz.

- Nie, Del, nie pozwolę.

Pytanie brzmiało, co mam z nią zrobić teraz? Nie mogłem pokazać się zgromadzonym świadkom z myszą siedzącą na ramieniu.

- Ja go wezmę, szefie - zahuczał głos za moimi plecami. To był głos Johna Coffeya i niesamowite było, że powiedział to właśnie w tym momencie, tak jakby czytał w moich myślach. - Tylko na chwilę. Oczywiście jeśli Del nie ma nic przeciwko.

Del, uspokojony, pokiwał głową.

- Tak, ty go potrzyмай, John, aż skończy się ta cała głupota. A potem... - Wzrok Dela pobiegł z powrotem ku mnie i Brutalowi. - Potem zabierzecie go na Florydę. Do tego Mouseville.

- Tak, Paul i ja razem go odwieziemy - potwierdził Brutal, obserwując niespokojnym okiem Pana Dzwoneczka, który przeszedł z mojego ramienia na wielką wyciągniętą dłoń Coffeya. Zrobił to bez żadnego protestu, w ogóle nie starając się uciec; faktycznie zeskoczył na rękę Johna Coffeya tak samo ochoczo jak przedtem na moje ramię. - Weźmiemy sobie krótki urlop. Prawda, Paul?

Pokiwałem głową. Del pokiwał także, z rozjaśnionymi oczyma i lekkim uśmiechem na ustach.

- Ludzie będą płacili dziesięć centów, żeby go obejrzeć. A dzieciaki dwa centy. Dobrze mówię, szefie Howell?

- Zgadza się, Del.

- Jest pan dobrym człowiekiem, szefie Howell - oznajmił Del. - Pan też, szefie Edgecombe. Czasami na mnie krzyczeliście, *oui*, ale tylko kiedy musieliście. Wszyscy jesteście dobrzy z wyjątkiem Percy'ego. Chciałbym się z wami spotkać w jakimś innym miejscu. *Mauvais temps, mauvaise chance*.

- Mam ci coś do powiedzenia, Del - oświadczyłem. - Te słowa muszę powiedzieć każdemu, zanim stąd odejdzie. Nic specjalnego, ale na tym polega między innymi moja praca. W porządku?

- *Oui, monsieur* - odparł i spojrzał po raz ostatni na Pana Dzwoneczka, który przycupnął na szerokim ramieniu Johna Coffeya. - *Au revoir, mon ami* - szepnął i zaczął płakać. - *Je t'aime, mon petit*.

Posłał myszy pocałunek. Powinno to się wydać śmieszne albo po prostu groteskowe,

lecz żaden z nas nie odniósł takiego wrażenia. Popatrzyłem na Deana, po chwili musiałem jednak odwrócić wzrok. Dean spoglądał w stronę izolatki i dziwnie się uśmiechał. Sądzę, że hamował łzy. Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Zacząłem od tego, że jestem przedstawicielem wymiaru sprawiedliwości, i kiedy skończyłem, Delacroix wyszedł po raz ostatni ze swojej celi.

- Poczekaj sekundę - powiedział Brutal, po czym sprawdził wygolone miejsce na czubku jego głowy, tam gdzie nakłada się hełm. Kiwnął do mnie głową, a potem klepnął go po ramieniu. - Ani jednego włoska. Idziemy.

I tak Eduard Delacroix wybrał się na ostatni spacer Zieloną Miłą, z płynącymi po policzkach strużkami potu i łez, słuchając grzmotu huczącego nad naszymi głowami. Brutal szedł po lewej stronie skazańca, ja po prawej, a Dean zamykał orszak.

Schuster czekał już w moim gabinecie, w którym stali, pełniąc wartę, strażnicy Ringgold i Battle. Uśmiechnął się do Delacroix i przemówił w jego ojczystym języku. Francuszczyzna Schustera wydawała się trochę sztywna, ale odniosła wspaniały skutek. Del odwzajemnił uśmiech, po czym podszedł do duchownego, wziął go w ramiona i uściskał. Ringgold i Battle stężeli, ale ja podniosłem uspokajająco rękę i pokręciłem głową.

Schuster słuchał przez chwilę zdławionych przez łzy słów Dela, po czym pokiwał głową, jakby świetnie wszystko rozumiał, i poklepał go po plecach.

- Nie rozumiem nawet jednej czwartej z tego, co on mówi - szepnął.

- Nie sądzą, żeby to miało jakieś znaczenie - mruknął Brutal.

- Ja też, synu - stwierdził z uśmiechem Schuster. Był z nich wszystkich najlepszy i dopiero teraz uświadamiam sobie, że nie wiem, co się z nim stało. Mam nadzieję, że bez względu na to, jak potoczyły się jego losy, nie stracił wiary.

Złożył ręce do modlitwy i dał Delacroix znak, żeby ukląkł. Francuz zrobił to.

- *Not' Père, qui êtes aux cieux* - zaczął Schuster i Delacroix zawtórował mu. Odmówili razem Modlitwę Pańską w tej płynnie brzmiącej lujziańskiej odmianie francuszczyzny, aż do słów *mais délivrez-nous du mal, ainsi soit-il*. W tym momencie Del przestał płakać i zupełnie się uspokoił. Następnie wysłuchaliśmy (po angielsku) kilku wersetów z Biblii, w tym obowiązkowego fragmentu o cichej wodzie. Wygłosiwszy go, Schuster chciał wstać, ale Del złapał go za rękaw koszuli i zaczął mówić coś po francusku. Schuster wysłuchał go uważnie i odpowiedział na jego pytanie. Del znowu się odezwał i spojrzał na niego z nadzieją.

- On ma jeszcze pewną prośbę, panie Edgecombe - stwierdził Schuster, zwracając się do mnie. - Chce odmówić modlitwę, przy której nie mogę mu asystować z powodu mojej

wiary. Pozwolić mu?

Spojrzałem na zegar na ścianie. Była za siedemnaście minut dwunasta.

- Tak - zgodziłem się - ale niech się pośpieszy. Musimy trzymać się rozkładu, rozumie pan.

- Rozumiem.

Schuster odwrócił się do Delacroix i kiwnął głową.

Del zamknął oczy, jakby miał zamiar się modlić, ale przez moment w ogóle się nie odzywał. Zmarszczył czoło i miałem wrażenie, że sięga gdzieś głęboko do zakamarków umysłu niczym człowiek, który zagląda na strych, szukając przedmiotu od bardzo, bardzo dawna nie używanego (ani potrzebnego). Zerknąłem ponownie na zegar i już chciałem coś powiedzieć - właściwie zrobiłbym to, gdyby Brutal nie pociągnął mnie za rękaw i nie pokręcił głową.

A potem Del zaczął się cicho, lecz szybko modlić w tym swoim francuskim żargonie, który był zaokrąglony, miękki i zmysłowy niczym piersi młodej dziewczyny.

- *Marie! Je vous salue, Marie, oui, pleine de grâce; le Seigneur est avec vous; vous êtes bénie entre toutes les femmes, et mon cher Jésus, le fruit de vos entrailles, est béni.* - Znowu płakał, ale nie sądzę, żeby zdawał sobie z tego sprawę. - *Sainte Marie, Ô, ma mère, Mère de Dieu, priez pour moi, priez pour nous, pauv' pécheurs, maint'ant et à l'heure... l'heure de notre mort. L'heure.* - Dygocząc cały, wziął głęboki oddech. - *Ainsi soit-il.*

Kiedy Delacroix podniósł się z klęczek, w jedynym oknie mojego gabinetu pojawiło się niebieskobiałe światło błyskawicy. Wszyscy oprócz Dela podskoczyli w miejscu, on jednak wciąż wydawał się zatopiony w starej modlitwie. Wyciągnął w bok jedną rękę, w ogóle na nas nie patrząc. Brutal wziął ją i szybko uściśnął. Delacroix spojrzał na niego i lekko się uśmiechnął.

- *Nous voyons...* - zaczął i urwał. A potem z widocznym wysiłkiem przerzucił się z powrotem na angielski. - Możemy już iść, szefie Howell i szefie Edgecombe. Pogodziłem się z Bogiem.

- To dobrze - powiedziałem, zastanawiając się, czy pogodzi się z Bogiem za dwadzieścia minut, po drugiej stronie... Miałem nadzieję, że jego ostatnia modlitwa została wysłuchana i że Matka Boska będzie modlić się za niego z całego serca i duszy, ponieważ Eduard Delacroix, gwałciciel i morderca, potrzebował teraz wszystkich modlitw, jakie mógł zebrać. Na dworze zagrzmiał kolejny piorun.

- Chodź, Del. Już niedaleko.

- To świetnie, szefie, naprawdę świetnie. Bo już się nie boję.

Mimo tych słów widziałem w jego oczach, że - Ojcie Nasz czy nie Nasz, Zdrowaś Mario czy nie Zdrowaś - nie mówi prawdy. Przemierzając ostatnie jardy zielonego dywanu i pochylając głowę w drzwiach prawie wszyscy się boją.

- Stań na dole, Delacroix - mruknąłem cicho, kiedy wszedł do szopy, ale było to polecenie, którego wcale nie musiałem mu dawać. Rzeczywiście zatrzymał się na dole, stanął jak wryty, a spowodował to widok Percy'ego Wetmore'a, który czekał na niego na podwyższeniu, mając przy lewej nodze wiadro z gąbką, a tuż za prawym biodrem telefon łączący z gubernatorem.

- *Non* - szepnął Del niskim strwożonym głosem. - Nie, tylko nie on!

- Ruszaj - zareagował Brutal. - Nie spuszczaaj po prostu z oczu mnie i Paula. Zapomnij, że on tutaj jest.

- Ale...

Ludzie odwrócili się w naszą stronę, lecz ja przesunąłem się trochę do przodu i zdołałem złapać Delacroix pod lewy łokieć, tak że nikt tego nie zauważył.

- Spokojnie - wymamrotałem tak cicho, że usłyszeć mnie mógł tylko Del... i być może Brutal. - Większość tych ludzi będzie pamiętała sposób, w jaki odszedłeś, więc pokaż im, na co cię stać.

W tej samej chwili nad naszymi głowami zahuczał najgłośniejszy do tej pory piorun, tak głośny, że wprawił w wibrację blaszany dach szopy. Percy podskoczył, jakby go ktoś potrącił, i Del parsknął pogardliwym śmiechem.

- Zaraz znowu zleje się w portki - stwierdził i wyprężył pierś. - Chodźmy. Miejmy to już za sobą.

Zbliżyliśmy się do podwyższenia. Delacroix zerkał nerwowo w stronę świadków - tym razem było ich około dwudziestu pięciu - ale Brutal, Dean i ja nie spuszczaaliśmy oczu z krzesła. Wszystko wydawało mi się w porządku. Podniosłem kciuk i posłałem pytające spojrzenie Percy'emu, który skrzywił lekko wargę, jakby chciał powiedzieć: "Co to znaczy, czy wszystko w porządku? Jasne, że tak".

Miałem nadzieję, że się nie myli.

Kiedy Delacroix dotarł do podwyższenia, Brutal i ja ujęliśmy go instynktownie pod łokieć. Podest miał tylko osiem cali wysokości, nie więcej, ale zdziwilibyście się, ilu z nich, nawet największych twardzieli, potrzebowało pomocy przy pokonaniu tego ostatniego stopnia w swoim życiu.

Del poradził sobie jednak całkiem dobrze. Zatrzymał się na chwilę przed krzesłem (celowo nie patrząc na Percy'ego), a potem autentycznie do niego przemówił, tak jakby się

przedstawiał.

- *C'est moi* - oznajmił.

Percy wyciągnął rękę w jego stronę, ale Delacroix sam się obrócił i usiadł. Przykląkłem z jego lewej, a Brutal z prawej strony. Oslaniając krocze i gardło w sposób, jaki już opisywałem, rozchyliłem klamrę tak, że jej otwarte szczęki objęły białą nogę Francuza tuż nad kostką. Ponownie zagrzmiało i przeszedł mnie dreszcz. Pot zalewał mi oczy. Mouseville, tłukło mi się po głowie, nie wiadomo dlaczego. Mouseville, z biletami po dziesięć centów dla dorosłych i po dwa dla dzieciaków, które będą oglądać Pana Dzwoneczka w jego szklanym domku.

Klamra nie chciała się zatrzasnąć. Słyszałem, jak Del łapie kurczowo powietrze. Płuca, które za niecałe cztery minuty miały stać się zwęglonymi workami, starały się dotrzymać kroku oszalałemu ze strachu sercu. To, że Delacroix zabił pół tuzina osób, wydawało się w tej chwili najmniej ważną sprawą. Nie chcę się tutaj wypowiadać na temat dobra i zła, stwierdzam po prostu, jak było.

- Co się dzieje? - zapytał szeptem Dean, klękając koło mnie.

- Nie mogę... - zaczęłam i w tej samej chwili klamra zamknęła się z głośnym trzaskiem. Jej szczęki musiały przyciąć skórę Delowi, bo skrzywił się i cicho syknął. - Przepraszam - szepnąłem.

- Nic nie szkodzi, szefie - uspokoił mnie. - Będzie bolało tylko przez minutę.

Przy klamrze Brutala zamontowana była elektroda i jej napięcie zawsze trwało trochę dłużej, w związku z czym podnieśliśmy się z klęczek prawie jednocześnie. Dean unieruchomił lewą, a Percy prawą rękę Delacroix. Byłem gotów interweniować, gdyby Percy potrzebował pomocy, ale poradził sobie z klamrą lepiej niż ja ze swoją. Widziałem, że Del cały dygocze, tak jakby już teraz płynął przez niego lekki prąd. Czuję także zapach jego potu. Kwaśny i intensywny niczym woń sosu do marynat.

Dean dał Percy'emu znak głową. Percy spojrział przez ramię - zobaczyłem miejsce na podbródku, w którym zaciął się tego dnia przy goleniu - i powiedział niskim zdecydowanym głosem:

- Przerzuć na jedynek!

Rozległ się szum, podobny do tego, jaki wydaje stara lodówka, i rozjaśniły się nieco żarówki wiszące pod stropem szopy. Usłyszałem kilka westchnień i wypowiedzianych półgłosem uwag. Del wyprostował się na krześle i zacisnął palce na dębowych poręczach tak mocno, aż pobielaly mu kłykcie. Oczy latały mu na wszystkie strony i zaczął jeszcze szybciej oddychać.

- Spokojnie - mruknął Brutal. - Spokojnie, Del, świetnie ci idzie. Trzymaj się, świetnie ci idzie.

Hej, kochani, przeleciała mi przez głowę myśl. Zobaczcie, co potrafi zrobić Pan Dzwoneczek! Nad naszymi głowami ponownie huknął piorun.

Percy dał krok w przód i wypiął dumnie pierś. To był jego wielki dzień. Stał na środku sceny, w niego wpatrzone były oczy wszystkich. Wszystkich z wyjątkiem jednej osoby. Delacroix zobaczył, kto przed nim stoi, i spuścił wzrok. Dałbym sobie rękę uciąć, że Percy sypnie się, kiedy będzie musiał wypowiedzieć w obecności świadków swoją kwestię, on jednak wygłosił ją bez zająknięcia, niesamowicie spokojnym głosem.

- Eduardzie Delacroix, na mocy werdyktu wydanego przez równych ci stanem przysięgłych oraz prawomocnego wyroku sędziego zostałeś skazany na śmierć na krześle elektrycznym. Niech Bóg ma w opiece mieszkańców tego stanu. Czy masz coś do powiedzenia przed wykonaniem wyroku?

Del próbował coś powiedzieć, ale z jego gardła wydobył się tylko strwożony szept, składający się z samych samogłosek. W kącikach ust Percy'ego ukazał się pogardliwy uśmiech i miałem ochotę położyć go trupem. Ale Del oblizał wargi i spróbował ponownie.

- Przepraszam za to, co zrobiłem - powiedział. - Oddałbym wszystko, żeby cofnąć wskazówki zegara, ale nikt tego nie potrafi. Więc teraz... - Nad naszymi głowami eksplodował piorun. Del podskoczył w górę na tyle, na ile pozwalały mu kłamry. Oczy wychodziły mu z orbit i miał spoconą twarz. - Więc teraz płacę swoją cenę. Niech Bóg mi wybaczy. - Oblizał ponownie wargi i spojrzał na Brutala. - Nie zapomnijcie o swojej obietnicy - dodał szeptem, który przeznaczony był tylko dla nas.

- Nie martw się, nie zapomnimy - powiedziałem i poklepałem go po zimnej jak glina ręce. - Pan Dzwoneczek pojedzie do Mouseville...

- Takiego wała - mruknął Percy, prawie nie poruszając ustami, niczym stary garownik, i zapinając pas na jego piersi. - Nie ma w ogóle takiego miejsca. Ci faceci wymyślili tę bajeczkę, żebyś się grzecznie zachowywał. Pomyślałem, że powinienes o tym wiedzieć, pedale.

Jakaś iskierka w oczach Dela powiedziała mi, że gdzieś w głębi duszy dawno podejrzewał, że go nabieramy... ale gdyby mu pozwolono, dałby się oszukiwać do samego końca. Popatrzyłem z osłupieniem i wściekłością na Percy'ego, który odpowiedział mi hardym spojrzeniem. Możesz mnie teraz pocałować, mówiły jego oczy. I miał oczywiście rację. Nie mogłem nic zrobić, nie w obecności świadków, nie z siedzącym na krześle Delacroix, który znajdował się w obliczu śmierci. W tej chwili mogliśmy tylko kontynuować

to, co zaczęliśmy.

Percy zdjął kaptur z haczyka i włożył go Delowi na głowę, naciągając materiał pod wystający podbródek małego Francuza, żeby odsłonić otwór na górze. Następną czynnością było wyjęcie gąbki z wiadra i wsunięcie jej do kasku i właśnie w tym momencie Percy po raz pierwszy odszedł od ustalonego porządku: zamiast pochylić się i wyciągnąć gąbkę z wiadra, zdjął stalowy kask z oparcia krzesła i pochylił się, trzymając go w rękach. Innymi słowy, zamiast podnieść gąbkę do kasku - co byłoby bardziej naturalne - pochylił się z kaskiem do gąbki. Powiniennem się domyślić, że coś jest nie w porządku, lecz byłem zbyt zdenerwowany. Podczas tej egzekucji kompletnie nie kontrolowałem sytuacji. Co się tyczy Brutala, w ogóle nie patrzył na Percy'ego - ani w chwili kiedy Percy pochylił się nad wiadrem (obracając się, żeby częściowo zasłonić przed nami to, co robi), ani kiedy wyprostował się i odwrócił do Dela, z kaskiem, w którym tkwiła już brązowa okrągła gąbka. Brutal patrzył na materiał, który zasłaniał twarz Dela. Patrzył, jak na czarnej jedwabnej masce ukazywał się owal jego otwartych ust, a potem materiał ponownie podnosił się przy wydechu. Na czole i skroniach Brutala, tuż nad linią włosów pojawiły się wielkie krople potu. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby pocił się podczas egzekucji. Stojący za nim Dean sprawiał wrażenie zdezorientowanego i chorego - wyglądał, jakby z trudem powstrzymywał się przed zwróceniem kolacji. Wszyscy wyczuwaliśmy, że coś jest nie w porządku, teraz to wiem, lecz nie mieliśmy pojęcia co. Nikt z nas nie wiedział wtedy o pytaniach, jakie Percy zadał Jackowi Van Hayowi. Było ich wiele, ale podejrzewam, że większość stanowiła zasłonę dymną. To, co interesowało Percy'ego... moim zdaniem interesowała go tylko gąbka. Jaką spełnia funkcję? Dlaczego trzeba ją zamoczyć w słonej wodzie...? Co się dzieje, jeśli się tego nie zrobi?

Co się stanie, jeśli gąbka będzie sucha?

Percy nałożył kask na głowę Dela. Mały Francuz ponownie podskoczył i zajęczał, tym razem głośniejsze. Kilku świadków poruszyło się niespokojnie na rozkładanych krzesłach. Dean zrobił krok do przodu, chcąc pomóc Percy'emu zapiąć pasek pod brodą, ale ten dał mu znak, żeby się zatrzymał. Dean pozostał na miejscu, a potem zgarbił się lekko i skrzywił, kiedy ścianami szopy wstrząsnął kolejny grom. Chwilę później o dach zabębniły pierwsze krople deszczu; brzmiało to, jakby ktoś rzucał pełne garście orzeszków na tarę do prania.

Słyszeliście na pewno, jak ludzie opowiadają, że “zastygła im krew w żyłach”? Jasne. Wszyscy to słyszeliśmy, ale ja poczułem, że dzieje się ze mną coś podobnego tylko raz, mniej więcej dziesięć sekund po godzinie dwunastej tamtej burzliwej nocy w październiku tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku. Nie sprawił tego wyraz jadowitego triumfu na

twarzy Percy'ego, kiedy odsunął się od zakapturzonej skępowanej postaci, która siedziała na Starej Iskrówie; sprawiło to coś, co powinienem był zobaczyć, a czego nie zobaczyłem. Po policzkach Dela nie ściekała płynąca spod kasku woda. Wtedy dopiero się zorientowałem.

- Eduardzie Delacroix - powiedział Percy - zgodnie z prawem tego stanu przez twoje ciało popłynie teraz prąd elektryczny, co spowoduje zgon.

Popatrzyłem na Brutala w udreće, przy której moja infekcja dróg moczowych wydawała się blaha jak stłuczony palec. "Gąbka jest sucha", szepnąłem bezgłośnie, ale on potrząsnął głową, nie rozumiejąc, o co mi chodzi, i dalej patrzył na czarną jedwabną maskę, która zapadała się i podnosiła w rytmie ostatnich oddechów Francuza.

Chciałem wziąć Percy'ego pod łokieć, ale on się odsunął, posyłając mi jednocześnie spłoszone spojrzenie. Trwało tylko sekundę, lecz powiedziało mi wszystko. Powtarzał później swoje kłamstwa i półprawdy i różni ważni ludzie na ogół mu wierzyli, ale ja wiedziałem swoje. Percy był zdolnym uczniem, gdy robił coś, na czym mu zależało - odkryliśmy to podczas prób. Uważnie słuchał Jacka Van Haya, kiedy ten wyjaśniał mu, jak zmoczona w słonej wodzie gąbka przewodzi prąd, ukierunkowując go i zmieniając ładunek w rodzaj wycelowanego w mózg elektrycznego pocisku. O tak, Percy dokładnie wiedział, co robi. Uwierzyłem mu chyba, gdy twierdził później, że nie zdawał sobie sprawy, do czego to doprowadzi, lecz to nie kwalifikuje się nawet do umieszczenia w rubryce dobrych intencji, nieprawdaż? Nie sądzę. Jedyne, co mogłem w tym momencie zrobić, to wrzasnąć w obecności zastępcy dyrektora i wszystkich świadków do Jacka Van Haya, żeby nie włączył prądu. Gdybym miał pięć sekund, być może tak właśnie bym postąpił, ale Percy nie dał mi nawet pięciu sekund.

- Niech Bóg zmiłuje się nad twoją duszą - zwrócił się do przerażonej, zdyszanej postaci na krześle elektrycznym, a potem spojrział w stronę prostokątnej drucianej siatki, za którą stali Harry i Jack, ten ostatni z ręką na przełączniku oznaczonym napisem: SUSZARKA MABEL. Po prawej stronie siatki stał doktor, wbijając oczy w czarną torbę stojącą między stopami, tak samo cichy i skromny jak zawsze. - Wrzucić na dwójkę!

Z początku nic nie odbiegało od normy - buczenie stało się tylko nieco głośniejsze niż przedtem, a ciało Delacroix skoczyło do przodu, kiedy prąd poraził jego mięśnie.

Później sprawy przybrały zły obrót.

Buczenie przestało być jednostajne; jego ton zaczął się podnosić i opadać. Towarzyszył mu teraz głośny trzask, jakby ktoś zgniatał w dłoni celofan. Poczulem jakiś potworny odór, ale dopiero widząc wydobywające się spod kasku niebieskie smugi dymu, uprzytomniłem sobie, że to palą się włosy i koralowa gąbka. Dym smużył się także z otworu



na szczycie kasku, przez który przechodził kabel.

Delacroix zaczął dygotać i kręcić się na krześle. Jego zakapturzona głowa latała na wszystkie strony, jakby chciała wyrazić stanowczy protest. Unieruchomione klamrami nogi podrygiwały w górę i w dół. Na dworze znowu zagrzmiało i zaczęło mocniej padać.

Popatrzyłem na Deana Stantona, który odpowiedział mi przerażonym spojrzeniem. Spod kasku Dela dobiegł stłumiony trzask, zupełnie jakby szyszka eksplodowała w ognisku. Widziałem, że dym uchodzi teraz także przez kaptur, sącząc się małymi strużkami.

Skoczyłem w stronę nastawni, ale nim zdążyłem otworzyć usta, Brutus Howell złapał mnie za rękę tak mocno, aż zamrowiło mnie pod łokciem. Był bładny jak kreta, ale całkowicie opanowany.

- Nie każ Jackowi wyłączać - powiedział półgłosem. - Cokolwiek chcesz zrobić, nie każ mu wyłączać. Jest już za późno.

Świadkowie nie słyszeli z początku krzyków Dela. Deszcz bębnił w blaszany dach, a huk piorunów zlewał się ze sobą. Lecz ci z nas, którzy stali na podwyższeniu, słyszeli je całkiem wyraźnie - dobiegający spod dymiącego kaptura zdławiony skowyt bólu, odgłos, jaki może wydawać zwierzę kaleczone przez snopowiązałkę.

Buczenie elektryczności było teraz nierówne i głośnie; co jakiś czas przerywały je trzaski podobne do tych, które słychać w radiu podczas zakłóceń atmosferycznych. Delacroix kołysał się na krześle niczym dzieciak urządzający dziką awanturę. Podwyższenie zadygotało nagle, a on skoczył do przodu z taką siłą, że o mało nie zerwał krępujących go pasów. Prąd również wykręcał go na wszystkie strony i usłyszałem głośnie chrupnięcie, kiedy kość prawego ramienia złamała się lub wypadła z panewki. Zabrzmiało to, jakby ktoś rozbijał wielkim młotem drewnianą skrzynię. Spodnie pociemniały mu w kroczu, a potem zaczął wydawać z siebie straszliwe, podobne do szczurzych pisków dźwięki, które słychać było wyraźnie mimo padającej ulewy.

- Co się z nim, do diabła, dzieje? - zawołał ktoś.
- Czy te klamry go utrzymują?
- Chryste Panie, co za smród! Fuj!
- Czy to normalne? - zapytała jedna z kobiet.

Delacroix kolebał się w przód i w tył, w przód i w tył. Percy gapił się na niego z rozdziawioną szeroko gębą. Spodziewał się czegoś ciekawego, to jasne, jednak z całą pewnością nie tego.

Jedwabny materiał na twarzy Delacroix zajął się ogniem. Do odoru palących się włosów i gąbki doszedł smród pieczonego mięsa. Brutal złapał wiadro, w którym była gąbka -

teraz oczywiście puste - i ruszył szybkim krokiem w stronę zlewu zamontowanego w rogu szopy.

- Czy nie powinienem wyłączyć prądu, Paul? - zawołał przez siatkę Van Hay. Był zupełnie zdezorientowany. - Czy nie powinienem...

- Nie! Nie wyłączaj, na litość boską, nie wyłączaj! - wrzasnąłem. Brutal zrozumiał to pierwszy, ale mnie też nie zajęło to dużo czasu: musieliśmy doprowadzić wszystko do końca. Bez względu na to, co zamierzaliśmy robić dalej w życiu, jedno nie ulegało kwestii: musieliśmy skończyć z Delacroix. - Zostaw to wiadro! - krzyknąłem do Brutala, nie zwracając uwagi na ludzi, którzy rozmawiali teraz głośno za naszymi plecami. Kilka osób wstało z krzeseł, a jedna czy dwie zaczęły krzyczeć. - Nie lej wody! Nie lej wody! Zwariowałaś?

Brutal odwrócił się w moją stronę i dotarło do niego, co mówię. Chciał oblać wodą człowieka, przez którego płynął prąd. No tak. Świetny pomysł. Rozejrzał się dookoła, zobaczył chemiczną gaśnicę i złapał ją zamiast wiadra. Mądry chłopak.

Kaptur zsunął się z twarzy małego Francuza, odsłaniając rysy ciemniejsze niż u Johna Coffeya. Jego oczy, będące w tej chwili tylko zdeformowanymi kulkami białej galarety, wypłynęły z oczodołów na policzki. Rzęsy zniknęły i kiedy na niego patrzyłem, ogniem zajęły się powieki. Dym wydobywał się spod otwartego kołnierzyka koszuli, a potem ona też zaczęła płonąć. I wciąż słychać było to wibrujące buczenie, od którego pękał mi łeb. Wydaje mi się, że taki albo podobny dźwięk rozbrzmiewa w głowach szaleńców.

Dean skoczył do przodu, wyobrażając sobie chyba, że ugasi gołymi rękoma płonąca koszulę Dela, ale szarpnąłem go do tyłu tak mocno, że o mało się nie przewrócił. Dotykanie Delacroix byłoby teraz niczym skok na druty wysokiego napięcia.

Nie oglądałem się za siebie, gdzie rozpętało się chyba prawdziwe piekło. Słyszałem łoskot przewracanych krzeseł i krzyk ludzi.

- Przestańcie, przestańcie, czy nie widzicie, że on ma już dosyć?! - wrzeszczała jedna z dwóch kobiet.

Curtis Andersen złapał mnie za ramię i pytał, co się na litość boską dzieje, co się dzieje i dlaczego nie każę Jackowi wyłączyć prądu.

- Bo nie mogę - odparłem. - Zaszliśmy zbyt daleko, żeby się cofnąć, nie widzisz? Za kilka sekund i tak będzie po wszystkim.

A jednak minęły jeszcze co najmniej dwie minuty, zanim było po wszystkim, najdłuższe dwie minuty w moim życiu. Delacroix był chyba prawie do samego końca przytomny. Krzyczał, dygotał i kołysał się na boki. Dym szedł z jego nozdrzy i ust, które

przybrały głęboki fioletowy kolor dojrzałych śliwek. Guziki koszuli stopiły się albo poodpadały. Podkoszulek nie zajął się ogniem, lecz poczerniał i czuliśmy swąd włosów na jego piersi. Za nami ludzie pchali się do drzwi niczym ogarnięte paniką bydło. Nie mogli oczywiście się wydostać - byliśmy w końcu w cholernym więzieniu - tłoczyli się więc koło wyjścia, podczas gdy Delacroix smażył się ("Teraz się smażę, powtarzał stary Tu-Tut, gdy robiliśmy próbę generalną przed Alanem Bitterbuckiem, smażę się jak indyk w brytfannie"), a z nieba lał się deszcz i waliły pioruny.

W którymś momencie przypomniałem sobie o doktorze i poszukałem go wzrokiem. Wcale nas nie opuścił. Leżał nieprzytomny koło swojej czarnej torby.

Brutal podszedł do mnie, trzymając w ręku gaśnicę.

- Jeszcze nie - powiedziałem.

- Wiem.

Rozejrzeliśmy się za Percym. Stał teraz prawie dokładnie za Iskrówą, nieruchomy, z wybałuszonymi oczyma i palcem wciśniętym w usta.

Delacroix odchylił się w końcu do tyłu, a jego zniekształcona spuchnięta głowa opadła na ramię. Wciąż wstrząsały nim drgawki, ale takie drgawki widzieliśmy już wcześniej: to była tylko elektryczność. Kask przechylił się na bakier. Kiedy go zdejmowaliśmy, większa część skóry i wianuszek włosów zszedł razem z nim, jakby ktoś przykleił je do metalu silnym klejem.

- Wyłączaj! - krzyknąłem do Jacka, gdy przez ponad trzydzieści sekund dymiącą, przypominającą kształtem człowieka, zwęgloną bryłą na krześle wstrząsał wyłącznie prąd elektryczny. Buczenie natychmiast umilkło. Dałem głową znak Brutalowi, a on cisnął gaśnicę w ramiona Percy'ego tak mocno, że ten o mało nie spadł z podwyższenia.

- Gaś! - rozkazał. - To w końcu twoje przedstawienie, prawda?

Percy rzucił mu spojrzenie, które było jednocześnie mordercze i żalodne, a potem uzbroidł gaśnicę, podpompował ją i strzelił wielkim obłokiem białej piany w człowieka na krześle. Zobaczyłem, jak noga Dęła drgnęła lekko, kiedy piana dotknęła jego twarzy, i pomyślałem: "O nie, będziemy musieli znowu dać mu kopa", ale konwulsje się nie powtórzyły.

Andersen zwrócił się do spanikowanych świadków i zaczął tłumaczyć, że wszystko jest w porządku, że to tylko nagły wzrost mocy spowodowany wyładowaniami elektrycznymi, i w ogóle nie ma się czym przejmować. Za chwilę gotów był oznajmić, że to, co czuli w nozdrzach - diabelska mieszanka spalonych włosów, smażonego mięsa i świeżo upieczonego gówna prosto ze zwęglonych kiszek Eduarda Delacroix - to perfumy Chanel No. 5.

- Weź słuchawki doktora - poleciłem Deanowi, kiedy z gaśnicy przestała tryskać piana. Skazańca okrywał teraz biały całun i najgorszy odór przytłumiła gorzka woń chemikaliów.

- Panie doktorze? Czy mógłbym...

- Nie przejmuj się doktorem, weź po prostu jego słuchawki. Skończmy z tym... zabierzmy go stąd.

Dean pokiwał głową. "Skończmy z tym" i "zabierzmy go" były zdaniem, które w tym momencie nadzwyczaj silnie do niego przemawiały. Przemawiały do nas wszystkich. Pochylił się nad czarną torbę i zaczął w niej grzebać. Doktor poruszył się raz i drugi, nie dostał więc chyba zawału ani wylewu. To mnie ucieszyło. Martwił mnie sposób, w jaki Brutal spoglądał na Percy'ego.

- Idź do tunelu i zaczekaj przy wózku - powiedziałem.

Percy przełknął ślinę.

- Posłuchaj, Paul. Nie wiedziałem...

- Zamknij się. Idź do tunelu i zaczekaj przy wózku. Natychmiast!

Przełknął jeszcze raz ślinę, skrzywił się, jakby go to zabolalo, a potem ruszył do drzwi prowadzących do tunelu. Idąc tulił w rękach pustą gaśnicę niczym małe dziecko. Dean minął go, niosąc mi słuchawki. Złapałem je i nałożyłem na uszy. Robiłem to wcześniej w wojsku, a takich rzeczy, podobnie jak jazdy rowerem, nigdy się nie zapomina.

Starłem pianę z piersi Delacroix i natychmiast musiałem powstrzymać torsje, widząc, jak wielki gorący kawał skóry oderwał się od ciała w taki sam sposób, w jaki skóra schodzi z... no, dobrze wiecie. Z usmażonego w brytfannie indyka.

- O mój Boże - usłyszałem za sobą płaczliwy głos, którego nie rozpoznawałem. - Czy to się zawsze tak odbywa? Dlaczego nikt mi nie powiedział? Nigdy bym tu nie przyszedł!

Teraz już za późno, przyjacielu, pomyślałem.

- Zabierzcie stąd tego człowieka - rzuciłem w stronę Deana, Brutala i w ogóle każdego, kto akurat słuchał... ale powiedziałem to dopiero wtedy, gdy byłem pewien, że nie wyrzgam się na dymiącą pierś Delacroix. - Proszę cofnąć się do drzwi.

Zmobilizowałem wszystkie swoje siły i przyłożyłem dysk stetoskopu do czerwoczarne surowego ciała, które odsłoniłem. Słuchając, modliłem się, żeby nic nie usłyszeć i rzeczywiście nic nie usłyszałem.

- Nie żyje - poinformowałem Brutala.

- Chwała Bogu.

- Tak. Chwała Bogu. Ty i Dean przynieście nosze. Chcę go stąd jak najszybciej zabrać.

Znieśliśmy zwłoki dwanaście schodków w dół i ułożyliśmy na wózku. Bałem się, że ugotowane ciało odejdzie od kości - wciąż pamiętałem o smażonym indyku starego Tu-Tuta - ale nic takiego się oczywiście nie stało.

Curtis Andersen został na górze i uspokajał widzów - w każdym razie próbował ich uspokoić - tak było lepiej, ponieważ nie widział, jak Brutal podnosi pięść na Percy'ego, który stał zupełnie oszołomiony przy wózku. Złapałem go za ramię i dobrze, że to zrobiłem. Dobrze dla Percy'ego, gdyż Brutal zamierzał zadać cios o niemal dekapitującej sile, i dobrze dla Brutala, bo gdyby ten cios doszedł celu, straciłby pracę i być może sam wylądował w więzieniu.

- Nie - powiedziałem.

- Co to znaczy "nie"? - zapytał rozjuszony Brutal. - Jak możesz mówić "nie"? Widziałeś, co zrobił. O co ci chodzi? Chcesz pozwolić, żeby w dalszym ciągu chroniły go jego koneksje? Po tym, co uczynił?

- Tak.

Brutal wlepił we mnie wzrok. Łzy stały mu w oczach z wściekłości.

- Posłuchaj mnie, Brutus. Jeśli go rąbniesz, najprawdopodobniej wszyscy pójdziemy na zieloną trawkę. Ty, ja, Dean, Harry, może nawet Jack Van Hay. Pozostali, na czele z Billem Dodge'em, awansują o szczebel albo dwa wyżej, a zarząd więziennictwa zatrudni trzech lub czterech bezrobotnych, żeby wypełnić wolne miejsca na samym dole. Tobie może to nie przeszkadza, ale... - W tym momencie wskazałem palcem Deana, który wpatrywał się w głąb wyłożonego cegłami, ociekającego wodą tunelu. W dłoni trzymał okulary i wydawał się prawie tak samo oszołomiony jak Percy. - Ale co z Deanem? Ma dwoje dzieci. Jedno jest w szkole średniej, drugie niedługo tam idzie.

- Więc jak to się skończy? - zapytał Brutal. - Pozwolimy, żeby uszło mu to płazem?

- Nie wiedziałem, że gąbka powinna być mokra - oświadczył cichym mechanicznym głosem Percy. Była to bajeczka, którą wymyślił oczywiście wcześniej, planując złośliwy figiel, a nie kataklizm, który obejrzelśmy przed chwilą. - Podczas prób nigdy nie była mokra.

- Och, ty skurwielu... - zawołał Brutal, ruszając w jego stronę. Ponownie złapałem go za rękę i odciągnąłem do tyłu. Ktoś schodził na dół. Podniosłem wzrok, bojąc się, że zobaczę Curtisa Andersona, ale to był tylko Harry Terwilliger. Miał białe jak papier policzki i

fioletowe wargi, jakby przed chwilą jadł jagodziankę.

- Na litość boską, Brutal - powiedziałem. - Delacroix nie żyje, nic tego nie zmieni, a Percy nie jest tego wart.

Czy w tamtym momencie zaświtał mi w głowie ten plan? Przyznam, że długo się nad tym zastanawiałem. Zastanawiałem się przez wszystkie te lata i nigdy nie znalazłem satysfakcjonującej odpowiedzi. Przypuszczam, że nie ma to większego znaczenia. Mnóstwo rzeczy nie ma większego znaczenia, nie przeszkadza to jednak ludziom długo się nad nimi zastanawiać.

- Mówicie o mnie, jakbym był meblem - poskarżył się Percy. Wciąż był oszołomiony i zdyszany, jak człowiek, którego ktoś uderzył mocno w żołądek, ale powoli dochodził do siebie.

- Jesteś meblem, Percy.

- Hej, nie możesz...

Z najwyższym wysiłkiem powstrzymałem się, żeby samemu go nie kropnąć. Woda kapiała głośno z ceglanego stropu; nasze powykrzywiane cienie tańczyły na ścianach niczym cienie w tym opowiadaniu Edgara Allana Poe o wielkiej małpie z Rue Morgue. Zagrzmiął piorun, lecz tu na dole jego dźwięk był stłumiony.

- Chcę od ciebie usłyszeć tylko jedno, Percy - powiedziałem. - Że jutro, tak jak obiecałeś, złożysz podanie o przeniesienie do Briar Ridge.

- Możesz się o to nie martwić - oświadczył ponuro. Zerknął na okrytą prześcieradłem postać na wózku, uciekł w bok oczyma, przez chwilę patrzył na mnie, a potem ponownie odwrócił wzrok.

- Tak będzie najlepiej. W innym wypadku mógłbyś poznać Dzikiego Billa Whartona o wiele bliżej, niż masz na to ochotę - stwierdził Harry. - Moglibyśmy się o to postarać - dodał po krótkiej przerwie.

Percy bał się nas i bał się prawdopodobnie tego, co możemy mu zrobić, kiedy odkryjemy, że pytał Jacka Van Haya, do czego służy gąbka i dlaczego moczymy ją zawsze w solance, a jednak na wzmiankę o Whartonie w jego oczach pojawiło się prawdziwe przerażenie.

- Nie ośmieliłbyś się - szepnął.

- Owszem, ośmieliłbym się - odparł chłodno Harry. - I wiesz co? Uszłoby mi to na sucho. Ponieważ udowodniłeś już, że w postępowaniu z więźniami jesteś skrajnie nieostrożny. I niekompetentny.

Percy zacisnął pięści i zaróżowiły mu się lekko policzki.

- Nie jestem...

- Owszem, jesteś - oświadczył Dean, podchodząc bliżej. Otoczyliśmy Percy'ego półkolem, odcinając mu drogę również w głąb tunelu: tuż za nim stał wózek z ładunkiem dymiącego mięsa przykrytego prześcieradłem. - Przed chwilą spaliłeś żywcem Delacroix. Czy to nie jest przejaw skrajnej niekompetencji?

Percy zamrugał oczyma. Miał zamiar bronić się, udając niewiedzę, teraz jednak zorientował się, że wpadł we własne sidła. Nie wiem, co miał nam do powiedzenia, ponieważ w tej samej chwili u szczytu schodów pojawił się Curtis Andersen. Zobaczyliśmy go i cofnęliśmy się trochę, żeby nie sprawiać wrażenia, że grozimy Percy'emu.

- Co tu się, do kurwy nędzy, dzieje?! - ryknął Curtis. - Chryste Panie, tam na górze jest zarzygana cała podłoga! I jak śmierdzi! Kazałem staremu Tu-Tutowi i Magnussonowi otworzyć oboje drzwi, ale mogę się założyć, że smród będzie się unosić przez pięć lat. A ten dupek Wharton śpiewa już o tym piosenkę! Słyszę go!

- Potrafi czysto śpiewać? - zdziwił się Brutal. Wiecie, jak można zapalić gaz świetlny jedną iskrą i nie zrobić sobie krzywdy, jeśli jego stężenie nie jest w tym momencie zbyt wysokie? Tam na dole zdarzyło się coś podobnego. Przez chwilę gapiliśmy się bez słowa w Brutusa, a potem ryknęliśmy śmiechem. Piskliwy histeryczny rechot objął się o sklepienie mrocznego korytarza niczym stado nietoperzy. Nasze cienie kołysały się i skakały po ceglanych ścianach. Pod koniec przyłączył się do nas nawet Percy. Po jakimś czasie umilkliśmy i wszyscy poczuliśmy się trochę lepiej. Poczuliśmy się z powrotem normalni.

- W porządku, chłopcy - powiedział Anderson, ocierając chusteczką załzawione oczy i tłumiąc wzbierający w gardle śmiech. - Co to było?

- Egzekucja - odparł Brutal. Jego spokojny ton zaskoczył chyba Andersona, ale nie zaskoczył mnie, przynajmniej nie tak bardzo; Brutal zawsze potrafił szybko zmieniać nastrój.

- Udana egzekucja.

- Jak, na litość boską, możesz nazywać udaną egzekucją tego rodzaju fuszerkę? Niektórzy świadkowie nie będą mogli zasnąć przez cały miesiąc! Ta stara gruba szantrapa nie zaśnie pewnie przez rok!

Brutal wskazał ręką wózek z trupem okrytym prześcieradłem.

- Del nie żyje, prawda? A co do pańskich świadków, większość opowie jutro znajomym, że sprawiedliwości stało się zadość: Del spalił żywcem parę osób, odpłaciliśmy mu więc pięknym za nadobne i spaliliśmy żywcem jego. Tyle że to nie nam przypiszą całą zasługę. Powiedzą, że byliśmy narzędziem w ręku Boga. Może tkwi w tym zresztą ziarno prawdy. I chce pan wiedzieć, co jest w tym najśmieszniejsze? Ich znajomi będą żałować, że

się tu nie pojawili.

Mówiąc to posłał Percy'emu jednocześnie zgryźliwe i pogardliwe spojrzenie.

- I co z tego, jeśli nawet ich to trochę ruszyło? - zapytał Harry. - Przybyli tutaj z własnej woli, nikt ich nie ciągnął.

- Nie wiedziałem, że gąbka ma być mokra - powtórzył głosem robota Percy. - Nigdy nie moczyliśmy jej podczas próby.

Dean spojrział na niego ze skrajnym obrzydzeniem.

- Ile lat sikałeś na deskę od sedesu, zanim ktoś wytłumaczył ci, że trzeba ją podnieść? - zadrwił.

Percy otworzył usta, żeby odpowiedzieć, kazałem mu się jednak zamknąć. To dziwne, ale posłuchał.

- Percy zawałił sprawę. Oto, co się stało - poinformowałem Curtisa, po czym odwróciłem się do Percy'ego, żeby zaprzeczył. Nie zrobił tego, być może wyczytał w moich oczach, że lepiej będzie, jeśli Anderson uwierzy, iż to, co się stało, było wynikiem głupiego błędu, a nie celowego działania. Poza tym słowa wypowiedziane tu, w tunelu, w ogóle nie miały znaczenia. Dla niego i dla wszystkich ludzi jego pokroju znaczenie ma to, co powiedzą grube szychy - ludzie, którzy pociągają za sznurki. Dla Percych liczy się tylko to, co napiszą o tym w gazetach.

Anderson przyjrzał się niepewnym wzrokiem całej naszej piątce. Popatrzył nawet na Dela, ale ten nie miał zamiaru się odzywać.

- Przypuszczam, że mogło być gorzej - mruknął.

- Zgadza się - potwierdziłem. - Mógł w ogóle nie umrzeć.

Curtis zamrugał oczyma: ta możliwość nie przyszła mu najwyraźniej do głowy.

- Jutro chcę mieć na ten temat dokładny raport - powiedział. - I żaden z was nie piśnie o tym ani słowa dyrektorowi Mooresowi, zanim sam z nim nie porozmawiam. Zrozumiano?

Pokiwaliśmy raźnie głowami. Jeśli Curtis Anderson sam chciał o tym opowiedzieć dyrektorowi, nie mieliśmy nic przeciwko temu.

- Żeby tylko żaden z tych cholernych pismaków nie napisał o tym do gazety...

- Nie zrobią tego - uspokoiłem go. - Jeśli nawet spróbują, wydawcy nie skierują takiego materiału do druku. To zbyt brutalne jak na rodzinne gusta. Ale oni nie spróbują, mieliśmy tu dzisiaj samych weteranów. Wiedzą o tym tak samo dobrze jak my.

Anderson zastanawiał się nad tym przez chwilę, a potem kiwnął głową i odwrócił się do Percy'ego. Na jego normalnie sympatycznym obliczu pojawiło się obrzydzenie.

- Jesteś głupim dupkiem i nie mogę na ciebie patrzeć - oznajmił i widząc osłupienie w



oczach Percy'ego, pokiwał głową. - Jeśli jednak powiesz któremuś ze swoich wysoko postawionych przyjaciół, co tu ode mnie usłyszałeś, wyprę się tego w żywe oczy, a ci ludzie staną za mną murem. Masz poważny problem, synu.

Obrócił się na pięcie i ruszył na górę.

- Curtis? - zawołałem, kiedy przeszedł cztery schodki.

Obejrzał się i podniósł brwi.

- Nie musisz się martwić o Percy'ego - powiedziałem. - Wkrótce przechodzi do Briar Ridge. Czekają go tam ważniejsze obowiązki. Prawda, Percy?

- Wyjeżdża, kiedy tylko nadejdzie zgoda na jego przeniesienie - dodał Brutal.

- A dopóki nie nadejdzie, każdego wieczoru będzie brał zwolnienie lekarskie - wtrącił Dean.

To oburzyło Percy'ego, który nie pracował w więzieniu wystarczająco długo, żeby móc wziąć płatne zwolnienie.

- Nawet o tym nie myśl - mruknął, piorunując wzrokiem Deana.

Mniej więcej o pierwszej piętnaście wróciliśmy na blok (z wyjątkiem Percy'ego, któremu kazałem posprzątać szopę i który bardzo się z tego powodu dąsał). Miałem napisać raport i postanowiłem zrobić to przy biurku oficera dyżurnego; gdybym zasiadł w bardziej wygodnym fotelu w gabinecie, pewnie zaraz bym zasnął. Może się to wydać dziwne, zważywszy na to, że wszystko wydarzyło się zaledwie przed godziną, ale czułem się tak, jakbym od jedenastej wieczór przeżył trzy życia, wszystkie bez zmrużenia oka.

John Coffey stał w drzwiach swojej celi i łzy płynęły ciurkiem z jego dziwnych nieobecnych oczu - niczym krew, która sączy się z nie zagojonych, lecz jednocześnie bezbolesnych ran. Wharton siedział na pryczy, kołysząc się i śpiewając nie całkiem nonsensowną piosenkę, którą najwyraźniej sam ułożył. Z tego, co pamiętam, brzmiała mniej więcej tak:

Barbecue! Upiecz mu!  
Różowe cuchnące fiu-fiu-fiu!  
To nie Billy ani z Filadelfii Philly,  
to nie był Jackie ani Roy!  
To był mały konus, kawał muła,  
o nazwisku Delacroix!

- Cicho, palancie - rzuciłem w jego stronę.

Wharton uśmiechnął się, odsłaniając sterczące w dziąsłach zepsute zęby. Sam jeszcze nie umierał; był radosny jak skowronek i nogi rwały mu się do tańca.

- Wejdz tu do środka i mnie ucisz - zaproponował wesoło, po czym zaintonował drugą zwrotkę *Barbecue*, umieszczając w niej nie do końca przypadkowe słowa. Coś tam miał pod sufitem, nie da się zaprzeczyć. Rodzaj surowej i zboczonej inteligencji, na swój sposób jednak całkiem wybitnej.

Podszedłem do Johna Coffeya, który otarł łzy obiema dłońmi. Miał zaczerwienione i spuchnięte oczy i sprawiał wrażenie skrajnie zmęczonego. Nie miałem pojęcia, czym mógł się zmęczyć człowiek, który chodził przez dwie godziny dziennie po spacerniaku, a poza tym siedział albo leżał w swojej celi, ale nie wątpiłem w to, co widzę.

- Biedny Del - powiedział niskim ochrypłym głosem. - Biedny stary Del.

- Tak - odparłem. - Biedny stary Del. Ale ty dobrze się czujesz, John?

- Ma to już za sobą - stwierdził. - Del ma to już za sobą. Prawda, szefie?

- Tak. Odpowiedz na moje pytanie, John. Nic ci nie jest?

- Del ma to już za sobą. Szczęściarz. Bez względu na to, jak to się odbyło, to szczęściarz.

Pomyślałem, że Delacroix mógł się z nim w tej sprawie nie zgodzić, nie powiedziałem jednak tego na głos. Rozejrzałem się po celi Coffeya.

- Gdzie Pan Dzwoneczek?

- Uciekł tam - odparł John, wskazując w stronę izolatki.

- Pewnie niedługo wróci - stwierdziłem, kiwając głową.

A jednak nie wrócił; dni Pana Dzwoneczka na Zielonej Mili dobiegły kresu. Jedynym śladem, na jaki po nim natrafiliśmy, było to, co Brutal odnalazł tamtej zimy: kilka jaskrawo pokolorowanych drzazg i zapach miętowego cukierka, wydobywający się z dziury w belce.

Miałem zamiar wrócić za biurko, lecz nie zrobiłem tego. Popatrzyłem na Johna Coffeya, a on odwzajemnił moje spojrzenie, jakby wiedział dobrze, o czym myślę. Powtarzałem sobie, żeby odejść, dać sobie spokój i wrócić do mojego raportu, zamiast tego wymówiłem jednak na głos jego imię i nazwisko.

- Johnie Coffey.

- Tak, szefie - odparł od razu.

Czasami człowiek nie zazna spokoju, dopóki się czegoś nie dowie, i tak właśnie ze mną wtedy było. Ukląłem na jedno kolano i zdjąłem z nogi but.

Kiedy wróciłem do domu, przestało padać i nad górami na północy pojawił się spóźniony uśmiech księżycy. Senność opuściła mnie wraz z odejściem burzy. Miałem jasny umysł i czułem na sobie zapach Eduarda Delacroix. Pomyślałem, że mogę go czuć - "barbecue, upiecz mu, różowe cuchnące fiu-fiu-fiu" - jeszcze bardzo długo.

Janice czekała na mnie, tak jak to robiła zawsze w noc egzekucji. Nie chciałem mówić jej, co się stało - uważałem, że nie ma sensu jej zdręczać - ale ona popatrzyła mi w twarz, gdy wszedłem przez kuchenne drzwi, i nie miała zamiaru mi darować. Usiadłem więc, wziąłem jej ciepłe dłonie w swoje zziębnięte ręce (ogrzewanie w fordzie prawie nie działało, a pogoda po burzy diametralnie się zmieniła) i opowiedziałem to, co wydawało jej się, że chce wiedzieć. Mniej więcej w połowie wybuchłem płaczem, co zupełnie mnie zaskoczyło. Było mi wstyd, lecz tylko trochę; stało się to w końcu w jej obecności, a Janice nigdy nie kazała mi płacić za chwilę, gdy zachowywałem się nie tak, jak powinien się zachowywać mężczyzna... jak w każdym razie wydawało mi się, że powinien. Facet, który ma dobrą żonę, jest najszcześniejszym z bożych stworzeń, a ten, który jej nie ma, należy moim zdaniem do najbardziej pokrzywdzonych przez los i jedyną pociechę może stanowić dla niego to, że nie wie, jak bardzo jest biedny. Płakałem, a ona przycisnęła moją głowę do piersi i kiedy minęła moja własna burza, poczułem się trochę lepiej. I sądzę, że wtedy po raz pierwszy zaświtał mi w głowie ten pomysł. Nie chodzi mi o but. But był z tym związany, ale tylko częściowo. W tamtym momencie uświadomiłem sobie po prostu pewną dziwną rzecz: że John Coffey i Melinda Moores mimo różnego wzrostu, płci i koloru skóry mają takie same oczy: udręczone, smutne i odległe. Oczy, które umierają.

- Chodź do łóżka - powiedziała w końcu moja żona. - Chodź ze mną do łóżka, Paul.

Zrobiłem to i pokochaliśmy się, a kiedy było już po wszystkim, Janice zasnęła. Leżąc tam, patrząc na uśmiechnięty księżyc i słuchając tykania ścian (nareszcie się kurczyły, wymieniając letnie ciepło na jesienny chłód), pomyślałem o Johnie Coffeyu. "Pomogłem myszy Dela", powiedział. "Pomogłem Panu Dzwoneczkowi. To cyrkowa mysz". Jasne. Może wszyscy byliśmy cyrkowymi myszami, biegającymi w kółko i nie zdającymi sobie prawie sprawy, że Bóg wraz ze swymi niebieskimi zastępami obserwuje nas w naszych bakelitowych domkach.

Przespałem się trochę, kiedy zaczęło świtać - przez dwie, może trzy godziny.

Drzemałem w sposób, w jaki śpię teraz zawsze w Georgia Pines i w jaki prawie nigdy nie spałem w tamtych czasach - co chwila budząc się i ślizgając na pograniczu jawy. Zasypiając rozmyślałem o świątyniach mojej młodości. Ich nazwy zmieniały się w zależności od kaprysu mojej matki i jej sióstr, ale w gruncie rzeczy wszystkie były takie same, wszystkie należały do Pierwszego Puszczańskiego Kościoła Czcieli Jezusa, Pana, który jest Naszą Ostoją. W cieniu ich przysadzistych kwadratowych wież myśl o pokucie nachodziła nas tak często, jak często odzywał się dzwon wzywający wiernych na nabożeństwo. Tylko Bóg mógł wybaczyć grzechy, mógł wybaczyć i wybaczał, zmywając je krwią swego umierającego ukrzyżowanego Syna, nie zwalniało to jednak Jego dzieci z konieczności pokutowania za te grzechy (a czasami nawet za proste błędy w rozumowaniu), kiedy to tylko możliwe. Pokuta miała w sobie wielką moc: była zamkiem w drzwiach, które zamykało się za przeszłością.

Zasnąłem, rozmyślając o puszczańskiej pokucie, o płonącym Eduardzie Delacroix, który dosiadał błyskawicy, o Melindzie Moores i moim wielkim pensjonariuszu z wiecznie wilgotnymi oczyma. Te myśli dostały się do mojego snu. John Coffey siedział w nim na brzegu rzeki, zanosząc swoje kretyńskie nieartykułowane skargi do letniego nieba, podczas gdy pociąg towarowy na drugim brzegu pędził bez końca w stronę zardzewiałego mostu przerzuconego przez Trapingus River. Czarny mężczyzna trzymał w rękach zwłoki nagich jasnowłosych dziewczynek. Jego wielkie brązowe dłonie zaciśnięte były w pięści. Wszędzie dookoła cykały świerszcze i latały muszki; w powietrzu huczał upał. W moim śnie podszedłem do niego, ukląknęłam i wziąłem za ręce. Jego dłonie otworzyły się i zdradziły swoje sekrety. W jednej była pokolorowana na zielono, czerwono i żółto szpulka. W drugiej but więziennego strażnika.

- Nie mogłem nic pomóc - powiedział John Coffey. - Próbowałem to cofnąć, ale było już za późno.

I tym razem, w moim śnie, zrozumiałem go.

O dziewiątej rano, gdy piłem trzecią kawę na werandzie (Janice nic nie mówiła, ale widziałem zmarszczkę dezaprobaty na jej twarzy, kiedy przyniosła mi filiżankę), zadzwonił telefon. Wszedłem do salonu, żeby go odebrać, i usłyszałem, jak telefonistka mówi komuś, że linia jest zajęta. Życzyła mi następnie przyjemnego dnia i wyłączyła się... taką w każdym razie miałem nadzieję. Z telefonistkami nigdy nic nie wiadomo.

Głos Hala Mooresa wstrząsnął mną. Drżący i ochrypły, przypominał głos zgrzybiałego starca. Dobrze, że wczoraj w tunelu nie podpadliśmy Curtisowi Andersonowi, pomyślałem, i dobrze, że Curtis ma do Percy'ego taki sam stosunek jak my. Człowiek, z którym rozmawiałem, najprawdopodobniej nigdy nie wróci już do Cold Mountain.

- Słyszałem, że mieliście wczoraj w nocy kłopoty, Paul. Słyszałem również, że spowodował je nasz przyjaciel, pan Wetmore.

- Rzeczywiście mieliśmy mały problem - przyznałem, przyciskając słuchawkę do ucha i pochylając się do mikrofonu - ale zrobiliśmy, co do nas należało. To najważniejsze.

- Tak. Oczywiście.

- Czy mogę zapytać, kto doniósł?

Żeby przywiązać mu puszkę do ogona, dodałem w myśli.

- Możesz pytać, lecz nie powinno cię to w żadnym wypadku obchodzić i dlatego niczego się ode mnie nie dowiesz. Ale kiedy zadzwoniłem do sekretariatu, żeby zapytać, czy nie ma jakichś wiadomości albo pilnych spraw, dowiedziałem się czegoś ciekawego.

- Tak?

- Wygląda na to, że na moje biurko trafiła prośba o przeniesienie. Percy Wetmore chce jak najszybciej odejść do Briar Ridge. Musiał napisać podanie jeszcze przed końcem wczorajszej zmiany, nie sądzisz?

- Chyba masz rację - odparłem.

- Normalnie kazałbym się tym zająć Curtisowi, ale biorąc pod uwagę panującą ostatnio na bloku E atmosferę, poprosiłem Hannah, żeby przywiozła mi je osobiście podczas przerwy na lunch. Zgodziła się łaskawie to zrobić. Dam swoją aprobatę i dopilnuję, żeby podanie wysłano dzisiaj po południu do stolicy stanu. Mam nadzieję, że za miesiąc już go u nas nie będzie. A może nawet wcześniej.

Myślał, że się ucieszę, i miał do tego pełne prawo. Oderwał się od ciężko chorej żony,

żeby zająć się sprawą, której sfinalizowanie mogło w innym wypadku potrwać pół roku, nawet ze słynnymi koneksjami Percy'ego. Ja jednak upadłem na duchu. Cały miesiąc! A może nie miało to w gruncie rzeczy większego znaczenia. Tak czy inaczej osłabiło we mnie całkiem naturalną chęć odłożenia na później pewnego ryzykownego przedsięwzięcia. Ponieważ to, o czym myślałem, było naprawdę bardzo ryzykowne. Czasami lepiej jest w takim momencie skoczyć głową w dół, zanim człowiek straci odwagę. Jeśli musieliśmy się zająć Percym (zakładając, że pozostali zaaprobują mój szalony plan, innymi słowy, że będzie nas kilku), równie dobrze mogliśmy to zrobić tej nocy.

- Paul? Jesteś tam? - zapytał Hal. - Do diabła, urwało się połączenie - dodał trochę ciszej, jakby doszedł do wniosku, że mówi sam do siebie.

- Słyszę cię dobrze, Hal. To wspaniała wiadomość.

- Tak - zgodził się i ponownie uderzyło mnie, jak stary jest jego głos. Jak bardzo papierowy. - Wiem, co ci chodzi po głowie.

Nie, nie wiesz, dyrektorze Moores. Nigdy, nawet za milion lat tego nie zgadniesz.

- Myślisz, że nasz młody przyjaciel wciąż tu będzie, kiedy przyjdzie czas na Coffeya. To prawda... jego egzekucja odbędzie się chyba jeszcze przed Świętem Dziękczynienia... ale Wetmore'a możesz umieścić w nastawni. Nikt nie będzie protestował. On sam chyba najmniej.

- Zrobię to - powiedziałem. - Jak się czuje Melinda?

Zapadła długa cisza - tak długa, że gdyby nie jego oddech, mógłbym pomyśleć, że odłożył słuchawkę. Kiedy się w końcu odezwał, miał znacznie cichszy głos.

- Ona tonie - powiedział.

Tonie. Tego złowrogiego słowa starsi ludzie używali na określenie osoby, która jeszcze nie umiera, lecz zaczyna rozstawać się z tym światem.

- Bóle głowy trochę osłabły... przynajmniej na razie, ale nie może już chodzić bez pomocy, nie może niczego podnosić i nie trzyma moczu podczas snu... - Nastąpiła kolejna pauza, a potem jeszcze cichszym głosem Hal powiedział coś, co brzmiało jak "ona bluzka".

- Jaka bluzka, Hal? - zapytałem, marszcząc czoło. Janice stanęła w drzwiach saloniku. Patrzyła na mnie i wycierała ręce kuchenną ściereczką.

- Ona bluzga - powtórzył głosem, w którym złość walczyła ze łzami.

- Aha. - Wciąż nie wiedziałem, o co mu chodzi, ale nie miałem zamiaru tego wyjaśniać. Nie musiałem; zrobił to za mnie.

- Zachowuje się zupełnie normalnie, opowiada o swoim ogródku, sukni, którą widziała w katalogu, albo o tym, że słuchała w radiu Roosevelta i że facet ma piękny głos, a

potem, ni z tego, ni z owego zaczyna mówić najbardziej paskudne rzeczy, najbardziej paskudne... słowa. Nie podnosi głosu. Byłoby chyba lepiej, gdyby to robiła, bo wtedy... rozumiesz... wtedy...

- Bo wtedy nie przypominałaby tak bardzo tej Melindy, którą znasz.

- No właśnie - przytaknął wdzięczny, że mu podpowiedziałem. - Ale kiedy słyszę, jak powtarza słodkim głosem te słowa prosto z rynsztoka... wybacz, Paul. - Na chwilę umilkł i usłyszałem, jak chrząka. A potem odezwał się ponownie, trochę głośniej, lecz tak samo zrozpaczonym tonem. - Chce, żebym sprowadził pastora Donaldsona, i wiem, że dodałby jej otuchy, ale jak mogę go zaprosić? Co będzie, jeśli on siądzie razem z nią i zacznie czytać Pismo Święte, a ona mu ubliży? Może to zrobić; ubliżyła mi wczoraj wieczorem. "Możesz mi podać ten egzemplarz »Liberty«, ty chuju złamany?", powiedziała. Skąd ona zna taki język, Paul? Gdzie poznała takie słowa?

- Nie wiem. Czy będziesz w domu dziś wieczorem?

Kiedy czuł się dobrze i nie dręczył go smutek lub zmartwienie, Hal Moores odznaczał się jadowitym i sarkastycznym poczuciem humoru i myślę, że jego podwładni bali się tego sarkazmu bardziej niż gniewu bądź pogardy. Jego kąśliwe uwagi, niecierpliwe i często bezlitosne, potrafiły czasem zabołec jak ukąszenie osy. Coś podobnego spotkało mnie w tym momencie. Nie spodziewałem się tego, ale właściwie mnie to ucieszyło. Wyglądało na to, że nie poddał się jeszcze do końca.

- Nie - odparł. - Zabieram Melinę na tańce. Obrócimy się dwa razy, złapiemy za ręce i powiemy skrzypkowi, że jest głupim kutasem.

Zasłoniłem dłonią usta, żeby stłumić śmiech. Na szczęście, szybko mi przeszło.

- Przepraszam - powiedział. - Niewiele ostatnio spałem. Dlatego jestem taki drażliwy. Oczywiście, że będziemy w domu. Czemu pytasz?

- Tak tylko.

- Nie zamierzasz chyba nas odwiedzić? Bo skoro miałaś dyżur wczoraj, masz go i dzisiaj. Chyba że się z kimś zamieniłeś?

- Nie, nie zamieniłem się. Dziś wieczorem jestem na bloku.

- Tak czy owak, nie byłby to najlepszy pomysł ze względu na stan, w jakim teraz się znajduje.

- Chyba nie. Dziękuję za wiadomości.

- Nie ma za co. Módl się za moją Melinę, Paul.

Przyrzekłem, że będę się modlił, dodając w duchu, że być może zrobię dla niej coś więcej. Bóg pomaga tym, którzy sami sobie pomagają, powiadają w Kościele Czcicieli



Jezusa, który jest Naszą Ostoją. Odwiesiłem słuchawkę i spojrzałem na Janice.

- Jak się czuje Melly? - zapytała.

- Niedobrze.

Powtórzyłem jej, co usłyszałem od Hala, łącznie z tym, co powiedział o przeklinaniu, pomijając jedynie chuja złamanego i głupiego kutasa. Ona tonie, powtórzyłem na koniec słowa Hala i Jan pokiwała ze smutkiem głową. A potem bacznie mi się przyjrzała.

- Co ty chcesz zrobić? Coś chcesz zrobić, coś niezbyt mądrego, widzę to po twojej twarzy.

Nie mogłem jej okłamać; coś takiego było między nami wykluczone. Oświadczyłem po prostu, że przynajmniej na razie nie powinna o niczym wiedzieć.

- Czy możesz wpaść przez to w kłopoty? - Nie wydawała się specjalnie przerażona tą ewentualnością... bardziej zaciekawiona... i była to jedna z rzeczy, które tak bardzo w niej kochałem.

- Może - odparłem.

- Czy to coś dobrego?

- Może - powtórzyłem, obracając jednym palcem korbkę telefonu i przytrzymując palcem drugiej dłoni przycisk centrali.

- Czy chcesz, żebym zostawiła cię samego, kiedy będziesz dzwonił? - zapytała. - Żebym była taka miła i wyniosła się stąd? Pozmywała naczynia albo zrobiła coś na drutach?

Pokiwałem głową.

- Nie ująłbym tego w ten sposób, ale...

- Czy ktoś przyjdzie dziś do nas na lunch, Paul?

- Mam nadzieję, że tak - powiedziałem.

Skontaktowałem się z Brutalem i Deanem bez żadnego problemu, ponieważ obaj mieli telefony. Dom Harry'ego nie był jeszcze podłączony do centrali, ale miałem numer jego najbliższego sąsiada. Harry zadzwonił po jakichś dwudziestu minutach, komunikując z zakłopotaniem, że musi obciążyć mnie kosztami rozmowy i obiecując, że "ureguluje wszystkie należności", gdy tylko dostanę rachunek. Odparłem, że będziemy liczyć kurczaki, kiedy się wyklują, tymczasem zaś zapraszam go na lunch. Przyjdą Brutal i Dean, a Janice obiecała zrobić swoją słynną sałatkę z kapusty... nie wspominając o jej jeszcze bardziej słynnym jabłeczniku.

- Tak po prostu na lunch? - zapytał ze sceptycyzmem Harry.

Przyznałem, że chcę z nimi o czymś porozmawiać, lepiej będzie jednak nie wspominać o tym przez telefon. Harry zgodził się przyjść. Odłożyłem słuchawkę na widełki, podszedłem do okna i przez dłuższą chwilę dumałem, wyglądając na dwór. Chociaż przed kilku godzinami wróciliśmy z nocnej zmiany, nie obudziłem ani Brutala, ani Deana. Harry również nie sprawiał wrażenia świeżo wyrwanego ze snu. Nie tylko ja miałem moralnego kaca po tym, co stało się nocą. Biorąc pod uwagę mój szalony pomysł, nie było to takie złe.

Brutal, który mieszkał najbliżej, przybył kwadrans po jedenastej. Dean zjawił się piętnaście minut później, a Harry - ubrany w służbowy mundur - mniej więcej piętnaście minut po nim. Janice podała nam w kuchni sandwicze z wołowiną, sałatkę z kapusty i mrożoną herbatę. Zaledwie dzień wcześniej usiedlibyśmy chętnie na werandzie i cieszyli się bryzą, ale po burzy temperatura spadła o dobre piętnaście stopni i od gór wiał silny wiatr.

- Możesz z nami usiąść - zaproponowałem żonie.

- Nie sądzę, żebym chciała wiedzieć, co tam knujecie - odparła, potrząsając głową. - Nie będę się tak martwić, jeśli pozostanę w nieświadomości. Zjem coś w salonie. W tym tygodniu odwiedza mnie panna Jane Austen, a to bardzo miła osoba.

- Kto to jest Jane Austen? - zapytał Harry po jej wyjściu. - To ktoś z twojej rodziny? A może z rodziny Janice? Jakaś kuzynka? Ładna?

- To pisarka, ty tępaku - powiedział Brutal. - Nie żyje od czasu, kiedy Betsy Ross wyszyła gwiazdy na pierwszym amerykańskim sztandarze.

- Aha - mruknął zakłopotany Harry. - Niewiele czytam. Głównie podręczniki radiowe.

- O czym myślisz, Paul? - zapytał Dean.

- Przede wszystkim o Johnie Coffeyu i Panu Dzwoneczku. - Trochę ich to zaskoczyło, zgodnie z moimi oczekiwaniami. Myśleli, że chcę porozmawiać o Delacroix albo Percym. A może o jednym i drugim. Spojrzałem na Deana i Harry'ego. - Ta historia z Panem Dzwoneczkiem... to, co Coffey zrobił z myszą Francuza, zdarzyło się bardzo szybko. Nie wiem, czy widzieliście, jak była poharatana.

Dean potrząsnął głową.

- Widziałem krew na podłodze - stwierdził.

Odwróciłem się do Brutala.

- Ten skurwysyn Percy rozdeptał ją na miazgę - powiedział po prostu. - Powinna zdechnąć, lecz nie zdechła. Coffey coś z nią zrobił. Jakoś ją uzdrowił. Wiem, że to brzmi niepoważnie, ale widziałem to na własne oczy.

- Uzdrowił również mnie - dodałem - i nie tylko to widziałem, ale poczułem. - Opowiedziałem im o mojej infekcji dróg moczowych; o tym, jak wróciła, ile przysporzyła mi cierpień (pokazałem przez okno stertę drewna, o które musiałem się oprzeć tego ranka, gdy ból rzucił mnie na kolana) i jak kompletnie ustąpiła, kiedy dotknął mnie Coffey.

Moja opowieść nie zajęła dużo czasu. Gdy skończyłem, przez chwilę się zastanawiali, żując sandwicze.

- Z ust wyszło mu coś czarnego. Coś jakby robaki - powiedział w końcu Dean.

- Zgadza się - potwierdził Harry. - Na początku były czarne, ale potem pobieleły i zniknęły. - Rozejrzał się, marszcząc czoło. - Mam wrażenie, że o wszystkim zapomniałem i dopiero ty odświeżyłeś mi pamięć, Paul. Czy to nie śmieszne?

- Nie ma w tym nic śmiesznego ani dziwnego - wyjaśnił Brutal. - Myślę, że ludzie bardzo często tak reagują, jeśli stykają się ze sprawami, których nie pojmują: po prostu o nich zapominają. Niedobrze jest pamiętać o rzeczach, które nie mają żadnego sensu. Co ty na to, Paul? Czy te robaki pojawiły się także, kiedy ciebie wyleczył?

- Tak. Myślę, że to choroba... ból... cierpienie. Wchłania je, a potem wypuszcza z powrotem na zewnątrz.

- Gdzie umierają - uzupełnił Harry.

Wzruszyłem ramionami. Nie wiedziałem, czy umierają, czy nie, i nie sądziłem, żeby to było takie ważne.

- Czy wyssał to z ciebie? - zapytał Brutal. - Bo z tej myszy jakby wyssał. To cierpienie. Tę... no wiesz... śmierć.

- Nie - odparłem. - Po prostu mnie dotknął. I poczułem to. Rodzaj wstrząsu, podobny do elektrycznego, tyle że bezbolesny. Ale ja nie umierałem. Byłem tylko chory.

Brutal pokiwał głową.

- Dotyk i oddech. Zupełnie jak w opowieściach tych krzykaczy, którzy głoszą dobrą nowinę.

- Módlmy się do Jezusa, Pan jest naszą ostoją - powiedziałem.

- Nie wiem, czy Pan Jezus ma z tym coś wspólnego - stwierdził Brutal - ale John Coffey jest chyba obdarzony szczególną mocą.

- No dobrze - odezwał się Dean. - Skoro twierdzicie, że wszystko to się wydarzyło, chyba w to wierzę. Niezbadane są ścieżki opatrności. Lecz co to ma wspólnego z nami?

To było zasadnicze pytanie, nieprawdaż? Wzięłem głęboki oddech i powiedziałem im, co chcę zrobić. Słuchali bez słowa. Nawet Brutal, który lubił czytać opowiadania o małych zielonych ludzikach z kosmosu, zupełnie oniemiał. Tym razem, kiedy skończyłem, zapadło jeszcze dłuższe milczenie i nikt nie sięgał po sandwicze.

- Jeśli nas złapią, Paul, stracimy robotę - odezwał się w końcu łagodnym i rozsądnym tonem Brutus Howell - i będziemy mieli cholerne szczęście, jeśli na tym się skończy. Wylądujemy najprawdopodobniej na państwowym wickie w bloku A. Będziemy szyli portfele i chodzili parami do łaźni.

- To całkiem możliwe - zgodziłem się.

- Rozumiem w pewnym stopniu, co czujesz - kontynuował Brutus. - Znasz Mooresa lepiej od nas... jest nie tylko twoim szefem, ale przyjacielem... i znasz chyba bardzo dobrze jego żonę.

- Jest najśłodsza kobietą na tej ziemi - powiedziałem. - On nie widzi za nią świata.

- My nie znamy jej tak dobrze jak ty i Janice - odparł Brutal.

- Na pewno byście ją polubili - stwierdziłem. - Gdybyście znali tę kobietę, nim ta rzecz chwyciła ją w swoje szpony, na pewno byście ją polubili. Melinda udziela się społecznie, jest pobożna i życzliwa. A co więcej, jest wesoła. W każdym razie była. Słuchając jej człowiek czasami zaśmiewał się, aż łzy płynęły mu po policzkach. Ale nie dlatego chcę ją uratować, jeśli to w ogóle możliwe. Chcę to zrobić, bo wszystkie okropności, które się jej przytrafiły, to po prostu hańba. Hańba dla oczu, dla uszu i dla duszy.

- To bardzo szlachetnie z twojej strony - mruknął Brutal - lecz nie wierzę, że akurat tak cię to poruszyło. Myślę, że prawdziwym powodem jest to, co przydarzyło się Delowi. Chcesz jakoś wyrównać rachunek.

Miał rację. Jasne, że miał. Znałem Melindę Moores lepiej niż oni, chyba jednak nie aż tak bardzo, żeby narażać ich na utratę pracy... a być może nawet wolności. Ich i oczywiście siebie. Miałem dwoje dorosłych dzieci i nie chciałem, żeby pewnego pięknego dnia moja

żona musiała zawiadomić je, że ojciec stanie przed sądem oskarżony... no właśnie, o co dokładnie? Nie bardzo wiedziałem. Najprawdopodobniej o pomoc w ucieczce.

Śmierć Eduarda Delacroix była najszkaradniejszą, najpodlejszą rzeczą, jaką widziałem w życiu - nie tylko w mojej pracy, ale w całym swoim życiu - i ponosiłem za nią część winy. Wszyscy byliśmy winni, ponieważ pozwoliliśmy Percy'emu Wetmore'owi kierować egzekucją wiedząc, że zupełnie nie nadaje się do pracy na bloku E. Podporządkowaliśmy się regułom gry. Współwinni był nawet dyrektor Moores. "Ugotujecie mu jaja, bez względu na to, czy Wetmore będzie, czy nie będzie wchodził w skład zespołu", powiedział i być może było to słuszne, biorąc pod uwagę to, co zrobił mały Francuz, w rezultacie jednak Percy ugotował mu nie tylko jaja; w rezultacie wywalił mu gałki oczne z oczodołów i spalił całą cholerną twarz. I dlaczego? Dlatego że Del był sześciokrotnym mordercą? Nie. Dlatego że Percy zlał się w portki, a mały Francuz miał czelność się z niego śmiać. Byliśmy współwinni potwornego czynu, a Percy'emu miało to ujść na sucho. Czysty jak lilia odchodził do Briar Ridge, gdzie czekał na niego cały dom wariatów, na których mógł się wyżywać. Nie potrafiliśmy na to nic poradzić, ale nie było być może za późno, aby zmyć trochę brudu z własnych rąk.

- W moim kościele nie nazywają tego wyrównaniem rachunku, lecz pokutą - powiedziałem. - W gruncie rzeczy chodzi o to samo.

- Naprawdę sądzisz, że Coffey potrafi ją uratować? - zapytał cichym przestraszonym głosem Dean. - Że... niby co? Wyssie jej po prostu guza z głowy? Jakby to była pestka brzoskwini?

- Sądzę, że potrafi. Nie można mieć oczywiście stuprocentowej pewności, ale po tym, co zrobił ze mną... i z Panem Dzwoneczkiem...

- Ta mysz była naprawdę ciężko poharatana - mruknął Brutal.

- Ale czy on to zrobi? - zastanawiał się na głos Harry. - Czy on to zrobi?

- Jeśli tylko potrafi, na pewno to zrobi - odparłem.

- Dlaczego? Przecież nawet jej nie zna!

- Ponieważ tym właśnie się zajmuje. Do tego powołał go Bóg.

Brutal udał, że rozgląda się dookoła, przypominając nam w ten sposób, że o kimś zapomnieliśmy.

- A co z Percym? Myślicie, że nam na to pozwoli? - zapytał, a ja wyjaśniłem im wtedy, co mam zamiar zrobić z Percym. Kiedy skończyłem, Harry i Dean spojrzeli na mnie z osłupieniem. Brutal nie mógł powstrzymać niechętnego uśmiechu.

- To szczyt bezczelności, bracie Paulu - stwierdził z podziwem. - Z wrażenia zapiera

mi dech.

- Ale czy to nie jest coś kapitalnego! - szepnął Dean, a potem roześmiał się głośno i klasnął w dłonie niczym dziecko. - Hip hip hura i czuj czuj czuwaj!

Musicie zrozumieć, że Deana szczególnie zainteresowała ta część mojego planu, która dotyczyła Wetmore'a; o mało nie przejechał się na tamten świat, kiedy Percy nie ruszył małym palcem w trakcie awantury z Whartonem.

- Bardzo ładnie, ale co będzie potem? - zapytał Harry. Powiedział to ponurym tonem, lecz zdradzały go oczy; oczy człowieka, który chce, aby przekonano go, że się myli. - Co będzie potem?

- Powiadają, że trup nie opowie już nikomu żadnej historii - mruknął Brutal i rzuciłem mu szybkie spojrzenie, żeby upewnić się, że żartuje.

- Moim zdaniem Percy będzie trzymał gębę na kłódkę - powiedziałem.

- Na pewno? - zapytał z powątpiewaniem Dean, po czym zdjął okulary i zaczął je czyścić. - Dlaczego tak sądzisz?

- Po pierwsze, nie będzie wiedział, co się naprawdę stało... osądzi nas po sobie i uzna, że to był tylko głupi żart. Po drugie, będzie się bał cokolwiek powiedzieć. Na to najbardziej liczę. Uprzedzimy go, że jeśli zacznie pisać listy i dzwonić do różnych ludzi, my też zaczniemy dzwonić i pisać listy.

- Na temat egzekucji - mruknął Harry.

- Na temat egzekucji i tego, jak stał w miejscu, kiedy Wharton dusił Deana - wyjaśnił Brutal. - Wydaje mi się, że ujawnienia tej historii Percy boi się najbardziej. - Pokiwał w zamyśleniu głową. - To może się udać, Paul. Czy nie prościej byłoby przywieźć panią Moores do Coffeya, zamiast wozić Coffeya do pani Moores? Moglibyśmy zaopiekować się Percym tak, jak zaproponowałeś, a potem przywieźć ją tunelem, zamiast wyprowadzać tamtędy Coffeya.

Potrząsnąłem głową.

- Nie ma mowy.

- Z powodu dyrektora Mooresa?

- Zgadza się. To zatwardziały sceptyk. Przy nim niewierny Tomasz wygląda jak Joanna d'Arc. Pojawiając się w jego domu, zaskoczmy go i może pozwoli Coffeyowi przynajmniej spróbować. W innym wypadku...

- Jakiego zamierzałeś użyć pojazdu? - przerwał mi Brutal.

- Z początku pomyślałem o karetce - odparłem - ale nie udałoby nam się chyba wyjechać nią niepostrzeżenie z więzienia, a poza tym w promieniu dwudziestu mil wszyscy

wiedzą, jak wygląda. Pojedziemy chyba moim fordem.

- Zastanów się - powiedział Dean, zakładając z powrotem okulary. - Nie zdołałbyś zapakować Johna Coffeya do swojego samochodu, gdybyś nawet rozebrał go do naga, wysmarował smalcem i użył łyżki do butów. Od tak dawna mu się przyglądasz, że zapomniałeś, jaki jest duży.

Nie potrafiłem na to odpowiedzieć. Od rana prawie całą moją uwagę zaprzęta! problem Percy'ego... oraz trochę mniej palący, lecz również poważny problem Dzikiego Billa Whartona. Teraz zdałem sobie sprawę, że transport nie będzie taki łatwy, jak się spodziewałem.

Harry Terwilliger podniósł z tacy to, co zostało z jego drugiego sandwicza, przyjrzał mu się i odłożył z powrotem.

- Jeśli zdecydujemy się rzeczywiście na to wariactwo - oświadczył - możemy pojechać moją półciężarówką. Posadzimy go z tyłu. O tej porze nie powinniśmy nikogo spotkać po drodze. Mówimy o środku nocy, prawda?

- Tak - odparłem.

- Zapominacie o jednym, panowie - odezwał się Dean. - Wiem, że od przyjazdu na blok Coffey jest bardzo spokojny i przeważnie leży na pryczy i leje łzy z oczu, ale to morderca. Poza tym to wielki facet. Jeśli zechce uciec z półciężarówki Harry'ego, możemy go tylko zastrzelić. A kogoś takiego niełatwo ubić nawet z czterdziestki. Co będzie, jeśli nie położymy go trupem? I co będzie, jeżeli zabije kogoś jeszcze? Nie chciałbym stracić roboty i nie chciałbym za nic wylądować w kryminale; mam żonę i dzieciaki, których byt zależy ode mnie... lecz chyba jeszcze bardziej nie chciałbym mieć na sumieniu kolejnej małej dziewczynki.

- To się nie zdarzy - powiedziałem.

- Jak, na litość boską, możesz tego być taki pewien?

Milczałem. Nie wiedziałem, od czego zacząć. Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że do tego dojdzie, ale nie miałem pojęcia, jak powiedzieć im to, o czym wiedziałem. Pomógł mi Brutal.

- Nie wierzysz, że on to zrobił, prawda, Paul? - zapytał podejrzliwie. - Uważasz, że ten wielki głupol jest niewinny.

- Jestem tego pewien - odparłem.

- Jak to?

- Świadczą o tym dwie rzeczy - oznajmiłem. - Jedną z nich jest mój but. - Pochyliłem się nad stołem i zacząłem opowiadać.

## Część piąta

# NOCNA WYPRAWA

### I

Pan H. G. Wells napisał kiedyś opowiadanie o człowieku, który wynalazł wehikuł czasu. Zdałem sobie sprawę, że pisząc te wspomnienia, stworzyłem własną maszynę do przenoszenia się w czasie. W przeciwieństwie do tej Wellsa, moja potrafi tylko podróżować w przeszłość - konkretnie do roku tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego, gdy byłem naczelnym klawiszem bloku E w zakładzie karnym Cold Mountain - jest jednak niesamowicie skuteczna. Przypomina mi starego forda, którym wówczas jeździłem: zawsze miałem pewność, że zaskoczy, nie wiedziałem tylko, czy wystarczy przekręcić kluczyk w stacyjce, czy trzeba będzie kręcić korbą, aż odpadnie mi ramię.

Odkąd zacząłem spisywać historię Johna Coffeya, wystarczał na ogół kluczyk, wczoraj jednak musiałem zakręcić solidnie korbą. Chyba dlatego, że doszedłem do egzekucji Delacroix, a jakaś część mojego umysłu nie chciała do tego wracać. To była zła śmierć, straszna śmierć i winę za to ponosił Percy Wetmore. Ten facet uwielbiał się bez przerwy czesać i nie potrafił znieść, gdy ktoś się z niego śmiał - nawet jeśli tym kimś był łysawy mały Francuz, który miał nie doczekać Bożego Narodzenia.

Jak przy każdej brudnej robocie, najtrudniej jest zacząć. Dla silnika nie ma znaczenia, czy używa się kluczyka, czy korby; kiedy już zapali, pracuje na ogół bez problemu. Tak też działo się wczoraj. Z początku słowa płynęły krótkimi frazami, potem pełnymi zdaniami, w końcu nieprzerwanym strumieniem. Odkryłem, że pisanie to szczególnie i raczej przerażający sposób wspominania - odznacza się podobną totalnością co gwałt. Być może odnoszę takie wrażenie tylko dlatego, że dożyłem bardzo sędziwego wieku (czasami wydaje mi się, że stało się to jakby za moimi plecami), ale moim zdaniem jest inaczej. Ołówek i pamięć tworzą wspólnie rodzaj praktycznej magii, a magia jest niebezpieczna. Jako ktoś, kto znał Johna Coffeya i oglądał na własne oczy, co potrafił robić z myszami i ludźmi, mam chyba prawo tak sądzić.

Magia jest niebezpieczna.

Tak czy inaczej, pisałem wczoraj przez cały dzień. Słowa płynęły ze mnie nieprzerwanym potokiem i miejsce werandy tego rozreklamowanego domu starców zajęła szopka u końca Zielonej Mili - gdzie tak wiele moich trudnych dzieci ćwiczyło ostatnie



przysiady - a potem biegnący pod szosą tunel. To tam właśnie, nad dymiącym trupem Eduarda Delacroix, Dean, Harry, Brutal i ja wzięliśmy w obroty Percy'ego Wetmore'a i kazaliśmy mu ponowić przyrzeczenie, że przeniesie się do stanowego szpitala psychiatrycznego Briar Ridge.

Na werandzie stoją zawsze świeże kwiaty, ale wczoraj w południe czułem wyłącznie niezdrowy odór ugotowanego ludzkiego mięsa. Warkot kosiarki strzyżącej trawę odpłynął w dal i zastąpił go szmer wody, która kapłała ze sklepienia tunelu. Wyruszyłem w podróż. Wracalem do roku tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego, jeśli nie ciałem, to przynajmniej umysłem i duszą.

Nie zrobiłem sobie przerwy na lunch i kiedy koło czwartej odłożyłem w końcu ołówek, bolała mnie dłoń. Wyszedłem na korytarz i ruszyłem wolnym krokiem do okna, z którego widać parking pracowników. Brad Dolan, pielęgniarz przypominający mi Percy'ego, bardzo zaciekawiony tym, dokąd chodzę i co robię podczas moich spacerów, jeździ starym chevroletem z nalepionym na zderzaku napisem: WIDZIAŁEM BOGA. NAZYWA SIĘ NEWT. Chevroleta nie było; Brad skończył dyżur i odjechał pewnie do jakiejś zapluskwionej nory, którą nazywa swoim domem. Wyobraziłem sobie przyczepę Airstream z przylepioną do ściany rozkładówką Hustlera i stojącymi w kącie puszkami piwa Dixie.

Zajrzałem do kuchni, gdzie przygotowywano już kolację.

- Co pan ma w tej torbie, panie Edgecombe? - zapytał mnie Norton.

- Pustą butelkę - odparłem. - Odkryłem w lesie Fontannę Młodości. Wypuszczam się tam codziennie po południu, nabieram wody i piję ją przed pójściem spać. Świetna rzecz, mówię wam.

- Może ta woda pomaga panu zachować młodość - stwierdził George, inny kucharz - ale na pewno nie dodaje urody.

Roześmieliśmy się wszyscy z jego dowcipu i wyszedłem na dwór, zdając sobie sprawę, że choć na parkingu nie ma samochodu Dolana, wciąż się za nim rozglądam. Wściekły, że pozwoliłem mu tak zająć sobie za skórę, przeciąłem tor do gry w krokieta. Znajduje się za nim niewielkie zielone pole, które zawsze wygląda o wiele ładniej w broszurkach reklamujących Georgia Pines, a jeszcze dalej ścieżka, wijąca się przez niewielki laszek położony na wschód od domu starców. Stoi przy niej kilka starych szałasów, które dzisiaj już do niczego nie służą. Dotarłszy do drugiego, tuż przy wysokim murze, oddzielającym tereny Georgia Pines od Georgia Highway 47, wszedłem do środka i spędziłem tam kilka chwil.

Wieczorem tego dnia zjadłem porządną kolację, pooglądałem trochę telewizję i

poszedłem wcześniej spać. W nocy bardzo często się budzę, schodzę do pokoju telewizyjnego i oglądam stare filmy na American Movie Channel, ale tym razem mi się to nie przytrafiło; tym razem spałem jak zabity i nie przyśnił mi się żaden ze snów, które prześladowały mnie, odkąd zaczęła się moja przygoda z literaturą. Cała ta pisanina musiała mnie wyczerpać; niestety, nie jestem już taki młody.

Kiedy się obudziłem, słoneczna plama, która o szóstej znajduje się na ogół pośrodku podłogi, przesunęła się aż do stóp łóżka. Zerwałem się czym prędzej na nogi, tak zdenerwowany, że prawie nie poczułem ukłuć artretycznego bólu w biodrach, kolanach i kostkach. Ubrałem się pośpiesznie i ruszyłem szybko korytarzem do okna, z którego widać parking pracowników. Miałem nadzieję, że miejsce, gdzie Brad Dolan parkuje swojego starego chevroleta, będzie nadal puste. Czasami spóźniał się nawet pół godziny.

Tym razem nie miałem jednak szczęścia. Samochód stał tam, połyskując rdzawo w promieniach słońca. Pan Brad Dolan miał ostatnio powód, żeby przyjeżdżać punktualnie, nieprawdaż? Stary Paulie Edgecombe wypuszcza się gdzieś wczesnym rankiem, stary Paulie Edgecombe coś knuje i on, Brad Dolan, ma zamiar odkryć, co to takiego. "Co tam robisz, Paulie? Powiedz mi". Najprawdopodobniej już mnie wypatrywał. Najmądrzej byłoby nie ruszać się z domu... ale nie mogłem tego zrobić.

- Paul?

Odwróciłem się tak szybko, że o mało nie upadłem. Okazało się, że to moja przyjaciółka, Elaine Connelly. Widząc, iż się chwieję, wyciągnęła rękę, żeby mnie złapać. Na szczęście dla niej odzyskałem równowagę; Elaine cierpi na potworny artretyzm i gdybym się o nią oparł, złamałaby się pewnie jak suchy patyk. Porywy serca nie kończą się, gdy człowiek przekracza granicę tego dziwnego kraju, który leży za osiemdziesiątką, można jednak śmiało zapomnieć o wszystkich numerach z *Przeminęło z wiatrem*.

- Przepraszam - powiedziała. - Nie chciałam cię przestraszyć.

- Nic się nie stało - stwierdziłem, posyłając jej słaby uśmiech. - To lepsza pobudka, niż gdybyś wylała mi na głowę szklankę zimnej wody. Powinienem cię wynająć, żebyś robiła to codziennie.

- Wypatrywałeś jego samochodu, prawda? Samochodu Dolana?

Nie było sensu jej oszukiwać. Kiwnąłem głową.

- Szkoda, że nie mogę się upewnić, czy jest w zachodnim skrzydle - powiedziałem. - Miałbym ochotę wymknąć się na chwilę, ale nie chcę, żeby mnie zobaczył.

Na jej wargach pojawił się uśmiech - wspomnienie figlarnego uśmiechu, który musiała mieć jako młoda dziewczyna.

- Wścibski z niego sukinsyn, prawda?

- Tak.

- I nie ma go wcale w zachodnim skrzydle. Byłam już na śniadaniu, mój ty śpiochu, i mogę ci powiedzieć, gdzie jest, bo tam specjalnie zajrzałam. Siedzi w kuchni.

Spojrzałem na nią przygnębiony. Wiedziałem, że Dolan jest wścibski, ale nie sądziłem, że aż tak.

- Nie możesz odłożyć na później porannego spaceru? - zapytała Elaine.

Przez chwilę się nad tym zastanawiałem.

- Chyba mógłbym, ale...

- Ale nie powinienes?

- Tak. Nie powinienem.

Teraz, pomyślałem, zapyta, dokąd chodzę i co tak cholernie ważnego mam do załatwienia w tym lesie.

A jednak nie zapytała. Zamiast tego posłała mi ponownie ten swój figlarny uśmiezek. Wyglądał dziwnie i absolutnie bosko na jej trochę zbyt wąskiej, ściągniętej bólem twarzy.

- Znasz pana Howlanda?

- Jasne - odparłem, chociaż nie spotykałem się z nim zbyt często; mieszkał w zachodnim skrzydle, co w Georgia Pines można było porównać do sąsiedniego kraju. - Dlaczego pytasz?

- Wiesz, czym się wyróżnia?

Potrząsnąłem głową.

- Pan Howland - kontynuowała Elaine, uśmiechając się jeszcze szerzej - jest jednym z pięciu pensjonariuszy Georgia Pines, którym wolno palić. Dlatego że przebywał tutaj, zanim zmieniły się przepisy.

Przywilej dziadka, pomyślałem. Jakie miejsce nadawało się lepiej do jego honorowania aniżeli dom starców?

Elaine sięgnęła do kieszeni swojej sukni w niebiesko-białe pasy i wyjęła stamtąd dwa przedmioty: papierosa i pudełko zapalek.

- Kaprawe oczko, przygłuche uszko - zaśpiewała wesoło. - Mała Ellie złała się w łóżko.

- Elaine, co ty chcesz...

- Odprowadź staruszkę na parter - rozkazała, chowając papierosa i zapalki z powrotem do kieszeni i biorąc mnie pod ramię swymi guzowatymi palcami. Kiedy schodziliśmy na dół, stając się ze szklaną ostrożnością antyków, jakimi się staliśmy, doszedłem do wniosku, że nie

będę się jej sprzeciwiał. Była stara i krucha, lecz na pewno nie brakowało jej rozumu.

- Poczekaj tutaj - oznajmiła, gdy zesliśmy po schodach. - Pójdę teraz do skrzydła zachodniego, do tej toalety w korytarzu. Wiesz której?

- Tak - odparłem. - Tej obok łaźni. Ale po co?

- Nie paliłam papierosów od piętnastu lat - powiedziała - ale dzisiaj mam wielką ochotę zakurzyć. Nie wiem, ile razy można się zaciągnąć, zanim włączy się detektor dymu, i mam zamiar to sprawdzić.

Spojrzałem na nią z podziwem, myśląc o tym, jak bardzo przypomina mi moją żonę: Janice mogła zrobić dokładnie coś podobnego. W oczach Elaine ponownie zamigotały te figlarne ogniki. Objąłem dłonią jej śliczną długą szyję, przysunąłem jej twarz do mojej i lekko pocałowałem.

- Kocham cię, Ellie - wyznałem.

- Rety, po co takie wielkie słowa - zachnęła się, ale widziałem, że jest zadowolona.

- A co będzie z Chuckiem Howlandem? - zapytałem. - Czy nie wpadnie przez nas w tarapaty?

- Nie, ponieważ siedzi teraz w pokoju telewizyjnym i ogląda razem z dwudziestoma innymi starszkami *Good Morning America*. A ja dam nogę, kiedy tylko detektor uruchomi alarm w zachodnim skrzydle.

- Nie wywróc się i nie zrób sobie jakiejś krzywdy, kobieto. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdybyś...

- Och, przestań marudzić - przerwała mi i tym razem to ona mnie pocałowała.

Miłość pośród ruin. Niektórym z was wyda się to może śmieszne, innym groteskowe, ale powiem wam jedno, przyjaciele: nawet dziwna miłość jest lepsza od braku miłości.

Popatrzyłem, jak powoli odchodzi, stawiając sztywno kroki (laski używa jedynie w deszczowe dni i tylko, kiedy ból jest okropny; to jedna z jej słabostek), a potem zacząłem czekać. Minęło pięć minut, potem dziesięć i myślałem już, że straciła odwagę albo odkryła, że bateria w detektorze jest wyczerpana, kiedy w zachodnim skrzydle zawył głośno alarm przeciwpożarowy.

Ruszyłem w stronę kuchni, lecz nie pędziłem wcale na łeb, na szyję - nie było powodu się śpieszyć, dopóki nie miałem pewności, że nie spotkam na swojej drodze Dolana. Gromadka starszków ubranych w większości w szlafroki wybiegła z pokoju telewizyjnego (nazywają go tutaj Centrum Rekreacji i to dopiero jest czysta groteska), żeby zobaczyć, co się dzieje. Z radością dostrzegłem wśród nich Chucka Howlanda.

- Edgcombe! - wychrypiał Kent Avery, trzymając się jedną ręką swojego balkonika,

a drugą obsesyjnie drapiąc się w kroczu. - To prawdziwy alarm czy kolejna fałszywka? Jak myślisz?

- Trudno zgadnąć - odparłem.

W tej samej chwili minęli nas biegnący truchtem trzej pielęgniarki. Pędzili do skrzydła zachodniego, wołając do ludzi tłoczących się przy drzwiach pokoju telewizyjnego, żeby wyszli na dwór i poczekali na odwołanie alarmu. Ostatnim z trójki był Brad Dolan. Przebiegając, nawet na mnie nie spojrzął, co bezgranicznie mnie ucieszyło. Idąc do kuchni pomyślałem, że drużyna składająca się z Elaine Connelly i Paula Edgecombe'a dałaby sobie prawdopodobnie radę z dwunastoma Bradami Dolanami, gdyby nawet dorzucono im do pomocy sześciu Percych Wetmore'ów.

Kucharze sprząтали w dalszym ciągu po śniadaniu, nie zwracając w ogóle uwagi na wyjący alarm.

- Szukał pana chyba Brad Dolan, panie Edgecombe - powiedział George. - Właśnie się minęliście.

Co za szczęście, pomyślałem, głośno odparłem, że spotkam się pewnie z panem Dolanem później. Następnie zapytałem, czy po śniadaniu nie zostały im jakieś grzanki.

- Jasne - stwierdził Norton - ale są zimne jak lód. Trochę się pan dzisiaj spóźnił.

- To prawda - przyznałem - ale jestem bardzo głodny.

- Niech pan poczeka minutę, zrobię panu świeżą - powiedział George, sięgając po chleb.

- Nie trzeba, mogą być zimne - zapewniłem go i kiedy dał mi kilka kromek (ze zdziwioną miną; właściwie obaj byli zdziwieni), wybiegłem na dwór. Czuję się jak mały chłopak, który, zamiast iść do szkoły, wymyka się na ryby z wsuniętą za pazuchę, opakowaną w pergamin galaretką.

Za drzwiami kuchni obejrzałem się uważnie i nie widząc nic, co mogłoby mnie zaniepokoić, ruszyłem przez tor do krokieta i zielone pole, zajadając jedną z grzanek, które dostałem od George'a. Znalazszy się za osłoną drzew, trochę zwolniłem i idąc ścieżką zorientowałem się, że mój umysł wraca do dnia, który nastąpił po strasznej egzekucji Eduarda Delacroix.

Tamtego ranka rozmawiałem z Halem Mooresem. Powiedział mi, że guz mózgu sprawił, iż Melinda zupełnie niespodziewanie zaczyna przeklinać i używać brzydkich wyrazów... co moja żona określiła potem (zastrzegając się, że nie wie, czy to na pewno to samo) jako syndrom Tourette'a. Ton jego głosu oraz świeża pamięć tego, jak John Coffey wyleczył moją infekcję dróg moczowych i złamany kręgosłup oswojonej myszy Dela,

skłoniły mnie w końcu do przekroczenia granicy, która biegnie między myśleniem o zrobieniu czegoś i zrobieniem tego.

I było coś jeszcze. Coś, co wiązało się z rękoma Johna Coffeya i z moim butem.

Zadzwoiłem więc do ludzi, z którymi pracowałem - ludzi, którym po wszystkich tych latach powierzyłbym własne życie - do Deana Stanton, Harry'ego Terwilligera i Brutusa Howella. Przyszli do mnie na lunch dzień po egzekucji Delacroix i wysłuchali cierpliwie mojego planu. Wiedzieli oczywiście wszyscy, że Coffey uzdrowił mysz; Brutal widział to na własne oczy. I dlatego, kiedy oznajmiłem, że cud może się powtórzyć, jeśli zabierzemy Johna Coffeya do Melindy Moores, nie zaśmiali mi się w twarz. To Dean Stanton zadał najbardziej kłopotliwe pytanie: co będzie, jeśli John Coffey ucieknie nam podczas tej nocnej eskapady?

- I co będzie, jeśli zabije kogoś jeszcze? - dodał. - Nie chciałbym stracić roboty i nie chciałbym za nic wylądować w kryminale; mam żonę i dzieciaki, których byt zależy ode mnie... ale chyba najbardziej nie chciałbym mieć na sumieniu kolejnej małej dziewczynki.

W tym momencie zapadła cisza. Cała trójka wlepiła we mnie wzrok czekając, jak na to zareaguję. Wiedziałem, że wszystko się zmieni, kiedy powiem im to, co miałem na końcu języka; doszliśmy do punktu, po przekroczeniu którego wycofanie się wydawało się prawie niemożliwe.

Tyle że ja już go chyba przekroczyłem. Otworzyłem usta i powiedziałem...

- To się nie zdarzy.

- Jak, na litość boską, możesz tego być taki pewien?

Milczałem. Nie wiedziałem, od czego zacząć. Zdawałem sobie oczywiście sprawę, że do tego dojdzie, ale nie miałem pojęcia, jak powiedzieć im to, co tkwiło w mojej głowie i sercu. Pomógł mi Brutal.

- Nie wierzysz, że on to zrobił, prawda, Paul? - zapytał z niedowierzaniem. - Uważasz, że ten wielki głupol jest niewinny.

- Jestem tego pewien - oznajmiłem.

- Jak to?

- Świadczą o tym dwie rzeczy - odparłem. - Jedną z nich jest mój but.

- Twój but? - zawołał Brutal. - Jaki związek może mieć twój but z tym, czy John Coffey zamordował, czy też nie zamordował tych dwóch dziewczynek?

- Zeszłej nocy zdjąłem z nogi but i dałem mu go - powiedziałem. - To było już po egzekucji, kiedy sytuacja na bloku trochę się uspokoiła. Wsunąłem but przez kraty, a on wziął go w te swoje wielkie dłonie. Kazałem mu zawiązać sznurowadła. Musiałem mieć pewność, rozumiecie, ponieważ wszystkie nasze trudne dzieci noszą normalnie kapcie. Facet, który chce naprawdę popełnić samobójstwo, może, jeśli się uprze, zrobić to za pomocą sznurowadeł. Wszyscy o tym dobrze wiemy.

Dean, Harry i Brutal pokiwali głowami.

- Położył but na kolanach i przeplótł prawidłowo sznurowadło, ale potem kompletnie zgłupiał. Stwierdził, że ktoś na pewno pokazał mu, jak to się robi, kiedy był małym chłopcem... może ojciec, a może jeden z przyjaciół, których matka miała po odejściu ojca... lecz teraz zapomniał tej sztuczki.

- Zgadzam się z Brutalem - przerwał mi Dean. - Wciąż nie wiem, jaki związek ma twój but z tym, czy Coffey zabił, czy nie zabił bliźniaczek Dettericków.

Opowiedziałem im więc na nowo historię porwania i morderstwa: to, co przeczytałem, siedząc tamtego upalnego dnia w więziennej bibliotece, z palącym bólem w kroczu i chrapiącym w kąciku Gibbonssem, a także to, czego dowiedziałem się później od reportera o nazwisku Hammersmith.

- Pies Dettericków nie był zbyt agresywny, ale potrafił szczekać zajadle - wyjaśniłem.

- Mężczyzna, który porwał dziewczynki, uciszył go, karmiąc kielbasą. Myślę, że podając mu kolejne kawałki, podkradał się coraz bliżej i kiedy kundel wcinał ostatni, złapał go za łeb i ukręcił kark. Później, kiedy dogonili Coffeya, zastępcę szeryfa, facet, który dowodził pogonią... nazywał się Rob McGee... zauważył, że coś wypycha kieszeń kombinezonu Coffeya. McGee pomyślał, że to może być pistolet. Coffey powiedział, że to drugie śniadanie, i okazało się, że nie kłamał; w kieszeni miał kilka sandwiczów i pikle, opakowane w gazetę i obwiązane sznurkiem. Coffey pamiętał tylko, że dała mu je kobieta w fartuchu.

- Sandwicz i pikle, ale ani kawałka kielbasy - powiedział Brutal.

- Ani kawałka - potwierdziłem.

- Oczywiście - mruknął Dean. - Nakarmił nią tego psa.

- Tak przynajmniej utrzymywał prokurator podczas procesu - podjąłem. - Jeśli jednak Coffey rozpakował drugie śniadanie i dał kielbasę psu, jak udało mu się z powrotem związać sznurkiem gazetę? Nie wiem, kiedy miałyby w ogóle to zrobić, ale na razie w to nie wnikajmy. Facet nie potrafi nawet zawiązać kokardki.

Przez chwilę wszyscy milczeli, porażeni moim odkryciem.

- Niech mnie kule - odezwał się w końcu cichym głosem Brutus. - Jak to się stało, że nikt nie zwrócił na to uwagi podczas procesu?

- Nikt o tym nie pomyślał - odparłem i znowu przypomniał mi się ten reporter, Hammersmith, który studiował w Bowling Green i lubił uważać się za oświeconego, Hammersmith, który powiedział mi, że Murzyn jest podobny do kundla, że jeden i drugi potrafią zniecka i bez żadnego powodu capnąć człowieka. Tyle że on mówił "pańscy Murzyni", tak jakby wciąż do kogoś należeli... ale nie do niego. Nie, nie do niego. Nigdy w życiu. W tym czasie na Południu pełno było takich Hammersmithów. - Tak naprawdę nikt nie był przygotowany, żeby o tym pomyśleć. Łącznie z adwokatem Coffeya.

- Lecz ty na to wpadłeś - stwierdził Harry. - Do diabła, chłopcy, mamy wśród nas prawdziwego Sherlocka Holmesa.

W jego głosie brzmiała zarówno kpina, jak i podziw.

- Opuśćcie sobie - mruknąłem. - Ja też bym o tym nie pomyślał, gdybym nie porównał tego, co Coffey powiedział Robowi McGee, z tym, co usłyszałem od niego, kiedy wyleczył moją infekcję i kiedy uzdrowił tę mysz.

- Co to takiego? - zapytał Dean.

- Gdy wchodziłem do jego celi, czułem się jak zahipnotyzowany. Miałem wrażenie, że nie zdołam oprzeć się jego woli, jeśli nawet będę próbował.

- Nie bardzo mi się to podoba - stwierdził Harry, wierząc się nerwowo na krześle.



- Zapytałem, czego chce, a on odpowiedział: "Tylko pomóc". Pamiętam to bardzo wyraźnie. A kiedy było już po wszystkim i poczułem się lepiej, on o tym dobrze wiedział. "Pomogłem", stwierdził. "Pomogłem, prawda?"

Brutal pokiwał głową.

- Tak samo było z tą myszą. "Pomogłeś", powiedziałeś mu, a Coffey powtórzył za tobą jak papuga: "Pomogłem myszy Dela". Czy wtedy już się domyśliłeś? To było wtedy, prawda?

- Tak, chyba wtedy. Pamiętałem, co oświadczył zastępcy McGee, kiedy ten spytał go, co się stało. Przytaczali to prawie w każdej relacji o morderstwie. "Nie mogłem nic pomóc. Próbowałem to cofnąć, ale było za późno". Facet wielki jak dom mówi to, trzymając w rękach dwie martwe dziewczynki, białe i jasnowłose. Nic dziwnego, że opacznie to sobie wytłumaczyli. Zrozumieli to w sposób, który zgadzał się z tym, co widzieli, a to, co widzieli, było czarne. Myśleli, że Coffey przyznaje się do winy, że mówi o wewnętrznym przymusie, który kazał mu porwać te dziewczynki, zgwałcić je i zabić. I o tym, że w pewnym momencie oprzytomniał i próbował się opanować...

- Ale wtedy było już za późno - mruknął Brutal.

- Tak. W rzeczywistości jednak chciał im powiedzieć, że odnalazł je i próbował uzdrowić, ale po prostu mu się nie udało. Zbyt długo już były martwe.

- Naprawdę w to wierzysz, Paul? - zapytał Dean. - Naprawdę, z ręką na sercu, w to wierzysz?

Zajrzałem jeszcze raz w swoje serce, najgłębiej, jak mogłem, i pokiwałem głową. Wierzyłem w to od dawna; podświadomie zdawałem sobie sprawę, że coś jest nie w porządku z Johnem Coffeyem, już od samego początku, gdy Percy wprowadził go na blok, wrzeszcząc wniebogłosy: "Idzie truposz". Uścisnąłem mu rękę, nieprawdaż? Nigdy dotąd nie uścisnąłem ręki żadnemu skazańcowi przybywającemu na Zieloną Milę, ale podałem ją Johnowi Coffeyowi.

- Jezu - wyjąkał Dean. - Dobry Jezu Chryste.

- Twój but to jedno - powiedział Harry. - A ta druga rzecz?

- Na krótko przed znalezieniem Coffeya i dziewczynek grupa pościgowa wyszła z lasu niedaleko południowego brzegu Trapingus River. Znaleźli tam wygniecioną trawę, mnóstwo krwi i strzępy nocnej koszuli Cory Detterick. Psy trochę się pogubiły. Większość chciała iść na południowy wschód, w dół rzeki, ale dwa z nich... mieszańce zwane murzyńskimi kundlami... ciągnęły w drugą stronę, w górę rzeki. Bobo Marchant, który prowadził psy, podsunął im pod nosy nocną koszulę i wtedy poszły razem z innymi.

- Tym kundlom coś się pomyliło, prawda? - zapytał Brutal. Na jego wargach igrał dziwny szyderczy uśmiech. - To nie są typowe myśliwskie psy i zapomniały, czego się od nich wymaga.

- Tak.

- Nie rozumiem - stwierdził Dean.

- Kundle zapomniały, co podtykał im pod nos Bobo na samym początku - zaczął tłumaczyć Brutal. - Gdy dotarły do brzegu rzeki, tropiły zabójcę, a nie dziewczynki. Nie stanowiło to problemu, dopóki zabójca i dziewczynki byli razem. Ale...

W oczach Deana zaświtało zrozumienie. Harry załapał już wcześniej.

- Kiedy się nad tym zastanowić - powiedziałem - nie mieści się w głowie, jak ktokolwiek, nawet przysięgli, którzy chcieli za wszelką cenę obarczyć winą czarnego włóczęgę, mogli chociaż przez chwilę uwierzyć, że John Coffey jest sprawcą. Sam pomyślałem, żeby uciszyć psa kielbasą, a potem skrócić mu kark, zdecydowanie go przerasta. Myślę, że w ogóle nie podszedł do farmy Dettericków bliżej niż na sześć, siedem mil. Wędrował po prostu brzegiem rzeki, mając być może zamiar złapać jakiś pociąg towarowy... przed mostem zwalniają i można do nich łatwo wskoczyć. I wtedy usłyszał dobiegający od północy hałas.

- To był zabójca? - domyślił się Brutal.

- Zabójca. Może zgwałcił je już wcześniej, a może właśnie to robił. Tak czy owak, ta pokrwawiona trawa była miejscem, w którym dokończył dzieła; rozbił im głowy i uciekł.

- Uciekł na północny zachód - dodał Brutal. - Tam, gdzie zwietrzyły trop murzyńskie kundle.

- Zgadza się. John Coffey przeszedł przez olszynę, która rośnie na południowy wschód od miejsca, gdzie leżały dziewczynki, i znalazł je. Jedna z nich mogła jeszcze żyć; niewykluczone, że obie, ale nie trwało to zbyt długo. Gdyby nawet nie żyły, John Coffey nie zdawałby sobie z tego sprawy, to jasne. Wiedział tylko, że ma uzdrawiającą moc w rękach i próbował się nią posłużyć, uratować Corę i Kathe Detterick. Kiedy to się nie udało, załamał się i dostał ataku hysterii. W tym właśnie stanie go znaleźli.

- Dlaczego nie został tam, gdzie je znalazł? - zapytał Brutal. - Dlaczego przeniósł je dalej na południe? Potrafisz to jakoś wyjaśnić?

- Jestem pewien, że na początku tam został - odparłem. - Podczas rozprawy stale mówiono o dużym polu zdeptanej, zgniecionej trawy. A John Coffey jest dużym mężczyzną.

- To pierdolony wielkolud - mruknął Harry tak cicho, że moja żona nie usłyszałaby brzydkiego słowa, gdyby nawet podsłuchiwała za drzwiami.

- Może wpadł w panikę, kiedy zobaczył, że jego zabiegi nic nie dają. A może

pomyślał, że zabójca wciąż ukrywa się w lesie i go obserwuje. Coffey jest wielki, ale niezbyt odważny. Przypominasz sobie, Harry, jak pytał, czy zostawiamy zapalone światło po kolacji?

Harry sprawiał wrażenie wstrząśniętego i zaintrygowanego.

- Tak - odpowiedział. - Pamiętam, jak pomyślałem, że to śmieszne, biorąc pod uwagę jego rozmiary.

- Skoro nie on zabił te dziewczynki, kto to zrobił? - zapytał Dean.

- Ktoś inny - stwierdziłem, potrząsając głową. - Przypuszczam, że jakiś biały. Prokurator rozwiódł się długo na temat siły, jakiej wymagało zabicie tak dużego psa jak ten, którego mieli Detterickowie, ale...

- To bzdura - mruknął Brutal. - Skręcić kark psu potrafi silna dwunastoletnia dziewczynka, pod warunkiem że uda jej się go zaskoczyć i wie, gdzie chwycić. Jeśli Coffey tego nie zrobił, mógł to być dosłownie każdy... to znaczy każdy mężczyzna. Najprawdopodobniej nigdy się tego nie dowiemy.

- Chyba że zrobi to ponownie - dodałem.

- Jeśli zrobi to w Teksasie albo w Kalifornii, też się tego nie dowiemy - oświadczył Harry.

Brutal odchylił się do tyłu, przetarł oczy pięściami, niczym zmęczone dziecko, po czym położył je z powrotem na kolanach.

- To koszmar - powiedział. - Mamy faceta, który może być niewinny... który prawdopodobnie jest niewinny, a mimo to przejdzie Zieloną Miłą. Jest to tak samo pewne, jak to, że Bóg stworzył małe rybki i wysokie drzewa. I co możemy w tej sprawie zrobić? Jeśli zaczniemy opowiadać o tych jego cudownych dłoniach, wszyscy nas wyśmieją, a on i tak wylądjuje na opiekaczu.

- O to będziemy się martwili później - stwierdziłem, ponieważ nie miałem najmniejszego pojęcia, co mu odpowiedzieć. - W tej chwili musimy postanowić, co robimy... albo nie robimy w sprawie Melly. Chciałbym wam dać trochę czasu na zastanowienie, ale obawiam się, że z każdym dniem maleją szansę na to, żeby mógł jej pomóc.

- Pamiętasz, jak wyciągnął ręce po tę mysz? - mruknął Brutal. - "Niech pan mi ją da, póki jest jeszcze czas", powiedział. "Póki jest jeszcze czas".

- Pamiętam.

Brutal zastanawiał się przez chwilę, a potem pokiwał głową.

- Wchodzę w to - oznajmił. - Też czuję się źle z powodu Dela, ale przede wszystkim chcę zobaczyć, co się stanie, kiedy Coffey jej dotknie. Prawdopodobnie nic, ale może...

- Wątpię, czy uda nam się w ogóle wyprowadzić tego wielkiego głupola z bloku -

powiedział Harry, a potem westchnął i kiwnął głową. - Ale co mi tam. Możesz na mnie liczyć.

- Na mnie też - dodał Dean. - Kto zostaje na bloku, Paul? Czy będziemy ciągnąć słomki?

- Nie, mój panie - odparłem. - Żadnych słomek. Ty zostajesz.

- Tak po prostu? Bo ty tak zdecydowałeś? - Widziałem, że Dean jest wściekły i urażony. Zdjął okulary i zaczął je ze złością czyścić o koszulę. - Co to za pieprzony układ?

- To układ w sam raz dla faceta, którego dzieciaki chodzą jeszcze do szkoły - wyjaśnił Brutal. - Harry i ja jesteśmy kawalerami. Paul jest żonaty, ale jego dzieci są dorosłe i same zarabiają na życie. To, co tutaj planujemy, to czyste wariactwo; moim zdaniem prawie na pewno nas złapią. - Posłał mi poważne spojrzenie. - Nie wspomniłeś o jednej rzeczy, Paul. Jeśli nawet uda nam się wydostać Coffeya z paki, lecz okaże się, że jego cudowne ręce nic nie zdziały, Hal Moores osobiście pośle nas na zieloną trawkę. - Urwał czekając, że zaprzeczę, ale ja nie mogłem tego oczywiście zrobić, w związku z czym nie odezwałem się ani słowem. - Nie zrozum mnie źle - podjął Brutal, zwracając się do Deana. - Ty też możesz stracić robotę, ale pozostanie ci szansa na to, że nie trafisz za kratki, jeśli sprawy przybiorą naprawdę zły obrót. Percy będzie myślał, że to głupi kawał; jeśli zostaniesz na bloku, możesz powiedzieć, że sądziłeś dokładnie to samo, a my nie zdradziliśmy ci, iż jest inaczej.

- W dalszym ciągu nie bardzo mi się to podoba - stwierdził Dean, ale widziałem, że bez względu na to czy mu się to podoba, czy nie, zamierza przystać na nasz układ. Przekonała go wzmianka o dzieciach. - I chcecie to zrobić dzisiaj? Na pewno?

- Jeśli mamy to w ogóle zrobić, lepiej, żeby to było dzisiaj - mruknął Harry. - Kiedy będę się nad tym dłużej zastanawiać, na pewno spanikuję.

- Pozwólcie mi przynajmniej pójść do ambulatorium - powiedział Dean. - Chyba się do tego nadaję?

- Pod warunkiem że wykonasz to co trzeba i nie dasz się złapać - oznajmił Brutal.

Dean zrobił obrażoną minę. Poklepałem go po plecach.

- Możesz tam pójść zaraz po odbiciu karty... dobrze?

- W porządku.

Moja żona zajrzała do kuchni, jakbym dał jej sygnał.

- Kto chce jeszcze mrożonej herbaty? - zapytała. - Może ty, Brutus?

- Nie, dziękuję - odparł. - Miałbym ochotę na dużą whisky, ale w tych okolicznościach nie jest to chyba najlepszy pomysł.

Janice spojrzała na mnie; miała uśmiechnięte usta i troskę w oczach.

- W co ty wciągasz tych chłopaków, Paul? - zapytała, a potem, nie czekając na moją odpowiedź, machnęła ręką. - Nieważne, i tak nie chcę o tym wiedzieć.

Później, kiedy wszyscy już dawno poszli i ubierałem się do pracy, wzięła mnie za ramię, odwróciła do siebie i spojrzała prosto w oczy.

- Chodzi o Melinę? - zapytała.

Pokiwałem głową.

- Czy możesz dla niej coś zrobić, Paul? Naprawdę coś dla niej zrobić, czy to tylko pobożne życzenia będące skutkiem tego, co zobaczyłeś wczoraj w nocy?

Pomyślałem o oczach Coffeya i o jego dłoniach, a także o hipnotycznym transie, w który mnie wprowadził. Pomyślałem o tym, jak wyciągał ręce po zdychającego Pana Dzwoneczka. "Póki jest jeszcze czas". I o czarnych rojących się robakach, które pobieły i zniknęły.

- Jesteśmy chyba jej ostatnią szansą - powiedziałem w końcu.

- W takim razie zróbcie to - odparła, zapinając guziki mojego nowego płaszcza. Wisiał w szafie od dnia moich urodzin na początku września, ale wkładałem go dopiero po raz trzeci lub czwarty. - Zróbcie to - powtórzyła i praktycznie wypchnęła mnie za drzwi.

Tej nocy - pod wieloma względami najdziwniejszej nocy w całym moim życiu - odbiłem kartę dwadzieścia po szóstej. Miałem wrażenie, że w powietrzu wciąż się unosi niewyraźny odór spalonego ciała. To musiało być złudzenie; drzwi bloku i szopy były prawie przez cały dzień otwarte, a dwie poprzednie zmiany godzinami szorowały podłogę, nie zmieniło to jednak reakcji mojego nosa, i nie sądzę, bym był w stanie zjeść jakąś kolację, gdybym nawet tak strasznie nie bał się tego, co czekało nas wieczorem.

Brutal pojawił się na bloku za kwadrans, a Dean za dziesięć siódma. Zapytałem Deana, czy może przejść się do ambulatorium i poprosić o kompres na mój kręgosłup, który nadwerżyłem sobie rano, pomagając znieść ciało Delacroix do tunelu. Z przyjemnością, odparł. Miał chyba ochotę mrugnąć porozumiewawczo okiem, ale się powstrzymał.

Harry odbił kartę za trzy siódma.

- Ciężarówka? - zapytałem.

- Tam, gdzie się umówiliśmy.

Jak na razie wszystko szło dobrze. Przez kilka minut staliśmy przy biurku oficera dyżurnego, popijając kawę i celowo nie wspominając o tym, o czym wszyscy myśleliśmy i na co skrycie liczyliśmy: może Percy się spóźni, a może w ogóle nie przyjdzie. Biorąc pod uwagę krytyczne oceny, z jakimi spotkała się przeprowadzona przez niego egzekucja, wydawało się to całkiem prawdopodobne.

Percy wziął sobie jednak najwyraźniej do serca zasadę głoszącą, że trzeba jak najszybciej dosiąść konia, który zrzucił cię z siodła. Pojawił się sześć minut po siódmej, w nieskazitelnym niebieskim mundurze, z pistoletem i hikorową pałką, tkwiącą w tym śmiesznym olstrze. Odbił kartę i potoczył po nas ostrożnym wzrokiem.

- Zepsuł mi się rozrusznik - oznajmił. - Musiałem użyć korby.

- Biedaczysko - mruknął Harry.

- Powinieneś zostać w domu i naprawić tego swojego grata - powiedział obojętnym tonem Brutal. - Byłoby fatalne, gdybyś nadwerżył sobie ramię, prawda, chłopcy?

- Wasze niedoczekanie - burknął Percy, ale widziałem, że poczuł się pewniej, słysząc w miarę łagodną odzywkę Brutala. To dobrze. Przez kilka następnych godzin musieliśmy obchodzić się z nim jak w rękawiczkach: traktować niezbyt wrogo, ale i niezbyt przyjaźnie. Po ostatniej nocy każda, nawet najmniejsza serdeczność wzbudziłaby jego nieufność. Nie

liczyliśmy, że zupełnie odsłoni gardę, lecz mieliśmy nadzieję, że jeśli wszystko dobrze rozegramy, nie będzie zbyt czujny. Najważniejsze, byśmy załatwili to szybko, ale równie ważne - przynajmniej dla mnie - było to, żeby nikt nie został poszkodowany. Włącznie z Percym Wetmore'em.

Dean wrócił z ambulatorium i patrząc na mnie skinął lekko głową.

- Percy - powiedziałem - chcę, żebyś poszedł do magazynu i wymył podłogę. A także schody do tunelu. Potem możesz napisać raport na temat wczorajszej nocy.

- Popuść wodze wyobraźni - dodał Brutal, wsuwając kciuki za pasek i spoglądając na sufit.

- Jesteście cholernie dowcipni, chłopcy - burknął Percy, poza tym jednak nie protestował. Nie zwrócił nawet uwagi na oczywisty fakt, że podłoga w szopie myta była tego dnia już dwa razy. Cieszył się chyba po prostu, że nie będzie musiał przebywać razem z nami.

Przeczytałem raport poprzedniej zmiany i nie znalazłszy tam nic, co by mnie dotyczyło, podszedłem do celi Whartona. Siedział na swojej pryczy z podciągniętymi kolanami, obejmując rękoma łydki i przyglądając mi się z promiennym i jednocześnie nieprzyjaznym uśmiechem.

- Kogo ja widzę? - mruknął. - Oberklawisz we własnej osobie. Wielki jak świnia i dwa razy od niej brzydszy. Z czego pan się tak cieszy, szefie Edgecombe? Żona obciągnęła panu druta tuż przed wyjściem z domu?

- Co u ciebie słyhać, Kid? - zapytałem spokojnym tonem i w tym momencie naprawdę się rozpromieniłem. Spuścił nogi z pryczy, wstał i przeciągnął się.

- Niech mnie diabli! - zawołał. - Pierwszy raz zwrócił się pan do mnie jak trzeba! Co się z panem stało, szefie Edgecombe? Rozchorował się pan, czy uderzył w gaz?

Nie, nie rozchorowałem się. Byłem niedawno chory, ale zajął się mną John Coffey. Jego ręce zapomniały - jeśli w ogóle kiedykolwiek wiedziały - jak zawiązuje się sznurowadła, lecz znały inne sztuczki. Znały je bardzo dobrze.

- Jeśli chcesz być Billym Kidem zamiast Dzikim Billem, przyjacielu - powiedziałem - mnie nie sprawia to żadnej różnicy.

Wyraźnie się nadał jak jedna z tych paskudnych ryb, które żyją w rzekach Ameryki Południowej i potrafią prawie śmiertelnie ukłuć kolcami sterczącymi z boku i na grzbiecie. Podczas swojej pracy na Mili miałem do czynienia z wieloma niebezpiecznymi ludźmi, ale chyba nie zetknąłem się z kimś tak odrażającym jak William Wharton, który uważał się za wielkiego łotra, lecz jego więzienne wybryki ograniczały się w większości do sikania i plucia przez pręty celi. Do tej pory nie traktowaliśmy go z szacunkiem, na jaki, jego zdaniem,



zasłużył, tej nocy jednak zależało mi na tym, żeby był uległy. Jeśli musiałem w tym celu posłużyć się pochlebstwem, mogłem mu z chęcią pokadzić.

- Mam wiele wspólnego z Kidem i lepiej w to uwierzcie. Nie trafiłem tutaj za kradzież landrynek z kiosku - oświadczył, dumny jak weteran francuskiej Legii Cudzoziemskiej, a nie jak facet zapuszkowany w celi oddalonej o siedemdziesiąt długich kroków od krzesła elektrycznego. - Gdzie jest mój obiad?

- Daj spokój, Kid, w raporcie piszą, że jadłeś obiad o wpół do szóstej. Kotlet mielony z sosem, kartofelkami i groszkiem. Tak łatwo mnie nie nabierzesz.

Roześmiał się głośno i usiadł z powrotem na pryczy.

- Więc włączcie radio. - Wymówił słowo "radio" tak, jak sobie wówczas żartowano, rymując je z "Daddy-O". Ciekawe, jak wiele rzeczy człowiek pamięta z chwil, kiedy nerwy miał napięte niczym postronki.

- Może później, Kid - powiedziałem, po czym odsunąłem się od jego celi i spojrzałem w głąb korytarza. Brutal podszedł do drzwi izolatki i upewnił się, że są zamknięte na jeden zamiast na dwa zamki. Wiedziałem o tym, ponieważ sam wcześniej sprawdziłem. Chodziło nam o to, żeby później otworzyć je tak szybko, jak to możliwe. Tym razem nie czekało nas opróżnianie izolatki z rupieci, które nagromadziły się tam przez długie lata; zabraliśmy je, posortowaliśmy i umieściliśmy w innych miejscach wkrótce po tym, jak Wharton dołączył do naszej wesołej gromadki. Mieliśmy wrażenie, że pokój z miękkimi ścianami będzie jeszcze nieraz używany, przynajmniej dopóki Billy Kid nie przejdzie Zielonej Mili.

John Coffey, który o tej porze leżał już na ogół na pryczy ze zwisającymi nogami i odwróconą do ściany twarzą, przycupnął na skraju materaca ze splecionymi rękoma i obserwował Brutala z czujnością i skupieniem, które nie były dla niego typowe. Z oczu nie lały mu się łzy.

Brutal ruszył z powrotem korytarzem. Kiedy mijał po drodze celę Coffeya, rzucił na niego okiem i Coffey powiedział ni stąd, ni zowąd:

- Jasne, chciałbym się przejechać. - Tak jakby odpowiadał na jego pytanie.

Oczy Brutala spotkały się z moimi. On wie, zobaczyłem w nich. W jakiś sposób wie.

Wzruszyłem ramionami i rozłożyłem ręce. To było oczywiste.

Stary Tu-Tut odwiedził nas po raz ostatni tej nocy mniej więcej za kwadrans dziewiąta. Kupiliśmy od niego tyle wałówki, że promieniał ze szczęścia.

- Widzieliście może tę mysz, chłopcy? - zapytał.

Potrząsnęliśmy głowami.

- Może widział ją Przystojniak - mruknął Tu-Tut, wskazując ręką szopę, w której Percy Wetmore szorował podłogę, pisał raport albo zbijał po prostu baki.

- Dlaczego tak się tym przejmujesz? To nie twój interes - powiedział Brutal. - A teraz zmykaj stąd, Tu-Tut. Zasmrodzisz nam cały blok.

Tu-Tut wykrzywił usta w wyjątkowo nieprzyjemnym uśmiechu, bezzębnym i wklęsłym, po czym pociągnął kilka razy nosem.

- To nie jest mój smród - stwierdził. - To smród Dela, który mówi wam "do widzenia".

Rechocząc głośno, wytoczył swój wózek na podwórko. I toczył go jeszcze przez dziesięć lat - długo po moim odejściu, a także po zlikwidowaniu więzienia w Cold Mountain - sprzedając Moon Pies i oranżadę strażnikom i więźniom, których było na to stać. Czasami słyszę go w swoich snach, słyszę, jak powtarza, że smaży się, smaży jak indyk w brytfannie.

Po odejściu Tu-Tuta czas stanął w miejscu. Przez półtorej godziny słuchaliśmy radia. Wharton śmiał się do rozpuku z Freda Allena i *Allen's Alley*, chociaż byłem pewien, że nie rozumiał połowy dowcipów. John Coffey siedział na skraju pryczy ze splecionymi rękoma, wpatrując się w tego z nas, który siedział akurat przy biurku. Widziałem mężczyzn, którzy czekali w ten sposób na dworcu na swój autobus.

Za kwadrans jedenasta z szopy wrócił Percy i wręczył mi raport, który nagryzmołił ołówkiem. Całą kartkę pokrywały paprochy po gumce.

- To tylko pierwszy szkic - wyjaśnił pośpiesznie widząc, jak strzepuję je kciukiem. - Potem go przepiszę. Co o tym sądzisz?

Co sądziłem? Moim zdaniem było to najbardziej bezczelne kłamstwo, z jakim zetknąłem się w swoim życiu. Powiedziałem mu jednak, że raport jest w porządku, i odszedł zadowolony.

Dean i Harry grali w karty, zbyt głośno rozmawiając, zbyt często kłócąc się o punktację i co parę sekund spoglądając na pełznące wskazówki zegara. Napięcie stawało się niemal namacalne. Jedynie Percy i Dziki Bill zdawali się go nie wyczuwać.

Kiedy minęło dziesięć minut po dwunastej, nie mogłem tego dłużej wytrzymać i dałem Deanowi znak głową. Wszedł do mojego gabinetu z butelką R. C. Coli, kupioną od Tu-Tuta i minutę później pojawił się z powrotem. Cola była teraz w blaszanym kubku, którego więzień nie mógł potłuc i porznać się potem okruciami.

Wziąłem go do ręki i rozejrzałem się dookoła. Harry, Dean i Brutal bacznie mnie obserwowali. Podobnie zresztą jak John Coffey. Ale nie Percy. Percy wrócił do szopy, gdzie tej nocy czuł się prawdopodobnie bezpieczniej. Powąchałem szybko napój i nie poczułem nic poza colą, która w tamtych czasach miała dziwny, lecz przyjemny zapach cynamonu.

Ruszyłem z nią do celi Whartona, który leżał na swojej pryczy. Nie zaczął się jeszcze masturbować, lecz wyhodował już okazałego fiuta w szortach i co jakiś czas trzepał go energicznie niczym kontrabasista szarpiący wyjątkowo grubą basową strunę.

- Kid - powiedziałem.

- Nie przeszkadzaj mi - mruknął.

- W porządku - zgodziłem się. - Przyniosłem ci colę za to, że przez cały wieczór zachowywałaś się, jak Pan Bóg przykazał... jeśli o to chodzi, pobiłeś chyba swój własny rekord... ale w takim razie sam ją wypiję.

Udałem, że chcę to zrobić, podnosząc do warg kubek (poobijany ze wszystkich stron przez wściekłych więźniów walących nim o pręty). Wharton zerwał się w okamgnieniu z pryczy, co wcale mnie nie zdziwiło. Mój podstęp nie był zbyt wyszukany; większość poważnych przestępców - ci, którzy odsiadują dożywocie, i ci, którym zaordynowano Starą Iskrówę - uwielbia łasować i Dziki Bill nie był w tym względzie wyjątkiem.

- Daj mi tę colę, ciotku - oznajmił, jakby był nadzorcą, a ja jednym z jego peonów. - Daj ją Kidowi.

Przysunąłem kubek do prętów, tak żeby to on musiał wystawić rękę na zewnątrz. Podanie jakiegoś przedmiotu do środka jest najlepszym sposobem na napytanie sobie biedy, i powie wam o tym każdy doświadczony klawisz. To była jedna z tych spraw, na które uważaliśmy, nawet nie wiedząc, że na nie uważamy - nie pozwalając więźniom zwracać się do nas po imieniu; wiedząc, że brzęczenie kluczy oznacza jakieś kłopoty, ponieważ słychać je, kiedy strażnik biegnie, a strażnik biegnie wyłącznie, gdy stało się coś złego. Sprawy, których Percy Wetmore nie miał sobie przyswoić nigdy w życiu.

Tej nocy jednak Wharton nie miał ochoty nikogo chwytać ani dusić. Wziął blaszany kubek, opróżnił go trzema szybkimi łykami, a potem zdrowo odbeknął.

- Wyborne - stwierdził.

- Kubek - powiedziałem, wyciągając rękę.

Wharton posłał mi wyzywające spojrzenie.

- A gdybym go nie oddał?

Wzruszyłem ramionami.

- Wejdziemy do środka i go zabierzemy, a ty powędrujesz do swojego ulubionego pokoiku. I nigdy już nie dostaniesz coli. Chyba że podają ją w piekle.

Uśmiech spelzł z jego twarzy.

- Nie lubię żartów o piekle, klawiszu. Masz. Możesz go sobie wziąć.

Wystawił kubek przez kraty, a ja go zabrałem.

- Dlaczego, na litość boską, dałeś temu złamasowi colę? - zapytał za moimi plecami Percy.

Ponieważ było w niej dosyć środków usypiających, żeby spał przez czterdzieści osiem godzin kamiennym snem, miałem ochotę powiedzieć.

- Miłosierdzie Paula nie zna granic - odezwał się Brutal. - Spływa niczym łagodne krople deszczu z niebieskich przestworzy.

- Że co? - zdziwił się Percy.

- Znaczący, że ma miękkie serce. Zawsze miał i zawsze będzie mieć. Chcesz zagrać w makao?

Percy prychnął pogardliwie.

- To najgłupsza gra w karty, jaką znam. Może z wyjątkiem wojny i tysiąca.

- Dlatego właśnie myślałem, że będziesz chciał rozegrać kilka partyjek - stwierdził Brutal, słodko się do niego uśmiechając.

- Znalazł się mądrala - mruknął Percy, po czym wycofał się do mojego gabinetu. Myśl o tym, że ten mały szczur zaparkuje tyłek na moim fotelu, nie bardzo mi się podobała, ale nic nie powiedziałem.

Wskazówki zegara wlokły się niemiłosiernie wolno. Dwunasta dwadzieścia, dwunasta trzydzieści. O dwunastej czterdzieści John Coffey wstał z pryczy, stanął w drzwiach celi i objął rękoma kraty. Brutal i ja podeszliśmy do celi Whartona i zajrzeliśmy do środka. Leżał na pryczy i uśmiechał się do sufitu. Oczy miał otwarte, ale wyglądały jak wielkie szklane kulki. Jedną rękę trzymał na piersi, druga zwisała luźno z boku, dotykając kłykciami podłogi.

- Rany - mruknął Brutal. - W niespełną godzinę zmienił się z Billy'ego Kida w Willy'ego Śpiocha. Ciekawe, ile tabletek morfiny Dean wyspał do tej coli?

- Dosyć - odparłem. Trochę drżał mi głos. Nie wiem, czy Brutal słyszał to drzenie, ale ja na pewno. - Chodź. Zabieramy się do dzieła.

- Nie chcesz poczekać, aż nasz piękniś straci przytomność?

- Już stracił. Jest po prostu za mocno nabuzowany, żeby zamknąć oczy.

- Ty jesteś szefem.

Brutal rozejrzał się za Harrym, ale Harry stał już obok nas. Dean siedział przy biurku oficera dyżurnego, tasując karty tak energicznie i szybko, że dziwne, iż się jeszcze nie zapaliły. Co jakiś czas rzucał okiem w lewo, w stronę mojego gabinetu, w którym siedział Percy.

- Już czas? - zapytał Harry. Jego długa końska twarz była bardzo blada, ale sprawiał wrażenie zdeterminowanego.

- Tak - odparłem. - Jeśli mamy zamiar to zrobić, już czas.

Harry przeżegnał się i pocałował kciuk, a potem otworzył drzwi izolatki, wyniósł z niej kaftan bezpieczeństwa i podał go Brutalowi. Wszyscy trzej ruszyliśmy Zieloną Miłą. Coffey stał w drzwiach celi, obserwując nas, ale nie powiedział ani słowa. Kiedy mijaliśmy biurko, Brutal schował kaftan za swoimi szerokimi plecami.

- Powodzenia - powiedział Dean. Był tak samo blady jak Harry i wydawał się tak samo zdeterminowany.

Percy rzeczywiście siedział za moim biurkiem, zatopiony w lekturze książki, z którą obnosił się przez kilka ostatnich wieczorów - nie był to żaden z zeszytów "Argosy" lub "Stag", lecz *Opieka nad pacjentami w szpitalach psychiatrycznych*. Z zawstydzonego spojrzenia, które rzucił nam, kiedy weszliśmy do środka, ktoś mógłby wnosić, że to *Ostatnie dni Sodomy i Gomory*.

- Co jest? - zapytał, pośpiesznie ją zamykając. - Czego chcecie?

- Pogadać z tobą, Percy - odparłem. - Tylko pogadać.

Na naszych twarzach zobaczył jednak coś więcej niż chęć rozmowy. Zerwał się z fotela i ruszył - niezupełnie biegnąc, ale prawie - w stronę otwartych drzwi do szopy. Spodziewał się, że przyszedłszy go w najlepszym wypadku zrugać, najprawdopodobniej zaś stłuc na kwaśne jabłko.

Harry odciął mu drogę ucieczki, stając w drzwiach ze skrzyżowanymi na piersi rękoma.

- O co wam chodzi? - zapytał mnie Percy. Był przestraszony, ale starał się tego po sobie nie pokazywać.

- Nie pytaj, Percy - odparłem. Sądziłem, że poczuje się lepiej, kiedy to wszystko się zacznie, lecz tak się wcale nie stało. Nie wierzyłem w to, co robię. To był jakiś koszmar. Wciąż miałem nadzieję, iż żona potrząśnie mnie za ramię i powie, że jęczałem głośno przez sen. - Lepiej, jeśli nie będziesz stawiał oporu.

- Co on tam chowa za plecami? - zapytał drżącym głosem Percy, przyglądając się uważnie Brutalowi.

- Nic takiego - odparł Brutal. - No może tylko... ten drobiazg.

Wyciągnął zza pleców kaftan bezpieczeństwa i potrząsnął nim przy biodrze niczym matador potrząsający muletą, kiedy prowokuje byka do ataku.

Percy wytrzeszczył oczy i rzucił się do przodu. Miał zamiar uciec, ale Harry złapał go za ramiona i skończyło się tylko na tym gwałtownym wypadzie.

- Puszczaj! - wrzasnął Percy, próbując się wyrwać. To nie mogło mu się udać - Harry ważył o sto funtów więcej i przez większość wolnego czasu orał i rąbał drewno - ale Percy zdołał przeciągnąć go przez pół pokoju i pofałdować ten niesympatyczny zielony dywan, który dawno już zamierzałem wymienić. Przez chwilę myślałem nawet, że uwolnię jedną rękę - panika może zdziałać cuda.

- Uspokój się, Percy - powiedziałem. - Lepiej będzie, jeśli...

- Nie mów, żebym się uspokoił, ty idioto! - ryknął Percy, potrząsając ramionami i próbując się wyzwolić. - Po prostu się ode mnie odwal! Wszyscy się odwalcie! Znam różnych ludzi! Ważnych ludzi! Jeżeli natychmiast nie przestaniecie, będziecie zasuwać na piechotę do Karoliny Południowej, żeby dostać darmową zupę w garkuchni!

Ponownie szarpnął się do przodu i potracił biodrem biurko. Książka, którą czytał, *Opieka nad pacjentami w szpitalach psychiatrycznych*, podskoczyła w górę i wypadła z niej, ukryta w środku, mniejsza książeczka. Nic dziwnego, że miał minę winowajcy, kiedy tam weszliśmy. Nie były to *Ostatnie dni Sodomy i Gomory*, lecz broszura, którą dawaliśmy czasami więźniom, kiedy poczuli wolę bożą i zachowywali się dość grzecznie, żeby zasłużyć na ten skromny przywilej. Chyba już o niej wspominałem - o małym komiksie, w którym Olive Oyl robiła to ze wszystkimi z wyjątkiem małego Sweet Pea.

Fakt, że Percy przesiaduje w moim gabinecie, oglądając tę nędzną pornografię, trochę mnie zasmucił. Harry - z tego, co widziałem, spoglądając zza ramienia Percy'ego - także wydawał się lekko zdegustowany. Ale Brutal wybuchnął zdrowym śmiechem i to przynajmniej na chwilę osłabiło w Percym wolę walki.

- Percy, Percy - skarcił go Brutal. - Co powiedziałaaby na to twoja matka? I co powiedziałaaby pan gubernator?

Percy oblał się krwistym rumieńcem.

- Zamknij się! I nie mieszaj do tego mojej matki.

Brutal rzucił mi kaftan bezpieczeństwa i przysunął twarz do twarzy Percy'ego.

- Proszę bardzo. Bądź po prostu grzecznym chłopcem i wyciągnij do przodu rękę.

Percy'emu trzęsły się wargi i błyszczały oczy. Był bliski łez.

- Nie zrobię tego - oświadczył dziecinnym drżącym głosem - a wy nie zdołacie mnie zmusić.

A potem zaczął głośno wzywać pomocy. Harry i ja skrzywiliśmy się. Jeśli był jakiś moment, w którym chcieliśmy zrezygnować, to nadszedł właśnie wtedy. Zrezygnowalibyśmy, gdyby nie Brutal, który nawet przez chwilę się nie wahał. Stał obok Harry'ego, który trzymał wykręcone do tyłu ręce Percy'ego, i złapał tego ostatniego za uszy.

- Jeśli nie przestaniesz się drzeć - oświadczył - będziesz miał na głowie dwie największe na świecie saszetki do herbaty.

Percy przestał wzywać pomocy i przez chwilę stał nieruchomo, trzęsąc się i spoglądając na okładkę wulgarnego komiksu, na której Popeye i Olive robili to w twórczy sposób, o którym słyszałem, ale którego nigdy nie próbowałem. "Oooch, Popeye", głosił napis nad głową Olive. "Uch-uch-uch-uch", brzmiał ten nad głową Popeye'a, który wciąż palił swoją fajkę.

- Wyciągnij ręce - powtórzył Brutal - i przestań się wygłupiać. Natychmiast!

- Nie zrobię tego, a wy nie zdołacie mnie zmusić.

- Powiem ci, że cholernie się mylisz - stwierdził Brutal, po czym zacisnął palce na uszach Percy'ego i przekręcił je tak, jak przekręca się gałki piekarnika. Piekarnika, który nie piecze tak, jak byśmy sobie tego życzyli. Percy wydał z siebie żalony pisk bólu i zdumienia, którego wolałbym nigdy nie usłyszeć. To nie były tylko ból i zdumienie; to było zrozumienie. Po raz pierwszy w życiu dotarło do niego, że złe rzeczy nie przydarzają się wyłącznie innym, tym, którzy nie mieli dość szczęścia, żeby być krewnymi gubernatora. Chciałem powiedzieć Brutalowi, by tego nie robił, ale oczywiście nie mogłem. Sprawy zaszły za daleko. Mogłem tylko przypomnieć sobie, że Percy wydał Delacroix na Bóg jeden wie jakie męczarnie tylko dlatego, że Delacroix się z niego śmiał. Ale to nie łagodziło specjalnie oporów, jakie odczuwałem. Złagodziłoby może, gdybym miał charakter bardziej podobny do Percy'ego.

- Wyciągnij ręce, skarbie - powiedział Brutal - albo zrobię to jeszcze raz.

Harry zdążył już puścić młodego pana Wetmore'a. Szlochając jak dziecko i zalewając się łzami, Percy wysunął przed siebie ręce niczym lunatyk w filmowej komedii, a ja w okamgnieniu włożyłem na nie rękawy. Nie wsunąłem ich jeszcze do końca, kiedy Brutal puścił jego uszy, złapał za paski zwisające z mankietów i okręcił mu ręce wokół boków, krzyżując je na piersi. Harry tymczasem zapiął kaftan z tyłu. Od chwili gdy Percy dał za wygraną i wyciągnął ręce, cała rzecz nie trwała dłużej niż dziesięć sekund.

- W porządku - stwierdził Brutal. - Idziemy.

Percy nie ruszał się z miejsca. Spojrzał na Brutala, a potem obrócił przerażone załzawione oczy w moją stronę. Nie było już mowy o jego koneksjach i o tym, jak będziemy zasuwać na piechotę do Karoliny Południowej po darmową zupę.

- Proszę - wyszeptał chrapliwym bełkotliwym głosem. - Nie zamykaj mnie z nim razem w celi.

W tym momencie zrozumiałem, dlaczego wpadł w taką panikę i dlaczego tak zawzięcie się opierał. Myślał, że wsadzimy go do celi Dzikiego Billa Whartona; że karą za wsadzenie do hełmu suchej gąbki będzie wydymanie na sucho przez naszego dyżurnego psychopatę. Zamiast mu jednak współczuć, poczułem, jak ogarnia mnie wstyd, i umocniłem się w swoim postanowieniu. Posądzał nas o coś, co pewnie sam by zrobił, gdyby znalazł się na naszym miejscu.

- Nie idziesz do Whartona, Percy, ale do izolatki - powiedziałem. - Spędzisz tam trzy albo cztery godziny, sam jeden w ciemności, rozmyślając o tym, co zrobiłeś Delowi. Jest już może za późno, żebyś nauczył się postępować tak, jak zachowują się porządni ludzie... tak w każdym razie uważa Brutal... lecz ja jestem optymistą. Ruszaj.

Percy posłuchał mnie, mamrocząc pod nosem, że będziemy tego żałować, bardzo żałować, jeszcze zobaczymy, ale w gruncie rzeczy chyba odetchnął z ulgą.

Kiedy wyprowadziliśmy go na korytarz, Dean zrobił tak zaskoczoną i zarazem niewinną minę, że o mało nie wybuchnąłem śmiechem. Widziałem lepszych aktorów w wiejskich teatrzykach.

- Nie sądzicie, że te żarty posuwają się za daleko? - zapytał.

- Zamknij się, jeśli nie chcesz napytać sobie biedy - odparł Brutal.

Obu tych kwestii wyuczuli się wcześniej podczas lunchu, i tak właśnie dla mnie brzmiały: jak wyuczone kwestie. Jeśli jednak Percy był odpowiednio wystraszony i skonsternowany, Dean Stanton mógł dzięki tym słowom zachować pracę. Osobiście nie bardzo w to wierzyłem, ale wszystko było możliwe. Za każdym razem, gdy ogarniało mnie zwątpienie, myślałem o Johnie Coffeyu i myszy Delacroix.

Pogoniliśmy Percy'ego Zieloną Miłą. Biegając potykał się i jęczał, prosząc, żebyśmy zwolnili, że wywróci się jak długi, jeśli nie zwolnimy. Wharton leżał na pryczy, ale minęliśmy jego celę tak szybko, że nie zdążyłem sprawdzić, czy śpi. John Coffey stał w drzwiach celi i bacznie nas obserwował.

- Jesteś złym człowiekiem i zasługujesz na to, żeby pójść do ciemnicy - wymamrotał, ale nie sądzę, żeby Percy go usłyszał.

Weszliśmy do izolatki. Policzki Percy'ego były czerwone i mokre od łez, oczy latały



mu na wszystkie strony, a wypieszczone loki spadły na czoło. Harry jedną ręką zabrał mu pistolet, a drugą tę jego drogocenną hikorową maczugę.

- Dostaniesz je z powrotem, nie martw się - obiecał. W jego głosie słychać było lekkie zakłopotanie.

- Szkoda, że nie mogę tego powiedzieć o twojej posiadzie - odciął się Percy. - O waszych posiadach. Nie możecie mi tego zrobić! Nie możecie!

Miał najwyraźniej zamiar kontynuować ten wątek trochę dłużej, my jednak nie mieliśmy czasu go słuchać. Z kieszeni wyjąłem rolkę taśmy izolacyjnej, która w latach trzydziestych służyła do tego samego celu, co dzisiejsza taśma klejąca. Percy zobaczył ją i zaczął się cofać, ale Brutal złapał go z tyłu i przytrzymał, a ja oblepiłem mu taśmą usta i na wszelki wypadek okręciłem ją wokół karku. Przy jej zdejmowaniu mógł stracić trochę włosów i mogły mu popękać wargi, ale już się tym nie przejmowałem. Miałem powyżej dziurek w nosie Percy'ego Wetmore'a.

Odsunęliśmy się od niego. Stojąc w kaftanie bezpieczeństwa pośrodku izolatki, oddychając przez rozszerzone nozdrza i wydając stłumione pomruki spod taśmy, nie różnił się specjalnie od innych szaleńców, których tu zamykaliśmy.

- Im grzeczniej będziesz się zachowywał, tym szybciej stąd wyjdiesz - stwierdziłem.  
- Postaraj się to zapamiętać, Percy.

- A jeśli poczujesz się samotny, pomyśl o Olive Oyl - poradził mu Harry. - Uch-uch-uch-uch!

Wyszliśmy na korytarz. Ja zamknąłem drzwi, a Brutal przekręcił klucz w zamku. Dean stał trochę dalej na korytarzu, tuż przy celi Coffeya. Uniwersalny klucz tkwił już w górnym zamku. Wszyscy czterej popatrzyliśmy na siebie, nie mówiąc ani słowa. Nie było takiej potrzeby. Uruchomiliśmy maszynę i mogliśmy teraz tylko mieć nadzieję, że potoczy się zgodnie z naszymi zamiarami, nie wyskakując nigdzie z szyn.

- W dalszym ciągu chcesz się przejechać, John? - zapytał Brutal.

- Tak, proszę pana - odparł Coffey. - Tak mi się wydaje.

- To dobrze - stwierdził Dean. Przekręcił klucz w górnym zamku, wyjął go i wsadził w dolny.

- Czy musimy cię skuć, John? - zapytałem.

Coffey przez chwilę się nad tym zastanawiał.

- Jeśli chcecie, możecie to zrobić - odparł w końcu. - Ale nie ma takiej potrzeby.

Skinąłem na Brutala, aby otworzył drzwi celi, a potem zerknąłem na Harry'ego, który celował machinalnie z czterdziestkapiątki Percy'ego w wychodzącego z celi Coffeya.

- Oddaj te rzeczy Deanowi - powiedziałem.

Harry zamrugał oczyma jak ktoś, kogo obudzono z chwilowej drzemki, zobaczył, że wciąż trzyma w rękach pistolet i pałkę Percy'ego, i wręczył je Deanowi. Coffey wyszedł tymczasem z celi, zahaczając niemal łysą czaszką o drucianą siatkę jednej z lamp. Ze zwisającymi z przodu rękoma i ramionami skulonymi po obu stronach potężnej klatki piersiowej przypominał, podobnie jak wtedy, gdy ujrzałem go po raz pierwszy, ogromnego uwięzionego niedźwiedzia.

- Zamknij zabawki Percy'ego w szufladzie biurka, dopóki nie wrócimy - przykazałem Deanowi.

- O ile w ogóle wrócimy - wtrącił Harry.

- Dobrze - odparł Dean, nie zwracając uwagi na Harry'ego.

- Gdyby ktoś się zjawił... prawdopodobnie nikt nie przyjdzie, ale gdyby... co mu powiesz?

- Że Coffey zaczął rozrabiać koło północy - odparł Dean, marszcząc czoło, jak student zdający bardzo ważny egzamin. - Musieliśmy włożyć mu kaftan i wsadzić do izolatki. Jeśli będzie słyhać jakieś hałasy, każdy pomyśli, że to on - dodał, wskazując głową Johna Coffeya.

- A co z nami? - zapytał Brutal.

- Paul poszedł do administracji przejrzeć akta Dela i sprawdzić listę świadków. To ważne ze względu na to, że daliśmy plamę przy egzekucji. Powiedział, że zostanie tam pewnie do końca zmiany. Ty, Harry i Percy udaliście się do pralni przeprać rzeczy.

Taka była przynajmniej wersja oficjalna. W niektóre noce w pralni grano w kości, w inne w blackjacka, pokera albo tryktraka. O strażnikach, którzy się tam zbierali, mówiono, że piorą swoje rzeczy. Podczas tych zgromadzeń pociągano na ogół bimber, a czasami podawano sobie skręta. Tego rodzaju rzeczy dzieją się, jak przypuszczam, od czasu kiedy wynaleziono więzienia. Gdy człowiek ma przez całe życie do czynienia z parszywcami, nie może się samemu trochę nie powalać. Tak czy inaczej nikt nie powinien nas sprawdzać. "Pranie rzeczy" traktowane było w Cold Mountain z wielką dyskrecją.

- Doskonale - stwierdziłem, obracając Coffeya i popychając go do przodu. - A jeśli to wszystko zakończy się wpadką, o niczym nie wiesz.

- Łatwo powiedzieć, ale...

W tym samym momencie spomiędzy prętów celi Whartona wysunęła się koścista ręka i złapała Coffeya za biceps. Wszyscy otworzyliśmy usta ze zdumienia. Wharton, który powinien być od dawna pogrążony w śpiączce i martwy dla świata, stał uśmiechając się

głupkowato i kołysząc na nogach niczym bokser po otrzymaniu ciężkiego ciosu.

Reakcja Coffeya była znamieną. Nie odsunął się, lecz, podobnie jak my, otworzył usta i wciągnął powietrze między zębami jak ktoś, kto dotknął czegoś zimnego i nieprzyjemnego. Wybałuszył oczy i przez chwilę można było pomyśleć, że nigdy w życiu nie sprawiał wrażenia ociężałego umysłowo.

Wydawał się zupełnie inny - pełen życia - kiedy chciał, bym wszedł do jego celi i pozwolił się dotknąć. W jego własnym języku, pozwolił sobie "pomóc". Wyglądał tak samo, gdy wyciągał ręce po mysz. Teraz po raz trzeci jego twarz rozjaśniła się, jakby ktoś zapalił mu reflektor w mózgu. Tyle że tym razem wyglądało to trochę inaczej. Tym razem jego oczy były chłodniejsze i nagle zacząłem się zastanawiać, co będzie, jeśli John Coffey dostanie szalu. Mielśmy broń i mogliśmy zrobić z niej użytek, ale położenie go trupem mogło się okazać wcale nie takie proste. Zobaczyłem podobne obawy na twarzy Brutala. Wharton wciąż rozdziawiał gębę w półprzytomnym uśmiechu.

- A ty dokąd się wybierasz? - zapytał. Zabrzmiało to: "aty doksie wybrasz?"

Coffey nie ruszył się z miejsca. Spojrzał na Whartona, potem na jego rękę, a potem z powrotem na jego twarz. Nie potrafiłem niczego dostrzec w oczach olbrzyma. To znaczy widziałem w nich inteligencję, ale nie potrafiłem w nich czytać. Co do Whartona, wcale się nim nie przejmowałem. Wiedziałem, że nic z tego nie zapamięta. Był niczym pijak, któremu urwał się film.

- Jesteś złym człowiekiem - szepnął Coffey i trudno mi powiedzieć, co usłyszałem w jego głosie: ból, gniew czy strach. Może wszystkie te trzy rzeczy naraz. Coffey spojrzał ponownie na dłoń Billa, tak jak się patrzy na robaka, który może paskudnie ugryźć, ma taki zamiar.

- Zgadza się, czarnuchu - potwierdził Wharton z tym swoim drętym prowokującym uśmiechem. - Jestem zły jak wszyscy diabli.

Poczułem nagle, że zaraz zdarzy się coś strasznego, coś, co zmieni wszystkie nasze plany, podobnie jak katastrofalne trzęsienie ziemi może zmienić bieg rzeki. To musiało się zdarzyć i ani ja, ani żaden z nas nie mogliśmy zrobić nic, żeby temu zapobiec.

A potem Brutal oderwał dłoń Whartona od ramienia Johna Coffeya i to uczucie ustąpiło - zupełnie jakby przerwany został niebezpieczny obwód. Wspomniałem już, że podczas mojej służby na bloku E nigdy nie telefonował gubernator. To prawda, ale sądzę, że gdyby kiedykolwiek zadzwonił, poczułbym taką samą ulgę jak wówczas, gdy Brutal oderwał dłoń Whartona od górującego nade mną mężczyzny. Oczy Coffeya natychmiast zmatowiały, tak jakby zgasł umieszczony w jego głowie reflektor.

- Połóż się, Billy - powiedział Brutal. - Odpocznij sobie.

Była to w zasadzie moja kwestia, ale w tych okolicznościach nie przeszkadzało mi, że się nią posłużył.

- Chyba rzeczywiście odpocznę - zgodził się Wharton. Dał krok do tyłu, zatoczył się, o mało nie upadł i w ostatniej sekundzie odzyskał równowagę. - Rany julek. Wszystko się kręci. Zupełnie jakbym się uchlał.

Cofając się, nie spuszczał wytrzeszczonych oczu z Coffeya.

- Czarnuchy powinny mieć swoje własne krzesło elektryczne - burknął. A potem zahaczył nogami o skraj materaca, zwałił się na pryczę i zaczął chrapać, zanim jego głowa dotknęła poduszki. Miał sine kręgi pod oczyma i siny koniuszek języka.

- Chryste, jak on zdołał wstać, mając w sobie tyle morfiny? - szepnął Dean.

- Nieważne - oświadczyłem. - Gdyby się obudził, daj mu następną tabletkę rozpuszczoną w wodzie. Ale tylko jedną. Nie chcemy go zabić.

- Mów za siebie - mruknął Brutal, rzucając Whartonowi pogardliwe spojrzenie. - Takiego potwora nie sposób zresztą zabić morfina. Oni nie mogą bez niej żyć.

- To zły człowiek - powiedział Coffey, ale tym razem ciszej, jakby nie był zupełnie pewien, co mówi albo co przez to rozumie.

- Zgadza się - przytaknął Brutal. - Wyjątkowo podły. To jednak nie ma teraz większego znaczenia, ponieważ nie wybieramy się z nim na tańce. - Ruszyliśmy dalej, asystując Coffeyowi niczym grupa czcicieli otaczająca swego nagle zmartwychwstałego bożka. - Powiedz mi, John, ty wiesz, dokąd cię zabieramy?

- Żebym pomógł. Żebym pomógł... jakiejś pani? - odparł Coffey, posyłając Brutalowi pełne nadziei spojrzenie.

Brutal pokiwał głową.

- Masz rację. Ale skąd o tym wiesz? Skąd wiesz?

John Coffey przez chwilę się nad tym zastanawiał, a potem potrząsnął głową.

- Nie wiem - odpowiedział. - Szczerze mówiąc, szefie, w ogóle mało co wiem. Nigdy nie wiedziałem.

I tym musieliśmy się zadowolić.

Wiedziałem, że małe drzwi między moim gabinetem i szopą nie zostały zaprojektowane z myślą o ludziach takich jak Coffey, lecz dopiero gdy przed nimi stanęliśmy, zdałem sobie w pełni sprawę z wagi problemu.

Harry wybuchnął śmiechem, ale sam John nie widział w tej sytuacji nic śmiesznego. Można się było tego spodziewać; nie zobaczyłby w niej nic śmiesznego, gdyby nawet odznaczał się trochę większą lotnością umysłu. Był wielkim mężczyzną przez całe swoje dorosłe życie, a te drzwi były tylko trochę mniejsze od normalnych.

Przykucnął i przecisnął się przez nie bokiem, a potem wyprostował się i zszedł na dół, gdzie czekał na niego Brutal. Tam zatrzymał się i jego wzrok powędrował przez puste pomieszczenie w stronę Starej Iskrówy, która stała na podwyższeniu, cicha i złowroga niczym tron w zamku martwego króla. Zawieszony beztrosko na oparciu kask bardziej niż koronę przypominał jednak błazeńską czapkę - coś, co włożyłby na głowę królewski trefniś chcąc, by szlachetna publiczność głośniejsz śmiała się z jego żartów. Wydłużony, pajęczy cień krzesła pełził po ścianie niczym ponure memento. I owszem, znowu wydawało mi się, że czuję w powietrzu odór spalonego ciała. Był słaby, ale chyba go sobie nie wyobraziłem.

Harry pochylił głowę i przeszedł przez drzwi, a za nim ja. Nie podobało mi się nieruchome spojrzenie, jakim John Coffey mierzył Starą Iskrówę. Jeszcze mniej spodobała mi się gęsia skórka, którą zobaczyłem na jego przedramionach, gdy podszedłem bliżej.

- Chodź, duży - powiedziałem, biorąc go za rękę i próbując pociągnąć w stronę drzwi prowadzących do tunelu. Ale Coffey stał jak wryty; równie dobrze mógłbym starać się poruszyć gołymi rękoma głąz tkwiący głęboko w ziemi.

- Chodź, John, musimy iść, chyba że czekasz, aż karoca przemieni się z powrotem w dynię - mruknął Harry i nerwowo się roześmiał. Wziął Coffeya za drugą rękę i pociągnął, lecz on w dalszym ciągu nie ruszał się z miejsca. A potem powiedział coś cichym i sennym głosem. Nie mówił do mnie ani do żadnego z nas, ale po dziś dzień nie zapomniałem jego słów.

- Wciąż tutaj są. Wciąż trochę z nich tutaj zostało. Słyszę, jak krzyczą.

Harry przestał się śmiać. Niepewny uśmiech, który zawisł na jego twarzy, przypominał skrzywioną okiennicę w oknie pustego domu. Brutal rzucił mi przestraszone spojrzenie i odsunął się od Johna Coffeya. Po raz drugi w czasie krótszym niż pięć minut

miałem wrażenie, że znaleźliśmy się na skraju katastrofy. Tym razem jednak to ja energicznie zareagowałem. Trochę później miał to być Harry. Wierzcie mi, wszyscy zasłużyliśmy na medal tej nocy.

Stałem między Johnem i krzesłem, wspinając się na palcach, żeby kompletnie zasłonić mu pole widzenia, a potem strzeliłem dwa razy głośno palcami przed jego oczyma.

- No już! - przynagliłem. - Chodźmy! Powiedziałaś, że nie musimy zakuwać cię w kajdany, pokaż teraz, że to prawda. Chodź, duży! Chodź, Johnie Coffeyu. Tam! Do tamtych drzwi!

Rozjaśniły mu się oczy.

- Tak, szefie - mruknął i dzięki Bogu ruszył z miejsca.

- Patrz na drzwi, Johnie Coffeyu, na drzwi i nigdzie indziej.

- Tak, szefie.

Oczy Coffeya powędrowały posłusznie w stronę drzwi, a ja dałem znak Brutalowi, który wyprzedził nas, wyjął z kieszeni kółko z kluczami i odnalazł ten właściwy. John nie odrywał wzroku od drzwi, a ja nie odrywałem wzroku od Johna, kątem oka widziałem jednak, że Harry zerka nerwowo w stronę krzesła, jakby zobaczył je po raz pierwszy w życiu.

“Wciąż trochę z nich tutaj zostało. Słyszę, jak krzyczą”.

Jeśli to prawda, Eduard Delacroix musiał krzyczeć najdłużej i najgłośniej z nich wszystkich i cieszyłem się, że nie słyszę tego, co słyszał John Coffey.

Brutal otworzył drzwi i puszczając Coffeya przodem zeszliśmy po schodach. Znalazłszy się na dole, nasz olbrzym spojrzał z niepokojem w głąb niskiego ceglano tunelu. Idąc nim mógł nabawić się skrzywienia kręgosłupa, chyba że...

Przysunąłem bliżej wózek. Prześcieradło, na którym położyliśmy Dela, zabrano już (i prawdopodobnie spalono) i widać było znajdujące się pod spodem czarne skórzane obicia.

- Kładź się - powiedziałem. Coffey zerknął na mnie z powątpiewaniem, ale ja pokiwałem zachęcająco głową. - Będzie ci łatwiej, a nam nie sprawi to różnicy.

- Dobrze, szefie Edgcombe - odparł, po czym położył się, spoglądając na nas swymi zatroskanymi brązowymi oczyma. Jego obute w więzienne kaptcie nogi zwisały prawie do samej podłogi. Brutal stanął między nimi i powiózł Johna Coffeya wilgotnym korytarzem, tak jak wiózł przedtem wielu innych. Jedyną różnicą było to, że obecny pasażer oddychał. W połowie drogi - znajdowaliśmy się pod szosą i usłyszelibyśmy zapewne stłumiony warkot samochodu, gdyby któryś przejeżdżał tędy o tej porze - John zaczął się uśmiechać.

- Fajna jazda - stwierdził.

Podczas następnej jazdy wózkiem nie będzie się tak dobrze bawił, przeszło mi przez

głowę. Podczas następnej jazdy wózkiem nie będzie myślał i nie będzie czuł. A może nie miałem racji? “Wciąż trochę z nich tutaj zostało”, powiedział; i słyszał, jak krzyczą.

Idąc z tyłu, poczułem, jak przechodzi mnie dreszcz.

- Mam nadzieję, że nie zapomniałeś aladyna - odezwał się Brutal, kiedy dotarliśmy do końca tunelu.

- Nie martw się - odparłem. Aladyn nie różnił się z wyglądu od innych kluczy, które nosiłem w tamtym okresie - i które ważyły razem ze cztery funty - ale był z nich najbardziej uniwersalny i otwierał wszystkie drzwi. Na każdym z pięciu bloków mieliśmy po jednym aladynie, który należał do kierownika. Inni strażnicy mogli go pożyczać, ale tylko naczelnny klawisz dysponował nim bez żadnych ograniczeń.

Na końcu tunelu znajdowała się otwierana stalowa krata, która zawsze przypominała mi obrazki ze starych zamków i dawne czasy, gdy rycerze walczyli w turniejach i kwitły dworskie maniery. Tyle że Cold Mountain leżało bardzo daleko od Camelotu. Za kratą zaczynały się schody prowadzące do niewielkiego wjazdu, opatrzonego na zewnątrz tabliczkami: WSTĘP WZBRONIONY! WŁASNOŚĆ PAŃSTWOWA! oraz UWAGA! WYSOKIE NAPIĘCIE!

Otworzyłem kratę. Harry odsunął ją na bok i wspiealiśmy się po schodach, ponownie puszczając przodem zgarbionego Johna Coffeya. Na samej górze Harry wyminął go (co nie przyszło mu łatwo, mimo że był z nas wszystkich najmniejszy) i otworzył zamek wjazdu. Próbował go następnie podnieść, ale kłapa tylko lekko drgnęła.

- Niech pan da, szefie - powiedział John, po czym ponownie wysforował się do przodu, przyciskając przy tym do ściany Harry’ego, i uniósł jedną ręką kłapę, tak jakby zrobiona była z tektury, a nie ze stalowej blachy.

Uderzył nas w twarze chłodny wiatr z gór, który miał teraz z małymi przerwami wiać aż do marca lub kwietnia. Razem z nim nadleciało kilka suchych liści i John Coffey złapał jeden z nich wolną ręką. Nigdy nie zapomnę tego, jak mu się przyjrzał, jak podsunął go sobie pod szeroki kształtny nos i zgniół, żeby lepiej poczuć zapach.

- Ruszajmy - powiedział Brutal.

Wyszliśmy na zewnątrz. John opuścił kłapę, a Brutal zamknął ją - po tej stronie wjazdu nie potrzebowaliśmy aladyna, ale otworzyliśmy nim furtkę w ogrodzeniu, które otaczało wyjście.

- Trzymaj ręce blisko siebie, duży - mruknął Harry. - Nie dotykaj drutów, jeśli nie chcesz się paskudnie poparzyć.

Po chwili stanęliśmy na poboczu drogi (wyglądaliśmy pewnie jak trzy pagórki

otaczające potężną górę) i spojrzeliśmy na majaczące po drugiej stronie muru światła i wieże strażnicze zakładu karnego Cold Mountain. Wewnątrz jednej z nich zobaczyłem nawet niewyraźną sylwetkę chuchającego w dłoń strażnika, ale trwało to tylko chwilę; wychodzące na szosę okna wież były małe i niezbyt ważne. Mimo to musieliśmy zachowywać się bardzo, bardzo cicho. A gdyby nadjechał teraz jakiś samochód, groziły nam poważne kłopoty.

- Chodźmy - szepnąłem. - Ty prowadź, Harry.

Ruszyliśmy gęsiego północną stroną szosy: Harry, potem John Coffey i Brutal, na końcu ja. Pokonaliśmy pierwsze wzniesienie i zeszliśmy na dół. Po więzieniu została tylko jaśniejsza luna nad szczytami drzew, ale Harry wcale nie zwalniał.

- Gdzieś zaparkował? - zapytał scenicznym szeptem Brutal, wydmuchując z ust małe obłoczki pary. - W Baltimore?

- Już niedaleko - odparł nerwowym i poirytowanym tonem Harry. - Nie gorączkuj się, Brutal.

Coffey, z tego, co widziałem, mógł tak maszerować do wschodu słońca, a może nawet do zachodu. Rozglądał się na wszystkie strony i wzdrygnął się - nie ze strachu, jestem tego pewien, lecz z radości - kiedy gdzieś w pobliżu zahukała sowa. Uświadomiłem sobie, że choć bał się ciemności w zamkniętym pomieszczeniu, na dworze wcale mu nie przeszkadzała. Sycił się nocą i ocierał o nią zmysły, tak jak mężczyzna ociera twarz o krągłości kobiecego biustu.

- Skręcamy tutaj - mruknął Harry.

Po prawej stronie od szosy odchodziła wąska, zarośnięta chwastami polna dróżka. Przeszliśmy nią kolejne ćwierć mili i Brutal otwierał już usta, żeby coś powiedzieć, kiedy Harry zatrzymał się, zszedł na lewo i zaczął odgarniać połamane sosnowe gałęzie. John i Brutal pomogli mu i nim zdążyłem się przyłączyć, z gęstwiny wyjrzała maska starej półciężarówki marki Farmall z wylupiastymi oczyma odrutowanych reflektorów.

- Chciałem po prostu zachować maksymalne środki ostrożności - wyjaśnił gderliwym głosem Harry. - Dla ciebie to może być małe piwo, Brutus, aleja pochodzę z bardzo pobożnej rodziny. Moi kuzyni są tak cholernie świątobliwi, że chrześcijanie wyglądają przy nich jak lwy, i gdyby złapano mnie na tym, co tutaj robię...

- Nie ma sprawy - uspokoił go Brutal. - Jestem po prostu trochę podminowany.

- Ja też - odparł sztywno Harry. - Żeby tylko ten stary gruchot chciał od razu zaskoczyć.

Wciąż mruczając pod nosem, obszedł dookoła maskę samochodu, a Brutal mrugnął do



mnie okiem. Co się tyczy Coffeya, w ogóle nas nie zauważał. Przechylił w bok głowę i podziwiał gwiazdy rozrzucone po nieboskłonie.

- Jeśli chcesz, pojedę z nim z tyłu - zaproponował Brutal. Rozrusznik zajęczał krótko, niczym stary kundel stawiający ostrożnie łapy na szronie, a potem silnik zapalił. Harry dodał raz gazu i puścił go na wolne obroty. - Nie musimy tam obaj siedzieć.

- Siadaj z przodu - zdecydowałem. - Możesz z nim jechać, kiedy będziemy wracali. Pod warunkiem że nie przywiozą nas z powrotem naszą własną karetką.

- Nie mów takich rzeczy - odparł autentycznie zmartwiony, tak jakby po raz pierwszy zdał sobie sprawę, jak poważne grożą nam konsekwencje. - Chryste Panie, Paul.

- Siadaj z przodu - powtórzyłem.

Posłuchał mnie. Potrząsnąłem kilka razy za rękę Johna Coffeya, żeby sprowadzić go z powrotem na ziemię, i obszedłem wraz z nim ciężarówkę. Jej skrzynia obudowana była po bokach żerdziami. Harry zarzucił na nie plandekę, która powinna zasłonić nas przed wzrokiem ludzi jadących z naprzeciwka, nie potrafił jednak nic poradzić na otwarty tył.

- Wskakuj na górę, duży - powiedziałem.

- Jedziemy na przejażdżkę?

- Zgadza się.

- To dobrze - stwierdził z uśmiechem, który był słodki i łagodny, być może dlatego, że nie towarzyszył mu zanadto skomplikowany proces myślowy. Wskoczyłem w ślad za nim na skrzynię, podszedłem do szoferki i stuknąłem w dach. Harry wrzucił pierwszy bieg i ciężarówka wytoczyła się, podskakując i kołysząc, z małego zagajnika, w którym była ukryta.

John Coffey stanął na szeroko rozstawionych nogach pośrodku skrzyni, zadzierając głowę do gwiazd, uśmiechając się szeroko i nie zwracając zupełnie uwagi na smagające go gałęzie.

- Niech pan spojrzy, szefie! - zawołał z entuzjazmem, wskazując czarne niebo. - To Cassie, dama w fotelu na biegunach!

Miał rację; widziałem ją w pasie gwiazd między ciemnymi drzewami. Tyle że kiedy wspomniał o damie w fotelu na biegunach, nie pomyślałem o Kasjopei; pomyślałem o Melindzie Moores.

- Widzę ją - odparłem i pociągnąłem go za rękaw. - Ale teraz musisz usiąść, dobrze?

Siadł, opierając się plecami o szoferkę i ani na chwilę nie spuszczał oczu z nocnego nieba. Na jego twarzy malował się wyraz bezgranicznego bezmyślnego szczęścia. Zielona Mila oddalała się z każdym obrotem łysych opon farmalla i przynajmniej na razie wyschły łąy, które wydawały się płynąć z jego oczu nieprzerwanym strumieniem.

Do domu Hala Mooresa w Chimney Ridge było dwadzieścia pięć mil i podróż rozklekotaną powolną ciężarówką Harry'ego Terwilligera zajęła nam ponad godzinę. Jazda była niesamowita i choć mam wrażenie, że zachowałem w pamięci każdą jej chwilę - każdy wybój, każdą dziurę i dwa groźne momenty, kiedy minęły nas jadące z naprzeciwka ciężarówki - nie sądzę, by udało mi się nawet w przybliżeniu opisać, jak się czułem, siedząc tam z tyłu razem z Johnem Coffeyem, opatulony niczym Indianin w stare koce, o które zadbał Harry.

Było to przede wszystkim uczucie zagubienia - głęboki i straszny ból, którego doznaje dziecko, uświadamiając sobie, że musiało zablądzić, że znalazło się w całkiem obcej okolicy i nie wie, jak trafić do domu. Wybrałem się w środku nocy na przejażdżkę z więźniem - nie pierwszym lepszym więźniem, lecz kimś, kogo oskarżono o zamordowanie dwóch małych dziewczynek i skazano na śmierć. Gdyby nas złapano, moja wiara, że jest niewinny, nie miałaby najmniejszego znaczenia; trafilibyśmy na pewno do kryminału, a wraz z nami prawdopodobnie Dean Stanton.

Rzuciłem na szalę całe swoje życie z powodu jednej spartolonej egzekucji oraz wiary, że siedzący obok mnie przerośnięty gamoń jest być może w stanie coś zrobić z nie nadającym się do operacji guzem mózgu. Teraz jednak, obserwując gapiącego się na gwiazdy Johna Coffeya, zdałem sobie z przerażeniem sprawę, że wcale w to nie wierzę i nie wiem, czy kiedykolwiek wierzyłem; moja infekcja wydawała się tak samo odległa i nieistotna jak wszystkie bolesne i nieprzyjemne doznania, które odeszły w przeszłość (gdyby kobieta pamiętała, jak bardzo bolało ją urodzenie pierwszego dziecka, nigdy nie zdecydowałaby się na następne, powiedziała kiedyś moja matka). Co się tyczy Pana Dzwoneczka, czy nie było możliwe, a nawet prawdopodobne, że zbyt poważnie oceniliśmy obrażenia, jakie zadał mu Percy? Albo że John - który rzeczywiście obdarzony był pewnego rodzaju hipnotyczną siłą, co do tego nie było żadnych wątpliwości - zasugerował nam w jakiś sposób, że widzieliśmy coś, czego wcale nie widzieliśmy? Pozostawała jeszcze kwestia, jak zachowa się dyrektor. Tamtego dnia, gdy zaskoczyłem go w gabinecie, miałem do czynienia z zapłakany roztrzęsionym starcem. Nie była to jednak jego prawdziwa twarz. Hal Moores był człowiekiem, który złamał kiedyś rękę obwiesiowi próbującemu go dźgnąć, człowiekiem, który zwrócił mi cynicznie uwagę, że jaja Delacroix ugotują się bez względu na to, kto

wejdzie w skład zespołu egzekucyjnego. Czy sądziłem, że usunie się grzecznie na bok, wpuści do domu skazanego na śmierć mordercę i pozwoli mu dotykać swojej żony?

Moje wątpliwości rosły w miarę, jak zbliżaliśmy się do celu. Nie potrafiłem po prostu powiedzieć, dlaczego zrobiłem to, co zrobiłem, i dlaczego przekonałem innych, by wzięli ze mną udział w tej zwariowanej nocnej wycieczce. Nie wierzyłem, że uda nam się wyjść z tego cało. Dziwna rzecz, że nie starałem się jednak tego wykrzyczeć, choć mogłem to przecież uczynić; dopóki nie dojechaliśmy do domu Mooresa, wszystko było jeszcze w naszych rękach. Coś - myślę, że był to po prostu entuzjazm emanujący z siedzącego obok mnie olbrzyma - powstrzymywało mnie przed walnięciem w dach kabiny i krzyknięciem, żeby zawracać i jechać do więzienia, póki jest jeszcze czas.

W takim znajdowałem się stanie ducha, kiedy zjechaliśmy z głównej szosy na drogę okręgową numer pięć, a potem na Chimney Ridge Road. Mniej więcej piętnaście minut później zobaczyłem zasłaniający gwiazdy zarys dachu, i domyśliłem się, że jesteśmy na miejscu.

Harry wrzucił jedynekę (sądzę, że podczas całej podróży tylko raz użył najwyższego biegu), silnik szarpnął i cały samochód zadrżał, jakby on także bał się tego, co nas czekało. Skręciliśmy na wysypany żwirem podjazd Mooresa i zaparkowaliśmy obok jego porządnego czarnego buicka. Trochę na prawo przed nami stał elegancki dom wzniesiony w stylu, który określa się chyba mianem Cape Cod. Podobny budynek mógł wydawać się trochę nie na miejscu w naszej górzystej okolicy, ale ten całkiem dobrze do niej pasował. Zza chmur wyszedł księżyc, uśmiechając się nieco szerzej aniżeli poprzedniej nocy, i w jego świetle zobaczyłem, że utrzymany zazwyczaj pięknie trawnik teraz wydaje się zaniedbany. Sprawiały to głównie nie zagrabione liście. W normalnych okolicznościach powinna się nimi zająć Melly, ale tej jesieni Melly nie miała zdrowia do grabienia liści i nie sądziłem, by doczekała następnej. Taka była prawda i postradałem chyba zmysły łudząc się, że jakiś idiota o nieobecny spojrzeniu potrafi to zmienić.

Może jednak nie było za późno, żeby wziąć nogi za pas. Uniosłem się lekko i koc, którym byłem otulony, ześlizgnął mi się z ramion. Pochylę się nad szoferką, zapukam w szybę od strony kierowcy i powiem Harry'emu, żeby wynosił się stąd, zanim...

John Coffey złapał moje przedramię w jedną ze swoich podobnych do bochnów dłoni i posadził mnie z powrotem tak łatwo, jakby miał do czynienia z dzieckiem.

- Niech pan popatrzy, szefie - powiedział, pokazując palcem. - Ktoś nie śpi.

Mój wzrok pobiegł za jego palcem i poczułem, jak serce idzie mi w piętę. W jednym z pokoiów na tyłach domu paliło się światło. Prawdopodobnie w sypialni, w której Melinda

spędzała teraz całe noce i dni; schodzenie po schodach sprawiało jej tyle samo trudności co grabienie liści, które spadły w czasie ostatniej burzy.

Usłyszeli oczywiście ciężarówkę - przekłętego farmalla, którego silnik wył, charczał i strzelał z rury wydechowej nie zaopatrzonej w coś tak frywolnego jak tłumik. Od pewnego czasu Mooresowie nie spali zresztą zbyt dobrze.

Zapaliło się światło bliżej frontowych drzwi (w kuchni), a potem kolejno w salonie, w hallu wejściowym i na ganku. Obserwowałem ten pochód światła tak jak człowiek, który stoi przy ścianie i pali ostatniego papierosa, patrząc na zbliżający się marszowym krokiem pluton egzekucyjny. Po chwili umilkł nierówny warkot silnika, zaskrzypiały otwierane drzwiczki i kiedy żwir zachrząścił pod stopami Harry'ego i Brutala, zdałem sobie ostatecznie sprawę, że jest już za późno.

John wstał i pociągnął mnie za sobą. W przyćmionym świetle jego twarz wydawała się ożywiona i pełna entuzjazmu. Cóż w tym dziwnego, pamiętam, że tak pomyślałem. Dlaczego miał nie być pełen entuzjazmu? Był przecież głupcem.

Brutal i Harry stali razem obok ciężarówki, niczym dzieci podczas burzy, i zobaczyłem, że obaj są tak samo przestraszeni, zakłopotani i zmieszani jak ja. To sprawiło, że poczułem się jeszcze gorzej.

John wysiadł z ciężarówki. Dla niego był to raczej krok niż skok w dół. Ja podążyłem za nim, nieszczęśliwy i odrętwiały. Wyłożyłbym się jak długi na zimnym żwirze, gdyby nie złapał mnie za ramię.

- To był błąd - szepnął cicho Brutal. Miał szeroko otwarte przerażone oczy. - Chryste Panie, Paul, jak my to sobie wszystko wyobrażaliśmy?

- Teraz jest już za późno - odparłem. Odepchnąłem na bok Coffeya, który stanął posłusznie przy Harrym, po czym złapałem pod łokieć Brutala, tak jakby był moją dziewczyną, i ruszyłem z nim w stronę ganku, na którym paliło się teraz światło. - Ja będę mówił - oznajmiłem. - Rozumiesz?

- Dobrze - mruknął. - W tej chwili to chyba jedyna rzecz, którą rozumiem.

- Ty, Harry, stój razem z Coffeyem przy ciężarówce, aż was zawołam - powiedziałem, oglądając się przez ramię. - Nie chcę, żeby Moores zobaczył go, zanim będę gotów.

Kłopot polegał na tym, że nigdy nie miałem być gotów i właśnie to sobie uświadomiłem.

Kiedy Brutal i ja doszliśmy do schodów, frontowe drzwi otworzyły się tak gwałtownie, aż podskoczyła zamocowana na nich miedziana kołatka. W progu ukazał się Hal Moores w niebieskich spodniach od pizamy i pasiastym podkoszulku. Jego stalowoszare

włosy sterczały każdy w inną stronę. Był człowiekiem, który mógł mieć tysiące wrogów i dobrze o tym wiedział. W prawej ręce zaciskał pistolet, zazwyczaj wiszący nad kominkiem. Jego niezwykle długa lufa nie była bynajmniej skierowana w podłogę. Broń znana pod nazwą Ned Buntline Special należała kiedyś do jego dziadka. Hal odbezpieczył ją (co widząc, poczułem, jak serce ucieka mi jeszcze bardziej w pięty).

- Kogo diabli tutaj niosą o trzeciej nad ranem? - zapytał. Nie słyszałem w jego głosie strachu. Nie drżały mu także ręce. Dłoń, w której trzymał broń, była nieruchoma jak głaz. - Odpowiadajcie, bo... - Lufa pistoletu zaczęła się podnosić.

- Niech pan tego nie robi, panie dyrektorze! - zawołał Brutal, wyciągając otwarte dłonie w stronę uzbrojonego mężczyzny. Nigdy nie słyszałem, żeby jego głos brzmiał tak jak w tamtej chwili; ktoś mógłby pomyśleć, że drzenie, które opuściło dłonie Hala Mooresa, zadomowiło się teraz w krtani Brutusa Howella. - To my! To Paul, ja i... To my!

Stał na pierwszym schodku i światło padające z ganku oświetliło jego twarz. Stałem obok niego. Moores omiół nas uważnym spojrzeniem i gniewna determinacja ustąpiła miejsca zdumieniu.

- Co wy tutaj robicie? - zapytał. - Jest nie tylko środek nocy, ale macie teraz dyżur. Dobrze o tym wiem, rozkład wisi w moim warsztacie. Więc co, na litość boską... To nie chodzi chyba o ucieczkę? Albo zamieszki? - Popatrzył między nas i jego wzrok stwardniał. - Kto tam stoi przy tej ciężarówce?

Ja będę mówił, powiedziałem Brutalowi, ale teraz, kiedy przyszła na to pora, nie potrafiłem w ogóle otworzyć ust. Jadąc do pracy tego popołudnia, obmyśliłem dokładnie, co powiem, kiedy znajdziemy się już na miejscu, i wydawało mi się, że nie brzmi to jak czyste wariactwo. Nie brzmiało oczywiście rozsądnie - nie było w tym nic rozsądnego - ale może dość przekonująco, żeby Hal otworzył drzwi i dał nam spróbować. Dał spróbować Johnowi. Teraz jednak cała moja starannie przygotowana mowa rozsypała się jak domek z kart. Myśli i obrazy - płonącego Dela, zdychającej myszy, starego Tu-Tuta, który podskakiwał na Starej Iskrówie i wrzeszczał, że smaży się, smaży jak indyk w brytfannie - wirowały mi w głowie niczym piasek w porywie wichury. Wierzę, że istnieje na tym świecie dobro, które spływa w ten czy inny sposób od miłosiernego Boga, ale wierzę również, że istnieje inna siła, tak samo realna jak Bóg, do którego modliłem się przez całe życie, i że stara się ona świadomie obrócić wniwecz wszystkie nasze dobre zamiary. Nie mam tutaj na myśli szatana (choć wierzę, że on również istnieje), ale demona niezgody, złośliwego i głupiego diabła, który śmieje się do rozpuku, kiedy jakiś staruszek zaproszy ogień, chcąc zapalić fajkę, albo kiedy mały, kochany przez wszystkich szkrab wepchnie sobie do ust pierwszy gwiazdkowy prezent i zakrztusi się

nim na śmierć. Miałem dużo czasu, żeby się nad tym zastanowić, wszystkie te lata, które upłynęły od Cold Mountain do Georgia Pines, i uważam, że ta siła była aktywna tamtej nocy, że kłębiła się między nami niczym mgła, starając się nie dopuścić Johna Coffeya do Melindy Moores.

- Panie dyrektorze... Hal... ja...

Nie byłem w stanie wykrztusić z siebie nic sensownego.

Hal w ogóle mnie nie słuchał. Podniósł ponownie pistolet, celując z niego gdzieś między Brutalem i mną. Jego przekrwione oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. Do ganku zbliżał się Harry Terwilliger, w mniejszym lub większym stopniu prowadzony przez naszego wielkoluda, który wykrzywił usta w szerokim, głupkowskim uśmiechu.

- Coffey, John Coffey - szepnął Moores i wciągnął w płuca powietrze. - Stój. Stój w miejscu, bo będę strzelał!

- Hal? - odezwał się gdzieś za nim słaby i drżący kobiecy głos. - Co tam robisz? Z kim rozmawiasz, ty pierdolony kutasie?

Zakłopotany i zrozpaczony Moores odwrócił się na chwilę do tyłu. Tylko, jak powiedziałem, na chwilę, ale wystarczająco długą, bym zdołał mu wyrwać z dłoni pistolet. I zrobiłbym to, gdybym potrafił poruszyć rękoma. Miałem wrażenie, że ktoś przywiązał do nich ciężary. W głowie szumiało mi jak w głośniku radiowym podczas burzy. Pamiętam tylko, że czułem lęk i rodzaj tępego zażenowania wobec Hala.

Harry i John Coffey dotarli do schodów, lecz Moores odwrócił się z powrotem i ponownie uniósł pistolet. Powiedział później, że owszem, miał szczerzy zamiar zastrzelić Coffeya; podejrzewał, że jesteśmy wszyscy zakładnikami, a inicjator całej akcji kryje się gdzieś w cieniu koło ciężarówki. Nie miał pojęcia, dlaczego przywieziono nas do jego domu, ale najbardziej prawdopodobnym motywem wydawała się chęć zemsty.

Zanim zdążył strzelić, Harry dał krok do przodu i zasłonił Coffeya własnym ciałem. Coffey nie kazał mu tego robić; Harry uczynił to z własnej inicjatywy.

- Nie, panie dyrektorze - odezwał się. - Wszystko jest w porządku! Nikt nie jest uzbrojony, nikomu nie stanie się nic złego, przyjechaliśmy tu, żeby pomóc.

- Pomóc? - Potargane krzaczaste brwi Mooresa uniosły się w górę. Piorunował nas wzrokiem. Nie spuszczałem oczu z odbezpieczonego kurka pistoletu. - Pomóc w czym? Pomóc komu?

Jakby w odpowiedzi ponownie odezwał się kobiecy głos, swarliwy i kompletnie wyzbyty wstydu.

- Chodź tutaj i wypiluj mi szparę, ty sukinsynu! I przyprowadź swoich zaszraných

kolesiów! Niech mnie wydupczą po kolei!

Spojrzałem na Brutala, wstrząśnięty do szpiku kości. Potrafiłem zrozumieć, że Melinda przeklina - że guz spowodował, iż zaczęła używać brzydkich wyrazów - ale to było coś więcej niż brzydkie wyrazy. O wiele więcej.

- Co wy tutaj robicie? - zapytał nas ponownie Moores. W jego głosie nie słychać było już poprzedniej determinacji; osłabiły ją jazgotliwe krzyki jego żony. - Nie rozumiem. Czy to ucieczka, czy...

W tym momencie John Coffey odsunął Harry'ego - podniósł go po prostu do góry i postawił obok - i wszedł na ganek. Stał między mną i Brutalem, tak wielki, że zepchnął nas niemal na rosnący po obu stronach ostrokrzew. Oczy Mooresa powędrowały za nim w górę, tak jak podnoszą się oczy kogoś, kto chce zobaczyć koronę wysokiego drzewa. I nagle świat trafił z powrotem na swoje miejsce. Zniknął duch niezgody, który rozproszył moje myśli niczym potężne palce przesiewające piasek albo ziarna ryżu. Zrozumiałem chyba także, dlaczego Harry był zdolny do działania, podczas gdy ja i Brutal staliśmy zdezorientowani i bezradni przed naszym szefem. Harry'emu towarzyszył John - a cokolwiek jest ten drugi duch, który stanowi przeciwwagę dla ducha niezgody, tkwił on wtedy w Johnie Coffeyu. I kiedy John podszedł do dyrektora Mooresa, ten właśnie duch - coś białego, tak właśnie o nim myślę, jako o czymś białym - zaczął panować nad sytuacją. Ta druga moc nie odeszła, ale widziałem, jak cofa się niczym cień w promieniu jasnego światła.

- Chcę pomóc - powiedział John Coffey. Moores otworzył usta i patrzył na niego zafascynowanym wzrokiem. Coffey wyjął mu z ręki pistolet i podał go mnie, lecz nie sądzę, żeby Hal zdawał sobie w ogóle z tego sprawę. Opuściłem ostrożnie odbezpieczony kurek. Później, sprawdzając cylinder, odkryłem, że nie było w nim wcale naboju. Czasami zastanawiam się, czy Hal o tym wiedział. - Przyjechałem jej pomóc - mruzczał John. - Tylko pomóc. Nie chcę niczego więcej.

- Hal! - zawołała z sypialni Melinda. Jej głos wydawał się teraz nieco silniejszy, ale także bardziej przestraszony, jakby ten duch, który wprowadził nas w takie zmieszanie, wycofał się do niej. - Kimkolwiek są, każ im się wynosić! Nie chcemy żadnych kramarzy w środku nocy. Nie potrzebny nam elektroluks ani hoover! Ani francuskie majtki z dziurką w kroczu! Wyrzuć ich! Powiedz, żeby spierdalali w podskokach...

Coś stłukło się - to mogła być szklanka - a potem usłyszeliśmy jej płacz.

- Chcę tylko pomóc - powtórzył John Coffey tak cicho, że jego głos graniczył z szeptem. Nie zwracał uwagi ani na jej szloch, ani na wulgarne słowa. - Tylko pomóc, szefie, nic więcej.

- Nie możesz - stwierdził Moores. - Nikt nie może jej pomóc.

Słyszałem już gdzieś ten ton i po chwili uświadomiłem sobie, że sam nim przemawiałem tamtej nocy, gdy wszedłem do celi Coffeya. Mówiłem wtedy jak zahipnotyzowany. Zajmij się swoimi sprawami, a ja zajmę się swoimi, powiedziałem do Delacroix... tyle że w gruncie rzeczy to John Coffey zajął się moimi sprawami, podobnie jak teraz miał zająć się sprawami Mooresa.

- Chyba możemy - powiedział Brutal. - I nie ryzykowalibyśmy utraty pracy, a może nawet tego, że wylądujemy za kratkami, tylko po to, żeby odjechać teraz z kwitkiem.

Nie wspomniał oczywiście, że zaledwie przed trzema minutami obaj byliśmy gotowi to zrobić.

John Coffey odebrał nam teraz wszelką inicjatywę. Wszedł do środka, mijając w progu Mooresa, który wyciągnął bez przekonania rękę, żeby go zatrzymać. Ześlizgnęła się z biodra Coffeya i jestem pewien, że nasz wielkolud nawet jej nie poczuł. Szurając nogami, ruszył korytarzem w stronę salonu, sąsiadującej z nim kuchni i znajdującej się jeszcze dalej sypialni, z której dobiegał znowu piskliwy, trudny do rozpoznania głos.

- Trzymaj się ode mnie z daleka! Kimkolwiek jesteś, nie waż się tu wchodzić! Nie jestem ubrana, mam cycki na wierzchu i wietrzę sobie cipkę!

John maszerował dalej, wcale się tym nie przejmując, ze zwisającymi po bokach rękoma, błyszczącą czaszką i pochyloną głową, żeby nie zahaczyć o żaden z żyrandoli. Po chwili ruszyliśmy za nim: ja pierwszy, Brutal i Hal obok siebie i zamykający pochód Harry. Rozumiałem dobrze tylko jedno; nie mieliśmy teraz na nic wpływu. Wszystko było w rękach Johna.



Kobieta wsparta o wezłowie łóżka i wlepiająca bezmyślnie wzrok w olbrzyma, który pojawił się w polu jej widzenia, w ogóle nie przypominała Melly Moores, jaką znałem od dwudziestu lat; nie była nawet podobna do Melly Moores, którą ja i Janice odwiedziliśmy na krótko przed egzekucją Delacroix. Wyglądała jak przebrane za wiedźmę chore dziecko. Obwisłą siną twarz żłobiły setki zmarszczek. Skóra wokół prawego oka była spuchnięta, tak jakby miała ochotę mrugnąć. Usta po tej samej stronie opadły jej w dół; nad dolną wargą sterczał pożółkły stary ząb. Włosy tworzyły wokół jej czaszki kruchą siwą aureolę. W pokoju unosił się zapach rzeczy, które nasze ciało wydala tak dyskretnie, gdy wszystko toczy się jak trzeba. Nocnik przy jej łóżku wypełniała jakaś paskudna żółtawa maź. Przybyliśmy za późno, pomyślałem przerażony. Kilka dni temu można ją było jeszcze poznać - chorowała, ale była sobą. Ta rzecz w jej głowie musiała jednak poczynić od tego czasu kolosalne postępy. Nie sądziłem, żeby nawet John Coffey mógł teraz pomóc Melly Moores.

Kiedy wszedł do sypialni, na jej twarzy malowały się strach i zgroza - jakby ta rzecz rozpoznała doktora, który potrafi się być może z nią rozprawić i wypędzić... posypać solą, tak jak posypuje się pijawkę, żeby przestała ssać krew. Nie chcę, żebyście mnie źle zrozumieli; nie twierdzę, że Melly Moores była opętana, i zdaję sobie sprawę, że biorąc pod uwagę stan, w jakim się wówczas znajdowałem, nie mogę do końca polegać na świadectwie własnych zmysłów. Z drugiej strony nigdy nie wykluczyłem możliwości opętania przez diabła. Coś było w jej oczach, powiadam wam, coś, co przypominało strach. W tej kwestii możecie mi zaufać. Oglądałem strach zbyt często, żeby się mylić.

A jednak to coś ulotniło się bardzo szybko i jego miejsce zajęło żywe irracjonalne zainteresowanie. Jej usta wykrzywiły się w grymasie, który można było uznać za uśmiech.

- O, jaki duży! - zawołała. Miała głos małej dziewczynki, która nie doszła jeszcze do zdrowia po ciężkiej infekcji gardła. Wysunęła spod kołdry ręce, tak samo gąbczasto-białe jak twarz, i klasnęła w dłonie. - Ściągaj portki! Słyszałam wiele o murzyńskich kutasach, ale nigdy żadnego nie widziałam.

Stojący za mną Moores wydał cichy, pełen rozpaczny jęk.

John Coffey nie zwracał na to w ogóle uwagi. Przez chwilę stał nieruchomo, jakby chciał przyjrzeć się jej z pewnej odległości, a potem podszedł do łóżka, które oświetlała pojedyncza lampa. Jasny krąg światła padał na białą kołdrę podciągniętą aż po koronkowy

kołnierzyk nocnej koszuli Melindy. W cieniu za łóżkiem zobaczyłem szezlong, który stał kiedyś w salonie. Narzuta, którą Melly zrobiła własnoręcznie na drutach w szczęśliwszym okresie, leżała w połowie na szezlongu i w połowie na podłodze. To tutaj właśnie spał - a przynajmniej drzemał - Hal, gdy przyjechaliśmy.

Kiedy John podszedł bliżej, wyraz jej twarzy zmienił się po raz trzeci. Nagle zobaczyłem Melly, której dobroć przez wszystkie te lata znaczyła dla mnie bardzo dużo i jeszcze więcej dla Janice, gdy nasze dzieci wyfrunęły z gniazda, a ona poczuła się samotna, bezużyteczna i przygnębiona. Melly była w dalszym ciągu zainteresowana, teraz jednak jej ciekawość wydawała się zdrowa i w pełni świadoma.

- Kim jesteś? - zapytała czystym spokojnym głosem. - I dlaczego masz tyle blizn na rękach i ramionach? Kto cię tak skrzywdził?

- Nie bardzo pamiętam, skąd się wszystkie wzięły, proszę pani - odparł skromnie John Coffey, siadając obok niej na łóżku.

Melinda uśmiechnęła się najlepiej jak mogła - wykrzywiony szyderczo kącik ust zdrzął, ale się nie podniósł - a potem dotknęła palcem wygiętej niczym szabla białej blizny na jego lewej dłoni.

- Jesteś w takim razie szczęściarzem! Rozumiesz dlaczego?

- Chyba dlatego, że jeśli człowiek nie pamięta, kto go skrzywdził, nie zawraca sobie tym głowy w nocy - odparł John Coffey z tym swoim południowym akcentem.

Melinda wybuchnęła srebrzystym śmiechem, który wypełnił cuchnącą sypialnię. Hal stał teraz koło mnie, szybko oddychając, ale nie próbował przeszkadzać. Kiedy Melly się roześmiała, wstrzymał na chwilę oddech i złapał mnie swoją wielką dłonią za ramię. Uścisk był tak mocny, że został mi po nim siniak - odkryłem go nazajutrz - lecz w tamtym momencie prawie go nie poczułem.

- Jak się nazywasz? - zapytała.

- John Coffey, proszę pani.

- Tak jak napój.

- Tak, proszę pani, tylko inaczej się pisze.

Siedziała wsparta o poduszki, uważnie się w niego wpatrując, a on odwzajemniał jej spojrzenie. Światło lampy wydobywało ich z mroku, tak jakby byli aktorami na scenie - potężny czarny mężczyzna w więziennych drelichach i drobna umierająca biała kobieta. W jej utkwionych w Johnie oczach płonęła fascynacja.

- Proszę pani?

- Tak, Johnie Coffeyu? - szepnęła. Ich słowa ledwie do nas docierały. Czuję, jak

tężej mi mięśnie nóg, rąk i pleców. Zdawałem sobie mglście sprawę, że dyrektor zaciska palce na moim ramieniu, i widziałem kątem oka, że Harry i Brutal trzymają się za ręce niczym dzieci, które zabłądziły w nocy. Coś miało się zdarzyć. Coś wielkiego. Każdy z nas czuł to na swój sposób.

John Coffey przysunął się do niej bliżej. Zaskrzypiały sprężyny łóżka, zaszeleściła pościel i do sypialni zajrzał przez okno uśmiechnięty zimno księżyc. Podbiegłe krwią oczy Coffeya badały jej wycieńczoną twarz.

- Widzę to - oznajmił. Nie mówił do niej (tak mi się w każdym razie wydaje), lecz do siebie. - Widzę to i mogę pomóc. Niech się pani nie rusza... Niech się pani nie rusza...

Pochylał się coraz niżej. Jego wielka twarz zatrzymała się na chwilę nie dalej niż dwa cale od jej twarzy. Wyciągnął do tyłu rozczapierzone palce, jakby każąc nam czekać... po prostu czekać, a potem pochylił się jeszcze bardziej. Jego szerokie wargi dotknęły ust Melindy i otworzyły je. Przez moment widziałem jej jedno oko, które spoglądało w ścianę i w którym malowało się chyba zaskoczenie. A potem zasłoniła je jego gładka głowa.

Z cichym świstem wciągnął w płuca powietrze, które zalegało w jej płucach. Trwało to sekundę albo dwie, a później podłoga uciekła nam spod nóg i zatrzęsł się cały dom. Wcale sobie tego nie wyobraziłem; wszyscy to poczuli i wszyscy o tym później mówili. Rozległ się przeciągły grzmot. W salonie runęło na podłogę coś bardzo ciężkiego - już po wszystkim okazało się, że był to duży ścienny zegar. Hal oddawał go potem parę razy do naprawy, ale po żadnej z nich nie chodził dłużej niż piętnaście minut.

Gdzieś bliżej rozległ się huk i po sekundzie pękła szyba, przez którą zaglądał do środka księżyc. Wiszący na ścianie obraz - kliper żeglujący przez jedno z siedmiu mórz - spadł z gwoździa i rozbił się o podłogę; szkło, które go osłaniało, roztrzaskało się na kawałki.

Poczułem ciepło i zobaczyłem, że z białej kołdry okrywającej Melindę unosi się dym. Na dole, w miejscu, pod którym dygotała jej prawa stopa, poszwa całkiem szerniała. Mając wrażenie, że śnię, strząsnąłem z ramienia dłoń Moorea i podszedłem do nocnego stolika. Obok trzech albo czterech słoiczków z lekami, które przewróciły się podczas wstrząsu, stała tam szklanka wody. Wziąłem ją do ręki i polałem dymiące miejsce. Rozległ się głośny syk.

John Coffey ciągle całował ją w ten głęboki intymny sposób, wdychając powietrze, które znajdowało się w jej płucach. Jedną rękę wciąż wyciągał do tyłu, drugą opierał o łóżko. Palce miał szeroko rozłożone; jego dłoń przypominała mi brązową rozgwiazdę.

Melinda wygięła nagle plecy w łuk. Jej ręka zatrzepotała w powietrzu, palce zacisnęły się i rozluźniły w serii skurczów. Stopy bębniły o łóżko. A potem coś krzyknęło. I znowu nie tylko ja jeden to usłyszałem. Według Brutala brzmiało to jak wycie kojota lub wilka, który

wpadł w potrzask. Mnie przypominało bardziej krzyk orła, którego słycać czasami w spokojne ranki, gdy pikuje ze sztywno wyprostowanymi skrzydłami przez strzępy mgły.

Na zewnątrz zerwał się tak mocny wiatr, że dom zatrzęsł się po raz drugi - i było to dziwne, ponieważ do tej pory prawie w ogóle nie wiało.

John Coffey odsunął się od Melindy i zobaczyłem, że jej twarz się wygładziła. Usta nie opadały już z prawej strony. Oczy odzyskały normalny kształt i wyglądała dziesięć lat młodziej. Coffey przyglądał jej się przez krótki moment, a potem zaniósł się kaszlem. Obracając głowę, żeby nie kasłać jej w twarz, stracił równowagę (co nie było dziwne; od samego początku siedział na skraju łóżka, opierając się o nie tylko jednym pośladkiem) i spadł na podłogę. To wystarczyło, żeby dom zatrzęsł się po raz trzeci. Coffey wylądował na kolanach i zwiesił głowę, kaszłąc niczym dogorywający gruźlik.

Teraz będą robaki, pomyślałem. Wykrztusi je z siebie i będzie ich tym razem całe mnóstwo.

A jednak tego nie zrobił. Zanosił się tylko coraz cięższym kaszlem, z trudem znajdując czas, żeby zaczerpnąć powietrza między atakami. Jego ciemnoczekoladowa skóra zaczęła szarzeć. Zaniepokojony Brutal przyklęknął obok niego na jedno kolano i objął ramieniem wstrząsane spazmami szerokie plecy. Jego gest jakby złamał zakłęcie. Moores podszedł do swojej żony i usiadł w miejscu, które jeszcze przed chwilą zajmował Coffey. Nie zdawał sobie prawie sprawy z obecności kaszlącego, krztuszącego się olbrzyma. Chociaż Coffey klęczał prawie u jego stóp, Moores nie odrywał wzroku od Melindy, która przyglądała mu się ze zdziwieniem. Patrząc na nią, człowiek miał wrażenie, że patrzy na brudne lustro, które ktoś przetaił ściereczką.

- John! - zawołał Brutal. - Wyrzygaj to! Wyrzygaj, tak jak to robiłeś wcześniej!

John jednak nie przestawał zanosić się kaszlem. Łzy stanęły mu w oczach z wysiłku. Z ust leciały drobne kropelki śliny, ale poza tym nic z siebie nie wypuł.

Brutal wałnął go kilka razy w plecy, a potem obejrzał się na mnie.

- On się dusi! - zawołał. - Dusi się tym, co z niej wyssał.

Ruszyłem do przodu, lecz John uciekł przede mną na kolanach w kąt pokoju, wciąż gwałtownie kaszłąc i łapiąc kurczowo powietrze. Zamknął oczy, oparł czoło o tapetę - przedstawiającą dzikie czerwone róże na tle ogrodowego muru - i wydał z siebie wyjątkowo paskudny charkotliwy odgłos, tak jakby chciał wyrzygać własne gardło. Teraz wylecą z niego te robaki, pamiętam, że tak właśnie pomyślałem, ale one w ogóle się nie pojawiły. Za to ataki kaszlu trochę osłabły.

- Nic mi nie jest, szefie - oznajmił, wciąż opierając czoło o dzikie róże. Nie otwierał

oczu. Nie miałem pojęcia, skąd wie, że za nim stoję, ale najwyraźniej to wiedział. - Słowo daję. Niech pan się zajmie panią.

Spojrzałem na niego z powątpiewaniem i odwróciłem się w stronę łóżka. Hal gładził Melly po brwiach i zobaczyłem coś niezwykłego: część jej włosów - nie wszystkie, ale część - przybrała z powrotem czarny kolor.

- Co się stało? - zapytała go. Na moich oczach zarumieniły się jej policzki. Wyglądało to, jakby skradła kilka dzikich róż z tapety. - Skąd się tutaj wzięłam? Wybieraliśmy się przecież do szpitala w Indianoli, prawda? Doktor miał mi zrobić zdjęcia rentgenowskie mózgu.

- Cicho - szepnął Hal. - Cicho, kochanie, to wszystko nie ma teraz znaczenia.

- Ale ja nie rozumiem! - prawie krzyknęła. - Zatrzymaliśmy się obok przydrożnego straganu... kupiłeś mi bukietik za dziesięć centów... a potem... a potem znalazłam się tutaj. Jest ciemno! Jadłeś kolację, Hal? Dlaczego jestem w sypialni dla gości? Czy zrobili mi to zdjęcie? - Jej oczy przesunęły się po Harrym, prawie go nie widząc... była chyba w szoku... i zatrzymały na mnie. - Paul? Czy zrobili mi to zdjęcie?

- Tak - odparłem. - Nic na nim nie było.

- Nie znaleźli guza?

- Nie - potwierdziłem. - Powiedzieli, że bóle głowy powinny szybko ustąpić.

Siedzący obok niej Hal wybuchnął płaczem.

Melinda pochyliła się do przodu i pocałowała go w skroń. A potem jej oczy powędrowały w róg pokoju.

- Kim jest ten mężczyzna? Dlaczego tam klęczy?

Odwróciłem się i zobaczyłem, że John Coffey próbuje podnieść się z kolan. Brutal pomógł mu i John w końcu się wyprostował. Wciąż jednak stał w kącie, jak dziecko, które było niegrzeczne. Kaszel nie ustawał, ale jego ataki były coraz słabsze.

- John - powiedziałem. - Odwróć się i poznaj panią.

Powoli się odwrócił. Miał popielatą twarz i wydawał się dziesięć lat starszy - jak silny niegdyś mężczyzna, który przegrywa w końcu długą walkę z chorobą. Wlepił oczy w podłogę i wyglądał, jakby brakowało mu czapki, którą mógłby miętosić w palcach.

- Kim jesteś? - zapytała go ponownie. - Jak się nazywasz?

- John Coffey, proszę pani - odpowiedział.

- Jak napój, tylko inaczej się pisze - dodała prawie natychmiast.

Hal drgnął za nią. Poczwała to i poklepała go uspokajającym gestem po dłoni, nie odrywając oczu od czarnego mężczyzny.

- Śniłam o tobie - wyszeptała zdumionym głosem. - Śniłam, że błędzisz gdzieś w mroku, podobnie jak ja. Odnaleźliśmy się.

John Coffey milczał.

- Odnaleźliśmy się w mroku - powtórzyła. - Wstań, Hal, nie dajesz mi się ruszyć.

Hal wstał i patrzył z niedowierzaniem, jak Melinda odsuwa kołdrę.

- Melly... przecież nie możesz...

- Nie bądź głuptasem - powiedziała, wystawiając nogi z łóżka. - Oczywiście, że mogę.

- Wygładziła nocną koszulę i wstała.

- Mój Boże - szepnął Hal. - Przenajświętszy Boże w niebiosach, patrzcie na nią.

Melinda podeszła do Johna Coffeya. Brutal odsunął się na bok z zafascynowanym wyrazem twarzy. Przy pierwszym kroku lekko powłóczyła nogą - faworyzowała po prostu prawą kosztem lewej - lecz potem i to minęło. Przypomniałem sobie, jak Brutal wręczył Delacroix kolorową szpulkę. "Rzuć ją, chcę zobaczyć, jak biegnie", powiedział. Pan Dzwoneczek utykał wtedy, ale nazajutrz, w noc, kiedy Del przeszedł Milę, nic mu nie dolegało.

Melly wzięła Johna w ramiona i uściskała go. Coffey stał przez chwilę bez ruchu, pozwalając jej na to, a potem podniósł rękę i pogładził ją po głowie. Zrobił to z nieskończoną delikatnością. Jego twarz była ciągle szara. Sprawiał wrażenie ciężko chorego.

Po chwili Melly odsunęła się, ale nie odrywała od niego wzroku.

- Dziękuję - powiedziała.

- Nie ma za co, proszę pani.

Melly podeszła do Hala, który objął ją ramieniem.

- Paul...

To odezwał się Harry. Podniósł prawą dłoń i stukał palcem w tarczę zegarka. Zbliżała się trzecia. O wpół do piątej robiło się jasno. Jeśli chcieliśmy odwiedzić Coffeya do Cold Mountain jeszcze przed brzaskiem, powinniśmy zaraz ruszać. A ja chciałem go odwiedzić. Częściowo oczywiście dlatego, że im dłużej to trwało, tym mniejsze mieliśmy szansę na zrobienie tego niepostrzeżenie. Ale chciałem również, żeby czym prędzej znalazł się tam, gdzie mógłbym do niego bez problemów wezwać lekarza, gdyby okazało się to konieczne. Patrząc na niego, obawiałem się, że będzie to konieczne.

Mooresowie siedzieli na skraju łóżka, obejmując się ramionami. Chciałem poprosić Hala, żeby wyszedł ze mną do salonu na słówko, potem jednak zdałem sobie sprawę, że nie ruszy się teraz z miejsca, choćbym zaklinał go na wszystkie świętości. Być może zdołałby oderwać od niej na kilka sekund oczy, ale dopiero po wschodzie słońca, nie teraz.

- Musimy już jechać, Hal - powiedziałem.

Nie patrząc na mnie, pokiwał głową. Badał wzrokiem rumieńce na jej policzkach, naturalny owal jej warg, czarne nitki, które pojawiły się w jej włosach.

- W ogóle nas tu nie było, Hal.

- Co...?

- W ogóle nas tu nie było - powtórzyłem. - Porozmawiamy później, lecz teraz nie musisz wiedzieć nic więcej. W ogóle nas tu nie było.

- Dobrze, w porządku... - Spojrzał na mnie, co nie przyszło mu łatwo. - Wyprowadziliście go z bloku. Dacie radę wprowadzić go z powrotem?

- Chyba tak. Ale musimy już jechać.

- Skąd wiedziałeś, że on potrafi to zrobić? - zapytał, a potem potrząsnął głową, jakby zdał sobie sprawę, że nie pora teraz na to. - Paul... dziękuję ci.

- Nie dziękuj mnie - odparłem. - Podziękuj Johnowi.

Hal spojrział na Johna Coffeya, a potem wyciągnął rękę - podobnie jak zrobiłem to ja, kiedy Harry i Percy wprowadzili go na blok.

- Dziękuję. Bardzo ci dziękuję - powiedział.

John przyglądał się przez chwilę jego dłoni. Brutal szturchnął go niezbyt subtelnie w bok. John wzdrygnął się, ujął dłoń Hala i potrząsnął nią. W górę, w dół i z powrotem do pozycji środkowej.

- Proszę bardzo - odparł chrapliwym głosem, podobnym do głosu Melly, kiedy klasnęła w dłonie i kazała mu ściągać portki. - Proszę bardzo - powiedział człowiekowi, który, jeśli wszystko potoczy się normalnym trybem, miał wziąć do tej ręki pióro i podpisać nim rozkaz egzekucji Johna Coffeya.

Harry stuknął bardziej natarczywie w tarczę zegarka.

- Idziemy, Brute? - zapytałem.

- Witaj, Brutus - powiedziała pogodnym głosem Melinda, jakby dopiero teraz go zauważyła. - Miło cię widzieć. Może napijecie się panowie herbaty? A ty, Hal? Mogę wam zrobić. - Ponownie wstała z łóżka. - Byłam chora, ale teraz czuję się dobrze. Lepiej niż od wielu lat.

- Dziękujemy bardzo, pani Moores, lecz musimy iść - stwierdził Brutal. - John od dawna powinien już leżeć w łóżku. - Uśmiechnął się, żeby dać do zrozumienia, że to żart, ale spojrzenie, które rzucił Coffeyowi, było tak samo pełne niepokoju jak moje.

- Cóż... skoro nie macie czasu...

- Nie mamy, proszę pani. Chodźmy, Johnie Coffeyu.

Brutal pociągnął za rękaw Johna, który ruszył z miejsca.

- Chwileczkę! - Melinda strząsnęła z siebie dłoń Hala i podbiegła lekkim dziewczęcym krokiem do Coffeya. Ponownie go uściśnęła, a potem ściągnęła z szyi delikatny łańcuszek ze srebrnym medalikiem i podała mu go na dłoni. John wpatrywał się w nią, nie rozumiejąc, o co chodzi.

- To święty Krzysztof - wyjaśniła. - Chcę, żeby pan go wziął i nosił, panie Coffey. Będzie pan z nim bezpieczny. Proszę go nosić. Dla mnie.

John spojrzał na mnie zakłopotany, a ja spojrzałem na Hala, który najpierw rozłożył ręce, a potem pokiwał głową.

- Weź to, John - powiedziałem. - To prezent.

John zawiesił łańcuszek na swojej potężnej szyi i medalik ze świętym Krzysztofem przylgnął do jego koszuli. Przestał teraz zupełnie kaszleć, ale twarz jeszcze bardziej mu poszarzała i wydawał się bardzo chory.

- Dziękuję pani - szepnął.

- Nie - odparła. - To ja tobie dziękuję. Dziękuję ci, Johnie Coffeyu.



W drodze powrotnej jechałem w szoferce razem z Harrym i bardzo to sobie chwaliłem. Ogrzewanie nie działało, ale siedzieliśmy przynajmniej w zamkniętej kabinie. Przejechaliśmy może dziesięć mil, kiedy Harry zauważył małą zatoczkę i zjechał na bok.

- Co się stało? - zapytałem. - Poszły panewki? - Z odgłosów, jakie słyszałem, mogły to być równie dobrze panewki jak cokolwiek innego; każda część silnika i skrzyni biegów farmalla rzęziła, jakby miała zaraz odmówić posłuszeństwa albo po prostu rozlecieć się na kawałki.

- Nie - odparł przeproszającym tonem Harry. - Muszę się po prostu odlać. Przelewa mi się uszami.

Okazało się, że wszyscy oprócz Johna mieliśmy pełne pęcherze. Kiedy Brutal zapytał go, czy chce wysiąść i pomóc nam podlać krzaki, potrząsnął głową, nie podnosząc nawet wzroku. Oparty plecami o tylną ścianę szoferki, miał na ramionach wojskowy koc, który wyglądał jak poncho. Nie widziałem dokładnie jego twarzy, ale słyszałem oddech - suchy i świszczący niczym wiejący przez słomę wiatr. Wcale mi się nie podobał.

Podszedłem do kępy wierzb, rozpiąłem rozporek i zacząłem lać. Od infekcji dróg moczowych nie upłynęło jeszcze dość czasu, by moje ciało przestało pamiętać, i wciąż dziękowałem Bogu, że mogę sikać, nie gryząc przy tym warg z bólu. Stałem tam, opróżniając pęcherz i gapiąc się w księżyc, i dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że Brutal stoi obok mnie i robi to samo.

- On nigdy nie siądzie na Starej Iskrówie - mruknął półgłosem.

Spojrzałem na niego zaskoczony i trochę przestraszony chłodnym i pewnym tonem, jakim to powiedział.

- Co masz na myśli?

- Myślę, że specjalnie połknął to świństwo zamiast wypluć je, tak jak to zrobił poprzednio. To może trwać nawet tydzień... jest wielki i cholernie silny... ale moim zdaniem krócej. Którejś nocy podczas obchodu jeden z nas zobaczy po prostu jego martwe ciało na pryczy.

Wydawało mi się, że już skończyłem, lecz nagle przeszedł mnie dreszcz i wypuściłem z siebie jeszcze kilka kropel moczu. Zapinając rozporek pomyślałem, że Brutal mówi całkiem do rzeczy. I miałem nadzieję, że jego przepowiednia się sprawdzi. Jeśli moje rozumowanie

było słuszne, John Coffey w ogóle nie zasługiwał na to, żeby umrzeć, ale skoro czekała go śmierć, nie chciałem, żeby zadała ją moja ręka. Nie wiedziałem, czy zdołałbym to zrobić, gdyby do tego doszło.

- Chodźmy - odezwał się gdzieś w mroku Harry. - Robi się późno. Chcę to już mieć za sobą.

Wracając do ciężarówki, uświadomiłem sobie, że zostawiliśmy Johna zupełnie samego - głupota na miarę Percy'ego Wetmore'a. Przypuszczałem, że uciekł; że wypluł z siebie robaki, kiedy tylko zobaczył, iż nikt go nie pilnuje, i zaszył się gdzieś na moczarach niczym Huck i Jim. Znajdziemy tylko koc, który miał na ramionach.

Ale on nie uciekł. Wciąż siedział z tyłu ciężarówki, dotykając plecami szoferki i opierając łokcie na kolanach. Słyszając, że się zbliżamy, podniósł wzrok i próbował się uśmiechnąć. Uśmiech zawisł na chwilę na jego udręczonej twarzy, a potem zgasł.

- Jak się czujesz, Duży Johnie? - zapytał Brutal, wdrapując się z powrotem na ciężarówkę i podnosząc swój koc.

- Świetnie, szefie - odparł apatycznym tonem John. - Czuję się świetnie.

Brutal poklepał go po kolanie.

- Zaraz będziemy z powrotem. I wiesz, co zrobię, kiedy już wrócimy? Każę ci podać wielką filiżankę gorącej kawy. Ze śmietanką i cukrem.

Świetny pomysł, pomyślałem, otwierając drzwiczki kabiny i siadając do środka. Pod warunkiem że sami nie wylądujemy wcześniej w celi.

Ta myśl towarzyszyła mi jednak od momentu, gdy zamknęliśmy Percy'ego w izolatce, i właściwie nie przerażała tak bardzo, bym nie mógł zasnąć. Zapadłem w drzemkę i przyśniła mi się Kalwaria. Na zachodzie grzmiało i w powietrzu unosił się zapach jałowca. Brutal, Harry, Dean i ja staliśmy w hełmach i długich szatach, zupełnie jak na filmie Cecila B. DeMille'a. Byliśmy chyba centurionami. Na wzgórzu stały trzy krzyże: Percy Wetmore i Eduard Delacroix wisieli po obu stronach Johna Coffeya. Spojrzałem na własne ręce i zobaczyłem, że trzymam w nich zakrwawiony młot,

- Musimy zdjąć go z krzyża, Paul! - zawołał Brutal. - Musimy go zdjąć!

Nie mogliśmy jednak tego zrobić, bo ktoś zabrał drabinę. Chciałem powiedzieć to Brutalowi, ale obudził mnie wyjątkowo głęboki wybój. Zbliżaliśmy się do miejsca, gdzie wcześniej tego dnia (jego początek zdawał się teraz niknąć w pomroce dziejów) Harry ukrył swój pojazd.

Wysiedliśmy i obeszliliśmy obaj ciężarówkę. Brutal zeskoczył bez żadnych problemów, ale pod Johnem Coffeyem ugięły się nogi i o mało nie upadł. Wszyscy trzej musieliśmy go

podtrzymać, a kiedy tylko odzyskał równowagę, złapał go kolejny atak kaszlu, najgorszy z dotychczasowych. Zgiął się wpół i tłumił kaszel, przyciskając kurczowo dłonie do ust.

Kiedy atak minął, przykryliśmy ponownie farmalla sosnowymi gałęziami i ruszyliśmy tą samą drogą, którą przyszlismy. Z całej surrealistycznej wyprawy najgorzej wspominam ostatnie dwieście jardów, gdy skradaliśmy się z powrotem na południe poboczem szosy. Widziałem - albo wydawało mi się, że widzę - jak niebo rozjaśnia się na wschodzie, i byłem pewien, że za chwilę pojawi się i zobaczy nas jakiś farmer jadący zebrać z pola swoje dynie lub wykopać ostatnie słodkie kartofle. A jeśli nawet się to nie zdarzy, ktoś (w mojej wyobraźni ten ktoś miał głos Curtisa Andersena) zawoła: "Stój! Ani kroku dalej" w momencie, gdy wyciągnę aladyna, żeby otworzyć furtkę w ogrodzeniu. A potem z lasu wyjdzie, trzymając nas na muszce, dwudziestu strażników i nasza mała przygoda dobiegnie końca.

Kiedy rzeczywiście dotarliśmy do siatki, serce biło mi tak mocno, że przy każdym uderzeniu widziałem przed oczyma eksplodujące białe kropki. Miałem zimne, zdrętwiałe, jakby nie swoje ręce i bardzo długo nie mogłem wsadzić klucza w zamek.

- Chryste Panie, reflektory - jęknął Harry.

Podniosłem wzrok i zobaczyłem smugę światła na szosie. Klucze o mało nie wypadły mi z ręki; udało mi się je złapać w ostatniej chwili.

- Pozwól - powiedział Brutal. - Ja to zrobię.

- Nie, nie trzeba - odparłem. Klucz wszedł w końcu w dziurkę i obróciłem go w zamku. Chwilę później byliśmy w środku. Przykucnęliśmy za włazem i patrzyliśmy, jak więzienie mija ciężarówka z piekarni. Tuż obok słyszałem udręczony oddech Johna Coffeya. Przypominał warkot pracującego na sucho silnika. Kiedy wychodziliśmy, podniósł klapę bez większych trudności, ale teraz nawet nie prosił go o pomoc; nie wchodziło to w ogóle w rachubę. Zrobiłem to razem z Brutalem, a Harry sprowadził Johna po stopniach. Olbrzym potykał się, lecz udało mu się jakoś dotrzeć na dół. Brutal i ja weszliśmy do środka, opuściliśmy klapę i zamknęliśmy ją na klucz.

- Chryste, będziemy chyba musieli... - zaczął Brutal, ale uciszyłem go kuksańcem w zębra.

- Nic nie mów - przerwałem mu. - I nawet o tym nie myśl, dopóki on nie znajdzie się z powrotem w celi.

- I nie zapominaj, że mamy jeszcze na głowie Percy'ego - dodał Harry. Nasze głosy odbijały się stłumionym echem od ceglanych ścian tunelu. - Ta noc skończy się dopiero, kiedy z nim się uporamy.

Jak się okazało, ta noc miała trwać jeszcze bardzo długo.

## Część szósta

# COFFEY NA MILI

### I

Siedząc na werandzie Georgia Pines z wiecznym piórem mojego ojca w dłoni i wspominając tę noc, gdy Harry, Brutal i ja zawieźliśmy Johna Coffeya do Melindy Moores, by spróbował uratować jej życie, straciłem kompletnie poczucie czasu. Pisałem o tym, jak uśpiłem Williama Whartona, który uważał się za drugie wcielenie Billy'ego Kida; pisałem, jak włożyliśmy Percy'emu kaftan bezpieczeństwa i zamknęliśmy go w izolatce na końcu korytarza; pisałem o naszej dziwnej nocnej podróży - przerażającej i jednocześnie radosnej - i o cudzie, który dokonał się, gdy dotarliśmy do celu. Widzieliśmy na własne oczy, jak John Coffey uzdrowił kobietę, która, można rzec, nie tyle stała nad krawędzią grobu, ile już do niego zstąpiła.

Pisałem, tylko mgliście zdając sobie sprawę, że wokół mnie toczy się normalne życie Georgia Pines - w każdym razie to, co uchodzi tutaj za normalne życie. Staruszkowie zeszli na kolację, a potem podreptali do Centrum Rekreacji (owszem, wolno wam się roześmiać), aby przyjąć swoją wieczorną dawkę seriali. Pamiętam, że Elaine przyniosła mi kanapkę, a ja podziękowałem i posiliłem się, nie jestem jednak w stanie powiedzieć, o której godzinie ją przyniosła i co było w środku. Duchem przebywałem w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim, gdy prowiant przywoził nam na ogół stary Tu-Tut na swoim wózku oklejonym biblijnymi cytatami. Kanapka z wieprzowiną kosztowała wówczas pięć centów, z wołowiną dychę.

Pamiętam, jak powoli cichły hałasy, kiedy mieszkający tutaj ramole szykowali się do płytkiego i niespokojnego snu; słyszałem Mickeya - może nie najlepszego, lecz z całą pewnością najsympatyczniejszego pracującego tu pielęgniarza - który śpiewał swoim niezłym tenorem *Red River Valley*, roznosząc wieczorne lekarstwa.

*- Gdy odejdziesz w tę dolinę... zgasną jasne oczy twe... i zgaśnie uśmiech...*

Słowa piosenki przypomniały mi ponownie Melindę i to, co powiedziała Johnowi, gdy wydarzył się cud. "Śniłam o tobie. Śniłam, że błędzisz gdzieś w mroku, podobnie jak ja. Odnaleźliśmy się".

W Georgia Pines zapadła cisza, potem nadeszła i minęła północ, a ja wciąż pisałem.

Dotarłem do miejsca, kiedy Harry przypomniał nam, że choć przywieźliśmy Johna z powrotem, mamy jeszcze na głowie Percy'ego. "Ta noc skończy się dopiero, gdy z nim się uporamy", stwierdził.

I tak dobiegł kresu długi dzień, który spędziłem z ojcowskim piórem w ręku. Odłożyłem je na chwilę - zaledwie na kilka sekund, żeby rozprostować palce - a potem oparłem czoło o dłoń i zamknąłem oczy. Kiedy je otworzyłem i podniosłem głowę, przez okno zaglądało poranne słońce. Zerknąłem na zegarek i zobaczyłem, że jest kilka minut po ósmej. Co najmniej przez sześć godzin spałem jak stary pijak, z głową w ramionach. Wstałem z krzesła, krzywiąc się i starając odzyskać czucie w plecach. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie pójść do kuchni, nie poprosić o grzankę i nie wybrać się na poranny spacer, potem jednak spojrzałem na leżące na stole zapisane kartki i postanowiłem odłożyć spacer na później. Miałem do załatwienia pewną sprawę, zgoda, nie było to jednak takie pilne i nie chciałem tego ranka bawić się w chowanego z Bradem Dolanem.

Zamiast się przejść, skończę swoją historię. Czasami lepiej jest doprowadzić rzecz do końca bez względu na to, jak bardzo protestuje twój umysł i ciało. Czasami to jedyny sposób, by doprowadzić rzecz do końca. A tego ranka naprawdę za wszelką cenę starałem się pozbyć natrętnego ducha Johna Coffeya.

- W porządku. Jeszcze tylko jedna mila. Ale najpierw... - mruknąłem, po czym przespacerowałem się do toalety na końcu korytarza na pierwszym piętrze. Stojąc tam i oddając mocz, spojrzałem przypadkowo na zamocowany pod sufitem detektor dymu i pomyślałem o tym, jak Elaine zwabiła Dolana do zachodniego skrzydła, żebym mógł wybrać się na swój poranny spacer i załatwić to, co miałem do załatwienia. Skończyłem sikać z uśmiechem na ustach.

Czując się lepiej (i o wiele lżej w dolnych rejonach) wróciłem na werandę. Ktoś - bez wątpienia Elaine - postawił obok moich kartek dzbanek z herbatą. Wypiłem chciwie jedną i drugą filiżankę, a potem usiadłem, zdjąłem obsadkę z wiecznego pióra i zabrałem się po raz kolejny do pracy.

Zacząłem się już rozkręcać, gdy nagle padł na mnie czyjś cień. Podniosłem wzrok i serce zamarło mi w piersi. Przy oknie stał Dolan szczerząc zęby w uśmiechu.

- Nie spotkałem cię w drodze na poranny spacer, Paulie - oświadczył - więc pomyślałem, że przyjdę i sprawdzę, co tutaj robisz. Upewnij się, czy nie jesteś, no wiesz... chory.

- Cóż za troskliwość - odparłem. Mój głos, przynajmniej na razie, brzmiał dość pewnie, ale serce waliło jak oszalałe. Bałem się go i nie sądzę, żebym uświadomił to sobie

dopiero w tym momencie. Przypominał mi Percy'ego Wetmore'a, którego nigdy się nie bałem... ale kiedy znałem Percy'ego, byłem o wiele młodszy.

Brad uśmiechnął się jeszcze promiennie.

- Pensjonariusze powiedzieli mi, że spędziłeś tutaj całą noc, pisząc swój mały raporcik, Paulie. To bardzo niedobrze. Stare pierdoły takie jak ty powinny chodzić spać z kurami.

- Percy... - odezwałem się, lecz zobaczyłem zmarszczkę na jego czole i zdałem sobie sprawę z popełnionego błędu. Wziętem głęboki oddech i odezwałem się ponownie: - Czego ty ode mnie chcesz, Brad?

Przez krótką chwilę wydawał się zdziwiony, chyba nawet trochę zdezorientowany. Potem na jego twarzy znów pojawił się uśmiech.

- Może nie lubię po prostu twojej gęby, dziadku - oznajmił. - A swoją drogą, co ty tam skrobiesz? Testament?

Zrobił krok do przodu i wyciągnął szyję. Przykryłem dłonią kartkę, którą akurat zapisywałem, a drugą ręką zacząłem zgarniać pozostałe, zgniatając kilka w pośpiechu, żeby tylko ukryć je przed jego wzrokiem.

- To nic nie da, staruszk - powiedział, jakby mówił do małego dziecka. - Jeśli Brad chce coś zobaczyć, Brad to zobaczy, masz to jak w pierdolonym banku.

Jego palce, młode i ohydnie silne, zacisnęły się na moim nadgarstku. Jęknąłem z bólu, który wgryzał się w moją rękę.

- Puszczaj - syknąłem.

- Daj mi zobaczyć - odparł i już się nie uśmiechał. Ale na jego twarzy malowało się rozbawienie; tego rodzaju minę ogląda się wyłącznie u ludzi, którzy lubią być podli. - Daj mi rzucić okiem, Paulie. Chcę wiedzieć, co tam bazgrzesz. - Moja dłoń zaczęła odsuwać się od leżącej na stole kartki. Od podróży, którą odbyliśmy wspólnie z Johnem i która zakończyła się w tunelu pod szosą. - Chcę zobaczyć, czy to ma coś wspólnego z tym, dokąd...

- Zostaw tego człowieka w spokoju!

Głos za naszymi plecami zadźwięczał niczym strzał z bata w gorący suchy dzień... i po tym, jak Brad Dolan podskoczył w miejscu, ktoś mógłby pomyśleć, że oberwał nim po tyłku. Puścił moją dłoń, która opadła na kartkę, i obaj spojrzeliśmy w stronę drzwi.

W progu stała Elaine Connelly, wyglądająca świeżo i o wiele zdrowszej, niż wyglądała od wielu dni. Pod jej dzinsami rysowały się szczupłe biodra i długie nogi; włosy związała niebieską wstążką. W artretycznych dłoniach trzymała tacę, na której był sok, jajecznica, grzanka i następny dzbanek z herbatą. Jej oczy ciskały pioruny.

- Co pani sobie wyobraża? - zapytał Brad. - On nie może tutaj jeść.

- Może zjeść i zje - odparła tym samym oschłym, rozkazującym tonem. Nigdy jeszcze nie słyszałem go w jej ustach, ale w tej chwili bardzo mi odpowiadał. Poszukałem w jej oczach strachu, lecz w ogóle go nie znalazłem; był w nich wyłącznie gniew. - Pan natomiast, nim z poziomu karalucha wzniesie się do poziomu trochę większego szkodnika, powiedzmy, *Rattus americanus*, ma się stąd natychmiast wynosić.

Brad zrobił krok w jej stronę. Sprawiał wrażenie jednocześnie zbitego z tropu i wściekłego jak wszyscy diabli. Przeszło mi przez głowę, że to niebezpieczna mieszanka, ale Elaine nie mrugnęła nawet okiem.

- Wiem chyba, kto uruchomił wczoraj ten cholerny alarm - mruknął Brad. - To mogła być pewna stara dziwka z krogulczymi paznokciami. A teraz niech pani nas zostawi. Ja i Paulie nie skończyliśmy naszej pogawędki.

- To jest pan Edgecombe - zgromiła go - i jeśli jeszcze raz usłyszę, że nazywa go pan Paulie, mogę panu obiecać, panie Dolan, że nie zagrzeje pan długo miejsca w Georgia Pines.

- Za kogo się pani uważa? - prychnął. Spoglądając na nią z góry, próbował się roześmiać, ale nie bardzo mu to wychodziło.

- Za babkę człowieka, który pełni aktualnie funkcję przewodniczącego Izby Reprezentantów stanu Georgia. Człowieka, który kocha swoich krewnych, panie Dolan. Zwłaszcza swoich starszych krewnych.

Wymuszony uśmiech spelzł z jego warg, tak jak ze szkolnej tablicy znika starty mokrą gąbką napis. Zobaczyłem w jego oczach niepewność, podejrzenie, że Elaine blefuje, strach, że może jednak nie, następnie zaś wysiłek umysłowy, który doprowadził go do jedynej logicznej konkluzji: rzecz jest łatwa do sprawdzenia i ona o tym wie, *ergo*, musi mówić prawdę.

Nagle zacząłem się śmiać, zgrzytliwym, lecz szczerym śmiechem. Pamiętałem, jak często Percy Wetmore straszył nas niegdyś, w starych niedobrych czasach, swoimi koneksjami. Teraz, po raz pierwszy w moim długim życiu, ponowiona została podobna groźba... lecz tym razem działa się to w moim interesie.

Brad Dolan spiorunował mnie wzrokiem, a potem spojrzął z powrotem na Elaine.

- Wcale nie żartuję - powiedziała. - Z początku miałam zamiar przymknąć oczy na to, co pan robi; jestem stara i wydawało mi się to najłatwiejsze. Ale nie zamierzam przymykać oczu, kiedy straszy się i maltretuje moich przyjaciół. Teraz niech pan się stąd wynosi. Bez jednego słowa.

Jego wargi poruszyły się niczym rybi pysk: o, jak strasznie pragnął powiedzieć to jedno słowo (prawdopodobnie to, które rymuje się ze słowem "śliwka"). Nie powiedział go

jednak. Spojrzał na mnie po raz ostatni, po czym minął Elaine i wymaszerował na korytarz.

Wypuściłem z ust powietrze w długim chrapliwym westchnieniu, a Elaine postawiła tacę na stole i usiadła naprzeciwko mnie.

- Czy twój wnuk jest naprawdę przewodniczącym Izby Reprezentantów? - zapytałem.

- Naprawdę.

- W takim razie, co tutaj robisz?

- Funkcja przewodniczącego sprawia, że jest w stanie poradzić sobie z łachmytami pokroju Brada Dolana, ale nie czyni go bogaczem - odparła ze śmiechem. - Poza tym podoba mi się tutaj. Lubię tutejsze towarzystwo.

- Traktuję to jako komplement - powiedziałem i tak to potraktowałem.

- Dobrze się czujesz, Paul? Sprawiasz wrażenie straszliwie zmęczonego.

Sięgnęła ręką przez stół i zgarnęła mi włosy z brwi i z czoła. Miała poskręcane palce, ale ich dotyk był miły i wspinały. Zamknąłem na chwilę oczy. Kiedy je z powrotem otworzyłem, decyzja została podjęta.

- Nic mi nie jest - odpowiedziałem. - I prawie już skończyłem. Czy masz ochotę to przeczytać, Elaine? - dodałem, podając jej plik byle jak zgarniętych kartek. Nie były już prawdopodobnie ułożone po kolei (Dolan naprawdę porządnie mnie wystraszył), ale ponumerowałem je i uporządkowanie rękopisu nie powinno jej zabrać dużo czasu.

Posłała mi baczne spojrzenie, nie przyjmując na razie tego, co jej ofiarowywałem.

- To wszystko? - zapytała.

- Przeczytanie tego, co tu jest, zajmie ci całe popołudnie - odparłem. - Oczywiście, jeśli potrafisz odcyfrować moje bazgroły.

Dopiero teraz wzięła ode mnie kartki i rzuciła na nie okiem.

- Masz bardzo ładny charakter pisma, nawet kiedy jesteś zmęczony - stwierdziła. - Nie będę miała z tym kłopotów.

- Kiedy będziesz czytać, dopiszę zakończenie. Przeczytanie go nie zajmie ci dłużej niż pół godziny. A potem... jeśli nadal będziesz miała ochotę... chciałbym ci coś pokazać.

- Czy to ma coś wspólnego z miejscem, do którego wybierasz się rano i po południu?

Kiwnąłem głową.

Namyślała się przez chwilę, która wydawała się bardzo długa, a potem pokiwała głową i wstała, trzymając w ręku moje notatki.

- Wyjdę na dwór - stwierdziła. - Dziś rano mocno grzeje słońce.

- A smok został okiełznany - dodałem. - Tym razem przez dobrą księżniczkę.

Uśmiechnęła się, pochyliła i pocałowała mnie w to czułe miejsce nad brwią, w którym



zawsze dostawałem łachotek.

- Chyba tak - przyznała - ale wiem z doświadczenia, że niełatwo jest się pozbyć smoków podobnych do Brada Dolana. Powodzenia, Paul. Mam nadzieję, że zdołasz okiełznać dręczące cię demony.

- Ja też mam taką nadzieję - oświadczyłem i pomyślałem o Johnie Coffeyu. "Nie mogłem nic pomóc - powiedział. - Próbowałem, ale było za późno".

Zjadłem jajecznicę, którą przyniosła, wypilem sok i zostawiłem grzankę na później. A potem wziąłem do ręki pióro i zacząłem pisać, mając nadzieję, że czynię to po raz ostatni.

Jeszcze tylko jedna mila.

Zielona mila.

Kiedy wróciliśmy tej nocy na blok E, wózek nie był luksusem, lecz koniecznością. Poważnie wątpię, czy John zdołałby przejść przez cały tunel o własnych siłach; poruszanie się na przygiętych nogach wymaga o wiele więcej wysiłku niż normalny chód, a sklepienie było diabelnie niskie dla kogoś o wzroście Johna Coffeya. Bałem się myśleć, co będzie, jeśli nam zemdleje. Jak to wyjaśnić, próbując jednocześnie wytłumaczyć, dlaczego ubraliśmy Percy'ego w wariackie ubranko i zamknęliśmy w izolatce?

Ale mieliśmy dzięki Bogu wózek. John Coffey legł na nim niczym wyrzucony na brzeg wieloryb, a my potoczyliśmy go w stronę schodków prowadzących do szopy. Tam podniósł się z wózka, zachwiał na nogach i przez chwilę stał z opuszczoną głową, chrapliwie oddychając. Skórę miał tak poszarzałą, jakby wytarzano go w mące. Pomyślałem, że najpóźniej do południa powinien znaleźć się w ambulatorium... oczywiście jeśli do tego czasu nie wykorkuje.

Brutal posłał mi ponure, pełne desperacji spojrzenie. Odwzajemniłem mu się takim samym.

- Nie zdołamy go unieść, ale pomożemy mu iść - powiedziałem. - Podtrzymaj go z prawej strony, ja zrobię to z lewej.

- A co ja mam robić? - zapytał Harry.

- Idź za nami. Jeśli będzie leciał do tyłu, odepchnij go z powrotem.

- A jeśli nie dasz rady, po prostu ukucnij, żeby miękko wylądował - dodał Brutal.

- Jezu - pisnął cienko Harry. - Powinni cię zaangażować w Orpheum Circuit, Brute, taki jesteś śmieszny.

- Rzeczywiście mam poczucie humoru - przyznał Brutal.

W końcu udało nam się wprowadzić Johna po schodach. Najbardziej bałem się, że zemdleje, ale nie zrobił tego.

- Teraz omiń mnie z lewej strony i sprawdź, czy szopa jest pusta - poleciłem Harry'emu, łapiąc kurczowo powietrze.

- Co mam powiedzieć, jeśli ktoś tam będzie? - zapytał Harry, przeciskając się pod moim ramieniem. - Zawołać, że mam pilny telefon i wskoczyć do was z powrotem?

- Nie bądź takim mądralą - poradził mu Brutal.

Harry uchylił lekko drzwi i wsadził głowę do szopy. Wydawało mi się, że stoi tak

bardzo długo. W końcu cofnął się prawie z wesołą miną.

- Teren czysty. Nie słychać żadnych hałasów - oznajmił.

- Miejmy nadzieję, że tak już zostanie - stwierdził Brutal. - Chodź, Johnie Coffeyu, jesteśmy już prawie w domu.

John zdołał przejść o własnych siłach przez szopę, ale musieliśmy mu pomóc wejść po trzech schodkach, a potem prawie przepchaliśmy przez małe drzwi prowadzące do mojego gabinetu. Kiedy się z powrotem wyprostował, z trudem łapał powietrze i miał szkliste oczy. Poza tym - co zauważyłem z prawdziwym przerażeniem - opadł mu kącik ust z prawej strony i wyglądał teraz jak Melinda, kiedy weszliśmy do jej sypialni.

Siedzący przy biurku Dean usłyszał nas i przybiegł do gabinetu.

- Dzięki Bogu! Myślałem już, że nigdy nie wrócicie. Byłem pewien, że albo was złapali, albo przyskrzynił was dyrektor, albo... - Nagle przerwał i przyjrzał się uważniej Johnowi. - Do jasnej anielki, co się z nim dzieje? Wygląda, jakby umierał!

- On nie umiera... prawda, John? - powiedział Brutal, posyłając ostrzegawcze spojrzenie Deanowi.

- Oczywiście nie miałem na myśli, że naprawdę umiera... - Dean roześmiał się nerwowo. - Ale niech mnie kule biją, jeśli...

- Nieważne - przerwałem mu. - Pomóż nam zaprowadzić go z powrotem do celi.

Po raz kolejny przypominaliśmy wzgórze otaczające wielki szczyt, ale tym razem był to szczyt poddawany erozji przez miliony lat, skruszały i zniszczony. John Coffey ruszył powoli z miejsca, oddychając przez usta niczym człowiek, który pali za dużo papierosów - lecz jednak ruszył.

- Co z Percym? - zapytałem. - Bardzo rozrabiał?

- Trochę na początku - odparł Dean. - Próbował wrzeszczeć coś przez taśmę, którą okleiłeś mu usta. Chyba przeklinał.

-Jak to dobrze, że nie słyszały tego nasze wrażliwe uszy - mruknął Brutal.

- Potem kopał tylko co jakiś czas w drzwi.

Nasz powrót tak bardzo ucieszył Deana, że zaczynał bełkotać. Okulary zjechały mu na czubek lśniącego od potu nosa i wsunął je z powrotem. Minęliśmy celę Whartona. Bezwartościowy młody człowiek leżał płasko na plecach, chrapiąc jak smok. Tym razem miał zamknięte oczy.

Dean zobaczył, że przyglądam się Whartonowi, i wybuchnął śmiechem.

- Nie miałem z nim żadnych kłopotów! Nie poruszył się, odkąd padł na pryczę. Umarł dla świata. Co się tyczy tego kopania w drzwi, wcale się nim nie przejmowałem. Mówiąc

szczerze, byłem nawet zadowolony. Gdyby Percy w ogóle nie hałasował, zacząłbym się martwić, czy nie zadusił się pod tą taśmą, którą zakleiłeś mu gębę. Ale nie to wcale jest najpiękniejsze. Wiecie, co jest najpiękniejsze? Panował tu taki spokój jak w środę popielcową w Nowym Orleanie. Nikt nie zajrzał do nas przez całą noc! - oznajmił triumfalnym, rozradowanym głosem. - Uszło nam to na sucho, chłopaki! Udało się!

To przypomniało mu, dlaczego w ogóle odegraliśmy tę komedię, i zapytał o Melinę.

- Czuje się dobrze - odparłem. Staaliśmy przed celą Johna. Dopiero teraz zaczęło docierać do mnie to, co powiedział Dean. Uszło nam to na sucho, chłopaki! Udało się!

- Czy to wyglądało tak samo... jak z Panem Dzwoneczkiem? - zapytał Dean. Zerknął przez chwilę do pustej celi, którą zajmował Delacroix ze swoją myszą, a potem w stronę izolatki, która stanowiła najwyraźniej jej port macierzysty. - Czy to był... - podjął ściszym tonem, jakiego używa się, wchodząc do dużego kościoła, gdzie nawet cisza wydaje się głośna. - Czy to był... - Przełknął ślinę. - No powiedz, wiesz, o co mi chodzi. Czy to był cud?

Wszyscy trzej popatrzyliśmy na siebie, potwierdzając wzrokiem to, z czego zdawaliśmy sobie sprawę już wcześniej.

- Facet uzdrowił ją, kiedy stała jedną nogą w grobie - powiedział Harry. - Tak, to był prawdziwy cud.

Brutal otworzył podwójny zamek celi i pchnął Johna lekko do środka.

- Wchodź, duży. Odpocznij trochę. Zasłużyłeś na to. Zajmiemy się tylko Percym...

- To zły człowiek - odezwał się niskim, mechanicznym głosem John.

- Zgadza się, masz rację, zły jak jasna cholera - potwierdził Brutal swoim najbardziej kojącym tonem - ale nie musisz się tym wcale przejmować, nie pozwolimy mu się do ciebie zbliżyć. Połóż się tylko na prycy, a ja zaraz przyniosę ci filiżankę kawy. Gorącej i mocnej. Poczujesz się jak nowo narodzony.

John usiadł ciężko na swojej prycy. Myślałem, że wyciągnie się na niej i odwróci do ściany, jak to miał w zwyczaju, ale on siedział bez ruchu, z rękoma splecionymi między kolanami i pochyloną głową, oddychając ciężko przez usta. Medalik ze świętym Krzysztofem, który dała mu Melinda, wysunął się spod koszuli i kołysał w powietrzu. "Będzie pana chronił", powiedziała, ale nie wydawało się, żeby ktoś go teraz chronił. Wyglądał tak, jakby stanął zamiast Melindy w tym grobie, o którym wspominał Harry.

W tym momencie nie mogłem jednak się nim dłużej zajmować.

- Przyniesz pistolet i hikorową pałkę Percy'ego, Dean - powiedziałem.

- Dobrze.

Dean wrócił do biurka, otworzył szufladę, w której leżały pistolet i pałka, i przyniósł

je.

- Gotowi? - zapytałem. Moi podwładni (zacni ludzie, z których nigdy nie byłem tak bardzo dumny jak tamtej nocy) pokiwali głowami. Harry i Dean byli podenerwowani; Brutal jak zawsze spokojny. - W porządku - podjąłem. - Ja będę mówił. Im rzadziej będziecie otwierali usta, tym szybciej się to wszystko skończy... na nasze szczęście lub nieszczęście. Idziemy?

Ponownie pokiwali głowami, a ja wziąłem głęboki oddech i ruszyłem w stronę izolatki.

Percy podniósł wzrok i zamrugał oczyma, kiedy padło na niego światło. Siedział na podłodze i lizał taśmę, którą nałożyłem mu na usta. Ten odcinek taśmy, który owinąłem wokół jego karku, zdążył się odkleić (prawdopodobnie pod wpływem potu i brylantyny, którą wcierał we włosy) i Percy bliski był odklejenia reszty. Jeszcze godzina i darłby się na cały blok, wzywając pomocy.

Kiedy weszliśmy, zaczął się odsuwać do tyłu, wkrótce jednak znieruchomiał, uświadamiając sobie niewątpliwie, że i tak nie ma dokąd uciec.

Wziąłem od Deana pistolet i hikorową pałkę i wyciągnąłem je w stronę Percy'ego.

- Chcesz je dostać z powrotem? - zapytałem.

Zmierzył mnie nieufnym spojrzeniem, a potem pokiwał głową.

- Brutal i Harry - poleciłem - podnieście go na nogi.

Brutal i Harry pochylili się, złapali go pod pachy i pomogli wstać. Podeszedłem do niego tak blisko, że stykaliśmy się niemal nosami. Czułem kwaśny odór potu, w którym tonął. W pewnym stopniu spociał się, próbując wyzwolić się z kaftana bezpieczeństwa i kopiąc co jakiś czas w drzwi (co słyszał Dean), ale moim zdaniem głównie z powodu starego prostego strachu: strachu przed tym, co możemy mu zrobić, gdy wrócimy.

Nic mi nie będzie, ci ludzie nie są przecież zabójcami, przekonywał sam siebie, ale później pomyślał być może o Starej Iskrówie i zdał sobie sprawę, że w pewnym sensie owszem, jesteśmy zabójcami. Ja jeden uśmierciłem siedemdziesiąt siedem osób, więcej niż jakikolwiek ze skazańców, którym zapinałem pas na piersi, więcej niż zabił podobno słynny sierżant York podczas pierwszej wojny światowej. Zabijając Percy'ego, postąpilibyśmy nielogicznie, ale przecież już wcześniej zachowywaliśmy się nielogicznie, powtarzał sobie, siedząc na podłodze i starając się zsunąć językiem taśmę z ust. Logika nie ma większego znaczenia dla kogoś, kto siedzi w pokoju z miękkimi ścianami, zakutany elegancko i szczelnie jak mucha w pajęczej sieci.

Chcę przez to powiedzieć, że jeśli byłem w stanie przemówić mu kiedykolwiek do

rozsądku, mogłem to zrobić tylko wówczas.

- Jeśli obiecasz, że nie będziesz wrzeszczeć, zdejmę ci teraz taśmę z ust - oznajmiłem.

- Chcę z tobą pogadać, a nie obrzucać się wyzwiskami. Co ty na to? Będziesz cicho?

Zobaczyłem w jego oczach ulgę. Zorientował się, że skoro chcę z nim pogadać, ma naprawdę szansę wyjścia z tego cała. Pokiwał głową.

- Jeśli zaczniesz hałasować, zakleję cię z powrotem - dodałem. - To też rozumiesz?

Kolejne kiwnięcie głową, tym razem lekko niecierpliwe.

Złapałem za kawałek taśmy, który udało mu się obluzować, i mocno pociągnąłem. Rozległo się głośne młaśnięcie. Brutal skrzywił się. Percy pisnął z bólu i zaczął masować wargi ramieniem.

- Zdejmij ze mnie kaftan, ty złamasie - prychnął.

- Za moment - odparłem.

- Natychmiast! W tej chwili!

Uderzyłem go w twarz. Stało się to, zanim zdążyłem sobie uświadomić, że mam zamiar to zrobić... ale oczywiście wiedziałem, że może do tego dojść. Już w trakcie pierwszej rozmowy na temat Percy'ego, kiedy dyrektor Moores poradził mi, żebym wyznaczył go do egzekucji Delacroix, wiedziałem, że może do tego dojść. Ludzka ręka przypomina na pół tylko oswojone zwierzę; na ogół jest spokojna, ale czasami wyrywa się i gryzie pierwszą rzecz, jaką napotka po drodze.

Odgłos uderzenia zabrzmiał niczym trzask łamanej gałęzi. Dean westchnął. Percy spojrzał na mnie w skrajnym szoku; oczy miał tak wybałuszone, że wydawało się, iż zaraz wyskoczą z orbit. Jego usta otworzyły się i zamknęły, otworzyły i zamknęły, niczym pyszczek ryby w akwarium.

- Zamknij się i słuchaj - powiedziałem. - Zasłużyłeś na karę za to, co zrobiłeś Delowi, i zostałeś ukarany. Mogliśmy to zrobić tylko w ten sposób. Zgodziliśmy się na to wszyscy, z wyjątkiem Deana, ale on też nie piśnie pary z gęby, ponieważ gorzko by tego pożałował. Prawda, Dean?

- Tak - wyszeptał Dean. Twarz miał białą jak płótno. - Chyba tak.

- A jeśli ty piśniesz choć słówko, pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś - podjąłem. - Dopilnujemy, żeby ludzie dowiedzieli się, jak schrzaniłeś egzekucję Delacroix...

- Schrzaniłem egzekucję...?

- I jak o mały włos nie doprowadziłeś do śmierci Deana. Narobimy takiego szumu, że nie przyjmą cię do żadnej roboty, którą nagra ci twój wujek.

Percy potrząsał wściekle głową. Nie wierzył w to, nie potrafił w to chyba uwierzyć.

Ślad mojej dłoni widniał na jego bladym policzku niczym jakiś kabalistyczny symbol.

- Bez względu na to, co się stanie, dopilnujemy, żebyś oberwał niezłe manto. Nie musimy robić tego sami. My też znamy pewne osoby, Percy. Jesteś taki głupi, że nie zdajesz sobie z tego sprawy? Nie pełnią żadnej funkcji w stanowych władzach, ale świetnie wiedzą, jak się załatwia takie rzeczy. To są ludzie, którzy mają tutaj przyjaciół, ludzie, którzy mają tutaj braci, ludzie, którzy mają tutaj ojców. Z radością utną nos albo penisa takiemu jak ty gnojkiowi. Zrobią to, jeśli ktoś, na kim im zależy, dostanie trzy godziny więcej spaceru tygodniowo.

Percy przestał potrząsać głową. Teraz tylko się we mnie gapił. Łzy stały mu w oczach, ale nie spływały po policzkach. Wydawało mi się, że są to łzy frustracji i gniewu. A może tylko się łudziłem.

- W porządku... a teraz, Percy, spróbuj spojrzeć na to od jaśniejszej strony - dodałem. - Przypuszczam, że bołą cię trochę wargi po tym, jak ściągnąłem z nich taśmę, ale poza tym zraniona została tylko twoja duma... O tym, co się stało, nie musi wiedzieć nikt poza tutaj obecnymi. A my nabierzemy wody w usta, prawda, chłopcy?

Wszyscy pokiwali głowami.

- Jasne - potwierdził Brutal. - To, co się dzieje na Zielonej Mili, nie wychodzi poza Zieloną Milę. Tak było zawsze.

- Przeniesiesz się do Briar Ridge i aż do twojego odjazdu zostawimy cię w spokoju - powiedziałem. - Czy odpowiada ci takie wyjście, Percy, czy chcesz iść z nami na udry?

Zapadła długa nerwowa cisza, w trakcie której się zastanawiał. Widziałem prawie obracające się w jego głowie kółka, kiedy przyjmował i odrzucał różne możliwości. W końcu jednak, jak mi się wydaje, górę nad wszelkimi kalkulacjami wziął pewien podstawowy czynnik: nie miał już na ustach taśmy, ale wciąż tkwił w kaftanie bezpieczeństwa i prawdopodobnie chciało mu się wściekle sikać.

- Dobrze - odparł w końcu. - Sprawę uznajemy za zamkniętą. A teraz zdejmij ze mnie ten kaftan. Mam wrażenie, że zaraz odpadną mi ramiona...

W tym momencie Brutal odsunął mnie na bok i złapał Percy'ego za twarz, wbijając kciuk swojej wielkiej dłoni w jego lewy policzek, a pozostałe palce w prawy.

- Chwileczkę - oznajmił. - Najpierw wysłuchasz tego, co mam ci do powiedzenia. Paul jest wielkim szefem i dlatego musi czasami wyrażać się elegancko.

Próbowałem przypomnieć sobie, w którym momencie swojej przemowy do Percy'ego wyraziłem się elegancko, ale nic nie przychodziło mi na myśl. Mimo to uznałem, że najlepiej będzie się nie odzywać. Percy wydawał się w odpowiednim stopniu wystraszony i nie

chciałem psuć efektu.

- Ludzie nie zawsze rozumieją - kontynuował Brutal - że elegancja nie oznacza wcale słabości. I wtedy właśnie wkracza na scenę Brutus Howell. Ja nie dbam o elegancję. Ja walę prosto z mostu. I teraz też powiem ci, jak się sprawy mają: jeśli nie dotrzymasz obietnicy, będziemy mieli zapewne nieźle przechłapane. Ale potem znajdziemy cię... znajdziemy cię, choćbyś schował się w samej Rosji... i wydymamy nie tylko w dupę, lecz w każdy możliwy otwór, jaki masz. Będziemy cię dymać, aż pożałujesz, żeś się w ogóle urodził, a potem wetrzemy ocet we wszystkie krwawiące rany. Kapujesz?

Percy pokiwał głową. Z wbitymi w policzki palcami Brutala wyglądał teraz zupełnie jak stary Tu-Tut.

Brutal puścił go i dał krok do tyłu. Kiwnąłem głową do Harry'ego, który stanął za Percym i zaczął rozpinać kłamy i paski.

- Zachowaj to w pamięci, Percy - powiedział. - Zachowaj to w pamięci i nie miej do nas urazy.

Wszystko było odpowiednio zainscenizowane: trzech groźnych facetów w niebieskich mundurach... lecz mimo to targały mną złe obawy. Percy mógł trzymać język za zębami przez dzień albo dwa, zastanawiając się, jak powinien postąpić, w końcu jednak górę wezmą dwa motywy - jego wiara we własne koneksje oraz niemożność pogodzenia się z sytuacją, z której wyszedł jako przegrany. A kiedy to się stanie, poczuje się mocniejszy. Zabierając Johna do Melly Moores, ocaliliśmy jej zapewne życie i nie zamieniłbym tego "za całą herbatę w Chinach", jak mawialiśmy w tamtym okresie, w rezultacie jednak czekała nas czerwona kartka i wyeliminowanie z gry. Z wyjątkiem morderstwa, nie było sposobu, by skłonić go do dotrzymania obietnicy, kiedy znajdzie się daleko od nas i zacznie odzyskiwać to, co uważał za odwagę.

Zerknąłem z ukosa na Brutala i spostrzegłem, że on też zdaje sobie z tego sprawę. Co wcale mnie nie zdziwiło. Syn pani Howell, Brutus, był zawsze wzorem wszelkich cnót. Popatrzył na mnie, wzruszył lekko ramieniem i to wystarczyło. Czy mamy jakieś inne wyjście, Paul? - wyrażał ten gest. Zrobiliśmy to, co musieliśmy, i zrobiliśmy to, jak mogliśmy najlepiej.

Zgadza się. Rezultaty nie napawały jednak optymizmem.

Harry rozpiął ostatnią kłamrę. Krzywiąc się z obrzydzenia i złości, Percy strząsnął kaftan bezpieczeństwa na podłogę. Nie patrzył w oczy żadnemu z nas.

- Oddajcie mi pistolet i pałkę - powiedział.

Wręczyłem mu je. Schował pistolet do kabury i wcisnął pałkę w zrobione na



zamówienie olstro.

- Jeśli się nad tym zastanowisz, Percy... - zacząłem.

- Oczywiście, że się nad tym zastanowię - odparł, mijając mnie. - Mam zamiar się nad tym bardzo głęboko zastanowić. Poczynając od tej chwili. W drodze do domu. Jeden z was może wychodząc odbić moją kartę. - Dotknął klamki, odwrócił się i posłał nam spojrzenie, w którym widać było gniew, zakłopotanie i pogardę: zabójczą kombinację dla sekretu, który mieliśmy nadzieję zachować. - Chyba że oczywiście chcecie wyjaśnić dyrektorowi, dlaczego wcześniej wyszedłem.

Wymaszerował z izolatki i ruszył Zieloną Miłą, zapominając w swoim wzburzeniu, dlaczego ten wyłożony zielonym linoleum korytarz jest taki szeroki. Popełnił już ten błąd wcześniej i uszło mu to płazem. Nie miało mu jednak ujść płazem teraz.

Poszedłem za nim, zastanawiając się, w jaki sposób go uspokoić - nie chciałem, żeby opuścił blok E w takim stanie: spocony, rozchełstany, z czerwonym śladem mojej ręki na policzku. Pozostali trzej strażnicy ruszyli za mną.

To, co zdarzyło się potem, zdarzyło się bardzo szybko - trwało nie dłużej niż minutę, a może nawet krócej. Mimo to pamiętam wszystko po dziś dzień - głównie, jak sądzę, dlatego że po powrocie do domu opowiedziałem o całym wydarzeniu Janice, utrwalając je w ten sposób w umyśle. Wszystko, co stało się później: poranne spotkanie z Curtisem Andersonem, czynności dochodzeniowe, spotkanie z prasą, zorganizowane przez Hala Mooresa (który w tym czasie wrócił już oczywiście do pracy), a potem przesłuchania przed Komisją Śledczą w stolicy stanu - wszystko to, podobnie jak wiele innych rzeczy, zatarło mi się po latach w pamięci. Ale to, co wydarzyło się tam, na Zielonej Mili, pamiętam doskonale.

Percy szedł prawą stroną korytarza, z pochyloną głową, i powiem tylko tyle: żaden zwyczajny więzień nie zdołałby go osiągnąć. Ale John Coffey nie był zwyczajnym więźniem. John Coffey był olbrzymem i miał olbrzymi zasięg.

Zobaczyłem, jak jego długie brązowe ręce wychylają się spomiędzy krat.

- Uważaj, Percy, uważaj! - wrzasnąłem.

Percy zaczął się odwracać. Jego lewa dłoń dotknęła rękojeści pałki. A potem ręce Johna złapały go i przyciągnęły do celi tak gwałtownie, że rąbnął prawym policzkiem o kraty.

Percy stęknął i podniósł w górę hikorową pałkę. John był wystawiony na jego uderzenia: przyciskał własną twarz do dwóch centralnych prętów tak mocno, jakby chciał przecisnąć przez nie całą głowę. Było to oczywiście niemożliwe, ale tak wyglądało. Prawa ręka Johna poszukała karku Percy'ego, objęła go i przysunęła bliżej jego głowę. Percy opuścił pałkę i uderzył Johna w skroń. Popłynęła krew, ale John nie zwrócił na to żadnej uwagi. Jego

usta przyssały się do ust Percy'ego. Usłyszałem głośny szum - odgłos długo wstrzymywanego wydechu. Percy szarpał się niczym ryba na haczyku, próbując się wyrwać, ale nie miał najmniejszej szansy; prawa ręka Johna ścisnęła go za kark, kompletnie go unieruchamiając. Ich twarze zlały się w jedno niczym twarze kochanków całujących się namiętnie przez kraty.

Percy krzyknął stłumionym głosem, jakby miał usta nadal zalepione taśmą, i ponownie się szarpnął. Ich wargi rozłączyły się na chwilę i zobaczyłem czarny rojący się strumień, który wypływał z Johna Coffeya i wpływał w Percy'ego Wetmore'a. To, co nie trafiało w drżące usta, wpływało w nozdrza. Po sekundzie trzymająca go za kark ręka zacisnęła się i Percy ponownie dotknął ust Johna; został na nie prawie nadziany.

Otworzył lewą dłoń i wypadła z niej jego drogocenna hikorową pałka. Nigdy już jej nie podniósł.

Chciałem do nich podbiec i chyba nawet zrobiłem kilka kroków, ale poruszałem się niczym niedołężny starzec. Sięgnąłem po pistolet, lecz nad jego rękojeścią z drzewa orzechowego wciąż zapięty był pasek i w pierwszej chwili nie mogłem wyjąć broni z kabury. Miałem wrażenie, że podłoga pod moimi stopami dygocze tak samo jak w sypialni domu dyrektora Mooresa. Nie jestem tego do końca pewien, ale wiem, że stłukła się jedna z żarówek wiszących w drucianych osłonach. W dół posypały się okruchy szkła. Harry wydał z siebie okrzyk zdumienia. W końcu udało mi się odpiąć kciukiem pasek nad kolbą, zanim jednak zdążyłem wyjąć moją trzydziestkęsemkę z kabury, John odepchnął od siebie Percy'ego i cofnął się w głąb celi. Robiąc to, krzywił się i wycierał usta, jakby spróbował czegoś niedobrego.

- Co on mu zrobił? - zawołał Brutal. - Co on mu zrobił, Paul?

- Czymkolwiek jest to coś, co wyssał z Melly, ma to teraz Percy - odparłem.

Percy stał przy kratkach starej celi Delacroix. Miał szeroko otwarte puste oczy - dwa zera. Podeszedłem do niego ostrożnie, oczekując, że zacznie krztusić się i kaszleć w podobny sposób, jak to czynił John, gdy uzdrowił Melinę, ale nic takiego się nie działo. Z początku po prostu stał w miejscu.

Strzeliłem z palców przed jego oczyma.

- Percy! Hej, Percy! Obudź się!

Bez skutku. Brutal podeszedł do mnie i przysunął obie ręce do pozbawionej wyrazu twarzy Percy'ego.

- To nic nie da - powiedziałem.

Ignorując mnie, Brutal klasnął głośno dwa razy tuż przed jego nosem. I dało to jakiś skutek albo tak nam się przynajmniej wydawało. Percy zatrzepotał powiekami i rozejrzał się

mętnym wzrokiem dookoła - niczym ktoś, kto odzyskuje przytomność po uderzeniu w głowę. Spojrzał najpierw na Brutala, potem na mnie. Teraz jestem przekonany, że w ogóle nas nie widział, ale wtedy myślałem co innego: myślałem, że dochodzi do siebie.

Odsunął się od krat i lekko zachwiał. Brutal podtrzymał go.

- Spokojnie, chłopie. Nic ci nie jest?

Zamiast odpowiedzieć, Percy minął go i zataczając się ruszył w stronę biurka oficera dyżurnego. Dokładnie rzecz biorąc, nie zataczał się, lecz przechylał w lewą stronę.

Brutal wyciągnął do niego rękę, ale ja odsunąłem go na bok.

- Zostaw go - mruknąłem.

Czy powiedziałbym to, gdybym wiedział, co za chwilę nastąpi? Od jesieni trzydziestego drugiego roku zadawałem sobie to pytanie tysiąc razy. Do dziś nie znam na nie odpowiedzi.

Percy zrobił dwanaście albo czternaście kroków, a potem zatrzymał się z opuszczoną głową. Znajdował się wtedy na wysokości celi Dzikiego Billa Whartona, który wciąż chrapał jak smok. Przespał wszystko, co się działo. Przespał, jak myślę, własną śmierć i miał w tym więcej szczęścia niż większość ludzi, którzy tu wylądowali. Więcej szczęścia, niż na to zasłużył.

Zanim zorientowaliśmy się, co się dzieje, Percy wyciągnął pistolet, podszedł do celi Whartona i władował cały magazynek w śpiącego mężczyznę. Po prostu bum-bum-bum bum-bum-bum, tak szybko, jak szybko zdołał naciskać cyngiel. Huk w zamkniętej przestrzeni był ogłuszający; kiedy opowiadałem rano o wszystkim Janice, dzwoniło mi w uszach tak głośno, że prawie nie słyszałem własnego głosu.

Podbiegliśmy do niego wszyscy czterej. Dean dobiegł pierwszy - nie wiem, jakim cudem, bo kiedy Coffey złapał Percy'ego, stał za mną i za Brutalem. Chwycił Percy'ego za nadgarstek, chcąc wyrwać mu pistolet, ale nie było to wcale konieczne. Percy otworzył dłoń i broń upadła na podłogę. Jego oczy przesunęły się po nas, jakby były łyżwami ślizgającymi się po lodzie. Rozległ się cichy szum płynącego moczu i w powietrzu rozszedł się najpierw ostry zapach amoniaku, a następnie mocniejszy odór, kiedy Percy wypróżnił się również z drugiej strony. Oczy miał utkwione w końcu korytarza. Z tego, co wiem, były to oczy, które nigdy już nie oglądały niczego w naszym realnym świecie. Gdzieś na początku tych zapisków wspomniałem, że gdy ja i Brutal znaleźliśmy kolorowe drzazgi ze szpulki Pana Dzwoneczka, Percy przebywał w Briar Ridge, i pisząc to, wcale nie skłamałem. Nigdy jednak nie zasiadł w gabinecie ze stojącym w kącie wentylatorem; nigdy nie powierzono jego opiece szwankujących na umyśle pacjentów, na których mógłby się wyżywać. Przypuszczam jednak,

że dostał dla siebie przynajmniej separatkę.

Miał w końcu wysokie koneksje.

Wharton leżał na boku, odwrócony plecami do ściany. Nie widziałem wtedy wiele, z wyjątkiem krwi sączącej się przez prześcieradło i kapiącej na beton, ale koroner powiedział, że Percy strzelał jak Annie Oakley<sup>2</sup>. Pamiętając opowieść Deana o tym, jak Percy cisnął swoją hikorową pałką w mysz i chybił tylko o włos, specjalnie się nie zdziwiłem. Dodać trzeba, że teraz odległość była bliższa, a cel nieruchomy. Jedna kula w krocze, jedna w brzuch, jedna w klatkę piersiową i trzy w głowę.

Brutal kaszłał i odgarniał ręką obłok dymu. Ja też kaszlałem, ale dopiero po pewnym czasie zdałem sobie z tego sprawę.

- No to koniec - powiedział Brutal. Głos miał spokojny, ale zdradzały go oczy, w których płonęła panika.

Obejrzałem się przez ramię i zobaczyłem siedzącego na skraju pryczy Johna Coffeya. Ręce miał znowu splecione między kolanami, lecz głowę trzymał wysoko podniesioną i nie wydawał się w ogóle chory. Skinął do mnie, a ja zdumiałem sam siebie - podobnie jak w dniu, gdy podałem mu rękę - odpowiadając podobnym kiwnięciem.

- Co teraz zrobimy? - wymamrotał Harry. - O Chryste, co my teraz zrobimy?

- Nie możemy nic zrobić - odparł takim samym spokojnym głosem Brutal. - Jesteśmy ugotowani. Prawda, Paul?

Mój umysł zaczął pracować na zwiększonych obrotach. Spojrzałem na Harry'ego i Deana, którzy patrzyli na mnie niczym przestraszone dzieci. Spojrzałem na Percy'ego, który stał w miejscu z opuszczonymi rękoma i szczęką. A potem spojrzałem na swojego starego przyjaciela Brutusa Howella.

- Nic złego nam nie grozi - oznajmiłem.

Percy zaczął w końcu kaszleć. Zgiął się wpół, oparł dłonie na kolanach i poczerwieniała mu twarz. Chciałem powiedzieć Harry'emu, Deanowi i Brutalowi, żeby się cofnęli, ale nie zdążyłem. Percy wydał z siebie odgłos, który był czymś pośrednim między charczeniem a żabim rechotem, otworzył usta i wypluł czarny wirujący obłok, tak gęsty, że przez chwilę nie widzieliśmy jego głowy.

- Boże, miej nas w swojej opiece - szepnął słabym głosem Harry. Po chwili obłok zrobił się oślepiająco biały, przypominał lśniący w styczniowym słońcu śnieg. Nieco później już go nie było. Percy powoli się wyprostował i znowu utkwiał nieobecny wzrok w końcu

---

<sup>2</sup> Annie Oakley, 1860-1926, amerykańska snajperka.

korytarza.

- W ogóle tego nie widzieliśmy - stwierdził Brutal. - Prawda, Paul?

- Zgadza się. Ja tego nie widziałem i ty tego nie widziałeś. Czy ty coś widziałeś, Harry?

- Nie.

- A ty, Dean?

- Czego nie widziałem? - Dean zdjął z nosa okulary i zaczął je wycierać. Myślałem, że wypadną z jego roztrzęsionych rąk, ale zdołał je jakoś utrzymać.

- "Czego nie widziałem?". To było dobre. A teraz posłuchajcie swojego drużynowego, chłopcy, i postarajcie się zrozumieć wszystko za pierwszym razem, bo nie mamy za dużo czasu. Historia jest prosta. Nie komplikujmy jej.

Opowiedziałem o tym Janice około jedenastej - chciałem napisać "nazajutrz rano", ale oczywiście wszystko działo się tego samego dnia. Bez wątplenia najdłuższego dnia w moim życiu. Opowiedziałem mniej więcej to samo, co tutaj, kończąc na tym, jak William Wharton pożegnał się z życiem na swojej pryczy, nafaszerowany ołowiem z pistoletu Percy'ego.

Nie, nieprawda. Na samym końcu opowiedziałem jej o tej rzeczy, która wyszła z Percy'ego, o robakach czy cokolwiek to było. Niełatwo opowiedzieć coś takiego nawet własnej żonie, ale ja to zrobiłem.

Janice przyniosła mi filiżankę wypełnioną do połowy czarną kawą - z początku ręce trzęsły mi się tak bardzo, że nie zdołałbym utrzymać pełnej. Kiedy skończyłem, drzenie nieco ustąpiło i poczułem, że mogę nawet coś zjeść; jajko albo parę łyżek zupy.

- Uratowało nas to, że tak naprawdę nie musieliśmy wcale kłamać, żaden z nas - stwierdziłem.

- Po prostu nie wspomnieliście o paru drobiazgach - dodała kiwając głową. - W większości mało ważnych. Na przykład o tym, jak zabraliście z bloku skazanego na śmierć więźnia, jak uzdrowił on potem umierającą kobietę i jak doprowadził Percy'ego Wetmore'a do szaleństwa, wdmuchując mu do gardła sproszkowany guz mózgu.

- Sam nie wiem, Janice - mruknąłem. - Wiem tylko, że jeśli będziesz dalej mówiła w ten sposób, zjesz tę zupę sama albo nakarmisz nią psa.

- Przepraszam. Ale mam chyba rację?

- Masz - odparłem. - Tyle że uszło nam na sucho... właściwie co? Nie można nazwać tego ucieczką ani wyjściem na przepustkę. Uszedł nam na sucho ten wypad. Nie opowie im o nim nawet Percy, jeśli kiedykolwiek wróci do zdrowia.

- Jeśli wróci do zdrowia - powtórzyła. - Jakie ma szansę?

Potrząsnąłem głową, dając jej do zrozumienia, że nie mam pojęcia. Tak naprawdę jednak nie sądziłem, aby kiedykolwiek wrócił do zdrowia - ani w trzydziestym drugim, ani w czterdziestym drugim, ani w pięćdziesiątym drugim roku. I nie myliłem się. Percy Wetmore pozostał w Briar Ridge aż do roku tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego, kiedy szpital doszczętnie spłonął. W pożarze zginęło siedemnastu pacjentów, ale Percy do nich nie należał. Cichy i pod każdym względem obojętny - dowiedziałem się, że tego rodzaju stan nazywa się katatonią - wyprowadzony został na zewnątrz przez jednego ze strażników na długo

przedtem, nim pożar ogarnął jego skrzydło. Przeniesiono go do innego szpitala - nie pamiętam, jak się nazywał, i nie sędzę, żeby miało to jakieś znaczenie. Z tego co wiem, po raz ostatni w życiu odezwał się, kiedy kazał nam przy wyjściu odbić swoją kartę... jeśli nie chcemy wyjaśniać, dlaczego wcześniej wyszedł.

Ironia losu polegała na tym, że nie musieliśmy dużo wyjaśniać. Percy oszalał i zastrzelił Williama Whartona. Tyle powiedzieliśmy i mówiąc to, wcale nie mijaliśmy się z prawdą. Kiedy Anderson zapytał Brutala, jak zachowywał się Percy przed zabójstwem i Brutal odpowiedział jednym słowem: "Milczał", przez krótki straszny moment bałem się, że wybuchnę śmiechem. Ponieważ to też było prawdą. Percy milczał, gdyż przez większość zmiany siedział z taśmą izolacyjną na ustach i mógł sobie co najwyżej pomruczeć.

Curtis trzymał Percy'ego do ósmej rano, Percy'ego, który nie odzywał się ani słowem, niczym Indianin w sklepie z cygarami, ale sprawiał o wiele bardziej niesamowite wrażenie. O ósmej przyjechał Hal Moores, nachmurzony, lecz kompetentny, gotów z powrotem stanąć za sterem. Curtis Anderson pozwolił mu na to z westchnieniem ulgi, które prawie słyszeliśmy. Zniknął gdzieś zagubiony przestraszony starzec; zobaczyliśmy z powrotem dyrektora Mooresa, który podszedł do Percy'ego, złapał go za ramiona swymi wielkimi łapskami i mocno potrząsnął.

- Synu! - wrzasnął mu prosto w pustą twarz; twarz, która, pomyślałem, zaczynała już mięknąć jak wosk. - Słyszysz mnie, synu? Odezwij się do mnie, jeśli mnie słyszysz. Chcę wiedzieć, co tu się stało!

Nie doczekał się oczywiście żadnej odpowiedzi. Anderson chciał odciągnąć dyrektora na stronę, przedyskutować, jak powinni to załatwić - sprawa była politycznie śliska - ale Moores odsunął go i ruszył wraz ze mną korytarzem. John Coffey leżał w swojej celi, z głową odwróconą do ściany i nogami jak zawsze beczelnie zwisającymi z pryczy. Wydawał się spać i prawdopodobnie spał... lecz zdążyliśmy już odkryć, że nie zawsze robił to, co nam się wydawało.

- Czy to, co zdarzyło się w moim domu, ma coś wspólnego z tym, co zdarzyło się po waszym powrocie? - zapytał półgłosem Moores. - Będę was krył, jak potrafię, jeśli nawet będzie to oznaczało utratę mojej pracy, ale muszę wiedzieć.

Potrząsnąłem głową.

- Nie, panie dyrektorze. Jak pan sam widzi, zamknęliśmy Johna z powrotem w jego celi, a potem wypuściliśmy Percy'ego z izolatki, gdzie wpakowaliśmy go ze względów bezpieczeństwa. Myślałem, że będzie się wściekać, lecz on był spokojny. Poprosił tylko, żeby oddać mu broń i pałkę. Nie powiedział nic więcej, po prostu odszedł korytarzem. A następnie,

znalazłszy się na wysokości celi Whartona, wyjął pistolet i zaczął strzelać.

Odpowiadając na pytanie Mooresa, również starałem się mówić półgłosem. Na korytarzu było co najmniej dwunastu klawiszy. Kolejny fotografował Whartona w jego celi. Curtis Anderson odwrócił się do niego i w tym momencie obserwował nas tylko Brutal.

- Czy nie sądzisz, że przez to zamknięcie w izolatce... coś mu odbiło? - zapytał Moores.

- Nie, panie dyrektorze.

- Czy włożyliście mu kaftan bezpieczeństwa?

- Nie, panie dyrektorze. Nie było takiej potrzeby.

- Zachowywał się spokojnie? Nie opierał się?

- Nie opierał.

- Nawet kiedy zobaczył, że chcecie go zamknąć w izolatce, zachowywał się spokojnie i nie walczył?

- Tak jest. - Przez chwilę miałem ochotę trochę to ubarwić: włożyć w usta Percy'ego jakąś kwestię, ale potem zrezygnowałem. Wiedziałem, że im prościej to przedstawię, tym lepiej. - Nie byłem żadnej awantury. Wszedł po prostu do środka i usiadł w kącie.

- Nie mówił wtedy nic o Whartonie?

- Nie, panie dyrektorze.

- Ani o Coffeyu?

Potrząsnąłem głową.

- Czy Percy był zły na Whartona? Czy czuł do niego jakąś urazę?

- To całkiem możliwe - odparłem, jeszcze bardziej ścisząc głos. - Percy nie zachowywał odpowiedniej ostrożności, Hal. Pewnego razu, kiedy szedł korytarzem, Wharton złapał go, przycisnął do krat i trochę połaskotał. - Na chwilę przerwałem. - To znaczy, obmacał.

- Nie zrobił nic gorszego? Tylko połaskotał? To wszystko?

- Tak, ale Percy bardzo się tym przejął. Wharton powiedział, że wolałby wydupczyć Percy'ego niż jego siostrę. Coś w tym rodzaju.

- Hmm. - Moores wciąż spoglądał z ukosa na Johna Coffeya, jakby musiał co chwila upewniać się, że to prawdziwy człowiek z krwi i kości. - To nie wyjaśnia tego, co się z nim stało, ale tłumaczy w pewnym stopniu, dlaczego zastrzelił Whartona, a nie Coffeya albo jednego z twoich ludzi. A skoro mówimy o twoich ludziach, Paul, czy wszyscy opowiedzą to samo?

- Tak, panie dyrektorze - odparłem.



- I opowiedzieli to samo - poinformowałem Janice, zanurzając łyżkę w zupie, którą przyniosła. - Dopilnowałem tego.

- Skłamałeś - stwierdziła. - Oszukałeś Hala.

Od tego są w końcu żony, nieprawdaż? Zawsze szukają dziur po molach w twoim najlepszym garniturze i na ogół je znajdują.

- Owszem, jeśli chcesz na to patrzeć w ten sposób. Nie powiedziałem mu jednak niczego, z czym nie moglibyśmy dalej żyć. Hal jest moim zdaniem czysty. Nawet go tam nie było. Siedział w domu, opiekując się żoną aż do momentu, kiedy zadzwonił do niego Curtis.

- Czy wspomniał, jak się czuje Melinda?

- Wtedy nie, nie było czasu, ale rozmawialiśmy później, kiedy ja i Brutal wychodziliśmy z pracy. Melly niewiele pamięta, ale czuje się dobrze. Wstała z łóżka i mówi o nowych grządkach na kwiaty.

Moja żona obserwowała przez chwilę, jak jem.

- Czy Hal wie, że to był cud? - zapytała w końcu. - Czy to rozumie?

- Tak. Wszyscy to rozumiemy, wszyscy, którzy tam byliśmy.

- Częściowo żałuję, że mnie tam nie było - stwierdziła - ale z drugiej strony chyba się z tego cieszę. Gdybym widziała, jak łuski spadają z oczu Saula w drodze do Damaszku, dostałabym chyba zawału serca.

- Nie mów - mruknąłem, przechylając talerz, żeby nabrać ostatnią łyżkę. - Prawdopodobnie ugotowałabyś mu trochę zupy. Ta jest wyśmienita.

- To dobrze - odparła. W rzeczywistości jednak nie myślała wcale o zupie, gotowaniu albo nawróceniu Saula na drodze do Damaszku. Opierała podbródek o dłoń i patrzyła przez okno na górskie pasmo, z oczyma tak samo zamglonymi jak te góry w letni poranek, gdy zbiera się na upał. W letni poranek podobny do tego, kiedy odnaleziono bliźniaczki Dettericków, wpadło mi do głowy, sam nie wiem czemu. Zastanawiałem się, dlaczego nie krzyczały. Zabójca robił im krzywdę; na werandzie i na schodach zostały ślady krwi. Dlaczego zatem nie krzyczały?

- Myślisz, że Whartona zabił John Coffey, prawda? - zapytała Janice, odwracając w końcu wzrok od okna. - Że to nie był przypadek ani nic w tym rodzaju; myślisz, że posłużył się Percym Wetmore'em niczym bronią?

- Tak.

- Dlaczego?

- Nie wiem.

- Opowiedz mi jeszcze raz, co zdarzyło się, kiedy zabieraliście Coffeya z bloku. Tylko tę część.

Zrobiłem to. Opowiedziałem, jak wychylająca się spomiędzy prętów i łapiąca Johna za biceps koścista ręka przypomniła mi węża - wodnego mokasy, którego wszyscy się baliśmy, kiedy jako dzieci pływaliliśmy w rzece - i jak Coffey powiedział, że Wharton jest złym człowiekiem.

- A co Wharton na to?

Moja żona ponownie spoglądała przez okno, ale słuchała mnie bardzo uważnie.

- Wharton odparł: "Zgadza się, czarnuchu, jestem zły jak wszyscy diabli"

- I to wszystko?

- Tak. Miałem wtedy wrażenie, że coś się wydarzy, ale nic się nie stało. Brutal wyswobodził rękę Johna z uścisku Whartona i kazał mu się położyć, co Wharton zrobił. Nie zapominaj, że był nieźle nafaszerowany środkami usypiającymi. Wymamrotał coś o tym, że czarnuchy powinny mieć własne krzesła elektryczne, i na tym koniec. Poszliśmy dalej.

- John Coffey nazwał go złym człowiekiem.

- Zgadza się. To samo powiedział raz o Percym. A może więcej niż raz. Nie pamiętam dokładnie kiedy, ale wiem, że to zrobił.

- Ale Wharton nigdy nie uczynił nic złego Johnowi Coffeyowi, prawda? To znaczy, nie zaczepił go tak jak Percy'ego.

- Nie. Wharton miał celę po drugiej stronie biurka oficera dyżurnego, kilkanaście jardów od Coffeya. Ledwie mogli się zobaczyć.

- Opowiedz mi jeszcze raz, jak wyglądał Coffey, kiedy Wharton złapał go za rękę.

- To nas do niczego nie doprowadzi, Janice.

- Może nie doprowadzi, a może doprowadzi. Powiedz, jak wyglądał.

Westchnąłem.

- Wydaje mi się, że był zszokowany. Wzdrygnął się. Jak wzdrygnęłabyś się, gdybyś leżała na plaży, a ja zakradłbym się od tyłu i wylał ci na plecy trochę zimnej wody. Albo jakby ktoś uderzył go w twarz.

- Jasne - stwierdziła. - To, że został złapany w ten sposób, zaskoczyło go, na krótki moment zbudziło z letargu.

- Tak - powiedziałem. - Nie - dodałem po chwili.

- No więc tak czy nie?

- Nie. To nie było zaskoczenie. To przypominało ten moment, kiedy chciałem, żebyś wszedł do jego celi i dał się uleczyć. Albo kiedy chciałem, żebyś podał mu tę mysz. To było

zdziwienie, ale nie z powodu dotknięcia... w każdym razie niezupełnie... Chryste Panie, Janice, sam nie wiem.

- W porządku, zostawmy to - odparła. - Nie mogę po prostu zrozumieć, dlaczego John to zrobił. Nie wygląda na to, żeby był gwałtowny z natury. To prowadzi nas do następnego pytania, Paul. Jak możesz go stracić, jeśli masz rację co do tych dwóch dziewczynek? Jak możesz posadzić go na krześle elektrycznym, jeśli ktoś inny...

Nagle podskoczyłem na krześle, uderzając łokciem talerz od zupy, który spadł ze stołu i rozbił się na podłodze. Wpadł mi do głowy pewien pomysł. Podsunęła mi go bardziej intuicja niż logika, ale odznaczał się swoistą mroczną elegancją.

- Paul? - zaniepokoiła się Janice. - Co się stało?

- Nie wiem - odparłem. - Nie wiem nic na pewno, ale postaram się dowiedzieć.

To, co nastąpiło po zabójstwie Whartona, przypominało cyrk z trzema arenami, z gubernatorem na jednej, więzieniem na drugiej i biednym, odmóżdżonym Percym Wetmore'em na trzeciej. A kto odgrywał rolę antreprenera? Przymierzało się do tego kilku dżentelmenów z prasy. Nie byli tacy źli, jak są teraz - nie pozwalali sobie na to - ale nawet w tamtym okresie, przed Geraldem, Mike'em Wallace'em i całą resztą, potrafili dać się we znaki, kiedy wgryźli się zębami w zdobycz. Tak właśnie zdarzyło się wówczas i przedstawienie było całkiem udane, póki trwało.

A jednak nawet najciekawszy cyrk, ten, w którym występują najbardziej przerażające dziwy natury, najśmieszniejsi klauni i najdziksze zwierzęta, musi w końcu opuścić miasto. Nasz wyjechał zaraz po utworzeniu Komisji Śledczej, która, choć jej nazwa budziła raczej złowrogie skojarzenia, okazała się niezbyt dociekliwa. W innych okolicznościach gubernator niewątpliwie zażądałby czyjejś głowy na talerzu, tym razem jednak nie wchodziło to w rachubę. Siostrzeńcowi - krewnemu jego własnej żony - odbiła palma i zabił człowieka. Zabił co prawda zabójcę - dzięki Bogu i za to - ale uczynił to, kiedy facet spał we własnej celi, co nie było zbyt eleganckie. Kiedy dodało się do tego, że wzmiankowany młody człowiek w dalszym ciągu świrował jak marcowy zając, trudno się było dziwić, że gubernator chciał ukreślić sprawie łeb i to jak najszybciej.

Podróż do domu dyrektora Mooresa półciązarówką Harry'ego Terwilligera nigdy nie wyszła na jaw. Fakt, że Percy spędził tę noc w kaftanie bezpieczeństwa, zamknięty w izolatce, również nigdy nie został ujawniony. Oraz to, że zastrzelony Wharton spał narkotycznym snem. Władze nie miały powodu podejrzewać, że w jego organizmie znajduje się coś poza sześcioma kulami. Koroner usunął je, grabarz umieścił Whartona w sosnowej skrzynce i taki był koniec człowieka, który wytatuował sobie na lewym przedramieniu nazwisko Billy'ego Kida. Dobry sposób na pozbycie się toksycznych odpadów, chciałoby się powiedzieć.

Całe zamieszanie trwało mniej więcej dwa tygodnie. W tym czasie bałem się głośniej pierdnąć, nie mówiąc o wzięciu wolnego dnia, żeby sprawdzić pomysł, na który wpadłem przy kuchennym stole po wszystkich wydarzeniach. Uświadomiłem sobie, że cyrk wyjechał z miasta, pewnego dnia w środku listopada - chyba dwunastego, ale nie trzymajcie mnie za słowo. Tego dnia znalazłem na biurku dokument, którego się obawiałem: kartkę z

wyznaczoną datą egzekucji Johna Coffeya. Zamiast Hala Mooresa podpisał ją Curtis Andersen, ale z prawnego punktu widzenia była tak samo ważna i przed trafieniem do mnie musiała oczywiście przejść przez Hala. Mogłem sobie wyobrazić Hala siedzącego przy swoim biurku z tą kartką w ręku, siedzącego i rozmyślającego o swojej żonie, która wprawiała w osłupienie lekarzy ze szpitala w Indianoli. Ci lekarze wręczyli jej swój własny nakaz egzekucji, ale John Coffey podarł go na strzępy. Teraz jednak nadeszła pora, by John Coffey przeszedł Zieloną Milę, i kto z nas mógł temu zapobiec? Kto z nas miał temu zapobiec?

Na nakazie egzekucji widniała data: dwudziesty listopada. Trzy dni po jego otrzymaniu - bodajże piętnastego - poprosiłem Janice, by zatelefonowała, że jestem chory, po czym wypłem filiżankę kawy i ruszyłem na północ moim fordem zaopatrzonym w fatalne resory, poza tym jednak całkiem niezawodnym. Janice ucałowała mnie na pożegnanie i życzyła powodzenia; podziękowałem jej, nie mając pojęcia, na czym miałyby polegać w tym wypadku powodzenie - na potwierdzeniu czy też niepotwierdzeniu tego, czego szukałem. Wiedziałem tylko, że nie mam wielkiej ochoty nucić podczas jazdy. Nie tego dnia.

O trzeciej po południu znalazłem się w górach. Odwiedziłem tuż przed zamknięciem sąd hrabstwa Purdom, przejrzałem pewne akta, następnie zaś przyjąłem wizytę szeryfa, poinformowanego przez jednego z urzędników, że ktoś obcy wtyka nos w nie swoje sprawy. Szeryf Catlett chciał wiedzieć, co ja sobie wyobrażam. Poinformowałem go. Catlett przemyślał to i oznajmił mi coś ciekawego. Uprzedził, że zaprzeczy, iż cokolwiek mi mówił, jeśli będę starał się wszystko nagłośnić. Nie było to coś rozstrzygającego, ale miało swoją wagę. Z całą pewnością miało swoją wagę. Myślałem o tym przez całą drogę do domu i tej nocy nie zaznałem wiele snu.

Nazajutrz rano zerwałem się jeszcze przed wschodem słońca i pojechałem na południe do hrabstwa Trapingus. Nie poszedłem do szeryfa Homera Cribusa, tego wielkiego worka flaków i łajna; zamiast tego zwróciłem się do zastępcy szeryfa, Roba McGee. McGee nie chciał z początku słuchać tego, co mówiłem. Strasznie nie chciał słuchać. W pewnym momencie myślałem, że uderzy mnie w twarz, żeby nie słuchać, w końcu jednak zgodził się pojechać na farmę i zadać Klausowi Detterickowi kilka pytań. Przede wszystkim, jak mi się zdaje dlatego, żebym sam mu ich nie zadał.

- Ma tylko trzydzieści dziewięć lat, ale wygląda jak staruszek - stwierdził - i teraz, kiedy zaczyna powoli dochodzić do siebie, nie powinien mu zawracać głowy żaden przemądrzały więzienny klawisz, który bawi się w detektywa. Zostanie pan w mieście. Nie chcę, żeby zbliżał się pan do farmy Dettericków, lecz chcę pana tutaj znaleźć, kiedy porozmawiam już z Klausem. Jeśli będzie się panu dłużyć czas, niech pan zje pasztecik w

restauracji. To pana trochę wyhamuje.

Zjadłem w końcu dwa paszteciki i muszę przyznać, że były dość ciężkostrawne.

Kiedy McGee wrócił po jakimś czasie do miasta i usiadł koło mnie przy barze, nie potrafiłem nic wyczytać w jego twarzy.

- No i co? - zapytałem.

- Niech pan wpadnie do mnie do domu, tam porozmawiamy - oznajmił. - To miejsce jest trochę zbyt publiczne, jak na mój gust.

Odbyliśmy naszą konferencję na werandzie domu Roba McGee. Obaj niezłe zmarzliśmy, pani McGee nie pozwalała jednak kopcić w środku domu. Można powiedzieć, że wyprzedzała swoją epokę. McGee sprawiał wrażenie człowieka, któremu w najmniejszym stopniu nie podoba się to, co sam mówi.

- To niczego nie dowodzi, chyba zdaje pan sobie z tego sprawę? - zapytał, skończywszy swoją relację. Powiedział to wojowniczym tonem i mówiąc, wymachiwał agresywnie w moją stronę własnoręcznie skreconym papierosem, na jego twarzy malowało się jednak zażenowanie. Nie wszystkie fakty muszą stanowić dowody w rozumieniu sądu i obaj o tym świetnie wiedzieliśmy. Przyszło mi do głowy, że po raz jedyny w życiu zastępca McGee żałuje, że nie jest wiejskim ciołkiem, jak jego szef.

- Zdaję sobie sprawę - odparłem.

- I jeśli myśli pan o zafundowaniu Coffeyowi nowego procesu wyłącznie na podstawie tego jednego faktu, niech pan się nad tym lepiej zastanowi, *senor*. John Coffey jest Murzynem, a w hrabstwie Trappingus nie mamy zwyczaju fundowania nowych procesów Murzynom.

- Z tego też zdaję sobie sprawę.

- Więc co pan zrobi?

Wyrzuciłem papierosa przez balustradę werandy i wstałem. Miałem przed sobą długą podróż powrotną i wiedziałem, że im szybciej wyruszę, tym wcześniej będę w domu.

- Chciałbym to wiedzieć, panie McGee. Niestety w tej chwili wiem tylko, że drugi pasztecik był błędem.

- Coś panu powiem, panie mądralo - oznajmił tym samym wojowniczym tonem. - Moim zdaniem w ogóle nie powinien pan otwierać tej puszkii Pandory.

- Nie ja ją otworzyłem - odparowałem, po czym odjechałem do domu.

Dotarłem na miejsce grubo po północy, ale Janice czekała na mnie. Spodziewałem się tego, lecz mimo to przyjemnie było ją zobaczyć, poczuć jej ręce na szyi i mocne śliczne ciało przy moim.

- Witaj, przybyszu - powiedziała, a potem dotknęła mnie tam na dole. - Nic nie dolega temu panu? Mam nadzieję, że jest zupełnie zdrowy.

- Tak jest, moja droga - powiedziałem, biorąc ją na rękę. Zaniósłem ją do sypialni i pokochaliśmy się słodką jak miód miłością, a gdy doszedłem do orgazmu, tego wspaniałego uczucia przekraczania samego siebie oraz totalnego rozluźnienia, pomyślałem o wiecznie załamanych oczach Johna Coffeya. I o Melindzie Moores, mówiącej: "Śniłam, że błędzisz gdzieś w mroku, podobnie jak ja".

Wciąż leżąc na swojej żonie, która obejmowała mnie ramionami za szyję, zacząłem sam ronić łzy z oczu.

- Paul! - szepnęła, wstrząśnięta i przestraszona. Nie sądzę, żeby oglądała mnie płaczącego więcej niż kilka razy w ciągu całego naszego małżeństwa. W normalnych okolicznościach nigdy nie byłem beksą. - Co ci się stało, Paul?

- Wiem wszystko, co trzeba wiedzieć - wyjąkałem przez łzy. - Jeśli chcesz znać prawdę, wiem o wiele za dużo. Za kilka dni mam stracić Johna Coffeya, ale to William Wharton zabił bliźniaczki Dettericków. To był Dziki Bill.

Nazajutrz ta sama silna grupa klawiszy, którzy jedli lunch w mojej kuchni po sfuszerowanej egzekucji Delacroix, spotkała się ponownie na lunchu. Tym razem w naradzie wojennej uczestniczyła piąta osoba: moja żona. To Janice przekonała mnie, żeby powiedzieć innym; w pierwszym momencie nie miałem wcale takiego zamiaru. Czy nie dość fatalne jest, pytałem ją, że wiemy o tym my oboje?

- Nie potrafisz o tej sprawie jasno myśleć - odpowiadała. - Prawdopodobnie dlatego, że jesteś zdenerwowany. A oni i tak wiedzą już najgorsze: że Johna skazano za zbrodnię, której nie popełnił. To trochę ułatwia sprawę.

Zdałem się na jej osąd, chociaż nie byłem tego taki pewien. Opowiadając Brutalowi, Deanowi i Harry'emu to, o czym wiedziałem (nie mogłem tego udowodnić, ale przecież wiedziałem), spodziewałem się gwałtownej reakcji, w pierwszej chwili jednak zapadło po prostu długie milczenie. A potem Dean wziął z talerzyka kolejny upieczony przez Janice biskwit i posmarował go oburzająco dużą ilością masła.

- Myślisz, że John go widział? - zapytał. - Czy John widział, jak Wharton porzuca dziewczynki, a może nawet je gwałci?

- Myślę, że gdyby to widział, próbowałby go powstrzymać - odparłem. - Co do tego, czy widział uciekającego Whartona, przypuszczam, że to całkiem prawdopodobne. Ale potem o tym zapomniał.

- Jasne - zgodził się Dean. - Jest kimś wyjątkowym, ale to nie czyni go jeszcze rozgarniętym. Przypomniał sobie to, kiedy Wharton wystawił łapę przez kraty i dotknął go.

Brutal kiwał w zamyśleniu głową.

- Dlatego John wydawał się taki zdumiony... - mruknął. - Taki wstrząśnięty. Pamiętacie, jak otworzył szeroko oczy?

- John posłużył się Percym Wetmore'em niczym bronią, stwierdziła Janice i nie dawało mi to spokoju - oznajmiłem. - Dlaczego John Coffey miałby chcieć zabić Dzikiego Billa? Percy'ego, owszem, czemu nie? Percy zdeptał na jego oczach mysz Delacroix, Percy spalił żywcem Delacroix i John o tym wiedział, ale Whartona? Wharton naraził się w ten czy inny sposób większości z nas, lecz z tego, co wiem, nie naraził się Johnowi... przez cały swój pobyt na Mili zamienił z nim ledwie kilkadziesiąt słów, z tego połowę zeszłej nocy. Dlaczego miałby to zrobić? Wharton pochodził z hrabstwa Purdom, a tamtejsi biali chłopcy dostrzegają



Murzynów, dopiero gdy któryś z nich stanie im na drodze. Więc dlaczego to zrobił? Co takiego zobaczył lub poczuł w momencie, gdy dotknął go Wharton, że zachował dla niego jad, który wysłał z ciała Melindy?

- O mało się nim na śmierć nie zatrująjąc - dodał Brutal.

- Zgadza się. Zabójstwo bliźniaczek Dettericków było jedyną złą rzeczą, którą potrafiłem sobie wyobrazić i która wyjaśniałaby jego postępowanie. Powtarzałem sobie, że to wariactwo, że nie może być mowy o takim zbiegu okoliczności, że to po prostu niemożliwe. A potem przypomniało mi się coś, co Curtis Anderson napisał w pierwszej notatce, którą dostałem na temat Whartona: że to kompletny szajbus i że szwendał się po całym stanie, zanim dokonał napadu i pozabijał tych wszystkich ludzi. Szwendał się po całym stanie. To utkwiło mi w pamięci. I wreszcie uderzył mnie sposób, w jaki próbował udusić Deana zaraz po przyjeździe na blok. To sprawiło, że pomyślałem...

- O tym psie - powiedział Dean, pocierając szyję w miejscu, gdzie Wharton zarzucił mu łańcuch, choć nie sądzę, żeby zdawał sobie sprawę z tego, co robi. - O tym, jak złamał kark temu psu.

- Tak czy owak wybrałem się do hrabstwa Purdom, by przejrzeć kartotekę Whartona. Wszystko, co mieliśmy na jego temat, dotyczyło wydarzeń, które zaprowadziły go na Zieloną Miłą. Innymi słowy, samego finału jego kariery. A mnie interesowały jej początki.

- Bardzo rozrabiał? - zapytał Brutal.

- Owszem. Wandalizm, drobne kradzieże, podpalanie stogów siana, nawet przywłaszczenie sobie środków wybuchowych: razem z kumplem zwinęli laskę dynamitu i próbowali ją zdetonować przy brzegu potoku. Zaczął wczesnie, w wieku dziesięciu lat, ale w jego kartotece nie było tego, czego szukałem. A potem zjawił się szeryf, żeby sprawdzić, kim jestem i co robię, i właściwie dobrze się stało. Nabujałem mu, mówiąc, że podczas przeszukania celi znaleźliśmy w materacu Whartona zdjęcia przedstawiające nagie dziewczynki. Powiedziałem, że chcę sprawdzić, czy Wharton nie zdradzał skłonności pedofilskich, ponieważ w Tennessee jest kilka nie rozwiązanych spraw, o których słyszałem. Nie wspominałem nic o bliźniaczkach Dettericków. I nie sądzę, żeby jemu przyszła na myśl ta sprawa.

- Dlaczego miałyby przyjść mu na myśl? - zdziwił się Harry. - Przecież jest rozwiązana.

- Stwierdziłem, że nie ma chyba sensu szukać dalej, gdyż w kartotece Whartona nic nie ma. To znaczy jest mnóstwo rzeczy, ale nic, co wiązałoby się z tego rodzaju sprawami. Szeryf... nazywał się Catlett... roześmiał się na to i stwierdził, że nie wszystko, co zrobił ten

zgniłek Bill Wharton, zapisane jest w sądowych aktach, a poza tym jakie to ma w końcu znaczenie? Facet przecież nie żyje... Odparłem, że chcę po prostu zaspokoić własną ciekawość, nic więcej, i to uspiło jego podejrzania. Zabrał mnie do swojego biura, dał filiżankę kawy i pączka i powiedział, że przed szesnastu miesiącami, kiedy Wharton miał zaledwie osiemnaście lat, pewien facet z północnej części hrabstwa złapał go w stodole ze swoją córką. Nie był to właściwie gwałt; w rozmowie z Catlettem facet określił to jako "palcówkę". Przepraszam, skarbie.

- Nic się nie stało - odparła Janice, ale trochę pobladła.

- Ile lat miała dziewczyna? - zapytał Brutal.

- Dziewięć.

Brutal skrzywił się.

- Facet mógłby załatwić to własnoręcznie z Whartonem, gdyby miał jakichś starszych braci lub kuzynów, którzy by mu pomogli. Ponieważ nie miał nikogo, przyszedł z tym do Catletta, ale dał jasno do zrozumienia, żeby tylko ostrzec gnojka. Nikt nie życzy sobie rozgłosu w tego rodzaju sprawach, jeśli da się go uniknąć. Tak czy owak, szeryf Catlett nie po raz pierwszy zetknął się z Whartonem... kiedy ten miał piętnaście lat, wysłał go nawet na osiem miesięcy do poprawczaka... i uznał, że co za dużo, to niezdrowo. Zabrał ze sobą trzech zastępców, pojechali do domu Whartona, wyprowadzili do drugiego pokoju jego matkę, gdy zaczęła się drzeć, po czym ostrzegli pana Williama "Billa Kida" Whartona, co dzieje się z wyrośniętymi pryszczatymi gnojkami, baraszkującymi na sianie z dziewczynkami, które nie tylko nie mają jeszcze menstruacji, ale w ogóle o niej nie słyszały. "Ostrzegliśmy tego dupka jak trzeba - powiedział mi Catlett. - Kiedy skończyliśmy, miał rozbity łeb, zwichnięte ramię i o mało nie odpadła mu dupa".

Brutal mimowolnie się roześmiał.

- Tak właśnie załatwiają to najczęściej w hrabstwie Purdom - stwierdził.

- Mniej więcej trzy miesiące później Wharton uciekł z domu - wyjaśniałem - i rozpoczął działalność, w wyniku której trafił na nasz blok.

- Miał więc raz do czynienia z nieletnią dziewczynką - mruknął Harry, po czym zdjął z nosa okulary, chuchnął na szkła i zaczął je wycierać. - Mocno nieletnią. Ale jeden raz nie oznacza jeszcze ustalonego wzoru postępowania...

- Mężczyzna nie robi podobnej rzeczy tylko raz - stwierdziła moja żona i zacisnęła wargi tak mocno, że prawie nie było ich widać.

Następnie poinformowałem ich o mojej wizycie w hrabstwie Trapingus. W rozmowie z Robem McGee byłem o wiele bardziej szczery - nie miałem w gruncie rzeczy innego

wyboru. Do dziś nie wiem, o czym mówił z Klaudem Detterickiem, ale siedząc naprzeciwko mnie w restauracji wydawał się o siedem lat starszy.

W połowie maja, na miesiąc przed napadem i zabójstwami, które zakończyły krótką bandycką karierę Whartona, Klaus Detterick odmalował swoją stodołę (oraz sąsiadującą z nią budę Bowsera). Nie chcąc, żeby po wysokim rusztowaniu wspinał się jego syn (który i tak większość czasu musiał spędzać w szkole), zatrudnił pomocnika. Dość miłego faceta. Bardzo spokojnego. Cała robota trwała trzy dni. Nie, pomocnik nie nocował w domu, Detterick nie był taki głupi, żeby ufać każdemu miłemu i spokojnemu facetowi, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, kiedy tyle draństwa szlaja się po drogach. Człowiek obarczony rodziną musi być ostrożny. Tak czy owak, facet nie potrzebował noclegu; oświadczył Detterickowi, że wynajął pokój w mieście, u niejakiej Ewy Price. W Tefton rzeczywiście mieszkała dama o nazwisku Eva Price i rzeczywiście wynajmowała pokoje, w maju tego roku nie miała jednak gościa, który odpowiadałby rysopisowi podanemu przez Dettericka. Wyłącznie tych samych co zawsze osobników w kraciastych marynarkach i melonikach, z walizczkami zawierającymi próbki towaru, innymi słowy komiwojażerów. McGee mógł mnie o tym poinformować, ponieważ w drodze powrotnej z farmy Dettericków, wstąpił do pani Price i zadał jej parę pytań - taki był podenerwowany.

“Jeśli nawet u niej nie nocował - dodał - nie ma takiego prawa, które zabraniałoby człowiekowi spać w lesie, panie Edgcombe. Mnie samemu zdarzyło się to raz albo dwa razy”.

Pomocnik nie spał w domu Dettericków, ale dwukrotnie jadł z nimi kolację. Musiał poznać Howiego. Musiał poznać dziewczynki, Corę i Kathe. Przysłuchiwał się ich paplaninie, która na przykład dotyczyła tego, jak nie mogą się już doczekać lata, ponieważ kiedy są grzeczne i jest ciepło na dworze, mama pozwala im czasem spać na werandzie, gdzie udają, że są żonami pionierów pokonujących na wozach Wielkie Równiny.

Mogę go sobie wyobrazić, jak siedzi przy stole, wcinając pieczonego kurczaka i żytni chleb pani Detterick, przysłuchując się, kładąc po sobie swoje wilcze uszy, kiwając głową, lekko się uśmiechając i wszystko dobrze zapamiętując.

- Ten facet nie bardzo przypomina dzikusa, o którym opowiadałaś zaraz po jego przyjeździe do Cold Mountain, Paul - stwierdziła z niedowierzaniem Janice.

- Nie widziała go pani w szpitalu w Indianoli - powiedział Harry. - Stojącego z otwartą gębą i wystającym spod koszuli gołym tyłkiem. Dającego się spokojnie ubrać. Myśleliśmy, że jest albo nafaszerowany lekami, albo przygłupi. Prawda, Dean?

Dean pokiwał głową.

- Dzień po zakończeniu malowania stodoły i wyjeździe pomocnika - podjąłem - facet z chustką na twarzy obrabował Biuro Przewozowe Hampeya w Jarvis. Uciekł z siedemdziesięcioma dolcami. Zabrał również srebrnego dolara z tysiąc osiemset dziewięćdziesiątego drugiego roku, monetę, którą agent trzymał na szczęście. Tego samego dolara znaleziono przy Whartonie, kiedy go aresztowano. A Jarvis leży tylko trzydzieści mil od Tefton.

- Więc ten włamywacz... ten dzikus... myślisz, że zatrzymał się na trzy dni, żeby pomóc Klausowi Detterickowi pomalować stodołę - powiedziała moja żona. - Jadł z nimi kolację i niczym zupełnie normalny facet prosił, żeby mu podać fasolkę.

- Najgorsze w ludziach jego pokroju jest to, że zupełnie nie można przewidzieć, co zrobią - stwierdził Brutal. - Mógł planować, że zabije Dettericków i splądruje ich dom, a potem zmienił zdanie, bo słońce zaszło za chmurę albo coś w tym rodzaju. Może chciał po prostu trochę odpocząć. Najprawdopodobniej jednak miał już na oku te dwie dziewczynki i zamierzał wrócić. Nie sądzisz, Paul?

Pokiwałem głową. Rzeczywiście tak sądziłem.

- Jest jeszcze to nazwisko, które podał Detterickowi - dodałem.

- Jakie nazwisko? - zapytała Janice.

- Will Bonney.

- Bonney? Nie róznu...

- To prawdziwe nazwisko Billy'ego Kida.

- Aha... - Janice otworzyła szerzej oczy. - Aha! Więc możecie pomóc Johnowi Coffeyowi! Dzięki Bogu! Musicie tylko pokazać panu Detterickowi zdjęcie Williama Whartona... wystarczy to, które zrobili mu w więzieniu...

Brutal i ja wymieniliśmy zakłopotane spojrzenie. Na twarzy Deana malował się cień nadziei, ale Harry oglądał badawczo swoje dłonie, tak jakby szalenie zainteresowały go własne paznokcie.

- Co się dzieje? - zapytała Janice. - Dlaczego patrzycie na siebie w ten sposób? Ten McGee będzie przecież musiał...

- Rob McGee zrobił na mnie wrażenie porządnego faceta i jest na pewno solidnym policjantem - stwierdziłem - ale nie ma za dużo do powiedzenia w hrabstwie Trapingus. Władza należy tam do szeryfa Cribusa i prędeż śnieg spadnie w piekle, niż Cribus wznowi postępowanie w sprawie Dettericków na podstawie tego, co udało mi się odkryć.

- Lecz... skoro Wharton tam był... jeśli Detterick rozpozna go na zdjęciu i będą wiedzieli, że tam był...

- Fakt, że był tam w maju, nie oznacza jeszcze, że wrócił i zabił te dziewczynki w czerwcu - oświadczył Brutal. Powiedział to cichym łagodnym tonem, którego używa się mówiąc komuś, że zmarł ktoś bliski. - Z jednej strony mamy tego faceta, który pomógł Klausowi Detterickowi pomalować stodołę i poszedł sobie. Okazało się, że popełniał przestępstwa w całej okolicy, ale nie mamy przeciwko niemu nic w ciągu tych trzech dni, kiedy przebywał w pobliżu Tefton. Z drugiej strony jest ten wielki Murzyn, ten olbrzymi Murzyn, którego znaleziono przy brzegu rzeki, trzymającego w rękach dwie martwe nagie dziewczynki.

Brutal potrząsnął głową.

- Paul ma rację, Janice. McGee może i ma pewne wątpliwości, ale McGee się nie liczy. Ponowne postępowanie może wszcząć tylko Cribus, a Cribus nie chce psuć tego, co uważa za szczęśliwy finał. "Najważniejsze, że to był czarnuch - myśli - a nie jeden z nas. Pojadę do Cold Mountain, zamówię stek i piwo w miejscowej knajpie, obejrzę egzekucję i na tym koniec".

Janice słuchała tego wszystkiego z coraz większym przerażeniem na twarzy.

- Ale McGee zna przecież prawdę, Paul? - zwróciła się do mnie. - Zastępca McGee wie, że aresztował nie tego człowieka. Nie może sprzeciwić się szeryfowi?

- Sprzeciwiając się szeryfowi, może osiągnąć tylko tyle, że straci robotę - odparłem. - Owszem, wydaje mi się, że w głębi serca wie, że to był Wharton. Ale mówi sobie zupełnie co innego: mówi, że jeśli będzie trzymał gębę na kłódkę i przestrzegał reguł gry, do momentu kiedy szeryf Cribus odejdzie na emeryturę albo zdechnie z przeżarcia, wtedy obejmie jego funkcję. I sytuacja będzie zupełnie inna. To właśnie powtarza sobie, jak sądzę, żeby móc spokojnie zasnąć. I w jednym nie różni się chyba tak bardzo od Homera. "To w końcu tylko Murzyn - mówi sobie. - Nie usmażą za to przecież białego człowieka".

- W takim razie to ty będziesz musiał się do nich zwrócić - stwierdziła Janice i serce zamarało mi w piersi, gdy usłyszałem chłodny, pozbawiony wszelkich wątpliwości ton, jakim to powiedziała. - Pójść do nich i poinformować o tym, co odkryłeś.

- I jak mamy wyjaśnić, że na to wpadliśmy, Janice? - zapytał ją Brutal tym samym cichym głosem. - Mamy opowiedzieć, jak Wharton chwycił za rękę Johna, kiedy zabieraliśmy go z więzienia, żeby dokonał cudownego uzdrowienia żony dyrektora?

- Nie... oczywiście, że nie... - Zobaczyła, po jakim cienkim stąpa lodzie i zmieniła taktykę. - Nie musicie mówić prawdy. Możecie skłamać. - Popatrzyła wyzywająco na Brutala, a potem skierowała to samo spojrzenie na mnie. Było dość gorące, żeby wypalić dziurę w gazecie.

- Skłamać - powtórzyłem. - W którym miejscu?

- W jakim celu jeździłeś do hrabstwa Purdom i do Trapingus? Wróc do tego starego spaślaka Cribusa i powiedz mu, że sam Wharton wyjawiał ci, że zgwałcił i zamordował córeczki Dettericków. Że przyznał się do winy. - Na chwilę przeniosła swój palący wzrok na Brutala. - Ty możesz go poprzeć, Brutus. Możesz powiedzieć, że byłeś przy tym, jak się przyznał, i też to słyszałeś. Percy zapewne też to słyszał i z tego powodu mógł wpaść w szal. Zastrzelił Whartona, ponieważ nie mógł myśleć o tym, co Wharton zrobił tym dzieciom. Nie mieściło mu się to w głowie. Po prostu... Co? O co wam teraz chodzi, na litość boską?

Nie zwracała się tylko do mnie i Brutala; Harry i Dean również spoglądali na nią z przerażeniem.

- Nigdy niczego takiego nie zgłaszaliśmy, proszę pani - oznajmił Harry, tak jakby przemawiał do małego dziecka. - Od razu zapytają nas, dlaczego tego od razu nie zrobiliśmy. Mamy obowiązek zgłaszać wszystko, co nasi podopieczni mówią na temat wcześniejszych przestępstw. Własnych i cudzych.

- A poza tym nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy mu wierzyć, Janice - wtrącił Brutal. - Ktoś taki jak Dziki Bill Wharton bez przerwy kłamie. Na temat zbrodni, które popełnił, słynnych ludzi, których znał, kobiet, z którymi sypiał, bramek, jakie strzelił w szkolnej drużynie, nawet na temat cholernej pogody.

- Ale przecież... - Na twarzy Janice malował się coraz większy ból. Podszedłem, żeby objąć ją ramieniem, ale ona gwałtownie mnie odtrąciła. - Przecież on tam był! Malował tę cholerną stodołę! Jadł z nimi obiad!

- To kolejny powód, dla którego mógł się przyznać do nie popełnionej zbrodni - stwierdził Brutal. - Co mu szkodziło? Dlaczego nie miał jej sobie przypisać? Nie można w końcu usmażyć nikogo dwa razy.

- Nie wiem, czy was dobrze rozumiem. Wszyscy, jak siedzimy przy tym stole, wiemy, że John Coffey nie tylko nie zabił tych dziewczynek, ale próbował je ratować. Zastępca McGee oczywiście tego nie wie, lecz zdaje sobie świetnie sprawę, że człowiek skazany na śmierć za dwa morderstwa, wcale ich nie popełnił. A mimo to... mimo to nie możecie postawić go przed sądem? Nie możecie nawet wszcząć na nowo postępowania?

- Tak jest, proszę pani - potwierdził Dean, czyszcząc wściekle okulary. - Tak to mniej więcej wygląda.

Janice siedziała z opuszczoną głową, najwyraźniej się zastanawiając. Brutal chciał coś powiedzieć, ale uciszyłem go gestem ręki. Nie bardzo wierzyłem, że moja żona potrafi wymyślić sposób na wydobycie Johna z pułapki, w jakiej się znalazł, ale nie sądziłem

również, że to zupełnie niemożliwe. Była niesamowicie sprytna. I niesamowicie zdeterminowana. Kiedy połączy się jedno z drugim, człowiek potrafi czasami przenosić góry.

- W porządku - stwierdziła w końcu. - W takim razie musicie wypuścić go sami.

- Co takiego? - Harry wydawał się kompletnie oszołomiony. I przerażony.

- Możecie to zrobić. Już raz wam się przecież udało, prawda? Możecie zrobić to po raz drugi. Tyle że tym razem nie przywieziecie go z powrotem.

- Czy zgodzi się pani wyjaśnić moim dzieciom, dlaczego ich tatuś trafił do pudła, pani Edgecombe? - zapytał Dean. - Oskarżony o pomoc w ucieczce mordercy?

- Nic takiego się nie zdarzy, Dean; trzeba będzie opracować plan. Żeby wyglądało to na prawdziwą ucieczkę.

- Niech pani w takim razie nie zapomina, że to ma być plan dla faceta, który nie potrafi nawet zawiązać sznurowadeł - mruknął Harry. - Będą musieli w to uwierzyć.

Janice posłała mu niepewne spojrzenie.

- To i tak nic nie da - stwierdził Brutal. - Jeśli nawet wymyślimy taki plan, to i tak nic nie da.

- Dlaczego nie? - Głos Janice brzmiał, jakby miała zaraz wybuchnąć płaczem. - Dlaczego nie, do jasnej cholery?

- Dlatego, że mówimy o mierzącym sześć stóp osiem cali, łysym Murzynie, który nie ma dość oleju w głowie, żeby zdobyć samemu jakieś pożywienie - powiedziałem. - Ile czasu minie twoim zdaniem do chwili, kiedy go z powrotem złapią? Dwie godziny? Sześć godzin?

- Przedtem nie zwracał na siebie jakoś większej uwagi - stwierdziła. Po policzku spłynęła jej pojedyncza łza. Wytarła ją niecierpliwym ruchem dłoni.

Tu akurat miała rację. Napisałem do kilku znajomych i krewnych mieszkających na Południu, pytając, czy nie czytali w gazetach czegoś na temat Murzyna odpowiadającego rysopisowi Johna Coffeya. Bez żadnego odzewu. Janice zrobiła to samo. Do tej pory uzyskaliśmy jedną pozytywną odpowiedź. W mieście Muscle Shoals w Alabamie trąba powietrzna zniszczyła kościół podczas próby chóru... zdarzyło się to bodaj w tysiąc dziewięćset dwudziestym dziewiątym... i wielki Murzyn wyciągnął dwóch mężczyzn z rumowiska. Z początku sprawiali wrażenie martwych, ale potem okazało się, że nie są nawet poważnie ranni. To wyglądało jak cud, oświadczył jeden z cytowanych w gazecie świadków. Murzyn, włóczęga, którego pastor wynajął do robienia porządków, zniknął w powstałym zamieszaniu.

- Masz rację, jakoś mu się udawało - zgodził się Brutal. - Ale musisz pamiętać, że działo się to, zanim oskarżono go o zgwałcenie i zamordowanie dwóch małych dziewczynek.

Janice nie odpowiedziała ani słowem. Siedziała tak prawie przez całą minutę, a potem zrobiła coś, co wstrząsnęło mną tak mocno, jak nią musiały wstrząsnąć moje nieoczekiwane łzy. Wyciągnęła rękę i jednym ruchem zrzuciła na podłogę wszystko, co stało na stole - talerze, szklanki, filiżanki, sztucce, wazę z kapustą, wazę z dynią, półmisek z pokrojoną szynką, mleko i dzbanek z zimną herbatą. Wszystko poleciało na podłogę, tłukąc się w drobiazgi.

- Niech mnie kule! - zawołał Dean, odchylając się od stołu tak gwałtownie, że o mało nie upadł na plecy.

Janice zignorowała go. Patrzyła na Brutala i na mnie, przede wszystkim na mnie.

- Więc macie go zamiar zabić, wy tchórze? - zapytała. - Macie zamiar zabić człowieka, który uratował życie Melindzie Moores i który próbował ocalić te dwie małe dziewczynki. Będzie o jednego czarnucha mniej na tym świecie, prawda? Tym chyba się pocieszacie. O jednego czarnucha mniej.

Wstała, spojrzała na swoje krzesło i rąbnęła nim o ścianę. Krzesło odbiło się i runęło na rozbite skorupy. Chciałem wziąć ją za rękę, ale wyrwała się.

- Nie dotykaj mnie - powiedziała. - W przyszłym tygodniu o tej samej porze będziesz mordercą nie lepszym od Whartona, więc nie waż się mnie dotykać.

Wyszła na tylną werandę, zakryła fartuchem twarz i zaczęła płakać. Wszyscy czterej spojrzeliśmy na siebie. Po jakimś czasie wstałem z krzesła i zacząłem sprzątać. Po chwili przyłączył się do mnie Brutal, potem Harry i Dean. Kiedy doprowadziliśmy kuchnię do jakiegoś takiego porządku, wyszli. Żaden z nas nie odezwał się przez cały czas ani słowem. Naprawdę nie mieliśmy sobie nic do powiedzenia.



Tej nocy nie miałem służby. Siedziałem w salonie naszego małego domu, paląc papierosy, słuchając radia i patrząc, jak mrok wynurza się z ziemi i połyka niebo. Telewizja nie jest zła, nie mam nic przeciwko niej, ale nie lubię tego, że odciąga od reszty świata, każąc skoncentrować się na swojej szklanej jaźni. Pod tym jednym względem radio było lepsze.

Janice weszła, uklękła przy moim fotelu i wzięła mnie za rękę. Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało, zastygliśmy po prostu w bezruchu, słuchając *Uniwersytetu Muzycznego* Kaya Kysera i patrząc na zapalające się gwiazdy. Mnie to odpowiadało.

- Strasznie mi przykro, że nazwałam cię tchórzem - szepnęła. - Żałuję tego bardziej niż czegokolwiek, co powiedziałam w ciągu całego naszego małżeństwa.

- Bardziej niż tego, że nazwałam mnie Śmierdzącym Samem, kiedy obozowaliśmy w górach? - zapytałem. Roześmieliśmy się, pocałowaliśmy i znowu zapanowała między nami zgoda. Była taka piękna, moja Janice, i wciąż o niej śnię. Chociaż jestem stary i zmęczony życiem, śnię, że wchodzi do mojego pokoju w tym samotnym zapomnianym miejscu, gdzie korytarze śmierdzą sikami i starą gotowaną kapustą. Jest młoda i piękna, ma błękitne oczy i śliczne jędrne piersi, do których zawsze biegły mi ręce. "Nie było mnie wcale w tym autobusie, który wpadł w poślizg, kochanie - mówi. - Coś ci się pomyliło". Śni mi się to nawet teraz i czasami budząc się i widząc, że to tylko sen, płacząc. Ja, który w młodości prawie nigdy nie płakałem.

- Czy Hal wie? - zapytała w końcu.

- Że John jest niewinny? Nie bardzo widzę, jak mógłby się dowiedzieć.

- Czy może pomóc? Czy jest w stanie wpłynąć na Cribusa?

- W żaden sposób, kochanie.

Pokiwała głową, jakby tego się właśnie spodziewała.

- W takim razie nic mu nie mów. Skoro i tak nie może pomóc, nic mu nie mów.

- Dobrze.

Spojrzała na mnie z powagą.

- I nie bierz na tę noc zwolnienia. Niech żaden z was nie bierze. Nie wolno wam.

- Wiem o tym. Jeśli tam będziemy, możemy przynajmniej szybko to załatwić. Tyle jesteśmy w stanie zrobić. Nie powtórzy się historia Delacroix.

Przez moment, na szczęście bardzo krótki, ujrzałem przed oczyma czarną jedwabną

maskę palącą się na twarzy Dela i wylaniające się spod niej galaretowate kulki, które były jego oczyma.

- Nie masz żadnego wyjścia, prawda? - powiedziała Janice, biorąc mnie za rękę i pocierając nią o swój miękki aksamitny policzek. - Biedny Paul. Biedny stary Paul.

Milczałem. Nigdy przedtem ani potem nie miałem tak wielkiej ochoty uciec, gdzie pieprz rośnie. Zabrać po prostu Janice, zapakować wszystko w jedną torbę i wziąć nogi za pas.

- Mój biedny stary Paul - powtórzyła, a potem dodała: - Porozmawiaj z nim.

- Z kim? Z Johnem?

- Tak. Porozmawiaj z nim. Dowiedz się, czego chce.

Zastanowiłem się nad tym i pokiwałem głową. Miała rację. Jak zwykle miała rację.

Dwa dni później, osiemnastego, Bill Dodge, Hank Bitterman i ktoś jeszcze - nie pamiętam nazwiska, jakiś nowicjusz - zabrali Johna Coffeya na blok D, żeby wziął prysznic, a my zrobiliśmy próbę generalną jego egzekucji. Nie pozwoliliśmy Tu-Tutowi odgrywać roli Johna; w ogóle o tym nie mówiąc, zdawaliśmy sobie sprawę, że byłoby to nieprzyzwoite.

Rolę Johna grałem ja.

- Johnie Coffey - oznajmił niezbyt pewnym głosem Brutal, kiedy unieruchomili mnie na Starej Iskrówie - zostałeś skazany na śmierć na krześle elektrycznym na mocy werdyktu wydanego przez równych sobie...

Równych Johnowi Coffeyowi? Co za kpina. Z tego, co wiedziałem, na całej planecie nie było nikogo, kto mógł się z nim równać. A potem pomyślałem o tym, co powiedział John, kiedy przyglądał się Iskrówie, stojąc na schodach prowadzących do mojego gabinetu: "Wciąż tutaj są. Słyszę, jak krzyczą".

- Wypuście mnie stąd - wymamrotałem chrapliwym głosem. - Odepnijcie te klamry i dajcie mi wstać.

Zrobili to, ale przez moment nie byłem w stanie się ruszyć, tak jakby Stara Iskrówka nie chciała wypuścić mnie ze swoich objęć.

Kiedy wracaliśmy na blok, Brutal odezwał się do mnie półgłosem, tak żeby nie usłyszeli go Dean i Harry, którzy ustawiali ostatnie krzesła.

- Zrobiłem w swoim życiu parę rzeczy, z których nie jestem dumny - stwierdził - ale po raz pierwszy czuję, że naprawdę grozi mi piekło.

Przyjrzałem mu się uważnie, żeby sprawdzić, czy nie żartuje. Nie sprawiał takiego wrażenia.

- Co masz na myśli?

- Mam na myśli to, że szykujemy się do zabójstwa daru niebios - odparł. - Kogoś, kto nigdy nie zrobił krzywdy ani nam, ani nikomu innemu. Co mam powiedzieć, kiedy stanę przed obliczem Boga wszechmogącego, a On zapyta, dlaczego to zrobiłem. Bo taka była moja praca? Moja praca?

Kiedy John wrócił z łaźni i blok opuścili nowi strażnicy, otworzyłem drzwi jego celi, wszedłem do środka i usiadłem przy nim na pryczy. Brutal siedział przy biurku. Podniósł wzrok, zobaczył, że tam siedzę, ale nic nie powiedział. Pochylił się z powrotem nad papierami, które musiał wypełnić, i pisał dalej, liżąc bez przerwy czubek ołówka.

John spojrzał na mnie swoimi dziwnymi oczyma - podbiegłymi krwią, odległymi i lekko załzawionymi... a mimo to spokojnymi, jakby płacz nie był takim złym sposobem na życie, kiedy się do niego przyzwyczaić. Nawet się trochę uśmiechnął. Pachniał mydłem Ivory, pamiętam, czysty i świeży niczym dziecko po wieczornej kąpieli.

- Cześć, szefie - odezwał się, po czym wziął moje obie ręce w obie swoje. Zrobił to z zupełnie spontaniczną naturalnością.

- Cześć, John. - Coś utkwiło mi w gardle i próbowałem to przełknąć. - Wiesz chyba, że niewiele już zostało czasu. Kilka dni.

Nic nie odpowiedział, trzymał tylko dalej moje ręce w swoich. Kiedy spoglądam wstecz, wydaje mi się, że już wtedy zaczęło się ze mną coś dziać, ale byłem zbyt skoncentrowany - umysłowo i emocjonalnie - na tym, co zamierzałem uczynić, by to zauważyć.

- Czy jest coś specjalnego, co chciałbyś dostać tego dnia na kolację, John? Możemy ci sprowadzić prawie wszystko. Nawet piwo, jeśli masz ochotę. Wlejemy je po prostu do filiżanki od kawy.

- Nigdy nie próbowałem piwa - odparł.

- Więc może coś specjalnego do jedzenia?

Jego brew zmarszczyła się pod gładkim brązowym czołem. A potem zmarszczki się wygładziły i na jego wargach pojawił się uśmiech.

- Może być mielony.

- Masz go jak w banku. Z sosem i kartoflami. - Poczułem mrowienie, podobne do tego, jakie czuje się w ręce, na której się spało, tyle że teraz mrowiło mnie w całym ciele. - Co jeszcze do tego chcesz?

- Nie wiem, szefie. Wszystko, co pan przyniesie. Może kapustę, ale nie zależy mi aż tak bardzo.

- W porządku - oświadczyłem i pomyślałem sobie, że na deser dostanie również ciasto

brzoskwiniowe pani Janice Edgecombe. - A teraz, co myślisz o księdzu? O kimś, z kim mógłbyś pojutrze zmówić krótką modlitwę? To dodaje człowiekowi otuchy, widziałem już nieraz. Mógłbym skontaktować się z wielebnym Schusterem. To ten duchowny, który przyjechał do Dela...

- Nie chcę żadnego księdza - stwierdził. - Pan był dla mnie dobry, szefie. Jeśli pan chce, może pan ze mną odmówić modlitwę. To będzie w porządku. Mogę z panem chyba chwilę pokłęczeć.

- Ze mną? Ja nie mogę, John...

Ścisnął mnie trochę mocniej za ręce i to uczucie stało się silniejsze.

- Może pan - powiedział. - Prawda, szefie?

- Chyba mogę - usłyszałem sam siebie. Mój głos odbijał się dziwnym echem. - Skoro to konieczne, chyba mogę.

Uczucie, którego doznawałem, potęgowało się. Przypominało moment, kiedy wyleczył moje drogi moczowe, ale było trochę inne. Nie tylko dlatego, że tym razem nic mi nie dolegało. Było inne, ponieważ tym razem John nie zdawał sobie sprawy, że coś mi robi. Nagle poczułem strach, nieodparte pragnienie, żeby się stamtąd wydostać. Zapalały się we mnie światła tam, gdzie ich nigdy przedtem nie było. Nie tylko w moim mózgu; w całym ciele.

- Pan, a także pan Howell i inni szefowie byliście dla mnie dobrzy - oświadczył John.

- Wiem, że się martwicie, ale niepotrzebnie. Bo ja chcę odejść, szefie.

Próbowałem się odezwać, ale nie potrafiłem. On za to potrafił. To, co wtedy powiedział, było najdłuższą wypowiedzią, jaką od niego usłyszałem.

- Jestem strasznie zmęczony bólem, który słyszę i czuję, szefie. Zmęczony tym, że ciągle wędruję, samotny jak drozd na deszczu. Nie mając nigdy żadnego kumpla, z którym mógłbym wędrować i który powiedziałby mi, skąd, dokąd i po co idziemy. Jestem zmęczony tym, że ludzie są dla siebie niedobrzy. To boli, jakbym miał w głowie potłuczone szkło. Jestem zmęczony tym, że nie zawsze mogłem pomóc. Zmęczony ciemnością. Czuję głównie ból. Jest go za dużo. Gdybym mógł z tym skończyć, zrobiłbym to. Ale nie mogę.

Przestań, chciałem zawołać. Przestań, puść moje ręce. Utonę, jeśli tego nie zrobisz. Utonę albo eksploduję.

- Nie eksploduje pan - stwierdził, uśmiechając się lekko na tę myśl, ale puścił moje ręce.

Pochyliłem się do przodu, łapiąc kurczowo powietrze. Miedzy kolanami widziałem każde pęknięcie cementowej podłogi, każdy rowek, każde ziarenko miki. Spojrzałem na

ścianę i zobaczyłem nazwiska, które zapisano tam w dwudziestym czwartym, dwudziestym szóstym i trzydziestym pierwszym roku. Te nazwiska dawno zmyto i ludzie, którzy je wyryli, też zostali, jeśli można tak powiedzieć, zmyci, ale przypuszczam, że nie sposób tak do końca zmyć niczego, nie z ciemnej szyby świata. Teraz zobaczyłem je ponownie, plątaninę zachodzących na siebie liter, i wpatrując się w nie miałem wrażenie, że słucham umarłych, którzy przemawiają, śpiewają i błagają o łaskę. Czuję, jak oczy wychodzą mi z orbit, słyszałem bicie własnego serca i szum krwi, która pędziła wszystkimi bulwarami mojego ciała niczym listy wysłane w różne strony świata.

Usłyszałem dobiegający z oddali gwizd pociągu - to był chyba odchodzący o trzeciej pięćdziesiąt osobowy do Priceford, ale nie miałem pewności, bo nie słyszałem go nigdy przedtem. W każdym razie nie z Cold Mountain, ponieważ linia kolejowa biegła w odległości dziesięciu mil od stanowego więzienia. Nie mogłem usłyszeć go z Cold Mountain, powiecie, i aż do listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku zgodziłem się z wami, ale tego dnia słyszałem.

Gdzieś pękła żarówka, głośno jak eksplodująca bomba.

- Co mi zrobiłeś? - szepnąłem. - Co mi zrobiłeś, John?

- Przepraszam, szefie - odparł z tym swoim spokojem. - Zagapiłem się. Ale nic się chyba nie stało. Niedługo poczuje się pan normalnie.

Wstałem i podszedłem do drzwi celi. Miałem wrażenie, że idę we śnie.

- Dziwi się pan, dlaczego nie krzyczały - powiedział, kiedy tam dotarłem. - To jedyna rzecz, której pan wciąż nie rozumie, prawda? Dlaczego te dwie dziewczynki nie krzyczały, kiedy były jeszcze na werandzie?

Odwróciłem się i spojrzałem na niego. Widziałem każdą czerwoną żyłkę w jego oczach, każdy por na jego twarzy, i czułem jego cierpienie, ból, który przyjmował od innych ludzi, tak jak gąbka wchłania wodę. Widziałem także ciemność, o której mówił. Zalegała we wszelkich szczelinach widzianego przezeń świata i w tym momencie poczułem jednocześnie wielki żal i ulgę. Tak, to, co mieliśmy zamiar zrobić, było straszne, nic tego nie mogło zmienić... lecz mimo to wyświadczaliśmy mu przysługę.

- Zrozumiałem to, kiedy ten zły człowiek mnie złapał - powiedział John. - Wtedy wiedziałem już, że to on zrobił. Zobaczyłem go tamtego dnia. Byłem w lesie i widziałem, jak je porzuca i ucieka, ale...

- Ale zapomniałeś - dopowiedziałem.

- Zgadza się, szefie. Przypomniałem sobie dopiero, kiedy mnie dotknął.

- Dlaczego one nie krzyczały, John? Pobił je do krwi, na górze byli ich rodzice, więc

dlaczego nie krzyczały?

John spojrział na mnie swymi udręczonymi oczyma.

- "Jeśli będziesz krzyczała, ostrzegł jedną, zabiję nie ciebie, ale twoją siostrę". To samo powiedział drugiej. Widzi pan?

- Tak - szepnąłem i rzeczywiście ujrzałem pogrążoną w mroku werandę Dettericków. I Whartona niczym upiór pochylonego nad dziewczynkami. Jedna z nich zaczęła chyba płakać i Wharton uderzył ją w nos, który zaczął krwawić. Stąd wzięła się większość krwi.

- Zabił je ich miłością - stwierdził John. - Ich wzajemną miłością. Widzi pan, jak to było?

Pokiwałem głową, niezdolny wykrztusić słowa.

John uśmiechnął się. Z oczu znowu płynęły mu łzy, ale uśmiechał się.

- To samo dzieje się każdego dnia - powiedział. - Na całym świecie.

A potem położył się i odwrócił głową do ściany.

Wyszedłem na korytarz, zamknąłem jego celę i poczłapałem do biurka. Wciąż miałem wrażenie, że śnię. Zdałem sobie sprawę, że słyszę myśli Brutala - bardzo cichy szept dotyczący tego, jak napisać jakieś słowo, chyba *receive*. "T" przed "e", zastanawiał się, chyba że poprzedza je "c", czy nie tak brzmi ta pieprzona zasada? Podniósł głowę i chciał się uśmiechnąć, ale spowaźniał, kiedy mi się lepiej przyjrzał.

- Dobrze się czujesz, Paul? - zapytał.

- Dobrze - odparłem, po czym powiedziałem mu to, co usłyszałem od Johna; nie wszystko i ani słowa o tym, jaki wpływ wywarł na mnie jego dotyk (nie zdradziłem tego nikomu, nawet Janice; pierwszą osobą, która się o tym dowie, będzie Elaine Connelly, oczywiście pod warunkiem, że zechce przeczytać te kartki po lekturze pozostałych). Wspomniałem jednak, że John chce odejść. To uspokoiło trochę Brutala, wyczułem jednak (a może usłyszałem), że zastanawia się, czy nie zmyśliłem tego, żeby mu ulżyć. Po chwili postanowił w to uwierzyć, po prostu dlatego, że w ten sposób mógł ułatwić sobie trochę sytuację, gdy nadejdzie pora.

- Czy nie wraca ta twoja infekcja? - zapytał. - Zrobiłeś się cały czerwony.

- Nie, czuję się bardzo dobrze - odpowiedziałem. Nie czułem się dobrze, ale miałem pewność, że John się nie myli i że niedługo dojdę do siebie. Mrowienie zaczynało ustępować.

- Tak czy owak powinienes chyba wrócić do swojego gabinetu i trochę się położyć.

Położenie się było ostatnią rzeczą, na którą miałem ochotę - sama myśl o tym wydała mi się tak zabawna, że o mało się nie roześmiałem. W tym momencie miałem raczej ochotę wybudować sobie mały domek, pokryć go dachem, zaorać leżący za nim kawałek gruntu i

posadzić kwiaty. Wszystko to jeszcze przed kolacją.

Tak to wygląda, pomyślałem. Codziennie. Na całym świecie. Ta ciemność. Na całym świecie.

- Lepiej pójde do administracji - oświadczyłem. - Mam tam do załatwienia kilka rzeczy.

- Jak sobie życzysz.

Podszedłem do drzwi, otworzyłem je i obejrzałem się.

- Dobrze zapamiętałeś - powiedziałem. - R-e-c-e-i-v-e. "I" przed "e", chyba że poprzedza je "c". Oczywiście w większości przypadków. Domyślałem się, że i tu zdarzają się wyjątki od reguły.

Wychodząc, nie musiałem się oglądać, żeby wiedzieć, iż wpatruje się we mnie z szeroko otwartymi ustami.

Kursowałem po całym terenie aż do końca zmiany, nie mogąc usiedzieć pięciu minut w jednym miejscu. Po powrocie z administracji maszerowałem jakiś czas w tę i z powrotem po pustym spacerniaku. Strażnicy na wieżach musieli uznać, że postradałem zmysły. Pod koniec zmiany zacząłem się jednak uspokajać i przestałem prawie słyszeć ten szum myśli, który przypominał spadające liście.

Mimo to w połowie drogi do domu niepokój powrócił. W podobny sposób, w jaki wróciła moja infekcja. Musiałem zaparkować forda na poboczu, wysiąść i przebiec sprintem prawie pół mili, trzymając nisko opuszczoną głowę, machając ramionami i łykając powietrze, ciepłe niczym coś, co trzymało się pod pachą. Dopiero wtedy poczułem się w końcu normalnie. Wracając do zaparkowanego samochodu połowę drogi przebyłem truchtem, a połowę normalnym krokiem, z parującym w chłodnym powietrzu oddechem. Po przyjeździe do domu powiedziałem Janice, że John Coffey stwierdził, iż jest gotów i chce odejść. Pokiwała głową i chyba przyniosło jej to ulgę. Czy na pewno? Nie byłem o tym przekonany. Sześć, nawet trzy godziny wcześniej wiedziałbym to z całą pewnością, ale teraz nie. I tak było dobrze. John powtórzył kilka razy, że jest zmęczony, i rozumiałem już dlaczego. To, co czuł, wyczerpałoby każdego. Każdy zapragnąłby na jego miejscu odpoczynku i spokoju.

Kiedy Janice zapytała mnie, dlaczego jestem taki zaczerwieniony i spocony, odparłem, że zatrzymałem w drodze samochód i trochę pobiegałem. Odpowiedziałem na jej pytanie - wspomniałem już chyba (tak dawno, że nie chce mi się teraz cofać i tego sprawdzać), iż w naszym małżeństwie nie było miejsca na kłamstwa - nie wyjaśniłem jednak, dlaczego biegałem.

A ona nie zapytała.



Tej nocy, kiedy John Coffey miał przejść Zieloną Milę, za oknami nie huczały pioruny. Było stosunkowo zimno jak na tę porę roku; milion gwiazd świecił nad martwymi pustymi polami, a krople mrozu lśniły niczym brylanty na sztachetach i suchych szkieletach zżętego w lipcu zboża.

Za przebieg egzekucji odpowiadał tym razem Brutus Howell - to on miał nałożyć kask skazanemu i powiedzieć Van Hayowi, żeby puścił prąd, kiedy nadejdzie pora. Mniej więcej dwadzieścia po jedenastej wieczorem dwudziestego listopada Dean, Harry i ja udaliśmy się do naszej jedynej zamieszkałej celi. John Coffey siedział na skraju pryczy, z rękoma splecionymi między kolanami i małą plamką sosu na kołnierzyku niebieskiej koszuli. Przyglądał się nam przez kraty, o wiele, jak się wydawało, spokojniejszy od nas. Miałem zimne dłonie i pulsowało mi w skroniach. Co innego było wiedzieć, że tego chciał - pozwoliło nam to przynajmniej spełnić nasz obowiązek - co innego mieć świadomość, że stracimy go za zbrodnię popełnioną przez kogoś innego.

Po raz ostatni widziałem Hala Mooresa o siódmej wieczorem. Stał w swoim gabinecie i zapinał palto. Miał bladą twarz i ręce trzęsły mu się tak bardzo, że robił z tego zapinania niezłe przedstawienie. Miałem prawie ochotę odsunąć jego palce na bok i pomóc mu, tak jak pomaga się małemu dziecku. Ironia losu polegała na tym, że w dniu egzekucji Johna Coffeya Hal wyglądał gorzej niż Melinda, kiedy ja i Janice odwiedziliśmy ją w poprzedni weekend.

- Nie zostaję na noc - powiedział. - Będzie tam Curtis i wiem, że z tobą i Brutusem Coffey znajdzie się w dobrych rękach.

- Postaramy się zrobić, co do nas należy, panie dyrektorze. Czy są jakieś wiadomości o Percym? - zapytałem. Miałem oczywiście na myśli, czy wraca do zdrowia. Czy nie siedzi w jakimś pokoju i nie opowiada komuś - najprawdopodobniej lekarzowi - jak wsadziliśmy go w kaftan bezpieczeństwa i rzuciliśmy do izolatki niczym pierwszego lepszego więźnia - pierwszego lepszego złamasa, używając języka Percy'ego. A jeśli opowiada, czy mu wierzą?

Zdaniem Hala stan Percy'ego nie uległ zmianie. Nie odzywał się i z tego, co można stwierdzić, w ogóle nie kontaktował się z zewnętrznym światem. Przebywał nadal w Indianoli - "na obserwacji", oświadczył Hal takim tonem, jakby dziwił się temu słowu - ale wkrótce, jeśli jego stan się nie poprawi, zostanie przeniesiony.

- Jak zachowuje się Coffey? - zapytał Hal. Udało mu się w końcu zapiąć ostatni guzik

pałta.

- Nie sprawi żadnych kłopotów, panie dyrektorze - odparłem, kiwając głową.

Hal również pokiwał głową i podszedł do drzwi. Wyglądał staro, jakby był schorowany.

- Jak tyle dobra i tyle zła może mieścić się równocześnie w jednym człowieku? - zastanawiał się głośno. - Jak ktoś, kto uzdrowił moją żonę, może być mordercą tych dwóch małych dziewczynek? Rozumiesz to?

Odparłem na to, że nie rozumiem. Niezbadane są wyroki opatrzości, w każdym z nas mieszka po równi dobro i zło i nie powinniśmy pytać dlaczego, trele-morele, klituś-bajduś. Większości rzeczy, które mu powiedziałem, nauczyłem się w Kościele Czcieli Jezusa. Hal kiwał przez cały czas głową i wydawał się podniesiony na duchu. Był w końcu w stanie kiwać głową, prawda? I sprawiać wrażenie podniesionego na duchu. Na jego twarzy malował się głęboki smutek - był wstrząśnięty i ani przez chwilę w to nie wątpiłem - ale tym razem nie pojawiły się łzy, ponieważ miał w domu żonę, do której mógł wrócić, miał swoją towarzyszkę życia, która czuła się dobrze. Czuła się dobrze dzięki Johnowi Coffeyowi i człowiek, który podpisał nakaz egzekucji Johna, mógł teraz wyjść i do niej pojechać. Nie musiał patrzeć na to, co się wydarzy. Tej nocy zaśnie w ciepłych objęciach swojej żonki, podczas gdy John Coffey będzie powoli stygł na betonie w podziemiach miejscowego szpitala. Za to wszystko nienawidziłem Hala. Nienawidziłem tylko trochę i szybko się opanowałem, ale była to autentyczna nienawiść, nie ma co do tego dwóch zdań.

Teraz wszedłem do celi Johna, a w ślad za mną Dean i Harry, obaj bladzi i przygnębieni.

- Jesteś gotów, John? - zapytałem.

- Tak, szefie. Chyba tak - odparł, kiwając głową.

- To dobrze. Mam ci coś do powiedzenia, zanim wyjdziemy.

- Niech pan mówi, to co pan musi powiedzieć, szefie.

- Johnie Coffeyu, jako funkcjonariusz prawa...

Wygłosiłem całą swoją mowę, a kiedy skończyłem, Harry Terwilliger zrobił krok do przodu i wyciągnął rękę. John najpierw zdziwił się, ale potem się uśmiechnął i uścisnął ją. Następnie podał mu rękę jeszcze bardziej pobladły Dean.

- Zaslugujesz na coś lepszego, Johnny - odezwał się ochryplym głosem. - Przepraszam.

- Nic mi się nie stanie - odparł John. - To najtrudniejszy moment. Potem wszystko będzie ze mną w porządku.

Wstał z pryczy i spod koszuli wychylił się medalik ze świętym Krzysztofem, który dała mu Melly.

- Muszę go zabrać, John - powiedziałem. - Jeśli chcesz, mogę zawiesić go z powrotem, kiedy... kiedy będzie po wszystkim, ale teraz muszę go zabrać.

Medalik był srebrny i gdyby wisiał na jego szyi, kiedy Jack Van Hay puści prąd, mógł wtopić się w skórę. Albo zostawić wypalone odbicie na piersi. Widziałem takie rzeczy już wcześniej. Widziałem prawie wszystko podczas służby na Mili. Więcej niż było dla mnie dobre. Teraz to wiedziałem.

John zdjął łańcuszek przez głowę i położył go na mojej dłoni. Schowałem go do kieszeni i kazałem mu wyjść z celi. Nie musiałem dotykać jego głowy, żeby sprawdzić, czy prąd nie napotka żadnych przeszkód; była gładka niczym pupa niemowlęcia.

- Wie pan co, szefie? Dziś po południu zdrzemnąłem się i miałem sen - oświadczył. - Przyśniła mi się mysz Dela.

- Naprawdę? - zapytałem, stając z jego lewej strony. Harry stanął z prawej, Dean z tyłu i ruszyliśmy razem Zieloną Miłą. Co do mnie, po raz ostatni szedłem nią z więźniem.

- Tak jest - odparł. - Śniło mi się, że trafiła do tego miejsca, o którym mówił szef Howell, do tego Mouseville. Były tam dzieci i śmiały się z jej sztuczek. Niech mnie! - John roześmiał się, a potem spoważniał. - Śniło mi się, że były tam te dwie jasnowłose dziewczynki. I też się śmiały. Wziąłem je w ramiona. Z główek nie płynęła im krew i czuły się dobrze. Wszyscy patrzyliśmy, jak Pan Dzwoneczek toczy tę szpulkę i śmieliśmy się od ucha do ucha. Do rozpuku.

- Naprawdę? - powtórzyłem. Przyszło mi do głowy, że nie dam rady tego zrobić, po prostu nie dam rady. Zacznę płakać albo krzyczeć, serce pęknie mi z żalu i taki będzie koniec.

Weszliśmy do mojego gabinetu. John rozejrzał się dookoła, a potem bez pytania osunął się na kolana. Stojący za nim Harry wbił we mnie udręczony wzrok. Dean był biały jak prześcieradło.

Ukląknęłam razem z Johnem i pomyślałem, że szykuje się śmieszna zamiana ról; po wszystkich więźniach, którym pomagałem dotrzeć do kresu podróży, tym razem to ja potrzebowałem pomocy. Tak się przynajmniej czułem.

- O co się pomodlimy, szefie? - zapytał John.

- O siłę - odparłem bez zastanowienia. - Święty Panie Zastępów - powiedziałem, zamykając oczy - proszę, pomóż nam spełnić to, co zaczęliśmy i proszę weź do nieba i obdarz spokojem tego człowieka, Johna Coffeya... którego nazwisko wymawia się jak napój, ale inaczej się pisze. Proszę, pomóż nam pożegnać go tak, jak na to zasługuje, i nie dopuść, by

cokolwiek poszło źle.

Otworzyłem oczy i spojrzałem na Deana i Harry'ego. Obaj wyglądali nieco lepiej. Może dlatego, że mieli trochę czasu, żeby złapać oddech. Wątpię, by sprawiła to moja modlitwa.

Chciałem wstać, ale John złapał mnie za ramię i spojrzał na mnie jednocześnie nieśmiało i z nadzieją.

- Pamiętam pacierz, którego ktoś nauczył mnie, kiedy byłem mały - stwierdził. - Tak mi się przynajmniej wydaje. Czy mógłbym go odmówić?

- Nie śpiesz się i odmów, co chcesz - powiedział Dean. - Mamy dużo czasu.

John zamknął oczy i zmarszczył czoło, próbując się skoncentrować. Oczekiwałem jakiejś kołysanki albo zniekształconej wersji Modlitwy Pańskiej, ale było to zupełnie coś innego. Nigdy przedtem ani potem nie słyszałem tej modlitwy, chociaż użyte w niej zwroty i odwołania nie były mi wcale obce.

- Mały Jezu, łagodny i miły - zaczął Coffey, trzymając złożone ręce przed zaciśniętymi oczyma - módl się za mnie z całej siły. Bądź moim oparciem, bądź moim przyjacielem, bądź ze mną do samego końca. Amen.

Otworzył oczy i chciał wstać, ale potem uważnie mi się przyjrzał.

Otarłem ręką oczy. Słuchając go, myślałem o Delu; o tym, że on także chciał odmówić jeszcze jedną modlitwę. Święta Mario, Matko Boża, módl się za nami grzesznymi teraz i w godzinę śmierci naszej.

- Przepraszam, John.

- Nie ma za co - odparł, ściskając mnie za ramię i uśmiechając się. A potem, dokładnie tak jak się tego spodziewałem, pomógł mi podnieść się z klęczek.

Świadków nie było wielu - najwyżej czternastu, połowa tłumu, jaki gościliśmy w szopie podczas egzekucji Delacroix. Był wśród nich Homer Cribus, jak zwykle nie mieszczący się na krześle, nie widziałem jednak zastępcy McGee. Podobnie jak dyrektor Moores, postanowił najwyraźniej darować sobie przedstawienie.

W pierwszym rzędzie siedziała para starszych ludzi, których z początku nie rozpoznałem, mimo że oglądałem ich zdjęcia w wielu gazetach. A potem, kiedy zbliżyliśmy się do podwyższenia, na którym czekała Stara Iskrówa, kobieta krzyknęła "Umieraj wolno, ty sukinsynu!" i zdałem sobie sprawę, że to Detterickowie, Klaus i Marjorie. Nie poznałem ich, ponieważ nieczęsto widuje się starszków, którzy nie ukończyli czterdziestego roku życia.

John skulił ramiona, słysząc krzyk kobiety i aprobujące chrząknięcie szeryfa Cribusa. Hank Bitterman, który stał na posterunku przed grupką widzów, ani na chwilę nie spuścił z oka Klause Dettericka. Takie wydałem mu polecenie, ale Detterick w ogóle nie próbował się zbliżyć do Johna tej nocy. Detterick wydawał się przebywać na innej planecie.

Kiedy weszliśmy na podwyższenie, stojący przy Starej Iskrówie Brutal dał mi mały znak palcem. Poprawił broń przy pasie, po czym wziął Johna za rękę i ruszył do krzesła elektrycznego, prowadząc go niczym chłopak, który prowadzi swoją sympatię do pierwszego tańca na parkiecie.

- Wszystko w porządku? - zapytał półgłosem.

- Tak, szefie, ale... - Oczy Johna latały na wszystkie strony i po raz pierwszy wydawał się przestraszony. - Ale mnóstwo ludzi tutaj mnie nienawidzi. Mnóstwo. Czuję to. To boli. Wbija się we mnie jak żądła os i boli.

- Słuchaj w takim razie tego, co my czujemy - poradził mu tym samym cichym tonem Brutal. - My cię nie nienawidzimy... czujesz to?

- Tak, szefie - odparł John, ale głos drżał mu coraz bardziej, a z oczu znowu zaczęły płynąć łzy.

- Zabijcie go dwa razy, chłopcy! - wrzasnęła nagle Marjorie Detterick. Jej ochryply przeraźliwy głos był niczym policzek. John przywarł do mnie i jęknął. - Zabijcie dwa razy tego gwałciciela dzieci! Należy mu się!

Klaus, wciąż sprawiający wrażenie śpiącego na jawie, pociągnął ją za ramię i Marjorie zaczęła szlochać.

Zobaczyłem z przerażeniem, że płacze również Harry Terwilliger. Żaden z widzów na razie tego nie widział - był odwrócony do nich plecami - lecz płakał jak bóbr. Ale cóż nam zostało? Musieliśmy ciągnąć to dalej.

Brutał i ja obróciliśmy Johna dookoła. Brutał oparł rękę na jego wielkim ramieniu i John usiadł, zaciskając palce na szerokich dębowych poręczach Iskrówki. Oczy miał rozbiegane, a język wysuwał się z ust, zwilżając je raz z jednej, raz z drugiej strony.

Harry i ja uklękliśmy. Dzień wcześniej kazałem jednemu z więźniów poszerzyć klamry przy nogach krzesła, ponieważ kostki Johna Coffeya przekraczały znacznie rozmiarami kostki normalnego mężczyzny. Mimo to przez krótką chwilę bałem się, że klamry i tak okażą się za małe i trzeba będzie odprowadzić go do celi, a potem znaleźć Sama Brodericka, który był w tym czasie brygadzystą w warsztacie, i kazać mu poszerzyć je jeszcze bardziej. W końcu pchnąłem mocno zacisk obiema dłońmi i klamra po mojej stronie zatrzasnęła się. Noga Johna podskoczyła, a on sam syknął cicho. Przyciąłem mu skórę.

- Przepraszam - mruknąłem i zerknąłem na Harry'ego. Nie miał ze swoją klamrą takich trudności (albo przedłużenie było tam szersze, albo prawa kostka Johna była trochę węższa), ale i tak przyglądał się rezultatowi z powątpiewaniem. Rozumiałem chyba dlaczego; zmodyfikowane klamry miały drapieżny wygląd: ich szczęki rozwierały się niczym szczęki aligatora.

- Wszystko będzie dobrze - powiedziałem, mając nadzieję, że mój głos brzmi przekonująco... i że mówię prawdę. - Otrzyj twarz, Harry.

Harry przesunął po twarzy ramieniem, ścierając za jednym zamachem łzy z policzków i krople potu z czoła. Odwróciliśmy się do świadków. Homer Cribus, który rozmawiał zbyt głośno z siedzącym obok mężczyzną (sądząc po wąskim szarym krawacie i podniszczonym czarnym garniturze, prokuratorem), umilkł. Zostało mało czasu.

Brutał zapiął klamrę na jednym nadgarstku Johna, Dean na drugim. Za ramieniem Deana widziałem doktora, który stał przy ścianie ze swoją czarną torbą między nogami i jak zwykle nie rzucał się w oczy. W dzisiejszych czasach to lekarze grają chyba pierwsze skrzypce podczas takich imprez, zwłaszcza tam, gdzie stosuje się kroplówkę, ale wtedy trzeba ich było niemal ciągnąć za uszy, kiedy byli potrzebni. Może wówczas lepiej wiedzieli, co przystoi lekarzowi, a co nie zgadza się z tą szczególną przysięgą, którą składają, tą, która mówi, żeby przede wszystkim nie szkodzić.

Dean skinął do Brutala, a ten odwrócił głowę i zerknął na telefon, który nigdy nie zadzwonił w sprawie kogoś takiego jak John Coffey.

- Przerzuć na jedynekę - zawołał do Jacka Van Haya.

Rozległ się znajomy pomruk, podobny do tego, jaki wydaje włączająca się stara lodówka, i rozjaśniły się trochę żarówki. Nasze cienie odbiły się nieco wyraźniej - czarne cienie, które wspinały się po ścianach i otaczały niczym sępy cień krzesła. John wciągnął w płuca powietrze. Miał zupełnie białe kłykcie.

- Czy już go boli? - zaskrzeczała łamiącym się głosem pani Detterick. - Mam nadzieję, że tak. Mam nadzieję, że boli go jak wszyscy diabli. - Mąż ścisnął ją za ramię. Zobaczyłem, że krwawi z nosa. Wąska strużka ciekła z jednej dziurki, żłobiąc drogę przez cienki wąsik. Kiedy w marcu następnego roku otworzyłem gazetę i zobaczyłem, że zmarł na wylew, wcale mnie to nie zaskoczyło.

Brutal zasłonił Johnowi pole widzenia, położył mu rękę na ramieniu i zaczął coś do niego mówić. Było to niezgodne z regulaminem, ale z obecnych wiedział o tym tylko Curtis Andersen, a on najwyraźniej tego nie zauważał. Wyglądał jak człowiek, który chce jak najszybciej mieć to za sobą. Chce rozpaczliwie mieć to za sobą. Po Pearl Harbor zaciągnął się do wojska, lecz nigdy nie wyjechał na front. Zginął w Fort Bragg w wypadku ciężarówki.

John tymczasem najwyraźniej się rozluźnił. Nie sędzę, żeby zrozumiał wiele z tego, co tłumaczył mu Brutal, ale dodała mu otuchy trzymająca go za ramię ręka. Brutal, który zmarł dwadzieścia pięć lat później (jego siostra powiedziała, że jadł kanapkę z rybą i oglądał zapasy w telewizji, kiedy to się zdarzyło), był dobrym człowiekiem. Moim przyjacielem. Może najlepszym z nas. Potrafił zrozumieć, że człowiek może chcieć odejść i jednocześnie bać się podróży.

- Johnie Coffey, zostałeś skazany na śmierć na krześle elektrycznym na mocy werdyktu uzgodnionego przez ławę równych tobie przysięgłych i wyroku, który wydał sędzia cieszący się szacunkiem w tym stanie. Niech Bóg ma w opiece mieszkańców tego stanu. Czy masz coś do powiedzenia przed wykonaniem wyroku?

John zwilżył ponownie wargi, a potem wypowiedział wyraźnym głosem siedem słów.

- Przykro mi, że jestem tym, czym jestem.

- Powinno ci być! - zawołała matka dwóch zabitych dziewczynek. - Och, ty potworze, powinno ci być przykro! Niech cię piekło pochłonie!

John obrócił ku mnie oczy. Nie zobaczyłem w nich rezygnacji ani nadziei na niebo, ani tym bardziej spokoju ducha. Jak bardzo chciałbym powiedzieć, że to wszystko zobaczyłem. Ujrzałem cierpienie, osłupienie i niezrozumienie. To były oczy złapanego w pułapkę, przerażonego zwierzęcia. Przypomniałem sobie, co powiedział o Whartonie, któremu udało się porwać Corę i Kathy z werandy. "Zabił je ich miłością. To samo dzieje się każdego dnia. Na całym świecie".

Brutal zdjął z mosiężnego haczyka za oparciem nowy kaptur, ale kiedy John zobaczył go i zrozumiał, do czego służy, w jego oczach zabłysło przerażenie. Spojrzał na mnie i zobaczyłem wielkie krople potu na nagiej czaszce. Wielkie jak jajka drozda.

- Proszę, szefie, nie zakładajcie mi tego na twarz - wyszeptał błagalnie. - Proszę, nie każcie mi odchodzić w ciemności. Ja się boję ciemności.

Brutal podniósł brwi i spojrzał na mnie, nie ruszając się z miejsca i trzymając w ręku kaptur. Ty tutaj rządzisz, mówiły jego oczy, ja zrobię to, co uważasz za stosowne. Staralem się podjąć szybką i właściwą decyzję, co nie było łatwe, zważywszy na ból, który rozrywał mi czaszkę. Kaptur należał do tradycji, ale nie było o nim mowy w regulaminie. Chodziło w gruncie rzeczy o zaoszczędzenie wrażeń świadkom. I nagle doszedłem do wniosku, że nie trzeba ich oszczędzać, nie tym razem. John nie zrobił w końcu nic, za co miałby umierać w kapturze. Nie wiedzieli o tym, ale my wiedzieliśmy i zdecydowałem, że uwzględnię tę jego ostatnią prośbę. Co do Marjorie Detterick, wysłał mi prawdopodobnie kartkę z podziękowaniami.

- Dobrze, John - mruknąłem.

Brutal zawiesił kaptur z powrotem.

- Co ty robisz, chłopie? - zawołał oburzony Homer Cribus tym swoim głosem przypominającym tłuczenie talerzy. - Nałóż mu tę maskę! Myślisz, że chcemy patrzeć, jak gały wyłażą mu z orbit?

- Proszę o ciszę - powiedziałem, w ogóle się nie odwracając. - To jest egzekucja i nie pan ją prowadzi.

- Tak samo jak nie prowadziłeś ludzi, którzy go złapali, ty wieprzu - szepnął Harry.

Harry zmarł w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim w wieku prawie osiemdziesięciu lat. Staruszek. Nie żył tyle co ja, ale w końcu niewielu osobom się to udaje. To był jakiś rak jelit.

Brutal pochylił się i wyjął brzydką okrągłą gąbkę z wiadra. Wcisnął w nią palec i polizał jego czubek, ale właściwie nie było to potrzebne; widziałem, jak kapie z niej woda. Wcisnął ją w kask, a potem nałożył go Johnowi na głowę. Zobaczyłem, że on także jest blady - śmiertelnie blady, tak jakby miał zaraz zemdleć. Przypomniałem sobie, jak powiedział, że po raz pierwszy w życiu boi się piekła, ponieważ szykujemy się do zniszczenia daru niebios. Poczulem nagle, że chce mi się rzygać. Opanowałem się, ale nie bez trudu. Woda z gąbki ściekała po twarzy Johna.

Dean Stanton przełożył pas przez pierś Johna - musiał go przy tej okazji maksymalnie wydłużyć - i podał mi sprzączkę. Zadaliśmy sobie tyle trudu, aby ze względu na jego dzieci



uchronić Deana przed ewentualnymi konsekwencjami naszej podróży, nie wiedząc, że ma przed sobą tylko cztery miesiące życia. Po egzekucji Johna Coffeya poprosił o przeniesienie z bloku śmierci na blok C. Jeden z tamtejszych więźniów dźgnął go trzonkiem łyżki w gardło i krew Deana pociekła na brudną drewnianą podłogę. Nigdy się nie dowiedziałem, dlaczego to zrobił. Nie sądzę, żeby w ogóle ktoś to wiedział. Kiedy spoglądam wstecz na tamte czasy, Stara Iskrówa wydaje mi się szczytem perwersji, śmiertelnym szaleństwem. Każdy z nas jest kruchy niczym szkło, nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Zabijać się z zimną krwią za pomocą gazu i elektryczności? Szaleństwo. Horror.

Brutał sprawdził pas i cofnął się o krok. Czekałem, aż wymówi swoją formułkę, ale on nie zrobił tego. Kiedy splótł ręce z tyłu i stanął w pozycji spoczynnej, wiedziałem już, że nic nie powie. Może nie mógł. Mnie też wydawało się, że nie wykrztuszę ani słowa, ale potem spojrzałem na zapłakaną, przerażoną twarz Johna i uświadomiłem sobie, że muszę. Jeśli nawet skazywałem się przez to na wieczne potępienie.

- Przerzuc na dwójkę - wydałem polecenie martwym skrzypiącym głosem, w którym z trudem rozpoznałem swój własny.

Kask zaszumiał. Dziesięć wielkich palców podniosło się z szerokich dębowych poręczy krzesła i rozpostarło, każdy w innym kierunku. Wielkie kolana podrygiwały jak szalone, lecz klamry nie chciały puścić. Nad naszymi głowami strzeliły trzy żarówki. Pach! Pach! Pach! Słyszając to, Marjorie Detterick krzyknęła i osunęła się na ramię męża. Pożegnała się z życiem w Memphis, osiemnaście lat później. Harry przysłał mi nekrolog. Przejechał ją trolejbus.

John skoczył do przodu, napinając pas na piersi. Przez krótki moment jego oczy spotkały się z moimi. Były przytomne; byłem ostatnią osobą, jaką zobaczył, gdy ekspediowaliśmy go na tamtą stronę. A potem opadł z powrotem na oparcie. Kask przechylił się lekko na jego głowie i zaczął się spod niego sączyć dym - coś w rodzaju przypalonej mgiełki. W gruncie rzeczy jednak egzekucja była szybka. Wątpię, czy bezbolesna, jak utrzymują niezmiennie zwolennicy krzesła (choć nie jest to teza, którą najbardziej zagorzali z nich chcieliby sprawdzić na własnej skórze), lecz szybka. Dłonie ponownie zwiotczały, niebiesko-białe półksiężycy na paznokciach przybrały barwę oberżyny, a strużka dymu uniosła się z policzków zmoczonych słoną wodą z gąbki... i jego łzami.

Ostatnimi łzami Johna Coffeya.

Trzymałem się jakoś aż do powrotu do domu. Świtało już wtedy i śpiewały ptaki. Zaparkowałem swojego grata, obszedłem dom i nagle ogarnął mnie największy, jakiego doznałem do tej pory, smutek. Przypomniałem sobie, jak bardzo bał się ciemności. Jak w trakcie naszego pierwszego spotkania pytał, czy zostawiamy w nocy zapalone światło.

Ugięły się pode mną nogi. Przysiadłem na schodach, oparłem głowę o kolana i wybuchnąłem płaczem. Nie użalałem się nad Johnem; raczej nad nami wszystkimi.

Janice wyszła z domu, usiadła obok i objęła mnie ramieniem.

- Nie przysporzyliście mu więcej bólu, niż to było absolutnie konieczne, prawda?

Potrząsnąłem głową.

- A on chciał odejść?

Pokiwałem głową.

- Chodź do domu - powiedziała i pomogła mi wstać. W tym momencie przypomniałem sobie, jak John pomógł mi podnieść się po wspólnej modlitwie. - Chodź i napij się kawy.

Posłuchałem jej. Minał pierwszy ranek, a potem pierwsze popołudnie i pierwszy dyżur na bloku. Czas leczy wszystkie rany, czy tego chcemy, czy nie. Czas oddala od nas to wszystko, a na samym końcu czeka nas wyłącznie mrok. Czasami odnajdujemy w nim innych, a czasami znów ich tam gubimy. Nie wiem nic więcej oprócz tego, że zdarzyło się to w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim, kiedy stanowe więzienie wciąż mieściło się w Cold Mountain.

I kiedy było tam oczywiście krzesło elektryczne.

Kwadrans po drugiej po południu moja przyjaciółka Elaine Connelly przyszła na werandę, gdzie siedziałem, złożony schludnie przed sobą ostatnie kartki mojej opowieści. Miała bladą twarz i podkrążone oczy. Chyba płakała.

Ja natomiast wyglądałem przez okno. Po prostu. Patrzyłem na stojące na wschodzie wzgórza i krew pulsowała mi w nadgarstku prawej ręki. Byłem pusty niczym wyluskany orzech. Uczucie jednocześnie straszne i wspaniałe.

Niełatwo było spojrzeć Elaine prosto w oczy - bałem się nienawiści i pogardy, jakie mógłbym tam zobaczyć - ale moje obawy okazały się płonne. Nie było w nich nienawiści, nie było pogardy i nie było niedowierzania.

- Masz ochotę przeczytać resztę?- zapytałem, dotykając obolałą ręką niewielkiego pliku kartek. - Skończyłem pisać, lecz nie zdziwię się, jeśli nie będziesz chciała tak szybko...

- Nie chodzi o to, czy chcę - przerwała mi. - Ja muszę wiedzieć, jak to się skończyło, chociaż domyślam się, że chyba go straciłeś. Moim zdaniem poważnie przecenia się interwencję Opatrzności przez duże O w życiu zwykłych śmiertelników. Zanim jednak zabiorę te kartki, Paul...

Urwała, jakby nie wiedziała, co powiedzieć. Czekałem bez słowa. Czasami można komuś pomóc w takiej sytuacji. Czasami nie warto nawet próbować.

- Z tego, co tu piszesz, Paul, wynika, że w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim miałeś dwoje dorosłych dzieci... nie jedno, ale dwoje. Jeśli nie ożeniłeś się ze swoją Janice, powiedzmy, kiedy ty miałeś dwanaście, a ona jedenaście lat...

Uśmiechnąłem się lekko.

- Ożeniliśmy się młodo... w górach ludzie biorą wcześniej ślub, moja matka też wyszła wcześniej za mąż... Ale nie aż tak młodo.

- W takim razie ile ty masz lat? Zawsze myślałam, że skończyłeś osiemdziesiątkę i jesteś albo w moim wieku, albo trochę młodszy, ale z tego wynika, że...

- Miałem czterdzieści lat, kiedy John przeszedł Zieloną Milę - odparłem. - Urodziłem się w roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim. Co oznacza, że mam teraz sto cztery lata, chyba że pomyliłem się w rachunkach.

Elaine wpatrywała się we mnie w milczeniu.

Podąłem jej manuskrypt, przypominając sobie, jak John dotknął mnie tam, w swojej

celi. Nie wybuchnie pan, powiedział, rozbawiony tym, że mogło mi w ogóle przyjść coś takiego do głowy, i rzeczywiście nie wybuchłem, coś jednak się ze mną stało. Coś trwałego.

- Przeczytaj resztę - powiedziałem. - Znajdziesz tam odpowiedź na wszystkie pytania.

- Dobrze - odparła prawie szeptem. - Prawdę mówiąc, trochę boję się ją poznać, ale dobrze. Gdzie będziesz?

Wstałem i przeciągnąłem się, aż zatrzeszczało mi w kręgosłupie. Jedno wiedziałem na pewno: miałem serdecznie dosyć tej werandy.

- Na polu do krokietu. - Jest jeszcze coś, co chciałbym ci pokazać.

- Czy to... coś strasznego?

W jej nieśmiałym spojrzeniu zobaczyłem małą dziewczynkę, którą była, kiedy mężczyźni nosili w lecie słomkowe kapelusze, a zimą futra z szopów.

- Nie - odpowiedziałem z uśmiechem. - Nic strasznego.

- Dobrze. Zabieram to na dół, do mojego pokoju - stwierdziła, biorąc do ręki kartki. - Spotkamy się na polu do krokietu, powiedzmy... - urwała i przekartkowała manuskrypt, oceniając, ile zajmie jej czasu lektura. - Koło czwartej. Pasuje ci?

- Znakomicie - powiedziałem, pamiętając o chorobliwie ciekawym Bradzie Dolanie. Wtedy już go nie będzie.

Elaine uściśniła mnie lekko za ramię i wyszła. Przez chwilę stałem w miejscu, wpatrując się w stół i uświadamiając sobie, że jest znowu pusty, jeśli nie liczyć tacy, na której Elaine przyniosła mi rano śniadanie. Porozrzucane kartki nareszcie zniknęły. Nie mogłem jakoś uwierzyć, że to koniec... a ponieważ domyślacie się, że piszę to, co teraz czytacie, już po oddaniu Elaine ostatniego pliku kartek, to rzeczywiście nie mógł być koniec. Już wtedy zdawałem sobie z tego sprawę i wiedziałem, o czym nie napisałem.

O Alabamie.

Wziąłem do ręki ostatni kawałek leżącej na tacy zimnej grzanki, po czym wyszedłem na dwór i ruszyłem w stronę pola do krokietu. Tam usiadłem w słońcu i obserwowałem wymachujących młotkami graczy, snując moje stare myśli i grzejąc moje stare kości. Za kwadrans trzecia od strony parkingu zaczęli nadchodzić pracownicy drugiej zmiany, a o trzeciej wyszła dzienna zmiana. Trzymali się w większości razem, ale zobaczyłem, że Brad Dolan idzie sam. Był to krzepiący widok; może świat nie zszedł jednak tak bardzo na psy. Z tylnej kieszeni spodni wystawała mu książka z dowcipami. Ścieżka na parking biegnie obok pola do krokietu, w związku z czym zobaczył mnie, lecz ani nie pomachał, ani nie popatrzył spode łba. Specjalnie mnie to nie zmartwiło. Wsiadł do swojego starego chevroleta z przyklejonym do zderzaka napisem WIDZIAŁEM BOGA. NAZYWA SIĘ NEWT i pojechał

tam, gdzie jeździ, gdy go tu nie ma, zostawiając za sobą smród taniego oleju kupionego na wyprzedazy.

Koło czwartej, dokładnie tak jak obiecała, przyszła do mnie Elaine. Sądząc po jej oczach, jeszcze sobie trochę popłakała. Objęła mnie ramieniem i przytuliła.

- Biedny John Coffey - powiedziała. - I biedny Paul Edgecombe.

Biedny Paul, przypomniałem sobie słowa Janice. Biedny stary Paul.

Elaine zaczęła znowu płakać. Obejmowałem ją, stojąc na polu do krokietu w promieniach popołudniowego słońca. Nasze cienie wyglądały, jakbyśmy tańczyli. Być może robiliśmy to w Magicznej Sali Balowej, z której audycji słuchaliśmy kiedyś w dawnych czasach w radiu.

W końcu odzyskała panowanie nad sobą. Znalazła w kieszonce bluzki kleenex i wytarła nim zażawione oczy.

- Jakie były losy żony dyrektora, Paul? Co się stało z Melly? - zapytała.

- Jej powrót do zdrowia lekarze z Indianoli uznali za cud natury - odparłem. Wzięłem ją pod ramię i ruszyliśmy w stronę ścieżki, która odchodziła od parkingu dla pracowników i biegła w głąb lasu. W stronę szalasu stojącego przy murze, który oddzielał Georgia Pines od świata ludzi młodszych. - Zmarła jedenaście lat później, nie z powodu guza mózgu, lecz na atak serca - powiedziałem. - Chyba w czterdziestym trzecim. Hal zmarł na wylew, z tego co pamiętam, chyba dokładnie tego samego dnia, kiedy dokonano ataku na Pearl Harbour. Przeżyła go więc o dwa lata. Jest w tym swoista ironia losu.

- A Janice?

- Nie jestem jeszcze na to gotów - odparłem. - Opowiem ci innym razem.

- Słowo?

- Słowo.

Nie dotrzymałem jednak tej obietnicy. Trzy miesiące po naszym wspólnym spacerze do lasu (wziąłbym ją za rękę, gdybym nie bał się urazić spuchniętych i poskręcanych palców) Elaine Connelly zmarła we śnie. Podobnie jak w przypadku Melindy Moores przyczyną zgonu był atak serca. Pielęgniarsz, który ją znalazł, twierdził, że miała spokojną twarz, tak jakby śmierć przyszła szybko i bezboleśnie. Mam nadzieję, że się nie mylił. Kochałem Elaine. I brakuje mi jej. Jej, Janice, Brutala i ich wszystkich.

Doszliśmy do drugiego szalasu, tego przy murze. Stał kilka jardów od ścieżki, w sosnowym zagajniku. Na wałący się dach i zabite deskami okna padały cętki cienia. Skręciłem w stronę drzwi. Elaine na chwilę się zatrzymała. Na jej twarzy malował się strach.

- Wszystko w porządku - powiedziałem. - Naprawdę. Chodź.

W drzwiach nie było skobla - kiedyś tam wisiał, ale ktoś go zabrał - do zamykania ich używałem więc kawałka złożonej tektury. Wyciągnąłem ją teraz i wszedłem do środka. Zostawiłem drzwi otwarte na oścież, ponieważ wewnątrz było ciemno.

- Paul, co to...? Och. Och! - To drugie "och" graniczyło z krzykiem.

Na przysuniętym do ściany stole leżała latarka i brązowa papierowa torba. Na brudnej podłodze stało pudełko po cygarach Hav-A-Tampa, które dostałem od koncesjonera automatów z napojami i słodyczami. Specjalnie o nie poprosiłem, a ponieważ jego firma sprzedaje również wyroby tytoniowe, nietrudno było mu je zdobyć. Zaproponowałem, że mu zapłacę - jak już chyba wspomniałem, w czasie gdy pracowałem w Cold Mountain, takie rzeczy miały swoją wartość - ale on tylko mnie wyśmiał.

Znad skraju pudełka wyzierała para lśniących jak paciorki oczu.

- Chodź tutaj, Panie Dzwoneczku - powiedziałem cicho. - Chodź tutaj, staruszk, i przywitaj się z panią.

Przykucnąłem na piętach - zabolalo, ale jakoś dałem sobie radę - i wyciągnąłem rękę. Z początku nie sądziłem, że Pan Dzwoneczek będzie w stanie wydostać się z pudełka, ale w końcu wyskoczył. Wylądował na boku, stanął z powrotem na czterech łapach i zbliżył się do mnie. Biegając utykał na jedną z tylnych łapek; rana, którą zadał mu kiedyś Percy, odnowiła się w podeszłym wieku. W bardzo podeszłym wieku. Z wyjątkiem czubka głowy i koniuszka ogona był cały siwy.

Skoczył na moją otwartą dłoń, a potem, kiedy go podniosłem, odchylił do tyłu łepki i powąchał mój oddech, kładąc uszka po sobie i wpatrując się we mnie spragnionymi ślepkami. Wyciągnąłem rękę do Elaine, która otworzyła usta ze zdumienia.

- To niemożliwe - stwierdziła, podnosząc ku mnie wzrok. - Och, Paul, to nie jest... to nie może być...

- Popatrz - odparłem - i dopiero potem powiedz, że to niemożliwe.

Z torby, która leżała na stole, wyjąłem szpulkę, którą sam pokolorowałem - nie kredkami marki Crayola, lecz flamastrami Magic Markers, wynalazkiem, o którym nikomu nie śniło się w trzydziestym drugim roku. Była tak samo barwna jak szpulka Dela, a może nawet bardziej. *Messieurs et mesdames*, pomyślałem. *Bienvenue au cirque du mousie!*

Ponownie przykucnąłem i Pan Dzwoneczek zeskoczył z mojej dłoni. Był stary, ale tak samo chętny jak zawsze. Od chwili gdy wyjąłem szpulkę z torby, nie patrzył na nic innego. Potoczyłem ją po nierównej popękanej podłodze szafasu, a on natychmiast za nią ruszył. Nie biegł ze swoją dawną prędkością i żał było patrzeć, jak utyka, ale dlaczego miał być szybki i zwinny? Jak już powiedziałem, był starcem, prawdziwym mysim Matuzalemem. Liczył co

najmniej sześćdziesiąt cztery lata.

Dogonił szpulkę, która odbiła się od ściany, okrążył ją i nagle przewrócił się na bok. Elaine chciała do niego podejść, ale powstrzymałem ją. Pan Dzwoneczek podniósł się i powoli, bardzo powoli, zaczął popychać nosem szpulkę w moim kierunku. Kiedy tu przybył - znalazłem go leżącego na stopniach do kuchni, jakby pokonał wielką odległość i skrajnie go to wyczerpało - wciąż był w stanie popychać szpulkę łapkami, jak czynił to wiele lat temu na Zielonej Mili. Ten czas już minął; jego tylne łapki były zbyt słabe, by mógł się na nich utrzymać. Nos miał jednak tak samo wyćwiczony jak zawsze. Żeby utrzymać szpulkę na kursie, musiał po prostu popychać ją raz z jednej, raz z drugiej strony. Kiedy do mnie podbiegł, wziąłem go do jednej ręki - nie ważył więcej jak piórko - a szpulkę do drugiej. Jego ciemne oczka nawet na chwilę się od niej nie odrywały.

- Nie rób tego po raz drugi, Paul - szepnęła drżącym głosem Elaine. - Nie mogę na to patrzeć.

Rozumiałem, co czuje, lecz moim zdaniem nie miała racji. Pan Dzwoneczek lubił gonić i popychać przed sobą szpulkę; po wszystkich tych latach wciąż bardzo to lubił. Wszyscy powinniśmy tak wytrwale dochowywać wierności naszym pasjom.

- W torbie są również miętówki - powiedziałem. - Canada Mints. Myślę, że w dalszym ciągu je lubi: nie przestaje węszyć, kiedy mu je podsuwam, ale jego system trawienny nie pozwala mu już ich jeść. Przyniosłem mu zamiast tego grzankę.

Ponownie ukucnąłem, odłamałem mały kawałek grzanki, którą zabrałem z werandy, i położyłem go na podłodze. Pan Dzwoneczek obwąchał go, a potem wziął w łapki i zaczął chrupać. Ogonek zawinął elegancko wokół siebie. Skończywszy, podniósł z oczekiwaniem wzrok.

- My, stare przyki, mamy czasem zadziwiająco zdrowy apetyt - oznajmiłem i podałem Elaine grzankę. - Spróbuj ty.

Odłamała kolejny kawałek i rzuciła go na podłogę. Pan Dzwoneczek obwąchał go, popatrzył na Elaine... i podniósł i zaczął jeść.

- Widzisz? - powiedziałem. - On wie, że nie jesteś nowicjuską.

- Skąd on się tu wziął, Paul?

- Nie mam pojęcia. Któregoś dnia, wracając z porannego spaceru, zobaczyłem go na kuchennych schodach. Od razu go poznałem, ale żeby się upewnić, wziąłem szpulkę z kosza w pralni. Załatwiłem dla niego pudełko po cygarach i wyłożyłem je najbardziej miękką podściółką, jaką mogłem dostać. Myślę, że jest podobny do nas, Ellie: przez większość czasu wszystko go boli. Ale nie stracił woli życia. Wciąż lubi swoją szpulkę i wciąż lubi, kiedy

odwiedza go stary kumpel z bloku. Sześćdziesiąt lat trzymałem w tajemnicy historię Johna Coffeya, sześćdziesiąt lat i jeszcze kilka, a teraz ją opowiedziałem. Wydaje mi się, że chyba wiem, dlaczego wrócił. Chciał przypomnieć, żebym się pośpieszył i zrobił to, póki jest jeszcze czas. Ponieważ, podobnie jak on, niedługo się tam wybieram.

- Gdzie się wybierasz?

- Och, wiesz - odparłem i przez dłuższą chwilę obserwowałem Pana Dzwoneczka. A potem, sam nie wiem dlaczego, ponownie rzuciłem szpulkę, mimo że Elaine prosiła, żebym tego nie robił. Może dlatego, że jego zabawa przypominała mi uprawianą przez starszych ludzi powolną i ostrożną wersję seksu; ci z was, którzy są młodzi i przekonani, że gdy się zestarzeją, zostanie dla nich uczyniony wyjątek, mogą nie chcieć jej oglądać, ale oni w dalszym ciągu chcą ją uprawiać.

Pan Dzwoneczek puścił się w pogoń za toczącą się szpulką, biegnąc z wyraźnym bólem i równie wyraźną (przynajmniej dla mnie) dawną obsesyjną radością.

- Okna z krzemowego szkła - szepnęła, patrząc na niego.

- Okna z krzemowego szkła - zgodziłem się z uśmiechem.

- Swoim dotykiem John Coffey spowodował u tej myszy to samo co u ciebie. Nie tylko uleczył cię z tego, co ci wtedy dolegało, ale uczynił cię... jakby to powiedzieć... odpornym?

- To równie dobre słowo jak każde inne.

- Odpornym na rzeczy, które powodują, że w końcu padamy niczym drzewa przeżarte przez termity. Uczynił odpornym ciebie i Pana Dzwoneczka. Kiedy wziął go w dłonie.

- Masz rację. Sprawiała to moc, której narzędziem był John Coffey... tak mi się w każdym razie wydaje... a teraz ta moc przestaje powoli działać. Termity wgryzły się w naszą korę. Zajęło im to trochę więcej czasu niż normalnie, ale w końcu się wgryzły. Ja mam może jeszcze przed sobą kilka lat, ludzie żyją przecież dłużej niż myszy, ale czas Pana Dzwoneczka dobiega końca.

Mysz dogoniła szpulkę, obiegała ją i przewróciła się na bok, łapiąc kurczowo powietrze (widzieliśmy fale sunące niczym zmarszczki po jej sierści). Po chwili wstała i zaczęła popychać ją dzielnie nosem. Miała siwą sierść, niepewny krok, ale jej paciorkowate oczka lśniły tak samo żywo jak zawsze.

- Uważasz, że chciał, żebyś napisał to, co napisałeś? - zapytała Elaine. - Tak uważasz, Paul?

- Nie Pan Dzwoneczek - odparłem. - Nie on, lecz moc, która...

- Kogo my tu widzimy? Paulie! I Elaine Connelly! - odezwał się od drzwi głos, w



którym brzmiała udawana groza. - Niech mnie wszyscy diabli! Co wy dwoje tutaj robicie?

Odwrociłem się i nie zdziwiłem zbytnio, widząc w otwartych drzwiach Brada Dolana. Uśmiechał się jak człowiek, który wie, że udało mu się wystrychnąć kogoś na dudka. Jak daleko odjechał, kiedy skończyła się jego zmiana? Może tylko do baru Wrangler, gdzie wypił dwa piwa i jeden głębszy i zdecydował się wrócić.

- Precz stąd! - oznajmiła lodowatym tonem Elaine. - Już cię tu nie ma!

- Nie mów do mnie "precz", ty stara pomarszczona dziwko - syknął, wciąż się uśmiechając. - Możesz do mnie tak mówić tam, w domu, ale nie jesteśmy teraz w domu. W tym miejscu nie wolno wam przebywać. Jesteście poza terenem. Uwiłeś tu sobie małe miłosne gniazdko, Paulie? Coś w rodzaju garsoniery dla geriatryków? - Na jego twarzy ukazało się zdumienie, kiedy zobaczył w końcu głównego lokatora szalasu. - Kurwa mać...

Nie obejrzałem się za siebie. Wiedziałem, co zobaczę; a poza tym przeszłość nałożyła się nagle w moich oczach na terażniejszość, tworząc potworny trójwymiarowy obraz. W progu nie stał Brad Dolan, lecz Percy Wetmore. Za chwilę wbiegnie do środka i rozdepcze Pana Dzwoneczka (który nie miał już szans przed nim uciec). I tym razem nie będzie Johna Coffeya, żeby przywrócić go do życia. Tak jak nie było go, kiedy tak bardzo był mi potrzebny tamtego deszczowego dnia w Alabamie.

Wyprostowałem się, nie czując tym razem żadnego klucia w stawach i w mięśniach i ruszyłem na Dolana.

- Zostaw tę mysz w spokoju! - zawołałem. - Zostaw ją w spokoju, Percy, bo przysięgam, że...

- Do kogo mówisz "Percy"? - odparł i odepchnął mnie tak silnie, że o mało nie upadłem. Elaine złapała mnie i pomogła odzyskać równowagę, choć musiało jej to sprawić nie lada ból. - I to nie pierwszy raz - dodał. - Nie żołądkuj się tak. Nie miałem zamiaru jej dotknąć. Wcale nie muszę. Ta mysz jest martwa.

Odwrociłem się, mając nadzieję, że Pan Dzwoneczek legł tylko na boku, żeby złapać oddech, jak to miał w zwyczaju. Rzeczywiście leżał na boku, lecz fale, które przebiegały przez jego ciało, chyba ustały. Powtarzałem sobie, że wciąż je widzę, ale Elaine wybuchła nagle głośnym szlochem. Pochyliła się z trudem i podniosła z podłogi mysz, którą po raz pierwszy zobaczyłem na Zielonej Mili, gdy podeszła do biurka strażnika dyżurnego tak odważnie jak człowiek, który podchodzi do ludzi równych sobie... albo do swoich przyjaciół. Leżała bezwładnie na jej dłoni. Oczy Pana Dzwoneczka były matowe i nieruchome. Był martwy.

Dolan uśmiechnął się nieprzyjemnie, szczerząc zęby, które nie nawiązały chyba

bliższej znajomości z dentystą.

- O matko! - jęknął. - Czyżbyśmy stracili właśnie najbliższego członka rodziny? Może powinniśmy mu urządzać pogrzeb ze sztucznymi kwiatami i...

- Stul dziób! - zawołała Elaine tak głośno i z taką mocą, że Dolan cofnął się o krok i uśmiech spełził z jego twarzy. - **PRECZ STĄD! WYNOŚ SIĘ, ALBO NIE PRZEPRACUJESZ TUTAJ ANI DNIA WIĘCEJ! ANI GODZINY! PRZYSIĘGAM!**

- I nie dostaniesz nawet kromki chleba w darmowej garkuchni - dodałem, ale tak cicho, że żadne z nich mnie chyba nie usłyszało. Nie byłem w stanie oderwać oczu od Pana Dzwoneczka, który leżał na otwartej dłoni Elaine niczym najmniejsza na świecie wyprawiona niedźwiedzia skóra.

Brad wahał się, czy nie zarzucić jej, że blefuje - miał trochę racji, szalas leżał na terenie, do którego pensjonariusze Georgia Pines nie mieli praktycznie wstępu - w końcu jednak rozmyślił się. W głębi duszy był tchórzem, podobnie jak Percy. Może sprawdził, czy wnuk Elaine jest rzeczywiście Kimś Ważnym, i odkrył, że to prawda. Najważniejsze jednak było chyba to, że zaspokoił już swoją ciekawość, nasycił głód wiedzy. I po tylu snutych przez niego fantastycznych domysłach rzeczywistość okazała się całkiem banalna. W szalasię żyła oswojona przez starca mysz. A teraz zdechła na atak serca lub coś podobnego, pchając przed sobą kolorową szpulkę.

- Nie wiem, dlaczego robicie taką aferę - stwierdził. - Oboje. Tak jakby to był jakiś pies albo nie wiem...

- Precz stąd! - powtórzyła. - Wynoś się, ty głupcze, razem ze zboczonymi i wstrętnymi myślami, które zalęgły się w twoim ptasim mózdzku.

Brad oblał się rumieńcem i ślady po jego młodzieńczych pryszczach nabrały nieco głębszej barwy. Z tego, co widziałem, było ich bardzo wiele.

- Pójdę sobie - oznajmił - ale kiedy tu jutro wrócisz, Paulie, znajdziesz na drzwiach nową kłódkę. Bez względu na to, jak podłe rzeczy opowiada o mnie Pani Srająca Różami, pensjonariusze nie mają tutaj prawa wstępu. Spójrz na tę podłogę! Wszystkie deski są przegniłe i spaczone! Gdybyś źle postawił nogę, ten twój chudy kulas złamałby się jak sucha szczapa. Więc zabieraj, jeśli chcesz, tę zdechłą mysz i do widzenia. Miłosne Gniazdko zostaje niniejszym zamknięte.

Odwrócił się i odmaszerował niczym człowiek, który uważa, że zasłużył na pochwałę. Odczekałem chwilę, a potem delikatnie odebrałem Elaine Pana Dzwoneczka. Mój wzrok padł na torbę z miętówkami i to mnie odblokowało: z oczu pociekły mi łzy. Sam nie wiem, ale ostatnio coraz częściej płacę.

- Pomożesz mi pogrzebać starego przyjaciela? - zapytałem Elaine, kiedy w oddali umilkły ciężkie kroki Brada Dolana.

- Tak, Paul - odparła, po czym objęła mnie w pasie, oparła głowę o moje ramię i dotknęła starym wykręconym palcem nieruchomego ciała Pana Dzwoneczka. - Z przyjemnością to zrobię.

Wzięliśmy zatem motykę z szopy i pochowaliśmy oswojoną mysz Dela, a potem, kiedy na drzewach kładły się coraz dłuższe popołudniowe cienie, ruszyliśmy z powrotem do Georgia Pines, żeby zjeść kolację i nacieszyć się tym, co nam z życia zostało. A ja złapałem się, że rozmyślam o Delu: o Delu, klęczącym na zielonym dywanie, ze złożonymi rękoma i połyskującą w świetle lampy łysiną, o Delu, który prosił nas, żebyśmy zaopiekowali się Panem Dzwoneczkiem i nie pozwolili, żeby ten drań znowu go skrzywdził. Tyle że drań w końcu jednak wszystkich nas skrzywdził.

- Dobrze się czujesz, Paul? - zapytała Elaine głosem, który był jednocześnie łagodny i znużony. Nawet wykopanie motyką grobu i złożenie w nim myszy to stanowczo za dużo atrakcji dla takich jak my starszków. Obejmowałem ją w tym momencie w pasie.

- Świetnie - odparłem, przytulając ją mocniej.

- Zobacz - powiedziała. - Zapowiada się piękny zachód słońca. Może zostaniemy tu i popatrzymy?

- Dobrze - zgodziłem się i zostaliśmy tam na błoniach, obejmując się i patrząc, jak na niebie zakwitają jaskrawe kolory, a potem spalają się wszystkie na popiół.

*Sainte Marie, Mere de Dieu, priez pour nous, pauvres pecheurs, maintenant et l'heure de notre mort.*

Amen.

Rok 1956

Alabama w deszczu.

Nasza trzecia wnuczka, piękna dziewczyna o imieniu Tessa, ukończyła studia na Uniwersytecie Florydy. Pojechaliśmy na uroczystość wręczenia dyplomów greyhoundem. Miałem wtedy sześćdziesiąt cztery lata - młodzińczy wiek. Janice skończyła pięćdziesiąt dziewięć i była nadal piękna jak marzenie. Przynajmniej dla mnie. Siedzieliśmy w samym końcu autobusu, a ona wierciła mi dziurę w brzuchu, bo nie kupiłem jej nowego aparatu fotograficznego i bolała nad tym, że nie uwieczni tego wielkiego wydarzenia. Otworzyłem usta, by powiedzieć, że po przyjeździe będziemy jeszcze mieli cały dzień na zakupy i jeśli chce, może sobie kupić nowy aparat, nie naruszy to w dotkliwy sposób naszego budżetu, a poza tym moim zdaniem marudzi, ponieważ jest po prostu znudzona podróżą i nie podoba jej się książka, którą ze sobą zabrała. To była jakaś powieść Perry Masona. W tym momencie wszystko w mojej pamięci lekko się rozjaśnia niczym film, który przeleżał się za długo na słońcu.

Pamiętacie ten wypadek? Przypuszczam, że kilka osób może coś o nim słyszało. Kiedy się wydarzył, pisano o nim na pierwszych stronach gazet w całym kraju. Mijaliśmy właśnie Birmingham w ulewnym deszczu, Janice narzekała na swój stary aparat i nagle strzeliła opona. Autobus zatańczył na mokrej nawierzchni i uderzyła go w bok wioząca nawóz ciężarówka. Pędząc z szybkością ponad sześćdziesięciu mil na godzinę, greyhound uderzył w betonową podporę mostu i przełamał się na pół. Dwie błyszczące, złane ulewą połówki potoczyły się każda w innym kierunku. Ta, w której znajdował się zbiornik paliwa, wybuchła, posyłając czerwono - czarną ognistą kulę w szare od deszczu niebo. Jeszcze przed chwilą Janice skarżyła się na swojego starego kodaka, a chwilę później leżałem na poboczu drogi, wpatrując się w nylonowe niebieskie majtki, które wypadły z czyjejś walizki. ŚRODA, wyszyte było na nich czarną nitką. Wszędzie leżały pootwierane walizki. I ciała. I części ciał. Autobusem jechało siedemdziesiąt pięć osób i tylko cztery przeżyły katastrofę. Ja byłem jedną z nich, jedyną, która nie została poważnie ranna.

Podniosłem się i powlokłem między pootwieranymi walizkami, wołając imię mojej żony. Pamiętam, że odtrąciłem na bok nogą czyjś budzik, i pamiętam trzynastoletniego może chłopca, który leżał na stosie szkła we flyersach na nogach i tylko z połową twarzy. Czulem

krople deszczu na mojej własnej twarzy, a potem wszedłem pod estakadę i na chwilę przestało padać. Kiedy spod niej wyszedłem, deszcz zaczął znowu siec mnie po policzkach i czole. Obok zmiażdżonej kabiny ciężarówki zobaczyłem Janice. Poznałem ją po eleganckiej czerwonej sukience. Miała od niej tylko jedną lepszą - zachowała ją oczywiście na ceremonię wręczenia dyplomów.

Jeszcze żyła. Zastanawiałem się często, czy nie byłoby lepiej - jeśli nie dla niej, to przynajmniej dla mnie - gdyby zginęła od razu na miejscu. Możliwe, że rozstanie z nią byłoby wtedy szybsze, bardziej naturalne. Choć może tylko tak się oszukuję. Wiem, że w gruncie rzeczy nigdy się z nią nie rozstałem.

Przez jej ciało przechodziły dreszcze. Z prawej nogi spadł but i widziałem, jak dygocze jej stopa. Oczy miała otwarte, lecz puste, lewe podbiegłe krwią. Padłem koło niej na kolana w pachnącym dymem deszczu i potrafiłem myśleć tylko o jednym: że dygocze, ponieważ porażono ją prądem i muszę cofnąć z powrotem wajchę, zanim będzie za późno.

- Na pomoc! - zawołałem. - Na pomoc, niech ktoś mi pomoże!

Nikt mi nie pomógł, nikt nawet nie przyszedł. Deszcz lał jak z cebra - twardy, przenikający wszystko deszcz, który przyklepał czarne jeszcze włosy do mojej czaszki - a ja trzymałem Janice w ramionach i nikt nie przychodził. Jej puste oczy wpatrywały się we mnie z jakąś zmaconą intensywnością, z rozbitej głowy płynęła strumieniem krew. Obok dygoczącej, wstrząsanej spazmami ręki leżał kawałek chromowanej stali z napisem GREY. A trochę dalej jedna czwarta tego, co było kiedyś biznesmenem w popielatym garniturze.

- Na pomoc! - krzyknąłem znowu, a potem odwróciłem się i zobaczyłem stojącego w cieniu estakady, będącego także tylko cieniem, Johna Coffeya: wielkiego mężczyznę z łąsą czaszką i zwisającymi w dół rękoma.

- John! - zawołałem. - Och, John, proszę, pomóż mi! Pomóż Janice!

Deszcz zalewał mi oczy. Zamrugalem powiekami, żeby strząsnąć z nich krople, i John zniknął. Widziałem jedynie cień, za który go wziąłem... ale to nie był tylko cień. Jestem tego pewien. Stał tam. Może jako duch, lecz stał tam. Odwrócony do mnie twarzą, na której deszcz mieszał się z nieprzerwanym strumieniem łez.

Umarła w moich ramionach, tam w deszczu przy ciężarówce, w oparach płonącego oleju napędowego. Nie odzyskała ani na chwilę przytomności - jej oczy nie ożyły, wargi nie wyszeptały ostatniej deklaracji miłości. Poczulem skurcz, który przeszedł przez jej ciało, i chwilę później odeszła. Po raz pierwszy od wielu lat pomyślałem o Melindzie Moores, Melindzie siedzącej w łóżku, w którym, zdaniem wszystkich doktorów ze szpitala w Indianoli, miała umrzeć; Melindzie, świeżej i wypoczętej, spoglądającej zdumionym

wzrokiem na Johna Coffeya i mówiącej: “Śniłam, że błędzisz gdzieś w mroku podobnie jak ja. Odnależliśmy się”.

Położyłem nieszczęsną pokiereszowaną głowę mojej żony na mokrej nawierzchni drogi między stanowej, wyprostowałem się (nie było to trudne; miałem tylko lekko skaleczoną lewą dłoń) i wykrzyczałem jego imię w mrok pod estakadą.

- John! JOHNIE COFFEY! GDZIE JESTEŚ, DUŻY?

A potem ruszyłem w tamtą stronę, odtrącając nogą zakrwawionego pluszowego misia, okulary w stalowej oprawce z jednym stłuczonym szkłem i uciętą rękę z pierścionkiem na małym palcu.

- Dlaczego ocaliłeś żonę Hala, nie moją? Dlaczego nie Janice? DLACZEGO NIE OCALIŁEŚ MOJEJ JANICE?

Żadnej odpowiedzi. Tylko odór płonącego oleju napędowego i palących się ciał; tylko deszcz, lejący się nieprzerwanie z szarego nieba i bębniący o asfalt drogi, na której leżała za mną moja martwa żona. Nie otrzymałem żadnej odpowiedzi wówczas i nie otrzymałem żadnej odpowiedzi teraz. Ale oczywiście w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim John Coffey uzdrowił nie tylko Melinę Moores i mysz Eduarda Delacroix, tę, która знаła sprytną sztuczkę ze szpulką i zachowywała się tak, jakby spodziewała się Dela na długo przed jego przybyciem... i na długo przed przybyciem Johna Coffeya.

John ocalił również mnie i stojąc wiele lat później pośród porozwalanego bagażu i okaleczonych trupów, moknąc w ulewnym deszczu Alabamy i szukając wzrokiem człowieka, którego nie było pod mrocznym sklepieniem estakady, odkryłem straszną rzecz: czasami nie ma żadnej różnicy między ocaleniem i potępieniem.

Czułem, jak dostępuję jednego lub drugiego, gdy siedzieliśmy razem na jego pryczy w dniu osiemnastego listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku. Czułem, jak wypływa z niego i wnika we mnie ta dziwna moc, którą posiadał i która przechodziła przez nasze złączone ręce w sposób, w jaki miłość, nadzieja i dobre chęci czasami nigdy nie mogą przepłynąć; to doznanie, które z początku przypominało tylko lekkie mrowienie, a potem przeobraziło w coś ogromnego i nieodpartego; siła, która przekraczała wszystko, czego doświadczyłem wcześniej i później w swoim życiu. Od tego dnia nigdy nie miałem zapalenia płuc, grypy ani nawet bólu gardła. Nigdy nie cierpiałem na zapalenie dróg moczowych, nie zaogniło mi się żadne skaleczenie. Kilka razy się przeziębilem, ale zdarzało się to bardzo rzadko - co sześć, siedem lat i chociaż ludzie, którzy tylko wyjątkowo miewają przeziębienia, przechodzą je podobno ciężiej, mnie nigdy się to nie przytrafiło. Raz, w tym samym strasznym roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym szóstym, miałem atak woreczka żółciowego. I chociaż

niektórym czytającym te słowa może się to wydać dziwne, właściwie cieszyłem się, że mnie boli. Był to jedyny poważny ból, jakiego doznałem od czasu problemów z drogami moczowymi dwadzieścia cztery lata wcześniej. Choroby, które zabierały kolejno moich przyjaciół i bliskich, aż w końcu wszyscy odeszli - wylewy, nowotwory, zawały serca, schorzenia wątroby i układu krwionośnego - omijały mnie wszystkie z daleka, niczym kierowca, który skręca kierownicą, żeby nie wpaść na przebiegającego drogą jelenia lub szopa. Z jedyne go poważnego wypadku, który mi się przytrafił, wyszedłem nietknięty, jeśli nie liczyć zadrapania na ręce. W roku tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim John Coffey zaszczerpił mnie życiem. Można rzec, poraził mnie życiem. Któregoś dnia w końcu odejdę - oczywiście, że odejdę, wszelkie iluzje na temat nieśmiertelności, które mogłem sobie robić, umarły wraz z Panem Dzwoneczkiem - ale będę pragnął śmierci na długo przedtem, nim mnie zabierze. Szczerze mówiąc, już teraz jej pragnę, pragnę jej od śmierci Elaine Connelly. Czy muszę wam o tym mówić?

Przeoglądam te kartki, przewracam je drżącymi rękoma, upstrzonymi plamami wątrobowymi, i zastanawiam się, czy kryje się w nich jakiś sens, podobny do tego, jaki zawierają książki w samym swoim zamierzeniu krzepiące lub pouczające. Rozmyślam o kazaniach mojego dzieciństwa, o strzelistych afirmacjach w Kościele Czcicieli Jezusa, i przypominam sobie tamtejszych kaznodziei twierdzących, że oko Pańskie spoczywa na jaskółce, że spogląda On i czuwa nad najmniejszym z boskich stworzeń. Gdy myślę o Panu Dzwoneczku, o małych drzazgach drzewa, które znaleźliśmy w tej dziurze w belce, wydaje mi się, że to prawda. A jednak ten sam Bóg poświęcił Johna Coffeya, który starał się tylko na swój ślepy sposób czynić dobro - i uczynił to równie bezwzględnie jak każdy prorok Starego Testamentu, składający w ofierze jagnię... jak poświęciłby swego własnego syna Abraham, gdyby tylko został do tego wezwany. Myślę o Johnie mówiącym, że Whartonowi udało się zabić bliźniaczki Dettericków, bo wykorzystał ich wzajemną miłość, i że to samo zdarza się codziennie, na całym świecie. Jeśli się zdarza, pozwala na to Bóg, a kiedy mówimy: "Nie rozumiem", On odpowiada: "Nic mnie to nie obchodzi".

Myślę o Panu Dzwoneczku, który zdechł, gdy stałem odwrócony do niego plecami, zaabsorbowany przez człowieka, którego najzacniejszym ludzkim uczuciem wydawała się mściwa ciekawość. Myślę o Janice, która skończyła w konwulsjach, gdy klęczałem przy niej w deszczu.

"Przestań", próbowałem powiedzieć Johnowi tamtego dnia w celi. "Przestań, puść moje ręce. Utonę, jeśli tego nie zrobisz. Utonę albo eksploduję".

"Nie eksploduje pan", odparł, słysząc moje myśli i uśmiechając się do nich. I straszne

jest to, że tak się nie stało. Że do tego nie doszło.

Cierpię przynajmniej na jedną chorobę wieku starczego: na bezsenność. Leżę do późna w nocy, słuchając mokrego bezradnego rżenia złożonych niemocą mężczyzn i kobiet, którzy wykastują z siebie swoją starość. Czasami słyszę dzwonek do drzwi, skrzypienie buta na korytarzu albo nastawiony na ostatnie wiadomości mały telewizor pana Javitsa. Leżę i rozmyślam o Brutalu i Deanie, a niekiedy o Williamie Whartonie, mówiącym: “Zgadza się, czarnuchu, jestem zły jak wszyscy diabli”. Myślę o Delacroix, wołającym: “Niech pan popatrzy, panie Edgecombe, nauczyłem Pana Dzwoneczka nowej sztuczki”. Myślę o Elaine, która stanęła wtedy w drzwiach na werandę i kazała Bradowi Dolanowi zostawić mnie w spokoju. Czasami zasypiam na chwilę i widzę zalaną deszczem estakadę i stojącego w jej cieniu Johna Coffeya. W moich krótkich snach nigdy nie jest złudzeniem optycznym; zawsze stoi tam naprawdę i patrzy. A ja leżę i czekam. Myślę o Janice, o tym, jak ją utraciłem, jak wymknęła mi się z palców w strugach ulewnego deszczu, i czekam. Każdy musi umrzeć, wiem, że od tej reguły nie ma wyjątku, ale czasami, Boże mój, Zielona Mila jest taka druga.